

James Herbert

# Ciemność

Przełożyła MAŁGORZATA CENDROWSKA

AMBER

Tytuł oryginału THE DARK

WYBÓR

## Część pierwsza

I widział Bóg światłość, że była dobra;  
i uczynił Bóg rozdział między światłością i między ciemnością<sup>1</sup>.

Genesis 1, 4

Był jasny, słoneczny dzień. Nikomu nie przyszłoby do głowy, by w taki dzień polować na duchy. Nikt by też nie przypuszczał, że w takim domu może straszyć, poza tym zjawiska psychiczne nie są uzależnione od czasu, miejsca ani warunków atmosferycznych.

Droga była ładna, ale zwyczajna, panował na niej ów charakterystyczny dla późnego poranka spokój, którym odznaczają się dzielnice odległe zaledwie o parę minut od centrum; budynki stanowiły dziwną mieszaninę bliźniaków i willi; na drugim końcu błyszczały świeżością nowiutkie domy, nieskażone jeszcze powszednim brudem.

Jechałem wolno ulicą, szukając właściwego domu, zatrzymałem się przy krawężniku, ujrzawszy tabliczkę z napisem „Beechwood”. Nic nadzwyczajnego.

Był to jeden z wolno stojących budynków - wysoki, z szarej cegły, wiktoriański. Zdjąłem okulary, w których prowadzę samochód, i wsunąłem je do skrytki; po czym przetarłem oczy i rozsiadłem się wygodnie, by przez parę chwil uważnie przyjrzeć się domowi.

Niewielki teren od frontu, który najwyraźniej kiedyś był ogrodem, został wybetonowany i przekształcony w parking, lecz nie stał tam żaden samochód. Powiedziano mi, że dom będzie pusty. Nic nie było widać przez okna, odbijał się w nich bowiem oślepiający blask słońca i przez parę denerwujących chwil wydawało mi się, że to sam dom wpatruje się we mnie zza lustrzanych okularów.

Szybko otrząsnąłem się z tego uczucia - wyobrażenia czasami przeszkadza mi w pracy - i sięgnąłem na tylne siedzenie. Czarna teczka nie była duża ani ciężka, ale zawierała większość potrzebnego mi sprzętu. Gdy wyszedłem na chodnik, w powietrzu dał się odczuć pierwszy złudny powiew nadchodzącej zimy. Przechodząca kobieta, której dziecko wołało podskakiwać zamiast iść, rzuciła mi zaciekawione spojrzenie, jakby moja obecność zakłóciła codzienny rytm tego miejsca. Skinąłem jej głową, lecz ten mój gest spowodował, że przestała się mną interesować.

---

<sup>1</sup> Wszystkie cytaty z Biblii zostały zaczerpnięte z tłumaczenia polskiego wydanego przez Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne.

Zamknąwszy samochód przemierzyłem wybetonowany placyk i wspiąłem się po pięciu kamiennych schodkach, prowadzących do frontowych drzwi. Tu zatrzymałem się, postawiłem teczkę przy nogach i poszukałem klucza. Znalazłem go i upuściłem. Przyczepiona doń spłowiła karteczka z adresem trzepotała luźno w powietrzu, gdy podnosiłem klucz i wsunąłem go w zamek. Z jakiegoś powodu zatrzymałem się i nasłuchiwałem, nim otwarłem ciężkie drzwi, zaglądając bezskutecznie przez ołowiowe szkło, wprawione w górną ich część. Ze środka nie dochodziły żadne dźwięki, nie widać było poruszających się cieni.

Nie byłem zdenerwowany ani się nie bałem, gdyż nie widziałem powodu. Przypuszczam, że moje początkowe wahanie wynikało z ostrożności. Puste domy zawsze mnie tak nastrajały. Drzwi otworzyły się i podniósłszy teczkę, wszedłem do środka. Zamknąłem drzwi za sobą.

Promienie słoneczne przeświecały jaskrawo przez ołowiowe szkło drzwi oraz przez okna po obu stronach, rzucając w głąb holu mój wyrazisty cień. Szerokie schody, zaczynające się zaledwie pięć stóp od miejsca, gdzie stałem, ginęły w wyższych partiach domu, a u ich szczytu, z podestu pierwszego piętra, zwisała para nóg.

Jeden but - męski - spadł i leżał na boku w połowie schodów; zauważyłem, że pięta skarpetki była zniszczona, przez przetarty materiał przeświecało różowe ciało. Ściana koło zwisających nóg była skopana i szerniała, jakby nosiła ślady śmiertelnych zmagani. Pamiętam, że upuściłem teczkę i wolno przeszedłem przez hol, wyciągając szyję, nie mając ochoty wspiąć się po schodach, jednocześnie trawiony ciekawością, jak wygląda reszta zwłok. Pamiętam, że zajrzawszy w mrok klatki schodowej zobaczyłem nabrzmiałą twarz nad groteskowo wygiętą szyją i absurdalnie małą, liczącą nie więcej niż trzy cale średnicy pętlę z przewodu elektrycznego, która wrzynała się w ciało” ofiary, jakby ktoś szarpnął je za nogi, by ją zacisnąć. Pamiętam zapach śmierci, który wypełniał dom - nikły, lecz duszący, ulotny, ale przenikliwy. Był świeży, niepodobny do ciężkiego, cierpkiego odoru zleżałych zwłok.

Zacząłem się wycofywać, ale się zatrzymałem, gdy natknąłem się na krawędź otwartych drzwi naprzeciwko schodów. Zdumiony odwróciłem się i zajrzałem do pokoju - byli tam inni, niektórzy leżeli na podłodze, część spoczywała w fotelach, paru siedziało prosto, patrząc przed siebie, jakby mnie obserwowali. Lecz wszyscy byli martwi. Poznałem to nie tylko po zapachu, po niewidzących oczach, po okaleczonych ciałach. Poznałem to po zastygłej atmosferze ciszy samego pokoju.

Odepchnąłem się od drzwi, przywierając plecami do ściany, gdyż nogi nagle się pode mną ugięły. Przystanąłem, słysząc z przodu jakiś ruch i ujrzałem małe drzwiczki pod schodami. Mogłem posuwać się tylko naprzód, ku prześwietlonym słońcem frontowym

drzwiom, nie mając odwagi zagłębić się w otchłań domu. Drzwiczki pod schodami uchyliły się ponownie, bardzo lekko, i zrozumiałem, że porusza nimi przeciąg. Przysunąłem się bliżej, cały czas przyciskając plecy mocno do ściany i wkrótce zrównałem się z otworem. Przemknąłem obok niego i posuwałem się dalej. A potem, z powodów nadal mi nie znanych, otworzyłem drzwi, które trzasnęły o biegnące w górę schody, odbijając się od nich tak, iż znów się przymknęły. Wydawało mi się, że zauważyłem jakiś ruch, ale były to pewnie tylko cienie, umykające przed nagłym światłem.

Jakieś schody prowadziły w dół, prawdopodobnie do piwnicy. Widziałem tam tylko czern, głęboką, niemal materialną ciemność. I to właśnie bardziej z powodu ciemności niż z powodu ciał uciekłem z tego domu...

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Siedziała przy kuchennym stole, samotna, pogrążona w myślach. Wiedziała, że musi spojrzeć prawdzie w oczy: ich wspólne życie nie było szczęśliwe i nigdy nie będzie. Kiedyś pomysł przeprowadzki do nowego domu wydawał się wspaniały; myślała, że własny, prawdziwy dom zmieni ich wzajemne stosunki. Skończą się bezbarwne, wynajmowane mieszkania, w których każda naprawa, każdy remont przysparzał korzyści tylko właścicielowi. Zarysowała się szansa, żeby zbudować coś trwałego, fundament ich związku. Małżeństwo nie miało dla niej znaczenia, nigdy go do tego nie nakłaniała. Ale dom potrzebny był dla dzieci...

Skorzystali z okazji kupna placu, gdyż ceny nieruchomości stale szły w górę, zatrzymując się nieraz przez parę miesięcy na niewiarygodnie wysokim poziomie, aby później znów nieubłaganie rosnąć. Wahali się, czy spytać ponownie agenta o cenę, obawiając się, że zauważy swój błąd i podwyższy ją o trzy lub cztery tysiące. Potwierdził podaną wcześniej sumę.

Richard był trochę podejrzliwy, ale ona szybko zgodziła się na ofertę firmy. Jeżeli nawet wyszłyby na jaw jakieś ukryte usterki, przynajmniej był to dla nich początek nowego życia. Poza tym, to głównie z jej oszczędności zapłacą dziesięć procent wartości domu, których żąda przedsiębiorstwo budowlane. Poprzedni właściciele już się wynieśli - „Wyjechali za granicę”, powiedział agent wprowadzili się zatem w ciągu miesiąca. Nie upłynęło wiele czasu, gdy zaczęły do nich docierać dziwne pogłoski.

Spojrzała na pusty pojemnik po diazepamie, leżący przed nią na stole. Podniosła i zgmiotła w palcach plastikową tubkę. Rano było w niej jeszcze siedem tabletek. Wytrwale zmniejszała ilość zażywanego valium, stopniowo wychodząc z depresji, w którą popadła

sześć miesięcy temu, spychając wspomnienia głęboko w podświadomość, stawiając czoło rzeczywistości. Ale Richard nie zmienił się. Jej próba targnięcia się na własne życie tylko na krótko rozładowała napięcie - niebawem wrócił do dawnych przyzwyczajęń. Pretekstem był teraz dom, ulica, otoczenie. To miejsce niepokoiło go, ludzie byli wrogo usposobieni. Inni wyprowadzali się - przynajmniej trzy rodziny w ciągu dwóch miesięcy, odkąd tu zamieszkali. Coś złego działo się na tej ulicy.

Ona też to czuła, niemal od samego początku, ale ożywiona nową nadzieją tłumiała narastający niepokój. Przecież wszystko miało się zmienić na lepsze, a działo się coraz gorzej. Zawsze często zaglądał do kieliszka, co było uciążliwe, ale mogła to jakoś znieść. Pracując w galerii sztuki musiał pić ze swoimi klientami. Kobiety, z którymi czasami sypiał, nie interesowały jej - wiedziała, że na niewiele go stać, wątpiła nawet, czy on sam był z tego zadowolony. To jego rozgoryczenie uniemożliwiało ich wspólne życie.

Gniewało go, że został schwytyany w sidła odpowiedzialności za posiadanie domu, miał pretensje do przedsiębiorstwa budowlanego za to, że jest zadłużony, gniewały go stawiane mu wymagania fizyczne i psychiczne. Był rozgoryczony faktem, że przyczynił się do jej załamania nerwowego.

Teraz, kiedy jego rozgoryczenie przerodziło się w fizyczną agresję, a ona musiała znosić jej skutki - siniaki, ślady podrapań - wiedziała, że to się musi skończyć, związek ten nie miał sensu. Chociaż nie byli małżeństwem, dom był ich wspólną własnością. Ale kto miał go opuścić? Czy to ona miała odejść z niczym po czterech latach udreki? Wiedziała, że jeśli będzie nalegał, nie potrafi mu się przeciwstawić. Cisnęła pustą tubkę na kuchenny stół. Pigułki wcale nie pomagały.

Wstała, krzesło zazgrzytało nieprzyjemnie o wyłożoną płytkami podłogę, i szybko podeszła do zlewu. Gdy napełniała imbryk, woda, rozpryskując się gwałtownie o metalową krawędź, ochlapała jej bluzkę. Zaklęła stawiając czajnik na fajerce. Zapaliła gaz i sięgnęła po otwartą paczkę papierosów, leżącą na desce do krojenia chleba. Chwyciła jednego, przytknęła koniec do płomienia, szybko włożyła do ust i zaciągnęła się głęboko, żeby się rozpalił. Jej palce, bębniące w aluminiową suszarkę, w miarę uderzeń stawały się coraz bardziej sztywne. Zaczęła walić pięścią, coraz mocniej i mocniej, dźwięk odbijał się echem w niewielkiej kuchni. Przerwała, gdy łza stoczyła się po jej twarzy na okrytą cienką tkaniną pierś; to jedno wilgotne dotknięcie bardziej wytrąciło ją z równowagi niż strumień wody, którym oblała się parę minut wcześniej. Ale jedna łza to było wszystko, na co mogła sobie pozwolić. Zdecydowanie przetarła ręką oczy, następnie zaciągnęła się głęboko papierosem, wyglądając przez okno na ulicę, na której pojedyncze kałuże odbijały srebrne refleksy światła. Czy wróci

dzisiaj do domu? Nie była już nawet pewna, czyjej na tym zależy. Napije się kawy i pójdzie do łóżka; tam zdecyduje, co dalej robić.

Zapaliła następnego papierosa - ostatniego, jak zauważyła ze zdziwieniem - zanim wzięła kawę i przeszła przez kuchnię w kierunku schodów prowadzących do sypialni. Dom był dwupiętrowy, na parterze garaż i warsztat na zapleczu, na pierwszym piętrze kuchnia i salon połączony z jadalnią, a na drugim - dwie sypialnie i łazienka. Zatrzymała się u szczytu schodów wiodących do drzwi wejściowych: czy powinna je przed nim zamknąć? Spiralne wstęgi pary unosiły się z kawy, gdy rozmyślała nad tym. Zdecydowanie weszła na najwyższy stopień; podjęła decyzję, i równie zdecydowanie chwyciła mocno poręcz. Na dole było ciemno.

Zazwyczaj blask lamp ulicznych przedostawał się przez szybki w drzwiach, rozjaśniając rozproszonym światłem niewielki hol. Teraz panowała tam nieprzenikniona ciemność. Dziwnie, z kuchni nie zauważyła, że lampy się nie świecą. Odwróciwszy się gwałtownie, przytknęła włącznik światła na dole. Nic się nie stało, ale nagły ruch sprawił, że gorąca kawa oblała jej palce. Zszokowana wciągnęła gwałtownie powietrze, szybko przełożyła kubek do drugiej ręki i wsadziła poparzone palce do ust, by zliczać gorący płyn. Pod wpływem tego bólu uświadomiła sobie nagle, na jakie cierpienia się narazi, jeśli zamknie drzwi przed Richardem. Cofnęła się na podest i zaczęła schodzić na dół; jej udręczony umysł nie zauważył jasnego światła latarni ulicznej, wpadającego przez okno holu.

Pinky Burton był wciąż wściekły. Chłopcy z domu naprzeciwko nie mieli prawa obrzucać go takimi wyzwiskami. Byli tylko zwykłymi krostowatymi gburami, darmozjadami. Nie mógł zrozumieć, dlaczego w ogóle zawracał sobie głowę tym młodszym, chcąc się z nim zaprzyjaźnić, tym z długimi, złotymi lokami. Złotymi, dokładnie rzecz biorąc, kiedy zechciało mu się umyć te swoje niesforne kudły. Nie mieli żadnego szacunku dla starszych, nawet dla własnego ojca. Ojca? O Boże, nic dziwnego, że chłopcy byli tak agresywni, mając za ojca tego olbrzymiego, gruboskórnego brutalą. Trudno się dziwić, że żona tego bydlaka uciekła parę lat temu. Z pewnością nie mogła znieść żadnego z nich.

Kiedyś, zanim wprowadziła się ta hołota, była to miła, porządna ulica. Pamiętał, że trzeba było mieć duże pieniądze, żeby tu mieszkać, i każda rodzina była godna szacunku. I szanowała innych. Tych dwóch uliczników z pewnością nie ma dla niego żadnego szacunku. Co za nonsensowny pomysł, że miałby zawracać sobie głowę i tracić czas na śledzenie ich. Może patrzył na nich czasami, gdy pracowali rozebrani do pasa przy motocyklu starszego. I co z tego?

Zawsze, od czasu służby w RAF-ie, interesował się maszynami. Ten młodszy, na początku, nie był taki zły - przynajmniej można było z nim pogadać, ale ten drugi sukinsyn, ten szyderca, na pewno miał wpływ na brata. Jak śmieli sugerować... tylko dlatego, że człowiek... swoją drogą, jak się o tym dowiedzieli?

Pinky przekręcił się na łóżku i przykrył aż po uszy. Ulica nappełniała go odrazą. Nigdy przedtem tak nie było. Na jednym końcu paskudne, nowoczesne pudełka, które nazywają domami, na drugim - stare, większe domy w opłakanym stanie, zamieniające się w ruinę; i tłustowłosi chuligani jak ci dwaj, jeżdżący całą noc na ryczących motorowerach. Cóż z tego, że jest ich tylko dwóch i mają tylko jedną maszynę, ale i tak robią tyle hałasu, jakby ich było ze dwunastu albo i więcej. I jeszcze przy tej samej ulicy był ten dom, duży, jednorodzinny - co do licha mogło spowodować coś takiego? Absolutnie nie do wiary. Absolutnie szalonego. Znak czasów. Każdego dnia coraz to nowe, gorsze okrucieństwa. Warto się zastanowić, czy pozostało na świecie jeszcze trochę dobra. Ale nic nie mogło dorównać bestialstwu, z jakim spotkał się w... nawet w myślach Pinky ciągle z trudem formułował to słowo. Dlaczego tam go posłali? Czy nie zrobił dostatecznie dużo dla kraju w czasie ostatniej wojny? Czy trzeba było ukarać go aż tak srogo za jedno wykroczenie? Przecież nie wyrządził dziecku krzywdy. Ono naprawdę nie cierpiało. No dobrze, były jeszcze inne, mniejsze przestępstwa - drobne potknięcia z jego strony. Nikogo jednak nie skrzywdził. To poniżenie w tamtym... miejscu. Zwyrrodnialcy. Zdeprawowani, znęcający się nad słabszymi. Żeby wsadzić człowieka takiego jak on razem z takimi zwierzętami! I kiedy zwolniono go po miesiącach, które dla niego ciągnęły się jak tysiące lat, utracił swoją pozycję w klubie. Żaden z członków nie przyszedł mu z pomocą i nie wstawił się za nim, by został szefem baru. Nie, potraktowali go oziębło; oni i ich cholerne tweedowe garnitury i popołudniowy golf, ich cholerne cocker-spaniele i żony o zaskorupiałych dupach! Ludzie, których znał przez lata, mówili teraz o nim obrzydliwe, złośliwe rzeczy. Dzięki Bogu, że matka opuściła dom - dzięki Bogu, że umarła, zanim to się stało. Szok zabiłby ją. Nigdy nie mógłby sobie pozwolić na takie mieszkanie za te nędzne grosze, które zarabiał jako barman na pół etatu. Fakt, że znalazł się na liście przestępców seksualnych, był dla niego upokarzający. Jeżeli jakkolwiek czyn o podłożu seksualnym zostanie popełniony w okolicy, może być pewien wizyty policji. Rutynowe dochodzenie - mówili zawsze. Ale dla niego to nie była cholerna rutyna!

Przekręcił się niespokojnie na plecy i wpatrywał z nienawiścią w jasny deseń na suficie. Mgliste kształty drżały, gdy powiew wiatru poruszał liście na drzewie za oknem, nadając plamom światła padającego z ulicznej latarni żywe, podobne do embrionów kształty. Pinky zaklął na ten widok.

Szyderstwa, szelmowskie insynuacje tych dwóch prostaków z ulicy tego dnia dotknęły go boleśnie. Inni sąsiedzi zawsze traktowali go z szacunkiem, zawsze grzecznie się odkłamałi, nigdy nie wścibiali nosa w jego sprawy. Ale te... te męty wykrzykiwały swoje świństwa tak, aby cały świat słyszał; śmiali się z niego, kiedy dla świętego spokoju uciekał do domu. Nie był pewien, czy potrafiłby inaczej zareagować. Ale jutro powiadomi policję o hałasie, jakiego narobili swoją piekielną maszyną. W dalszym ciągu był obywatelem tego miasta i przysługiwały mu jakieś prawa. Kiedyś popełnił błąd, ale nie oznacza to, że je utracił! Zagryzł wargi i zdławił łkanie. Wiedział, że nigdy z własnej woli nie odważyłby się pójść znowu na policję. Ci gówniarze, ci brudni, mali, długowłosi gówniarze!

Pinky mocno zamknął oczy, a kiedy je otworzył, zdziwił się, dlaczego zrobiło się tak ciemno i dlaczego zniknął deseń na suficie.

Kłęcząca na łóżku - niewielka, skulona postać. Susie była mała jak na swoje jedenaście lat, ale czasami jej oczy miały chytre spojrzenie kogoś o wiele starszego. Innym znów razem wyczierała z nich całkowita pustka. Mechanicznie szarpała za włosy swoją lalkę Cindy, srebrne kosmyki spadały na jej kolana. Zwierzęta na obrazkach za szkłem, ilustracje z książek Beatrix Potter, przyglądały się jej bezmyślnie z niebieskich ścian małej sypialni, obojętne na ostry trzask, z jakim wyrwała plastikowe ramię z ciała lalki. Malutka rączka odbiła się od królika Piotrusia i głośno stuknęła upadając na podłogę. Susie szarpnęła za drugą rączkę i rzuciła ją w kierunku zamkniętego okna. Upadła na skrzynkę z zabawkami pod oknem i leżała tam, wyciągnięta w błagalnym geście, skręcona na swoim obrotowym przegubie.

- Niegrzeczna dziewczynka, Cindy - gderła Susie z tłumionym gniewem. - Nie wolno gapić się, kiedy siedzisz przy obiedzie! Mama nie lubi tego.

Twarz lalki nie zmieniała się, gdy Susie ciągnęła i szarpała jej nogę.

- Mówiłam ci tyle razy. Nie wolno ci głupio się uśmiechać, kiedy beszta cię wujek Jeremy! On tego nie lubi, to go złości. To także złości mamę. - Noga odpadła z sykiem i została rzucona w kierunku drzwi. - Wujek Jeremy odejdzie i zostawi mamusię, jeśli nie będziesz go słuchała. Wtedy mamusia odeśle mnie. Znowu powie lekarzom, że źle się zachowywałam. - Susie wciągnęła głęboko powietrze, próbując wyrwać drugą nogę, a kiedy jej wysiłek został nagrodzony, jej mała figurka rozluźniła się, przyjmując wygodną pozycję.

- Mam cię teraz! Nie będziesz już mogła uciec i nie będziesz mogła psocić. - Susie uśmiechnęła się z triumfem, ale radość trwała krótko. - Nienawidzę tamtego miejsca, Cindy! Jest okropne. Lekarze i pielęgniarki też są okropni. Nie chcę tam wracać. - Oczy jej napełniły się łzami, a twarz wykrzywiła się w mściwej złości. - On i tak nie jest moim wujkiem. On oczekuje tylko pieścizot od mojej mamy. Nienawidzi mnie i mojego taty. Dlaczego tata nie



wraca, Cindy? Dlaczego on także mnie nienawidzi? Nie dotknę już nigdy zapalek, jeśli on wróci, Cindy. Obiecuję, że nie dotknę.

Kołysząc się na kolanach gwałtownie przytuliła do siebie pozbawioną kończyn lalkę.

- Wiesz, że nie zrobiłabym tego, prawda, Cindy? Wiesz, że nie. - Lalka nie odpowiadała i Susie odrzuciła ją z obrzydzeniem. - Ty nigdy nie odpowiadasz, ty niezdolna dziewczyno! Ty nigdy nie mówisz, że mnie kochasz!

Pociągnęła za piękną, plastikową głowę drżącymi z wysiłku rękami, krzyk narastał jej w gardle. Stłumiła go, kiedy głowa odpadła, i zaśmiała się, rzucając ją gwiazdom za oknem. Jej ciało zeszywniało, gdy głowa lalki odbiła się od szyby i potoczyła po podłodze. Na kilka sekund wstrzymała oddech i nasłuchiwała, czy na korytarzu nie rozlegną się ciężkie kroki. Odetchnęła z ulgą, kiedy nie doszedł jej żaden dźwięk. Oboje spali. On z nią, w łóżku taty. Ta myśl znowu ją rozżłościła. Nie wystarczały mu tylko pieszczoty. Robił też inne rzeczy. Wiedziała; słyszała i widziała to.

Susie zeskoczyła z łóżka i ostrożnie, by w ciemności nie potknąć się o zabawki porozrzucane w sypialni, przeszła do okna. Uważnie przyjrzała się szybie, o którą uderzyła głowa lalki, szukając pęknięcia rysującego się w świetle gwiazd. Stłuczona szyba oznaczałaby kolejne nieszczęście. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła, że nic się nie stało.

Przycisnąwszy twarz do okna, starała się przeniknąć wzrokiem mrok ogrodu na dole. Spędziła w ten sposób większą część lata, kiedy nie była w szkole specjalnej; jak więzień, któremu nie pozwala się samodzielnie wychodzić. Susie zobaczyła tylko klatkę na króliki, zniszczoną i pustą; nie rozumiała, dlaczego zabrano stamtąd zwierzęta. Te małe były wspaniałe, cudownie się je nosiło i ścisnęło. Być może, gdyby nie ścisnęła ich tak mocno, mogłaby je sobie zatrzymać.

Wróciła do łóżka i usiadła na nim ze skrzyżowanymi nogami, obejmując ramionami podniesione kolana. Dookoła niej leżały zwinięte koce. Jeżeli wujek Jeremy odejdzie, to może tata wróci. Będą znowu mieszkali razem i znów będą szczęśliwi, tak jak przedtem. Jak w czasach, gdy nie była jeszcze naprawdę niezdolna. Zanim zaczęły się kłopoty.

Susie położyła się na łóżku i naciągnęła na siebie koc. Chwyciła jego jedwabny brzeg i pocierała nim rytmicznie o policzek, wpatrując się w granatową noc obramowaną okienną futryną. Jedna, druga - zaczęła liczyć gwiazdy, zdecydowana, by tym razem przed zaśnięciem policzyć wszystkie, widoczne w prostokącie okna. I jedna po drugiej, gdy cichutko odliczała, gwiazdy znikwały, aż ciemność wypełniła framugę okienną.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Bishop dyskretnie zerknął na zegarek i z ulgą stwierdził, że dwugodzinny wykład dobiega końca. Zwykła mieszanina ludzi, pomyślał cierpko. Większość z nich śmiertelnie poważna, kilku po prostu ciekawych, jeden, może dwóch sceptyków. I oczywiście główny temat spotkania. Uśmiechnął się zdawkowo do zebranych w małej sali wykładowej.

- Tak więc, jak widać ze spisu wyposażenia zamieszczonego na tablicy, parapsychologia - nauka o zjawiskach parafizycznych - posługuje się bardziej techniką niż wątpliwymi, jeśli można tak powiedzieć, niepewnymi metodami spirytystycznymi. Badania naukowe zazwyczaj więcej mogą powiedzieć o dziwnych zjawiskach w domu niż wprowadzanie w trans.

Z drugiego rzędu czyjaś ręka nerwowo wystrzeliła w górę. Bishop zauważył, że mężczyzna miał kołnierzyk duchownego.

- Czy mogę zadać pytanie? - rozległ się nerwowy głos.

Wszystkie oczy skierowały się na duchownego, który nie odwracał wzroku od Bishopa, jak gdyby zakłopotany swoją tu obecnością.

- Proszę bardzo! - zachęcił go Bishop. - Właściwie ostatnich dziesięć minut możemy poświęcić dyskusji na interesujące państwa tematy.

- Chodzi o to, czy dla kogoś, kto zajmuje się zjawiskami paranormalnymi czy parafizycznymi...

- Nazwijmy to poszukiwaniem duchów, tak będzie prościej - powiedział Bishop.

- Dobrze, poszukiwaniem duchów. A więc, nie powiedział pan jasno, czy rzeczywiście wierzy pan w duchy? Bishop uśmiechnął się.

- Prawdą jest, że zajmuję się parapsychologią od paru lat, ale w dalszym ciągu nie mam pewności. Oczywiście, spotykam się od czasu do czasu ze sprawami nie dającymi się wytłumaczyć, ale nauka odkrywa codziennie nowe fakty dotyczące naszych własnych możliwości. Ktoś powiedział, że mistycyzm to nauka jutra, o której śnimy dzisiaj. Myślę, że powinienem rozwinąć ten temat. Wiemy, na przykład, że skoncentrowana czy nawet często podświadoma myśl może przesuwac przedmioty. Naukowcy na całym świecie, szczególnie w Rosji, prowadzą badania sił psychokinetycznych. Przed laty nazwano by to czarami.

- Ale jak pan może wytłumaczyć, że tyle osób widzi duchy - zapytała przystojna, pulchna kobieta w średnim wieku. - Teraz jest wiele takich przypadków, prawie codziennie słyszy się o tym.

- Prawdopodobnie nie codziennie, ale notuje się dwieście do trzystu przypadków rocznie, a zapewne drugie tyle nie jest zarejestrowanych. Jedna z wielu teorii zakłada, że duchy wywołuje ktoś, kto przeżywa stres, umysły takich ludzi wysyłają impulsy elektryczne

w taki sposób, w jaki wysyła je serce, i te impulsy w szczególnych okolicznościach są później odbierane.

Zdziwienie na twarzy kobiety i paru innych słuchaczy uświadomiło Bishopowi, iż jego wywód nie był zbyt jasny.

- To jest tak, jakby obraz powstały w umyśle jakiegoś człowieka został przezeń wysłany, a następnie odebrany przez kogoś o zdolnościach odbiorczych. Tak jak telewizor. To wyjaśnia, dlaczego zjawy są często niewyraźne, spłowiełe albo dlaczego czasami pojawiają się tylko twarze lub ręce: obrazy czy transmisje, jeśli wolicie, zacierają się, zanikają, aż wreszcie nic z nich nie zostaje.

- Co zatem z miejscami, w których straszy od wieków? - spytał młody, brodaty mężczyzna z pierwszego rzędu, agresywnie wychylając się przy tym do przodu. - Dlaczego duchy wciąż się tam ukazują?

- Może tu zachodzić zjawisko odradzania się: transmisja, czy też zjawy, pobiera energię z ładunków elektrycznych, które nas otaczają. To może tłumaczyć pojawienie się widma. Może ono „żyć” przez czas nieokreślony, tak długo, jak jego obraz widziany jest przez innych: duch to właściwie fale telepatyczne, obraz stworzony w umysłach ludzi żyjących dni, lata lub nawet wieki wcześniej i przenoszony przez umysł, czy też umysły, innych ludzi żyjących dzisiaj.

Bishop westchnął w duchu: widział, że traci ich zainteresowanie. Nie oczekiwali tego, że o upiorach będzie mówił jak o zjawisku naukowym. Chcieli uczynić ten temat bardziej romantycznym, szerzej ująć jego aspekt mistyczny. Nawet sceptycy wyglądali na rozczarowanych.

- Przypisuje pan to zatem elektryczności? - Brodaty mężczyzna w pierwszym rzędzie wyprostował się i założył ręce, uśmiechając się z ledwo widocznym wyrazem zadowolenia z siebie.

- No nie, niezupełnie. Ale ładunki elektryczne oddziałujące na tkanki nerwowe mózgu mogą spowodować, że widzimy ciała lub słyszymy głosy. Wydaje się, że ładunek przekazany odpowiednim receptorom w mózgu może stworzyć obraz zjawy. Proszę pamiętać, że mózg działa dzięki impulsom elektrycznym i również impulsami elektrycznymi jesteśmy otoczeni. Impulsy są wychwytywane z powietrza przez nasze zmysły, które działają na zasadzie odbiorników. Nie jest to trudna do zrozumienia koncepcja. Może słyszeliście o zjawach pojawiających się w momentach kryzysowych, kiedy ktoś widzi obraz swego przyjaciela lub krewnego przeżywającego dramatyczne chwile, prawdopodobnie umierającego, gdzieś daleko. Bywa, że w tym samym momencie słyszy się także głos.

Kilka osób pokiwało głowami potakująco.

- Można to wytłumaczyć tym, że człowiek, który przeżywa głęboki stres, myśli o najbliższej osobie, a może ją nawet przyzywa. W takich chwilach fale mózgowe są niezwykle aktywne - co zostało udowodnione przez badania elektroencefalograficzne. Kiedy osiągną pewien poziom, obraz telepatyczny może być przenoszony albo do odbiorcy, albo do atmosfery. Nauka w nieprawdopodobnym tempie odkrywa nowe fakty dotyczące możliwości naszego mózgu. Podejrzewam, że pod koniec stulecia mistycyzm i nauka będą stanowiły jedno. Nie będzie czegoś takiego jak „duchy”.

Cichy pomruk przeszedł wśród zebranych, którzy spoglądali na siebie ze zdumieniem, rozczarowaniem lub satysfakcją.

- Panie Bishop - z tylnego rzędu dobiegł głos kobiety i Bishop zmrużył oczy, by lepiej ją widzieć. - Panie Bishop, nazywa się pan poszukiwaczem duchów. Czy mógłby pan nam zatem powiedzieć, dlaczego spędził pan tyle lat na poszukiwaniu impulsów elektrycznych?

Kaskada śmiechu rozległa się wśród słuchaczy i Bishop śmiał się razem z nimi. Postanowił, że odpowiedzią na to pytanie zakończy wykład.

- Zajmuję się poszukiwaniem duchów, ponieważ uważam, że mają one szczególne znaczenie naukowe. Wszystkie zjawiska można racjonalnie wytłumaczyć - chodzi po prostu o to, że nie jesteśmy jeszcze wystarczająco przygotowani, by zrozumieć to wyjaśnienie. Musimy przywiązywać wagę do każdej informacji, którą możemy wykorzystać, aby otrzymać ostateczną odpowiedź. Ludzkość znajduje się w szczególnie interesującym stadium rozwoju, w którym nauka i zjawiska paranormalne zbliżają się do wspólnego punktu. Osiągnęliśmy moment, w którym parapsychologia musi być traktowana poważnie i badana logicznie przy użyciu najnowszych zdobyczy techniki. Nie możemy już dłużej tolerować głupców, romantyków, oszustów, a tym bardziej nie możemy tolerować szarlatanów i zawodowych wywoływaczy duchów, czy też mediów wykorzystujących ignorancję i rozpacz innych. Przełom nastąpi już wkrótce i nie można pozwolić, aby tacy ludzie stanowili w tym przeszkodę.

Ostatnie słowa wywołały nikły aplauz słuchających. Podniósł rękę, aby dać znak, że jeszcze nie skończył.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Wiele osób przeżyło emocjonalny wstrząs lub przestraszyło się zjawisk paranormalnych, na przykład pojawienia się „upiorów”; jeżeli mógłbym im pomóc, sprawiając, by zrozumieli takie zdarzenia, a nie bali się ich, to już tylko to usprawiedliwiłoby moją pracę. Mam tu listę organizacji zajmujących się badaniami fizycznymi, studiami nad parapsychologią, grup badających zjawiska metafizyczne i

postrzeganie pozazmysłowe oraz tradycyjnych organizacji, zajmujących się poszukiwaniem duchów. Jest tu także parę adresów, pod którymi możecie znaleźć sprzęt do poszukiwania duchów. Proszę, zapoznajcie się z tym tekstem, zanim się rozejdziecie.

Odwrócił się, złożył notatki i schował je do teczki. Jak zwykle, po dwóch godzinach mówienia miał wyschnięte gardło i myślał jedynie o dużym kuflu piwa, który przyniósłby mu ulgę. Słabo znał miasto, ale miał nadzieję, że puby są tu przyzwoite. Przede wszystkim jednak powinien przemknąć się jak najszybciej między dwoma rzędami krzeseł, bo zawsze po wykładzie znajdowali się jacyś zapaleńcy, chętni do kontynuowania rozmowy na bardziej osobiste tematy. Pierwszy podszedł kierownik, który zorganizował serię spotkań w sali wykładowej biblioteki miejskiej.

- Bardzo interesujące, panie Bishop. Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu, jak tylko wieść się rozejdzie, audytorium będzie jeszcze większe.

Bishop uśmiechnął się cynicznie. Sądząc po rozczarowaniu, jakie wyczytał z niektórych twarzy, zastanawiał się, czy przyjdzie chociaż połowa z obecnych dzisiaj.

- Obawiam się, że nie usłyszeli tego, czego się spodziewali - powiedział, nie próbując się usprawiedliwić.

- O nie, wręcz przeciwnie. Myślę, że wielu uświadomiło sobie, jak poważna jest to sprawa - odparł bibliotekarz i zatarł ręce z radości. - Muszę powiedzieć, że pobudził pan moją ciekawość. Chciałbym opowiedzieć o dziwnym zdarzeniu, które przytrafiło mi się parę lat temu...

Bishop słuchał uprzejmie, zdając sobie sprawę, że zanim będzie mógł stąd wyjść, musi wysłuchać jeszcze kilkunastu relacji z „dziwnych zdarzeń”, których świadkami były inne, pozostałe w sali osoby. Jako autorytet w tej materii, przez świadków prawdziwych lub zmyślonych zjawisk stale był traktowany jak spowiednik. Otoczyła go niewielka grupka, odpowiadał na ich pytania i zachęcał do samodzielnych, poważnych badań nad zjawiskami paranormalnymi. Przypominał, aby trzeźwo podchodzili do sprawy i zachowali równowagę między wiarą a sceptycyzmem. Jedna czy dwie osoby wyraziły zdziwienie z powodu jego powściągliwości i Bishop wyjaśnił im, że w swoich badaniach kierował się zawsze obiektywizmem. Fakt, iż parę lat temu pewien amerykański uniwersytet zaoferował osiemdziesiąt tysięcy funtów każdemu, kto udowodni, że istnieje życie pozagrobowe, i że suma ta do tej pory nie została podjęta, ma swoją wymowę. Było wiele przesłanek, ale zabrakło zasadniczego dowodu i mimo że sam wierzy w kontynuację życia po śmierci w jakiejś formie, w dalszym ciągu nie jest pewien, czy istnieje świat duchów, w takim sensie, w jakim ujmuje się go w dawnych i obecnych koncepcjach. Kiedy to mówił, zobaczył siedzącą

samotnie z tyłu sali kobietę, która w czasie wykładu zadała ostatnie pytanie. Zaciekawilo go, dlaczego nie dołączyła do grupy. W końcu zdołał uwolnić się od swoich inkwizytorów, mamrocząc, że ma przed sobą daleką podróż jeszcze tej nocy, a na resztę pytań odpowie na następnym wykładzie. Z teczką w ręku szybko ruszył w stronę wyjścia przejściem między ławkami. Kobieta natarczywie wpatrywała się w niego i gdy podszedł bliżej, wstała.

- Czy mogłabym z panem przez chwilę porozmawiać, panie Bishop?

Bishop spojrzal na zegarek, jak gdyby był umówiony na spotkanie.

- Naprawdę nie mam teraz czasu. Może w przyszłym tygodniu...?

- Nazywam się Jessica Kulek. Mój ojciec, Jacob Kulek, jest...

- Jest założycielem i dyrektorem Instytutu Badań Parapsychologicznych.

Bishop zatrzymał się i spojrzal uważnie na zbliżającą się kobietę.

- Słyszał pan o nim? - spytała.

- Któż zajmujący się tą dziedziną mógłby o nim nie słyszeć! Przecież to on pomógł profesorowi Deanowi przekonać Amerykańskie Stowarzyszenie Popierania Nauki, aby przyjęto parapsychologów w poczet jego członków. To był gigantyczny krok naprzód, zmuszający naukowców z całego świata, aby poważniej traktowali zjawiska paranormalne. Przydało to wiarygodności całej sprawie.

Obdarzyła go wspianym uśmiechem, a on zauważył, że była o wiele młodsza i bardziej atrakcyjna, niż wydawało mu się z daleka. Jej włosy, ani ciemne, ani jasne, były krótkie i z tyłu podwinięte, grzywka wysoko i starannie przycięta nad czołem. Była ubrana w stylowy, dobrze skrojony tweedowy kostium, który podkreślał jej szczupłą sylwetkę, chyba nawet za szczupłą, bo wydawała się bardzo wiotka, niemal krucha. Pociągła twarz sprawiała, że oczy wydawały się większe, jej usta były małe, ale pięknie zarysowane, jak u dziecka. Sprawiała teraz wrażenie niezdecydowanej, wręcz zdenerwowanej, ale czuł, że jest w niej jakaś determinacja zadająca kłam jej wyglądowi.

- Mam nadzieję, że moje uwagi nie uraziły pana - powiedziała z powagą.

- Poszukiwanie impulsów elektrycznych? Nie, nie obraża mnie pani. W pewnym sensie ma pani rację. Połowę czasu poświęcam na szukanie impulsów, drugą - spędzam na szukaniu ciągów powietrznych, miejsc, gdzie osiada ziemia, i cieków wodnych.

- Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać gdzieś na osobności? Czy zostaje pan tu na noc? Może w hotelu? Uśmiechnął się.

- Obawiam się, że moje wykłady nie są aż tak dobrze płatne, abym mógł sobie pozwolić na noclegi w hotelach. Nic by mi wtedy nie zostało z tego, co zarobiłem. Nie, muszę dzisiaj wracać do domu.

- To jest naprawdę bardzo ważne. Mój ojciec prosił, abym się z panem zobaczyła.

Bishop zastanowił się chwilę nad odpowiedzią. W końcu spytał:

- Może mi pani powiedzieć, o co chodzi?

- Nie tutaj. Zdecydował się.

- W porządku. Chciałem pójść na drinka przed podróżą, może napijemy się razem?

Lepiej wyjdźmy stąd szybko, zanim ten tłum rzuci się na nas.

Wskazał na pozostającą jeszcze w sali grupę rozmawiających ludzi, którzy z wolna przesuwali się w stronę przejścia. Bishop wziął ją pod rękę i poprowadził do wyjścia.

- Ma pan trochę cyniczny stosunek do swojego zajęcia, nieprawdaż? - powiedziała, gdy schodząc po schodach opuszczali bibliotekę, a zimny, nocny kapuśniaczek chłodził im twarze.

- Tak - odpowiedział szorstko.

- Może mi pan powiedzieć, dlaczego?

- Najpierw znajdziemy jakiś pub i schowajmy się przed deszczem. Wtedy odpowiem na pani pytanie.

Szli pięć minut w milczeniu, zanim ujrzeli zachęcający szyld pubu. Weszli do środka i znaleźli wolny stolik w rogu sali.

- Czego się pani napije? - spytał.

- Poproszę o sok pomarańczowy.

W jej głosie słychać było lekką nutkę wrogości.

Wrócił z napojami, postawił przed nią sok i opadł na krzesło z westchnieniem ulgi. Pociągnął duży łyk piwa, by zaspokoić pragnienie, i spojrzał na nią.

- Zna pani badania ojca? - spytał.

- Tak, pracuję z nim. Miał pan odpowiedzieć na moje pytanie. Jej upór irytował go.

- Czy to jest ważne? Czy ma to coś wspólnego z prośbą pani ojca, dotyczącą naszego spotkania?

- Nie, jestem po prostu ciekawa. To wszystko.

- Nie jestem cyniczny w stosunku do tego, co robię. Zachowuję się cynicznie wobec ludzi, z którymi się spotykam. Większość z nich to albo głupcy, albo ludzie szukający rozgłosu. Nie wiem, którzy są gorsi.

- Ale ma pan świetną opinię jako badacz zjawisk psychicznych. Dwie pana książki na ten temat należą do żelaznych pozycji księgozbioru każdego studenta interesującego się zjawiskami paranormalnymi. Jak pan może szydzić z ludzi, którzy wykonują ten sam zawód co pan?

- Ja z nich nie szydę. Pogardzam fanatykami, idiotami fetyszy żującymi mistycyzm i głupcami, którzy czynią z tego religię. Współczuję ludziom, na których żerują. Jeżeli przeczyta pani moje książki, to przekona się pani, że kieruję się realizmem i jestem daleki od mistycyzmu. Na litość boską, przed chwilą mówiłem dwie godziny na ten temat!

Wzdrygnęła się, słysząc jego podniesiony głos, toteż od razu pożałował swego zniecierpliwienia. Gdy odezwała się ponownie, wargi jej drżały od tłumionej złości.

- Dlaczego zatem nie robi pan czegoś bardziej konstruktywnego w tej materii? Towarzystwo Badań Psychiczych i inne organizacje proponowały panu członkostwo, pańska współpraca byłaby dla nich nieoceniona. Jako poszukiwacz duchów, jeśli lubi pan tak siebie nazywać, należy pan do najbardziej zaawansowanych w tej dziedzinie, zapotrzebowanie na pańskie usługi jest ogromne. Dlaczego więc odłączył się pan od swoich kolegów po fachu, którzy przecież mogliby panu pomóc?

Bishop przechylił się do tyłu na krześle.

- Sprawdza mnie pani - powiedział wprost.

- Tak, ojciec mnie o to prosił. Przepraszam, panie Bishop. Nie mieliśmy zamiaru być wścibscy. Chcieliśmy tylko dowiedzieć się czegoś więcej o pańskiej przeszłości.

- Czy nie nadszedł czas, aby powiedziała mi pani, dlaczego tu przyszła? Czego oczekuje ode mnie Jacob Kulek?

- Pańskiej pomocy.

- Mojej pomocy? Jacob Kulek chce mojej pomocy? Dziewczyna przytaknęła i Bishop zaśmiał się głośno.

- To naprawdę mi pochlebia, panno Kulek, nie sądzę jednak, abym mógł poszerzyć wiedzę pani ojca na temat zjawisk psychicznych.

- On nie oczekuje tego od pana. Chodzi o inny rodzaj informacji. Przysięgam panu, że jest to bardzo ważne.

- Ale nie tak ważne, żeby sam przyszedł do mnie. Utkwiła wzrok w szklance.

- Teraz to nie jest takie proste. Chciał przyjść, ale przekonałam go, że uda mi się namówić pana na spotkanie.

- W porządku - powiedział Bishop. - Zdaję sobie sprawę, że musi być bardzo zajęty.

- Och, nie. Nie o to chodzi. Wie pan, on jest niewidomy. Nie chcę, żeby podróżował, dopóki nie jest to absolutnie konieczne.

- Nie wiedziałem. Przepraszam, panno Kulek. Nie chciałem być gruboskórny. Jak długo...?



- Sześć lat. Chroniczna jaskra. Struktura nerwów została poważnie uszkodzona, zanim postawiono diagnozę. Za późno zgłosił się do specjalisty - zaburzenia wzroku kładł na karb podeszłego wieku i ciężkiej pracy. Kiedy ustalono prawdziwą przyczynę, nerwy wzrokowe były już zniszczone. - Popijała małymi łyżkami sok i patrzyła na niego nieufnie. - W dalszym ciągu ma sesje wyjazdowe tutaj i w Ameryce, a jako szef Instytutu, którego liczba członków stale rośnie, jest teraz bardziej aktywny niż poprzednio.

- Skoro wie, że nie chcę mieć do czynienia z organizacją taką jak wasza, dlaczego liczy na moją pomoc?

- Dlatego, że jego i pański sposób myślenia zasadniczo się nie różnią. Był aktywnym członkiem Towarzystwa Badań Psychiczych, dopóki nie zrozumiał, że głoszone przez niego idee są sprzeczne z jego własnymi poglądami. Odrzucił je także dlatego, by stworzyć własną organizację - Instytut Badań Parapsychologicznych. Chciał badać takie zjawiska, jak telepatia i jasnowidztwo, aby dowiedzieć się, czy można zdobywać wiedzę w inny sposób niż przez normalne procesy percepcyjne. To nie ma nic wspólnego z duchami i złośliwymi demonami.

- W porządku, w takim razie jakich informacji potrzebuje ode mnie?

- Chce, aby pan mu dokładnie opisał to, co pan odkrył w Beechwood.

Bishop pobladał i szybko sięgnął po piwo. Dziewczyna patrzyła, jak opróżnia szklanekę.

- To było prawie rok temu - powiedział, stawiając ostrożnie pustą szklanekę na stoliku.

- Myślałem, że do tej pory zapomniano już o tym.

- Pamięć o tych wydarzeniach odżyła ponownie, panie Bishop. Widział pan dzisiejsze gazety?

- Nie, podróżowałem przez większą część dnia, więc nie miałem okazji.

Sięgnęła po torebkę opartą o nogę stołu i wyciągnęła zwiniętą gazetę. Rozkładając ją pokazała główną wiadomość na wewnętrznej stronie. Od razu rzucił mu się w oczy wielki tytuł: „Potrójna tragedia na ulicy horroru!”

Spojrzał na nią pytająco.

- Willow Road, panie Bishop. Tam gdzie znajduje się Beechwood. - Ponownie skierował wzrok na otwartą gazetę, ale dziewczyna sama opowiedziała mu szczegóły tragedii.

- Ostatniej nocy strzelano z pistoletu do dwóch kilkunastoletnich braci podczas gdy spali. Jeden zmarł na miejscu, drugi, w stanie krytycznym, znajduje się w szpitalu. Jest tam z nim jego ojciec: gdy zaatakował napastnika, ten odstrzelił mu pół twarzy. Nie ma szans na przeżycie. Szaleniec, który to zrobił, znajduje się w areszcie policyjnym, ale nie podano jeszcze żadnego oświadczenia...

Pożar wybuchł w kuchni położonego w pobliżu domu i przepalił podłogę sypialni usytuowanej powyżej. Dwie osoby, które tam spały, prawdopodobnie mąż i żona, runęły w dół, gdy zawaliła się podłoga, i zginęły w płomieniach. W ogródku obok domu strażacy znaleźli małą dziewczynkę przyglądającą się płomieniom i sparaliżowaną strachem. Przyczyny pożaru są nieznane...

W innym domu przy końcu Willow Road kobieta zabiła nożem swojego kochanka, a następnie poderżnęła sobie gardło. Ciało leżące na schodach holu zauważył mleczarz przez szklane drzwi wejściowe. Z raportu wynika, że kobieta miała na sobie nocną bieliznę, natomiast mężczyzna był całkowicie ubrany, tak jakby go zaatakowała zaraz po wejściu do domu.

Przerwała, jak gdyby chciała, aby dotarło do niego to, co opowiadała. - To wszystko stało się w ciągu jednej nocy, panie Bishop, i wszystko przy Willow Road.

- Ale to nie może mieć nic wspólnego z tamtą sprawą. Na Boga, to było rok temu!

- Dokładnie dziewięć miesięcy.

- To jak może być między nimi jakiś związek?

- Ojciec uważa, że jest. Dlatego chce, żeby opowiedział mu pan wszystko o dniu, w którym pojechał pan do Beechwood.

Już sama nazwa wywołała jego niepokój. Wspomnienia w dalszym ciągu były zbyt świeże; okropny widok, którego był świadkiem wewnątrz starego domu, ciągle pojawiał się w jego wyobraźni, jak nagle wyświetlony film.

- Opowiedziałem policji o wszystkim, co stało się tego dnia, dlaczego tam byłem i kto mnie wynajął. O wszystkim, co widziałem. Nie ma nic nowego, o czym mógłbym opowiedzieć pani ojcu.

- On myśli, że może jednak powie pan coś nowego. Musi być jakieś wytłumaczenie. Musi być jakiś powód, dla którego trzydzieści siedem osób popełnia zbiorowo samobójstwo w jednym domu. I dlaczego właśnie w tym domu, panie Bishop?

Nie mógł podnieść wzroku znad pustej szklanki, czując gwałtowną potrzebę napicia się czegoś mocniejszego niż piwo.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Jacob Kulek był wysoki nawet mimo zgarbionych pleców, głowę wysuwał do przodu, jakby ciągle czegoś szukał. Miał na sobie źle dopasowany garnitur, który zdawał się fałdować na jego chudym ciele, i krawat luźno opasujący kołnierzyk u nasady szyi. Wstał, kiedy jego córka wprowadziła Bishopa do małego pokoju, będącego prywatnym gabinetem Kuleka w

jego Instytucie Naukowym; sam budynek niczym się nie wyróżniał w medycznym i finansowym getcie przy Wimpole Street.

- Dziękuję, że zechciał pan spotkać się ze mną, panie Bishop - powiedział, wyciągając rękę.

Bishopa zdziwiła siła jego uścisku. Przytłumiony głos - uświadomił sobie, że należy do Jessiki Kulek - dochodził z kasetowego magnetofonu, leżącego na małym stoliku do kawy obok fotela, w którym siedział Kulek. Wysoki mężczyzna schylił się i, odnajdując bez macania przycisk stopu, wyłączył magnetofon.

- Codziennie wieczorem Jessica przez godzinę nagrywa dla mnie - wytłumaczył, patrząc prosto w oczy Bishopa, jakby go badał. Trudno było uwierzyć, że jest niewidomy. - Nowe informacje na temat badań, korespondencja, sprawy ogólne, którymi nie mam czasu zająć się w ciągu dnia. Jessica hojnie dzieli się ze mną swoim wzrokiem. - Posłał uśmiech w stronę córki, wiedząc instynktownie, w którym miejscu stoi.

- Proszę usiąść, panie Bishop - powiedziała Jessica wskazując klubowy fotel, stojący po drugiej stronie stolika do kawy, naprzeciwko fotela jej ojca. - Napije się pan kawy lub herbaty?

Potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję.

Zająwszy miejsce, Bishop rozejrzał się po pokoju; prawie każdy centymetr ściany wypełniały książki. Jak na ironię, człowiek z takim umysłem jak Kulek otoczył się czymś, co z powodu jego ślepoty musiało być źródłem frustracji.

Jakby czytając w jego myślach, Kulek wskazał ręką w stronę pokrytych książkami ścian.

- Znam każdą pracę w tym pokoju, panie Bishop, a nawet jej miejsce na półce. Filozofia symboliczna masonów, hermetystów, kabalistów i różokrzyżowców - środkowy regał po prawej stronie, trzecia półka od góry, siódma lub ósma pozycja. Złota Gałąź - ostatni regał przy drzwiach, najwyższa półka, gdzieś w środku. Każda książka tutaj jest dla mnie ważna, każdą z nich wielokrotnie czytałem, zanim straciłem wzrok. Wydaje się, że umysł człowieka pozbawionego możliwości widzenia może łatwiej zwracać się do jego wnętrza, dokładniej badać jego pamięć. Widać w człowieku zawsze musi być zachowana równowaga.

- Myślę, że utrata wzroku nie wpłynęła na pańską pracę - powiedział Bishop. Kulek zaśmiał się krótko.

- Obawiam się, że jednak jest przeszkodą. Powstało tak wiele nowych koncepcji, tak wiele starych odrzucono. Jessica i to niewielkie urządzenie pilnują, abym orientował się w

zachodzących zmianach. Moje nogi też nie są tak sprawne jak kiedyś. Ta wierna laseczka służy mi za przewodnika i podporę - poklepał opartą o fotel laskę, jak gdyby to było ukochane zwierzę. - Choć niechętnie, usilnie namawiany przez córkę, musiałem zrezygnować z wyjazdów na wykłady. Ona lubi, żebym był tam, gdzie może nade mną czuwać.

Uśmiechnął się z żartobliwym wyrzutem do córki, a Bishop zrozumiał, jak bardzo są sobie bliscy. Dziewczyna siedziała na krześle z wysokim oparciem, w pobliżu jednego z dwóch okien małego gabinetu, tak jakby miała tylko przysłuchiwać się rozmowie.

- Mój ojciec pracowałby dwadzieścia dwie godziny na dobę, gdybym mu pozwoliła - powiedziała. - Pozostałe dwie zajęłaby mu rozmowa o tym, co będzie robił następnego dnia.

Kulek zaśmiał się.

- Pewnie ma rację. Może jednak, panie Bishop, przejdziemy do sprawy.

Zmarszczył z troską czoło, a jego ramiona zgarbiły się jeszcze bardziej, gdy się pochylał. Nie odrywał przy tym wzroku od Bishopa, tak że ten raz jeszcze musiał sobie uświadomić, że ojciec Jessiki jest niewidomy.

- Myślę, że Jessica pokazała panu najświeższe wiadomości o wydarzeniach ostatniej nocy na Willow Road.

Bishop kiwnął głową, ale zaraz przypomniał sobie, by przytaknąć na głos.

- A czy widział pan dzisiejsze gazety?

- Tak. Człowiek, który strzelał do chłopców i ich ojca, najwyraźniej nie chce z nikim rozmawiać. Mała dziewczynka, której rodzice - później okazało się, że była to jej matka ze swoim przyjacielem - zginęli w czasie pożaru, jest ciągle w szoku. Kobieta, która zabiła nożem swego kochanka, popełniła samobójstwo, zatem możemy tylko założyć, że w tym ostatnim wypadku motywem była zazdrość lub kłótnia.

- Ach tak, motyw - powiedział Kulek. - Wydaje się, że policji nie udało się ustalić motywu żadnej z tych zbrodni.

- Motyw nie musi być taki sam w tych wszystkich przypadkach. Proszę pamiętać, że matka i jej przyjaciel zginęli w ogniu. Dziewczynce szczęśliwie udało się ująć z życiem. Nie ma wzmianki o podpaleniu.

Kulek milczał przez moment, a następnie powiedział:

- Czy nie sądzi pan, że to dziwne, iż te trzy wypadki zdarzyły się tej samej nocy i przy tej samej ulicy?

- Oczywiście, że dziwne. Byłoby zastanawiające, gdyby dwa morderstwa zdarzyły się przy tej samej ulicy w ciągu kilkunastu lat, a cóż dopiero jednej nocy. Ale czy jest możliwe, aby istniał między nimi jakiś związek?

- Zgadzam się, że pozornie łączy je tylko czas i miejsce i oczywiście fakt, że parę miesięcy temu w tym samym miejscu doszło do zbiorowej samozagłady. Dlaczego poproszono pana o przeprowadzenie badań w Beechwood?

Obcesowość tego pytania zaskoczyła Bishopa.

- Panie Kulek, czy nie sądzi pan, że powinien mi pan wyjaśnić, dlaczego tak bardzo interesuje się pan wydarzeniami przy Willow Road?

Kulek uśmiechnął się rozbrajająco.

- Ma pan rację, nie mam prawa pana pytać bez podania koniecznych wyjaśnień. Chciałbym tylko powiedzieć, że moim zdaniem wydarzenia na Willow Road są związane ze zbiorowym samobójstwem, które miało tam miejsce dziewięć miesięcy temu. Czy zna pan nazwisko Boris Pryszlak?

- Pryszlak? Tak, to jeden z tych, którzy zabili się w Beechwood. Czy był naukowcem?

- Naukowcem i przemysłowcem - niezwykłym połączeniem jednego i drugiego. Miał dwie pasje życiowe: robienie pieniędzy i badanie energii. Poświęcił się obu tym dążeniom. Był wynalazcą, panie Bishop, mógł zamienić swoje osiągnięcia naukowe w ciężkie pieniądze. To był naprawdę niezwykły człowiek.

Kulek przerwał, na jego wargach pojawił się dziwny, niewesoły uśmiech, jakby miał przed oczami obraz mężczyzny, o którym mówił, a wspomnienie to było niemiłe.

- Spotkaliśmy się w Anglii tuż przed wprowadzeniem w Polsce, naszej ojczyźnie, reżimu komunistycznego. Byliśmy zbiegami, wiedzieliśmy, co stanie się z naszym zniszczonym krajem. Muszę przyznać, że nawet wtedy nie był człowiekiem, którego wybrałbym na przyjaciela, ale... - wzruszył ramionami - ...byliśmy rodakami i nie mieliśmy domu. Ta sytuacja ukształtowała nasze wzajemne stosunki.

Bishop nie mógł odwzajemnić spojrzenia Kuleka, gdyż niewidzące oczy były nieruchome. Czuł, że odbierają mu one całą pewność siebie. Popatrzył na dziewczynę, a ona uśmiechnęła się, jakby chciała go ośmielić, rozumiejąc jego skrępowanie.

- Jeszcze jedną okolicznością, która zbliżyła nas do siebie, było wspólne zainteresowanie okultyzmem. Bishop szybko skierował wzrok na Kuleka.

- Pryszlak, naukowiec, wierzył w okultyzm?

- Jak powiedziałem, panie Bishop, to był niezwykły człowiek. Byliśmy przyjaciółmi przez parę lat - no, może znajomymi będzie lepszym określeniem - później, z powodu zupełnie odmiennych poglądów na wiele spraw, nasze drogi rozeszły się. Ja osiedliłem się na jakiś czas w tym kraju, ożeniłem z matką Jessiki, w końcu wyjechałem do Stanów Zjednoczonych, gdzie wstąpiłem do Towarzystwa Badań Filozoficznych kierowanego przez

Manly Palmer Hall. W ciągu tych lat nie miałem żadnych wiadomości od Pryszłaka. Naprawdę żadnych, aż do chwili, kiedy dziesięć lat temu powróciłem do Anglii. Przyszedł do mnie z człowiekiem nazwiskiem Kirkhope i zaproponował, abym przyłączył się do ich prywatnej organizacji. Szczerze mówiąc, ani nie zgadzałem się z kierunkiem, w jakim szły ich badania, ani nie pociągały mnie one.

- Powiedział pan, że ten mężczyzna nazywał się Kirkhope. Czy to był Dominie Kirkhope? Kulek przytaknął.

- Tak, panie Bishop. Ten sam człowiek, który wykorzystywał Beechwood do prowadzenia swych okultystycznych praktyk.

- Czy wie pan, że Kirkhope był pośrednio jednym z powodów, dla których udałem się do Beechwood?

- Podejrzywałem to. Czy to jego rodzina pana wynajęła?

- Nie, zaangażowali mnie pośrednicy do spraw kupna i sprzedaży nieruchomości. W zasadzie Beechwood należało od lat do rodziny Kirkhope'ów, ale nigdy nie było przez nią wykorzystywane. Zawsze było wynajmowane, podobnie jak inne należące do nich nieruchomości. Sądzę, że w latach trzydziestych miały tam miejsce dziwne praktyki - agentom do spraw nieruchomości nie pozwolono wtajemniczać mnie w charakter tych praktyk - i Dominie Kirkhope został w nie wciągnięty. Działy się tam takie rzeczy, że Kirkhope'owie - rodzice Dominica - musieli siłą usunąć lokatorów. Wprowadzały się nowe rodziny, ale nigdy nie zostawały długo, mieszkańcy narzekali, że z tym domem coś jest „nie w porządku”. Rzecz jasna, z biegiem lat dom zyskał reputację nawiedzonego i w rezultacie pozostał po prostu nie zamieszkanym. Z powodu ostatnich powiązań Dominica Kirkhope'a z Beechwood, dom stał się postrachem całej rodziny, skazą na jej dobrym imieniu. Długie lata był zaniedbany, ale ostatnio, mniej więcej przed rokiem, postanowili spróbować pozbyć się go na zawsze. Dom odremontowano, zmodernizowano, zamieniono w reprezentacyjną siedzibę, ale i tak nie można go było sprzedać. Stale napływały informacje o panującej w nim „atmosferze”. Myślę, że to desperacja zmusiła ich do wynajęcia badacza zjawisk psychicznych i podjęcia próby rozwiązania tej zagadki. Dlatego ja się tam znalazłem.

Kulek i jego córka milczeli, czekając, aż Bishop podejmie przerwana opowieść. Nagle zrozumieli jego niechęć do dalszych zwierzeń.

- Przepraszam - powiedział Kulek. - Wiem, że wspomnienia są dla pana bardzo nieprzyjemne...

- Nieprzyjemne? Mój Boże, gdyby pan widział, co oni wzajemnie tam sobie robili! Te okaleczenia...

- Ojcie, może nie powinniśmy namawiać pana Bishopa, aby wracał do tych okropnych przeżyć - odezwała się cicho Jessica ze swojego miejsca przy oknie.

- Musimy. To ważne.

Bishop był zaskoczony ostrością, która zabrzmiała w głosie starego człowieka.

- Przykro mi, panie Bishop, ale koniecznie muszę dowiedzieć się, co pan tam odkrył.

- Martwe ciała, to wszystko, co odkryłem. Rozszarpane, pocięte, poćwiartowane. Rzeczy, które tam wyczyniano, budzą obrzydzenie.

- Tak, tak, ale co jeszcze tam było? Co pan czuł?

- Czuję się cholernie niedobrze. O co, u diabła, panu chodzi?

- Nie, nie interesuje mnie to, co się działo z panem. Mam na myśli dom. Co pan czuł w domu? Czy coś tam jeszcze było, panie Bishop?

Bishop otworzył usta, jakby chciał coś dodać, potem zamknął je i jeszcze głębiej zapadł się w fotel. Jessica wstała i podeszła do niego; stary człowiek wychylił się ze swego siedzenia z wyrazem zdziwienia na twarzy, nie bardzo wiedząc, co się dzieje.

- Czy dobrze się pan czuje? - Jessica dotknęła ramienia Bishopa z wyrazem zatroskania w oczach.

Poblady, patrzył na nią przez kilka sekund nieprzytomnie, w końcu zaczął wracać do rzeczywistości.

- Przepraszam, starałem się myślami wrócić do tamtego dnia, ale pamięć odmawia mi posłuszeństwa. Nie pamiętam, co się stało ani jak się stamtąd wydostałem.

- Znalaziono pana na ulicy przed domem - wyjaśnił łagodnym głosem Kulek. - Leżał pan na wpół przytomny obok samochodu. Mieszkańcy zawiadomili policję, a kiedy przyjechała, nie mógł pan mówić, wpatrywał się pan tylko w Beechwood. Tyle udało mi się znaleźć w oficjalnych raportach policyjnych. Na początku myśleli, że w jakiś sposób jest pan w to zamieszany, ale później sprawdzili, że pańskie wyjaśnienia są zgodne z zeznaniami pośrednika odpowiedzialnego za sprzedaż tej nieruchomości. Czy już absolutnie nic więcej nie może pan sobie przypomnieć z tego, co jeszcze wydarzyło się w tym domu?

- Wydostałem się, to wszystko, co wiem. - Bishop przycisnął palcami oczy, jakby chciał w ten sposób wywołać pamięć tych chwil.

- Przez ostatnich kilka miesięcy próbowałem przypomnieć to sobie, ale bezskutecznie; widzę tylko te groteskowe ciała, nic więcej. Nie pamiętam momentu opuszczenia domu.

Odetchnął głęboko, na twarz powróciły mu rumieńce. Kulek wyglądał na rozczarowanego.

- Teraz może mi pan powie, dlaczego to wszystko tak bardzo pana zajmuje? - spytał Bishop. - Poza tym, że Pryszałak był zamieszany w tę sprawę, nie rozumiem, co jeszcze może pana w niej interesować.

- Nie jestem pewien, czy potrafię to sprecyzować. - Kulek wstał z fotela i ku zdziwieniu Bishopa podszedł do okna i spojrział na dół, jak gdyby mógł zobaczyć ulicę. Odwrócił głowę w kierunku Bishopa, śledzącego jego ruchy, i uśmiechnął się. - Przykro mi, moje zachowanie może wydawać się panu dziwne u ślepeca. Ale światło wpadające przez okno - to wszystko, co mogę zobaczyć. I obawiam się, że przyciąga mnie niczym płomień ćmę.

- Ojczy, jesteśmy panu winni jakieś wyjaśnienie - podsunęła dziewczyna.

- Tak, oczywiście. Ale co ja mogę powiedzieć naszemu przyjacielowi? Czy zrozumie moje obawy, czy może je wyśmieje?

- Proszę dać mi szansę zrozumienia pańskich poglądów - powiedział stanowczo Bishop.

- Dobrze. - Szczupła sylwetka Kuleka znalazła się na wprost Bishopa. - Wspomniałem już, że Pryszałak chciał, abym wstąpił do ich organizacji, ale nie odpowiadał mi kierunek prowadzonych przez niego badań. Próbowałem nawet odwiedzić jego i Kirkhope'a od kontynuowania tych podejrzanych poszukiwań. Znali mój pogląd na kwestię związków psychicznych między człowiekiem i zbiorową podświadomością, a mimo to myśleli, że w tym szczególnym przypadku zostanę ich sojusznikiem.

- Ale czego oni szukali? W co wierzyli?

- W zło, panie Bishop. Wierzyli w zło jako siłę samą w sobie, siłę pochodzącą od człowieka.

#### ROZDZIAŁ CZWARTY

Policjanci zaczęli się zastanawiać, dlaczego obaj jednocześnie odczuwają takie napięcie. Nocna zmiana powinna być przecież łatwą robotą - nudną, ale łatwą. Tej nocy mieli przede wszystkim patrolować tę ulicę i zgłaszać wszystko, co wydawało się podejrzane - po prostu od czasu do czasu przejechać policyjnym wozem tam i z powrotem, tak aby mieszkańcy zauważyli ich obecność. Minęły dwie godziny, dwie godziny nudy. A mimo to napięcie rosło z każdą minutą.

- Pieprzona zabawa - powiedział w końcu tęższy policjant.

Kolega popatrzył na niego.



- Niby co? - spytał. - Sterczeć tu całą noc, po to tylko, żeby ci cholerni ludzie byli zadowoleni!

- Na mój rozum, to oni się trochę boją, Les.

- Boją? Morderstwo, zabójstwo, pożar tego cholernego domu - wszystko w ciągu jednej nocy! Upłynie ze sto lat, zanim znowu coś się tu wydarzy, stary. Przez jedną noc mieli już wszystko, co jeszcze może się stać?

- Myślę, że niepotrzebnie masz do nich pretensję. To przecież nie Coronation Street, nie?

Les z odrazą spojrział przez okno samochodu.

- Masz rację, cholera, to nie Coronation Street.

- Zaraz znowu pojedziemy tą ulicą. Ale przedtem zakurzymy.

Zapalili papierosy, osłaniając dłońmi płomyk zapalki.

Les opuścił nieco szybę, by wyrzucić zapalną, i pozostawił szparkę, przez którą mógł uciekać dym.

- No dobrze, Bob. Więc z czego to się bierze? Zaciągnął się głęboko dymem.

- Tak bywa. Normalna ulica, normalni ludzie, przynajmniej na zewnątrz. Czasami coś się dzieje. Czasami coś pieprznie.

- Taak, cholera, pieprznięło w zeszłym roku, pamiętasz? Trzydzieści siedem osób rozwaliło się nawzajem. Nie, stary, musi być coś nie w porządku z tą ulicą.

Bob uśmiechnął się w ciemności.

- Co, też wierzysz w duchy? Daj spokój, Les.

- Możesz się śmiać - powiedział z oburzeniem Les - ale coś tu się jednak nie zgadza. Widziałeś tego wariata, który rozwalił tamtych dwóch szczeniaków i ich starego? On jest całkiem stuknięty. Obejrzałem go sobie w celi. Siedział jak jakiś pieprzony zombi. Nic nie robił, dopóki mu ktoś nie kazał. Wiesz, to jest stary pedał.

- Coś ty?

- No, jest notowany. Robił to wiele razy.

- Jak wobec tego skombinował broń? Nie ma mowy, żeby dostał pozwolenie, skąd więc ją wytrzasnął?

- To nie była jego strzelba, nie? Należała do tego starego, ojca tych cholernych dzieciaków. Na tym polega cały wic. Ten pomyleniec - Burton - włamał się do domu i znalazł broń. Pewnie wiedział, że ją tam mają. Znalazł mnóstwo naboju i nawet przeładował magazynek, żeby rozwalić starego, kiedy już załatwił chłopaków. Potem, jak powiedział sierżant, sam chciał się zastrzelić. Ale ta pieprzona lufa była za długa. Nie mógłby nawet

zrobić sobie nią przedziałka. Cholernie śmieszne: usiłował rozwalić sobie głowę, a nie mógł nawet dosięgnąć do czoła.

- Tak, cholernie zabawne.

Bob czasami zastanawiał się, czy jego kolega nie czułby się lepiej jako przestępca.

Przez chwilę milczeli, znów zaczęło narastać uczucie niepokoju.

- Dobra - powiedział nagle Bob, nachylając się, żeby włączyć silnik - przejedziemy się.

- Poczekaj chwilę.

Les podniósł rękę i uważnie spojrział przez szybę samochodu.

- Co się dzieje? - Bob starał się zobaczyć to, na co patrzył jego kolega.

- Tam - wskazał tęszy policjant i Bob zmarszczył brwi z irytacji.

- Gdzie? Les... pokazujesz na tę całą cholerną ulicę.

- Nie, nic nie ma. Myślałem, że coś rusza się na chodniku, ale to tylko latarnie tak migocą.

- Chyba tak... nikogo nie widzę, o tej porze wszyscy powinni być już w łóżkach. Chodź, dla pewności przyjrzymy się temu bliżej.

Samochód policyjny wolno odjechał od krawężnika i cicho sunął ulicą. Bob mignął światłami.

- Niech wszyscy wiedzą, że tu jesteśmy - powiedział. - Będą lepiej spali.

Trzy razy przejechali ulicą tam i z powrotem, zanim Les znowu coś zauważył.

- Tam, Bob. Tam się coś rusza - wskazał ręką. Bob zahamował łagodnie.

- Ale to dom, w którym wczoraj w nocy się paliło - powiedział.

- Co z tego? Czy nie mógł tam ktoś wejść? Idę sprawdzić.

Tęgi policjant gramolił się z samochodu, podczas gdy jego kolega nadawał krótką wiadomość na posterunek. Sięgnął jeszcze do środka i szybkim ruchem wyjął latarkę ze skrytki.

- Cholernie tam ciemno - mruknął.

Furtka była otwarta, ale Les kopnął ją; czasami lubił w ten sposób ostrzec kogoś, kto mógł czaić się w mroku, i dać mu szansę ucieczki - spotkania z przestępcami nie należały do największych przyjemności w jego życiu. Zatrzymał się na chwilę, czekając aż Bob go dogoni, i skierował na dom silny snop światła. Mimo że front domu, oprócz wypalonych, ziejących pustką okien, nie był zniszczony, budynek sprawiał wrażenie nie nadającej się do zamieszkania ruiny. Wiedział, że najbardziej ucierpiał tył, gdyż pożar zaczął się w kuchni.

Skierował światło latarki na drzwi sąsiedniego domu. Pomyślał, że jego mieszkańcy mieli cholerne szczęście. Mogli także pójść z dymem.

- Widzisz coś, Les? - wzdrygnął się na dźwięk głosu Boba, który cicho zaszedł go z tyłu.

- Nie skradaj się tak - wyszeptał. - Cholernie mnie przestraszyłeś.

Bob wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przepraszam - powiedział zadowolony z siebie.

- Wydawało mi się, że widziałem, jak ktoś wchodził przez okno, kiedy byliśmy jeszcze w samochodzie. Ale to mógł być tylko cień, rzucony przez reflektory.

- Zobaczmy, jak już tu jesteśmy. Wciąż cholernie tu śmierdzi, co nie? Czy obok nadal ktoś mieszka?

Bob ruszył w kierunku domu i Les musiał się pospieszyć, aby dotrzymać mu kroku.

- Myślę, że tak. Ich dom nie został zniszczony. Bob zboczył ze ścieżki i przez niewielki ogródek podszedł do wybitego okna na dole.

- Daj tu latarkę, Les. Poświeć do środka. Les zrobił to i obaj spojrzeli przez roztrzaskane okno na zniszczony pokój.

- Ale bajzel - zauważył Les.

Bob nie zawracał sobie głowy odpowiedzią.

- Chodź, lepiej zajrzemy do środka. Wrócili do otwartych drzwi wejściowych i tęszy policjant poświecił latarką wzdłuż holu.

- Idź pierwszy, Les.

- Może być niebezpiecznie. Prawdopodobnie belki podłogi są przepalone.

- Nie, tylko dywany zostały zniszczone. Strażacy zdążyli przyjechać, zanim pożar objął tę część domu. Chodź, wejdziemy.

Les wszedł do domu, delikatnie stawiając stopy, jakby obawiał się, że w każdej chwili podłoga może się pod nim załamać. Był już w połowie korytarza, gdy wydarzyło się coś dziwnego.

Szeroki, rozproszony snop światła latarki zaczął słabnąć, jak gdyby wpadł w gęstą chmurę dymu. Tylko że nie było ani kłębiących się obłoków, ani odbitego szarego światła. Wyglądało to tak, jakby światło napotkało na swej drodze coś masywnego, coś, co pochłaniało cały jego blask. Coś mrocznego.

Bob gwałtownie zamrugał oczami. To musiał być wytwór jego wyobraźni. Coś się do nich zbliżało, ale nie miało ani kształtu, ani ciała. Wydawało się, że wokół nich zamykają się

mury. Nie, to musiały być baterie - wyczerpały się i światło stawało się coraz słabsze. Ale w dalszym ciągu z latarki padał długi, jasny promień, który jednak zanikał gdzieś w dali.

Les cofał się, zmuszając także Boba do odwrotu. Prawie jednocześnie zawrócili wąskim korytarzem w kierunku otwartych drzwi wejściowych; gdy szli, światło latarki słabło coraz bardziej, aż w końcu jego zasięg nie przekraczał dwunastu stóp. Nie wiedząc czemu, bali się spojrzeć w stronę nadciągającej ciemności, jakby obawiali się, że jeśli to zrobią, staną się bezbronni.

Gdy dotarli do drzwi, latarka znowu zaczęła mocno świecić, rozjaśniając mrok. Poczuli się tak, jakby niebezpieczeństwo minęło i nagle opuścił ich strach.

- Co to było? - spytał Bob. Głos mu drżał, a nogi się trzęsły.

- Nie wiem. - Les opierał się o framugę drzwi, obiema rękami trzymając latarkę, aby skontrolować drżący snop światła. - Nie mogłem nic zrobić. To było tak, jakby cholernie wielka, czarna ściana napierała na nas. Coś ci powiem - nie zamierzam tam wracać. Wezwijmy posiłki.

- Dobra. I co im powiemy? Że ściagał nas cień?

Nagły krzyk sprawił, że obaj aż podskoczyli. Les upuścił latarkę, która z brzękiem upadła na schody i natychmiast zgasła.

- O Boże, co to było? - krzyknął tęgi policjant, czując, że nogi uginają się pod nim.

Wrzask powtórzył się i tym razem obaj mieli pewność, że nie był to głos człowieka.

- Dochodzi z sąsiedniego domu - łamiącym się głosem powiedział Bob. - Chodźmy.

Przebiegł pędem mały ogródek i przeskoczył niski płot, oddzielający dwie posiadłości. Les rzucił się za nim. Gdy zrównał się z nim, Bob walił już w drzwi. Ze środka dochodziło przeraźliwe, pełne śmiertelnej udręki wycie, po chwili kolejny straszliwy wrzask przeszył ich dreszczem grozy.

- Wyważ drzwi, Bob! Wyważ drzwi!

Les odsunął się i podnosząc wysoko nogę uderzył w zamek. W niewielkiej matowej szybce, umieszczonej nad skrzynką na listy, pojawiło się światło, obaj mężczyźni zdziwieni cofnęli się. Do ich uszu dobiegł słaby, warczący dźwięk.

Bob podniósł głowę i uchylił klapkę skrzynki na listy. Nagle zeszywniał i Les ujrzał jego rozszerzające się ze strachu oczy, oświetlone padającym ze skrzynki blaskiem.

- Co jest, Bob? Co się tam dzieje?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, odsunął kolegę. Pochylił się i spojrzał w prostokątny otwór. Jego palce puściły klapkę, jak gdyby własne ciało buntowało się przeciwko temu widokowi, nie pozwalając oczom nic więcej zobaczyć. Ale widok zapadł już w jego pamięć.

Korytarzem zbliżał się z wyciem pies; jego tylne łapy poruszały się niepewnie, pozostawiając za sobą ślady krwi. Posuwał się powoli, nie tylko z powodu paraliżującego go strachu, lecz także dlatego, że nie miał przednich łap, tylko kikuty, z których sączyła się krew. Za psem stał patrzący na zwierzę, śmiejący się mężczyzna, który trzymał w rękach jakąś maszynę. Maszyna warczała, a jej wirujące ostrza obracały się tak szybko, że nie mogło tego dostrzec ludzkie oko. Zbliżał się do drzwi frontowych. W tym momencie policjant opuścił klapkę skrzynki na listy.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Był w głębinach oceanu, płynąc w dół, wciąż głębiej i głębiej, coraz dalej od srebrnego blasku spokojnej powierzchni morza, w mroczną czeluść, ciemność czekającą na niego, witającą go. Czuł, że pękają mu płuca, z których ostatni pęcherzyk powietrza uciekł całą wieczność temu, a jednak jego ciało ogarniało ekstatyczne uniesienie, ból nie miał znaczenia, skoro sięgał po coś wzniosłego, oczekującego go w mrocznym, przepastnym łonie. Wkroczył w ciemność, która szybko zamknęła się wokół niego, rozszarpując jego członki, zatykając usta, nos, uszy, dusząc, aż zrozumiał, że był to podstęp. Chciał zaczerpnąć powietrza, ale wypełniała go ciemność. Płynął w dół, nie poruszając już ani nogami, ani rękami, ciało kręciło się, zataczając coraz mniejsze kręgi, szybciej, szybciej. Głębiej. Potem słaba poświata, mały kształt rosnący coraz bardziej, płynący naprzeciw niego, czarne, rozstępujące się przed nim wody. Rozpoznał jej twarz, chciał ją zawołać po imieniu, ale ocean zdusił jego krzyk. Uśmiechnęła się, oczy zabłyśły w jej małej, dziecięcej twarzyczce i wyciągnęła do niego dłoń, małą, pulchną rączkę, wyłaniającą się z mroku. Uśmiechała się nadal, gdy obok niej pojawiła się inna twarz, twarz jej matki, o oczach dzikich, wściekłych, patrzących na niego jadownicie. Zaczęły się oddalać, niknąć, a on zawołał, by go nie opuszczały, by pomogły mu uciec z tych straszliwych, przytłaczających ciemności. Stawały się coraz mniejsze, dziewczynka wciąż się uśmiechała, twarz kobiety była coraz bardziej pozbawiona wyrazu, oczy bez życia; zniknęły, zgasły dwa maleńkie falujące płomyki, pozostała tylko wszechogarniająca ciemność. Wrzasnął i bulgotanie zmieniło się w dźwięk dzwonka, który wdarł się do sennego koszmaru, wyciągając go, wlokąc jego sponiewierane zmysły z powrotem do rzeczywistości.

Bishop wpatrywał się w biały sufit, ciało miał wilgotne od potu. Telefon na dole w holu nie pozwalał mu dłużej myśleć o śnie, natarczywie dzwoniąc domagał się odebrania. Odrzucił kołdrę i wziął szlafrok leżący na podłodze przy łóżku. Wciągając go poczłapał po schodach do holu, w głowie wciąż mu się kręciło od nocnego koszmaru. Nauczył się panować

nad wspomnieniami, łagodzić ich natarczywość, ale często jednak bezlitośnie wdzierały się w jego umysł, wstrząsając obronnym murem, który zbudował wokół swych emocji.

- Bishop - powiedział zmęczonym głosem, podnosząc słuchawkę.

- Tu Jessica Kulek.

- Witaj, Jessico. Przepraszam, że trwało to tak długo...

- Znowu coś się wydarzyło ostatniej nocy - przerwała mu.

Mocno ścisnął palcami słuchawkę.

- Willow Road?

- Tak. Piszą o tym w porannych gazetach. Nie czytał pan ich jeszcze?

- Co? Och, nie. Dopiero się obudziłem. Wczoraj w nocy wróciłem z Nottingham.

- Czy mogę przyjść do pana i porozmawiać?

- Chwileczkę. Przecież powiedziałem pani w zeszłym tygodniu...

- Bardzo pana proszę, panie Bishop, musimy położyć temu kres.

- Nie wiem, co możemy zrobić.

- Proszę, porozmawiajmy. Niech pan poświęci mi dziesięć minut.

- Przyjdzie pani z ojcem?

- Nie, ma dzisiaj rano konferencję. Ja mogę zaraz przyjechać.

Bishop oparł się o ścianę i westchnął.

- No, dobrze. Ale nie sądzę, żebym zmienił zdanie. Ma pani mój adres?

- Tak. Będę za dwadzieścia minut.

Odłożył słuchawkę i wpatrywał się w telefon, nie zdejmując dłoni z czarnego aparatu.

Otrząsnąwszy się z zamyślenia, podszedł do drzwi i wyjął gazetę ze skrzynki na listy. Nagłówki w dzienniku rozpędził resztki koszmarnego snu.

Umył się, ogolił, ubrał i pił właśnie kawę, gdy usłyszał, jak jej samochód zatrzymuje się przed domem.

- Przepraszam, zajęło mi to trochę więcej czasu, niż przypuszczałam - powiedziała, gdy otworzył drzwi. - Był okropny ruch na moście.

- Tak, z tym jest problem, kiedy człowiek się znajdzie po południowej stronie od rzeki. Zawsze trzeba czekać, żeby się stamtąd wydostać.

Wprowadził ją do niewielkiego salonu.

- Napije się pani kawy? - zapytał.

- Bez mleka, z łyżeczką cukru.

Zdjęła jasny płaszcz i położyła na oparciu fotela.

Obcisłe dzinsy, luźny, wycięty w łódkę sweter w połączeniu z krótko obciętymi włosami i małymi piersiami nadawały jej chłopięcy wygląd.

- Proszę usiąść. Zaraz wracam - powiedział Bishop.

Poszedł z powrotem do kuchni i zrobił jej kawę, dolewając też sobie. Nie wiedział, że poszła za nim, toteż jej głos przestraszył go.

- Sam pan tu mieszka?

Odwrócił się i zobaczył, że stoi w drzwiach.

- Tak - odpowiedział.

- Nie jest pan żonaty? - spytała zdziwiona.

- Jestem.

- Przepraszam. Nie chciałam być wścibska.

- Lynn tu... nie ma. Jest w szpitalu.

Sprawiła wrażenie zakłopotanej.

- Mam nadzieję, że nie jest...

- Jest w klinice psychiatrycznej. Już od trzech lat. Może przejdziemy do salonu?

Wziął dwie filizanki kawy i czekał, aż odsunie się od drzwi. Odwróciła się i przepuściła go.

- Nie wiedziałam, panie Bishop - powiedziała siadając i biorąc od niego kawę.

- Nic się nie stało, niby skąd miała pani wiedzieć. Przy okazji, na imię mam Chris.

Popijała kawę i Bishop patrząc na nią znów zastanawiał się, jaka jest naprawdę. Raz wydawała mu się twarda, niemal pozbawiona uczuć, innym razem młodzieńczo nieśmiała. Niespokojna mieszanina sprzecznych zachowań.

- Widział pan dzisiejsze gazety? - spytała.

- Przeczytałem nagłówek, rzuciłem okiem na relację. „Nowe szaleństwo na ulicy horroru”. Dziwię się, że Związek Lokatorów się tym nie zajmie.

- Proszę, panie Bishop...

- Chris.

- Proszę, sytuacja jest poważniejsza, niż ci się wydaje.

- Masz rację. Nie powinienem tego lekceważyć. Zgadzam się, że nie jest to dowcip, jeżeli mężczyzna podrzyna śpiącej żonie gardło elektryczną maszyną do przycinania żywopłotów, a później w ten sam sposób odcina swemu psu nogi. Fakt, że nie zaatakował dwóch policjantów na zewnątrz tylko dlatego, że kabel okazał się za krótki, jest także średnio zabawny.

- Cieszę się, że tak myślisz. Pewnie już czytałeś, że później użył maszyny przeciwko sobie. Rozerwała mu tętnicę w nodze i zmarł z upływu krwi, zanim zdążyli zabrać go do szpitala.

Bishop przytaknął.

- Może od początku miał taki zamiar, zabić żonę, psa, a na końcu siebie. Chciał, aby dzielili z nim pragnienie śmierci. - Bishop podniósł rękę, aby powstrzymać jej protest. - Teraz nie żartuję. To często się zdarza, że osoba popełniająca samobójstwo chce zabrać ze sobą wszystkich, których kocha.

- Samobójstwo czy nie, w każdym razie był to akt szaleństwa. A dlaczego tamtych dwoje też się zabiło?

- Jakich dwoje?

- Kobieta, która zamordowała swojego kochanka, i mężczyzna, który zastrzelił dwóch chłopców i ich ojca.

- Ale on nie umarł.

- Owszem, ostatniej nocy. Poszliśmy z ojcem na posterunek, gdzie był przetrzymywany, w nadziei, że pozwolą nam zadać mu parę pytań. Gdy przyjechaliśmy, już nie żył. Był sam w celi i roztrzaskał sobie głowę o ścianę. Rzucił się na nią, panie Bishop. Od ściany do ściany jest zaledwie osiem stóp, ale wystarczyło, żeby pękła mu czaszka. Powiedzieli, że musiał przynajmniej dwukrotnie rzucić się gwałtownie na ścianę, żeby spowodować takie uszkodzenie ciała.

Bishop wzdrygnął się na samą myśl.

- A dziewczynka. Ta mała dziewczynka...?

- Opiekują się nią troskliwie. Policja stara się ustalić przyczyny pożaru. Zdaje się uważają, że ktoś mógł umyślnie podłożyć ogień.

- Chyba nie przypuszczają, że to dziecko podpaliło swój dom?

- Była od jakiegoś czasu pod opieką psychiatry.

- Czy myślisz, że o to chodzi? Że każdy mieszkaniec Willow Road staje się szaleńcem?

- Nie, wcale nie. Ale od czasu, gdy się ostatnio widzieliśmy, udało się nam sprawdzić parę rzeczy i odkryliśmy, że trzy spośród osób związanych z ostatnimi zbrodniami.. - Nie ma dowodu przeciwko temu dziecku - pospieszenie wtrącił Bishop.

- Powiedziałam tylko, że policja podejrzewa, iż ktoś rozmyślnie podłożył ogień. Żadne urządzenie elektryczne nie było włączone. W kuchni nie było kominka, nie ulatniał się gaz i do tej pory nie stwierdzono, by nastąpiło spięcie w przewodach elektrycznych. Mają



pewność, że najpierw zaczęły palić się zasłony w kuchni. Na parapecie znaleziono spalone pudełko zapalek. Teraz po prostu zastanawiają się, jak dziewczynka wydostała się stamtąd, jeśli para znajdująca się w pokoju obok nie była w stanie się uratować. Może się mylą w swoich podejrzeniach, panie Bishop... Chris... ale fakt, że dziewczynka potrzebowała kiedyś pomocy psychiatry, że pożar nie był przypadkowy i że wyszła stamtąd nietknięta, nawet nie osmolona - cóż, to wszystko wskazuje na nią.

Bishop westchnął.

- W porządku, może rzeczywiście spowodowała pożar. A co ty o tym wszystkim myślisz?

- Kobieta i dziewczynka były psychicznie nie zrównoważone. Kobieta próbowała popełnić samobójstwo pół roku temu. Mężczyzna, który zastrzelił chłopców, był skazany za napastowanie dziecka. Stracił pracę, stał się społecznym wyrzutkiem, a sąsiedzi opowiadali, że ci dwaj chłopcy, których zastrzelił, wyśmiewali się z niego. To mogło doprowadzić go do rozstroju nerwowego.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy troje byli obłąkani?

- Większość z tych, którzy zabijają, osiąga pewien stopień obłądzenia. Wydaje mi się, że jest coś na Willow Road, co działa jak katalizator.

- I doprowadza ludzi do utraty zmysłów? Potrząsnęła głową.

- Wyzwała najgorsze instynkty.

- Popycha do morderstwa.

- Popycha do złych czynów. Nie sądzę, iż musi to być koniecznie morderstwo.

- I myślisz, że to wszystko ma związek z zeszłorocznym masowym samobójstwem? Jessica potaknęła.

- Wierzimy, że był jakiś powód tego samobójstwa. Pryszałak, Kirkhope i wszyscy inni mieli jakiś motyw.

Bishop postawił kawę na podłodze i wstał. Wpychając ręce głęboko w kieszenie, podszedł zamyślony do kominka. Wpatrywał się w puste palenisko, po chwili znów odwrócił się do niej.

- Nie sądzisz, że to wszystko jest zbyt fantastyczne? - powiedział łagodnie. - Przyczyna samobójstw od wieków jest ta sama. Chęć ucieczki. Zawsze do tego się wszystko sprowadza.

- Można to określić inaczej. Wyzwolenie.

- No tak, wyzwolenie. To jest to samo.

- Niezupełnie. Ucieczka jest dezercją przed życiem. Wyzwolenie oznacza wolność, z której możesz korzystać. Tych trzydziestu siedmiu osób, które zabiły się w Beechwood, nigdy w żaden sposób nie prześladowano. Żadna z nich nie zostawiła wiadomości, dlaczego popełnia taki czyn, nie ustalono przyczyny nawet jednego samobójstwa. Musi być jakiś wspólny motyw ich samozniszczenia.

- I twój ojciec uważa, że wydarzenia ostatniego tygodnia mają z tym coś wspólnego?

- Nie jesteśmy pewni. Ale wiemy, do czego dążył Pryszlak i jego sekta. Ojciec mówił ci, że oczekiwali jego pomocy.

- Mówił mi, że wierzyli w potęgę zła. Nie bardzo wiem, co miał na myśli, używając słowa „potęga”.

- Chodziło mu o fizyczną istotę zła, o potężną siłę. Coś, co może być użyte jako broń. Pryszlak wierzył, że jest to nie tylko okultyzm, ale i nauka. Próbował wykorzystać swą wiedzę z obu tych dziedzin, aby móc spożytkować tę potęgę.

- Ale popełnił samobójstwo, zanim osiągnął cel.

- Chciałabym, abyśmy mogli być tego pewni.

- Och, daj spokój. Przynajmniej ten człowiek i jego obłąkani przyjaciele są w grobie. Nawet jeśli jest taka potęga - w co wątpię - to żaden z nich nie może już zrobić z niej użytku.

- Pod warunkiem że ich śmierć nie odegrała jakiejś roli w tych badaniach.

Bishop z przerażeniem spojrzał na nią.

- Nie myślisz logicznie. Co dobrego może przynieść taka wiedza, jeśli nie możesz jej wykorzystać.

Na twarzy Jessiki pojawił się wyraz determinacji, który umiał już rozpoznać. Sięgnęła po torebkę i wyciągnęła papierosy. Lekko drżącą ręką zapaliła jednego z nich. Wypuściła dym i spojrzała na niego chłodno.

- Skąd zatem te nagłe akty przemocy? Skąd to nagłe szaleństwo, panie Bishop?

- Chris.

- A zatem? Wzruszył ramionami.

- Któż to, u diabła, może wiedzieć? Nie jestem pewien, czy mnie to w ogóle interesuje.

- Zajmujesz się badaniem psychiki. Zjawiska paranormalne powinny się chyba znajdować w kręgu twoich zainteresowań.

- Oczywiście, ale lubię stać mocno nogami na ziemi. Ty bujasz w obłokach.

- Kiedy po raz pierwszy rozmawiałam z tobą, wydawało mi się, że darzysz szacunkiem mojego ojca.

- Szanuję jego pracę i jego zdanie w wielu kwestiach.

‘- Dlaczego nie w tej sprawie?’

Odwrócił się od niej, opierając się łokciem o kominiek, drugą rękę wciąż trzymał w kieszeni. Mała, ładna buzia uśmiechała się do niego ze zdjęcia zrobionego, gdy miała zaledwie cztery lata. Na rok przed śmiercią. Boże - pomyślał, a ogromny żal znów ścisnął mu serce - miałyby teraz prawie trzynaście lat. Nawet już wtedy widać było, że będzie wiernym wizerunkiem matki.

- Chris?

Otrząsnął się ze wspomnień.

- Jessico, to jest nieprawdopodobne. To wszystko są spekulacje.

- Czy badanie zjawisk paranormalnych nie zaczyna się od spekulacji? Tamtego wieczoru podczas wykładu powiedziałeś, że wierzysz w to, iż naturalna ewolucja człowieka zbliża się do przełomu, który doprowadzi do tego, że nauka i parapsychologia staną się jednym. Czy nie możesz sobie wyobrazić, że człowiek taki jak Prysłak już osiągnął ten stan i dokonał wyłomu? Przynajmniej przemyśl to. Czy nie o tym opowiadasz swoim studentom? Czyż nie o to chodzi w twoich książkach? - o bezstronność z odrobiną realizmu i sceptycyzmu?

Jessica teraz stała, wysuwając głowę, podobnie jak czynił to jej ojciec.

- A może jesteś już za bardzo przesiąknięty cynizmem? Psychikę, panie Bishop, badać mogą ludzie o zdrowych umysłach, nie cynicy i nie fanatycy. Ludzie, którzy gotowi są na przyjęcie faktów i którzy chcą te fakty odkrywać.

Wskazała na niego trzymanym w ręku papierosem.

- Jesteś płatnym poszukiwaczem duchów. W porządku, wynajmujemy cię. Zapłacimy ci za usługi. Zapłacimy, żebyś skończył to, co zacząłeś dziewięć miesięcy temu. Chcemy, żebyś zbadał ten dom przy Willow Road. Może ty znajdziesz odpowiedź.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bishop zatrzymał samochód, rozkoszując się miłym dla ucha dźwiękiem miażdżonego żwiru. Spojrzał na wysoki budynek z czerwonej cegły, zbudowany jeszcze za czasów królowej Anny, i powiedział:

- Wygląda na to, że ona ma parę groszy. Jessica obrzuciła wzrokiem dom.

- Kirkhope'owie są potęgą w przemyśle okrętowym. Przynajmniej byli w latach trzydziestych i czterdziestych, kiedy żył ojciec Dominica, ale jego potomkowie mają teraz kłopoty, gdyż skończył się okres dobrej koniunktury na statki.

- I tylko ona pozostała?

Schowwał okulary do kieszeni marynarki.

- Agnes Kirkhope jest ostatnim potomkiem w linii prostej. Po śmierci ojca, ona i jej brat przejęli majątek, ale z tego, co wiem, Dominie tylko w niewielkim stopniu brał udział w prowadzeniu interesów.

- Myślisz, że będzie chciała o nim mówić? Rodziny na ogół bardzo niechętnie opowiadają o swoich czarnych owcach.

- Sądzę, że zależy to od naszych pytań. Może nie będzie chciała, abyśmy zbyt się w to zagłębiali.

- Kiedy agenci do spraw nieruchomości wynajęli mnie, abym zbadał Beechwood, chciałem zobaczyć się z właścicielami, ale mi nie pozwolili. Uważali, że nie jest to potrzebne. Właściwie mieli rację - tylko że ja lubię znać historię domu. Nie upierałem się wtedy, gdyż traktowałem to jako kolejną rutynową sprawę. Ale tym razem chcę wiedzieć jak najwięcej, zanim ponownie wejść do tamtego domu.

- Najpierw musimy uzyskać pozwolenie na przeprowadzenie ponownych badań.

- Poprawka: w ogóle badań. Tamte nie zostały nawet rozpoczęte.

Zgasił silnik i chciał otworzyć drzwi. Jessica położyła mu rękę na ramieniu.

- Chris - powiedziała. - Naprawdę myślisz, że tak będzie najlepiej?

Zastanawiał się dobrą chwilę, zanim otworzył szeroko drzwi.

- Jeżeli opowiemy jej tę historię, przerazi się. Czy naprawdę sądzisz, że chciałaby znów rozgrzebywać sprawę dziwnego samobójstwa brata i to, co gorsza, w powiązaniu z ostatnimi zbrodniami? Trzymajmy się wersji, jaką podałem jej przez telefon. I tak niechętnie zgodziła się mnie przyjąć, chociaż nie dałem jej żadnego powodu do niepokoju.

Poszli przez podjazd w kierunku masywnych drzwi frontowych, które otworzyły się, gdy tylko podeszli.

- Pan Bishop? - spytała ciemnoskóra, zażywna kobieta.

- I panna Kulek - odpowiedział. - Jesteśmy umówieni z panną Kirkhope.

Służąca skinęła głową, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Proszę wejść, panna Kirkhope oczekuje państwa.

Z przestronnego holu wprowadziła ich do dużego, wysokiego salonu. Ściany ozdabiałały obrazy, które przedstawiały płynące po morzu statki, zarówno staromodne żaglowce, jak i nowoczesne transatlantyki, a w różnych miejscach pokoju znajdowały się szklane gabloty z modelami statków.

- Proszę zaczekać, panna Kirkhope zaraz zejdzie. Spodziewa się państwa.

Służąca opuściła pokój, w dalszym ciągu uśmiechając się z zachwytem, jakby ich obecność tego dnia nadawała sens jej pracy.

Podczas gdy Bishop rozglądał się po pokoju, Jessica usiadła na starej, ciemnobrązowej, masywnej kanapie, podkreślającej marynistyczny charakter wnętrza.

- Interesy nie idą chyba tak źle - zauważył w zamyśleniu Bishop.

- Nie idą tak źle, panie Bishop, ale straciły już dawny rozmach.

Zaskoczyło ich nagłe pojawienie się w drzwiach Agnes Kirkhope.

- Przykro mi, nie chciałem pani urazić - przeprosił Bishop.

- W porządku, nic się nie stało - powiedziała wchodząc żwawo do pokoju w jej oczach malowało się rozbawienie. - Muszę przyznać, że ten pokój robi największe wrażenie. Dlatego zawsze tutaj przyjmuję gości.

Była niska i szczupła, trzymała się prosto, a żywość ruchów oparła się upływowi czasu. Jej włosy były zupełnie białe, ale wciąż układały się w miękkie fale. Usiadła na przeciwległym końcu kanapy, z twarzą zwróconą do Jessiki, i patrzyła na nich przez małe okulary w złotej oprawce. Jej oczy w dalszym ciągu wyrażały rozbawienie wywołane zakłopotaniem, w jakie wprawiła Bishopa swoim odezwaniem się.

- Nie spodziewałam się dwojga gości.

- Przepraszam, powinienem uprzedzić panią przez telefon. To jest panna Kulek.

Stara dama uśmiechnęła się do Jessiki.

- A kim jest panna Kulek?

- Jessica pracuje dla Instytutu Badań Parapsychologicznych.

- Naprawdę? - panna Kirkhope przybrała srogą minę. - A co to właściwie jest?

- Badamy zjawiska paranormalne - odpowiedziała Jessica.

Stara dama była jeszcze bardziej niezadowolona.

- Z jakiegoś szczególnego powodu? Bishop uśmiechnął się szeroko.

- Żeby dowiedzieć się czegoś więcej o nas samych, panno Kirkhope - odpowiedziała Jessica. Panna Kirkhope chrząknęła, jakby chciała zmienić temat.

- Mogę poczęstować was kieliszkiem sherry? Lubię sobie pociągnąć, przynajmniej raz dziennie. Anno! Prosimy o sherry!

Pokojówka ukazała się tak szybko, jakby stała pod drzwiami czekając na wezwanie. Uśmiechnęła się do wszystkich promiennie.

- I podaj cypryjskie - dodała panna Kirkhope - nie hiszpańskie.

Bishop i Jessica spojrzeli na siebie z lekkim rozbawieniem. Powstrzymali uśmiech, gdy stara dama znów skupiła na nich uwagę.

- Panie Bishop, powiedział mi pan przez telefon, że chce wznowić dochodzenie w sprawie Beechwood. Czy nie zrezygnuje pan z tego nawet po swoich ostatnich, potwornych doświadczeniach?

- Wręcz przeciwnie - skłamał Bishop - one tylko ujawniły dalsze powody, dla których powinienem zbadać tę posiadłość.

- Co konkretnie? I proszę usiąść - wskazała ręką na fotel.

Usiadł na brzegu fotela, opierając ręce na kolanach.

- Musi być jakieś wytłumaczenie faktu, że ci wszyscy ludzie się pozabijali. W tym domu mogą działać jakieś psychiczne siły.

- Naprawdę, panie Bishop? Agenci zapewniali mnie, że jest pan bardzo praktycznym człowiekiem, mimo pańskiego zawodu. Pierwotnie został pan wynajęty, by znaleźć bardziej materialne przyczyny niszycielskiej atmosfery Beechwood.

- I w dalszym ciągu mam nadzieję je znaleźć. Nie możemy jednak zignorować tego, co się stało, musimy szukać innych... elementów. Dlatego chciałbym zabrać z sobą pannę Kulek i jej ojca, który jest prezesem Instytutu Badań Parapsychologicznych. Mogą odkryć więcej niż ja sam.

Anna przyniosła i rozlała sherry, traktując bursztynowy napój jak święcone wino, i opuściła pokój, rozplywając się w uśmiechu.

- Ona jest tu nowa - wyjaśniła lapidarnie panna Kirkhope. Podniosła kieliszek. - Na zdrowie, moi drodzy. Popijali sherry, tak słodkie, że Bishop aż się skrzywił.

- Co tak nagle zachęciło pana do wznowienia dochodzenia, panie Bishop? Ciekawa jestem, czy to ostatnie wydarzenia na Willow Road tak rozpały pańską ciekawość?

Prawie zakrzuszył się sherry.

- Przez lata, po śmierci ojca, prowadziłam interesy praktycznie sama, z niewielką pomocą mojego drogiego brata Dominica - pokiwała głową w kierunku stojącej na kredensie fotografii, która przedstawiała pucułowatą twarz młodego mężczyzny o ciemnych, kręconych włosach. Podobieństwo do panny Kirkhope było minimalne.

- Prawdą jest, że firma podupała, ale taki los spotkał cały przemysł okrętowy, zatem proszę nie uważać mnie za idiotkę tylko dlatego, że jestem starą kobietą. Śledzę wiadomości, a nazwy Willow Road nigdy chyba nie zapomnę.

- Bardzo nam przykro, panno Kirkhope - odezwała się Jessica - mam nadzieję, że nie obraziliśmy pani. Chris nie miał zamiaru powracać do tego domu, dopóki go do tego nie nakłoniłam.

- Jeżeli mamy mówić otwarcie, wyjaśnijmy sobie od razu wszystko - powiedział Bishop. - Jacob Kulek wynajął mnie, abym zbadał Beechwood, oczywiście jeśli uzyskam pani zgodę. Nie chcieliśmy budzić w pani dawnych wspomnień, ale Jessica i jej ojciec uważają, że istnieje związek pomiędzy Beechwood a ostatnimi zbrodniami na Willow Road.

- Myśli pan, że naprawdę tak jest?

Bishop zawahał się, zanim odpowiedział:

- Nie, nie sędzę. Ale... - spojrzał na Jessikę - ... myślę, że warto się temu przyjrzeć. Jacob Kulek jest niekwestionowanym autorytetem w swojej dziedzinie i każda jego opinia w tej sprawie powinna być wzięta pod uwagę. Nawiasem mówiąc, znał pani brata, a także jego kolegę, człowieka nazwiskiem Pryszałak. - Zauważył, że na wzmiankę o Pryszałak u twarzy starej kobiety drgnęła.

- Przestrzegałam Dominica przed tym mężczyzną. - Jej usta zacisnęły się w wąską linię. - Mój brat był głupcem i błaznem, ale Pryszałak był zły. Zrozumiałam to, jak tylko go zobaczyłam. Syn diabła.

Jessica i Bishop byli zdziwieni tym wybuchem. Równie nagle napięcie opuściło ciało starej kobiety. Uśmiechnęła się do nich figlarnie.

- Moi drodzy, staram się nie denerwować tym, co teraz się dzieje, ale czasami dokuczają mi wspomnienia. A wracając do sprawy, jeśli pozwolę wam wejść do Beechwood, jaki będzie wasz plan działania?

- Pani nie miałyby nic przeciwko temu? - spytał zdziwiony Bishop.

- Tego jeszcze nie powiedziałam - brzmiała krótka odpowiedź.

- Przede wszystkim chciałbym poznać historię tego domu. Dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co działo się tam w latach trzydziestych. Chciałbym wiedzieć, w co był wplątany pani brat, panno Kirkhope.

- A jeśli nie zdecyduję się udzielić panu tych informacji?

- Wtedy, przynajmniej jeśli o mnie chodzi, będę uważał" sprawę za zakończoną. Nie podejmę się badania domu.

W pokoju zaległa cisza. Bishop i Jessica przyglądali się pannie Kirkhope, która w zamyśleniu popijała sherry. Długo wpatrywała się w podłogę, aż w końcu przemówiła ze smutkiem w głosie:

- Beechwood od wielu, wielu lat jest częścią historii mojej rodziny. Wiecie, tam się urodził Dominie. Co prawda przez przypadek. To była wiejska posiadłość moich rodziców, zbudowana w okresie, kiedy w tych stronach było naprawdę szczerze pole, na długo, długo zanim zaczęto zabudowywać te tereny. Gdy mój ojciec chciał, żeby matka wypoczęła,

wysyłał ją tam ze mną na weekend. Był zajęty, wciąż zajęty, a matka była w siódmym miesiącu ciąży. Myślał, że zmiana otoczenia dobrze jej zrobi - zaśmiała się gorzko. - Ale nie odpoczęła w czasie tego weekendu. Dominie był wcześniakiem; to było takie typowe dla niego - spieszyć się głupio na ten świat, zanim przyszła jego pora.

Wzrok miała nieobecny, daleki, jakby odtwarzała w myślach ten obraz.

- Wtedy miałam dopiero siedem lat i to ja właśnie znalazłam matkę na schodach prowadzących do piwnicy. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, dlaczego na samym początku, kiedy tylko zaczęły się bóle porodowe, zeszła na dół. Matka tak bardzo cierpiała rodząc Dominica, że później nie mogła sobie nic przypomnieć. O Boże, jak krzyczała tej nocy. Pamiętam, że leżałam w łóżku nasłuchując i modląc się do Boga, żeby dziecko umarło i przestało zadawać matce ból. Nie chciała, żeby ją przeniesiono, urodziłaby Dominica właśnie tam, w piwnicy, gdyby służący nie zignorowali jej próśb. Wciąż jeszcze słyszę jej pełne udręki krzyki, kiedy wnosili ją na górę. Urodził się o świcie następnego ranka i słyszałam, jak jedna ze służących dziwiła się, dlaczego narobiono tyle hałasu poprzedniej nocy, skoro w końcu dziecko tak szybko i łatwo wyskoczyło na prześcieradło.

Mam wrażenie, że matka nie doszła już nigdy do siebie po tej strasznej nocy. Później zawsze była słaba, ciągle chorowała to na to, to na tamto. Mimo to kochała Dominica. Och, świata poza nim nie widziała! Po jego urodzeniu nigdy już nie pojechała do Beechwood, więc ojciec zaczął wynajmować dom, żeby nie stał pusty. Poza tym, dla ludzi na naszym poziomie, okazał się w pewnym momencie za skromny. Trzeba bowiem pamiętać, że nasza fortuna szybko się powiększała. Od tamtego czasu nie odwiedzałam tego miejsca, nie miałam ochoty. Ale Dominie powrócił tam - miał wtedy dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat, dokładnie nie pamiętam. Wykonując obowiązki powierzone mu przez ojca, nadzorował wówczas kilka posiadłości, które do nas należały. Ale w jakiś dziwny sposób fascynowało go Beechwood, może dlatego, że tam się urodził.

Panna Kirkhope przerwała, aby napić się sherry; nagle popatrzyła na gości, jakby przypominając sobie, że wciąż jeszcze są w pokoju i że to na ich prośbę przywołuje wspomnienia.

- Myślę, że dla Dominica był to naprawdę przełomowy moment. Do tej pory był samowolny, ale to była tylko młodzieńcza poza. Wiele razy jeździł do Beechwood, a my naturalnie myśleliśmy, że lubi towarzystwo ludzi, którzy zajmowali ten dom. Wydawało się, że nie ma w tym nic złego, choć ojciec przestrzegał go, że właściciel domu nie powinien zbyt często spoufalać się z ludźmi, którym go wynajmuje. W okolicy przybywało mieszkańców i wkrótce Beechwood zostało otoczone innymi posiadłościami; dom w dalszym ciągu robił



wrażenie, może nie był najbardziej elegancki, ale solidnie zbudowany - taki, który może przetrwać wieki. Dominie był coraz bardziej nieuchwytny - rzadko go widywaliśmy. Ale zaniepokoił się dopiero parę lat później, gdy policja poinformowała ojca o licznych skargach na zachowanie mieszkańców Beechwood. Myślę, że ojciec stracił już wtedy nadzieję, iż Dominie pójdzie w jego ślady i, w zasadzie, w tym czasie ja przejęłam obowiązki. Byłam, jak to się mówi, starą panną - nie wiem dlaczego, nie sądzę, że w tamtym okresie była nieatrakcyjna; prawdopodobnie przemysł okrętowy interesował mnie bardziej niż mężczyźni. Myślę, że dla ojca to była ogromna ulga, że ma kogoś, na kim może polegać, komu może zaufać i kto może mu pomóc w prowadzeniu interesów. Obawiam się, że matka, niech Bóg ma ją w swojej opiece, nie interesowała się niczym. Ożywiła się tylko w obecności Dominica, co, rzecz jasna, nie zdarzało się zbyt często. Panie Bishop, ledwie spróbował pan swojego drinka. Może wolałby pan coś mocniejszego?

- O, nie, dziękuję. Sherry jest wspaniałe.

- Może więc będzie pan uprzejmy dolać mi. Panno Kulek, napije się pani jeszcze?

Jessica podziękowała i Bishop wziął pusty kieliszek z rąk starej damy i postawił na srebrnej tacy, leżącej na małym, ozdobnie rzeźbionym stoliku. Gdy nalał, zagadnął pannę Kirkhope:

- Co właściwie działo się w Beechwood? Niepokój pogłębił liczne zmarszczki na twarzy starej kobiety.

- Jakaś nowa sekta religijna zrobiła z tego domu swój kościół - Świątynia Złotej Świadomości, tak ją chyba nazywali. Albo równie głupio. W tamtych czasach było tyle bezsensownych stowarzyszeń. - Wyraz zaniepokojenia na jej twarzy ustąpił miejsca pogardzie.

- Niestety, w dalszym ciągu istnieją - wtrąciła Jessica.

- Panno Kirkhope, czy pani brat przyłączył się do tej sekty religijnej? - spytał Bishop, podając jej sherry.

- Och, tak, należał do niej. Wtedy był już pełnoprawnym, praktykującym członkiem. Mój ojciec ukrywał przede mną i przed moją matką bardziej drastyczne szczegóły, ale sądzę, że orgie seksualne odgrywały znaczną rolę w ich praktykach. Przypuszczam, że mogliby to ukryć, gdyby nie robili tak potwornego hałasu. Zaprotestowali sąsiedzi. Ojciec natychmiast unieważnił umowę i oczywiście kazał mieszkańcom Beechwood i ich dziwnym przyjaciółom opuścić dom. Dominie nie pokazywał się, gdzieś się ukrył. Niewątpliwie się wstydził.

- Kim byli ci mieszkańcy? - spytała cicho Jessica.

- Och, nie pamiętam już ich nazwisk, to było tak dawno temu. Mężczyzna i jego żona lub kochanka - nie jestem już pewna, w każdym razie musieli być obłąkani...

- Dlaczego pani tak sądzi? - spytał Bishop.

- Nie chcieli opuścić domu. Wiem, że nie ma w tym jeszcze nic dziwnego, ale gdy poinformowano ich, że zostaną usunięci siłą, wybrali dziwne rozwiązanie.

- Co zrobili? Zabarykadowali się?

- Nie - odpowiedziała łagodnie panna Kirkhope. - Zabili się.

Bishop poczuł, że mięśnie ma napięte, a gdy spojrzął na Jessikę, stwierdził, że po niej również widać zdenerwowanie.

- Z jakiegoś powodu - kontynuowała stara dama - nikt już potem nie zamieszkał na stałe w Beechwood. Sąsiedzi rozsiewali plotki, puszczali rozmaite pogłoski. To zrobiło swoje. Ludzie wprowadzali się, mieszkali przez parę miesięcy - i uciekali stamtąd. Myślę, że nikt nie mieszkał tam dłużej niż rok. Matka umarła, stan zdrowia ojca znacznie się pogorszył i siłą rzeczy byłam coraz bardziej pochłonięta interesami, a Beechwood pozostało na marginesie spraw, którymi się zajmowałam. Mieliśmy agentów, oni opiekowali się naszymi posiadłościami i rzadko niepokoiłi nas, oczywiście dopóki nie pojawiły się jakieś nietypowe problemy. Muszę przyznać, że nie myślałam wiele o Beechwood podczas tych lat.

- Co się stało z pani bratem? - zainteresowała się Jessica. - Czy wrócił kiedyś do tego domu? Z wyjątkiem oczywiście... ostatniego razu.

- Nie wiem. Możliwe. Prawdopodobnie. Jak mówiłam, Beechwood fascynowało go w szczególny sposób. Po tym skandalu tak naprawdę spotkałam się z Dominikiem tylko raz, kiedy umarł ojciec. Niech pomyślę... to mógł być rok 1948. Przyszedł po należną mu część spadku. Chętnie zrezygnował ze wszystkich praw do rodzinnych interesów, ale był zmartwiony tym, że pozbawiono go nieruchomości. Ojciec, raczej rozsądnie, pozostawił wszystko mnie. Pamiętam, że brat chciał kupić ode mnie Beechwood, ale odmówiłam, przypomniawszy sobie, co przydarzyło się tam w przeszłości. Był wściekły, jak niegrzeczny mały chłopiec, który nie dostał obiecanej zabawki. - Uśmiechnęła się, ale to było smutne wspomnienie. - Później nie widywałam go często, zresztą nie miałam na to ochoty. Nie podobało mi się to, co się z nim stało.

- Co to było, panno Kirkhope?

Poważnie, choć z uśmiechem, spojrzała na Bishopa.

- To moja tajemnica, panie Bishop. Ja tylko słyszałam opowieści rozmaitych ludzi i nie mam dowodów, że mówili prawdę; ale bez względu na to, czy mieli rację, czy nie, nie chcę już na ten temat rozmawiać. - Jej szczupłe, białe dłonie ścisnęły szklanke, palce złączyły

się ze sobą. - Dom przez wiele lat pozostawał pusty, dopóki nie zdecydowałam się wystawić go na sprzedaż z innymi nieruchomościami, które posiadałam. Nie byłam już w stanie w skuteczny sposób prowadzić interesów i przekazałam obowiązki w bardziej odpowiednie ręce. W dalszym ciągu byłam nominalnym członkiem zarządu, ale praktycznie nie miałam wpływu na prowadzenie spółki. Sprzedałam nieruchomości, gdy firma potrzebowała szybkiego zastrzyku gotówki, ale obawiam się, że przyniosło to jej tylko chwilową ulgę. Mimo to urządziłam się dostatecznie wygodnie. Niewiele spraw finansowych dotyczy mnie w tych ostatnich latach. Jest jedna pozytywna strona starości - nie trzeba się martwić o przyszłość.

- Ale nie sprzedała pani Beechwood.

- Nie mogłam, panie Bishop, po prostu nie mogłam. Jak na ironię nikt nie chciał kupić tej jedynej posiadłości, której chciałam się pozbyć! - Potrząsnęła głową z rozbawieniem. - Można to nazwać „Szaleństwem Kirkhope’ów” lub „Przekleństwem Kirkhope’ów”. Zgodziłam się nawet na całkowity remont domu, ale w dalszym ciągu nikt go nie chciał. Agenci kładli to na karb „złej atmosfery”. Widocznie zdarza się to od czasu do czasu w handlu nieruchomościami. Dlatego wezwaliśmy pana, panie Bishop, żeby oficjalnie „oczyścił” pan dom.

- Powiedziałem wtedy agentowi, że nie jestem egzorcystą.

- Ani nie wierzył pan w duchy. Dlatego właśnie wybrali pana. Agenci poinformowali mnie, że często żyły wodne przechodzące pod domem, osiadanie terenu czy nawet kurczenie się materiałów budowlanych mogą spowodować te trudne do wytłumaczenia zjawiska.

- Wiele dziwnych zdarzeń można wytłumaczyć przez dokładne zbadanie terenu, panno Kirkhope. Stukanie, otwieranie się drzwi bez powodu, skrzypienie, jęki, pojawiające się kałuże wody, dziwny chłód w niektórych miejscach - zazwyczaj wszystkie te zjawiska można logicznie wyjaśnić.

- No tak, agenci mieli pewność, że odkryje pan przyczynę.

- Niestety, nie miałem okazji.

- Nie. Ale teraz chce pan znowu spróbować? Skinął głową.

- Za pani pozwoleniem.

- Ale pana motywy nie są zupełnie takie same jak panny Kulek i jej ojca.

- Nie. Jacob Kulek i Jessica uważają, że jest coś złowieszczonego w Beechwood. Chcę udowodnić, że się mylą.

- A ja myślałam, że robisz to dla pieniędzy - z sarkazmem w głosie powiedziała Jessica.

- To także.

Agnes Kirkhope zignorowała tę nagłą wrogość pomiędzy swymi gośćmi.

- Nie sądzi pan, że Willow Road nadano już dostateczny rozgłos? Naprawdę uważa pan za konieczne ponowne rozgrzebywanie tej makabrycznej afery w Beechwood?

- Mówiłem już pani, że zdanie Jacoba Kuleka bardzo się liczy w kręgu badaczy psychiki ludzkiej. Z tego co o nim wiem, nie należy do ludzi, którzy wydają pochopne opinie czy też snują nieuzasadnione spekulacje. Uważa, że mógłbym sobie jeszcze coś przypomnieć z tego, co widziałem w Beechwood. Ja natomiast chciałbym zakończyć to, co” rozpocząłem, i z osobistych powodów udowodnić, że myli się w sprawie tego domu.

- Obiecuję, że dochodzenie utrzymamy w tajemnicy - powiedziała otwarcie Jessica. - Zanim podejmiemy jakieś działania, zdamy pani dokładną relację z tego, co tam odkryjemy.

- Jeśli to zrobicie, a ja poproszę was, żebyście już nie zajmowali się tą sprawą, czy spełnicie moją prośbę?

- Nie mogę tego obiecać, panno Kirkhope. To będzie zależało.

- Od tego, co tam odkryjecie?

- Tak.

Agnes Kirkhope głośno westchnęła i wzruszyła ramionami, a następnie raz jeszcze zaskoczyła ich, mówiąc:

- Świetnie. Tak niewiele spraw może już zainteresować starą kobietę, może to ożywi moje dość nudne życie. Zakładam zatem, że będzie pani opłacała pana Bishopa?

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Jessica.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego Dominie popełnił samobójstwo.

- Nie sądzę, żeby udało nam się to odkryć - powiedział szybko Bishop.

- Prawdopodobnie nie. Ale chyba bardziej niż pan wierzę w tajemnice życia, panie Bishop, pomimo pańskiej profesji. No, ale zobaczymy.

- Więc możemy zaczynać? - spytała Jessica.

- Tak, moja droga, możecie zaczynać. Jest tylko jeszcze jedna sprawa.

Bishop i Jessica jednocześnie się pochylili.

- Macie bardzo mało czasu na zakończenie dochodzenia. Od dziś za cztery dni Beechwood zostanie zburzone.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Powoli nadchodził zmierzch i mieszkańcy Willow Road nerwowo zasłaniali okna, obawiając się ciemności, która mogłaby zajrzeć do ich domów. Na zewnątrz panował teraz

spokój, ulicę opuścili w końcu dziennikarze i reporterzy telewizyjni, zabierając ze sobą liczne notatki i materiały filmowe, zawierające opinie i obawy zamieszkałych tu ludzi. Nie było już także gapiów, którzy na tej zwyczajnej, raczej szarej ulicy nie znaleźli nic godnego uwagi. Chodnikiem przechadzało się dwóch posterunkowych - w jednym kierunku szli lewą stroną ulicy, a wracali prawą - rozmawiając cicho, uważnie obserwując każdy mijany dom. Co dwadzieścia minut jeden z nich nadawał przez krótkofalówkę meldunek do bazy, że panuje tu spokój. Latarnie słabo oświetlały ulicę i panująca między nimi ciemność budziła grozę w przechadzających się policjantach, każde zbliżenie się do strefy mroku potęgowało czujność.

Pod numerem 9 Dennis Brewer włączył telewizor prosząc żonę, by odeszła od okna, przez które zerkalała na ulicę. Trójka ich dzieci, sześciolatek chłopiec i siedmioletnia dziewczynka siedzący na dywanie przed telewizorem oraz jedenastoletni chłopiec usiłujący odrabiać lekcje przy stole w salonie, z zaciekawieniem popatrzyła na matkę.

- Chcę tylko sprawdzić, czy policjanci jeszcze są tutaj - powiedziała, zasłaniając dokładnie okno.

- Nic się już nie zdarzy, Ellen - powiedział poirytowany mąż. - Do diabła, już chyba nic więcej nie może się zdarzyć.

Ellen usiadła obok niego na sofie, obserwując kolorowe sylwetki na ekranie telewizora.

- Nie wiem, to wszystko jest takie dziwne. Nie lubię już tej ulicy, Dennis.

- Mamy to już poza sobą. Nie musimy się o nic martwić. Kręciły się tu te wszystkie skurwysyny, ale, dzięki Bogu, usunięto ich za jednym zamachem. Nareszcie będziemy mieli trochę spokoju.

- Oni nie mogli wszyscy być obłąkani, Dennis. To nie ma sensu.

- A co ma sens w dzisiejszych czasach. - Na chwilę oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na dzieci, które przyglądały się im w napięciu.

- Patrz, co zrobiłaś - zaczął narzekać. - Przestraszyłaś dzieci.

Ukrywając swoją irytację, uśmiechnął się do nich uspokajająco, a następnie powrócił do oglądania telewizji.

Pod numerem 18 Harry Skeates zamknął właśnie za sobą frontowe drzwi.

- Jill, jestem już w domu! - zawołał. Żona szybko wyszła z kuchni.

- Spóźniłeś się - powiedziała i zaniepokoił go jej pełen napięcia głos.

- A tak, wypilem jednego z Geoffem na stacji. Wszystko w porządku?

- Och, jestem trochę zdenerwowana. Pocałował ją w policzek.

- Nie masz się czym denerwować, głuptasie. Policjanci patrolują ulicę.

Wzięła od niego płaszcz i powiesiła w szafie pod schodami.

- Wszystko jest w porządku, gdy jesteś w domu. Boję się tylko, kiedy jestem sama. Ta ulica trochę mnie przeraża. Harry zaśmiał się.

- Stary Geoff jest całkowicie pochłonięty tą sprawą. Zastanawia się, kogo teraz zakatrupią.

- To wcale nie jest śmieszne, Harry. Innych sąsiadów nie znam zbyt dobrze, ale pani Rowlands zawsze była bardzo miła, kiedy z nią rozmawiałam.

Harry nogą przesunął teczkę, pozostawioną w holu, i wszedł do kuchni.

- O rany, żeby w ten sposób zabić! Poderżnąć gardło maszyną do strzyżenia żywopłotów. Ten facet musiał być stuknięty.

Jill włączyła elektryczny czajnik.

- Nie bardzo go lubiłam. Myślę, że jego żona także, żebyś posłuchał, jak o nim mówiła. Opowiadała, że nienawidził jej psa.

- Ja też nie przepadam za pudłami.

- Ale żeby to zrobić biednemu zwierzęciu...

- Zapomnij o tym, kochanie. Już po wszystkim.

- Tak samo mówiłeś w zeszłym tygodniu. Potrząsnął głową.

- Wiem, ale kto mógł przypuszczać, że jeszcze coś takiego może się wydarzyć. To wszystko trudno wytłumaczyć. W każdym razie, teraz jestem absolutnie przekonany, że to już koniec. Napijmy się lepiej herbaty, dobrze?

Odwróciła się, sięgając do szafki. Chciała w to wierzyć.

Pod numerem 27 starszy mężczyzna leżał w łóżku i drżącym głosem rozmawiał z pielęgniarką.

- Julie, są tam jeszcze?

Pielęgniarka zaciągnęła zasłony i odwróciła się, by spojrzeć na starca.

- Tak, Benjaminie. Właśnie przeszli.

- Przez wszystkie lata, odkąd tu mieszkam, nigdy nie były potrzebne patrole policyjne.

Podeszła do łóżka, obok którego stała nocna lampka, rzucająca na róg pokoju swój olbrzymi cień, tworzący głęboką, czarną próżnię.

- Czy napiłbyś się teraz mleka? - zapytała cicho. Uśmiechnął się do niej. W słabym świetle jego stara, pokryta zmarszczkami twarz przypominała pożółkły pergamin.

- Tak, może trochę. Julie, zostaniesz ze mną dzisiaj wieczorem, prawda?

Pochyliła się nad nim w wykrochmalonej sukni, którą nosiła zamiast fartucha, i przyciskając obfite piersi do oparcia łóżka, poprawiła pościel wokół jego ramion.

- Oczywiście, że zostanę, przecież obiecałam.

- Tak, obiecałaś.

Sięgnął po jej pulchną, lecz jędrną dłoń.

- Jesteś dla mnie dobra, Julie - powiedział. Poklepała go po ręce i wsunęła ją z powrotem pod koc, układając jego wątle, starcze ciało.

- Zostaniesz ze mną, prawda? - spytał.

- Przecież powiedziałam, że zostanę - odpowiedziała cierpliwie.

Ułożył się wygodnie w łóżku, naciągając koc na ramiona.

- Myślę, że napiłbym się teraz trochę gorącego mleka - westchnął.

Pielęgniarka wyprostowała się, kropelki potu błyszczały na delikatnych włoskach nad jej górną wargą. Przeszła przez pokój i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Pod numerem 33 Felicity Kimble patrzyła gniewnie na ojca.

- Dlaczego nie mogę wyjść, tato? To jest świństwo.

- Powiedziałem, że nie wolno ci wychodzić wieczorem - tłumaczył zmęczonym głosem Jack Kimble. - Nie chcę, żebyś wychodziła z domu, gdy dzieją się takie rzeczy.

- Ale ja mam już piętnaście lat, tato. Jestem wystarczająco dorosła, potrafię sama się sobą zaopiekować.

- Nikt nie jest na tyle dorosły, aby był bezpieczny w dzisiejszych czasach. Powtarzam: nigdzie nie pójdziesz.

- Mamo! - zawołała płaczliwym głosem.

- Felice, ojciec ma rację - powiedziała matka łagodniejszym niż mąż tonem. - Nie zdajesz sobie sprawy, jacy ludzie kręcą się teraz po okolicy.

- Ale co się może stać? Przed domem są gliny!

- Policja, Felice - poprawiła ją matka.

- Poza tym Jimmy odwiezie mnie do domu.

- Tak - powiedział ojciec składając gazetę. - I to jest jeszcze jeden powód, żebyś nie wychodziła z domu.

Felicity spojrzała na nich, zagryzając wargi. Bez słowa opuściła pokój, po drodze, niby to przypadkowo, kopiąc wieżę, którą z klocków Lego budował jej braciszek.

- Może powinniśmy pozwolić jej wyjść, Jack - spytała matka, pomagając płaczącemu synkowi pozbierać plastikowe cegielki.

- Och, nie zaczynaj od nowa - powiedział Jack, kładąc gazetę na kolanach. - Gdy się tylko tu trochę uspokoi, będzie mogła wychodzić, kiedy tylko zechce. Oczywiście pod warunkiem, że wróci o przyzwoitej porze.

- Ale oni są teraz inni, Jack. Bardziej niezależni.

- Do cholery, za bardzo niezależni, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Na górze, w swoim pokoju, Felicity zapaliła światło i rzuciła się na wąskie łóżko.

- Głupi, starzy kretyni - powiedziała głośno. Traktują ją, jakby miała dziesięć lat. A przecież chciała pójść tylko na parę godzin do klubu. Jimmy będzie na nią czekał. Miała już tego dosyć. W szkole traktują ją jak dziecko, w domu traktują ją jak dziecko. A była już kobietą. Spojrzała na swoje wypukłości, aby się upewnić. Zadowolona, przewróciła się na łóżku i walnęła w poduszkę zaciśniętą pięścią. Cholerna, głupia ulica, ludzie mordują się nawzajem przez cały czas. Pomyślała ze smutkiem o zastrzelonych tak niedawno dwóch braciach, którzy mieszkali w sąsiedztwie; młodszy z nich wyglądał całkiem sympatycznie, nawet jej się podobał. Nie znaczy to, że tata był dobrego zdania o którymś z nich. W każdym razie teraz obaj nie żyją, młodszy zmarł na skutek odniesionych ran zaledwie wczoraj, nieomal w tym samym czasie, co jego ojciec. Co za strata! Felicity wyskoczyła z łóżka i podeszła do przenośnego kasetowego magnetofonu. Przewinęła znajdującą się w nim taśmę i wcisnęła przycisk. Rozległa się cicha, powolna muzyka podkreślająca raczej niż wyolbrzymiająca rytm - taką lubiła najbardziej. Poruszała się w takt piosenki, pochłonięta jej słowami, zapominając na chwilę, jak bardzo była obrażona na rodziców. Tańcząc, nieświadomie zbliżyła się do okna; zatrzymała się, gdy ujrzała swe odbicie w ciemnej szybie. Przycisnęła do niej twarz i osłaniając dłońmi oczy, zrobiła ciemny tunel, przez który mogła patrzeć. Przechodzący pod domem dwaj policjanci zerknęli w górę i poszli dalej. Felicity obserwowała ich, dopóki nie zniknęli w mroku ulicy. Zamyślona zasunęła kotary.

Naprzeciwno, pod numerem 32, Eric Channing jęknął z rozczarowania. Okno domu po drugiej stronie ulicy było jedynie słabo oświetlonym prostokątem. Na ogół dziewczyna tylko częściowo zaciągała zasłony, prawdopodobnie nie zdając sobie sprawy, że może być widziana z sypialni po przeciwnej stronie ulicy. W ciągu ostatniego roku Eric spędził wiele czasu na jej podglądaniu. Na dole jego żona myślała, że w małym pokoju obok sypialni bawi się zbudowaną przez siebie kolejką. Eric wiedział, że Veronica traktuje jego kolejki jak dziecinną rozrywkę trzydziestoosmioletniego mężczyzny, dzięki niej jednak - jak często powtarzała w towarzystwie - nie miał czasu na robienie innych głupstw. To często było bardzo ryzykowne, gdy z oczami przyklejonymi do szyby, z uszami przyszpilonymi do schodów nasłuchiwał kroków swojej żony. W każdej chwili gotów był wybiec cicho na podest i udawać, że właśnie wyszedł z łazienki, kiedy usłyszy, że otwierają się drzwi salonu. Zrobiłaby mu piekło, gdyby się dowiedziała. Często całymi godzinami przesiadywał w zimnej sypialni, wpatrując się badawczo w niewielki - dziesięć do osiemnastu cali, w zależności od



tego, jak zaciągnięte były zasłony - pas światła po drugiej stronie ulicy, gdy tymczasem w pokoju obok miniaturowy pociąg furcząc jeździł w kółko; czuł podekscytowanie, gdy mignęła w oknie, serce mu zamierało z zachwytem, kiedy pojawiała się tam jej cała postać. W nagrodę pewnej nocy zobaczył ją tylko w staniczku i skąpych figach. A raz, tylko raz, otrzymał supernagrodę: dziewczyna zdjęła w oknie biustonosz! Czasami zastanawiał się, czy naprawdę nie wiedziała, jak wielkie pożądanie wywołuje jej młode ciało, czy też kokietowała go skrycie, czując, że kuli się w mroku, gdy paradowała przed nim.

Eric siedział jeszcze przez jakieś dziesięć minut z twarzą wciśniętą między zasłony, tak by nie było go widać w świetle ulicznej latarni. Z doświadczenia wiedział, że była to stracona noc: nic więcej już nie zobaczy. Wpadnie tu jeszcze raz, może dwa, aby upewnić się, czy dziewczyna nie odsłoniła okna, ale był pewny, że wieczorne przedstawienie skończyło się. Skrył się głębiej w ciemnościach pokoju, gdy nagle pojawiła się w oknie. Serce mu waliło jak młotem, lecz zorientował się, że dziewczyna obserwuje tylko dwóch policjantów na ulicy. Na pewno to przez nich zasłoniła okno. Wścibskie skurwysyny! Niechętnie odwrócił wzrok i przygnębiony wyszedł chyłkiem z pokoju. Czasami marzył o tym, by stać się niewidzialnym lub posiadać umiejętność przenikania przez mury - wtedy mógłby być z nią, w jej pokoju.

Gdy otworzył drzwi, żona odwróciła głowę od telewizora i przestała na chwilę robić na drutach.

- Nie bawisz się pociągami, kochanie? - spytała.

- Nie - odpowiedział żałośnie. - Nie interesują mnie dzisiaj, najdroższa.

Na zewnątrz, ulicą, przechadzało się dwóch policjantów.

- Cholernie zimny dziś wieczór, Del - powiedział jeden z nich, chuchając w ręce.

- Nie rozumiem, dlaczego nie podesłali tu dodatkowego wozu patrolowego.

- Nie mogą dawać samochodu na tę samą ulicę każdej nocy. I tak nie jesteśmy w stanie chronić całej okolicy. - Za to mamy mnóstwo hełmów.

- Co?

- Jest za mało samochodów do patrolowania ulic, ale za dużo hełmów. W tym roku dostałem trzy nowe. Stare wyszczerbiły się podczas meczów.

- Jak to?

- Mecze są zawsze, kiedy mam służbę. Już czas, żeby przetrzymali tych cholernych gówniarzy przez parę tygodni, zamiast zwalniać ich za śmieszny grzywnę.

- No tak. Kiedyś lubiłem służbę podczas meczów piłki nożnej. Więc masz trzy hełmy?

- I nowe radio. Jeden z tych gówniarzy uciekł z tym, które miałem. Tłum kibiców rozstąpił się przed nim jak Morze Czerwone, i zamknął przede mną, gdy go goniłem.

Szli przez chwilę w milczeniu, odgłos ich zgodnych kroków dodawał im otuchy na tej wyludnionej ulicy.

- Tak, jest ich mnóstwo - zauważył Del.

- Czego, hełmów?

- Taak, zgłasza się tylko za mało rekrutów. Jest mnóstwo hełmów. Wystarczyłoby dla wszystkich. Także radioodbiorników.

- Za mało wozów patrolujących.

- Tak. Za mało. Lepsze niż gwizdki.

- Co?

- Radia.

- O, tak. Gwizdki wyszły z użycia, zanim nastalem.

- Ale nadal są przydatne. Nigdy nie wiesz, kiedy radio wysiadzie.

Znów szli w milczeniu.

- Za dużo, wiesz?

- Czego, hełmów?

- Nie, idioto. Pieprzonych kibiców. Ich jest za dużo, a nas za mało. Nie możemy już ich upilnować. Kiedyś na meczu było paru rozrabiaków. Teraz większość kibiców to chuligani. Za dużo ich, żeby dać sobie z nimi radę.

- Taak, mnóstwo pomyleńców.

- Większość idzie za przywódcą. Ponosi ich nastrój stadionu.

- Wiem, co chciałbym z nimi zrobić. Del zaprotestował.

- Nie wolno ci, synu. Oni są tylko ofiarami warunków, w jakich rośli.

- Warunków? Nie widziałem, żeby któryś z nich był słaby czy anemiczny. Za to cholernie przydałyby się im dobre cięgi.

- Zaraz, zaraz, to nie jest rozwiązanie. Nie powinniśmy przysparzać kłopotów naszym miłym kolegom z wydziału opieki społecznej.

Szyderczy uśmiech młodszego policjanta przesłoniły ciemności, jako że wyszli właśnie z jasnego kręgu światła. Spojrzał w lewo, wpatrując się w duży dom jednorodzinny, który wyłonił się z mroku.

- To miejsce przyprawia mnie o gęsią skórkę - zauważył.

- Eee, ja się tam nie przejmuję.

- Jeszcze jedna banda wariatów. Del przytaknął.

- Wygląda na to, że faktycznie jest tu ich trochę. Młodszy policjant popatrzył w dół ulicy.

- Ciekaw jestem, czyja dziś kolej? Del uśmiechnął się.

- Nie, należy im się trochę spokoju. Mieli już swoją działkę kłopotów. Nie sędzę, żeby jakiś morderca pozostał jeszcze w którymś z tych domów.

- Miejmy nadzieję, że się nie mylisz - powiedział młodszy, gdy szli dalej bacznie obserwując ulicę; minęli Beechwood i odgłos ich kroków stopniowo cichł.

Julie naląła do filiżanki trochę mleka, następnie wypła łyżeczek, aby spróbować, czy nie jest za gorące. Nie zmartwiłaby się, gdyby ten staruch poparzył sobie gardło, ale wtedy jęczałby przez całą noc. Nie była pewna, czy by to wytrzymała.

Była już z nim sześć lat: sześć lat wysługiwania się, niańczenia, przymilania, sprzątania brudów, no i... tamtego. Jak długo jeszcze pociągnie? Kiedy po raz pierwszy przysłano ją tutaj z prywatnej agencji pielęgniarek, sądziła, że stary przeżyje dwa, najwyżej trzy lata. Ale wystrychnął ją na dudka. Sześć lat! Ciągłe kusilo ją, by wsypać coś do zupy albo do mleka, ale wiedziała, że musi być ostrożna. Okoliczności byłyby zbyt podejrzane. Jego testament natychmiast skierowałby podejrzenia na nią. Nie było nikogo, komu mógłby zostawić pieniądze. Wiedziała, że nie był bogaty, ale przecież bez widocznego źródła dochodu płacił jej przez tyle lat pensję, no i miał ten dom, w którym mieszkali. O Chryste, gdyby w końcu umarł, zmieniłaby dom we wspaniałą posiadłość. Może w pensjonat dla kilku starszych osób. Był z pewnością wystarczająco duży. Przy Willow Road było parę innych, podobnych posiadłości - starych, wiktoriańskich domów, które pamiętały lepsze czasy, ale stopniowo upodobały się do otaczającej je szarzyzny. Ale pomimo to mógł tu być wspaniały dom starców. Jakaś piątka, szóstka starszków, w miarę zdrowych, żeby nie było problemów. I parę osób do pomocy. Już nigdy więcej nie byłaby służącą. Zarządzałaby tylko zakładem. Ile pieniędzy ma ten staruch? Jej oczy błyszczały chciwie w słabym kuchennym świetle. Dość często wspominał, że oszczędza, aby „uwić dla niej gniazdko”. Starła się dowiedzieć - oczywiście podstępem - na ile oblicza koszt takiego „gniazdka”, ale ten głupiec szczyrzył się tylko i dotykał pomarszczonym palcem nosa. Przebiegły, stary sukinsyn.

Postawiła kubek z mlekiem na tacy, na której była już buteleczka z lekarstwem, łyżeczka i zestaw pigułek. Boże, rozpadłby się, gdyby go tylko podniosła i potrząsnęła nim - a to nie byłoby trudne dla osoby o jej posturze, tym bardziej że z niego została już tylko skóra i kości. Połowy tych pigułek w ogóle nie potrzebował, ale dawały mu poczucie, że ktoś się nim opiekuje. Były wystarczająco nieszkodliwe. Zatem jak długo jeszcze? Jak długo będzie żył ten uparty, stary głupiec? I jak długo ona wytrzyma przy nim? Cierpliwości, Julie, powiedziała do siebie. Opłaci się czekać. O Boże, zatańczy chyba na jego cholernym grobie. Może zima go wykończy. Ten nędzny stary kutwa nie wierzył w centralne ogrzewanie, a

elektryczny kominek z pojedynczą spiralą, który trzymał w pokoju, ogrzewał tylko 'fragment dywanu. Często wietrzyła sypialnię, gdy szła po zakupy, a w środku nocy, kiedy spał, zakradała się do pokoju, żeby otworzyć okno, pamiętając zawsze, aby je zamknąć wczesnym rankiem, zanim się obudzi. Jeśli nie dostanie zapalenia płuc przed końcem zimy, to już chyba nigdy nie umrze, będzie żył zawsze. Ale musiała uważać: czasami miała wrażenie, że nie był aż tak zgrzybiały, jak udawał.

Wzięła tacę z kuchni i zaczęła wchodzić na górę do sypialni. Niemal się potknęła na nie oświetlonych schodach, rozlewając mleko na tacę, i cicho przeklęła jego skąpstwo. Cały dom był ledwo oświetlony, ponieważ nie pozwalał używać mocniejszych żarówek. Nawet gdy jakaś się przepaliła, trudno było jej uzyskać zgodę na kupno nowej. Skrupulatnie sprawdzał wszystkie rachunki, które mu przedstawiała, jego ciało ożywiało się nagle, bezradność zniknęła w tajemniczy sposób; jakby podejrzewał, że ona go oszukuje i zawyża cotygodniowe wydatki. Przebiegły, stary skurwiel! Nie skąpił pieniędzy wyłącznie na lekarstwa, którymi go karmiła. Traktował je jak zastaw za swoje życie.

Gdy weszła do sypialni, Benjamin spojrzął na nią spod góry pościeli swymi starymi, kaprawymi oczami. Podciągnął koc pod brodę i uśmiechnął się do niej bezzębnyimi dziąsłami.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Julie - powiedział, gdy szerokim zadkiem zamknęła za sobą drzwi. - Dobra z ciebie dziewczyna.

Podeszła z tacą do łóżka i przesunęła do ściany lampkę na stojącym obok małym stoliku, by zrobić na nim miejsce. Cienie w pokoju dostroiły się do tej zmiany.

- A teraz - powiedziała, siadając ciężko na brzegu łóżka - weźmiesz miksturę i tabletki. Możesz popić mlekiem.

- Pomóż mi usiąść, Julie - powiedział słabym głosem.

Julie jęknęła w duchu, wiedząc doskonale, że był w stanie sam się podnieść. Wstała, wzięła go pod pachy, podciągając jego lekkie ciało do pozycji siedzącej i poprawiając mu z tyłu poduszki.

Siedział, uśmiechając się do niej szeroko, żółty, pomarszczony i obrzydliwy. Odwróciła głowę.

- Lekarstwo - powiedział.

Wzięła butelkę i nalała trochę mikstury na łyżeczkę. Benjamin otworzył szeroko usta, przypominając jej piskłę, które czeka, aż wrzuci mu się do dzioba glistę. Julie włożyła mu do ust łyżkę, powstrzymując chęć wepchnięcia jej głęboko do chudego gardła, a on głośno wciągnął gęsty płyn.

- Jeszcze jedna. O, jaki dobry chłopiec - zmusiła się, aby to powiedzieć.

Wykrzywił się jak dziecko, następnie wysunął dolną szczękę.

Kiedy przełknął drugą porcję, pociągnęła łyżeczką po jego siwej brodzie, wpychając spływający płyn z powrotem do ust. Później przyszła kolej na tabletki, podane na błyszczący i drżący język niczym opłatek, i popite mlekiem. Wytarła mu usta papierową chusteczką; opadł na łóżko, głowę miał wciąż podpartą poduszkami, na twarzy malował się uśmiech zadowolenia.

- Obiecałaś, że posiedzisz przy mnie - powiedział chytrze.

Potaknęła, wiedząc, co to oznacza. To jest cena, niezbyt wysoka, jaką musi płacić za pieniądze tego starego sukinsyna, pomyślała znużona.

- Jesteś dla mnie dobra, Julie. Przez te wszystkie lata tylko ty jedna się mną opiekujesz. Jesteś wszystkim, co mi zostało na starość, kochanie. Ale nie pożałujesz, obiecuję ci to, nie pożałujesz. Będziesz miała zapewniony byt, kiedy odejdę.

Poklepała jego rękę.

- Nie wolno ci tak mówić. Masz przed sobą jeszcze wiele lat. Na pewno mnie przeżyjesz.

Miała zaledwie trzydzieści dziewięć lat, pomyślała więc, że, na szczęście, jest to niemożliwe.

- Będziesz miała zapewniony byt, Julie - powtórzył. - Rozpuść włosy, kochanie. Wiesz, jak uwielbiam na nie patrzeć.

Julie sięgnęła ręką w tył głowy i po kilku szybkich szarpnięciach na szerokie ramiona opadły bujne, ciemnobrązowe włosy. Były długie i gdy przechylała głowę, sięgały prawie do końca pleców.

Wyciągnął trzęsącą się dłoń.

- Pozwól mi ich dotknąć, kochanie, uwielbiam je dotykać.

Pochyliła się do przodu i jej lśniąca grzywa znalazła się w zasięgu jego ręki. Przebiegł starczą ręką po włosach, rozkoszując się ich gęstością.

- Piękne - zamruczał. - Takie grube i takie mocne. Ty naprawdę masz szczęście, Julie.

Uśmiechnęła się złośliwie do siebie. Tak, włosy były jej głównym atutem. Wiedziała, że jest niezgrabna, chociaż jej zaokrąglone, można by powiedzieć rubensowskie kształty mogły być pociągające; także jej twarz była nieco pulchna, ale podobnie jak figura, mogła uchodzić za atrakcyjną. Ale włosy - jak w Irlandii zwykł mawiać jej podpity ojciec - były darem niebios. Pokornie kontynuowała grę, którą tak lubił.

- Chodź, Julie, moja droga - powiedział z błagalnym uśmiechem. - Pozwól mi się obejrzeć.

- Wiesz, że nie powinnam, Benjamin.

- Nie ma w tym nic złego. Chodź - prosił przymilnie.

- Twoje serce może tego nie wytrzymać. Miała nadzieję, że pewnego dnia tak się stanie.

- Moje serce i tak bije już mocno. Czy nie należy mi się jakaś nagroda za to, co ci zostawiam?

- Mówiłam ci już, żebyś nie mówił takich rzeczy. Poza tym wystarcza mi to, że się tobą opiekuję.

- Zaopiekuj się więc mną teraz, najdroższa.

Stała, zdając sobie sprawę, iż przeciąganie tej gry zbyt go irytuje. Odpięła haftkę, sięgając ręką do pleców i szarpiąc guziki, odpinała je coraz niżej, aż w końcu sztywna suknia luźno zwisała wokół jej ramion. Poruszyła nimi, suknia opadła obnażając plecy, i stanęła przed nim w zwodniczo skromnej pozie, tylko biustonosz zakrywał ciężko zwisające piersi.

Z otwartymi ustami patrzył na nią, z kącików warg sphywała mu ślina. Gwałtownie pokiwał głową, zachęcając ją do dalszej zabawy. Julie odwiązała biały fartuch, którym przepasana była w talii, i pozwoliła, by zsunął się na podłogę. Nie bez trudności ściągnęła z bioder suknię, sztywny materiał szeleścił, opadając wokół jej nóg. Wciskając kciuki w ciało odnalazła gumkę czarnych trykotów, schowaną w głębokiej fałdzie brzucha. Benjamin jęknął, gdy odsłoniła jędrne nogi i stanęła przed nim - góra białego mięsa, okryta tylko figami i biustonoszem.

- Cudowne - powiedział - och, jakie cudowne. - Włożył ręce pod koce i, w poszukiwaniu skurczonego członka, przebiegł palcami po ciele. - Reszta, Julie, kochanie. Teraz reszta.

Odpięła biustonosz, ogromne piersi opadły swobodnie i oparły się na wystającym brzuchu. Rzuciła biustonosz na stertę ubrań u swych stóp i chwyciła wielkimi dłońmi piersi, ściskając je i drażniąc dwie różowe brodawki, aż urosły i wyglądały jak stępione rożki. Przebiegła palcami wzdłuż brzucha i zaczepiwszy kciukami o figi ściągała je powoli. Jęknął głośno i wyciągnął szyję, aby lepiej zobaczyć ciemny, owłosiony trójkąt.

Kompletnie naga oparła ręce na biodrach i stanęła przed nim.

- Tak, tak, Julie. Wiesz, co teraz robić.

Wiedziała. Zaczęła tańczyć.

Ogromny cień towarzyszył jej ruchom dookoła pokoju, czasami rozciągając się na suficie, gdy zbliżała się do światła, wirując nad nimi w ciemnościach. Wiła się i przechylała, podskakiwała i kuciała, wyrzucała ręce do góry, tak aby mógł zobaczyć każdy cal jej nagiego

ciała. Skończyła piruetem; było to amatorskie i groteskowe przedstawienie, ale on wołał: - Jeszcze! - z oczami rozjaśnionymi podnieceniem.

Julie bez tchu opadła na wyplatane krzesło w zacienionym rogu pokoju, drewniane oparcie wpijało się w gołe ciało. Ale on lubił, by właśnie tam siedziała w drugim akcie zabawy.

Przyglądał się jej z ciekawością, czekając, aż złapie oddech, sam dysząc ostro i szybko z podniecenia. Gdyby tylko wiedziała, że wydał już prawie wszystkie pieniądze. Płacąc jej przez tyle lat za opiekę, wyczerpał większość oszczędności; to co zostało, wystarczyłoby jeszcze na rok, najwyżej półtora, później nie miałby już ani grosza. Ale była tego warta! Na Boga, naprawdę była! Gdy Julie pierwszy raz weszła do pokoju, wiedział, że to jest właśnie ta jedyna. Wszystko w niej było zmysłowe: jej obfite kształty, sposób, w jaki się poruszała, wykrochmalona, wysoko zapięta suknia, którą nosiła jako pielęgniarzka. Nawet jej głos z wyraźną nutką irlandzkiej śpiewności. I kiedy po raz pierwszy w pełnym blasku zobaczył jej wspaniałe włosy, opadające na ramiona jak miękki brązowy wodospad! Niebiańskie! Ona będzie tą wybraną! Inne wykonywały swoje obowiązki dość dobrze, ale nie zwracały uwagi ani na niego, ani na jego potrzeby. Upłynęło niewiele czasu i przekonał Julie, że swą przyszłość powinna związać z nim, a nie z agencją pielęgniarek. Oczywiście drobne oszustwo było konieczne. Ale w końcu zapewniał jej wszystko w ciągu tych lat. Wstyd mu było, że tak to się musi skończyć, ale pieniądze, które otrzyma za dom, powinny wystarczyć mu na pobyt do końca życia w jakiejś prywatnej klinice. Być może da jej ze dwieście funtów, które mu zostaną ze sprzedaży, a może nawet trzysta - na pewno będzie bardzo wdzięczna. To z pewnością ją uszczęśliwi!

- O tak, Julie, teraz, zrób to teraz!

Julie rozrzuciła szeroko nogi i zaczęła pieścić swe uda. Palce jak po ścieżce prześlizgnęły się przez owłosiony trójkąt i znalazły ukryte poniżej mięsiste wargi. Jęknęła, nie dla jego przyjemności, ale z budzącego się podniecenia. Masturbacja była teraz jej największą przyjemnością. Mężczyźni - czasami udawało się jej kogoś znaleźć i przemycić do domu - rzadko byli na tyle silni, by mogli sprostać jej wymaganiom. Przygryzła dolną wargę, twarz miała zlaną potem, gdy średni palec zagłębił się w środku. Ręka poruszała się powoli i niemrawo, stopniowo jednak coraz szybciej i bardziej stanowczo, gdy mocniej naprężyła się mięśnie brzucha.

Benjamin pod kołdrą także coraz szybciej poruszał ręką, ale bez rezultatu.

- Julie - zawołał. - Teraz tutaj, proszę, chodź tutaj.

Zmrużył oczy, gdyż jej białe, obfite ciało zdawało się niknąć w słabym świetle. Pomyślał, że chyba przepala się żarówka, oczywiście jeśli nie zawodzi go wzrok, podobnie jak inne części jego starego, zmęczonego ciała. W pokoju zrobiło się jeszcze ciemniej, tak że ledwie ją widział. Mógł dostrzec jedynie jej nogi od kolan w dół, wystające z ciemnego kąta pokoju, i spazmatycznie drgające, olbrzymie stopy.

- Julie! Proszę, chodź teraz do łóżka - błagał - potrzebuję cię, kochanie!

Jej wielka, obwisła postać wynurzyła się z mroku i cicho zbliżyła do łóżka. Uśmiechał się zapraszająco, gdy odrzuciła nakrycie i podniosła jego zwiotczały członek, aby mu się przyjrzeć. Wdrapała się obok niego na łóżko i zadrżał, gdy zimnymi stopami dotknęła jego nóg.

- Dobra dziewczynka, Julie. Moja dziewczynka - mamrotał, gdy wilgotnym ciałem zdusiła jego wychudzoną postać.

- Uważaj! - sapnął, gdy przygniotła go swoim ciężarem, wyciskając powietrze z jego płuc. Zsunęła się z niego i odpychając jego ręce chwyciła dłonią penis. Drżał, gdy brutalnie obchodziła się z jego na wpół wzbudzonym członkiem, ciągnąc i ugniatając go, jakby chciała nadać mu jędrność i twardość.

- Ostrożnie, Julie - poskarżył się - nie tak gwałtownie.

Czuł jej gorący oddech, kiedy dyszała mu nad uchem, i starymi, chudymi rękami objął jej opadające piersi, przyciskając jedną do drugiej, zbliżając do lepkich warg, które zamknęły się na nich. Ssał jej sutki, cmokając jak niemowlę; zaskomlał, gdy wsunęła pod niego rękę i z ogromnym wysiłkiem podciągnęła jego ciało i położyła na sobie.

- Chodź, ty stary skurwielu, daj mi to - wyszeptwała.

- Julie, co...

Przerwał, gdy rozłożyła nogi, starając się wciągnąć go w siebie. Musiała palcami wpychać jego sflaczały członek, jak banknot do pustej sakiewki. Wielkimi dłońmi obejmowała wychudzone pośladki, unosząc się podnosząc biodra na jego spotkanie.

- Julie! - krzyknął. - Natychmiast przestań! Miał wrażenie, że coś miażdży jego ciało, a kości kruszą się w pył.

- Chodź, ty stary pierniku! Zerznij mnie.

Łzy zawodu spływały z kącików jej oczu, ściekając do uszu, wypełniając wgłębienia. Podnosiła się i opadała, wiła i szarpała, ale nie czuła go w środku.

- Rznij mnie! - krzyknęła, a cienie zbierały się wokół nich i nagle rozległ się syczący dźwięk, żarówka zgasła i jak czarny przyptyw zaalała ich ciemność.



Zawodził teraz, obolały od walki, rozpaczliwie chcąc się uwolnić, ale ona nie puszczala. Ręką przytrzymała go na sobie, obejmowała kolanami, uwięziła stopami jego patykowate nogi. Zamknęła go w potrzasku. Sięgnęła do tyłu i zebrała swoje włosy rozrzucone na poduszce. Skręciła je w jedno długie pasmo i owinęła wokół jego kościstej szyi.

- Julie, co robisz? Przestań, proszę! Nie chcę już więcej...

Słowa uwięzły mu w gardle, gdy zaczęła ciągnąć za włosy, wciąż wzmacniając uścisk i przytrzymując drugą ręką włosy przy samej głowie. Ciągnęła coraz mocniej. Twarz mu się wykrzywiła, oczy rozszerzyły z przerażenia, z ust spływały małe, białe krople.

- Wszystkie te lata - zasyczała przez zaciśnięte zęby. - Wszystkie te lata...

Płakała teraz z bólu, wyrывая sobie włosy z głowy, ale ciągnęła dalej. Jego charczenie brzmiało w jej uszach jak muzyka.

- Wszystkie te lata...

Mrok w pokoju pogłębił się, gdyż przez szpary w zasłonach nie przedostawało się już nawet światło ulicznych latarni. Już nic nie widziała w ciemnościach. Słyszała tylko, jak rżąc, dusił się. I to jej wystarczało.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Pełen obaw siedział w samochodzie, obserwując dom. Zgasił silnik, ale wciąż kurczowo trzymał kierownicę, nie mogąc podjąć decyzji: zostać czy odjechać. Słońce schowało się za chmury; tym razem okna domu były ciemne i tajemnicze. Beechwood nie było już zwyczajnym domem.

Bishop odetchnął głęboko i puścił kierownicę. Jedną ręką zdjął okulary i rzucił je na siedzenie obok, a następnie sięgnął po swoją teczkę. Przeszedł szybko po wyłożonej płytami ścieżce, wiedząc, że jeśli będzie się dłużej wahał, nigdy nie wejdzie do domu. Zdawał sobie sprawę, że jego strach jest irracjonalny, ale sama świadomość tego faktu nie zmniejszała obaw. Gdy wchodził na schody, otworzyły się drzwi i z progu uśmiechnęła się do niego Jessica. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że uśmiech był wymuszony, w jej oczach kryło się zdenerwowanie. Rozumiał je doskonale.

- Baliśmy się, że nie przyjedziesz - powiedziała.

- Przecież mi płacie, nie pamiętasz? - odpowiedział i natychmiast pożałował swej szorstkości. Jessica odwróciła wzrok i zamknęła drzwi.

- Czekają na ciebie.

Wskazała drzwi po lewej stronie, naprzeciw schodów. Przez chwilę nie mógł się ruszyć, niemal spodziewając się zobaczyć zwisające ze schodów nogi i leżący niżej but. Oczywiście już ich nie było, ale na ścianie pozostały ślady.

Otrząsnął się z tych myśli, gdy Jessica ścisnęła go delikatnie za ramię. Przeszedł przez mroczny korytarz i wszedł do pokoju, który mu wskazała. Jakaś kobieta, czekająca tu razem z Kulekiem, podniosła się, gdy Bishop wszedł do środka.

- Cieszę się, że przyszedłeś, Chris - powiedział z głębi fotela Kulek; w rękę trzymał laskę. - To jest pani Edith Metlock. Przyszła, by nam pomóc.

Podając jej rękę Bishop usiłował sobie przypomnieć, skąd zna to nazwisko. Była niska i tęga, wyglądała jak typowa matrona. Szare pasemka prześwitywały przez czarne, mocno skręcone włosy, a gdy się uśmiechała, wydymała różowe policzki. Pomyślał, że w młodości musiała być ładna, ale tusza i czas to zatarły. W jej oczach, podobnie jak u Jessiki, widać było napięcie. Uścisk dłoni miała mocny, a jej ręka, mimo chłodu panującego w pokoju, była wilgotna.

- Mów mi Edith - powiedziała, w jej głosie zabrzmiała ciekawość połączona z niepokojem.

- Jak chcesz nam pomóc...? - przerwał w pół zdania. - Edith Metlock. Tak, wydawało mi się, że znam to nazwisko. Jesteś medium, tak?

Poczuł narastającą złość.

- Tak, jestem podatna na zjawiska telepatyczne - puściła rękę, wyczuwając jego niechęć. Wiedziała, że będzie sceptyczny.

Bishop odwrócił się do Kuleka.

- Nie uprzedziłeś mnie. Uważam, że nie było takiej potrzeby.

- Zdecydowaliśmy się w ostatniej chwili, Chris - powiedział pojednawczo Kulek. - Nie mamy dużo czasu, przecież dom ma być wkrótce zburzony. Edith będzie wszystko obserwowała. Weźmie udział w badaniach tylko wtedy, gdy okaże się to konieczne.

- W jaki sposób? Przez wywoływanie duchów ludzi, którzy tu umarli?

- Nie, nic z tych rzeczy. Edith opowie nam o atmosferze tego domu, o tym, co czuje. Pomoże ci przypomnieć sobie to wszystko.

- Myślałem, że będziemy badali dom bardziej naukowymi metodami.

- Oczywiście. Tak zrobimy. Edith wykorzystamy do dodatkowych badań, jeśli nie powiesz nam się z twoim, powiedzmy, bardziej materialnym podejściem.

- Ale ty ciągle uważasz, że kiedy tu byłem ostatnio, widziałem coś, czego nie mogę sobie przypomnieć. Dlaczego, do diabła, jesteś tego taki pewien?

- Nie jestem. Ale istnieje parę spraw, których nie możesz wytłumaczyć. Znalazłeś się przed domem i nie wiesz, jak się tam dostałeś.

- Jeśli ktoś ucieka w panice, to nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

- Nie, ale my rozmawiamy o nadzwyczajnych wydarzeniach.

- Czy mogę przerwać? - spytała Edith Metlock, spoglądając to na jednego, to na drugiego. Nie czekając na odpowiedź, spytała Bishopa: - Czemu pan tak się boi?

- Boi? Skąd to pani przyszło do głowy?

- Pana zachowanie, panie Bishop. Wszedł pan tu bardzo zaniepokojony...

- O Boże, jeśli widziała pani...

- Pana opór wobec wysiłków Jacoba Kuleka, który chce wyjaśnić tajemnicę tego domu...

- To nonsens...

Bishop przestał protestować, wpatrywał się w medium z posepną twarzą.

- Tak, jestem przeciwny pani obecności. Słyszałem, że cieszy się pani doskonałą opinią jako medium; niestety nie mam wysokiego mniemania o ludziach pani specjalności.

- Mojej specjalności? - uśmiechnęła się do niego. - Ja także o panu wiele słyszałam, panie Bishop. Ma pan reputację człowieka, który cieszy się z pomyłek ludzi tej właśnie specjalności.

- Nie pomyłek, pani Metlock. Nazwałbym to raczej oszustwami.

Na twarzy Jacoba Kuleka pojawiło się zakłopotanie.

- Chris, proszę cię. Edith jest tutaj na moje zaproszenie. Podeszła do Kuleka i pogłaskała go po rękę.

- Wszystko w porządku, Jacob. Pan Bishop ma prawo do wyrażania swoich poglądów. Jestem pewna, że ma powody do takiego nastawienia. Może nam powie...?

- Myślę, że straciliśmy wystarczająco dużo czasu - powiedział ze złością Bishop. - Proszę bardzo, może pani zostać. Mam jednak prośbę, aby nie przeszkadzała mi pani w pracy.

Jessica zrobiła parę kroków do przodu i stanęła obok Bishopa.

- Chris ma rację. Tracimy czas. Ojczy, weźmy się do pracy.

- Nie będę panu wchodziła w drogę, panie Bishop - powiedziała Edith Metlock. - Zostanę w tym pokoju, gdy będzie pan przeprowadzał badania. Gdyby mnie pan potrzebował...

- Nie będę. Ale może ty mi pomożesz, Jessico?

- Oczywiście.

- Co chcesz zrobić, Chris? - spytał Kulek.

- Przede wszystkim chcę w każdym pokoju zmierzyć temperaturę. Nie wiem, czy zauważyliście, ale tu jest o wiele zimniej niż na zewnątrz.

- Tak - powiedziała Jessica. - Zauważyłam to, jak tylko weszłam. Nie mieszkał tu nikt przez długi czas, sądzę, że to dlatego.

- Prawdopodobnie tak. Jednak chciałbym się przekonać, czy we wszystkich pokojach jest taka sama temperatura. To może być interesujące. - Zignorował uśmiezek, który pojawił się na twarzy medium. - Agent panny Kirkhope dał mi mapę geologiczną terenu, a także mapę geodezyjną w skali 1:250. Jedna wyjaśni nam, na jakim podłożu stoi dom i jaka jest struktura ziemi wokół niego; druga pokaże, czy są jakieś prądy lub źródła w pobliżu domu. Podziemne korytarze lub prądy wodne przechodzące pod domem mogą powodować chłód czy też „atmosferę”, jakby to pani nazwała, pani Metlock.

- Na pewno tak bym to określiła - powiedziała, ciągle się uśmiechając. - Poczułam to, jak tylko weszłam. Ale mam nadzieję, że znajdzie pan jakieś fizyczne wytłumaczenie tego stanu, panie Bishop.

- Później muszę zbadać konstrukcję samego domu. Nie istnieją, niestety, żadne plany budynku, ale sam zrobiłem szkic. Chcę wiedzieć, z jakich materiałów został zbudowany, sprawdzić odporność ścian na wilgoć, poszukać śladów osiadania budynku.

- Wydaje się, że w twojej pracy bardziej przydaje się praktyczna wiedza niż doświadczenie w badaniach zjawisk paranormalnych - zauważył Kulek.

- Wiedza praktyczna przewyższa każdą inną, przynajmniej według mnie. Zanim zacząłem zajmować się poszukiwaniem duchów, byłem geometrą i musiałem też wiedzieć, jak się buduje domy.

- A kiedy już to wszystko zrobisz? - spytał Kulek.

- Wtedy zainstaluję tu trochę sprzętu i zostawię na noc.

- Sprzętu?

- Chcę wiedzieć, czy coś dzieje się w domu, kiedy wszyscy myślą, że jest pusty. Chcę zainstalować kamerę połączoną z magnetofonem i fotokomórkami, a także wykrywacze dźwięków i drgań. Jeżeli w nocy tu cokolwiek się poruszy lub wyda jakiś dźwięk, będziemy o tym wiedzieli.

- Ale możesz to zamontować tylko w jednym pokoju - powiedziała Jessica. Bishop potaknął.

- To będzie w tym pokoju. W innych muszę posłużyć się proszkiem i czarnym płótnem. Jeżeli znajdziemy jakieś ślady w innym pomieszczeniu, na następną noc przeniesiemy tam cały sprzęt elektroniczny.

- Czy brał pan pod uwagę możliwość pozostania w Beechwood na noc? - zapytało medium.

- Oczywiście. I doszedłem do wniosku, że nie zrobię tego.

- A ja myślałam, że nie wierzy pan w duchy.

- Nie wierzę, ale we własnym domu jest mi wygodniej. - Zwrócił się do dziewczyny. - Jessico, kupiłem dwa termometry, takie jakich używa się w szklarniach. Zyskamy na czasie, jeśli zmierzysz temperaturę w jednym pokoju, a ja w drugim.

- Dobrze. Zaczynamy na dole?

- Nie, na górze. Chcę się najpierw zorientować w topografii domu. Jacob, chcesz iść z nami?

- Nie, zostanę tutaj i dotrzymam towarzystwa Edith. Obawiam się, że niewiele mógłbym wam pomóc - uśmiechnął się zachęcająco do córki i Bishopa.

Bishop wziął swoją teczkę i poprosił Jessicę, aby z nim poszła. Zatrzymał się u podnóża schodów, patrząc w górę na ponurą szarość znajdującego się nad nimi podestu.

- Przypuszczam, że nie ma prądu?

- Nie ma. Sprawdziliśmy światło, jak tylko przyszedliśmy - powiedziała Jessica. Bishop wzruszył ramionami.

- Przypuszczałem, że tak będzie.

Wchodził na górę, przeskakując po dwa schodki, poruszając się tak szybko, że dziewczyna nie mogła za nim nadążyć. Na górze zatrzymał się i poczekał na nią.

- Tutaj znalazłem pierwsze ciało - powiedział, wskazując w kierunku balustrady. - Zwisalo stąd. Zauważył, że Jessica drży.

- Czy wchodziłeś na górę, do któregoś z tych pokojów?

- Nie, tylko do salonu na dole. To mi wystarczyło. Przeszedł przez podest i rozsunął zasłony. Wpadło światło, lecz tylko trochę rozjaśniło korytarz.

- Chodź - zawołał.

Znowu zaczęli wspinać się po schodach.

- Są jeszcze dwa piętra - powiedział, sięgając do teczki po latarkę. - Sypialnie będą pewnie na tym piętrze. Wyżej prawdopodobnie są pomieszczenia, które kiedyś przeznaczone były dla służby. Jest tu wystarczająco jasno, żeby coś zobaczyć, ale latarka będzie potrzebna, aby dokładnie obejrzeć szafy i inne meble.

Na drugie piętro wchodził już o wiele wolniej i Jessica mogła iść tuż za nim. Na górnym podeście było czworo drzwi - wszystkie zamknięte. Znowu podszedł do okna i

rozsunął zasłony, w nozdrza uderzył go silny zapach pleśni. Padające z góry dzienne światło ujawniło istnienie luku i Bishop zapalił latarkę, kierując na sufit silny snop światła.

- Później zajrzę na strych.

Jessica spróbowała poruszyć gałką najbliższych drzwi. Przekręciła ją z łatwością i lekko popchnęła drzwi. W małym pokoju nie było żadnych mebli, pusta podłoga poczerniała ze starości. Stała na wprost małego, żelaznego kominka. Odepchnawszy ją, Bishop podszedł do niego i kucając oświetlił latarką przewód kominowy, Wsunął weń głowę i powiedział:

- Niewiele mogę zobaczyć. Trudno powiedzieć, czy jest zatkany czy nie.

- Czy to ważne?

- Muszę wiedzieć, skąd się biorą przeciągi. A także czy nie ma tu przypadkiem ptasich gniazd. Nasi skrzydlaci przyjaciele są często przyczyną „upiornego trzepotania”.

Wyjął z teczki termometr przymocowany do cienkiej drewnianej deseczki i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu kołka, na którym mógłby go powiesić. W końcu postawił termometr na gzymsie nad kominkiem, opierając go o ścianę. Następnie wyjął szkiecownik - dziesięć na osiem cali - i flamaster. W oknach nie było zasłon i wpadające światło wystarczało na jego potrzeby.

- Chcę zrobić plan każdego pokoju - wyjaśnił - a następnie ogólny plan domu. Zaznaczę na nim miejsca, gdzie są przeciągi, dziury, których nie powinno być, zbutwiałe podłogi i wszystkie zmiany w pierwotnej konstrukcji budynku. Możesz mi pomóc, szukając śladów wilgoci.

- Czy mam zacząć tutaj?

- Nie, w pokoju obok. Weź drugi termometr. To zaoszczędzi nam trochę czasu. Gdy odczytamy wyniki, pójdziemy dalej.

Jessica wzięła od niego termometr i wyszła z pokoju, zatrzymując się na chwilę za drzwiami. Wydawało się jej, że w holu jest teraz mniej światła niż poprzednio. Zupełnie tak, jakby zapadł zmierzch. To niemądre, powiedziała do siebie. Przecież nie minęło jeszcze południe. Na dworze zrobiło się pochmurno, to wszystko. Podeszła do sąsiednich drzwi i poruszyła gałką.

Przekręciła ją bez trudu, ale kiedy pchnęła drzwi, uchylily się tylko nieznacznie i zaczęły stawiać opór. Jessica nacisnęła mocniej, odnosząc wrażenie, że drzwi zagłębiają się w czymś miękkim, ale sprężystym. Napierając ramieniem, pchała z całych sił. Drzwi ustąpiły o cal. Przytknęła oko do szpary, lecz w środku było zbyt ciemno, aby coś zobaczyć. Spojrzała w

dół, ale zobaczyła tylko kontury czegoś dużego, leżącego na podłodze w poprzek drzwi. Bała się pomyśleć, co to, mogło być.

- Chris - zawołała, starając się zachować spokój w głosie. - Czy mógłbyś tu przyjść na chwilę?

Wyszedł z pokoju i zmarszczył brwi na widok zaniepokojenia malującego się na jej twarzy. Wskazała na drzwi.

- Coś je blokuje.

Obejrzał drzwi, zamknął je, następnie pchnął, starając się pokonać opór niewidocznego przedmiotu. Poczuł, że zagłębiły się w czymś i dalej nie chciały się otworzyć. W słabym świetle twarz Jessiki była ledwie widoczna, ale zauważył jej szeroko otwarte oczy.

- Wygląda jak... - powiedziała.

- Jak ciało? Powinnaś poskromić swoją wyobraźnię. To może być cokolwiek.

Mimo to poczuł, że włosy stają mu dęba.

Pchnął drzwi jeszcze mocniej, napierając na nie całym ciałem. Ustąpiły na dalszych sześć cali.

- Daj latarkę - powiedział i Jessica szybko zniknęła w sąsiednim pokoju.

Z rozmachem pchnął jeszcze raz i drzwi, ze zgrzytem, otworzyły się szerzej, najpierw na stopę, później na dwie. Wziął od dziewczyny latarkę i oświetlając podłogę przekroczył próg pokoju. Jessica widziała jego plecy, gdy pochylił się do przodu, rozglądając się uważnie dokoła. Wydawało się, że w środku panuje ciemność.

Odwrócił się do niej z szerokim uśmiechem. Przywołał ją skinieniem i zniknął jej z oczu. Gdy wolno przesuwała się do przodu, usłyszała odgłos jego kroków przemierzających podłogę, a później szelest materiału. Ponure, szare światło nappełniło pokój.

Jessica przeszła bokiem przez szparę i odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła zwinięty dywan, leżący w poprzek podłogi, zahaczony jednym końcem o otwarte drzwi.

- Taki dom sprawia, że człowiek wyobraża sobie najróżniejsze rzeczy - powiedział Bishop, trzymając w dalszym ciągu rękę na ciężkiej portierze, którą przed chwilą odsłonił. Zauważyła nieoczekiwaną miękkość w jego głosie.

- Przykro mi, Chris. Masz rację, ten dom naprawdę pobudza moją wyobraźnię. Jest tu tak ponuro. Zbliżył się do niej.

- Ten dywan stał chyba tam w rogu. Jakiś wstrząs - pewnie kiedy policja była tu ostatnio - spowodował, że się przewrócił i zablokował drzwi.

Zdobyła się na słaby uśmiech.

- Myślę, że nie będę się już tak trzęsła.

- Nie martw się. Mnie się to też kiedyś zdarzało. Ale rozumiałem, że zazwyczaj istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie.

- A wtedy, gdy nie istniało?

- To znaczy, że nie byłem na tyle mądry, aby je znaleźć. Dotknęła jego ramienia, zanim ponownie zdążył wznieść dzielącą ich barierę.

- Powiedz mi, Chris, dlaczego byłeś taki zły, kiedy spotkałeś tu Edith Metlock? Zobaczyła błysk w jego oczach.

- To była dla mnie niespodzianka. Myślę, że wiesz, jaki mam stosunek do takich ludzi jak ona, a mimo to zaprosiliście ją tutaj.

- Ale ona jest niezwykle wrażliwa na wpływy psychiczne. Ma nieposzlakowaną opinię.

- Czy istnieje coś takiego jak niezwykła wrażliwość na wpływy psychiczne? Nie wątpię, że ona tak sądzi i jej wiara w świat pozamaterialny jest z pewnością szczerą. Ale w jakim stopniu jest to prawdziwe, a w jakim wypływa z jej podświadomości? Na pewno jest jasnowidzem, ale zastanawiam się, czy po prostu nie wynika to z siły jej umysłu?

- Przyznaję, że jest to możliwe. Cokolwiek to jest, wydaje się, że istnieje naprawdę.

Uśmiechnął się do niej i częściowo zniknęła wrogość, która wytworzyła się wcześniej między nimi.

- Wiesz - powiedział - byłem niegrzeczny w stosunku do ciebie i twojego ojca, nie mówiąc już o pani Metlock. W czasie tego dochodzenia spróbuję swoje opinie zachować wyłącznie dla siebie i obiecuję, że nie będę się wypowiadał na temat tego, co tu znajdziemy, pod warunkiem że ty i twój ojciec zrobicie to samo.

- Cały czas to robimy.

- Nie. Twojemu ojcu nie daje spokoju ten Prysłak i to, co wie o tym człowieku i jego pracy, może mieć wpływ na obiektywną ocenę naszych badań.

- Mój ojciec jest całkowicie obiektywny.

- Gdyby był, sprowadziłby tu psychoanalityka, aby pomógł mi przypomnieć sobie te okropne chwile, a nie spirytystkę.

Nie odezwała się. Wiedziała, że ma rację.

- Przykro mi, nie chciałem cię znów atakować. Staram się tylko ci wyjaśnić, że istnieją dwa aspekty tej sprawy i tak się składa, że moje poglądy są przeciwieństwem waszych. Ale przecież ja także chciałbym się dowiedzieć, czy istnieje jakiś związek między tym domem a ostatnimi zbrodniami, które wydarzyły się na tej ulicy - powiedział cicho.

- Więc pracujmy razem, a nie walczmy ze sobą.



- Zgoda.

Odwróciła od niego głowę i wówczas poczuł, jak bardzo jest wzburzona.

- Dobrze - powiedział - postaw ten termometr na górze i powiedz mi, jaki wynik odczytałaś na tamtym, zanim przeniesiesz go do innego pokoju.

Przeprowadzali systematyczne badania wyższego piętra domu, zapisując temperaturę każdego pokoju, sprawdzając, czy nie ma przeciągów lub wilgoci, a Bishop sporządzał dokładne szkice. Zeszli schodami piętro niżej i w ten sam sposób kontynuowali badania. Pokoje na tym piętrze były o wiele większe niż na górze, ale we wszystkich pomieszczeniach utrzymywała się taka sama niska temperatura: pięć stopni Celsjusza. Pokoje zachowały się w dobrym stanie, ale były pełne wilgoci, charakterystycznej dla opustoszałych pomieszczeń; ściany nosiły ślady zniszczenia, raczej przez czas niż przez ludzi.

Jessica stała sama w pokoju, czekając, aż postawiony przed chwilą termometr wskaże prawdziwą temperaturę powietrza. Spojrzała na samotnie stojące łóżko z wystającymi sprężynami, którego widok w jakiś sposób podkreślał jeszcze pustkę pokoju. Zastanawiała się, dlaczego nie zabrano stąd tych nielicznych mebli, i doszła do wniosku, że dla panny Kirkhope nie miały one żadnej wartości, ani w sensie finansowym, ani emocjonalnym. Gdy dom zostanie zburzony, wtedy zapewne wszystko, co znajduje się w środku, zostanie zniszczone razem z nim. Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Stara kobieta, lekko powłóczęg nogami, minęła Beechwood, nie spojrzawszy nawet na dom. Na horyzoncie pojawił się rowerzysta: miarowo naciskał pedały, a małe obłoczki pary, towarzyszące jego oddechowi, szybko rozpląwały się w zimnym powietrzu. Zwyczajna, podmiejska ulica, taka jak miliony innych. A jednak czymś się od nich różniła.

Jessica odwróciła się od okna i przeszła przez pokój. Zatrzymała się, aby wziąć oparty o ścianę termometr, i na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia. Z pięciu stopni Celsjusza temperatura spadła poniżej zera. Na jej oczach czerwony słupek rtęci pełznął w dół: ruch był powolny, ale widoczny. Kiedy doszedł już do minus dziesięciu stopni i nadal opadał, postawiła termometr na dawnym miejscu i szybko podeszła do drzwi.

- Chris! - zawołała.

- Jestem tutaj.

Jessica wpadła do pokoju obok. Bishop, odwrócony do niej plecami, robił jakieś notatki na ukończonym przed chwilą szkicu.

- Chris, temperatura w pokoju obok gwałtownie spada. To nieprawdopodobne. Widać, jak rtęć opada.

Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest jej zimno.

Odwrócił się zdziwiony i szybko podszedł do termometru, znajdującego się w tym pokoju.

- O Boże, masz rację. Tu jest poniżej dwunastu stopni.

Nagły krzyk poderwał ich na nogi. Rozległ się w pokoju na dole, dotarł na schody i echem odbił się od ścian półpiętra.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie, oniemiał z przerażenia, a następnie nieomal jednocześnie popędzili w kierunku schodów. Bishop dotarł do nich pierwszy i zbiegając ujrzał przed sobą zamazaną plamę - cienie zwisające przed nim jak pajęczyna. Jessica zobaczyła, że unosi rękę do twarzy, jakby chciał zdjąć niewidzialną zasłonę. Podeszła bliżej, ale nie dostrzegła żadnej przeszkody.

W połowie drogi Bishop niemal się potknął, omijając stopień, jakby chciał ominąć coś, co tam leżało. Jessica nic nie zauważyła.

Na końcu schodów przeskoczył przez barierkę i chwiejnym krokiem, wyraźnie oszołomiony, zbliżył się do przeciwległej ściany. Jessica złapała go i trzymała mocno. Pobiegli przed siebie, gdy kolejny krzyk przeszył nagle powietrze. Dotarli do pokoju, w którym zostawili Kuleka i kobietę. Bishop przekroczył próg i opadł na kolana, krew odpłynęła mu z twarzy.

Pokój był pełen ludzi. Ciało, w większości nagie, skręcone i powykrzywiane przedśmiertnymi drgawkami, twarze zastygłe w nieprawdopodobnych grymasach, jakby chciały wykrzyczeć swój ból, a nie mogły wydobyć żadnego dźwięku. Blisko Bishopa, nieomal w zasięgu jego ręki, z głową wykręconą do tyłu i oczami błagalnie wpatrzonymi w sufit

95  
chwiała się kobieta. Bluzkę miała odpiętą, guziki oderwane, obfite piersi rozchyłały brzegi materiału. Poza bluzką nie miała nic na sobie i jej zmysłowe uda miały się w jakimś dziwnym paroksyzmie. Palce ścisnęły małą szklaneczkę, gdy mocniej zacisnęła rękę, widać było jej zbielejące kostki. Szklanka pękła i kilka kropli płynu zmieszało się z krwią, która trysnęła ze skaleczonej ręki. Bishop cofnął się, kiedy krew opryskała mu twarz, i odsunął się, gdy kobieta upadła. Leżała przed nim, a jej plecy wciąż drgały.

Rozglądał się po pokoju, z rosnącym przerażeniem obserwując kolejne makabryczne sceny. Na podłodze, nie dalej niż pięć stóp od niego, leżało, jedno na drugim, troje ludzi połączonych w nierozzerwalnym uścisku. Nagie ciała dygotały, nie wiedział jednak - w bólu czy w ekstazie. Kobieta z szeroko rozrzuconymi nogami obejmowała dwóch leżących na niej mężczyzn. Pierwszy tkwił w niej głęboko, poruszając rytmicznie biodrami, zgodnie z ruchami leżącego na nim drugiego mężczyzny, który, zespolony z nim, kurczowo trzymał się jego

pleców. W zwróconej w stronę Bishopa twarzy kobiety widać było szkliste oczy, jakby znajdowała się pod wpływem narkotyku. Ocieężałym krokiem zbliżył się do nich muskularny mężczyzna, rozchylił ubranie i obnażył genitalia. Zmierzwił włosy i broda zakrywały mu twarz, ale Bishop zauważył, że miał niespokojne, dzikie oczy. Trzymał długie, podobne do dzidy narzędzie o czarnym, zwięzającym się ostrzu, które oparł o plecy najwyżej leżącego mężczyzny, pchając je powoli, dopóki z przebitej skóry nie trysnęła pierwsza kropla krwi. Nagi mężczyzna nie zwracał uwagi na ból, wciskając się coraz głębiej w partnera. Brodacz przesunął ręce ku górze i oburącz złapał płaski uchwyt dzidy. Bishop wiedział, co teraz nastąpi, otworzył usta, by krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle. Brodacz pchnął mocno i długie czarne ostrze znikło, zagłębiając się w ciałach, dzida zanurzając się coraz bardziej w czerwonej fontannie powoli znikła, aż w końcu już tylko całe dzieliły zakrwawione ręce mężczyzny od pleców jego ofiary. Wszystkie trzy ciała zeszywniały w szoku, potem znów zaczęły dygotać, ale ich ruchy nie były już harmonijne, każde drgało własnym, narastającym rytmem, zanim wszystkie nie skamieniały w bezruchu. Bishop widział, jak brodaty mężczyzna śmieje się, chociaż ciągle nie dochodził go żaden dźwięk.

Na zniszczonej kanapie, która stała pod szerokim oknem, młoda, prawdopodobnie dwudziestoparoletnia dziewczyna walczyła z dwoma mężczyznami. Trzymali ją za ręce i nogi. Spódnicę miała podwiniętą dookoła talii, a klęcząca przed nią kobieta starała się wepchnąć jakiś duży przedmiot pomiędzy jej uda. Dziewczyna patrzyła na nią błagalnym wzrokiem i Bishop zauważył, że jej usta zostały zaklejone taśmą. Wygięła ciało w łuk, a uwięziony koniec przedmiotu uniósł się wraz z nim. Bishop wyciągnął w jej stronę ręce, ale wydawało mu się, że jest zanurzony w kleistej mazi, która hamuje jego ruchy i osłabia siły. Widział, jak kobieta naciska spust dubeltówki, a gdy zobaczył rozpryskujące się przez ubranie części ciała dziewczyny, zamknął oczy. Nawet huk wystrzału nie dotarł do niego.

Otworzył oczy, gdy czyjaś ręka dotknęła jego ramienia. Obok stała Jessica, jej wargi poruszały się.

Jakiś mężczyzna stał za drzwiami, na jego twarzy widać było obłąkany uśmiech. Z kącików warg spływały mu kropelki płynu; szklanka, którą wypuścił z palców, upadła na podłogę i nie tłukąc się potoczyła do przodu, i półkolem znów do tyłu. Mężczyzna osunął się po ścianę, wciąż się uśmiechając, ale gdy znalazł się na podłodze, jego wargi wykrzywił grymas bolesnego przerażenia. Wciąż wsparty plecami o ścianę wolno przewrócił się na bok; przypominało to ruch minutowej wskazówki na tarczy zegara. Wierzgnął raz, może dwa razy, broda oparła się o szyję, gdy szczęki rozwarły się na całą szerokość, i tak pozostały, nawet po jego śmierci.

Grupa mężczyzn i kobiet, trzymając się za ręce, siedziała wokół stołu w przeciwległym końcu pokoju. Czekali cierpliwie, podczas gdy jeden z mężczyzn wolnym krokiem przechodził za ich plecami i mijając ich, po kolei, podrzynał im gardła rzeźnickim nożem. Każde z nich trzymało dłoń umierającego przed nim mężczyzny lub kobiety, dopóki śmierć nie rozluźniła uścisku. Wkrótce nie było już złączonych rąk, gdyż ciała opadły na stół lub zsunęły się z krzeseł. Mężczyzna, który ich pozabijał, pewną ręką przeciągnął nożem po własnym gardle, zalewając piersi krwią; gdy nogi ugięły się pod nim, upadł twarzą na podłogę.

Bishop próbował się podnieść, Jessica ciągnęła go za ramię, by mu pomóc. Z fotela, w którym poprzednio siedział Jacob Kulek, przypatrywał się mu mężczyzna. Miał szczupłą twarz, ziemiste, zapadnięte policzki i nienaturalnie wylupiające oczy, jakby cierpiał na zapalenie opon mózgowych. Wąskie, niekształtne usta wykrzywiały grymas, który mógł oznaczać zarówno uśmiech, jak i szyderstwo. Czarne, rzadkie włosy, zaczesane do tyłu, sprawiały wrażenie, że dzieli je ogromna odległość od przeczczonych brwi. Łokcie spoczywały na oparciach fotela, uniesione dłonie obejmowały małą szklanekę z przezroczystym płynem. Miał otwarte usta i wydawało się, że coś mówi, w końcu odwrócił wzrok od Bishopa i spojrzał na znajdującą się w pobliżu parę. Kobieta trzymała głowę mężczyzny między swoimi udami, podczas gdy on wpychał się jej do gardła. Byli starzy, pomarszczona skóra zwisała im z wystających kości; mieli siwe, kruche włosy.

Z drewnianym młotkiem w ręce zbliżył się do nich brodaty mężczyzna, który zaśmiał się, gdy pod wpływem silnego uderzenia pękła czaszka starca i zaklinowała się między chudymi nogami partnerki. Brodacz klęknął obok pary starców i walił młotkiem w pośladki mężczyzny, leżąca pod nim kobieta nagle zaczęła walczyć, by uwolnić się od dławiącego ją członka. Miotła głową to w jedną, to w drugą stronę, ale siła uderzeń wpychała go coraz głębiej, dusząc ją, unieruchamiając jej szyję pod dziwnym kątem. Nie wiadomo, czy przyczyną jej śmierci było ostatecznie uduszenie, złamanie kręgów szyjnych czy po prostu szok.

Brodacz śmiał się wesoło, okładając razami nieruchome już ciała. Nagle przestał, spojrzał na mężczyznę siedzącego w fotelu, który coś do niego mówił, Bishop jednak nie słyszał słów. Z młotkiem w ręce brodacz podsunął się na kolanach do siedzącego mężczyzny, który podał mu szklanekę z jakimś płynem. Brodacz wziął ją z wahaniem i przyjrzał się zawartości. W końcu wypił.

Uśmiech - a może szyderstwo - pogłębił się na twarzy siedzącego mężczyzny, który znowu spojrzał na Bishopa. Z kolan podniósł jakiś przedmiot, którego Bishop wcześniej nie

zauważył. Ciężki i czarny. Pistolet. Mężczyzna rozejrzał się uważnie po pokoju, aż w końcu jego wylupiaсте oczy zatrzymały się na Bishopie. Poruszył wargami i włożył w szeroko otwarte usta lufę pistoletu, a następnie wepchnął ją głęboko do gardła. Teraz wszystko dookoła Bishopa rozgrywało się jak na zwolnionym filmie, zmagania nabierały wdzięku, przypominając balet śmierci. Trwało to wieki, zanim palec mężczyzny zacisnął się na spuście, pociągnął go mocno; pistolet szarpnął: płomień rozjaśnił wnętrze ust samobójcy, tak że Bishop zobaczył, jak pojawia się dziura, mógł niemal śledzić wzrokiem wędrującą przez głowę mężczyzny kulę, która wybuchła po drugiej stronie czaszki, wyrzucając w powietrze kawałki mózgu, śluzu i krwi, rozpryskujące się wysoko za nim na ścianie, pozostawiając na niej czerwoną maź spływającej materii.

Bishop patrzył na poruszający się wzór, tropił wzrokiem szlak krwi wolno spływającej z powrotem do mężczyzny znajdującego się na dole. Ale to już nie był ten sam mężczyzna. Miał tak samo wytrzeszczone oczy, ale przyczyną tego był strach. Strach przed czymś niewidzialnym, co mógł tylko wyczuć, a nie zobaczyć, gdyż był ślepy. Mężczyzną, który siedział teraz w fotelu, był Kulek.

Wołał o pomoc, ale głos nie docierał do Bishopa. Wydawało mu się, że Kulek znajduje się na końcu krętego, długiego korytarza i powoli idzie ku niemu, a w miarę zbliżania się głos był coraz wyraźniejszy. Kontury postaci wokół Bishopa zaczęły się zacierać, zjawy wiły się i obracały coraz wolniej, kolejno zastygając w bezruchu; i gdy znikły, inne ciało stało się wyraziste. Edith Metlock leżała pod ścianą z bezwładnie przechyloną głową i zamkniętymi oczami. W końcu krzyki Kuleka dotarły do Bishopa i dodały mu sił, tak że niepewnie stanął na nogach opierając się o Jessikę, która próbowała go podtrzymać.

Zatoczył się, dziewczyna przechyliła się na bok i łapiąc powietrze upadła na kolano. Bishop musiał się stąd wydostać, uciec z tego domu, od tych okropnych rzeczy, które się tu wydarzyły. I działał się nadal.

Zwalił się na framugę drzwi i wskutek uderzenia jego ciało obróciło się tak, że widział odległy koniec holu. Było tam więcej poruszających się niewyraźnych postaci, szarych ciał wolno rozpływających się w przyćmionym świetle. Podciągnął się do góry, krzyknął: - Nie! - gdy zobaczył nogi zwisające ze stopni. Nogi kopały wściekle ścianę, jeden but spadł i potoczył się na dół, zatrzymując się dopiero na którymś z kolei stopniu. Oderwane od ciała ręce kurczowo ścisnęły słabnące nogi, szarpały i ciągnęły, dopóki tamte nie przestały wierzgać. Ręce zniknęły, pozostały jedynie niewyraźne kontury kończyn.

Bishop musiał uciekać z tego domu. Wiedział, że w sypialniach na górze i w pokojach na drugim piętrze masakra trwa nadal. Musiał się stąd wydostać. Zaczął biec w kierunku

frontowych drzwi, nogi miał jak z ołowiu, z trudem łapał powietrze. Drzwi pod schodami były uchylone: długa, wąska szpara jak gdyby go zapraszała.

Zatrzymał się i, tak jak kiedyś, przywarł plecami do przeciwległej ściany. I podobnie jak wtedy, wydawało mu się, że drzwi się otwierają, jakby ktoś popychał je z drugiej strony. Stwierdził, że z trudem może posuwać się do przodu, jego palce kurczowo ścisnęły krawędź drzwi, bał się spojrzeć, ale musiał, jakby coś z głębi piwnicy mu to nakazywało. Odciągnął małe drzwiczki, które otworzyły się szeroko, odsłaniając czającą się za nimi ciemność, przerażającą i słabnącą pod wpływem nagłego, choć słabego światła. Usłyszał jakiś dźwięk. Coś było na dole, na schodach. Musiał to zobaczyć! Musiał.

Zbliżył się do otwartego wejścia i spojrzał w dół w trzewia domu. Panowała tam nieprzenikniona ciemność, mroczna noc, która go zapraszała, czekała, by go wchłonąć. I z mroku zaczął wyłaniać się jakiś kształt.

Bishop nie mógł się ruszyć. Stał jak zahipnotyzowany, nawet wtedy, gdy postać stawała się coraz większa, kiedy z dziwnym mruzeniem wchodziła po schodach. Nie poruszył się i wówczas, gdy zobaczył obłąkane oczy i sięgające prawie do talii ciemne włosy, które na dużych nagich piersiach tworzyły fale, niczym woda na zaokrąglonych kamieniach w szybko płynącym strumieniu. Nie poruszył się, gdy zbliżyła się do niego, trzymając w dużych dłoniach włosy i okręcając je jak postronek wokół swej szyi. Coraz wyraźniej dochodziły go słowa, które ciągle powtarzała:

- Wszystkie te lata... wszystkie te lata...

Kobieta była postacią realną, nie widmem, jak tamci. Kiedy wynurzyła się z ciemności, zobaczył, że jej ciało jest rzeczywiste i zamiast zanikać, staje się coraz bardziej materialne. Także jej mamrotanie, przypominające magiczne zaklęcia, upewniło go, że nie jest jedną z tych, którzy już umarli. Cofnął się, obłęd malujący się na jej twarzy był tak samo przerażający jak sceny, których przed chwilą był świadkiem. Zatrzymała się przed nim, jej ręce wciąż skręcały i zwijały rozciągnięte między nimi grube pasmo włosów. Jej wielkie ciało drżało, widać otyłość nie stanowiła ochrony przed zimnem panującym w tym domu. Kobieta odwróciła od niego wzrok, szukając czegoś, i nagle ruszyła z miejsca i powlekła się w głąb korytarza, w stronę pokoju, który właśnie opuścił. Bishop oparł się o ścianę, na czoło wystąpiły mu krople potu, które natychmiast zmieniały się w lód.

Jessica stanęła w drzwiach pokoju i podniosła ręce, by bronić wstępu napierającej kobiecie, ale ta chwyciła ją mocno i odepchnęła na bok, krzyząc z wściekłości wywołanej tym słabym oporem. Jessica upadła ciężko i przez chwilę leżała oszołomiona. Bishop mógł

tylko bezradnie patrzeć, jak wielka kobieta znika w pokoju, znów ogarnęło go przerażenie, gdy usłyszał pełen trwogi krzyk Jessiki. Zwróciła ku niemu twarz, w jej oczach było błaganie.

- Pomóż mu, proszę, pomóż mu!

Chciał biec w przeciwnym kierunku, uwolnić się spod władzy tego straszliwego domu, uciec od zaludniających go koszmarów - ale jej błaganie zatrzymało go, nie pozwalając wyrwać się z kręgu szaleństwa. Potykając się, podszedł ku niej.

Bishop próbował podnieść dziewczynę na nogi, ale odepchnęła jego ręce, wskazując na pokój.

- Zatrzymaj ją! Pomóż mu, Chris!

Kobieta stała pochylona za ojcem Jessiki; jej długie, ciemne włosy były okręcone wokół jego szyi. Ciągnęła końce pasma w przeciwnych kierunkach, tak silnie, że pobielaly jej kostki dłoni.

Twarz Kuleka poczerwieniała, jego niewidzące oczy wychodziły z orbit, język zaczął bezwiednie wysuwać się z otwartych ust. Gdy ścisnęła mu tchawicę, z krtani wydobył się chrapliwy, świszczący dźwięk. Chudymi dłońmi chwycił nadgarstki kobiety, próbując je odciągnąć. Bishop podbiegł i złapał ją za ręce.

To było beznadziejne; była za silna, a jej chwyt za pewny.

Wygięte w łuk ciało starego człowieka zaczęło zsuwać się z fotela na podłogę, ale kobieta nie rozluźniała uścisku, powstrzymując je od upadku. Bishop zrozumiał, że przegrywa, że Kulek dłużej tego nie wytrzyma. Próbował odciągnąć jej ręce, ale to tylko spowodowało nieznaczne rozszerzenie pętli, przedłużając tym samym agonię niewidomego mężczyzny. Do walki włączyła się teraz Jessica: szarpiąc naga kobietę starała się odciągnąć ją od ojca. Ale tamta miała w sobie siły, jakie daje szaleństwo.

Zdesperowany Bishop puścił ją, szybko przeszedł za oparcie fotela i kopnął kobietę od tyłu, podcinając jej nogi. Osunęła się niemal na kolana, ale nie upadła, trzymając wciąż Kuleka za gardło. Bishop kopnął ją jeszcze raz, wbijając czubek buta w mięśnie brzucha. Wrzasnęła pod wpływem nagłego bólu i zwróciła głowę w stronę Bishopa, w dalszym ciągu ściskając szyję niewidomego mężczyzny. Bishop wziął zamach i z całej siły uderzył w okrągłą, zwróconą ku niemu twarz. Poczł, jak chrząstki nosa trzaskają pod silnym ciosem; jej wykrzywiona twarz w jednej chwili pokryła się krwią. Wciąż jednak nie rozluźniała uścisku.

Uderzył ją jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze. W końcu rozluźniła palce, wypuszczając grube pasmo włosów. Osunęła się na podłogę i tam pozostała, kołysząc się na rękach i nogach; jęczała, potrząsając swym ogromnym ciałem, jakby chciała strząsnąć z siebie ból.

Jessica podbiegła do ojca, który leżał teraz na podłodze z drugiej strony fotela, gwałtownie chwytając powietrze. Pokaleczona kobieta zaczęła pełznąć naokoło fotela i przez moment Bishop sądził, że będzie próbowała znów chwycić Kuleka. Minęła go jednak, posuwając się w stronę otwartych drzwi; jej ruchy były powolne, ale stanowcze. Bishop próbował ją zatrzymać, chwytając za włosy i ciągnąc w tył. Obracając się machnęła swą potężną łapą, uderzając go w bok. Jej siła przerażała go; z budowy ciała widać było, że jest mocną kobietą, ale teraz szaleństwo jeszcze potęgowało tę siłę. Znajdowała się już w połowie drogi do drzwi, gdy chwycił ją mocno za kostkę u nogi i próbował przyciągnąć do siebie. Znalazł się w niewygodnej pozycji, rozciągnięty na podłodze i oparty tylko na łokciach - nie zdążył osłonić głowy przed nagłym kopnięciem, które wymierzyła drugą nogą.

Cios ogłuszył go; obrócił się na bok i, puściwszy ją, podniósł rękę do twarzy. Kobieta znów zaczęła się czołgać i wkrótce minęła drzwi, znikając w holu. Nagle zrozumiał dokąd zmierza, i pojął, że musi ją zatrzymać.

Ale zanim się zdołał poruszyć, ktoś przebiegi obok niego i wpadł do holu. Dźwignął się na nogi i słaniając się minął drzwi: zdążył jeszcze zobaczyć, jak Jessica spuszcza uniesioną wysoko laskę ojca, łamiąc ją z trzaskiem na głowie pełzającej kobiety. Bishop drgnął, słysząc ostry dźwięk pękającego drewna; napięcie opadło z niego, gdy zobaczył kobietę leżącą nieruchomo, z jedną ręką wyciągniętą w stronę wejścia do piwnicy. Mrok nagle ustąpił, gdy ktoś kopnięciem zatrzaskał drzwi. Jessica oparła się o schody; złamana laska, którą ugodziła kobietę, wysunęła się z jej zdrętwiałych palców i stuknęła o podłogę. Jej oczy spotkały wzrok Bishopa i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Troje zebranych spojrzało z nadzieją na Bishopa, który wszedł do prywatnego gabinetu Kuleka w Instytucie.

- Czy to Chris? - spytał stary mężczyzna, wysuwając do przodu głowę.

- Tak, ojciec - odpowiedziała Jessica, uśmiechając się niezdecydowanie do Bishopa, niepewna, co może oznaczać zawzięty wyraz jego twarzy.

- Co się stało? Czy policja jest jeszcze w domu? - spytał Kulek.

- Nie, pilnuje go tylko na zewnątrz.

Bishop opadł zmęczony na krzesło z twardym oparciem i potarł rękami twarz, jakby chciał rozluźnić jej napięte mięśnie. Spojrzał na Edith Metlock.

- Dobrze się pani czuje?



- Tak, panie Bishop - odpowiedziała. - Jestem wyczerpana, ale nie doznałam żadnych obrażeń.

- A ty, Jacob?

- Tak, tak, Chris - powiedział z lekkim zniecierpliwieniem niewidomy mężczyzna. - Mam trochę nadwężoną szyję, ale lekarze nie stwierdzili żadnych obrażeń. Trochę posiniaczona, to wszystko. Czy wiedzą już, kim była ta kobieta?

Przeszły go ciarki, gdy przypomniał sobie, jak na noszach wynosili ją z domu, przykrytą grubym, czerwonym kocem, spod którego widać było tylko jej twarz, szeroko rozwarte, obojętne oczy i poruszające się bez przerwy wargi. Kaskada włosów, spływająca z boku noszy, podkreślała obłęd malujący się na jej twarzy. Pod kocem była mocno związana pasami.

- Rozpoznał ją sąsiad, kiedy wkładano nosze do karetki - powiedział. - Była pielęgniarką, czy gospodynią starego człowieka, który mieszkał trochę dalej, przy tej samej ulicy.

- Ale jak dostała się do Beechwood?

- Policja znalazła rozbite okno z tyłu domu. Pewnie przez nie weszła do środka. W czasie gdy mnie przesłuchiowano, dwóch policjantów udało się do jej pracodawcy. Widocznie drzwi domu były otwarte, bo odnalezienie ciała nie zajęło im dużo czasu.

- Nie żył?

- Został uduszony.

- Jej włosami?

Bishop potrząsnął głową.

- Jeszcze nie wiedzą. A sądząc po tym, w jakim jest stanie, długo potrwa, zanim będzie mogła odpowiedzieć na jakiegokolwiek pytanie.

- Jeżeli pozbawiła go życia w taki sposób, w jaki próbowała udusić mnie, to na gardle tego człowieka powinni znaleźć pasemka jej włosów.

- Lilith - powiedziała cicho Edith Metlock. Kulek odwrócił się do niej i uśmiechnął łagodnie.

- Nie sądzę, Edith, nie w tym przypadku. To była tylko obłąkana kobieta.

Bishop ze zdziwieniem spojrział na Kuleka.

- Kim do licha, jest Lilith?

- Lilith była starożytnym demonem - powiedział z uśmiechem Kulek, dając do zrozumienia, że jego stów nie należy traktować poważnie. - Niektórzy powiadają, że to ona, a

nie Ewa, była pierwsza kobietą, złączona plecami z Adamem. Klócili się ze sobą bez przerw i dzięki kabalistycznym czarom zdobyła skrzydła i odłączyła się od niego. Potem odleciała.

Głos Bishopa był zimny.

- I co to ma wspólnego z tą szaloną kobietą?

- Nic, zupełnie nic. Edith po prostu porównywała ich metody zabijania. Wiesz, Lilith także dusiła ofiary swoimi długimi włosami.

Bishop ze zirytowaniem potrząsnął głową.

- Myślę, że to, co się tu dzieje, jest wystarczająco dziwaczne bez wciągania w to mitycznych demonów.

- Absolutnie się z tobą zgadzam - powiedział Kulek. - To było tylko spostrzeżenie Edith. Teraz powiedz nam, proszę, co później wydarzyło się w tamtym domu.

- Przepuścili mnie przez maszynkę, kiedy tylko pozwolili wam odejść. Umierali z ciekawości, żeby dokładniej się dowiedzieć, co tam robiliśmy.

- Nie, to wszystko jest nieważne. Już powiadomiłem miejscowy posterunek policji, że byliśmy tam dzisiaj za zgodą panny Kirkhope. Musieli tylko to sprawdzić.

- W porządku, zrobili to. Ale w dalszym ciągu chcieli wiedzieć, co naga, obłąkana kobieta robiła w Beechwood. To, że znaleźli martwego mężczyznę w innym domu, nie zmieniło ich nastawienia do mnie.

- Na pewno wszystko dokładnie wyjaśniłeś...

- Próbowalem, ale później wy też będziecie przesłuchiwać. Pozwolili Jessice zabrać was stamtąd tylko dlatego, że ty i pani Metlock potrzebowaliście pomocy lekarskiej.

- Chris, ten dom... co widziałeś? - Kulek coraz bardziej się niecierpliwił.

Bishop ze zdziwieniem popatrzył na pozostałe osoby, zebrane w gabinecie.

- Widziałem to samo co Jessica i pani Metlock - powiedział Kulekowi.

- Nic nie widziałam, Chris - odezwała się Jessica. Stała przy oknie za biurkiem ojca.

- Ani ja, panie Bishop - oznajmiło medium. - Ja... straciłam przytomność.

- Ależ to niemożliwe. Przecież obie byłyście w pokoju.

- Usłyszałam krzyk Edith i zeszłam za tobą na dół powiedziała Jessica. - Próbowalam ci pomóc, gdy upadłeś w pokoju. Wiedziałam, że coś zobaczyłeś, byłeś przerażony, ale, wierz mi, nic nie mogłam zobaczyć. Na Boga, chciałam. Wiem tylko, że miałeś coś w rodzaju ataku, później wybiegłeś z pokoju i skierowałeś się do piwnicy. Widziałam, jak wychodziła stamtąd ta kobieta - była wystarczająco realna.

Bishop odwrócił głowę do medium.

- Ale pani jako osoba szczególnie wrażliwa musiała mieć taką samą wizję?

- Myślę, że mogłam ją spowodować - powiedziała spokojnie Edith Metlock. - Widzi pan, wydaje mi się, że zostałam przez nich wykorzystana.

- Wywołała pani zmarłych?

- Nie, poddałam się im, to wszystko. Ukazywali się poprzez moją osobę. Bishop pokręcił głową.

- To bardzo piękne, jeśli się wierzy w duchy.

- A pan jak by to nazwał?

- Wibracje. Obrazy elektromagnetyczne. Jacob zna moje poglądy na tego typu zjawiska. Elektrokardiograf pokazuje, jak serce wysyła impulsy elektryczne; wierzę, że ktoś znajdujący się w stanie stresu działa na takiej samej zasadzie. Te impulsy są odbierane później przez kogoś takiego jak pani, wrażliwego na nie.

- Ale to pan miał wizje, nie ja.

- Telepatia. Pani była odbiorca i mnie przekazywała obrazy.

Jessica przerwała mu.

- Dlaczego zatem myśli Edith nie były przekazywane do mnie? Dlaczego ja nic nie widziałam?

- Ani ja? - spytał Kulek. - Jeżeli to były tylko myśli telepatyczne przekazywane przez Edith, to dlaczego nie widziałem ich oczami umysłu?

- I dlaczego tak się bałeś? - naciskała Jessica.

- Może, tak naprawdę, ja nic nie widziałem. - Popatrzyli na niego ze zdziwieniem. - Może przypomniałem sobie to, co poprzednio widziałem w tym domu. Może pani Metlock odblokowała coś w mojej podświadomości, coś tak potwornego, że starałem się o tym zapomnieć. Jeżeli ktoś z was doświadczyłby tego, na pewno też by się bał.

- A ta kobieta? - spytała Jessica. - Dlaczego była w domu?

- Ukrywała się, na miłość boską! Zabiła tego starca, wiedziała, że Beechwood było puste, więc tam się schowała.

- Dlaczego chciała zabić mojego ojca? Dlaczego nie mnie lub ciebie?

- Może nienawidzi mężczyzn w wieku twojego ojca - powiedział rozdrażniony Bishop. - Mężczyzn podobnych do jej pracodawcy.

- Poszła prosto do niego. Nawet nie widziała Jacoba, ale minęła ciebie i mnie, żeby dotrzeć do niego.

- Mogła w piwnicy usłyszeć jego głos.

- A właśnie, piwnica, Chris. Ty też to czułeś, prawda?

- Co czułem?

- No, że było coś złego w tej piwnicy. Bishop przetarł ręką oczy.
- Już sam nie wiem. To wszystko wydaje mi się teraz jakieś obłąkane.
- Chris, wciąż nie powiedziałaś nam, co widziałaś, albo jak to określasz, co sobie przypomniałaś - nalegał cicho Kulek.

Chociaż Jessica była wściekła na Bishopa za to, iż nie chciał potwierdzić, że to wszystko naprawdę wydarzyło się w Beechwood, to widząc jego pobladłą twarz chciała jakoś go pocieszyć.

Trwało parę sekund, zanim Bishop odezwał się; jego głos brzmiał bezbarwnie i monotonicznie, jakby celowo powstrzymywał emocje, bojąc się, że może stracić nad nimi panowanie. Opisał sceny z Beechwood, szalone, perwersyjne samobójstwa, okrutne sposoby zabijania. Jessica czuła, jak przewracają się w niej wnętrzności. Gdy skończył, pokój zaległa martwa cisza. Niewidzące oczy Jacoba Kuleka były zamknięte, Edith Metlock nie mogła oderwać wzroku od twarzy Bishopa. W końcu niewidomy mężczyzna uniósł powieki i powiedział:

- Starali się umrzeć w najbardziej odrażający sposób. Musieli.
- Bishop zmarszczył brwi.
- Myślisz, że mieli jeszcze jakiś motyw? Kulek przytaknął.
  - Zawsze jest jakaś przyczyna samobójstwa lub morderstwa. Nawet szaleńcy mają swoje powody.
  - Zazwyczaj samobójcy chcą się uwolnić od problemów, jakie niesie ze sobą życie.
  - Albo od ograniczeń.
- Bishopa zdziwiła ostatnia uwaga Kuleka, poprzednio Jessica mówiła o śmierci jako sposobie wyzwolenia. Ale był zbyt wyczerpany, aby zastanawiać się nad tym.
- Jakikolwiek były motywy, pojutrze to nie będzie miało znaczenia. Ten dom nie będzie już tam dłużej stał - zakończył Bishop.

Poruszyło to ich.

- Co masz na myśli? - z lękiem spytał Kulek.
- Zanim tu przyjechałem, zadzwoniłem do panny Kirkhope - wyjaśniał Bishop. - Powiedziałem jej, że w domu, z wyjątkiem przejmującego zimna, nie ma nic szczególnego i poradziłem jej, aby jak najszybciej zrealizowała plan zburzenia go. Odparła, iż w tej sytuacji przesunie termin na dzień jutrzejszy.
- Jak mogłeś? - krzyknęła Jessica, była wściekła.
- Chris, nie wiesz, co zrobiłeś! - Kulek poderwał się na nogi.

- Prawdopodobnie ma rację. - Jessica i jej ojciec ze zdziwieniem spojrzeli na Edith Metlock. - Prawdopodobnie zniszczenie Beechwood uwolni ich biedne dusze. Wierzę, że dom i wszystko, co się w nim dzieje, zatrzymuje je na tym świecie. Teraz odzyskają wolność. Będą mogły odejść.

Jacob Kulek opadł na fotel i wolno potrząsał głową.

- Żeby tylko tak się stało - to było wszystko, co mógł powiedzieć.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Lucy umarła w trzy dni po swoich piątych urodzinach.

Bishop powiedział te słowa bez emocji, jakby odciął się od smutku, jaki ze sobą niosły. Jednak w środku, w najtajniejszych zakamarkach jego duszy tlił się jeszcze słaby, ale wciąż żywy, powoli zamierający ból. Jessica, idąca obok niego przez zimny londyński park, nie odezwała się. Różnica w ich wyglądzie symbolizowała w jakimś sensie ich wzajemną wrogość, która w ciągu tych paru dni ich znajomości czasami słabła, a później na nowo nasilała się wraz z rosnącą w nich zawziętością. Teraz, słysząc jak opowiada o córce, chciała zniszczyć dzielącą ich przepaść, ale nie miała w sobie dość siły, by zbliżyć się do niego.

Bishop zatrzymał się, żeby popatrzeć na szare jezioro, na którym kaczki zbiły się w stado, jakby bały się ciemnej tafli wody.

- Laryngotracheo-bronchitis był pośrednią przyczyną - powiedział, wciąż nie patrząc na Jessikę. - Kiedy byłem dzieckiem, nazywaliśmy to krupem. Dusila się, brakowało jej tchu. Długo nie mogliśmy przekonać lekarza, by tej nocy opuścił ciepłe łóżko i przyszedł ją zbadać. Nawet wtedy niewielu chętnie zgadzało się na domową wizytę. Telefonowaliśmy do niego trzy razy - za drugim razem grożąc, za trzecim błagając, żeby przyszedł. Może byłoby lepiej, gdyby w ogóle się nie zjawił.

Jessica stała obok, obserwując jego profil. Grubym materiałem płaszcza musnęła jego rękę.

- To była potwornie zimna noc. Może Lucy zaszkodził pośpiech, w jakim odwoziliśmy ją do szpitala. Czekaliśmy dwie godziny: godzinę na lekarza, żeby ją zbadał, godzinę zanim podjęli decyzję, co dalej robić. Przeprowadzili tracheotomię, ale córka nabawiła „się już zapalenia płuc. Nie wiem, czy była tak osłabiona, że nie wytrzymała operacji, czy zabiła ją sama choroba, nigdy się nie dowiedzieliśmy. Winiliśmy siebie, lekarza, który nie chciał od razu przyjść, szpital, ale przede wszystkim mieliśmy pretensję do Boga. - Uśmiechnął się gorzko. - Oczywiście, wtedy jeszcze Lynn i ja wierzyliśmy w Boga. - A teraz już nie wierzysz?

Jessica wydawała się być zdumiona i Bishop odwrócił głowę w jej kierunku.

- Czy możesz uwierzyć, by jakikolwiek Bóg pozwolił na takie cierpienie?

Wskazał głową na wysokie budynki, jakby miasto było siedliskiem ludzkiej męki.

- Lynn była katoliczką, ale myślę, że odrzuciła Boga jeszcze silniej niż ja. Może na zasadzie: im bardziej w coś wierzysz, tym bardziej tego nienawidzisz, jeżeli twoja wiara zostaje zachwiana. Przez cały pierwszy rok musiałem pilnować Lynn w dzień i w nocy. Myślałem, że się zabije. To chyba troska o nią pochłonęła mnie do tego stopnia, że przez to wszystko przebrnąłem - sam nie wiem. Później już mi się wydawało, że pogodziła się z losem. Stała się spokojna, ale ten spokój przepelniony był smutkiem i rezygnacją, tak jakby poddała się, straciła zainteresowanie otaczającym ją światem. Z jednej strony odbierało mi to odwagę, ale z drugiej - dawało bodziec do działania. Mogłem na nowo, już bez hysterii, planować nasze życie. Ja robiłem plany, ona słuchała. To już coś było. Po paru tygodniach ożywiła się, miałem wrażenie, że wraca do życia. I wtedy odkryłem, że bierze udział w seansach spirytystycznych.

Bishop rozejrzał się dokoła i wskazał ławkę za nimi, po przeciwnej stronie ścieżki.

- Może usiądziemy na chwilę? Nie jest za zimno? Jessica pokręciła głową.

- Nie, nie jest.

Usiedli i przysunęła się do niego. Był roztargniony, prawie nie zauważał jej obecności.

- Czy wtedy wierzyłeś w spirytyzm? - spytała.

- Co? Och nie, właściwie to nie. Nigdy przedtem o tym nie myślałem. Ale dla Lynn był jakby nową religią; zastąpił jej Boga.

- Jak trafiła do tego spirytysty?

- Prawdopodobnie w dobrej wierze powiedziała jej o nim przyjaciółka. Sama przed laty straciła męża i przypuszczam, że ponownie nawiązała z nim kontakt poprzez tego mężczyznę. Lynn przysięgała, że odnalazł dla niej Lucy. Mówiła, że z nią rozmawiała. Na początku byłem wściekły, ale później zauważyłem zmianę, jaka zaszła w Lynn. Nagle znowu odnalazła sens życia. Trwało to długo i muszę przyznać, że moje argumenty przeciwko jej wizytom u spirytysty były mało przekonujące. Oczywiście płaciła mu za każdy seans, ale nie tyle, bym mógł podejrzewać go, że zbija na niej fortunę. - Bishop zaśmiał się cynicznie. - Ale czyż oni nie postępują w ten sposób? Zdobywają dużą klientelę, biorą od każdego małe „datki” i szybko nabijają kabzę.

- Nie wszyscy są tacy, Chris. Tylko nieliczni wyłącznie dla pieniędzy zajmują się spirytyzmem.

Jessica stłumiła gniew, nie chcąc wszczynać kolejnej kłótni.

- Być może działają z różnych pobudek, Jessico - starał się dać do zrozumienia, że każdy inny motyw jest tak samo zły jak chęć zdobycia pieniędzy, ale Jessica nie podjęła tego wątku.

- W każdym razie - kontynuował Bishop - Lynn w końcu przekonała mnie, abym wziął udział w jednym z takich spotkań. Może znów chciałem zobaczyć lub usłyszeć Lucy. Tak bardzo mi jej brakowało, że gotów byłem chwycić się każdej szansy. I przez pierwszych pięć minut prawie dałem się nabrać temu mężczyźnie.

Był w średnim wieku. Mówił z miękkim irlandzkim akcentem. Miał łagodny, ale przekonujący sposób bycia. Podobnie jak Edith Metlock, wyglądał jak każdy inny, zwykły uczestnik spotkania. Nie podkreślał przesadnie swoich umiejętności, nie starał się nawet przekonać mnie do tego, co robił. Powiedział, że mogę wierzyć lub nie, do mnie należy wybór. Mówił z taką obojętnością, że prawie uwierzyłem w szczerą jego intencję.

Po krótkim wstępie zaczął się seans. Pokój był zaciemniony, trzymaliśmy się za ręce, siedząc dookoła stołu - tego się spodziewałem. Na początku poprosił nas, żebyśmy razem z nim odmówili krótką modlitwę i, ku mojemu zdziwieniu, Lynn chętnie to uczyniła. W seansie brały udział także inne osoby, między innymi przyjaciółka Lynn, która ją przedstawiła medium; każdy po kolei wchodził w kontakt ze swoim zmarłym krewnym lub przyjacielem. Szczerze mówiąc, trochę się bałem. Atmosfera była - nie wiem, jak to określić - ciężka, naładowana? Musiałem sobie powtarzać, że to wszystko dzieje się w pokoju, wśród żywych ludzi.

Kiedy usłyszałem głos Lucy, zeszywniałem z przerażenia. Lynn mocno ścisnęła moją rękę i wiedziałem, nie patrząc na nią, że płacze. Wiedziałem także, że roniła łzy, gdyż była szczęśliwa. Głos był cienki, odległy, wydawało się, że dochodzi z powietrza. Dziecięcy głosik, ale mógł przecież należeć do innego dziecka. Gdy usłyszałem, o czym mówi, uwierzyłem, że to Lucy. Cieszyła się, że wreszcie przyszedłem. Tęskniła do mnie, ale teraz była szczęśliwa. Kiedy umierała, nie czuła bólu, tylko smutek, a później wielką radość. Teraz w swoim świecie ma wielu nowych przyjaciół i martwi się tylko tym, że my, mama i tata, jesteśmy nieszczęśliwi. Już prawie miałem łzy w oczach, ale nagle zdałem sobie sprawę, że nie wszystko brzmi prawdziwie. Lucy, kiedy umarła, miała zaledwie pięć lat, a sposób, w jaki mówiło to dziecko, wskazywał na kogoś o wiele starszego. Jeżeli naprawdę chciałbym w to uwierzyć, musiałbym przekonać siebie, że tak to wygląda na tamtym świecie - mądrość zdobywa się tam bez względu na to, w jakim wieku się umarło. Jednak trudno mi było coś takiego zaakceptować. Zaskoczyła mnie, gdy zaczęła mówić o sprawach, które znaliśmy tylko my troje: ja, Lucy i jej matka. Ale wtedy spirytysta popełnił pierwszy błąd. Głos przypominał

mi, jak kiedyś, gdy Lynn wyszła po zakupy, szamotaliśmy się z Lucy w salonie. W czasie walki stłukła się ulubiona ozdóbka Lynn. To chyba była osiemnastowieczna statuetka kurtyzany, ale tylko kopia, bez większej wartości. Lynn uwielbiała ją jednak i wiedzieliśmy, że sytuacja jest kłopotliwa. Odpadła tylko głowa i następne pół godziny spędziłem przyklejając ją. Lynn niczego nie zauważyła, aż do chwili, gdy chciała wytrzeć ją z kurzu. Głowa znowu odpadła. Niestety, gdy to się stało, byliśmy razem z Lucy w salonie, wpadliśmy w histerię, widząc twarz Lynn. W każdym razie ja przyznałem się do winy i na tym sprawa się zakończyła. Dopiero chichoczący w pokoju głos przypomniał mi o tym.

W porządku, podczas seansów duchy ukochanych osób opowiadają mnóstwo banalnych zdarzeń. Dzięki temu sesje stają się wiarygodne, prawda? Wspominają wspólnie przeżyte chwile, o których prawdopodobnie nikt inny nie wie. To bardzo pięknie, ale oni popełnili błąd. To Lucy stłukła figurkę, nie ja. Wziąłem na siebie winę, ponieważ Lucy bała się, że zostanie ukarana. Oczywiście tak by się nie stało, zrobiła to przez przypadek. Ale takie są dzieci.

Potem stałem się bardziej podejrzliwy. Medium usłyszało od kogoś tę historyjkę. Od kogo? Od Lynn? Może ona opowiedziała ją podczas którejś wizyty. Albo jej przyjaciółka, kobieta, która ją tam przyprowadziła. Jeżeli to ona, na pewno nie miała złych intencji. Jak już wspomniałem, Irlandczyk był miłym, przekonywającym rozmówcą. Mógł wiele się o nas dowiedzieć.

Przez jakiś czas grałem na zwłokę, udając, że mnie przekonali, czekając na kolejny błąd. No i popełnili go. Głupia, niemal farsowa pomyłka. Przypuszczam, że moje zachowanie uspiło ich czujność, myśleli, że jestem kolejnym naiwniakiem, z którego będą mogli ciągnąć pieniądze. W pewnej chwili z jakiegoś miejsca za medium zaczęła wydobywać się dymiąca substancja. Dochodziła z tyłu pokoju, zza jego lewego ramienia, z miejsca, które Lynn i ja dokładnie widzieliśmy. Z dymu zaczął się wyłaniać mglisty, niewyraźny obraz - twarz, która falując, raz była ostra, raz zamazana. Po kilku sekundach rozpoznaliśmy Lucy. Miała te same rysy, ten sam wyraz twarzy, ale coś się w niej nie zgadzało. Zrozumiałem, o co chodzi i było to tak głupie, że gdybym nie był wściekły, wybuchnąłbym śmiechem. Wiesz, miała przedziałek nie z tej strony. Z tyłu rzucili na mały ekran zdjęcie Lucy. Brzegi ekranu były dobrze zamaskowane, a dym jeszcze lepiej je ukrywał.

Gdy zorientowałem się, na czym to wszystko polega, straciłem nad sobą panowanie i szybko ruszyłem w kierunku dymu wydobywającego się z małej rurki, umieszczonej w ścianie. Uderzyłem pięścią w ekran znajdujący się wewnątrz małej niszy, którą zakrywano przysłoną z czarnego pleksiglasu, gdy zapalano światło.



Bishop pochylał się, opierając łokcie na kolanach i wpatrując się w pokrytą żwirem ścieżkę.

- Czasami zastanawiam się, co by się stało, gdybym ich nie zdemaskował. Może wtedy Lynn by się nie załamała?

Uśmiechnął się gorzko, gdy przypomniał sobie bezpośrednie skutki swego zachowania.

- Jak możesz sobie wyobrazić, seans zakończył się wrzawą. Medium krzyczało na mnie, już nie panując nad swym silnym irlandzkim akcentem. Przyjaciółka żony wpadła w histerię, podczas gdy Lynn była spokojna, ale przejmująco blada. Inni byli mniej lub bardziej przerażeni albo zszokowani. Do tej pory nie wiem, czy ich złość była skierowana na mnie czy na Irlandczyka.

Nie zwracałem już sobie głowy szukaniem ukrytego głośnika, z którego dochodził głos dziecka; zobaczyłem wystarczająco dużo. Irlandczyk podszedł do mnie wyglądając tak, jakby jego czerwona twarz za chwilę miała eksplodować. Nie chcąc mieć dalszych kłopotów, odepchnąłem go mocno, po czym zabrałem Lynn i wyszliśmy stamtąd. Przez następne trzy dni nie powiedziała ani słowa. Później się załamała.

Widzisz, odebrałem jej ostatnią nadzieję. To tak, jakby Lucy umarła dwa razy.

- O Boże, Chris, to dla niej musiało być straszne. Dla was obojga.

Jessica także się pochylała.

- Przez kolejne miesiące Lynn zdawała się coraz bardziej zamykać w sobie. Po prostu nie mogłem do niej dotrzeć. Miałem wrażenie, że o coś mnie obwinięła. W końcu zabrałem ją do psychiatry, który wyjaśnił, że dla Lynn stałem się niemal mordercą Lucy. W jej zmęczonym umyśle byłem kimś, kto ponownie odebrał jej córkę. Nie wierzyłem mu, nie mogłem. Zawsze byliśmy sobie tacy bliscy. Kiedy Lynn cierpiała, ja też cierpiałem; kiedy byłem szczęśliwy, ona też była szczęśliwa. Dla nas Lucy była symbolem tej bliskości, jej owocem. Stało się tak, jakby wraz z jej śmiercią pękły wszystkie łączące nas więzy. Lynn dwukrotnie próbowała popełnić samobójstwo, zanim zmuszono mnie, abym oddał ją do zakładu. Raz próbowała mnie zabić.

Jessica zadrzała, lecz nie z zimna, i impulsywnie położyła rękę na jego ramieniu. Znowu oparł się o ławkę, jakby chciał strącić jej dłoń. Jessica szybko ją cofnęła.

- Za pierwszym razem wzięła tabletki na sen, za drugim - próbowała podciąć sobie żyły. W obu przypadkach udało mi się ją zawieźć do szpitala, zanim było za późno; ale wiedziałem, że kiedyś mogę nie zdążyć. Po drugiej próbie naprawdę zaczęła mnie nienawidzić. Chciała być z Lucy, a ja jej w tym przeszkadzałem. Pewnej nocy obudziłem się,

gdy stała nade mną z nożem. Nie wiem, dlaczego nie zadała ciosu, gdy spałem. Może gdzieś w środku tkwiła w niej jeszcze dawna Lynn, która nie chciała mnie zabić. Moje przebudzenie musiało dać jej impuls do działania. Ledwo zdążyłem się uchylić. Nóż przebił poduszkę i musiałem mocno uderzyć Lynn, żeby wypuściła go z ręki. Potem nie miałem już wyboru: musiałem Lynn zapewnić fachową opiekę. Nie byłem w stanie przez cały czas jej pilnować.

Przez chwilę milczał, uporczywie unikając wzroku Jessiki, aż w końcu zaczęła się zastanawiać, czy teraz żałuje, że opowiedział jej o tym wszystkim. Była ciekawa, czy kiedykolwiek mówił komuś o tym.

- To stało się sześć, siedem lat temu - powiedział w końcu.

- A Lynn ciągle jest w...? - zawahała się, nie chcąc używać tej nazwy w obawie, że zrobi mu przykrość.

- Zakładzie dla psychicznie chorych? Tak, jest w prywatnej klinice, nie najlepszej, ale takiej, na jaką mnie stać. Ludzie, którzy ją prowadzą, nazywają to sanatorium dla osób z zaburzeniami psychicznymi. Jest to jeszcze jeden sposób na wyciągnięcie pieniędzy. Tak, w dalszym ciągu tam jest, i z tego co widzę, nastąpiła w niej pewna zmiana. Tyle że na gorsze. Odwiedzam ją tak często, jak tylko mogę, ale teraz nawet mnie nie poznaje. Powiedziano mi, że stworzyła wokół siebie barierę ochronną - ja jestem jej największym zagrożeniem, więc wypiera się mnie.

- Może zabrzmiało to banalnie, Chris, ale jest mi przykro. W ciągu tych ostatnich lat musiałeś przejść przez piekło. Teraz rozumiem, dlaczego tak bardzo nienawidzisz spirytystów.

Zdziwiła się, gdy Bishop wziął ją za rękę.

- To nieprawda, Jessico. Nienawidzę szarlatanów, ale zrozumiałem, że jest wielu absolutnie szczerych spirytystów, lecz omamionych.

Wzruszył ramionami i puścił jej rękę.

- Pierwszy, ten Irlandczyk, był kompletnym amatorem w porównaniu z innymi, których poznałem. Oni zrobili z tego prawdziwą sztukę. Wiesz, że w Ameryce jest nawet sklep, w którym można kupić spirytystyczne cuda. Parę dolarów za „Tajemnicę wirującego stolika”, trochę więcej za ducha Joe Spooka, który postukuje, gdy się zjawia. Jest tam nawet kubełek z ektoplazmą. Kiedy przyszła fala zainteresowania okultyzmem, spirytyzm stał się wielkim biznesem. Ludzie zaczęli interesować się światem ducha i od razu znalazło się mnóstwo kanciarzy, gotowych zaspokoić ich potrzeby. Nie zrozum mnie źle, nie prowadzę przeciwko nim krucjaty. Na początku chciałem demaskować każdą grupę, każdą osobę, która, moim zdaniem, oszukiwała, i w większości przypadków dopisywało mi szczęście. Ich triki

były tak oczywiste, kiedy się patrzyło z pozycji absolutnego niedowiarka. Ale czasami nawet mnie zatykało z wrażenia. Zacząłem dokładnie badać całe zagadnienie mistycyzmu, utrzymując swoją wiarę na realistycznym poziomie. Odkryłem, że wiele zjawisk można wytłumaczyć za pomocą przyziemnych badań. Przez praktyczne, naukowe rozumowanie, jeśli wolisz. Oczywiście mnóstwa spraw nie można jeszcze wyjaśnić, ale powoli znajdziemy odpowiedzi, zbliżając się stopniowo do prawdy.

- Tym właśnie zajmuje się Instytut mojego ojca.

- Wiem, Jessico. Dlatego chciałem się z tobą spotkać. Byłem niegrzeczny wobec ciebie, Jacoba i Edith Metlock. Wydawało mi się, że popadliście w przesadę, oceniając wydarzenia na Willow Road, interpretując je zgodnie z waszym sposobem rozumowania. Taki rodzaj hysterii. Często się z tym spotykałem podczas badań.

Położył palec na jej ustach, by stłumić protesty.

- Wierzę w to, co mówiłaś mi o Pryszaku. Może był na jakimś tropie. Może odkrył, że zło jest siłą fizyczną samą w sobie i szukał sposobu, aby wykorzystać tę siłę. Ale wszystko skończyło się wraz ze śmiercią Pryszaka i jego zwariowanych zwolenników. Czy nie rozumiesz tego?

Jessica westchnęła głęboko.

- Już sama nie wiem. Może przekonania ojca wpływają na moje opinie. Tak dobrze znał tego człowieka. Ich umysłowe możliwości były niespotykane” zupełnie wyjątkowe. A do tego ślepotą ojca zwiększyła zdolność percepcji pozazmysłowej, o której z nikim nie chciał rozmawiać, uważając to za swą osobistą sprawę.

- Nawet z tobą? Pokręciła przecząco głową.

- Pewnego dnia to zrobi, kiedy nadejdzie odpowiedni moment.

Zaśmiała się jakoś dziwnie.

- Ojciec porównuje siebie do badacza, który nie może poprowadzić innych, dopóki sam nie znajdzie właściwej drogi. Uważa, że Pryszak wyprzedził go na tej drodze.

- Podczas moich badań spotkałem wielu takich jak Pryszak. Oczywiście nie o tak skrajnych poglądach, ale wszystkich cechował taki sam fanatyzm jak człowieka, o którym mi opowiadałaś. To jest jak zaraźliwa choroba, Jessico. Niemal już sam zacząłem jej ulegać, kiedy z pewnych przyczyn doznałem zawodu.

- Ale zawsze wystarczało, że coś uznałeś za „nie wyjaśnione zjawisko”, i sprawę odkładałeś na bok - w jej głosie nie było sarkazmu, tylko bezradność.

- Tak, chwilowo, to jest tak jak z UFO: wytłumaczenie tego zjawiska to tylko kwestia czasu. Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- W porządku, Chris. Może to dobrze mieć takiego cynika jak ty, wężącego w tej dziedzinie; my mamy za mały dystans do tego, co robimy. Myślę jednak, że nawet przed sobą nie chcesz się przyznać, jak byłeś wstrząśnięty tym, co przeżyłeś w Beechwood. Może dlatego poleciłeś, by dom został natychmiast zburzony, żeby w ten sposób wypędzić nawiedzające cię duchy.

Nie wiedział, co odpowiedzieć; prawda nie była jasna nawet dla niego. Spróbował zatem obrócić to w żart.

- Cóż, gdybym w to uwierzył, zabiłoby to we mnie racjonalną istotę.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dzięki, że mi to wszystko opowiedziałeś, Chris. Wiem, że to nie było łatwe.

Bishop uśmiechnął się szeroko.

- Nie było, ale pomogło mi. Cieszę się, że nareszcie mogłem o tym z kimś pogadać.

Wstał z ławki i spojrział na nią.

- Przepraszam w moim imieniu ojca, dobrze? Nie dla zabawy chciałem to wszystko tak szybko zakończyć. Myślałem, że tak będzie lepiej. Naprawdę.

- Jesteś mi winni pieniądze.

- Za pół dnia pracy? Daj spokój. Chciał odejść, ale zatrzymała go pytając:

- Czy zobaczymy się jeszcze? Zmieszany odpowiedział:

- Mam nadzieję.

Jessica patrzyła, jak opuszczał park przez wyjście prowadzące w kierunku Baker Street. Sięgnęła do wiszącej na ramieniu torebki i wyciągnęła papierosa. Zapaliła go i głęboko zaciągnęła się dymem. Był dziwnym człowiekiem, uczuciowym. Ale teraz rozumiała już jego cynizm i całą jej złość na niego gdzieś się ulotniła. Chciałaby jakoś pomóc Bishopowi. Chciałaby także pomóc swojemu ojcu uwolnić się od obsesji związanej z Pryszlakiem. Chciała, żeby to wszystko się skończyło, ale, podobnie jak Jacob, instynktownie wiedziała, że tak się nie stanie.

Przestraszyło ją głośnie kwakanie, zobaczyła jak dwie kaczki zawzięcie walczyły o małe kawałki chleba, które rzucała im starsza kobieta. Jessica wstała z ławki i starając się ochronić przed wilgotnym powietrzem, dokładnie otuliła się płaszczem. Zatrzymała się na pokrytej żwirem ścieżce, by zgasić nie dopalony papierosa, następnie wrzuciła połamany niedopałek do najbliższego kosza. Ręce schowała głęboko do kieszeni i powoli ruszyła do wyjścia.

Specjalna ekipa rozpoczęła burzenie domu, maszyny rozwalaly ściany Beechwood, ludzie zawzięcie walili ciężkimi młotami. Sąsiedzi gapili się, zdziwieni nagłym atakiem na

dom, a ci, którzy znali jego historię, cieszyli się, że zostanie zniszczony. Po dwóch dniach pozostała tylko góra gruzu, niewidoczna wyrwa między domami Willow Road, pustka, która wypełniała się tylko wtedy, gdy zapadała noc. Postawiono masywną, drewnianą barierkę, aby powstrzymać ciekawskich, szczególnie dzieci, przed wchodzeniem na teren parceli, rumowisko było niebezpieczne, gdyż podłoga parteru tylko częściowo się zapadła. Przez niewielkie dziury można było wpaść do piwnicy.

Cienie pod rumowiskiem zapraszały noc, zlewając się z nią, stając się bardziej rzeczywiste, a przez otwory zdawała się wypełzać ciemność piwnicy, jak żywa, oddychająca istota.

Część druga

Obejrzyj się na przymierze twoje; albowiem i najciemniejsze kąty ziemi pełne jaskiń drapiestwa.

Psalm LXXIV:20

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nadinspektor Peck jęknął w duchu, gdy granada miękko zahamowała.

- Wygląda jak Armageddon - rzucił kierowcy, który w odpowiedzi zaśmiał się cicho.

Peck wygramolił się z samochodu i szybko ocenił sytuację. Śwad dymu wciąż unosił się w powietrzu i ogromne kałuże wody zalewały Willow Road, tworząc małe, błyszczące jeziora. Strażacy polewali zgłiszczą trzech zniszczonych przez ogień domów, których jasnoczerwone ściany kontrastowały z ponurą szarością ulicy. W pobliżu, z szeroko otwartymi drzwiami, stał ambulans, gotowy na przyjęcie kolejnych ofiar. Z tłumu wstrząśniętych gapiów oderwała się ubrana na niebiesko postać i pospieszyła w kierunku Pecka.

- Nadinspektor Peck? Otrzymałem wiadomość, że jest pan w drodze.

Umundurowany mężczyzna szybko zaszutował, co Peck skwitował lekkim kiwnięciem głowy.

- Inspektor Ross z lokalnej policji, jak sądzę?

- Tak, sir. Mamy tu cholerne zamieszanie. Ruchem głowy wskazał na sceny, rozgrywające się w dalszej części ulicy.

- Myślę, że najpierw trzeba stąd usunąć wszystkich, którzy nie są bezpośrednio zamieszani w całą tę historię z ostatniej nocy.

- Właśnie miałem to zrobić. Problem polega na tym, że połowa z nich jest zamieszana.

Peck ze zdziwieniem uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Ross przywołał sierżanta.

- Każ im rozejść się do domów, Tom. Zgłosimy się do wszystkich, by złożyli zeznania. I niech prasa wycofa się na koniec ulicy; później podamy oficjalne oświadczenie. Myślałem, że postawiłeś ludzi przy obu końcach ulicy, by zatrzymywali każdego, kto chciałby się tu przedostać.

- Obstawilem ulicę. Nic nie pomaga.

- Rozumiem, skontaktuj się z dowództwem, niech przyślą nam zapory. Powiedz im też, że potrzebujemy więcej ludzi. A na razie wszyscy cywile niech opuszczą ulicę. Natychmiast.

Sierżant odszedł, ostrym tonem zaczął wydawać polecenia zarówno swoim ludziom, jak i tłoczącym się gapiom. Ross odwrócił się do Pecka, który powiedział:

- W porządku, inspektorze. Chodźmy do samochodu i przez chwilę porozmawiajmy w spokoju.

Gdy znaleźli się w środku, Peck zapalił papierosa i uchylił tylną szybę, aby dym mógł ulatywać.

- Więc słucham - rzekł, patrząc z roztargnieniem na to, co działo się na zewnątrz.

Inspektor położył czapkę na kolanach.

- Pierwszym sygnałem, że dzieje się coś niedobrego, był meldunek, jaki przez radio złożył jeden z naszych posterunkowych, patrolujących tę ulicę. To był posterunkowy Posgate; razem z Hicksem sprawowali tu policyjny nadzór.

- Nadzór policyjny?

- No, niezupełnie. Ale to było coś więcej niż normalny patrol. Słyszał pan o tych dziwnych zdarzeniach, które miały tu miejsce ostatnio?

Peck chrząknął i Ross potraktował to jako potwierdzenie.

- Mieszkańcy domagali się jakiejś ochrony. Daliśmy im patrol, żeby wiedzieli, iż pilnujemy tej ulicy, ale szczerze mówiąc, to naprawdę nie spodziewaliśmy się, że tu znowu coś się zdarzy.

- Zdaje się, że się pomyliliście. Proszę mówić dalej. Inspektor poruszył się niespokojnie.

- Nasz człowiek zameldował, że chyba coś się dzieje na końcu ulicy. Jego zdaniem wyglądało to na bójkę lub napad rabunkowy.

- O której to było?

- Około wpół do dwunastej. Poszli, żeby zaprowadzić tam porządek i sami nieźle oberwali.

- Ile osób tam było?

- Trzy. Młodzi ludzie: Dwóch białych i jeden czarny.

- I tak załatwili waszych ludzi?

- To byli niebezpieczni gówniarze, sir. Peck ukrył uśmiech, ujmując dłonią papierosa, którego trzymał w ustach.

- I nie był to napad - powiedział poważnie Ross.

- Nie?

- Nie. To był gwałt.

- Na ulicy?

- Tak, sir, na ulicy. Nie próbowali nawet zaciągnąć ofiary w jakieś ustronne miejsce.

Ale nie to jest najgorsze.

- Pewnie mnie pan zaskoczy?!

- Ofiarą był mężczyzna.

Peck spojrzał na inspektora z niedowierzaniem.

- Jestem zaskoczony - powiedział.

Ross ucieszył się w duchu, że udało mu się wywrzeć wrażenie na przełożonym. Wiedział, że dalsza relacja jeszcze bardziej wstrząśnie Peckiem.

- Ten mężczyzna nazywa się Skeates. Mieszka przylej ulicy, jest typem młodego urzędnika. Najwidoczniej wracał właśnie do domu po nocnej wizycie w pubie.

- Następnym razem weźmie taksówkę. Co z pana ludźmi? Bardzo poturbowani?

- Hicks ma złamaną szczękę. Poza tym stracił prawie wszystkie zęby. Zanim przybyły posiłki, ci trzej bandyci połamali Posgatowi obie ręce i to samo próbowali zrobić z nogami.

Peck przez zaciśnięte zęby wypuścił kłęb dymu.

- Zawzięte skurwysyny - skomentował z przekąsem. Ross nie wyczuł ironii w głosie starszego rangą oficera.

- Ci trzej wcale nie byli pedałami. Wiem, bo przesłuchiwałem ich, kiedy zostali przywiezieni.

- Czy jeszcze coś o nich wiadomo?

- Cały czas są przesłuchiwani. Zbuntowali się w areszcie.

- Już to widzę - Peck uśmiechnął się, dostrzegłszy rosnące oburzenie inspektora. - W porządku, Ross. Nie miałem nic złego na myśli. Nie winie twoich ludzi, że przyłożyli im trochę. Czy wyciągnąłeś coś z tych skurwysynów?

- Nie, wszyscy trzej milczą jak zakłęci. Przez całą noc nie powiedzieli ani słowa.

- Co z ofiarą?

- Moi ludzie znaleźli go, kiedy czołgając się po ulicy próbował dostać się do domu. Zeznał, że ci trzej po prostu siedzieli na chodniku, jakby czekali na kogoś, kto miał nadejść. Najwidoczniej tu nie mieszkają. Przynajmniej on nigdy ich przedtem nie widział.

- W porządku, inspektorze, pańska opowieść wywarła już na mnie wystarczająco silne wrażenie. Co jeszcze stało się tutaj ostatniej nocy? - Peck obrócił głowę w stronę wciąż tłących się domów. - Poza tym, co jest oczywiste.

- Około wpół do drugiej nad ranem otrzymaliśmy zawiadomienie o włamaniu do domu numer... - Ross wyjął notes z kieszeni na piersiach i błyskawicznie go otworzył - trzydzieści trzy. Dzwoniła pani Kimble. Zanim moi ludzie przybyli na miejsce, jej mąż sam sobie poradził ze zmartwieniem.

- Niech mi pan nie każe zgadywać.

- Państwo Kimble mają piętnastoletnią córkę. Śpi w pokoju, którego okna wychodzą na ulicę. Mężczyzna wdarł się do jej sypialni.

- Chyba nie następny gwałt? - z odrazą spytał Peck.

- Nie, sir. Intruz mieszkał naprzeciwko domu państwa Kimble. To był Eric Channing.

- Był?

- Był. Już nie jest.

- Ten... jak się nazywa? Kimble... sam wymierzył sprawiedliwość?

- Channing po drabinie dostał się pod okno sypialni. Nawet nie próbował go otworzyć, po prostu skoczył głową do przodu, rozbił szybę i rzucił się na dziewczynę. Gdy pani Kimble dzwoniła do nas, pan Kimble był zajęty zrzucaniem niedoszłego gwałticiela tą samą drogą, którą tamten przyszedł; Channing spadł, łamiąc sobie kark.

- Miłuj sąsiada swego... co? Czy wiemy coś jeszcze o tym pomysłówym panu Kimble? Był notowany?

- Nie mamy go w kartotece. Zbyt gwałtownie zareagował, to wszystko.

- Miejmy nadzieję, że sędzia nie będzie reagował w ten sam sposób. Co jeszcze mamy?

- Jakby te dwa wypadki nie wystarczyły, około trzeciej nad ranem zaczęło się prawdziwe piekło. Wtedy wybuchł pożar.

- Przyczyna?

- Zaczął się w domu jednorodzinny i przeniósł na sąsiedni. Sądzymy, że strzelające iskry spowodowały pożar najbliższych budynków.

- Tak, ale jak to się zaczęło?

Ross odetchnął głęboko i znów zajrzał do notesu, by sprawdzić nazwisko.



- Alarm wszczął emerytowany biznesmen, pan Ronald Clarkson. Obudził go swąd spalenizny. Jego żona siedziała na środku podłogi w sypialni. Wzięła olej parafinowy z jednego z palników i oblała się nim. Miał szczęście; oblała także łóżko. Ledwo zdążył uciec.

Oczy Pecka rozszerzyły się z przerażenia, krew odpłynęła mu z twarzy.

Ross mówił dalej, patrząc z pewną satysfakcją na szefa.

- Zanim przybyła straż, cały dom się spalił, nie udało się także uratować sąsiedniego budynku. Naprzeciwko też nieźle się paliło, ale zdążyli opanować ogień, zanim całkowicie zniszczył dom. Dziś w nocy było tu osiem wozów strażackich, wyglądało to tak, jakby przypuszczono gwałtowny atak i bez końca bombardowano cały teren.

- Czy ktoś jeszcze, oprócz żony pana Clarksona, zginął w płomieniach?

- Nie, dzięki ostrzeżeniu Clarksona wszyscy, na szczęście, zdążyli uciec.

- Wskazał jakiś powód, dla którego ona to zrobiła? Podpaliła się?

- Mówi, że ostatnio była w depresji. Peck parsknął z oburzenia.

- W depresji! Jezu Chryste!

- I jeszcze coś.

- Chyba pan żartuje.

- Nie. Ale to już nie jest takie makabryczne. Gdy zaczęło świtać i strażacy walczyli jeszcze z ogniem, a ja biegałem w kółko jak oszalały, żeby zorientować się, co, do diabła, tu się dzieje, do jednego z moich ludzi poszedł jakiś człowiek i poprosił, żeby go aresztował.

- To musiała być miła odmiana. Kto to był? Kolejny wariat?

- Nie wyglądał na takiego. Nazywa się Brewer. Mieszka pod numerem dziewięć.

- I co?

- Bał się tego, co może zrobić swojej rodzinie. Policjant poszedł z nim do domu, znalazł żonę Brewera i trójkę ich dzieci, związanych i zamkniętych w szafie.

- I mówi pan, że to nie wariat?

- Rozmawiałem z nim. Sprawia wrażenie miłego, przeciętnego faceta, kompletnie przerażonego tym, co zrobił. Nie potrafi tego wytłumaczyć, nie wie, dlaczego tak postąpił. Ale chciał, żeby go zamknąć, aby nie mógł ich skrzywdzić. Oto, czego się boi.

- Mam nadzieję, że wyświadczyliście mu tę grzeczność.

- Oczywiście. Jest teraz w celi, ale później, kiedy to wszystko doprowadzimy do porządku, odeślemy go do szpitala.

- Zróbcie to, ale najpierw z nim porozmawiam. Czy to już wszystko?

- Z tego, co wiem, to tak. Jak wspominałem, sprawdzamy wszystkie domy.

- Cóż to za zwariowana ulica, inspektorze? Podmiejskie getto szaleńców?

- Do niedawna była to normalna, cicha willowa okolica. Rok temu mieliśmy, oczywiście, ten cały pasztet.

- Ma pan na myśli to zbiorowe samobójstwo?

- Tak, sir. Ten dom - Beechwood - właśnie wczoraj został rozebrany.

- Dlaczego go zburzono?

- Z tego, co wiem, właściciel tego domu miał go już po dziurki w nosie. Od niepamiętnych czasów nikt w nim nie mieszkał, a agenci nie mogli go sprzedać.

- Może jego duchy biorą odwet za zniszczenie?

Ross spojrział ostro na Pecka.

;- Dość dziwne, ale niedawno coś się tam działo. Jakiś człowiek o nazwisku Kulek poinformował nas, że przeprowadził w tym domu seans czy coś w tym rodzaju. Sprawdziliśmy, miał pozwolenie właścicielki.

- Czyli w tym domu naprawdę ukazywały się duchy? Peck potrząsnął głową, był otumaniony.

- Nic o tym nie wiem. Ale znaleziono tam nagą kobietę, ukrywającą się w piwnicy. Była prywatną pielęgniarką, która, jak się później okazało, zabiła swojego pracodawcę, starego człowieka, którym przez lata się opiekowała. Mieszkali w domu stojącym trochę dalej przy tej ulicy.

- Tak, słyszałem o tym. Jednak nie wiedziałem, że odbywał się tu seans.

- Nie jestem pewien, czy to naprawdę był seans. Ale wiem, że był tu jakiś ekspert od duchów.

- W porządku, porozmawiam z tym Kulekiem i wszystkimi osobami, które razem z nim były w tym domu.

- Chyba nie sądzi pan, że to ma coś wspólnego z duchami? Na twarzy Rossa pojawił się wyraz zaciekawienia.

- Niech pan da spokój, inspektorze. To ma tyle wspólnego z duchami, co z wodą pitną. Po prostu myślę, że już najwyższy czas, abyśmy zebrali wszystkie elementy i zaczęli składać je do kupy, zgadza się pan? W przeciwnym razie już niedługo nie znajdziemy tu nikogo, z kim można by porozmawiać; wszyscy będą albo martwi, albo w zakładzie dla obłąkanych.

Nagle, od strony Pecka, ktoś mocno zapukał w okno i obaj mężczyźni spojrzeli w tym kierunku. Przyglądała się im stara, pomarszczona twarz. Kobieta zapukała jeszcze raz, nie bacząc na to, iż przyciągnęła już uwagę obu policjantów.

- Czy pan odpowiada za to, co tu się dzieje? - spytała chrypliwym głosem, patrząc wprost na Pecka.

- W czym mogę pani pomóc? - spytał Peck, odkręcając jeszcze trochę szybę.  
- Gdzie jest mój ranny pies? - spytała stara kobieta i Peck poczuł ulgę, gdy zobaczył spieszącego w jej kierunku sierżanta, z którym wcześniej rozmawiał.  
- Przykro mi, proszę pani, ale... - zaczął mówić Peck.  
- Był cały zakrwawiony. Gdzieś zginął. Nie było go całą noc. Dlaczego nie zaczniecie go szukać, zamiast siedzieć tutaj na dupie?  
- Proszę przekazać szczegóły sierżantowi; on na pewno pani pomoże odnaleźć psa - powiedział cierpliwie Peck.

Odetchnął z ulgą, gdy sierżant wziął pod rękę gderającą kobietę i odprowadził ją na bok.

- Taka makabra, a ona martwi się o cholernego psa! Inspektor Ross ze zdziwieniem pokręcił głową.

- Przepraszam, sir - sierżant znów podszedł do okna.

- O co chodzi, Tom? - spytał Ross.

- Właśnie sobie pomyślałem, że może to pana zainteresuje. Chodzi o tego psa.

Peck ze zdumieniem wytrzeszczył oczy.

- Hm, to pewnie nic ważnego, ale skarga tej starej damy była piątą, jaką otrzymaliśmy tego ranka. To jest piąte zgłoszenie zaginięcia ukochanego zwierzaka. Wydaje się, że one wszystkie uciekły.

Ross wzruszył tylko ramionami, kiedy Peck spojrzał tępo na niego.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jazda przez niziny hrabstwa Kent działała uspokajająco na Bishopa. Niespodziewanie przyjemna zmiana pogody, jak wiosna, ożywiła monotony krajobraz i chociaż w powietrzu wyczuwało się jeszcze zimowy chłód, wydawało się, że pory roku nie chcą pogodzić się z kalendarzem. Zdecydował się jechać bocznymi drogami, omijając główne, ruchliwe trasy, które wiodły prosto do celu, ale były bardziej zatłoczone. Potrzebował czasu do namysłu.

Szaleństwo na Willow Road nie ustawało; prawdę powiedziawszy, zataczało coraz szersze kręgi. Poprzedniego dnia dwóch ludzi z Urzędu Śledczego do Spraw Kryminalnych złożyło Bishopowi wizytę w jego domu w Barnes. Prawie przez dwie godziny wypytywali go o Beechwood i o powody, dla których podjął się badania domu. Powiedział im wszystko, co wiedział: o niepokojach Jacoba Kuleka, o tym, iż chce za wszelką cenę udowodnić, że dom nie jest nawiedzany przez duchy, o znalezieniu nagiej kobiety ukrywającej się w piwnicy. Nie powiedział im tylko o wizjach, które tam miał. Kiedy wychodzili, nie sprawiali wrażenia

zadowolonych i burkliwie powiadomili go, że w ciągu najbliższych dni zostanie prawdopodobnie wezwany do złożenia oficjalnych zeznań; nadinspektor Peck z najwyższym zainteresowaniem wysłucha jego opowieści.

Później Bishop zastanawiał się, czy powinien skontaktować się z Jacobem Kulekiem i Jessiką, ale coś go przed tym powstrzymywało. Zrozumiał, że ma dość tej całej sprawy i że chce trzymać się od niej z daleka. Odczuwał jednak potrzebę ponownej rozmowy z Jessiką i świadomość tego wprawiała go w zakłopotanie. Niechęć, jaka między nimi istniała, zniknęła wraz z zakończeniem badań. Po wczorajszym spotkaniu w parku przestały go złościć jej przekonania i po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest atrakcyjną kobietą. Ale oparł się jej urokowi; musiał.

Bishop uważnie śledził znaki na drodze. Nagle poczuł ssanie w żołądku. Pora, aby coś zjeść. Zerknął na zegarek, wiedząc, że zbliża się do celu. Świetnie, ma mnóstwo czasu, żeby coś przekąsić. Miał być w tym domu dopiero po trzeciej. Telefon zadzwonił zaraz po wyjściu dwóch detektywów. Mężczyzna na drugim końcu linii przedstawił się jako Richard Braverman. Stwierdził, że przyjaciel polecił mu Bishopa jako badacza zjawisk metapsychicznych i chciałby go zaangażować do zbadania swojego domu w Robertsbridge w hrabstwie Sussex. Nowy klient wydawał się być zadowolony, że Bishop zgodził się rozpocząć badania już następnego dnia. Poza wskazówkami jak dojechać do posiadłości, Bishop nie starał się uzyskać żadnych informacji na temat rzekomego ukazywania się duchów; wolał być na miejscu, kiedy zadawał tego typu pytania. Ucieszył się z tej pracy, chciał znowu czymś się zająć. Tego wieczora odwiedził Lynn w klinice psychiatrycznej i, jak zawsze, wyszedł od niej rozczarowany i przygnębiony. Chyba jedyną zmianą w jej zachowaniu było to, że jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Tym razem nie chciała nawet spojrzeć na niego. Zakrywała sobie rękami oczy nawet po jego wyjściu.

Słoneczny poranek nieco złagodził jego cierpienie, a perspektywa pracy pozwoliła mu oderwać się od czarnych myśli. Zatrzymał samochód przed sympatycznie wyglądającym pubem, który nagle pojawił się po lewej stronie.

Po godzinie znów był w drodze, pełny żołądek wyraźnie poprawił mu nastrój. Kiedy dojechał do wsi Robertsbridge, musiał spytać o drogę do domu Bravermana i skierowano go na małą, boczną szosę, która przecinała tory kolejowe i prowadziła na strome wzgórze. Na jego szczycie, niemal ukryta w żywopłocie, ledwo widoczna, wyblakła tablica niechętnie przyznawała, że „Two Circles” można znaleźć w dole wąskiej uliczki, odchodzącej od głównej drogi. „Two Circles” - „Dwa Koła” było nazwą, którą domowi nadał Braverman. Bishop skręcił w wąską uliczkę, która była po prostu wyjeżdżonym traktem, i niemal podobał

mu się ten wyboisty zjazd do domu; jazda po nim zmuszała kierowcę do wykazania swoich umiejętności.

Zobaczył przed sobą dom i natychmiast zrozumiał jego niecodzienną nazwę - była to przebudowana suszarnia chmielu czy też dokładniej, suszarnie chmielu. Dwa okrągłe budynki połączone bardziej konwencjonalną w kształcie budowlą, która kiedyś musiała być ogromną stodołą. Wszystkie zaadaptowane na dom pomieszczenia tworzyły nowoczesną i masywną konstrukcję, cieszącą oko swym niespotykanym kształtem. Za nią rozciągały się zielone pola, których świetność stłumiła teraz zima. Ich granice wyznaczał pas ciemniejszej zieleni. Bishop wjechał samochodem na szerokie podwórze, które ciągnęło się wzdłuż kwadratowego budynku; sąsiadujące z nim suszarnie okolone były trawnikiem, który ciągnął się aż do nieogrodzonych pól - zmieniając się w pewnym momencie w dziko rosnącą trawę. Zbliżając się do drzwi frontowych Bishop już wiedział, że uda mu się wypędzić wszystkie rzekome duchy, gdyż adaptacje budynków na dużą skalę, tak jak to miało miejsce w tym przypadku, były częstą przyczyną występowania dziwnych dźwięków - skrzypienia, stukania - które właściciele przypisywali pobudzonym do życia, rozgniewanym duchom, a nie skutkom łączenia starych i nowych materiałów. Przycisnął duży, mosiężny dzwonek i czekał. Nikt nie otworzył. Zadzwoił jeszcze raz.

Coś się poruszyło? Ale w dalszym ciągu brak odpowiedzi. Zadzwoił ponownie.

Bishop zapukał do drzwi i zawołał:

- Halo, czy jest tam ktoś?

- Tylko my, duchy - odpowiedział sam sobie. Nacisnął klamkę i pchnął drzwi.

Otworzyły się lekko.

- Halo! Panie Braverman? Czy jest tu ktoś?

Bishop wszedł do długiego korytarza, nad którym biegła galeryjka i na widok wnętrza pokiwał z uznaniem głową. Drewniana podłoga miała kolor włoskiego orzecha i wpadające przez liczne okna światło odbijało się od jej dokładnie wypolerowanej powierzchni, padając na ciemne, wysokie ściany. Osobliwe meble, rozrzucone dookoła przestronnego holu, były wystarczająco interesujące, by można je było uznać za antyki, a kilka starannie rozmieszczonych dywaników zakrywało podłogę. Po prawej stronie zobaczył dvojce drzwi prowadzących do kolistych części domu. Podszedł do najbliższych, omijając dywan w obawie, by nie pobrudzić delikatnego wzoru, jego kroki głucho dudniły wśród ścian; zapukał do drzwi, a następnie otworzył je. Ogromny stół z blatem z ciemnego dębu naśladował okrągły kształt pokoju. Szeroka belka, schowana w łuku ściany, stanowiła obramowanie wypełnionego drewnem i nie rozpalonego kominka. Niewielki portret, wiszący tuż nad

kominkiem, przedstawiał podobiznę dziwnie znajomej osoby. Podłoga pokryta była ciemnobrązowym dywanem, o długim, sprężystym włosie.

- Panie Braverman? Czy jest pan w domu? Jakiś hałas z tyłu kazał Bishopowi się odwrócić. Zerknął na galerię.

- Pan Braverman?

Cisza, później uderzenie. Ktoś był na górze.

- Panie Braverman, tu Chris Bishop. Telefonował pan do mnie wczoraj.

Żadnej odpowiedzi. Zbliżył się do schodów. Coś się działo na górze.

Postawił nogę na pierwszym stopniu.

Jessica zeszła po schodach, prowadzących do portierni Instytutu.

- Pan Ferrier? - spytała czekającego tam, niskiego mężczyznę w okularach. - Jestem Jessica Kulek.

Mężczyzna poderwał się na nogi i nerwowo zakręcił rondem trzymanego w rękach kapelusza, jak kierownicą. Nikły uśmiech zadrżał mu na twarzy i zaraz zniknął. Jego płaszcz deszczowy pokryty był ciemnymi cętkami, jakby właśnie zaczęło padać, zanim wszedł do budynku.

- Obawiam się, że ojciec nie ma dziś wiele czasu - powiedziała Jessica, przywykła do nerwowego zachowania osób po raz pierwszy odwiedzających Instytut. - Ostatnio byliśmy dosyć... zajęci i mamy mnóstwo zaległości do odrobienia. Powiedział pan, że należy pan do Zespołu Badań Metafizycznych?

Ferrier kiwnął głową.

- Tak, muszę się koniecznie zobaczyć z Jacobem Kulekiem. - Jego głos, podobnie jak on sam, był cienki i piskliwy. - Gdyby mógł poświęcić mi przynajmniej dziesięć minut. Nie więcej.

- Czy może mi pan powiedzieć, czego dotyczy sprawa?

- Obawiam się, że nie - warknął nieduży mężczyzna. Po chwili, uświadamiając sobie własną szorstkość, dodał przeproszającym głosem:

- To jest poufne.

Zobaczył, jak ściąga się jej twarz i szybko zrobił krok w jej kierunku, rzucając jednocześnie nerwowe spojrzenie na recepcjonistkę. Dziewczyna rozmawiała z kimś przez telefon, ale on w dalszym ciągu mówił ściszym głosem.

- To dotyczy Borisa Pryszłaka - wyszeptał. Jessica była zaskoczona.

- Co pan wie o Pryszłaku?

- To poufne - powtórzył Ferrier. - Mogę o tym rozmawiać tylko z pani ojcem, panno Kulek.

Zawahała się, była niespokojna. Ale to może być ważne, pomyślała.

- Dobrze. Zatem dziesięć minut, panie Ferrier.

Jessica poprowadziła Ferriera schodami, a następnie korytarzem do prywatnego gabinetu ojca. Zanim weszli, usłyszeli stłumiony głos Kuleka. Niewidomy mężczyzna wyłączył dyktafon i „spojrzał” na nich.

- Tak, Jessico? - spytał Kulek; odróżniał już jej pukanie, odróżniał jej kroki, wyczuwał jej obecność.

- Pan Ferrier do ciebie. Wspominałam ci wcześniej o jego wizycie.

- Ach tak, z Zespołu Badań Metafizycznych, prawda? Niski mężczyzna był dziwnie małomówny i Jessica musiała za niego odpowiedzieć.

- Tak, ojczu. Tłumaczyłam, że jesteś bardzo zajęty, ale pan Ferrier mówi, że sprawa dotyczy Borisa Pryszłaka. Pomyślałam, że to może być ważne.

- Pryszlak? Ma pan jakieś informacje? Ferrier odchrząknął.

- Tak, ale jak już tłumaczyłem pannie Kulek, to sprawa poufna.

- Moja córka jest także moją osobistą asystentką, panie Ferrier. Tak jak jest moimi oczami.

- Niemniej jednak ja raczej...

- Jessico, pan Ferrier na pewno napiłby się kawy. Czy byłabyś tak miła?

- Ojczu, myślę...

- Chętnie wypiłbym filiżankę kawy, panno Kulek.

Ferrier niepewnie uśmiechnął się do Jessiki, jego oczy znikły nagle za okularami, w których odbijało się światło. Zaniepokojenie Jessiki nie ustępowało.

- Ja też napiłbym się kawy, Jessico.

Głos ojca był spokojny, ale stanowczy i wiedziała, że dalsza dyskusja z nim jest bezcelowa. Opuściła pokój i szybko szła korytarzem, nie chcąc ani przez chwilę dłużej niż to będzie konieczne zostawiać Jacoba sam na sam z tym małym, nerwowym człowiekiem. Zatrzymała się, gdy doszła do swojego gabinetu. Nagle zmieniła zamiar i weszła do środka. Podniosła słuchawkę telefonu.

Anna otworzyła drzwi i uśmiechnęła się promiennie do dwóch stojących za nimi kobiet; takim samym uśmiechem obdarzała obcych i znajomych.

- Tak, słucham? - spytała, lekko skłaniając głowę.

- Chciałybyśmy zobaczyć się z panną Kirkhope - powiedziała wyższa, odwzajemniając uśmiech Anny. Wyraz ubolewania ukazał się na szerokiej twarzy służącej.

- Och, nie sądzę...

- Proszę powiedzieć, że chodzi o jej brata Dominica - oschłym tonem, bez uśmiechu na twarzy, oznajmiła druga kobieta.

Anna była zbyt uprzejma, aby zamknąć za sobą drzwi, pozostawiając kobiety na progu. Kiedy po chwili wróciła, zastała je czekające w korytarzu. Jeśli była zdziwiona, nie okazała tego.

- Panna Kirkhope niedługo panie przyjmie. Proszę chwilę poczekać.

Ruchem głowy poprosiła, aby za nią poszły i wprowadziła je do pokoju gościnnego. Usiadły na kanapie, wyższa - uśmiechając się słodko do Anny, niższa - lustrując wnętrze z kamiennym wyrazem twarzy.

- Proszę poczekać chwilkę. Panna Kirkhope niedługo zejdzie.

Anna, ukłoniwszy się, opuściła pokój.

Upłynęło pięć minut, zanim Agnes Kirkhope weszła do pokoju. Namówiła przedtem Annę, żeby przed przyjęciem niespodziewanych gości zakończyły w kuchni tę szczególną partię remika. Filipińska służąca miała niesamowity dar wyciągania czarnych dwójek, podpierających słabe skądinąd karty, lecz pani Kirkhope była zdecydowana odegrać pięć funtów, które straciła tego popołudnia. Jednej jedynej karty brakowało jej do wygranej. Jęknęła głośno, gdy Anna stuknęła w stół i rozłożyła przed swoją panią karty z nieuchronną czarną dwójką, zastępującą damę kier, którą miała pani Kirkhope. Dlaczego nie wzięła z talii paru przydatnych kart, w czasie gdy Anna poszła otworzyć drzwi!

Panna Kirkhope spojrzała na dwie kobiety, na jej twarzy i w jej głosie znać było rozdrażnienie.

- Chciały mi panie coś powiedzieć na temat Dominica? - zapytała bez żadnego wstępu.

- Czy wiedziała pani, że był parafiliatykiem? - spytała jeszcze bardziej obcesowo niższa kobieta.

- Kim?

Panna Kirkhope cofnęła się, gdy usłyszała lodowaty głos kobiety.

- Parafiliatyk - powiedziała wyższa, uśmiechając się słodko - to osoba, która oddaje się anormalnym praktykom seksualnym.

Panna Kirkhope odruchowo dotknęła szyi. Otrząsnąwszy się szybko, stanowczym krokiem przeszła na środek pokoju i spojrzała na nie.



- Domyślam się, że chodzi o szantaż - wyrzuciła z siebie.

Wyższa sięgnęła po torebkę i powiedziała uprzejmie:

- Och nie, panno Kirkhope. O coś znacznie gorszego.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Bishop zatrzymał się na najwyższym stopniu schodów i rozejrzał dokoła. Po prawej stronie znajdowały się drzwi, prowadzące do pokojów w kwadratowej części domu; po lewej - balustrada antresoli, wychodząca na dolny hol i schody na górę.

- Panie Braverman! - zawołał znowu Bishop.

Zaklął pod nosem. Czy dom jest pusty? Czy hałasy, które słyszał, są normalne dla tego domu? Czy też zamieszkały tutaj wędrujące duchy, które rzekomo wywołał właściciel? Jeszcze jedna próba i zrezygnuje. Braverman powinien tu być i czekać na niego.

Słaby deszcz zaczął stukać o szyby.

- Czy jest ktoś w domu?

Bum, bum, bum, bum, bum. Czerwona, gumowa piłka odbijając się o schody i nabierając prędkości spadała na dół, aż w końcu uderzyła w przeciwległą ścianę. Odbiła się i spadła z powrotem na schody; tracąc rozpęd podskakiwała coraz niżej, później potoczyła się znowu pod ścianę i wolno zatrzymała.

Bishop wyciągał szyję, żeby zobaczyć, co dzieje się na górze. To na pewno dzieci chcą mu splatać figła.

- Przyszedłem spotkać się z panem Bravermanem. Możecie mi powiedzieć, gdzie on jest? Nic, tylko jakiś ruch. Szuranie nóg? Bishop miał już tego dość. Przeskakując po dwa schodki, wszedł na górę, gwałtowne ruchy wyrażały jego zniecierpliwienie.

Gdyby spróbowali go zabić od razu, na pewno by się im to udało; ale chcieli się nacieszyć jego agonią, rozkoszować jego cierpieniem. Dlatego uderzenie w głowę było zbyt słabe.

W drzwiach ukazał się mężczyzna, na wysokości ramienia trzymał dwururkę wycelowaną w twarz Bishopa. Do tej pory mężczyzna dobrze się bawił i uśmiechnął się na myśl o tym, co ma nastąpić. Bishop z otwartymi ustami i przerażeniem w oczach zamarł na podeście, kiedy z innych drzwi wyszła kobieta; jej uniesiona ręka, w której trzymała młotek, zaczęła już opadać.

- Ogłusz go - powiedział do niej mąż. - Uderz go w głowę tuż za uchem, tak żeby go tylko ogłuszyć. Wtedy będziemy z nim mieli trochę zabawy, zanim umrze.

Uderzenie odrzuciło Bishopa na bok, ale ponieważ już wcześniej zauważył gotującą się do ataku kobietę, instynktownie schylił głowę, widząc opadający młotek, tak że oręż ześlizgnął się tylko po czaszce, nie czyniąc większej krzywdy. Bishop oparł się o ścianę i poczuł, że stacza się po schodach. Kobieta była zbyt blisko, ich nogi splątały się i pociągnął ją za sobą, przed nimi z łoskotem zsuwał się po drewnianych schodach młotek. Wrzeszczała, gdy spadali i w końcu stoczyli się na dolny podest.

- Głupia suka! - mężczyzna ze strzelbą zaklął cicho. - Zaufaj jej, a wszystko się pieprzy!

Znowu podniósł strzelbę i wycelował w walczącą na dole parę.

- Odsuń się od niego, ty głupia krowo! Muszę go widzieć, żeby strzelić! - ryknął. - Bishop musi zginąć na miejscu.

Kobieta starała się uwolnić z plątaniny rąk i nóg, i Bishop, oszołomiony, zobaczył wycelowaną w siebie dwururkę. Przyciągnął do siebie wijącą się kobietę w momencie, gdy jeden z czarnych otworów eksplodował z błyskiem. Nabój trafił ją w piersi, drobne odłamki przesuwwały się, rozrywając jej ciało i szarpiąc ubranie Bishopa. Nie przestawała krzyczeć, gdy turlając się próbował uwolnić się od niej.

Mężczyzna na górze nie wydawał się zbyt wstrząśnięty, był po prostu wściekły, kiedy opuścił strzelbę i znów ją podniósł. Tym razem celował uważniej. Bishop zobaczył młotek, oparty o ostatni schodek. Ciągłe klęcząc chwycił go i cisnął w kierunku stojącego na górze mężczyzny. To był szaleńczy, niecelny rzut, ale mężczyzna odruchowo schylił głowę, dając Bishopowi możliwość poderwania się na nogi i ucieczki. Drugi strzał zgruchotał podłogę, tuż za nim. Wiedząc, że nie zdąży dostać się na dół, do drzwi frontowych, zanim mężczyzna naładuje broń, wybiegł przez drzwi wychodzące z antresoli, modląc się, aby z tyłu domu były inne, prowadzące na dół schody. Uciekając tą drogą, będzie przynajmniej nieco osłonięty. Znalazł się w pokoju, w którym stało małe łóżko, podbiegł do znajdujących się na wprost niego drzwi i wpadł do następnego pokoju, w którym poza łóżkiem prawie nic nie było. Pokonał kolejne drzwi i stanął w ciemnym, wąskim korytarzu. Schody prowadziły w dół, do zamkniętych drzwi.

Słyszał odgłos biegnących kroków tuż za sobą; mężczyzna obrzucał go przekleństwami. Bishop pognął schodami na dół, ześlizgując się z ostatnich schodków, wpadł z hukiem na drzwi. Macał w mroku, szukając klamki, w końcu znalazł ją i gwałtownie nacisnął. Były zamknięte. Cień na górze zasłonił wpadające na schody nagle światło.

Bishop usiadł na drugim schodku i kopnął drzwi. Oskoczyły, z framugi posypały się drzazgi. Chwiejnym krokiem wszedł do środka, zatrzasnął za sobą drzwi, by nie dosięgły go strzały z góry. Znalazł się w kuchni, z której było tylne wyjście.

Ze schodów dochodził ciężki tupot zbliżających się kroków. Podbiegł do tylnych drzwi; aż jęknął z zawodu - one także były zamknięte. Gwałtownie rzucił się z powrotem przez kuchnię i wtedy otworzyły się drzwi prowadzące ze schodów. Mężczyzna był już prawie w środku, kiedy trzasnęły w niego przygniatając mu strzelbę do piersi, głowa stuknęła o framugę. Bishop chwycił wystawioną ku niemu lufę i, z całej siły przyciągnął ją do drzwi. Mężczyzna próbował się uwolnić, ale był w niewygodnej pozycji - głowę miał przekreśloną w bok, piersi miażdżyła mu dociskana drzwiami strzelba.

Oszołomienie zaczęło powoli mijać i Bishop skoncentrował się na tym, aby jak najmocniej dociskać drzwi, utrzymując swoją przewagę. Nie wiedział, co przez to osiągnie. Nie mogą przecież tak stać przez cały dzień. Twarz mężczyzny stawała się purpurowa, gdy próbował odepchnąć drzwi; jego szeroko rozwarte, zwrócone na Bishopa oczy jarzyły się nienawiścią. Miał otwarte i wykrzywione usta, z gardła dobywał się charczący dźwięk. Bishop poczuł, że drzwi przesuwają się w jego stronę, powoli pchając go do tyłu. Podwoił wysiłki, zapierając się o wyłożoną płytkami podłogę w kuchni i naciskając ramieniem na drewnianą konstrukcję.

- Wrzasnął z przerażenia, gdy drżąca ręka chwyciła go z tyłu za włosy. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył przed sobą chwiejącą się kobietę, z jej twarzy i piersi sączyła się krew. Weszła do kuchni innymi drzwiami, które otwierały się zapewne z korytarza. Nagle drzwi za nim gwałtownie się rozwarły i rzuciły go na okaleczoną kobietę. Upadła na ręce i kolana; spływająca z niej krew tworzyła na podłodze głęboką, czerwoną kałużę.

Bishop wziął zamach, nie mając nawet czasu spojrzeć na biegnącego przez kuchnię mężczyznę. Trafił go łokciem w nasadę nosa, gwałtownie powstrzymując jego natarcie. Wycelowana w niego dwururka pomogła mu podjąć decyzję - zostać czy uciekać. Nie miał wyboru: musiał walczyć, ucieczka byłaby samobójstwem.

Podbił strzelbę do góry i rzucił się na mężczyznę. Przewrócili się na znajdujące się za drzwiami schody, zaciskając ręce na strzelbie, którą obaj trzymali. Bishop dźwignął się na nogi i mężczyzna podniósł się wraz z nim. Z rozpędu popchnął Bishopa do tyłu. Szamocząc się znów znaleźli się w kuchni i Bishop poślizgnął się na rozlewającej się kałuży krwi. Upadł na kolana i w jednej chwili jego napastnik znalazł się tuż nad nim, przysuwając swą wykrzywioną twarz na odległość paru cali. Ciało Bishopa wygięło się do tyłu, a broń, którą trzymali, wykorzystano przeciwko niemu. Osunął się na podłogę, nogi mu się rozjechały, plecy zanurzyły się w czerwonej mazi. Nadal nie puszczał broni, ale teraz lufa była wymierzona w niego.

Jakaś ręka dosięgła jego twarzy, starając się wydłubać mu oczy. Kobieta wciąż żyła i próbowała pomóc mężczyźnie zniszczyć Bishopa. Gwałtownie pociągnął strzelbę, jednocześnie przekręcając ciało, tak że lufa uderzyła o podłogę. Mężczyzna zatoczył się do przodu, upadając wraz ze strzelbą. Bishop jedną ręką puścił rozgrzany metal i walnął napastnika w szyję, poniżej lewego ucha. Mężczyzna przewrócił się na bok i Bishop znów chwycił broń, ale kobieta drapiąc go boleśnie po twarzy zmusiła, by się przetoczył i wyrwał z jej szponów. Zrozumiał swój błąd, gdy znalazł się na środku kuchni. Mężczyzna miał wystarczająco dużo swobody, żeby podnieść broń i zastrzelić go.

Mógł tylko patrzeć, jak przeciwnik uśmiecha się triumfalnie i zaczyna wstawać wiedząc, że jego ofiara znalazła się w pułapce. Palce zaciskał już na spustach i właśnie robił krok do przodu, gdy stopa poślizgnęła mu się na upačkanej lepka mazią kuchennej podłodze. Jedna noga odskoczyła w bok i ciężar ciała przeniósł na drugą, żeby odzyskać równowagę, ale w tym momencie obie stopy znalazły się w kałuży krwi i przewrócił się na bok. Huknął strzał, rozwalając mu czubek głowy podwójnym ładunkiem. Sufit w kuchni przypominał szokujące płótno, pokryte przed chwilą czerwoną farbą.

Kobieta zawodziła długo i rozpaczliwie, patrząc na drgającą postać męża; nie odwróciła wzroku ani nie przestała jęczeć, dopóki jego ciało nie znieruchomiało. Potem spojrzała na Bishopa i swym dzikim, hipnotycznym wzrokiem przygwoździła go do podłogi. Dopiero gdy cienka strużka krwi wyciekła z jej ust, zrozumiał, że nie żyje i nie może już nic zobaczyć. Uwolniony, podniósł się z trudem i potykając się ruszył w stronę kuchennego zlewu. Czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Dziesięć minut później, kiedy niebo zasnuło się chmurami i rozpoczęła się ulewa, a krople deszczu coraz mocniej waliły o szyby, w dalszym ciągu stał skulony nad metalowym zlewem.

Jessica szybko szła korytarzem, serce waliło jej jak młotem. Zadzwoniła właśnie do dyrekcji Zespołu Badań Metafizycznych w Sussex; nigdy nie słyszeli o człowieku nazwiskiem Ferrier. Zbliżyła się do gabinetu ojca i naciskając klamkę pchnęła drzwi, przygotowana na to, że będzie jej głupio, jeśli ten człowiek i ojciec będą po prostu pograżeni w rozmowie. Czuła jednak instynktownie, że tak nie jest. Krzyknęła przerażona, kiedy zobaczyła, jak mały, stojący za Kulekiem mężczyzna, trzęsąc się z wysiłku, zaciska coraz mocniej cienki, skórzany pasek okręcony dookoła szyi ojca. Jacob trzymał jedną rękę na gardle, ściskając palcami prowizoryczną garotę, jak gdyby wyczuł intencje napastnika chwilę wcześniej, niż tamten go zaatakował. Jego mocno czerwona twarz stawała się purpurowa, z otwartych ust wystawał język, niewidzące oczy wychodziły z orbit, jakby w głowie rozwijał

się pasożyt i wypychał wszystko na zewnątrz. Gdy przez zaciśniętą tchawicę chciał zaczerpnąć powietrza, z gardła wydobył się krótki, astmatyczny charkot.

Jessica podbiegła do przodu, bojąc się, że przyszła za późno. Wydawało się, że niski mężczyzna nie zauważył jej obecności, kiedy chwycił go za nadgarstki, próbując je odciągnąć, by złagodzić ucisk paska. Ale nie miała szans, był silniejszy, niż wskazywał na to jego wygląd. Zaczęła go walić po twarzy, kiedy nagle uświadomiła sobie, że ojciec przestał łapać powietrze. Ferrier odwrócił głowę, aby przynajmniej częściowo uniknąć jej wściekłych ciosów, ale wciąż dusił, wciąż ciągnął za skórzany pasek, wciąż jego ciało drżało z wysiłku.

Jessica krzyknęła, wiedząc, że przegrywa. Ciągnęła go za włosy, drapała po oczach, ale nie odniosło to żadnego skutku: przypominał robota, który nic nie czuje i jest kierowany przez kogoś z zewnątrz. Zrozpaczona, rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu, którego mogłaby użyć przeciw niemu. Na biurku leżał błyszczący, srebrny nóż do papieru.

Jessica jak szalona chwyciła go i zamierzyła się na mężczyznę. Zawahała się na moment, zamiar budził w niej odrazę, ale wiedziała, że nie ma wyboru. Wąskie ostrze zagłębiło się w szyi Ferriera, tuż nad kością ramieniową.

Nagle zeszytniał i przez chwilę jego oczy patrzyły na nią z niedowierzaniem. Później zaszły mgłą i Jessica z przerażeniem zobaczyła, że jego ręce wzmacniają uścisk. Nóż wystawał mu z szyi, tylko połowa ostrza zagłębiła się w ciele. Jessica krzycząc rozpaczliwie, z furia rzuciła się na niego, waliła po zwróconej w jej kierunku twarzy, wpychała nóż, by wszedł jeszcze głębiej, modląc się, aby ostrze przebiło główną tętnicę.

Mały mężczyzna zadrżał, kolana się pod nim ugięły. Po chwili wyprostował się, jakby odzyskał siły. Puścił jeden koniec paska, by owinąć go dookoła ręki, i odepchnął dziewczynę na bok. Jessica zatoczyła się na półki z książkami, oczy miała zamglone bólem i wypełnione łzami bezsilności.

- Przestań - krzyknęła. A następnie jęknęła: - Proszę, przestań.

Ale obie ręce raz jeszcze pociągnęły za pasek.

Usłyszała szybkie kroki na korytarzu i nagle, jak zbawienie, w drzwiach pojawili się ludzie. Dwóch mężczyzn i kobieta, zaglądająca im przez ramię, byli członkami Instytutu.

- Zatrzymajcie go! - błagała.

Stanęli przerażeni, ale jeden z nich, wysoki, z siwą brodą, zazwyczaj bojaźliwy i powolny w działaniu, rzucił się do przodu, łapiąc po drodze krzesło. Nie tracąc szybkości podniósł je ponad blat biurka i na wpół rzucając, na wpół pchając uderzył nim Ferriera w twarz. Poprzeczki krzesła trafiły mężczyznę w czoło, rzucając go do tyłu na znajdujące się za

nim okno: szkło rozprysło się na zewnątrz, ciało zawisło na oknie, wyciągnięte ręce usiłowały chwycić się framugi. Zdawał się obserwować je przez chwilę - ich ruchy na moment zastygły, nagle jego palce rozkurczyły się i zaczął opadać do tyłu, nogi unióś do góry i zniknął za parapetem.

Jessica nie była pewna, czy naprawdę słyszała odrażający odgłos rozbijającej się o chodnik głowy, gdyż stojąca w pokoju kobieta krzyczała histerycznie, ona zaś podbiegła do ojca, który teraz runął na podłogę. Ale jej umysł zakodował ten dźwięk, wyimaginowany lub nie.

Anna schowała karty i szła właśnie do salonu dowiedzieć się, czy pani każe jej podać herbatę dla siebie i swoich gości, gdy uśmiech zniknął z jej ust, ustępując miejsca bezgranicznemu zdumieniu. W holu pojawiła się panna Kirkhope, czołgając się na czworakach; coś złego działo się z jej twarzą, coś zniekształcało jej rysy. Oczy patrzyły błagalnie na Annę, chuda, żylasta ręka wyciągnęła się w jej kierunku; z twarzy, na której trzaskała i rozrywała się skóra, wydobywał się słaby, kraczący dźwięk.

Zdziwienie Anny zamieniło się w przerażenie dopiero wtedy, gdy zobaczyła gości panny Kirkhope: dwie kobiety wychodzące z pokoju za jej czołgającą się panią, każda z nich trzymała coś, co wyglądało jak małe buteleczki z przezroczystym płynem. Mogły zawierać wodę - płyn wyglądał niegroźnie - ale stara dama z przerażeniem potrząsnęła głową, gdy wyższa kobieta uśmiechnęła się i podniosła buteleczkę. Panna Kirkhope próbowała odsunąć się, ale kobieta cisnęła w jej stronę buteleczką, płyn rozlewając się oblewał z głośnym sykiem głowę i plecy staruszki. Anna podniosła ręce do ust, gdy usłyszała nikły, skwierczący dźwięk i zobaczyła jak coś, co przypominało małe smugi wijącej się pary, unosi się z wilgotnych plam.

Panna Kirkhope wygięła ramiona do tyłu, jej rozpaczliwe jęki zachęciły służącą do zrobienia paru kroków naprzód. Ale odwaga opuściła ją, gdy ujrzała, jak niższa kobieta zbliżyła się do starej damy i kopnęła ją w plecy. Anna opadła na kolana i złożyła w błagalnym geście dłonie, widząc, że kobieta stanęła okrakiem nad leżącym ciałem panny Kirkhope i powoli, nieprzerwanym strumieniem, wlewała zawartość butelki w otwarte, odwrócone ku niej usta.

Annę poraziły przerywane gulgotem krzyki, przechodzące stopniowo w niski, chrapliwy dźwięk, jakby wypaliły się struny głosowe. Odkryła, że nie może się podnieść nawet wtedy, gdy poczuła, że jej uda stają się wilgotne, a podłogę dookoła stóp zalewa mocz. Nawet wtedy, gdy wyższa kobieta, stale się uśmiechając, zbliżyła się do niej, kropiąc przed

nią płynem z buteleczki, jak święconą wodą. Nawet wtedy, gdy pierwsza kropla kwasu dotknęła jej skóry i zaczęła ją palić.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Peck z niedowierzaniem spojrzął zza biurka na Bishopa.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, jak nieprawdopodobnie to wszystko brzmi?

Bishop kiwnął głową, nie usprawiedliwiając się - Sam nie mogę w to uwierzyć.

- Ale dlaczego człowiek, który pana zupełnie nie znał, chciał pana zamordować?

- Braverman był członkiem sekty Pryszłaka. Nie wszyscy popełnili samobójstwo.

Część z nich została, aby kontynuować jego dzieło.

- Które polegało na zabijaniu ludzi?

- Nie wiem, inspektorze. Może byliśmy zbyt blisko odkrycia prawdy.

- Prawdy o czym?

- O przyczynie masowego samobójstwa - odpowiedziała Jessica, tłumiąc gniew. - Mój ojciec wierzy, że musi być powód, dla którego Pryszlak i członkowie jego sekty popełnili samobójstwo.

Peck usiadł wygodniej na krześle i drapiąc kciukiem swędzący go koniec nosa, przez chwilę w milczeniu przyglądał się dziewczynie. Była blada i zmartwiona, jej wygląd sugerował, że łatwo załamuje się w trudnej sytuacji. Ale Peck wiedział, że tak nie jest; zbyt długo miał do czynienia z różnymi ludźmi, aby dać się zwieść pozorom. Dziewczyna była o wiele silniejsza, niż się wydawało.

- Ale w dalszym ciągu nie macie pojęcia, o co tutaj chodzi? - spytał.

Jessica pokręciła głową.

- Powiedziałam panu, że wiele lat temu Pryszlak przyszedł do mojego ojca z prośbą o pomoc, ale mój ojciec odmówił.

- Czy sądzi pani zatem, że to może być rodzaj perwersyjnej zemsty? Że następcy Pryszłaka wypełniają polecenia nawet po jego śmierci?

- Nie, to nie jest zemsta. Dlaczego próbowaliby zabić Chrisa? Dlaczego zabili pannę Kirkhope?

- I jej służącą.

- Służąca prawdopodobnie weszła im w drogę. Członkowie sekty Pryszłaka nie szanują ludzkiego życia, nawet swojego. Ten mężczyzna, Ferrier, zabił się bez wahania, widząc, że wpadł w pułapkę. Motywem nie była zemsta. Myślę, że powodowała nimi chęć zabicia każdego, kto wiedział cokolwiek o ich organizacji.

- Nie było próby zamachu na pani życie.

- Jeszcze nie, inspektorze - powiedział Bishop. - Może Ferrier chciał zabić Jessikę po rozprawieniu się z Jacobem Kulekiem.

Peck zmarszczył brwi i zwrócił się do Bishopa.

- W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego nie oskarżyłem pana o zamordowanie Bravermana i jego żony.

- Przyszedłem do pana, pamięta pan? A przecież z łatwością mogłem opuścić dom, tak aby nikt nie wiedział, że tam byłem. Mogłem wytrzeć odciski palców. Policja na pewno uwierzyłaby, że Braverman walczył z żoną, zastrzelił ją, a następnie siebie. To nie ma najmniejszego sensu, żebym najpierw ich zamordował, a później sam zgłosił popełnienie zbrodni.

Peck wciąż nie był przekonany.

- A inni - kontynuował Bishop. - Próba zamachu na życie Kuleka. Zabójstwo Agnes Kirkhope i jej służącej. Wszyscy byli powiązani ze sprawą Pryszłaka. Kulek, gdyż badał działalność Pryszłaka. Agnes Kirkhope, ponieważ odwiedziliśmy ją i powiedzieliśmy o naszych podejrzeniach. No, i oczywiście jej brat - Dominie, był członkiem sekty. To jest logiczne, inspektorze, że ja także powinienem paść ich ofiarą.

- W tej sprawie nic nie jest logiczne, panie Bishop.

- Zgadzam się. Jeszcze bardziej nielogiczne są wydarzenia przy Willo w Road. Jak może je pan wytłumaczyć?

- W tej chwili nie będę nawet próbował. Zamknęliśmy parę osób, ale wszyscy milczą jak zakłeci. Nawet ten, który jak się wydawało, nie był tak zły jak inni, też się zmienił i przyłączył do reszty. Mówię o mężczyźnie nazwiskiem Brewer - związał całą swoją rodzinę i zamknął wszystkich w szafie. Ale oddał się w nasze ręce, zanim zdążył im wyrządzić krzywdę.

Bishop zauważył zdziwienie na twarzy Jessiki. Bał się o nią: próba zabójstwa jej ojca wstrząsnęła nią do głębi. Zadzwoił do Instytutu z domu w Robertsbridge, powstrzymując gwałtowną chęć ucieczki od pokrwawionych ciał, leżących na podłodze w kuchni, bojąc się, że jeśli jego próbowano zabić, to i życiu Kuleka może grozić niebezpieczeństwo. Sam widział, jak oszalała kobieta próbowała zabić Kuleka w Beechwood. I wiedział, że to wszystko było ze sobą powiązane: portret, który zauważył w okrągłym pokoju w Robertsbridge, przedstawiał Dominica Kirkhope'a; pamiętał zdjęcie brata Agnes Kirkhope, chociaż fotografię i portret wykonano w innym czasie, podobieństwo było wyraźne. Zdziwił się, gdy zobaczył w Instytucie nadinspektora Pecka, człowieka, który oficjalnie nadzorował



śledztwo w sprawie dziwnych zdarzeń przy Willow Road. Nie był zaskoczony faktem, iż próbowano już zabić Jacoba Kuleka.

- Wszystko, co mam - mówił Peck - to morderstwa, samobójstwa, próba homoseksualnego gwałtu, a poza tym okaleczenie, podpalenie i cele pełne ludzi, którzy nawet nie wiedzą, jaka jest pora dnia. Żeby pomóc mi sporządzić dla komisarza raport, który, jak wam się zdaje, wszystko wyjaśni, dorzucacie informacje o człowieku nazwiskiem Pryszlak i jego szalonej organizacji, której członkowie wierzą w zło jako potężną, fizyczną siłę. Jak pani sądzi, panno Kulek, w jaki sposób komisarz potraktuje mój raport? Każe mnie wsadzić do jednej celi z tymi szaleńcami.

- Ja nie podałam panu żadnego wyjaśnienia. Powiedziałam tylko to, co wiem na ten temat. To pana zadanie, żeby coś z tym zrobić.

- Czy pani ma jakiś pomysł?

- Na początku spróbowałabym ustalić nazwiska wszystkich osób związanych z Pryszlakiem.

- Ma pani na myśli członków sekty?

- Tak.

- A co potem?

Jessica wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może trzeba ich śledzić? Peck prychnął gniewnie.

- Przynajmniej niech się pan dowie, czy Braverman i Ferrier byli członkami sekty - powiedział Bishop. - To mogłoby zaprowadzić pana do morderców panny Kirkhope i jej gospodyni.

Peck pragnął wyrobić sobie zdecydowaną opinię o Bishopie. Kazał mu zostać w domu w Robertsbridge do chwili przybycia lokalnej policji, a później postarał się, by przewieziono go pod eskortą do Londynu, do biura Pecka w New Scotland Yard. Przesłuchiwał poszukiwacza duchów - co to właściwie jest za zawód? - przez bitą godzinę, zanim, także pod eskortą, nie przyjechała ze szpitala córka Kuleka. Poświęcił już tej sprawie dziesięć godzin i ani o krok się nie posunął. Byłoby mu łatwiej, gdyby wiedział, że Bishop albo kłamie, albo jest całkowicie niewinny.

Peck pochylił się nad biurkiem.

- W porządku, nie dowiemy się niczego więcej dzisiejszej nocy. Zwalniam pana, Bishop. Nie jestem do końca przekonany, ale pańska opowieść brzmi całkiem prawdopodobnie. Ten Pryszlak mógł mieć przyjaciół, którym nie podobało się, że pan i Jacob Kulek mieszacie się w sprawy Beechwood. Może po tym zbiorowym samobójstwie traktują

ten dom jak swoją świątynię. Fakt, że biedna, stara panna Kirkhope kazała go zburzyć, mógł być dla niej zgubny. Chwilowo uznajmy to za dzieło szaleńców. To oczywiście w dalszym ciągu nie wyjaśnia całej tej makabry na Willow Road, ale trudno mi pana za to winić. W każdym razie będziemy mieli pana na oku.

- Proszę się nie martwić - powiedział kwaśno Bishop. - Nie ucieknę. Peck postukał w blat biurka.

- Będziemy mieć pana na oku, nie tylko dlatego, że jestem podejrzliwy, a do cholery jestem, ale dla pana własnego bezpieczeństwa. To dotyczy także pani ojca, panno Kulek. Oczywiście chodzi o względy bezpieczeństwa. Jeśli jego niedoszły morderca należał do hałastry Pryszlaka, mogą podjąć jeszcze jedną próbę.

W oczach Jessiki ukazało się przerażenie.

- Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć - uspokoił ją Peck. - Lepiej być ostrożnym niż martwym, to wszystko.

Odwrócił się do oficera, który oszołomiony tą wymianą zdań stał z założonymi rękami pod ścianą.

- Frank, znajdź kogoś, żeby sprowadził państwa na dół, dobrze?

Gdy Bishop i Jessica wstali, Peck rzucił im groźne spojrzenie.

- Proszę nas informować o każdym wyjeździe, panie Bishop. Prawdopodobnie jutro będę chciał jeszcze raz porozmawiać z panem. Mam nadzieję, że pani ojciec szybko odzyska siły, panno Kulek.

Jessica podziękowała kiwnięciem głowy i w trójkę opuścili biuro Pecka.

Oficer wrócił po kilku sekundach, wyraźnie rozbawiony.

- Z czego, do cholery, tak się śmiejesz? - warknął Peck.

- Chyba pan nie wierzy w te nonsensy o sile zła, szefie?

- Nie o to chodzi, Frank. Oni w to wierzą i to się liczy. Przynajmniej ta dziewczyna wierzy. Myślę, że Bishop jeszcze się zastanawia. Prawdę mówiąc, ja także jeszcze się zastanawiam.

Odjechali spod wysokiego budynku, milcząc przez chwilę, jakby Peck mógł słyszeć ich rozmowę ze swojego gabinetu, znajdującego się wysoko ponad nimi. W końcu deszcz przestał padać, ale nocne powietrze było przesycone wilgocią. Jessica otuliła sobie szyję kołnierzem płaszcza.

- Odwieszysz mnie do szpitala?

- Już skręciłem w tym kierunku - powiedział. - Jak się czuł, kiedy wychodziłaś?

- Był zszokowany, słaby. Wciąż miał kłopoty z oddychaniem.

- Czy ma jakieś obrażenia?

- Na ciele niewielkie, tylko siniaki, tak jak poprzednio. Lekarz powiedział, że trudności w oddychaniu spowodowane są raczej szokiem niż uszkodzeniem tchawicy. O Boże, gdybym weszła do jego gabinetu parę minut później...

Nie skończyła zdania.

Chciał pogłaskać ją po rękę, dotknąć, ale czuł się niezręcznie, jak ktoś obcy.

- Wyjdzie z tego, Jessico. Ma silną osobowość.

Próbowała się do niego uśmiechnąć, ale nie mogła. I tak uwagę miał zaprzątniętą prowadzeniem samochodu. Obserwując jego profil, zauważyła wokół oczu zmarszczki wywołane ciągłym napięciem.

- Ty także wiele ostatnio przeszedłeś - powiedziała w końcu. - To musiał być koszmar.

- Dla Agnes Kirkhope i jej gospodyni to było coś więcej niż koszmar - nie przeżyły tego. Co za potwór mógł zrobić coś takiego?

Potrząsnął głową z żalu i obrzydzenia.

- Peck chyba ciągle myśli, że zamordowałem Bravermana i jego żonę.

- Nie może tak sądzić, Chris. To nie ma sensu.

- Ty i ja, w różny sposób, przez cały czas mamy do czynienia ze sprawami sprzecznymi z logiką. Peck jest policjantem; oni lubią mieć wszystkie sprawy uporządkowane. Nie możemy go winić za to, że mnie podejrzewa.

- Ani za to, że jest tak agresywny?

- Ani za to.

Zatrzymał się na światłach, reflektory samochodów, niczym dzieńne światło, rozjaśniły znajdujący się przed nimi placyk. Turyści, wydawało się, że są ich tysiące, podziwiali srebrzyste fontanny i wyciągali szyje, żeby zobaczyć pomnik admirała, stojącego wysoko w górze, na potężnej kolumnie, niczym na bocianim gnieździe jednego ze swych statków. Nad tętniącym życiem placem górował, jak wspaniale oświetlona dekoracja, imponujący gmach National Gallery. Wokół płynął nie kończący się strumień samochodów.

- Jak jasno - zauważyła Jessica z roztargnieniem. - Tyle tu ludzi. Zupełnie jak w ciągu dnia.

Zgasło czerwone światło i zapaliło się zielone. Bishop zbliżył się do zatłoczonego ronda, wcisnął w przerwę między samochodami i popłynął razem z metalową falą.

- Ciekaw jestem, ilu ludzi Pryszłaka pozostało przy życiu? I dlaczego?

- Może żeby mogli zrobić to, co teraz robią. Musiał skoncentrować się na ominięciu taksówki, która próbowała wcisnąć się w trzystopową lukę przed Bishopem. Jessica mówiła dalej:

- Jeśli policji udałooby się ich wszystkich zlokalizować, to może ta makabra skończyłaby się, zanim będzie za późno. Spojrzał na nią przelotnie.

- Co by się skończyło, Jessico? Czy ty i twój ojciec wiecie, co się dzieje?

Zawahała się, zanim odpowiedziała.

- Nie mamy pewności. Wczoraj rozmawialiśmy na ten temat z Edith Metlock.

Spojrzeni na siebie jednocześnie.

- Jezu Chryste! - powiedział cicho Bishop.

Bishop skręcił w szeroką, wysadzaną drzewami ulicę, jadąc na drugim biegu i patrząc raz w lewo, raz w prawo, na stojące po obu stronach domy.

- Jaki to numer? - zapytał Jessikę.

- Na pewno sześćdziesiąt cztery. Nigdy nie byłam u niej w domu, ale często przesyłałam tam wiadomości.

- Parzyste numery są po prawej stronie. Patrz uważnie.

Gdy przedostali się przez London's West End, szybko dojechali do Woodford, gdzie mieszkała Edith Metlock. Oboje mieli do siebie pretensję, że o niej zapomnieli. Przecież zdawali sobie sprawę, że jako członek grupy badającej Beechwood też może znaleźć się w niebezpieczeństwie.

- Pięćdziesiąt osiem... sześćdziesiąt... sześćdziesiąt dwa... Tam! Tuż przed nami.

Bishop wskazał na mały bungalow, otoczony po obu stronach ciągnącym się na dwadzieścia stóp ogródkiem, oddzielającym posiadłość od sąsiednich domów. Poczekał, aż minie ich zbliżający się samochód, przejechał na drugą stronę ulicy i zatrzymał się na wprost bungalowu.

- Jest w domu - powiedziała Jessica. - Wszystkie światła się pałą.

Nagle poczuła, że boi się wysiąść z samochodu.

Bishop wsunął okulary do kieszonki marynarki i wyłączył silnik.

- Pewnie przesadzamy - powiedział bez przekonania i wyczuł strach Jessiki. - Może chcesz zostać w samochodzie?

Potrząsnęła głową i chwyciła za klamkę.

Bishop pchnął furtkę, która otworzyła się z głośnym piskiem. Światło z okien rozlewało się po trawie rosnącej po obu stronach wąskiej, prowadzącej na ganek ścieżki. Im

dalej od światła, tym zieleń krótko wystrzyżonej trawy stawała się ciemniejsza. Sam ganek oświetlony był z zewnątrz.

Bishop nacisnął dzwonek i czekali, aż w środku coś się poruszy. Jessica nerwowo zagryzała dolną wargę; wzrok miała dziki, prawie nieprzytomny. Chwyił ją za łokieć, potrząsając nim lekko, jakby chciał rozproszyć jej niepokój. Jeszcze raz nacisnął przycisk dzwonka.

- Może śpi - powiedział.

- Przy zapalonych wszystkich światłach?

- Może zdrzemnęła się.

Trzasnął w skrzynkę na listy, żeby zwiększyć hałas, następnie schylił się i spojrział przez nią.

- Wszystkie drzwi w korytarzu są otwarte. Musiała nas usłyszeć. Wygląda na to, że w środku też palą się wszystkie światła.

Zbliżył usta do otworu i zawołał:

- Edith Metlock! Nie było odpowiedzi.

- Chris, wezwijmy policję - poprosiła Jessica, wolno odsuwając się od drzwi wejściowych.

- Jeszcze nie.

Znów złapał ją za ramię i tym razem mocno przytrzymał.

- Musimy być pewni, że dzieje się coś złego.

- Nie czujesz tego?

Jessica popatrzyła na cienie otaczające dom.

- To jest... nie wiem... niesamowite. Jak gdyby... jak gdyby coś czekało.

- Jessico - powiedział miękko - przeżyłaś dziś ciężkie chwile, oboje je przeżyliśmy. To odbiło się na tobie, rozbudziło wyobraźnię. Zobaczę, co dzieje się z tyłu. A może chcesz wrócić do samochodu?

W jej oczach zamigotał strach.

- Zostanę z tobą - stwierdziła stanowczo.

Bishop uśmiechnął się i ruszył z miejsca, wchodząc na trawnik, zajrzał przez okno, obok którego przechodził. Zasłony były szeroko rozsunięte i koronkowa siatka firanki rozpraszała obraz wnętrza. Zobaczył małą jadalnię; na stole stał tylko dzbanek z kwiatami. W pokoju nikogo nie było. Skręcili za róg parterowego budynku i, gdy znaleźli się w ciemności, Bishop poczuł, że Jessica przysunęła się bliżej do niego. Ziemia pod ich stopami stała się bardziej miękka, jakby szli przez drzemiący kobierzec z kwiatów, i kiedy minęli okno z

matową szybą, z przodu pokazało się więcej światła. Bishop uznał, że to musi być łazienka. Dalej światło było jeszcze jaśniejsze, z ogromną siłą odpychało noc. Rolety w kuchni były podniesione i Bishop znów zerknął do środka, oświetlonego ostrym, jarzeniowym światłem.

- Pusta - powiedział Jessica. - Tam są drzwi prowadzące do ogródka z tyłu domu. Spróbujmy przez nie wejść.

Z tej części budynku wylewało się na zewnątrz jeszcze więcej światła i Bishop zastanawiał się, czy wynika to z naturalnej nerwowości samotnie mieszkającej kobiety. Ale Edith Metlock nie zrobiła na nim wrażenia osoby nerwowej.

Spróbował otworzyć drzwi do kuchni, nie zdziwiło go, że są zamknięte. Przez chwilę szarpał klamką, później zapukał w okno. Może wyszła i zostawiła zapalone światła, aby odstraszyć ewentualnych złodziei. Ale wszystkie światła? I podniesione zasłony?

- Chris!

Bishop odwrócił się i ujrzał Jessikę wpatrującą się w następne okno. Pospieszył do niej.

- Spójrz - powiedziała. - Tam, w fotelu.

Uświadomił sobie, że patrzy na sypialnię, tu także zasłony były szeroko rozsunięte. Przez koronkową siatkę firanki zobaczył puste łóżko, nocny stolik, palącą się lampę, która dodawała jasności i tak dobrze oświetlonemu pokojowi, szafę i komodę. A w odległym rogu w fotelu siedziała kobieta. Przesłaniała ją firanka, ale był pewien, że to Edith Metlock.

- Pani Metlock - zastukał w szybę. - Tu Chris Bishop i Jessica Kulek.

Uderzył w okno kostkami palców.

Wydawało mu się, że zobaczył ruch, lekki obrót głowy, ale nie był tego pewien.

- Dlaczego nie odpowiada? - spytała Jessica. - Dlaczego tam tak siedzi, Chris?

Przyszło mu do głowy, że Edith Metlock mogła zostać pobita, ale była wyprostowana i nie osunęła się w fotelu. Czy tak bardzo bała się odpowiedzi?

- Mam zamiar włamać się do środka - powiedział Jessica.

Ponownie podszedł do kuchennych drzwi z małymi szybkami, pochylił się i spojrzął przez jedną z nich. Zobaczył tylko koniec klucza wystającego z drugiej strony zamka. Z półobrotu zamachnął się łokciem i uderzył w biegnącą wzdłuż zamka szybę. Szkło wpadło do środka i rozbiło się na podłodze. Ostrożnie, by nie skaleczyć się o pozostałe w drzwiach odłamki, wsunął rękę przez otwór i przekręcił klucz. Uśmiechał się z satysfakcją, gdy przytknął zamek. Przekręcając gałkę, pchnął drzwi. Nie otworzyły się. Stawiały mniejszy opór, gdy naciskał na nie u góry, i o wiele większy, gdy próbował napierać u dołu. Bez

wahania kopnął jedną z dolnych szybek, następnie pochylił się i odsunął zasuwę. Drzwi otworzyły się na oścież.

Jessica poszła za nim, trzymając się blisko, usiłując zobaczyć coś ponad jego ramieniem. Kiedy weszli do sypialni, Edith Metlock miała zamknięte oczy, nie otworzyła ich nawet wtedy, gdy zawołali ją po imieniu. Siedziała sztywno, z twarzą zwróconą w kierunku wiszącej u sufitu lampy. Rękami kurczowo ścisnęła poręcze fotela.

- Oddycha - powiedział Bishop i jego głos jakby poruszył coś w medium, jej oddech stał się głębszy, piersi zaczęły się z trudem unosić. Przez rozchylone usta wydychała powietrze, następnie wciągała je głośno. Jej oddech stał się wyraźniejszy, sapiący i Jessica uklękła przy niej. Dotykając ramion medium, łagodnie zawołała ją po imieniu. Edith dyszała jak szalona i Jessica spojrzała z niepokojem na Bishopa. Czuł się bezradny, kusiło go, by poklepać medium i wyprowadzić ją z tego stanu, który podobny był do transu, ale bał się, że tak gwałtowny szok może jej zaszkodzić. Edith Metlock szarpnęła się w fotelu do przodu i nagle przestała sapać. Siedziała w ten sposób przez parę sekund, później powoli opadła na fotel i zaczęła głęboko, swobodnie oddychać. Powieki medium zadrżały i podniosły się: źrenice były malutkie jak łebki szpilek. Miała opuszczoną szczękę, poruszała wargami, wywiesiła język, jakby jego mięśnie zostały uszkodzone. Z głębi gardła doszło ich ciche mamrotanie.

- Ona próbuje coś powiedzieć, Chris. Możesz ją zrozumieć?

Bishop zbliżył głowę do medium i słuchał. Powoli słowa zaczęły nabierać kształtu, nabierać sensu.

- Trzymajcie się... od niej z dala - niewyraźnie, lecz z sensem powiedziała Edith Metlock. - Trzymajcie się... od niej... z dala... Ciemność... Trzymajcie się od niej... z dala...

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tłum miejscowych kibiców był wściekły, jego gniewny wrzask rozchodził się po całym stadionie. Sędzia był stronniczy, nawet pozostający w mniejszości fanatycy zespołu gości też musieli to przyznać, choć byli zachwyceni jego wątpliwymi decyzjami, jakie podejmował przez cały mecz na korzyść ich drużyny. Teraz za dyskusję na boisku zapisał w notesie nawet bramkarza, któremu przez piętnaście lat gry w piłkę nożną nigdy się to nie zdarzyło. Wściekłość tłumu sięgnęła zenitu, gdy w powietrzu ukazała się żółta kartka i kibice gości, z wyjątkiem paru szaleńców o ptasich mózdkach, pohamowali swą radość. Bali się otaczającej ich wrogości.

Miejscowa drużyna grała dobrze przez cały sezon, jej kibice czuli już przedsmak ekstraklasy. Zdecydowanie przewyższała rywalizujące z nią w drugiej lidze kluby. Nowy napastnik, zakupiony we Włoszech za nieprawdopodobne pieniądze (żeby je zdobyć, klub sprzedał swoich dwóch zawodników: pomocnika i popularnego lewego obrońcę, a także podniósł ceny biletów) ogromnie przyczynił się do ich sukcesu. Ale już po dziesięciu minutach gry Włocha z kontuzjowaną nogą zniesiono na noszach. Błyskawicznie, jak niekontrolowany pożar lasu, rozniosła się wieść, że nogę ma złamaną w dwóch miejscach.

Drużyna gości przez cały mecz grała jak wyrobownicy z trzeciej ligi, częściej używając korków do ścinania przeciwników niż do kopania piłki. To samo było w sobotę, kiedy na własnym boisku obrzydliwie brutalną grą wywalczyli remis. Ich strach przed spadkiem z ligi w przyszłym sezonie zamienił zespół w jedenastu bezpardonowych obrońców i tylko sporadyczne akcje przeprowadzone z piłkarskim kunsztem przypominały kibicom, że to futbol, a nie rugby. Dzisiejszy mecz był męczący i wśród tłumu kibiców wybuchło kilkanaście bójek. Policjanci, z kaskami przy nogach, siedzieli na ławkach, usytuowanych strategicznie dookoła boiska, i nerwowo zerkali za siebie; poza zasięgiem silnych świateł reflektorów fala twarzy zlewała się w ciemną, kołyszającą się masę. Panował nieprzyjemny nastrój.

Eddie Cossins przyciągnął bliżej do siebie swoją dziewczynę, Vicky. Zaczynał się zastanawiać, czy mądrze zrobił, zabierając ją dzisiaj na mecz. Ona z zasady nie lubiła futbolu i podejrzewał, że domagała się pójścia z nim głównie po to, by wkraść się w jego łaski, i niewiele to miało wspólnego z jej zainteresowaniem piłką nożną. Pięć tygodni chodzenia z taką dzierlatką to długi okres. Naprawdę za długi: zacznie sobie wyobrażać nie wiadomo co.

- Za co go zapisał, Eddie?

Wśród wrzawy z trudem słyszał jej piskliwy głos, mimo że stała na palcach i mówiła mu prosto do ucha.

- Sędziowie nie lubią tych cholernych dyskusji - wrzasnął.

- A o co się pokłócili? Eddie uśmiechnął się.

- Sędzia podyktował przeciwnikom rzut karny. Wszyscy widzieli, że gracz został sfaulowany poza polem karnym. Goście faulowali cały czas, a teraz dostali jeszcze karnego. Co za los!

Vicky otuliła się grubym płaszczem, mocniej owijając swą szyję szalikiem Eddie'ego w klubowych barwach. Głupia gra, powiedziała do siebie. Dorośli mężczyźni kopią po boisku skórzany worek nadmuchany powietrzem. I ten tłum, szalejący z wściekłości tylko dlatego, że ich drużyna przegrywa. Jak zgraja dzieciaków. Eddie jest taki sam.



Wystarczy spojrzeć na niego, jak wydziera się na sędziego, tak jakby tamten mógł go słyszeć. Biedny, mały człowiek wykonuje tylko swą pracę. I ona ma z tym głupim futbolem konkurować. Inna dziewczyna nie ustępowałaby tak łatwo. O nie! W dodatku zaczęło padać. Popychana, poszturchiwana, przyciskana i dotykana przez niewidzialne ręce - i teraz jeszcze ta ulewa! To wszystko nie było warte jej poświęcenia. Niech sam chodzi na te cholerne mecze! Właściwie to jest okropnie pryszczaty.

Tłum umilkł, gdy kapitan gości ustawił na polu karnym oblepioną błotem piłkę. Znany był z tego, że strzelał lewą nogą.

Na jednej z trybun dla stojących Jack Bettney wstrzymał oddech, niemal bojąc się spojrzeć na boisko. Był wiernym kibicem klubu, od dwudziestu pięciu lat przeżywał jego wzloty i upadki. Po długim okresie gry w drugiej lidze znów szli w górę, mieli szansę zająć należne im miejsce wśród liderów tej konkurencji. Zwycięstwa w poprzednim i obecnym sezonie przywróciły im dawną sławę. Nic nie może ich teraz powstrzymać. Nic, z wyjątkiem drużyny pełnej kowbojów i zawziętego sędziego. Przepelniała go wściekłość.

Zamrugał powiekami, by strząsnąć z nich krople deszczu, i patrzył, jak wróg odmierza kroki, oddalając się od piłki. Bramkarz nerwowo kiwał się z nogi na nogę, w końcu ustawił się na linii, unosząc pięty z błotnistej ziemi. - Na prawo, synu, on będzie celował w prawy dolny róg - podpowiedział cicho Jack Bettney. Znał ulubioną zagrywkę kapitana przeciwników. Jack wyczuł otaczające go napięcie: obawa, niczym prąd elektryczny, poraziła tłum stłoczonych ciał. Wróg zaczął biec, mknąc do piłki jak pociąg ekspresowy.

- Na prawo, synu, na prawo.

Zwierzak, wśród przyjaciół znany także jako Bestia, wrzasnął z radości, gdy piłka trafiła w lewy dolny róg siatki. Bramkarz leżał w błocie po drugiej stronie bramki. Zwierzak wyskoczył w powietrze, opierając się o barki stojącego przed nim kolegi. Nogi jego przyjaciela ugięły się w kolanach pod przeszło stukilogramowym ciężarem, ale inni chwycili go za ramiona, utrzymując w pozycji pionowej. Nie będzie łatwo wcisnąć się z powrotem w ten tłum.

- Pieprzony magik! Pieprzony magik! - wrzeszczał Zwierzak.

W jego kierunku zwróciły się wrogie spojrzenia. Rechotał, gdy przygnębiony bramkarz wyciągał piłkę z siatki.

- Ale banda dyletantów! - zaśpiewał.

- Przestań, Zwierzak - powiedział nerwowo jeden z jego kumpli, czując panującą wokół nich wrogą atmosferę. - Nie jesteśmy, do cholery, u siebie.

Gówny go to obchodziło i chciał, żeby miejscowi kibice wiedzieli o tym. Sama gra też go nie obchodziła. Lubił to podniecenie, nie same emocje związane z walką o piłkę, ale - nie potrafił tego jasno określić - te żywiołowe reakcje, które wyzwała gra, uczucia, które można bez skrępowania demonstrować.

Odwrócił się twarzą do tłumu i podniósł grube, opasłe ręce, prostując i rozszerzając wskazujący i środkowy palec w geście zwycięstwa. Nagle, jakby oberwała się chmura, zaczął lać deszcz, spływając po jego grubych policzkach i rozpiętej pod szyją koszuli. Śmiał się, chwytając ustami potoki wody. Twarze miejscowych kibiców przesłaniały strugi deszczu, ale Zwierzak wyczuwał ich nienawiść i to go rozweselało.

Znalazł inną parę ramion, o które się oparł, i podskoczył do góry, ale tym razem jego kolega upadł, a Zwierzak razem z nim. Chichotał głośno w ciemności, rozpychając się wśród stłoczonych nóg. Miał wrażenie, że znalazł się pod ziemią i przez wąskie szczeliny sączy się przyćmione światło. Otaczające go nogi przypominały ruszające się korzenie drzew. Zachichotał jeszcze głośniej, słysząc stłumione przekleństwa kolegi, złośliwie przepychał się na czworakach przez tłum, sprawiając, że ci, którzy byli nad nim, tracili równowagę i przewracali się. Lubił ciemność tak bardzo, jak lubił być wśród tłumu. To było prawie to samo: nikt nie mógł go zobaczyć. Przez chwilę na dole zrobiło się zupełnie ciemno, jakby tłum zamknął się nad nim, tworząc nieprzeniknioną skorupę. Poczul się trochę przestraszony. Ciemność była lepka i gęsta.

Zwierzak wypłynął na powierzchnię jak wieloryb z morza, przewracając tych, którzy stali najbliżej, śmiejąc się, gdy krzyczeli ze złości. Fakt, że ich szaliki miały inne barwy klubowe niż ten, którym owinał rękę, wcale mu nie przeszkadzał: Zwierzak nikogo i niczego się nie bał.

Kibice stojący na końcu starali się powstrzymać napór falującego tłumu i kilkunastu z nich zobaczyło sprawcę tego nagłego ścisku: tłustą, śmiejącą się twarz, która odwróciła się od boiska i patrzyła w ich stronę, grube, odsłonięte mimo deszczu, podniesione, prowokujące ręce, szalik w barwach drużyny przeciwników owinięty wokół nadgarstka. Byli przemoczeni, ich drużyna przegrywała - a ten skurwysyn świetnie się bawił. Ruszyli do przodu ławą jak morska fala nabierająca rozpędu, przybierający na sile, spieniony bałwan. Przewalając się przez grubasa tłukli w niego jak woda w przybrzeżną skałę.

Eddie i Vicky stali między uśmiechającym się potworem a kibicami z tyłu, którzy przypuścili szturm. Dziewczyna krzyczała, gdy napierali do przodu, odrywali jej nogi od ziemi, mocno trzymali w górze jej ciało, i desperacko czepiała się Eddie'ego, który nie był w stanie powstrzymać rwącego potoku. Eddie bywał już w takim ścisku, ale nigdy przedtem nie

musiał się opiekować dziewczyną. Wiedział, że taki nagły szturm może być niebezpieczny, w jego następstwie nieuchronnie wybuchają bójki. Sztuka polegała na tym, aby nie dać się zepchnąć na dół, tam mogliby zdeptać człowieka na śmierć. Cała siła uderzenia skupiała się na tych biednych skurwysynach z przodu: zmiażdżą ich, przyciskając do barierek. Jedną ręką udało mu się objąć Vicky w talii, drugą - przycisnął mocno do swego ciała. Krzykiem ostrzegł dziewczynę, kiedy zobaczył, co się dzieje z przodu. Ciała napierające, wszędzie dookoła ciała.

Jack Battney poczuł, że dochodzi do niego wezbrana fala. Na szczęście znajdował się poza jej głównym nurtem, który jednak wciągał i jego, i otaczających go kibiców. Utrzymywał równowagę, mając już duże doświadczenie w sztuce przetrwania meczów piłkarskich. Głupie skurwiele!, pomyślał. Nic dziwnego, że w dzisiejszych czasach najlepszym miejscem do oglądania gry jest fotel. Stojący najbliżej niego kibice zdołali odzyskać równowagę i, wspinając się na palce, próbowali zobaczyć, co się dzieje w innej części stadionu. Pojawiła się duża dziura i zorientowali się, że wiele osób upadło, a napierająca wciąż fala przewraca coraz więcej ciał.

Jack skrzywił się. W tym tłumie będzie trochę połamanych kości. Jego wełniana czapka była teraz kompletnie przemoczona, a z nosa spływały mu strugi deszczu. Zmrużył oczy i zobaczył, że piłka jest znowu na środku boiska, zawodnicy nie zważali na reakcję tłumu. Chyba i tak oślepieni ostrym światłem reflektorów niewiele mogli zobaczyć. Jack odwrócił wzrok od środkowego napastnika, który przygotowywał się, by podać piłkę pomocnikowi, i próbował zobaczyć, co się dzieje z leżącymi widzami. Dziś wieczorem atmosfera na stadionie była nerwowa i cieszył się, że kibicuje miejscowej drużynie. Wrogość wobec przyjezdnych narastała od początku meczu i zamieszanie tam w górze było tylko zapowiedzią kłopotów. Zawzięte i nieprzyjemne mecze zawsze wywoływały wściekłość kibiców, ale dzisiaj będzie się ona nasilała z każdą sekundą. Czuł to.

Migotanie z tyłu, w górze, doprowadziło go do szału. Spojrzał za siebie na wysoką, metalową wieżę wstawioną w betonowe tarasy stadionu, szesnaście oślepiających reflektorów, umocowanych na jej szczycie, pomagało trzem innym, podobnie ustawionym wokół boiska wieżom, zamienić noc w dzień. Piętnaście świateł. Jedno trzeszczało, nikło, rozjaśniało się na chwilę, strzelając w powietrze łukami szybko zamierających iskier, aż w końcu zupełnie zgasło. Cholerny deszcz. Ale i tak nie powinno się to zdarzyć. Kiedy ostatnio je sprawdzali? Z drugiej strony boiska rozległy się okrzyki, gdy nagle pękła kolejna lampa, a za chwilę następna. Coraz więcej iskier unosiło się w powietrzu i wkrótce wszystkie lampy syczały i dymiły.

Część tłumu, znajdująca się pod wieżą, zaczęła się coraz bardziej niepokoić i wycofywać spod niej, rozpychając się wśród tych, którzy ich otaczali. Nagle eksplodowały jednocześnie wszystkie światła, iskry i szkło wraz z deszczem spadały na ludzi w dole, w powietrzu unosił się ostry, przejmujący zapach. Mrok obejmujący tę część stadionu nagle zgęstniał i Jacka ogarnęła panika, gdy tłum znowu zaczął falować, tym razem widocznie, przypominając powierzchnię stawu wzburzoną przez rzucony kamień.

Zwierzak był na ziemi, kopiąc dookoła swoimi ciężkimi butami, próbując zdobyć dla siebie trochę przestrzeni. Zrobiło się jeszcze ciemniej i, co dziwne, zamiast bać się ciemności, przywitał ją z ulgą. Ktoś był na nim, udało mu się silną ręką złapać mężczyznę za brodę. Pchnął mocno do góry, był zachwycony, gdy usłyszał nad sobą wrzask widzów i - czy tylko mu się wydawało? - coś pękło. Ciało miękko opadło na niego i Zwierzak poczuł się świetnie. To mu się podobało. Coś zachichotało w ciemnościach jego umysłu, ale to nie on zachichotał.

Czyjaś noga stanęła mu na policzku i machnął głową, by ją zepchnąć, dźwignął leżące na nim ciało i zrzucił je z siebie, ale byli jeszcze inni, żywi i młócący nogami, którzy mogli zająć miejsce mężczyzny. Czyjeś ciało zważyło się obok niego - mężczyzny lub chłopaka, nie wiedział - i tym razem na pewno usłyszał, jak głowa trzasnęła o beton. Podniósł za włosy głowę miłośnika futbolu, pchnął mocno, by raz jeszcze usłyszeć ten dźwięk. Przyjemny odgłos.

Eddie starał się mocniej przyciągnąć do siebie Vicky, ale był przygwożdżony do czyichś pleców. Ciało pod nim, wijąc się, zdołało się uwolnić, ale na Eddiem leżeli inni. Wyraźnie słyszał krzyki Vicky, dominujące nad męskimi wrzaskami, pełnymi przerażenia i złości. Mocniej objął ją w talii, zdecydowany nie puszczać. Poczul cios za uchem, jeden, po chwili następny. O kurwa, ktoś go bił! Wijąc się zepchnął z siebie dwóch facetów, łokciem życząc im dobrej drogi. Potoczył się na kogoś i zobaczył, że to Vicky.

Przepychając się do góry i nie zważając na to, czy po kimś depcze, pociągnął za sobą dziewczynę, uwalniając ją częściowo z walczącego kłębowiska.

Kiedy wściekle się go chwyciła, w jej oczach widać było histerię.

- Uspokój się, Vicky! - krzyknął. - Wyciągnę cię.

Z tyłu coś zważyło się na niego, powodując utratę niepewnej równowagi. Później ktoś chwycił go za gardło i przy akompaniamencie wrzasków Vicky uderzył pięścią w twarz. Jego strach zamienił się w furję, gdy oddał cios napastnikowi. Nie pozwoli, aby ktoś go bezkarnie atakował! I kiedy walczył, zdawało się, że powoli wypełnia go ciemność.

Dziewczyna czuła brutalność tłumu. To nie była tylko fizyczna agresja; było coś jeszcze, coś, co wolno, potajemnie dusiło wszystkich. Szarpnęła głową, kiedy czarne,

lodowate palce zapukały do mózgu, palce, które chciały przedrzeć się przez jego powłokę i zbadać wnętrze. Znowu krzyknęła, bardziej bojąc się czarnej ręki niż oszalałego tłumu. Ktoś ciągnął ją do góry i otworzyła oczy, wdzięczna za ten mocny uchwyt pod pachami. Czyjaś twarz uśmiechała się do niej - tylko tyle mogła zobaczyć w mroku. Ale wyczuła instynktownie, że ten uśmiech nie był przyjazny. To była wielka, nadęta gęba, z krótko ostrzyżonymi, mokrymi od deszczu, przylepionymi do głowy włosami. Miał ogromne ciało i nagie ramiona, trzymał ją ponad otaczającym ich oszalałym tłumem. Wiedziała, że zło, które czaiło się w powietrzu, było także i w nim. Ciemne palce znalazły dostęp do tego mężczyzny.

Zwierzak wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy wewnętrzny głos powiedział mu, co ma robić.

Coś napierało na Jacka Bettneya i nie miało to nic wspólnego z widzami, którzy próbując wydostać się z tłoku walczyli ze sobą. To było coś, co dławilo jego myśli. Nie - to było coś, co dławilo jego wolę - był tego pewien. Gdzieś czytał o zbiorowej hysterii, o tym jak panika, czy nawet euforia, może ogarnąć tłum przeskakując z umysłu na umysł, dotykając każdego, dopóki nie okryje wszystkich ciasnym kokonem emocji. To działo się właśnie tutaj! Ale to było coś więcej niż panika. To okrucieństwo walki wciągało ludzi. Nie wszystkich, gdyż wielu po prostu broniło się przed napaścią innych; ale wcześniejsza wrogość ujawniła się we wszechogarniającym szaleństwie. To szaleństwo napierało na niego!

Zaczął atakować na oślep, nie dbając o to, kogo uderza, wiedząc, że musi się od nich uwolnić, że jest inny - nie był z nimi. Oni to także wyczują!

Czyjeś ręce wyciągnęły się ku niemu, chwytając go za ubranie, ściągając mu z głowy wełnianą czapkę, trafiając do jego oczu. Upadł i leżąc pod tratującymi go stopami, pogrążony w ciemności, zaczął poddawać się cichym, pulsującym głosom, pragnąc przyłączyć się do nich, jeśli dałoby mu to ukojenie, zgadzając się być jednym z nich bez względu na ich zamiary. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że nie ofiarowywali mu spokoju.

Zwierzak skończył z dziewczyną. Chcieli dostać ją inni, chociaż jej ciało było bezwładne, bez życia. Pozwolił, by upadła i zaczął przepychać się przez tłum, wolno, ale stanowczo posuwając się do przodu, nie odrywając oczu od wystającej z masy ludzkich ciał metalowej konstrukcji, wznoszącej się nad nią jak bezduszny strażnik.

Na boisku przerwano mecz; gracze, sędziowie liniowi i sędzia główny patrzyli ze zdziwieniem na kłębiący się w tej części stadionu tłum. Policjanci zerwali się z ławek i spiesząc ze wszystkich stron gromadzili się pod sektorem, w którym rozpoczęła się bójka. Ale nie było już jednego pola walki, gdyż potyczki rozszerzyły się, złączyły, zlały w jedną wielką bitwę, w którą wszyscy z tej strony stadionu zostali wciągnięci. Żaden z policjantów nie

zamierzał interweniować, a dowodzący oficer nie zachęcał ich do tego. Samobójstwo nie należało do ich obowiązków.

Zwierzak dotarł w końcu do podstawy wieży z reflektorami; pokonanie tego krótkiego odcinka wśród masy stłoczonych ciał wymagało wysiłku nawet od takiego siłacza jak on. Ale adrenalina krążyła już w jego żyłach i wiedział, co ma robić - ta perspektywa podniecała go. Pchnięto go na metalową konstrukcję, której powierzchnia była śliska od deszczu, sięgnął do skrzynki przyłączonej, z której wychodziły dokładnie zaizolowane kable, szybujące w górę ku rzędom eksplodujących świateł. Pokrywa skrzynki nawet nie drgnęła, zbudowano ją bowiem tak, by oparła się niszczycielskim porywom kibiców. Zwierzak wszedł po dwóch pierwszych szczeblach konstrukcji i wepchnął nogę do środka. Kopał w skrzynkę, rysując i wyginając jej powierzchnię ciężkim butem. Trwało to długie minuty, nim pokrywa zaczęła się ruszać, ale Zwierzak chyba po raz pierwszy w życiu miał cierpliwość do tego, co robił. Kopał zawzięcie i w końcu krzyknął z radości, gdy pokrywa odskoczyła. Następnie włożył swą wielką łapę do środka i zacisnął ją na dwóch grubych kablach. Otoczony gęstym tłumem zaczął je szarpać; padający deszcz moczył wszystkich i wszystko.

W końcu kable zostały wyrwane, albowiem Zwierzak był silny, i prąd przeszedł po nim na mokrą, zbitą ciżbę ludzką, posuwając się z paraliżującą prędkością, rozszerzając jak śmiertelny wirus. Setki osób poraził, zanim stracił swą moc, pogrążając stadion w całkowitej, wyjącej ciemności.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Bishop przyglądał się drobnej twarzyczce Lucy, trzymając oprawioną fotografię w jednej ręce, drugą opierając się o kominek. Myśli o córce zastygły w jego umyśle, stawały się martwą naturą jak to zdjęcie, pojedynczymi obrazami, które zachowała jego pamięć. Wciąż słyszał jej wesoły chichot, spazmatyczne łkanie, ale to były już tylko dźwięki nie związane z Lucy. Tęsknił do niej i z pewnym poczuciem winy uświadomił sobie, że brakuje mu jej o wiele bardziej niż Lynn. Pewnie dlatego, że jego żona wciąż żyła: umarł tylko jej umysł. Czy to oznaczało to samo? Czy można kochać osobę, która zamieniła się w kogoś innego? W coś innego? Chyba tak, ale nie jest to łatwe i Bishop nie miał pewności, czy jest do tego zdolny.

Odłożył fotografię i usiadł w fotelu przed pustym kominkiem. Narastało w nim nowe poczucie winy, mieszające się z poprzednimi, miało związek z Jessiką. Pewnie dlatego, że była jedyną kobietą, z którą od długiego, długiego czasu tak naprawdę przestawał. Nie brakowało mu towarzystwa kobiet. Śmierć Lucy i załamanie się Lynn wyczerpały go tak bardzo, że pozostała tylko złość, resztki jego własnego smutku. Ta złość przerodziła się w

gwałtowny gniew, który wylądował na nowej, znalezionej przez siebie pracy. Ale nawet i to zaczęło słabnąć, zostawiając gorycz, która przyłgnęła do niego jak wędnąca winorośl do kruszącego się muru. Teraz coś, co było w nim utajone przez wiele lat, na nowo zaczęło ożywać, najpierw nieznacznie, poruszając się delikatnie, później rozwijając i stając się coraz silniejsze. Dawne uczucie odsunęło się nieco, robiąc miejsce nowemu. Czy stało się to z powodu Jessiki, czy z powodu gojącego rany upływu czasu? Czy każda atrakcyjna kobieta, która pojawiłaby się na tym etapie jego życia, zrobiłaby na nim takie samo wrażenie? Nie znał odpowiedzi i nie chciał zastanawiać się nad tym pytaniem. Może kiedyś Lynn dojdzie do siebie. A jeżeli nie... w dalszym ciągu jest jego żoną.

Zniecierpliwiony dźwignął się z fotela i poszedł do kuchni po puszkę piwa. Wyjął ją z lodówki, otworzył i nie odrywając od niej ust wypił połowę zawartości. Pograżony w myślach wrócił na fotel.

To było szaleństwo. Wszystko, co się działo, było szalone. Oblęd powiększał się, wrogość szerzyła się jak dzuma. Przesada? Wszystko się zaczęło od zbiorowego samobójstwa w Beechwood. Rok później wybuchło szaleństwo, które szybko ogarnęło prawie wszystkich mieszkańców Willow Road. Próba dokonania morderstwa na nim i Jacobie Kuleku. Zabójstwo Agnes Kirkhope i jej służącej. I wczoraj wieczorem te ekscesy na stadionie. Zginęło prawie sześćset osób! Setki porażonych prądem - przewody wysokiego napięcia zostały wyrwane i rzucone na przemoczony deszczem tłum. Setki pobitych, skopanych przez tłum na śmierć. Reszta popełniła samobójstwo. Na wiele różnych sposobów. Wspinając się i następnie rzucając z wieży lub dźwigarów wspierających osłonę trybun dla stojących. Lub wieszając się na własnych szalikach w klubowych barwach. Sprzączki pasków, metalowe kastety - inna broń, którą kibice zawsze przemycają na stadion - używali wszystkiego, co było wystarczająco ostre, by rozerwać tętnice. Jak na mecz w środku tygodnia na małym drugoligowym boisku przyszła rekordowa liczba kibiców - dwadzieścia osiem tysięcy. Prawie sześciuset zginęło! Jaki koszmar musiał rozegrać się na tym pograżonym w ciemnościach stadionie!? Bishop nie mógł opanować dreszczy, wstrząsających jego ciałem. Gdy znów podniósł do ust puszkę, piwo wylało się na brodę i poczuł, że ręka mu się trzęsie.

Inni wybiegli na ulicę, większość - by uciec z tego domu wariatów, wielu - by szukać innych sposobów samozniszczenia. Rękami rozbijali sklepowe szyby, aby kawałkami szkła przeciąć sobie żyły. Dwudziestu młodych ludzi wbiegło na pobliską stację i jednocześnie rzuciło się z peronu pod pędzący ekspres. Wciąż dragowano znajdujący się w pobliżu kanał, poszukując ciał tych, którzy postanowili się utopić. Niektórzy skakali z dachów wysokich

budynków, inni rzucali się pod koła ciężarówek lub autobusów. Samochody stały się narzędziem samozniszczenia. Zagłada trwała całą noc. Sześćset trupów!

Gdy w końcu nastał dzień, znaleziono dziesiątki ludzi włóczących się po ulicach, z pobladłymi twarzami i widoczną pustką w oczach. Żywe trupy - przemknęło Bishopowi przez myśl określenie, które w przeszłości wydawało mu się zabawne, ale teraz nabrało prawdziwego, groźnego znaczenia. Tym właśnie stali się ci ludzie. Żywe trupy! Pochód umarłych!

Ilu znaleziono w takim stanie, jeszcze nie było wiadomo, ale zgodnie z tym, co podawała prasa, było ich znacznie więcej. Czy wciąż błąkali się z pustką w głowie? Martwi, ale bez świadectwa zgonu? Czy znaleźli miejsce, by się ukryć? Okropność tej sytuacji nie dawała Bishopowi spokoju przez cały dzień, bowiem znalazł logiczne powiązanie, oczywisty związek. Podobnie jak Jacob Kulek, który już opuścił szpital, i Jessica - Bishop rozmawiał już z nią dzisiaj. Szaleństwo nie ograniczyło się do Willow Road, przeniosło się prawie o milę, na stadion piłki nożnej.

Zastanawiał się, czy ten sam obłąd dotknął Edith Metlock. Gdy dwa dni temu znaleźli się razem z Jessiką w jej domu, bez przerwy mamrotała coś o ciemności, jakby się bała, że noc może wejść do mieszkania i pochłonać ją. Bishop chciał zabrać ją do szpitala, ale Jessica powiedziała mu, że często widywała medium w takim stanie i że Edith zagubiła się w sobie i sama musi znaleźć drogę do siebie.

Trans minie; potrzebowała tylko opieki podczas jego trwania. Położyli Edith do łóżka, Jessica okryła ją kołdrą, podpierając jej głowę poduszką. Podczas gdy Bishop poszedł sprawdzić pokoje i zamknąć kuchenne drzwi, Jessica zadzwoniła do szpitala, w którym na obserwacji przebywał jej ojciec. Czuł się dobrze, spał po zażyciu słabych środków uspokajających i nie było powodu, żeby przyjeżdżała tak późno; jeżeli w nocy nie wystąpią nieprzewidziane komplikacje, może przyjechać z rana i zabrać go do domu.

Siedzieli przy Edith Metlock całą noc i rozmawiali, milknąc od czasu do czasu i słuchając gwałtownych wybuchów mamrotania. Było już dobrze po trzeciej, kiedy napięcie zniknęło z jej twarzy i zdawało się, iż zapadła w głęboki, spokojny sen. Jessice kleiły się już oczy i Bishop przekonał ją, aby położyła się w nogach łóżka Edith. Znalazł koc, by ją okryć, uśmiechnęła się prawie przez sen, gdy dotknął jej policzka; po chwili usnęła i wkrótce jej głęboki, regularny oddech złączył się z oddechem Edith Metlock.

Bishop wypoczywał w fotelu, na którym przedtem siedziała Edith, zaniepokojony tym, że został sam na sam z niebezpieczeństwem, które zdawało się otaczać dom. To tylko wytwór mojej wyobraźni, powiedział do siebie. Na zewnątrz nic się nie działo. Jego strach był



po prostu wynikiem tego, co się wydarzyło. W końcu niepokój opuścił go. Powieki stały się ciężkie i zapadł w sen.

Następnego ranka przebudziło go delikatne szturchanie i zobaczył przed sobą kłęczącą Jessikę, która na powitanie uśmiechała się do niego. Edith Metlock leżała podparty na łóżku, i choć sprawiała wrażenie wyczerpanej, podziękowała im, że zostali z nią przez całą noc. Wyglądała na zdenerwowaną i bez przerwy rozglądała się po pokoju, jakby spodziewała się, że ktoś się ukrywa w cieniu. Była zbyt oszołomiona, by opowiedzieć im, co wydarzyło się ostatniej nocy - Bishop podejrzewał, że sama nie bardzo wiedziała. Na szczęście, była tak rozbita, że nie przyszło jej do głowy zapytać, jaki był powód ich wizyty, a oni uznali za słuszne niczego nie wyjaśniać.

Po lekkim śniadaniu, przygotowanym przez Jessikę, udało się im przekonać Edith, żeby przeniosła się na parę dni do domu Jacoba Kuleka. Z początku odmówiła, ale gdy Jessica wspomniała, że ojciec miał drobny „wypadek” - później o tym opowie - i byłaby jej ogromnie zobowiązana, gdyby mogła się nim przez parę dni opiekować, dopóki nie poczuje się lepiej, co z kolei ułatwi jej samej zorganizowanie codziennej pracy w Instytucie, chętnie się zgodziła. Patrząc na nich niewidzącym wzrokiem, powiedziała, że jest wiele spraw, które powinna przedyskutować z Jacobem.

Gdy już byli gotowi do wyjścia, policzki jej nieco się zaróżowiły, choć czasami jeszcze podejrzliwie rozglądała się po pokoju.

Bishop był zaskoczony, gdy zobaczył dom, w którym Jacob Kulek mieszkał ze swoją córką. Stał przy małej, odludnej alejce, odchodzącej od Highgate Yillage, i kiedy skręcało się na wąski, niemal schowany w drzewach podjazd, miało się wrażenie, że dom zbudowany jest wyłącznie z szerokich taflí błyszczącego brązu, od powierzchni których odbijało się słońce, tworząc oślepiający kontrast z ponurą, zimową szarością.

- To szkło jodowane - wyjaśniła rozbawiona jego reakcją Jessica. - Można widzieć przez nie z wewnątrz, ale z zewnątrz nie można zajrzeć do środka. Wieczorem, gdy w domu pali się światło, opuszczone story zapewniają nam intymność. Wiesz, mój ojciec widzi cienie. Jeśli dom jest jasno oświetlony, może zobaczyć każdy ruch. To są jedyne obrazy, które postrzega.

Jessica znów zadzwoniła do szpitala. Z ulgą usłyszała, że Jacob czuje się dobrze i gdy przejdzie jeden lub dwa testy jeszcze przed południem, będzie go mogła zabrać do domu. Bishop odjechał, lecz zanim z podjazdu skręcił w niewielką boczną drogę, zerknął w lusterko i zobaczył Jessikę stojącą w drzwiach domu i patrzącą na niego. Już podnosił rękę, aby jej pomachać, ale się powstrzymał.

Jazda po zatłoczonym w godzinach szczytu mieście spotęgowała jego zmęczenie. Gdy wreszcie znalazł się w domu, rozebrał się i rzucił na łóżko, budząc się dopiero o piątej po południu. Zadzwoił do Jessiki, ale rozczarowany usłyszał, że telefon odebrała Edith Metlock. Jacob Kulek odpoczywał, ona czuła się dobrze, chociaż wciąż nie bardzo wiedziała, co wydarzyło się poprzedniej nocy, a Jessica była w Instytucie. Odłożył słuchawkę i przez chwilę stał niezdecydowany, zastanawiając się, czy zadzwonić do Jessiki do biura. Postanowił tego nie robić.

Ugotował i zjadł samotnie obiad, przez resztę wieczoru miał zamiar pracować. Wydawca zainteresował się jego nową książką i zgodził się ją zaanonsować. Bishop zamierzał opracować monografię stowarzyszeń okultystycznych, które rozwijały się teraz w różnych częściach świata, organizacji tak odmiennych jak Instytut Parapsychologii i Cybernetyki w Teksasie i Fundacja na rzecz Badań nad Naturą Człowieka w Północnej Karolinie. Przygotował listę tych wszystkich stowarzyszeń i organizacji, ale musiał ją przejrzeć i wybrać najważniejsze, ponieważ nie był w stanie osobiście odwiedzić wszystkich, rozrzuconych po całym świecie; na dodatek niektóre z nich znajdowały się za Żelazną Kurtyną i dotarcie do nich nastęrczało trudności. Jednak nazwy kilku z nich brzmiały intrygująco; Czechosłowacki Komitet Koordynacyjny do Badań nad Telepatią i Wpływem Umysłu na Materię oraz sekcję Bioelektroniki Kopernikowskiego Stowarzyszenia Polskich Naturalistów był zdecydowany odwiedzić osobiście. Wydawca w ramach zaliczki” którą miał później potrącić z honorariów, zgodził się pokryć koszty jego podróży, a poza tym Bishop miał nadzieję, że wiele stowarzyszeń przyjmie go jako swego gościa; większości z nich ogromnie zależało na dowodach uznania dla ich pracy. Zamierzał obiektywnie przedstawić fundacje, towarzystwa, stowarzyszenia, instytucje - jakkolwiek się nazywają - prezentując własną ich ocenę w podsumowaniu książki. Zresztą dopiero wtedy będzie miał na ich temat wyrobioną opinię. W pewnym sensie to zadanie było niemal pobbrażaniem samemu sobie; chciał dowiedzieć się czegoś więcej o zjawiskach paranormalnych. Kiedy zaczynał swą dziwną karierę badacza psychiki, miał nieprzejednane uprzedzenie do mistycyzmu w każdej postaci i szybko uświadomił sobie, że istniała ogromna różnica między tym, co powszechnie nazywano zjawiskami nadprzyrodzonymi a paranormalnymi: jedno miało mistyczne konotacje, podczas gdy drugie było nieznaną nauką, prawdopodobnie - nikt nie miał jeszcze co do tego pewności - nauką umysłu. Był przekonany, że badając działalność różnych grup będzie miał jaśniejszy obraz ogólnego postępu, jaki się dokonał w tej stosunkowo młodej dziedzinie nauki. Zainteresowanie społeczne tą sprawą wzrastało w nieprawdopodobny sposób. Młodzi odcinali się od materializmu i sami szukali własnych ideałów, starsi uciekali

od otaczającego ich chaosu. Wydawało się, że wielu osobom konwencjonalna religia nie dawała takiego pocieszenia, gdyż modlitwy i składanie Bogu hołdów nie zawsze ludziom pomagało. Prawdę powiedziawszy, w większości przypadków to nie pomagało. Gdzie jest sprawiedliwość? Gdzie jest prawda? Im większa na świecie zdolność przekazywania informacji, tym więcej widzi się zła. Gdy nowe pokolenia patrzą na religię, dostrzegają tylko odprawiane przez człowieka obrządki i ludzką hipokryzję. Nawet historia uczy ich, że dążenie do Boga oznacza masakrę i cierpienie milionów. Wiele osób zwróciło się do innych kultów graniczących z religią - Scjentyści, Moniści, Świątynia Ludzi (jaka była prawdziwa przyczyna ich samobójstwa?). Guru zastąpił Mesjasza. Psychiatryzy zastąpili księży. W końcu parapsycholodzy mogą zastąpić jednych i drugich.

Rośnie przekonanie, że dusza nie jest niewidzialnym bytem wypełniającym całą istotę ludzką, lecz kryje się w ciemnych zakamarkach umysłu człowieka. Jeżeli tak jest, to można to odkryć; naukowcy muszą tylko wiedzieć, gdzie mają szukać i mogą skonstruować odpowiedni przyrząd, by znaleźć jej ślad. I nauka w dziedzinie studiów nad zjawiskami paranormalnymi powoli, bardzo powoli zbliża się do tego. Bishopa rozbawiła ta nieskomplikowana logika; Jacob Kulek na pewno ulepszyłby tok jego rozumowania, ale miał wrażenie, że ich końcowe wnioski niewiele różniłyby się od siebie. Zanotował sobie w pamięci: najlepszym początkiem jego książki będzie przedstawienie Instytutu Badawczego Kuleka.

Bishop siedział do późnych godzin nocnych, kreśląc zarys układu książki, opracowując skróconą listę organizacji, którymi chciał się zająć, z uwzględnieniem miejsca i charakteru ich działalności. Było już dobrze po pierwszej, gdy położył się do łóżka i zapadł w sen. Koszmar powrócił i znów tonął w czarnych głębiach oceanu, ciśnienie rozrywało mu płuca, członki słabły i stawały się bezużyteczne, ciężące ołowiem ciało parło w dół. Tam czekała na niego twarz, szara plama, która stawała się coraz wyraźniejsza, im bardziej się pogrążał. Tym razem nie była to Lucy. To był mężczyzna, którego rysy rozpoznał, ale nie wiedział, kim jest. Mężczyzna uśmiechnął się, a wysuszone wargi wymówiły imię Bishopa. Jego oczy zdawały się nienaturalnie wychodzić z orbit i Bishopowi wydawało się, że jest w nich tylko zło, zimna, hipnotyczna ciemność, która go wciągała i prowadziła w mroczną otchłań, jeszcze głębszą niż ocean. Uśmiechał się szyderczo i Bishop nagle zrozumiał, że był to ten sam mężczyzna, którego widział w Beechwood, mężczyzna, który patrzył, jak jego uczniowie zabijają się nawzajem, zanim włożył rewolwer we własne usta. Wargi rozchyliły się, żółte, niekształtne zęby strzegły błyszczącej jamy, mięsisty, drgający język spoczywał w przedzionku jak potężny, oślizgły ślimak, czyhający, by owinać się wokół każdego intruza i

pochłonąć go. Bishop wpłynął do środka, szczęki zamknęły się za nim z grzmiącym, stalowym brzękiem, i pogrążony w absolutnym mroku zaczął krzyczeć, a miękka powierzchnia języka wyciągnęła się do niego i owinęła wokół jego nóg. Usiłował się wyszarpnąć, ale zapadał się coraz głębiej w lepkim śluzie i w ciemności wyczuł owijający się wokół niego język, unoszący się nad nim, by opaść mu na ramiona. Ogłuszyły go własne, pełne paniki wrzaski, gdy zobaczył białe kształty, wypływające z tunelu, którym było gardło mężczyzny. Znał te twarze, to były wizerunki zmarłych w Beechwood. Dojrzał Dominica Kirkhope'a i Lynn.

Spojrzenie miała dzikie, kryły się w nim zarazem strach i błaganie. Jej wargi wypowiadały słowa, które były wołaniem o pomoc. Błagała go. Prosiła. Pomóż mi.

Ale nie mógł; przyciskał go język, tłamsząc mu głowę i ramiona, dusząc lepкими sokami, zmuszając do upadku, miażdżąc miękką poduchą. Aż wszystko wybuchło. I on był kulą, przelatującą przez mózg mężczyzny. A mężczyzną, którego nagle rozpoznał, był Boris Pryszałak.

Obudził się wciąż krzycząc, ale z ust jego nie wydobywał się żaden dźwięk. Na zewnątrz było jasno. Niemal rozplakał się z radości.

Bishop postawił na podłodze przy nogach pustą puszkę po piwie i zagłębił się w fotelu, kładąc łokieć na oparciu, a ręką osłaniając oczy przed światłem lampy. Bolała go głowa, a wszystkie mięśnie miał jak z waty. Rano rozmawiał z Jessiką, zatelefonował do niej zaraz po usłyszeniu wiadomości w radiu. Była w domu i miała zamiar pozostać tam przez cały dzień, by zająć się ojcem. Jacob także słyszał nowiny o niebywałej tragedii na stadionie piłkarskim i, podobnie jak Bishop, był przekonany, że ma ona związek z wydarzeniami na Willow Road. Po zamachu na jego życie jeszcze nie doszedł do siebie, ale kazał córce obiecać, że wieczorem zorganizuje spotkanie, na które zaprosi także inspektora Pecka. Nawet jeśli Peck sądzi, że oni wszyscy są obłąkani, muszą spróbować przekonać go, że istnieje związek między sektą Pryszałaka a ostatnimi wydarzeniami. Bishop zapewnił ją, że będzie wolny wieczorem; Jessica miała zadzwonić do niego, gdy ustalą godzinę spotkania.

Do tej pory się nie odezwała i zaczynał się niepokoić. W końcu pełen obaw wstał z fotela i przeszedł do holu. Sięgał właśnie po słuchawkę, gdy zadzwonił telefon.

- Jessica?

- O, nie. Pan Bishop? Tu Crouchley. Z Fairfields.

Fairfields. Klinika dla psychicznie chorych.

- Czy coś się stało z moją żoną? Strach chwycił Bishopa za gardło.

- To jest bardzo ważne. Powinien pan tu natychmiast przyjechać, panie Bishop - powiedział metaliczny głos.

- Czy z Lynn wszystko w porządku?

Przez chwilę na drugim końcu linii panowała cisza.

- Mieliśmy, tak chyba można to określić, lekki przełom. Myślę, że jest pan nam potrzebny. Wyjaśnię wszystko, kiedy pan przyjedzie.

- Będę za dwadzieścia minut. Czy nie może mi pan czegoś więcej powiedzieć?

- Lepiej, żeby sam pan zobaczył.

- Dobrze, już wyjeżdżam.

Kiedy szedł na górę po kurtkę, serce waliło mu jak młotem. Co oznacza „lekki przełom”? Czy w końcu Lynn zaczyna wychodzić ze skorupy, w której się schowała? Czy znajdzie w jej oczach choć odrobinę ciepła, gdy go zobaczy? Pobudzony nową nadzieją założył kurtkę i szybko zbiegł na dół.

Gdy, dosłownie za chwilę, znowu zadzwonił telefon, dom był już pusty.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Bishop wszelkimi siłami zmuszał się, by skoncentrować uwagę na prowadzeniu samochodu. Kiedy pędził w kierunku Twickenham, krople deszczu rozbryzgiwały się o jezdnię jak drobniutkie wystrzały z armaty. Na szczęście ruch był niewielki i mógł szybko jechać. Przepelniały go obawy; Crouchley musiał mieć ważny powód, jeśli wzywał go o tak późnej porze. Jeżeli Lynn w końcu... odrzucił tę myśl. Lepiej się nie spodziewać zbyt wiele.

Wkrótce wjechał w cichą ulicę bez wylotu, przy końcu której znajdował się Fairfield Rest Home. Przez wysoką bramę zajechał wprost na szeroki podjazd. Zatrzasnąwszy drzwi samochodu, szybko wbiegł na schodki, prowadzące do głównego wejścia budynku, deszcz kropił na jego okulary do prowadzenia samochodu, które zapomniał zdjąć. Wsuwał je teraz do górnej kieszeni, naciskając jednocześnie dzwonek drugą ręką. Duży budynek z czerwonej cegły z wyglądu mógł być wszystkim, począwszy od prywatnej szkoły, a skończywszy na domu starców. Dopiero po przeczytaniu nie rzucającej się w oczy tablicy, umieszczonej z przodu, na ogrodzeniu, budynek zaczynał sprawiać przygnębiające wrażenie. Zdawało się, iż wewnątrz wygaszono większość światła, co nadawało temu miejscu jeszcze bardziej ponury wygląd.

Bishop usłyszał, jak klucz przekręcił się w zamku i drzwi lekko się uchylily.

- Nazywam się Chris Bishop. Doktor Crouchley prosił, żebym przyjechał.

Drzwi się otworzyły szerzej i zobaczył sylwetkę stojącej tam, niskiej, zażywej kobiety.

- O, tak. Spodziewaliśmy się pana, panie Bishop. Proszę wejść.

Wszedł do głównego holu i z niecierpliwością w głosie zwrócił się do małej kobiety, która dokładnie zamykała drzwi.

- Czy moja żona...?

- Zaraz pana do niej zaprowadzimy, panie Bishop - rozległ się głos z tyłu i, odwróciwszy się, zobaczył drugą kobietę, siedzącą w recepcji w holu. Twarz miała odwróconą od małej lampki, która swym słabym światłem próbowała rozjaśnić to ponure wnętrze. Kobieta wstała i okrążając biurko, podeszła do niego.

- Proszę nam wybaczyć ten półmrok - powiedziała, jakby czytając w jego myślach. - Zawsze po ósmej zostawiamy tylko przyćmione światła. Uważamy, że nasi pacjenci lepiej wtedy odpoczywają.

Była wyższa od kobiety, która go wpuściła i Bishop zdał sobie sprawę, że żadnej z nich przedtem nie widział. Pewnie były tu nowe, a już na pewno ta wyższa, gdyż w Fairfield nigdy nie używano określenia pacjent, tylko mieszkańców.

- Co się stało Lynn? - spytał. - Doktor Crouchley nie powiedział mi przez telefon.

Kobiety z zadowoleniem popatrzyły na siebie.

- Myślę, że zauważy pan znaczną poprawę, panie Bishop - powiedziała wyższa. - Zechce pan pójść za mną?

Poszli w kierunku szerokich schodów, które prowadziły na pierwsze piętro, niższa kobieta z rękami w kieszeniach lekarskiego fartucha podążała za Bishopem. Gdy wchodzili po schodach, wyższa kobieta próbowała podtrzymać rozmowę, ale prawie jej nie słuchał; myślał o Lynn. Również pierwsze piętro oświetlała tylko mała lampka, stojąca na stoliku w odległym końcu korytarza. Panujący tu mrok podziałał na niego przygnębiająco. Nie zdawał sobie sprawy, że po godzinach przyjęć ograniczają światło do minimum; wywoływało to bardziej przygnębiające niż uspokajające wrażenie. Gdy przechodzili przez korytarz, otworzyły się drzwi i zobaczył pokój, pogrążony w całkowitej ciemności: mniejsza kobieta szybko podeszła i wykonała ręką taki ruch, jakby kogoś delikatnie wpychała z powrotem do łóżka. Wysoka kobieta uśmiechnęła się słodko do Bishopa, jak gdyby nic się nie stało.

W klinice dla psychicznie chorych Bishop zawsze czuł się nieco niepewnie, co było zupełnie naturalne; ale o tak późnej porze, bez spieszących się jak zwykle gości i krzątającego personelu, było tu jeszcze gorzej. Zaszło mu w gardle i zastanawiał się, czy napięcie spowodowane jest troską o Lynn, czy tym, że zaczynał bać się tego miejsca. Był ciekaw, co

się znajduje za drzwiami, które mijali, co się dzieje w zmienionych umysłach ludzi, którzy tam przebywają.

- Jesteśmy na miejscu.

Wyższa niewiasta zatrzymała się przed pokojem, który, jak wiedział, Lynn dzieliła z trzema innymi lokatorkami. Sale w Fairfield były kilkuosobowe, lekarze niechętnie rozdzielali swych podopiecznych, choć ograniczali do minimum ich liczbę w pokojach.

- Czy nie będziemy przeszkadzali innym? - spytał Bishop.

- Śpią twardo, sprawdzałam przed pana przyjazdem. Proszę wejść, żona czeka na pana.

- Czy jest z nią doktor Crouchley?

- Wkrótce przyjdzie. Chce, żeby państwo przez chwilę byli sami.

Bishopowi rozjaśniła się twarz, zaczął opuszczać go niepokój.

- Czy ona jest...?

Kobieta w białym fartuchu położyła palec na ustach, uśmiechnęła się przyjemnie, a jej oczy zaiskrzyły się na widok jego oczekiwania. Powiedział cicho - dziękuję - i wszedł do pokoju. Drzwi zamknęły się za nim.

Łóżko Lynn znajdowało się pod oknem, w rogu pokoju, i na szafce przy łóżku stała niewielka nocna lampka. Leżała wsparta na poduszkach, z głową przechyloną w jedną stronę, jakby zasnęła czekając na niego. Szedł na palcach, świadom obecności szarych, śpiących postaci, oczy miał pełne łez, w gardle wciąż czuł suchość.

- Lynn? - powiedział miękko, kiedy podszedł do niej. - Lynn, nie śpisz?

Dotknął jej ręki, leżącej na kołdrze, i delikatnie nią potrząsnął. Wolno przekręciła głowę i w słabym świetle zobaczył szeroki uśmiech na jej twarzy. Zesztywniał i poczuł, że wszystko mu się skręca w środku.

- Lynn?

Jej oczy ciągle miały obłąkany wyraz. Uśmiech odzwierciedlał jej szaleństwo. Zaczęła siadać i był świadom, że z tonących w mroku sali łóżek podnoszą się inni. Ktoś prychnął.

Wargi Lynn były wilgotne i błyszcząły w mroku, kiedy odsunęła pościel i starała się go dotknąć. Siłą woli powstrzymał się od cofnięcia.

- Nie wychodź z łóżka, Lynn.

Jedną nogę wysunęła spod kołdry. Jeszcze szerzej się uśmiechnęła.

Ręką dotknęła jego ramienia.

- Lynn! - krzyknął, gdy błyskawicznie podniosła drugą rękę, wbijając mu w twarz paznokcie.

Śmiała się, to wcale nie była Lynn: rysy twarzy miała te same - te same usta, ten sam nos, te same oczy - ale były one zniekształcone, wykrzywione przerażającym grymasem; ktoś inny, coś innego kryło się za tymi dzikimi oczami.

Chwycił ją za nadgarstki i trzymał z dala od siebie, jej ciało gwałtownie zaczęło się poruszać. Krzyk zmieszał się ze śmiechem, gdy wierzgnęła nogą w jego kierunku, kłapiąc zębami jak wściekły pies. Popchnął ją z powrotem na łóżko, jej siła odebrała mu odwagę, jej stan przeraził go. Cholerni głupcy! Dlaczego ciągnęli go tu? Żeby to zobaczyć?

Czy oszukała ich i uwierzyli, że nastąpiła zmiana na lepsze? Czy po prostu na jego widok znów się jej pogorszyło?

Leżała teraz na łóżku, waląc głową o poduszki, skopując powyżej ud cienką, nocną koszulę. Syczała i pluła na niego, bąbelki śliny rozmazywały mu się na twarzy. Miał niejasną świadomość tego, że z ciemności wyłaniają się i zbliżają do niego inne postacie, ale bał się puścić nadgarstki żony, bał się tych przypominających pazury paznokci.

Jego głowa odskoczyła do tyłu, gdy czyjaś dłoń chwyciła go za włosy; pokręcił szyją, próbując się uwolnić. Ale ręka trzymała mocno, a inna zaciskała się na jego gardle. Bishop musiał puścić Lynn i złapać rękę, która ścisnęła jego szyję. Lynn natychmiast zeszła z łóżka, zbliżyła się do niego, młóćąc rękami, znów szarpiąc go zębami. Zwalili się razem na podłogę, kobieta za nim rozluźniła uścisk na jego gardle, ale wciąż trzymała go za włosy, tuż u nasady głowy. Oczy przesłaniała mu mgła, zamrugał, by lepiej widzieć i przezołkował, pociągając za sobą Lynn; kobieta drapała go drugą ręką.

Udało mu się podnieść nogę i kopnął Lynn, okrzyk bólu zabrzmiał tragicznie w jego uszach, ale wiedział, że nie ma wyboru. Odskoczyła od niego gwałtownie. Zwrócił się do kobiety, która wciąż kurczowo się go trzymała. Silny cios w plecy oszołomił ją i wstrząśnięta wrzasnęła. Nawet w ciemności widział, że była to staruszka o białych, skręconych, jakby usztywnionych włosach.

Czyjaś naga stopa kopnęła go w policzek i szturchnęła w bok. Stały nad nim dwie kobiety, odziane w nocne koszule, ich twarze jak maski okryte były pełnym nienawiści uśmiechem. Pobiegły przed siebie, tupiąc nogami i triumfalnie krzycząc. Jakieś ciało zważyło się na niego i czyjeś zęby zagłębiły się w jego szyi. W koszmarnym zamieszaniu poznał, że była to Lynn. Rozerwał jej uścisk, ale poczuł, że rozszarpała mu skórę, z której spłynęła na kołnierzyk strużka krwi. Chwycił nogę, która uciskała mu pierś, i wykręcił ją z całej siły. Stojąca nad nim kobieta z krzykiem przewróciła się do tyłu. Uklęknął na jednej nodze i podniósł się do góry, pociągając za sobą Lynn; jakaś postać wyrosła przed nim i zaczęła bić go po twarzy zaciśniętymi pięściami. Walnął, uderzając kobietę w czoło, aż poleciała do tyłu,



w ciemność. Trzymał przy sobie Lynn, przyciskając ją mocno i więząc jej dłonie. Białowłosa kobieta, jak duch wyłaniający się z mgły, wolno skradała się w jego kierunku. W wyciągniętych przed sobą rękach trzymała coś, co wyglądało jak zwinięte prześcieradło; wiedział, że skręcony całun ma owinać się wokół jego szyi. Niemal się przewrócił, kiedy z ulgą zobaczył, że drzwi za nią zaczynają się otwierać i nagle światło z korytarza rzuca niewyraźne cienie w głąb pokoju.

Stały tam dwie kobiety, które go tu przyprowadziły - wysoka i niska.

- Dzięki Bogu - powiedział Bishop.

Jęki, chichoty, krzyki i wicie się Lynn - wszystko nagle ustało. Nawet stara kobieta, trzymająca zwinięte prześcieradło, zatrzymała się i spojrzała za siebie przez ramię. Wysoka kobieta weszła do pokoju, a niska podążyła w jej ślady. Obie przesunęły się na bok, otwierając szeroko drzwi, i usłyszał, jak wysoka powiedziała:

- Przyprowadźcie go.

Pokój wypełniły obłąkane, wymachujące rękami postacie z piekła - kobiety miały na sobie proste, niekształtne koszule, które służyły im za szlafroki, mężczyźni byli podobnie ubrani. Bishop cofnął się, niemal wierząc, iż wszedł w koszmarny sen.

Lynn uwolniła się; nagle zarzucono mu na szyję zwinięte prześcieradło i związano je mocno. Popchnięto go >do przodu i otoczyła go wrzeszcząca masa ciał - ręce rozrywały mu ubranie, pociemniałe twarze szaleńców pojawiały się przed nim i znikwały, gdyż coraz to inni chcieli ujrzeć swoją ofiarę. Ogłuszony krzykami Bishop walił ich na oślep, jego pięści zatapiały się w mięsiste części ciała, czasami trafiały w twardą kość. Tych, którzy się przewracali, natychmiast zastępowali inni; zaczął słabnąć, próbował czepiać się ich kaftanów, by uchronić się przed upadkiem.

Ktoś kopnął go w twarz podniesionym kolaniem, aż pociemniało mu w oczach, dopiero po chwili poczuł paralizujący ból. Osunął się na kolana i mocny cios odrzucił mu głowę na bok. Ręce ślizgały mu się po podłodze i poczuł zaciskające się wokół szyi prześcieradło. Runął na podłogę, kopany przez posiniaczone stopy.

Ciągnąc za prześcieradło, dowlekli go do drzwi.

Wysoka kobieta spojrzała na niego z góry, ponure światło z holu rzucało półcień na jej twarz; wciąż uprzejmie się uśmiechała. Leżał na plecach, wpatrując się w nią. Zarówno ona, jak i jej towarzyszka, były zachwycone jego przerażeniem. Podniosła rękę i na chwilę umilkła wrzawa, z mroku dochodziły wyłącznie sporadyczne jęki, śmiechy czy westchnienia.

Powiedziała tylko:

- Za późno, panie Bishop. Już się zaczęło.

Wtedy znowu rzucili się na niego i na wpół niosąc, na wpół ciągnąc, wlekli go do holu. Wydawało mu się, że usłyszał, jak Lynn śmieje się wraz z nimi.

Udało mu się podciągnąć pod siebie stopy i wyprostować się, wbijając obcasy w twarde, sznurkowy dywan, opierając się tłumowi, nie chcąc iść tam, gdzie chcieli go ponieść. Jęknął głośno, gdy zobaczył, co przed nim leży w korytarzu.

Ciała pracowników kliniki psychiatrycznej zostały wyrzucone z pokojów i zalegały długi korytarz po obu stronach. Niewiele bieli prześwitywało przez przesiąknięte krwią fartuchy. Z przerażeniem zobaczył, że wszyscy zamordowani byli mocno okaleczeni. Czy umarli przed...? Lepiej o tym nie myśleć.

Ciągnęli go do przodu i poczuł, że ogarnia go szal. Nie wiedział, co się z nimi wszystkimi stało, dlaczego lub w jaki sposób ich obłąkane umysły opanowała tak przerażająca furia, ale nienawidził ich za to. Wydarzenia ostatnich tygodni przekonały go, że nie byli za to odpowiedzialni - ich osłabione umysły opanowało jeszcze większe szaleństwo.. Nienawidził właśnie tego szaleństwa, ale oni byli jego armią, byli jego sprawcami. Pozwolili się wykorzystać. Nie byli już ludźmi.

Stała przed nim niska kobieta, ze złośliwie ściągniętą twarzą, gotowa wyśmiewać się z niego. Uniósłszy stopę, kopnął ją w pulchne podbrzusze, a gdy gwałtownie pochyliła głowę, natrafiła na jego błyskawicznie uniesione kolano, które zdławiło jej przesywający skrzek.

Ci, którzy go trzymali, byli przez chwilę oszołomieni; nagłe ukłucie strachu przebiło powłokę obłądu. Bishop wyswobodził jedną rękę i odwrócił się, by uderzyć szaleńca, który trzymał go za drugą. Poczul przelotną satysfakcję, gdy zaciśniętą pięścią rozgniół mu nos. Prześcieradło wokół jego szyi rozluźniło się, więc szybko ściągnął je przez głowę, odskakując jednocześnie przed napływającym na korytarz tłumem. Wrzaski nasiliły się, gdy wepchnął z powrotem w tłum mężczyznę, który trzymał go za drugą rękę. Jakies dłonie chwyciły go, próbowały wciągnąć z powrotem do środka.

Cofał się, tłukąc ich po rękach, jakby to były małe dzieci, domagające się cukierków. Niemal się potknął o wyciągnięte nogi pielęgniarza; skręcił i pobiegł w stronę schodów, zupełnie wytracony z równowagi widokiem martwego mężczyzny, który patrzył na niego, lecz zamiast oczu miał dwie głębokie, czerwone jamy. Mieszkańcy gonili go, chichocząc i potykając się o ciała tych, których już zabili.

Bishop dobiegł do schodów i oparł się o poręcz. Dwie postacie w białych, wykrochmalonych garniturach, jakie zazwyczaj nosił personel w Fairfield, wchodziły na górę. Ich twarze ukryte były w cieniu. Jedna z nich trzymała długi, żelazny pręt, którym przeciągała

ze stukotem po słupkach balustrady. Kiedy podeszły bliżej, Bishop dostrzegł w ich oczach ten sam obłąkany wyraz, jaki mieli goniący go szaleńcy. Zataczając się, zaczął wchodzić po schodach prowadzących na drugie piętro.

Czyjaś ręka zacisnęła się na kostce jego nogi, ciągnąc go w dół. Chwycił się poręczy, by nie ześlizgnąć się ze schodów. Przekręcił się, zobaczył, że to Lynn go trzyma, chichocząca, zaśliniona Lynn, jakaś nieznana mu Lynn, której podobała się ta zabawa i która chciała jego śmierci. Musiał zamknąć oczy, kiedy kopnął jej uniesioną do góry twarz.

Metalowy pręt uderzył w słupek, parę cali od zaciśniętych palców Bishopa, i z drugiej strony balustrady spojrzała szeroko uśmiechnięta twarz pielęgniarza. Tłum u podnóża schodów potykał się już o leżące ciało Lynn, gdy Bishop ciężkim krokiem wspinał się po schodach, pokonując po trzy stopnie naraz; przeraźliwy strach, że nogi odmówią mu posłuszeństwa, potęgował jego panikę. Chwycił poręcz, aby obrócić się na zakręcie schodów, tłum, który chciał go pochwycić, tratował teraz ciało Lynn. Bishop dotarł do drugiego piętra. Na korytarzu było ciemno, ale nie na tyle, by nie zauważył zbliżających się do niego białych postaci i otwierających się po obu stronach drzwi, z których wychodzili inni - niewyraźne upiory w świetle ciemności i krzyku.

Znalazł się w potrzasku.

Pozostały mu tylko drzwi po lewej stronie, które się jeszcze nie otworzyły.

Zdyszany wpadł do środka i zatrzasnął je za sobą, opierając się o nie, by nie weszli za nim. Spazmatycznie łapał powietrze. Podtrzymując ramieniem drzwi, szukał klucza w zamku. Ale klucza nie było. Nie było nawet zasuw.

Usłyszał, jak gromadzą się przed drzwiami.

Miał mokre nogi.

Wyciągnął rękę w poszukiwaniu kontaktu, nie znalazł go, ale dłonią wyczuł coś szorstkiego. Sznurek. Światło. Pociągnął. Był w łazience, białe kafelki błyszcząły czystością. Dlatego nie było klucza w drzwiach; ludziom obłąkanym nie pozwalano zamykać się w żadnym pomieszczeniu. Podłogę pokrywały kałuże, a głęboka wanna na nóżkach wypełniona była po brzegi wodą o gładkiej, spokojnej powierzchni. W rogu, tuż obok niego, stało krzesło z oparciem, z którego zwisały dwa niedbale rzucone ręczniki. Z zadowoleniem chwycił krzesło i, stawiając je pod kątem, zaklinował klamkę. To może ich powstrzyma na parę drogocennych sekund i pozwoli mu dostać się do wysokiego okna po drugiej stronie łazienki. Zauważył, że matowa szyba wzmocniona jest metalowym drutem, i modlił się, żeby mu się udało przedrzeć przez nią, gdyż był pewny, że rama została tak umocowana, aby okno nie otwierało się w normalny sposób. Chlapiąc wodą, przeszedł przez łazienkę, nie zwracając

uwagi na dochodzący z zewnątrz przeraźliwy śmiech. I gdy przechodził obok ogromnej wanny, uświadomił sobie, że przez cały czas prowadzili z nim okrutną grę, że pozwolili mu uciec na drugie piętro i zmusili, żeby wszedł właśnie do tego pomieszczenia. Chcieli, aby zobaczył, co leżało w wannie pod gładką powierzchnią wody.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zewnętrzny wygląd domu zaskoczył Pecka. Nie spodziewał się, że Jacob Kulek może mieszkać w czymś takim; nie wiedząc czemu, przypuszczał, że starszy pan będzie wołał dębowe bale, pnące się po ścianach róże, czy też coś w stylu lat trzydziestych, coś wysokiego i eleganckiego. Ale w przypadku takich ludzi trudno coś przewidzieć, w większości mają lekkiego bzika. Wydaje się być całkowicie zrównoważony, dopóki nie zacznie się słuchać, o czym mówi.

- Kawał chałupy, co, szefie? - powiedział inspektor Frank Roper, gdy Peck przyciskał dzwonek. - Tylko szkło i chrom. Nie chciałbym myć u nich okien.

Peck chrząknął, oderwał się od swoich myśli. Teraz zastanawiał się, dlaczego Kulek nalegał na spotkanie z nim o tak późnej porze. Szaleństwo poprzedniej nocy ciążyło - mówiąc najogólniej - wszystkim; co, do diabła, ma począć z przypadkami masowych morderstw, popełnianych przez tłumy morderców? I jakie było powiązanie między wydarzeniami na boisku piłkarskim a Willow Road? Czy też, mówiąc dokładniej, domem, który tam kiedyś stał: Beechwood. Ponieważ teraz istniał określony związek. Gdyby Kulek nie zaprosił go na spotkanie, wtedy Peck na pewno nie zwlekałby z przesłuchaniem starszego pana. Chyba był jedyną osobą, która mogła naprowadzić policję na jakiś trop.

Drzwi uchyliły się i spojrzała na niego blada i niespokojna twarz Jessiki Kulek.

- Proszę wejść - powiedziała, otwierając szeroko drzwi.

- Przykro mi, że się trochę spóźniliśmy - przeprosił Peck. - Jak się pani domyśla, mieliśmy dzisiaj urwanie głowy.

- Właśnie dlatego ojciec chciał zobaczyć się z panem, inspektorze. Chodzi o to, co się wydarzyło ostatniej nocy.

- Ma pani zamiar powiedzieć mi, że istnieje powiązanie. I będzie pani miała rację. Jessica ze zdziwieniem uniosła brwi.

- Pan też tak uważa?

- Powiedzmy, że przyjmuję taką ewentualność.

Kulek czekał na nich w dużym salonie w kształcie litery L, który, podobnie jak dom, był nowoczesnie zaprojektowany, chociaż meble wydawały się stare - prawdopodobnie były

to antyki; dziwne, ale to połączenie dawało doskonały efekt. Peck zauważył, że wszystko ustawione było w liniach prostych lub pod kątem prostym do siebie i zrozumiał, że niewidomy nie chciałby, żeby pojedyncze meble były rozrzucone po pokoju. Story były na noc opuszczone.

- Dobrze, że pan przyszedł, inspektorze - powiedział Kulek.

Stał obok fotela, z ręką na jego oparciu, i Peck nie był pewien, czy szukał podpory czy chciał się jedynie zorientować, gdzie się znajduje. Wyglądał starzej niż wtedy, gdy policjant widział go po raz pierwszy, ale zdecydowanie lepiej niż dwa dni temu, w szpitalu. Jego wysuszona skóra przybrała bladożółty odcień i jeszcze bardziej przygarbiły mu się plecy. Jedwabny szalik, wystający znad kołnierzyka koszuli, zakrywał posiniaczoną szyję.

- Inspektora Ropera już pan spotkał - powiedział Peck, nie patrząc na kolegę.

- Tak, rzeczywiście. A to jest Edith Metlock. Medium uśmiechnęło się przelotnie do dwóch policjantów.

- Proszę usiąść. Napiją się panowie? Może czegoś mocniejszego niż kawa czy herbata?

- Ciemne Peck rozsiadł się na kanapie, a Roper wybrał niewygodne krzesło z twardym oparciem.

- Dla mnie whisky z odrobiną wody - poprosił Peck. - Przypuszczam, że inspektor Roper napije się tego samego.

Roper potwierdził kiwnięciem głowy i Jessica przy barku zajęła się przygotowywaniem drinków.

- Wydawało mi się, że pan mówił, iż Chris Bishop będzie tu dziś wieczorem - powiedział Peck. Kulek usiadł w fotelu, przy którym dotąd stał.

- Córka przez ostatnie pół godziny próbowała się z nim skontaktować. Musiał wyjść z domu. Jessica podeszła z drinkami.

- Chris mógł zdecydować, że i tak przyjedzie. Powiedziałam mu, że do niego zadzwonię, gdy tylko uzgodnimy godzinę spotkania z panami. Ale trudno było dzisiaj panów złapać...

- Cóż, możemy szybko ustalić, gdzie się znajduje. Przez cały dzień pilnuje go dwóch ludzi. Frank, poproś Dave'a, żeby się z nimi połączył przez radio, dobrze?

Roper postawił szklanekę na grubym, czerwonym dywanie i wyszedł z pokoju.

- Jessica powiedziała mi, że ktoś obserwuje dom z zaparkowanego w pobliżu samochodu - oznajmił Kulek.

- Dla pańskiego bezpieczeństwa, sir. Była jedna próba, nie ma sensu ryzykować następnej.

Po oświadczeniu Pecka zapadła kłopotliwa cisza, aż w końcu detektyw chrząknął i powiedział:

- Pierwsza rzecz, którą chciałem zrobić tego ranka, to spotkać się z panem, panie Kulek. Myślę, że mamy masę spraw do omówienia.

- Tak, inspektorze, to prawda. Ale wszystkie fakty, dotyczące Beechwood i Borisa Pryszłaka, podałem panu przy naszym pierwszym spotkaniu. Dzisiaj chciałbym omówić z panem pewną teorię.

- Interesują mnie wszelkie teorie. Pod warunkiem że mają ręce i nogi.

- Tego nie mogę panu obiecać. To, co dla mnie jest logiczne, panu może się wydać irracjonalne.

- Chętnie posłucham.

Peck zwrócił się do Edith Metlock.

- Pani Metlock, jeden z moich wywiadowców rozmawiał z panią, po tym jak znaleziono w Beechwood tę obłąkaną kobietę. Brała tam pani udział w seansie.

- To nie był seans, inspektorze - powiedziało medium. - W każdym razie nie zaplanowaliśmy go.

- Powiedziała pani, że nie miała żadnych wizji czy halucynacji, wszystko jedno jak to nazwiemy, w przeciwieństwie do Bishopa.

- Nie. Jako medium rzadko widzę lub pamiętam takie rzeczy. Świat ducha traktuje moje ciało jak odbiornik. Przeze mnie mówią do innych.

- I myśli pani, że to właśnie stało się w Beechwood? Duchy Pryszłaka i jego ludzi rozmawiały z Chrisem Bishopem? Tylko on jeden je widział, prawda?

Peck poruszył się niespokojnie, zadowolony, że Roper wyszedł z pokoju i nie mógł słyszeć jego pytań.

- Nie mówiły do niego - odpowiedziała Edith. - Pokazano mu, co się tam stało.

- Dlaczego nie panu, panie Kulek. Albo pańskiej córce. Jessice?

- Nie wierny - odpowiedział starszy pan. - Prawdopodobnie dlatego, że to Chris znalazł wtedy ich ciała. Może Pryszlak ukazując mu prawdziwy przebieg wydarzeń zadrwił sobie z mego.

- Pryszlak nie żyje.

Tym razem nie było odpowiedzi.

- Może być jeszcze inne, bardziej racjonalne wytłumaczenie - powiedział w końcu Peck. - Bishop prawie przez rok nie mógł sobie przypomnieć tego, na co się natknął w Beechwood. Może, gdy znalazł się znowu w tym domu, pod wpływem szoku odtworzył sobie to wszystko.

- Ale on znalazł ich wtedy, kiedy wszyscy już nie żyli - wtrąciła Jessica. - A tamtego dnia zobaczył, jak zabijali się nawzajem i popełniali samobójstwa.

- Tylko od niego wiemy, że tamci już nie żyli. Jessica spojrzała na ojca, który spytał:

- Czyż nie było świadka, który widział, jak wchodził do tego domu? Kobiety z dzieckiem, przechodzącej właśnie w tym czasie?

- Tak, czytałem protokół. Ale skąd możemy mieć pewność, iż wcześniej nie był w tym domu, że nie było go tam wtedy, kiedy miały miejsce samobójstwa i egzekucje? Z tego, co wiem o tym Bishopie, wynika, że on wierzy w bardziej naukowe podejście do zjawisk nadprzyrodzonych. Czy nie wspominał pan, że Boris Pryszlak także w naukowy sposób podchodził do tych zagadnień?

- Tak, ale... Peck mówił dalej:

- Widzi pan, może być tak, że nasz pan Bishop sam należy do sekty Pryszłaka. Może jako jej członek miał stać z boku i kontynuować te ich fanatyczne przedsięwzięcia, w które byli uwikłani.

- To nonsens! - twarz Jessiki oblała się rumieńcem. - Chrisa także zaatakowano dwa dni temu.

- To on tak twierdzi.

Kulek odezwał się spokojnym głosem:

- Sądzę, że się pan myli, inspektorze. Niewidzącym wzrokiem popatrzył na córkę i Edith Metlock.

- Wszyscy sądzą, że się pan myli.

- Mam także wrażenie, że nie całkowicie aprobował pańskie badania w Beechwood.

- To prawda - przyznała Jessica - ale tylko na początku. Teraz zmienił zdanie, stara się nam pomóc.

- Czyżby? - głos Pecka był matowy.

Roper wrócił do pokoju i znów usiadł na krześle, z nie ukrywaną przyjemnością podnosząc z podłogi szklaneczkę whisky. Zanim się napił, zerknął na Pecka.

- Bishop wyszedł zaraz po ósmej. Nasi ludzie pojechali za nim do miejsca w pobliżu Twickenham, ee, Fairview... nie, Fairfield, sanatorium w Fairfield.

- To pewnie jest ten dom, w którym pacjentką jest jego żona - wtrąciła Jessica.

- Klinika psychiatryczna?

Kiwnęła głową; nie mogła odgadnąć, co oznacza wyraz twarzy Pecka.

- Połącz się z nim jeszcze raz, Frank. Powiedz, żeby przywieźli tu Bishopa, myślę, że przyda się na naszym małym zebraniu.

- Teraz?

Usta Ropera znieruchomiały na brzegu szklanki.

- Natychmiast.

Policjant odstawił szklankę i znowu wyszedł z pokoju. Peck pociągnął łyk whisky z wodą i spojrzął znad oprawki okularów na Jacoba Kuleka.

- A zatem, sir, chciał pan omówić jakąś koncepcję.

Niewidomy mężczyzna wciąż myślał o Bishopie. Nie, to było niemożliwe. Chris Bishop był dobrym człowiekiem, co do tego miał pewność. Skomplikowany. Gniewny. Ale nie w stylu Prysłaka. W końcu Jessica polubiła Bishopa, a była najlepszym sędzią ludzkich charakterów, jakiego znał." Czasami uważał, że była zbyt wymagająca, zbyt krytyczna... Ci nieliczni mężczyźni w jej życiu nigdy nie sprostali jej oczekiwaniom.

- Panie Kulek - w głosie Pecka zabrzmiała nutka zniecierpliwienia.

- Przepraszam, inspektorze, zamyśliłem się.

- Ma pan jakąś teorię - zagadnął Peck. Wydawało mu się, że oczy Kuleka prześwidrowują go na wylot i mógłby przysiąc, że czuje, jak badają jego umysł.

- Trudno mi ją przedstawić, inspektorze. Pan jest człowiekiem praktycznym, stojącym mocno na ziemi, nie wierzącym w duchy. Ale myślę, że jest pan bardzo dobry w swojej pracy i dlatego zapewne ma pan trochę wyobraźni.

- Dziękuję - skwitował oschle Peck.

- Może zacznę od opowiedzenia panu o dziwnym przeżyciu, jakie dwa dni temu miała Edith. A może sama panu o tym opowiesz? - zwrócił się do medium.

- Jako osoba wrażliwa na wpływy psychiczne - medium, spirytystka, te określenia pewnie są panu lepiej znane, inspektorze - jako osoba wrażliwa jestem bardziej podatna na oddziaływanie sił spoza naszego codziennego życia. Sił ze świata, do którego nie należymy.

- Świata ducha.

- Jeśli można to tak nazwać. Nie jestem już pewna. Możemy mieć błędne pojęcie o tym, co uważamy za „świat ducha”. Niektórzy z moich kolegów po fachu zaczynają mieć te same wątpliwości.

- Chce pani powiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak te... duchy?



Roper powrócił do pokoju i ogłupiały spojrzał na Pecka. Kiwnął głową przełożonemu, by pokazać, że jego polecenie zostało wykonane, następnie usiadł na swoim miejscu i sięgnął po szklanę, stojącą u jego stóp.

- Prawdopodobnie nie, przynajmniej w takich kategoriach, w jakich je zawsze rozpatrywaliśmy - odpowiedziało medium - zawsze myśleliśmy o nich jak o odosobnionych zjawiskach, istniejących w innym, niepodobnym do naszego, ale lepszym świecie. Bliżej Boga, jeśli pan woli.

- I to wszystko jest nieprawdą?

- Tego nie powiedziałam. - W jej głosie zabrzmiała nuta irytacji. - My po prostu nie wiemy. Mamy wątpliwości. Może ten świat ducha nie jest oddalony od naszego aż tak bardzo, jak nam się wydawało. I może nie ma w nim poszczególnych zjaw, ale istnieje jako całość. Jako siła.

Peck zmarszczył brwi, Roper łyknął głośno drinka.

- Inspektorze, spróbuję to panu później wyjaśnić - przerwał Kulek. - Myślę, że Edith powinna po prostu opowiedzieć, co jej się przydarzyło dwie noce temu.

Peck przytaknął kiwnięciem głowy.

- Mieszkam sama w małym domku w Woodford - zaczęła Edith. - We wtorek wieczorem, było już późno, gdzieś między dziesiątą a jedenastą, słuchałam radia. Wie pan, lubię te programy „Zadzwoń do nas”. Czasami dobrze jest posłuchać, co zwykli ludzie myślą o kondycji tego świata. Ale odbiornik ogromnie trzeszczał, jakby ktoś w pobliżu obsługiwał maszynę bez tłumika. Próbowałam manipulować gałkami, lecz zakłócenia stale powracały. Najpierw na krótko, później trwały coraz dłużej. W końcu słychać było tylko przeciągłe buczenie, więc wyłączyłam radio. I właśnie wtedy, siedząc tam w ciszy, zauważyłam zmianę w otoczeniu. Przypuszczam, że moją uwagę zbyt szybko absorbowwały zakłócenia w tym diabelnym radiu, bym mogła zauważyć to wcześniej. Nie było w tym nic niepokojącego - często w przeszłości przybywali do mnie bez zapowiedzi. Usiadłam więc w fotelu, by mnie przeniknęli. Wystarczyło mi parę sekund, aby uświadomić sobie, że to było coś przykrego.

- Chwileczkę - przerwał jej Peck. - Przed chwilą mówiła pani, że nie ma pewności, czy istnieje coś takiego jak duchy.

- W stereotypowym podejściu do nich, inspektorze. To nie oznacza, że coś odmiennego od tego co widzimy i czujemy, nie istnieje. Nie można zignorować niewiarygodnej liczby przeżyć psychicznych, które zostały odnotowane. Muszę podkreślić, że w tej chwili nie jestem pewna, co przemawiało przez moją osobę.

- Proszę mówić dalej.

- Czułam, że mój dom jest otoczony hmm...hmm... - szukała właściwego słowa - czarnym całunem. Tak jakby ciemności wokół domu zakrywała okna. Część jej jest już w moim umyśle, czekając, aby mnie pochłonię. Lecz musiałaby zdusić mnie i nie wiem co ją powstrzymało.

Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, pomyślał Peck. Osobiście nie znał żadnej samotnie mieszkającej kobiety, która nie bałaby się ciemności. Mnóstwo mężczyzn też się jej boi, chociaż nie przyznają się do tego.

- Poczulałam się tak, jakby napięcie opuściło mnie - powiedziała Edith i z wyrazu jej twarzy Peck odgadł, że przeżywa to wszystko na nowo. - Ale to wciąż było na zewnątrz... czekało. Musiałam przeciwstawić się temu siłą mojego umysłu, oprzeć się pragnieniu, by przepłynęło przeze mnie. To było tak, jakby coś chciało mnie wchłonię.

Zadrzała i Peck poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach.

- Musiałam wpaść w trans, nic więcej nie pamiętam. Z wyjątkiem głosów. Wołały mnie. Wyśmiewały się ze mnie. Ale także kusiły mnie.

- Co mówiły te głosy? Pamięta pani?

- Nie. Nie pamiętam słów. Ale czułam, że chciały, abym zgasiła światła. W jakiś sposób, jakaś cząstka we mnie wiedziała, że jeśli to zrobię, to przegram z nimi. Myślę, że w końcu uciekłam w siebie, zamknęłam się w jakimś niedostępnym dla nich zakamarku umysłu.

Muszę spróbować tej sztuczki, gdy komisarz spyta, co udało mi się do tej pory ustalić, pomyślał Peck, powstrzymując znużony uśmiech.

Wyczuli jego cynizm, ale przyjęli go ze zrozumieniem.

- Edith była w tym stanie, gdy ją z Chrisem znaleźliśmy - powiedziała Jessica. - Kiedy tamtego wieczoru wyszliśmy od pana, inspektorze, nagle przestraszyliśmy się, że coś może się jej przydarzyć. Napadnięto na Chrisa, mojego ojca i pannę Kirkhope; zapomnieliśmy o Edith.

- I co państwo znaleźli w domu pani Metlock? Z wyjątkiem szanownej gospodyni.

- Nic nie znaleźliśmy. Wyczuliśmy jakiś dziwny nastrój. Ciężką, przygnębiającą atmosferę. Bałam się. Peck westchnął ciężko.

- Czy to naprawdę dokądś nas zaprowadzi, panie Kulek?

- To może panu pomóc zrozumieć moją... teorię.

- Może do niej przejdziemy.

Niewidomy mężczyzna uśmiechał się cierpliwie.

- Proszę mi uwierzyć, rozumiemy, jak trudne jest to dla pana. Nie możemy przedstawić niezbitych dowodów ani podać jednoznacznych faktów. Jednak nie wolno panu

traktować nas jak obłąkanych. Uważam za konieczne, by pan rozważył wszystko, co panu powiemy.

- Próbuję, panie Kulek. Na razie niewiele mi powiedzieliście.

Kulek przytaknął skinieniem głowy.

- Moja córka i Chris Bishop przywieźli tutaj Edith; sądzili, że tak będzie dla niej bezpieczniej. Jak pan wie, byłem w szpitalu, ale wróciłem do domu tego samego dnia, tylko trochę później. A Edith dopiero wczoraj wieczorem zaczęła mówić o tym, co się wydarzyło. Wie pan, gdy ją znaleźli, była w stanie potężnego szoku i potrzebowała trochę czasu, aby z niego wyjść. Jedyne słowa, jakie wtedy wypowiadała, brzmiały: „Trzymajcie się z dala od ciemności”. Wydaje się, że ciemność w jakiś sposób symbolizowała wszystko to, czego się bała. Jestem pewien, iż nie umknął pana uwadze fakt, że wszystko, co się ostatnio wydarzyło przy Willow Road, miało miejsce nocą.

- A kobieta, która zaatakowała pana w Beechwood? Wtedy był dzień.

- Zabiła swego pracodawcę poprzedniej nocy. Myślę, że wtedy dotknął ją obłąd. Proszę pamiętać, że ukrywała się w piwnicy w Beechwood; w ciemności.

- A morderstwo Agnes Kirkhope i jej gospodyni? A kolejna próba zamachu na pana życie? A rzekomy atak na Bishopa? To wszystko wydarzyło się w ciągu dnia.

- Moim zdaniem sprawcami tego byli zwolennicy Borisa Prysłaka. Cierpią na inny rodzaj obłąd. Myślę, że oni są strażą, pozostawioną przez niego, przeznaczoną do wykonania pewnych zadań. Ochroną, jeśli pan woli.

- Dlaczego potrzebowałby ochrony, jeśli nie żyje?

- To nie jego mają osłaniać. Pozostawiono ich, aby strzegli planu Prysłaka. Coś w rodzaju realnej siły dla ochrony jego pozaziemskej siły.

Peck i Roper wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Czy mógłby pan wyjaśnić, co pan rozumie przez „pozaziemską siłę”?

- Siłę nie mającą nic wspólnego z tym światem, inspektorze.

- Rozumiem. Kulek uśmiechnął się.

- Proszę o cierpliwość, może gdy dojdziemy do końca, odnajdzie pan w tym jakiś sens.

Peck też miał taką nadzieję, ale nie postawiłby na to nawet funta.

- Kiedy parę lat temu Boris Prysłak przyszedł, aby namówić mnie na współpracę, powiedział mi, że nie wierzy w istnienie Boga. Dla niego nauka, a nie religia, była kluczem do zbawienia ludzkości. Choroby i nędzę pokonano techniką, nie modlitwą. Postęp ekonomiczny i społeczny dokonał się dzięki nauce. Decyzja o stworzeniu nowego życia

należy teraz do nas; pewnego dnia będziemy nawet decydowali, jaka ma być pleć noworodka. A sama śmierć, jeśli nie uda się jej wyeliminować, to przynajmniej można będzie opóźnić jej nadejście. Nasze przesady, nasze uprzedzenia i nasze obawy będą stale się zmniejszały w obliczu nowych odkryć nauki. Wojny światowe zostaną faktycznie wykorzenione, nie za sprawą Interwencji Boskiej, ale dlatego, że sami stworzymy broń zbyt przerażającą, aby jej użyć. Stare granice zostaną zniszczone, nowe - starte na proch dzięki ponoć stów soi ludzi, a nie jakiejś wyższej istoty, będącej w niebie.

Pryszlak uważał, że pewnego dnia nauka odkryje w jaki sposób powstaje myśl ludzka, a co za tym idzie również to, że człowiek nie został stworzony, przez coś mistycznego, lecz przez samego siebie, i dzięki temu udowodnimy, że nie ma Boga.

Kulek mówił cicho i spokojnie, ale kryło się w jego słowach szaleństwo.

Niewidomy mówił dalej.

- Jeżeli zatem nie ma Boga, nie może być Diabła. Ale jako pragmatyk, Pryszlak nie mógł zaprzeczyć istnieniu zła.

- Przez wieki religijni przywódcy wykorzystywali zabobony i ciemnotę swych wiernych. Kościół zawsze domagał się uznania Szatana: to pomagało udowodnić istnienie Boga. Freud połączył poglądy Kościoła i demonologów, twierdząc, że każdy z nas przeszedł fazę rozwoju indywidualnego, odpowiadającą animistycznej fazie rozwoju człowieka prymitywnego, i że każdy z nas zachował jakieś szczególne ślady, które mogą być reaktywowane. Wszystko, co teraz nas uderza jako „tajemnicze”, jest pozostałością tkwiącej w nas animistycznej aktywności umysłowej.

- Mówi pan, że gdzieś tutaj - Peck popukał się w czoło - żyje cząstka nas samych, która w dalszym ciągu chce wierzyć w cały ten nonsens istnienia „złych duchów”.

- To mówił Freud i uważam, że pod wieloma względami miał rację. W tysiącach przypadków, w których kościelni egzorcyci próbowali wypędzić diabła z nawiedzonych ciał mężczyzn i kobiet, badania przeprowadzone w sposób naukowy wykazały u tych samych ludzi rozmaite psychozy. Tacy filozofowie jak Schopenhauer byli zwolennikami teorii, że zło bierze się z lęku człowieka przed śmiercią, z obawy przed nieznanym. To ludzka chęć przetrwania przyniosła konflikt światu i samemu człowiekowi. Ale jego własna nikczemność jeszcze obwinia za to coś - kogoś; Szatan stał się idealnym psychologicznym kozłem ofiarnym. Z tej samej przyczyny - z powodu nieszczęść, które spotykają człowieka w ciągu całego życia, z powodu swoich ułomności potrzebował on boga, zwierzchnika, kogoś, kto będzie się nim opiekował, kogoś, kto w końcu da mu odpowiedź. Kogoś, kto pomoże przejść przez życie.

Na nieszczęście dla Kościoła nastał wiek racjonalizmu. Można powiedzieć, że nauka stała się największym wrogiem religii. Ostrza stepły się, pojawiły się pytania. Jak w imię prawa można popełniać okrucieństwa? Wojny, masowe zbrodnie, egzekucje - jak złem można czynić „dobro”?

Jak ludzie, o których cały świat wiedział, że byli źli, mogli twierdzić, że Bóg jest po ich stronie? Czy cywilizowany naród rozpętałby jeszcze raz wojnę religijną? Pod koniec lat siedemdziesiątych kto przysporzył więcej zła, dyktator, szach Iranu czy religijny fanatyk ajatollah Chomeini, który go obalił? Idi Amin głosił, że wiele razy rozmawiał z Bogiem. Hitler twierdził, że Bóg jest po jego stronie. Kościół przez stulecia prześladował tak zwanych heretyków i do dziś nie poniósł za to odpowiedzialności. Tej dychotomii rzucono wyzwanie, które Pryszlak zrozumiał jako poznanie przez człowieka własnych zdolności, stanowienie o swoim losie. Wynałazł własny Grzech Pierworodny i postanowił, że nie będzie to zło, tak jak zawsze uczył Kościół. Szatan stał się źródłem kpin, szyderstwa, a nawet rozrywki. Komicznym mitem. Straszylem. A zło pochodziło wyłącznie od człowieka.

Pryszlak wierzył, że w naszym mózgu istnieje pole energii i kiedy nauczymy się wykorzystywać nasze możliwości - energie takie jak telekinetyczna, postrzeganie pozazmysłowe, telepatia, automatyzm - będziemy umieli spożytkować fizycznie tę inną siłę.

Kulek przerwał, jakby chciał, żeby policjanci mogli nadażyć za jego tokiem rozumowania.

- Myślę, że Pryszlak rozwinął swoją koncepcję i udowodnił ją: umiejscowił to źródło energii i wykorzystał je. Przypuszczam, że teraz je wykorzystuje.

- To niemożliwe - powiedział Peck.

- Wiele rzeczy z pańskiego życia, które kiedyś wydawały się niemożliwe, można wytłumaczyć naukowo. W zawrotnym tempie rozwija się wiedza w każdej dziedzinie nauki. W ciągu ostatnich stu lat człowiek dokonał więcej niż w przeciągu poprzedniego tysiąclecia.

- Ale, na litość boską, Pryszlak nie żyje.

- Myślę, że musiał umrzeć, inspektorze. Według mnie Pryszlak i jego zwolennicy stali się tą energią. Peck pokręcił głową.

- Przykro mi, ale wie pan, że nie mogę tego zaakceptować.

Kulek przytaknął.

- Spodziewałem się tego. Chciałem, aby usłyszał pan teorię, która w moim przekonaniu jest prawdziwa. W ciągu najbliższych tygodni może mieć pan powód do zastanowienia się nad nią.

- Co pan ma na myśli?

- Szaleństwo będzie się nasilało, inspektorze. Rozszerzy się jak epidemia. Każdej nocy będzie przybywało tych, którzy ulegną jego wpływowi, a im więcej ludzi dotknie, tym większa będzie jego siła. To będzie tak jak z kroplą deszczu na szybie: jedna mała kropelka spływa do drugiej małej kropli, później obie spływają do następnej, są coraz większe, potężniejsze, aż w końcu tworzą rwący strumień.

- Dlaczego nocą? Dlaczego twierdzi pan, że to wszystko zdarza się tylko wtedy, gdy jest ciemno?

- Nie jestem pewien, dlaczego tak się dzieje. Ale jeśli przeczyta pan Biblię, zrozumie pan, że zło zawsze wiąże się z ciemnością. Prawdopodobnie ta terminologia ma większe znaczenie, niż nam się wydaje. Śmierć jest ciemnością. Piekło jest w czarnych, przerażających zaświatach. Diabeł zawsze był znany jako książę Ciemności. A czy zła nie określa się jako ciemności duszy?

Może być tak, że ciemność jest fizycznym sprzymierzeńcem przejawów tej energii. Pewnie biblijna koncepcja ciągłej walki Światłości i Ciemności jest prawdziwą koncepcją naukową. Prawdopodobnie energia promieni świetlnych, pochodzących zarówno ze źródła naturalnego jak i sztucznego, neutralizuje lub niszczy katalityczne cechy ciemności.

Pryszlak wyciągnął podobne wnioski podczas naszego ostatniego spotkania i muszę przyznać, że choć często fascynowały mnie jego pomysły, wtedy doszedłem do wniosku, że jest pewne szaleństwo w sposobie jego rozumowania. Teraz nie jestem już tego pewien.

Kulek niedostrzegalnie rozprężył się w fotelu i Peck zrozumiał, iż niepokojąca wypowiedź niewidomego człowieka dobiegła końca. Przyjrzał się każdej z osób siedzących w pokoju i zauważył, że zniknął nawet drwiący uśmiešek z twarzy Ropera.

- Zdaje pan sobie sprawę, że wszystko, co właśnie pan mi powiedział, jest absolutnie nieprzydatne w śledztwie, które prowadzę - oznajmił bez ogródek Kulekowi.

- Tak, w tym momencie. Sądzę, że wkrótce zmieni pan zdanie.

- Ponieważ coś jeszcze się wydarzy?

- Tak.

- Ale nawet jeżeli to, co pan powiedział jest prawdą, o co chodziłoby Pryszlakowi?

Kulek wzruszył ramionami, potem powiedział:

- O władzę, większą niż wtedy, kiedy żył. O liczniejsze grono wyznawców, których będzie stale przybywać.

- Chce pan powiedzieć, że on ciągle werbuje nowych?

Kulek zdziwił się, że pytanie Pecka pozbawione było sarkazmu. W ogóle był zaskoczony, że policjant tak cierpliwie go słuchał.

- Tak, inni dołączą do niego. Wielu innych. Peck i Roper wymienili ostre spojrzenia, co nie uszło uwagi Jessiki.

- Czy jest coś, o czym pan nam nie powiedział, inspektorze? - spytała.

Peck rozejrzał się z zakłopotaniem.

- Tłum, który wpadł w szal ostatniej nocy - to znacz) ci, którzy się wydostali - rozproszył się po okolicy. Szukaliśmy ich przez cały dzień. Wielu już nie żyło, kiedy ich znaleźliśmy, w większości zabili się własnymi rękami. Innych znaleźliśmy... obojętnych na wszystko, błądzących bez celu.

Zasepił się, jakby nic podobało mu się to, co miał za chwilę powiedzieć.

- Wielu z nich od razu poszło na Willow Road Rozwalili barierki otaczające posiadłość Beechwood. Znaleźliśmy ich, stojących na rumowisku, czekających jak cholerne szakale.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Bishop patrzył na nieruchome ciało leżące w wannie. Wytrzeszczonymi oczami wpatrywała się w niego biała, wykrzywiona twarz.

W ciągu kilku minionych lat wielokrotnie rozmawiał z Crouchleyem. Ich dyskusje dotyczyły wyłącznie stanu zdrowia Lynn - jego poprawy czy też, jak się później okazało, pogarszania się - i prowadzone były wyłącznie na gruncie zawodowym. Nie mógł nawet powiedzieć, czy kiedykolwiek lubił tego mężczyznę, jego podejście do ludzi było, zdaniem Bishopa, trochę za bardzo bezosobowe, ale cenił go jako lekarza i szybko zrozumiał, że poświęcenie tego człowieka dla pacjentów przekraczało jego obowiązki zawodowe. A w końcu zwrócili się przeciwko niemu.

Czy te dwie kobiety, które wpuściły Bishopa, były pacjentkami? Chyba nie. Wydawało mu się, że nie kieruje nimi obłąd. Czy były narzędziami Pyszlaka, tak jak Braverman i jego żona? Możliwe. Opanowały dom, robiąc z pacjentów swoich sprzymierzeńców i mordując tych członków personelu, którzy nie poddali się temu nowemu, śmiertelnemu szaleństwu. Później zmusiły Crouchleya, aby do niego zadzwonił. Potem przyciągnęły go tu i utopiły.

Crouchley miał otwarte usta, ostatnie pęcherzyki życiodajnego powietrza wydobyły się z jego płuc, przebijając się na powierzchnię. Jego jasne włosy wyglądały pod wodą jak wodorosty. Chociaż już nie żył, na jego twarzy wciąż malował się strach.

Łomotali teraz w drzwi, śmiejąc się i wykrzykując jego imię, urągając mu, że boi się wyjść. Małe, wzmocnione drutem okno było na poziomie jego twarzy i zobaczył, tak jak się

spodziewał, że rama była umocowana w ścianie. Zrozpaczony rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby je rozwalić, ale w łazience nie było żadnych sprzętów. Mógłby użyć krzesła, lecz tylko ono blokowało drogę napastnikom. Coraz mocniej walono w drzwi i rytm uderzeń stał się bardziej stanowczy, tak jakby tłum cofnął się i dopuścił kogoś, kto kopał w nie, usiłując je wyważyć. Zadrżało pochylone krzesło.

Ożyła w nim nikła nadzieja, kiedy zobaczył zawieszony nad kaloryferem wieszak na ręczniki. Wykonany z chromu i dostatecznie ciężki, by przyniósł pożądany efekt, gdy się go odczepi. Zawieszony na nim duży ręcznik ześlizgnął się na podłogę, kiedy podniósł wieszak na wysokość ramienia. Trzymając jedną rękę za trójkątnym hakiem, drugą - ściskając długą metalową rurkę, Bishop, ślizgając się w kałużach wody, podbiegł do okna i uderzył wieszakiem w matowe szkło.

Ukazała się postrzępiona dziura; szkło pękło, ale wciąż trzymał je wzmacniający drut. Bishop wyciągnął wieszak i pchnął nim jeszcze raz. Drut trzymał nadal.

Krzesło zatrzęsło się.

Pchnął raz jeszcze.

Nogi krzesła przesunęły się.

I jeszcze raz.

Znowu drgnęły.

Tym razem hak, umocowany na końcu wieszaka, zaplątał się w drucianą siatkę i Bishop pociągnął go do siebie, kręcąc hakiem, by zaplątać go mocniej, wciągając w głąb łazienki drut z przyczepionymi doń odłamkami szkła, napinając go, aż trzasnął; puścił wieszak, by wepchnąć palce w małe dziury, nie zwracając przy tym uwagi na ostry ból, jaki sprawiał mu wrzynający się w ciało drut, szarpiąc jak oszalały, słysząc skrzypienie krzesła na wilgotnej podłodze łazienki, czując na twarzy powiew chłodnego, nocnego powietrza wpadającego przez otwór, który - w miarę jak szkło i drut puszczały - stawał się coraz szerszy, czując coraz - silniejszy przeciąg, który wzmógł się jeszcze, gdy otworzyły się drzwi z tyłu, wyszarpując i wykręcając drut i szkło, widząc, że ma dość miejsca, by się precyzyjnie.

...poczuł ręce na ramionach...

Szarпали pazurami jego ciało, wlokąc go po podłodze, ich wrzaski dźwięczały mu w głowie, odbijając się od wyłożonych kafelkami ścian. Kopął na oślep, jego krzyki łączyły się z ich wrzaskami. Zwalili się na niego, przygniatając mu nogi swoimi nogami. Czyjaś ręka sięgnęła do jego otwartych ust, próbując wyrwać mu z gardła język. Ugryzł mocno, zdążył poczuć smak krwi, zanim grzebiące palce nie uwolniły się w popłochu. Krzyknął, gdy rozdzierający ból przeszył mu pachwinę, a dłonie szaleńca zamknęły się w bezlitosnym



uścisku. Rozerwano mu koszulę i ostre paznokcie szarpały jego pierś, rozdrapując skórę i złościąc krwawe, postrzępione rowki.

Trzymali go za nadgarstki. Nawet w tym zamieszaniu czuł, że ktoś wykręca mu palce jednej ręki, usiłując złapać je zębami. Zanim im się to udało, uniesiono jego wijące się ciało, trzymając je mocno. Otaczały go dzikie, obłąkane twarze, ujrzał w przelocie stojące w drzwiach dwie kobiety: wysoką i niską. Ich uśmiechy nie były groźne, tylko miłe.

Wygiął się w łuk. Okrągłe światło u sufitu jak ogromne słońce wypełniało pole jego widzenia niemal go oślepiając. Poraził go strach, gdy rzucili go na dół i woda pochłonęła jego ciało. Krztusił się, gdy wypełniała kanały nosa i gardła, wypychając powietrze w ogromnych, wybuchających bańkach. Padające z góry światło załamywało się w szalone wzory, kiedy burzyła się poruszana gwałtownie powierzchnia wody, i zobaczył niewyraźne sylwetki tych, którzy pochylali się nad wanną i przyciskali go do dołu. Pod nim poruszało się ciało martwego mężczyzny.

Niedorzeczna myśl, że Crouchley zaczyna nagle wracać do życia, przeraziła go jeszcze bardziej, mimo iż resztki rozsądku, które w nim pozostały, mówiły mu, że to tylko wzburzona woda porusza ciałem. Dźwignął się, pokonując opór przytrzymujących go rąk, siłą wypychając głowę na powierzchnię. Kaszląc, wypluł z płuc wodę, powstrzymując jednocześnie wymioty i gwałtownie łapiąc powietrze. Chwycili go za głowę i znów cisnęli do dołu, ręce szarpały go za nogi, aby wciągnąć go na dno. Woda zalała mu twarz, zakrywając brodę, oczy, nos. Znow znalazł się pod jej powierzchnią, świat nagle ucichł, krzyki dźwięczały tylko w jego wyobraźni. Jego ręce wyciągnęły się do góry, na brzeg wanny, i ostry ból uzmysłowił mu, że ktoś w nie wali. Szybko zabrał je ze śliskiej, emaliowanej powierzchni. Zamajaczył nad nim cień i poczuł na piersi przygniatający ciężar. Nagle inny ciężar przycisnął jego biodra do leżącego pod nim ciała. Stali na nim.

Tracił oddech, ciężar na piersi wypychał mu z płuc powietrze. Zamknął oczy i ciemność przybrała czerwoną barwę. Jego wargi były mocno zaciśnięte, ale bąbelki powietrza stale znajdowały ujście. Podobnie jak ciało, tonął jego umysł i czuł, że spada pionowo w dół. Nie było już czerwieni, tylko głęboka, wciągająca go ciemność, i przeżywał teraz swój powtarzający się, koszmarny sen. Jego ciało zapadało się w głębinie, małe, białe plamki, które znał, były twarzami oczekujących go na dole. Chciał go Pyszlak. Ale Pyszlak nie żył. Mimo to Pyszlak chciał go.

Teraz znajdował się prawie dwa metry pod powierzchnią oceanu, jego ciało było nieruchome, już przestało się szarpać, pogodzone ze śmiercią. Ostatnia srebrzysta perła powietrza wyleciała z jego ust i rozpoczęła długą, pospieszną podróż na powierzchnię oceanu.

Wiele, wiele twarzy czekało na niego w dole: uśmiechały się i przyzywały go po imieniu. Był pomiędzy nimi Pryszlak, który przyglądał mu się w milczeniu. Dominie Kirkhope pożerał go oczami. Braverman - mężczyzna, który próbował go zastrzelić - i jego żona śmiali się. Inni, niektórych rozpoznał ze swojej wizji w Beechwood, chcieli go dosięgnąć pomarszczonymi od wody rękami.

Nagle na twarzy Pryszlaka pojawiła się złość i pozostali przestali się uśmiechać. Teraz zaczęli jęczeć.

Bishop czuł, że unosi się do góry, szybko zbliżał się do powierzchni. Nagle przestraszył się, że gwałtowna zmiana ciśnienia uwięzi bąbelki azotu w tkankach jego ciała i spotka go to, czego boi się każdy płetwonurek: choroba spowodowana dekompresją - „napady bólów mięśniowych”.

Wtem znalazł się nad powierzchnią, woda lała mu się z ust, łapał powietrze, kiedy mógł, dusząc się, gdy woda napływała mu do gardła. Silne ręce trzymały go za klapy marynarki i poprzez huk w uszach posłyszał krzyczący głos:

- Pod nim jest jeszcze jeden.

Wyciągnięto go z wanny i pozwolono, by upadł na mokrą, wyłożoną kafelkami podłogę. Wciągał powietrze, kręciło mu się w głowie. Przed nim pojawiła się twarz Crouchleya, jego bezwładne ciało zwisało z brzegu wanny, z ust lała mu się woda, jakby to był koniec rury odpływowej.

- Ten nie żyje - doszedł go daleki głos. Bishopa walono po plecach, aż zwymiotował resztę wypełniającej go wody. Postawiono go na nogi.

- Oprzyj się o mnie, ale spróbuj stanąć, chłopie. Wyciągniemy cię stąd!

Bishop starał się zobaczyć, kto mu pomaga, ale łazienka kręciła się w zawrotnym tempie. Chciało mu się wymiotować.

- Odsuńcie się!

Huknęło jak z armaty i zobaczył kawałki drewna, odpadające z framugi otwartych drzwi. Białe postacie popędziły z powrotem w mrok.

- Chodź. Bishop, musisz mi pomóc. Nic darń rady cię nieść.

Głos stał się bliższy, słowa bardziej wyraźne. Mężczyzna usunął ramie pod pachę Bishopa i podtrzymywał go. Bishop próbował się odsunąć, sądząc, że mężczyzna był jednym z obłąkanych, ale uścisk się wzmocnił.

- Przestań, stary, jesteśmy po twojej stronie. Spróbuj iść, dobra? Ruszaj nogami.

Chwiejnym krokiem posuwali się do przodu i Bishop czuł, że szybko wracają mu siły.

- Równy facet - rozległ się czyjś głos. - W porządku, Mike, myślę, że dojdzie do siebie. Trzymaj z tyłu ten cholerny tłum.

Chwiejnym krokiem weszli w ciemny korytarz i rozpoczęli pełen przeszkód marsz w kierunku schodów. Coś poruszyło się przed nimi w ciemności i mężczyzna idący przed Bishopem, i ten, który mu pomagał, strzelili w powietrze. Przez ułamek sekundy hol oświetlony był błyskiem wystrzału i Bishop zobaczył kulące się tam postacie szaleńców, przerażonych, ale gotowych rzucić się na nich.

Bishop i dwaj mężczyźni dotarli do zakrętu schodów, kiedy tłum zdecydował się zaatakować ich.

Wypadli z ciemności, jak duchy zwiastujące śmierć żalonym zawołaniem, zalali schody nieprzerwanym strumieniem ciał.

Bishop, nie podtrzymywany, przewrócił się w rogu i zobaczył, że obaj mężczyźni podnieśli rewolwery i strzelają do tłumu.

Okrzyki bólu i strachu dzwoniły po korytarzach wielkiego domu. Usłyszał odgłos padających ciał, ci z tyłu przewracali się o rannych, leżących z przodu. Coś gwałtownie spadło na jego wyciągniętą nogę i zaczęło ją wykręcać. Bishop kopniakiem odrzucił ciało.

Czyjaś ręka szarpnęła go za ramię i Bishop podciągnął się do góry, gotów do walki.

- Chodź, Bishop, idziemy dalej.

Z ulgą stwierdził, że była to ręka mężczyzny, który mu pomagał.

- Kim, do diabła, jesteście? - zdołał z siebie wykrztusić, gdy zeszli z następnej kondygnacji schodów. Na dole było jaśniej, ale mężczyzna, który ich prowadził, przycisnął kontakt. Światło zalało hol i schody.

- Teraz to nie ma znaczenia - odpowiedział mężczyzna, który go prowadził. - Najpierw się stąd wydostańmy. Nagłe uderzenie o schody za plecami zmusiło ich do odwrócenia się. Nad nimi stał pielęgniarz, który wcześniej próbował zaatakować Bishopa żelaznym prętem. Wciąż trzymał go w ręce.

Rozległ się strzał i tuż nad kolanem jego biały uniform zamienił się w czerwony strzęp. Noga mu się zgięła i upadł do tyłu, na schody, pręt z hałasem potoczył się na dół. Chwyił się za nogę, dygocząc z bólu. Za nim, wokół kręconych schodów, skradali się inni, ich oczy były szeroko rozwarte, pełne strachu.

Bishop i dwaj mężczyźni cofnęli się do następnej kondygnacji schodów, które miały ich zaprowadzić na parter. Jego ubranie było ciężkie od wody, ale noradrenalina znów zaczęła w nim krążyć, dając mu siłę, której potrzebował.

Na dole czekały dwie kobiety. Niższa wylewała na szerokie schody jakiś płyn z puszkii. Cofnęła się, stawiając puszkę obok swoich nóg, i uśmiechnęła się do koleżanki. Wyższa kobieta zapaliła zapalną i rzuciła ją na schody.

Benzyna zapłonęła oślepiającym błyskiem i trzech mężczyźni na górze osłonili rękami twarze przed bijącym żarem. Płomienie pożądlawie wspinały się po drewnianych schodach w ich kierunku, a ponad nimi mogli zobaczyć dwie wycofujące się kobiety, które uśmiechały się szeroko z zachwytem.

- Nie możemy zejść na dół - krzyknął jeden z mężczyźni. - Musimy się wydostać inną drogą. Na pewno jest tu jakieś zapasowe wyjście.

Bishopowi wciąż kręciło się w głowie, ale w chaosie usłyszał, jak jeden z mężczyźni mówił:

- Dasz radę, Bishop? Spróbujemy dostać się do tylnego wyjścia.

Skinął głową i wszyscy trzej, jak jeden mąż, odwrócili się, gotowi biec na tył budynku. Łańcuch biało odzianych ludzi zastąpił im drogę.

Pacjenci posuwali się do przodu, ich białe koszule czerwieniały w blasku wznoszących się płomieni, i Bishop zauważył, że wśród nich była Lynn.

- Lynn! To ja, Chris! - krzyknął, wyprzedzając dwóch mężczyźni, by poprosić ją błagalnym głosem: - Chodź z nami, Lynn, zanim wszystko się spali.

Przez chwilę wydawało mu się, że w oczach Lynn zobaczył iskierkę zrozumienia, tak jakby go poznała, ale nawet jeśli uświadomiła sobie kim on jest, to pamięć odnowiła tylko jej nienawiść. Oderwała się od tłumu i podbiegła do niego, machając rękami z rozczapierzonymi palcami, przypominającymi szpony. Był tak osłabiony, że nie mógł jej zatrzymać; upadł i Lynn przewróciła się o niego. Jej ręce czepiały się kurczowo schodów, gdy zaczęła ześlizgiwać się w dół, w kierunku płomieni; Bishop rozpaczliwie próbował złapać ją za kostkę. Dotknął jej pięty, ale noga zniknęła, zanim zdążył ją chwycić. Krzyk przebił się przez wszystkie inne dźwięki, gdy ześlizgnęła się w ogień, a jej włosy i nocna koszula stanęły w płomieniach. Miotające się ciało zniknęło w piekle i krzyk urwał się nagle. Coś wyleciało z płomieni i spadło do holu, szerniały, zwęglony kształt, który w niczym nie przypominał ludzkiego ciała. Szybko pokrył go rozprzestrzeniający się ogień.

- Nie! nie! - krzyk Bishopa przeszedł w cichy jęk.

Został odciągnięty przez dwóch mężczyźni od szalejącego żaru; jego ciało stało się teraz zupełnie bezwładne, a zmysły sparaliżował szok.

Pacjenci cofnęli się; pełna grozy śmierć towarzyski wprawiła w przerażenie ich chore umysły. Mężczyźni eskortujący Bishopa zrozumieli, że skrajny obłęd, który doprowadził tych

szaleńców do tego, co robili, został pokonany przez ich wrodzony strach przed ogniem. Pacjenci zaczęli skamleć, gdy żar nasilił się i dym wypełnił korytarz.

- Chodźmy, póki jeszcze możemy, Mike - powiedział jeden z mężczyzn, podtrzymujących Bishopa, na tyle głośno, by mogli go usłyszeć.

- Masz rację - zgodził się kolega, czując, że żar zaczyna parzyć mu plecy.

Z Bishopem w środku, mierząc z webleyów kaliber 38 w stłoczone na korytarzu postacie, ostrożnie posuwali się naprzód.

- Tędy, Ted - powiedział mężczyzna, nazwany Mike'em, wskazując na prawo lufą rewolweru. - Na końcu korytarza jest okno. O, cholera!

Światła w korytarzu nagle zgasły.

Czy ogień przepalił kable, czy ktoś przekręcił główny wyłącznik? Obaj mężczyźni pomyśleli o dwóch kobietach, które spowodowały pożar.

- Chodźmy - powiedział ponuro Mike.

Korytarz skąpany był w czerwonej, falującej poświacie, czarne cienie rosły i tańczyły na ścianach. Skowyczący pacjenci z furją patrzyli na mężczyzn, którzy wycofywali się z holu, ostrożnie przechodząc przez leżące tam ciała. Postacie w białych koszulach przysuwały się chyłkiem do przodu.

Mężczyzna nerwowo zerkał w koło. Jedynym dźwiękiem, jaki mogli tam usłyszeć, był trzask i huk rozprzestrzeniającego się pożaru - Znowu mają zamiar nas zaatakować - powiedział.

Postacie zapełniały korytarz, okrążając ich, obserwując w milczeniu, czekając, by rzucić się na nich.

Ale napięcie rosło, ogromna bańka hysterii, która powiększa się do niebotycznych rozmiarów, mogła za chwilę pęknąć i wycofujący się mężczyźni wiedzieli, że kiedy pęknie, zostaną z łatwością zmiżdżeni. Kiedy dalej wycofywali się w ciemność, dochodząc do końca korytarza, każdy z trzech mężczyzn czuł coś dawnego, delikatnie naciskającego na mózg, coś, co zdawało się szukać dojścia do ich umysłów.

Kolejny atak rozpoczęła stara kobieta, która stała pośrodku holu, obok palących się schodów. Jej kruche nogi były szeroko rozstawione, miała zaciśnięte pięści i sztywno wyciągnięte na bok, ręce; płomienie lizwały sufit nad nią. Krzyk zaczął się gdzieś w dole jej brzucha i narastał w piersi, protegował w gardle, aż rozległ się przeraźliwym wrzaskiem. Inni przyłączyli się do jej przeciągłego krzyku i kiedy ten wybuchnął, ruszył pędem w kierunku mężczyźni.

Sufit nad schodami i na końcu kondygnacja schodów buchały żarem; płomienie w dole falowały ku górze, wysuszone drewno chętnie się im poddawało. Ogromna kula ognia przetoczyła się przez hol, obejmując znajdujące się na jej drodze białe odziane postacie, osmalając inne, które były zbyt blisko.

Kłęby czarnego dymu zbliżały się do trzech mężczyzn, którzy zaczęli się dusić; ich oczy szczypały już żar ognia.

Bishop został dociągnięty do okna, jego ciało unosiło się, gdy płuca próbowały wyrzucić przelknięty dym. Został wepchnięty w róg, podczas gdy mężczyźni walczyli, by otworzyć okno i stworzyć sobie szansę ucieczki. Pożar szybko się rozprzestrzeniał i pacjenci wpadali w otwarte po obu stronach korytarza drzwi, na wielu z nich płonęły już koszule.

- Zamknięte, cholera jasna! - Bishop usłyszał krzyk jednego z mężczyzn.

- Strzel w tę cholerną szybę - odpowiedział mu kolega.

Obaj mężczyźni odsunęli się od dużego, pojedynczego okna, podnieśli ręce, by osłonić oczy, i wystrzelili w szybę grad kul. Szkło rozleciało się na kawałki i do środka wpadł podmuch zimnego powietrza, wciąganego coraz dalej przez płomienie.

Bishop został wyrwany z rogu i doprowadzony do okna. Wciągnął głęboko powietrze i gdy wychylił się w noc, poczuł, że zaczęła mu wracać zdolność logicznego myślenia.

- To nie jest... to nie jest wyjście ewakuacyjne - zdołał wysapać.

- Skacz! To tylko jedno piętro!

Wdrapał się na parapet i skoczył. Wydawało mu się, że minęły wieki, zanim poczuł pod stopami miękką ziemię.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Peck popatrzył na wolno poruszające się po ulicy pojazdy i zaciągnął się głęboko dymem z papierosa. Zastanawiał się, czy ci ludzie na dole, zamknięci w malutkich jak zabawki samochodach, mają prawdziwe pojęcie o tym, co dzieje się w ich mieście. Nie było możliwe utrzymanie w całkowitej tajemnicy makabrycznych wydarzeń ostatnich tygodni; środki masowego przekazu już jakiś czas temu powiązały wypadki na stadionie z Willow Road, ale zgodziły się nie opisywać całej historii, dopóki władze nie znajdą jakiegoś sensownego rozwiązania, by stłumić narastający niepokój opinii publicznej. Ta współpraca prasy z władzami była bardzo przykra i na pewno skończy się, gdy znów coś poważniejszego się wydarzy. Trudno zmusić dziennikarzy, by tak długo milczeli.

Wskazującym palcem i kciukiem wyjął z ust na wpół wypalonego papierosa i teraz trzymał go w zwiniętej dłoni. Janice zawsze mu powtarzała, że nigdy nie zostanie komisarzem, jeśli w taki sposób będzie palił papierosy. Czasami zdawało mu się, że jego żona mówi to poważnie.

Peck odwrócił się od okna i opadł na krzesło przy biurku, gasząc papierosa o brzeg kosza na papiery i wrzucając do środka niedopałek. Maniery? Dziesięć lat zajęło jej przekonywanie go, by przestał sam skręcać papierosy. Z szyi zwisał mu luźno związany krawat, rękawy koszuli miał podwinięte aż do łokci. Potarł ręką twarz, słysząc chropawy dźwięk zarośniętego policzka, i bacznie się przyjrzał ostatniej stronie raportu, który właśnie zakończył. Lepiej szybko się ogolę, zanim pokażę to zastępcy komisarza, powiedział do siebie. Nawet gdybyś właśnie zaaresztował Kubę Rozpruwacza, nie miałyby to znaczenia dla tego napuszonego skurwysyna, jeśli byłbyś nie ogolony.

Gdy jeszcze raz czytał ostatnie linijki raportu, nieświadomie przesunął ręką po głowie i dotyk zimnych palców gwałtownie wyrwał go z rozmyślań. Zrozumiał, że znów mu zdarzył się cud i ani jeden nowy włos nie wyrósł mu w ciągu nocy. W gruncie rzeczy, pomyślał - jego uwaga była już całkowicie zaprzątnięta badającymi łysinę palcami - parę następnych pożegnało się z nim na zawsze. Szybko opuścił rękę, żeby żaden z jego nowych ludzi nie zobaczył go przez szybę. Już wolałby raczej, żeby go złapali na tym, jak gmera w spodniach, niż na sprawdzaniu, jak postępuje jego łysina. Starzeję się i czuję to, mruknął cicho. Ale mówią, że łysina oznacza męskość. Nie mógł powiedzieć, żeby to ostatnio zauważył.

Zamknął raport i wygodnie usadowił się na krześle, wyciągając kolejnego papierosa z leżącej na biurku paczki. Prztyknął zapalniczką i patrzył na wydobywającą się z ust chmurę dymu.

Co, do cholery, się dzieje? - spytał się w duchu.

Jak dotychczas, najpoważniejsze były wydarzenia na stadionie, ale były też inne, równie niepokojące. Pożar w Fairfiel - to raz. Bunt chłopców w zakładzie poprawczym - to dwa. Ci mali gówniarze rzucili się na strażników, a później sami na siebie. Szesnastu zabitych, dwudziestu czterech poważnie rannych. A reszta? Gdzie była reszta? Pensjonariusze innego domu dla psychicznie chorych, który podlegał państwowej służbie zdrowia i dlatego był znany jako szpital dla obłąkanych, najpierw zaatakowali personel, a później, podobnie jak chłopcy w poprawczaku, sami siebie. Na szczęście podniesiono alarm, zanim wyrządzono zbyt wiele szkód, ale nim przybyły posiłki kolejne pięć osób już nic żyło.

Pozostaje tajemnicą, dlaczego kilkanaście osób z personelu przyłączyło się do buntu.

Doszło też do wielu drobniejszych incydentów i często budziły one jeszcze większy niepokój niż te poważniejsze zajścia. Może dlatego, że byli w nie zamieszani zupełnie normalni ludzie - w każdym razie uważano ich za normalnych, dopóki nie dopuścili się tego szaleństwa. Właściciel sklepu zoologicznego wymordował wszystkie zwierzęta, jakie posiadał, zabierając ze sobą do łóżka szczęśliwca, któremu darował życie, perlę jego kolekcji: długiego na dziesięć stóp, południowoamerykańskiego boa dusiciela. Znaleziono go martwego, z węzem owiniętym, jak szalik, dookoła szyi. W klasztorze trzy zakonnice wpadły w szal; skradając się w nocy po korytarzach, próbowały udusić poduszkami kilkanaście śpiących sióstr: w dwóch przypadkach im się to udało, zanim je odkryto. Lekarz na nocnym dyżurze - w śledztwie ustalono, że dwa dni i dwie noce pracował bez przerwy - obszedł oddziały swojego szpitala, wstrzykując pacjentom śmiertelną dawkę insuliny. Tylko dzięki interwencji dyżurującej pielęgniarki nie udało mu się zabić więcej niż dwanaście osób - pielęgniarka też zginęła, gdyż podczas walki lekarz zdążył zrobić jej zastrzyk. Robotnik, pracujący dłużej, by skończyć pilną pracę w biurówcu, w którym przeprowadzano modernizację, ogłuszył swojego majstra, następnie przytwierdził go do ściany za pomocą pistoletu na kołki. Pistolet wstrzeliwał sześciocalowe kołki z wystarczająco dużą siłą, by każdy z nich przebił beton, i zanim inni robotnicy przyszli w sukurs nieszczęsnemu majstrowi, jego ręce i nogi były już mocno przyszpilone. Oszalały robotnik zdołał przestrzelić sobie kolkiem głowę, zanim udało im się dotrzeć do niego, a inny robotnik ledwo uniknął przebicia, kiedy kolek wystrzelił z drugiej strony głowy samobójcy. Najbardziej szalony ze wszystkich był chyba rzeźnik, który sprzedawał klientom swoją poćwiartowaną żonę - „Dziś wyjątkowa okazja, wyłącznie dla stałych klientów”. W dalszym ciągu brakuje części uda i policja rozpaczliwie szuka śladu nieszczęsnej gospodyni, która kupiła, „korzystnie” mięso.

Były inne zbrodnie, inne samobójstwa, ale nie wiadomo, czy mają związek z tamtymi dziwaczными wydarzeniami. I jaki właściwie może być ten związek, poza tym że każdy straszliwy czyn dokonywany był nocą? Czy ciemność, jak to sugerował Jacob Kulek, naprawdę może mieć coś wspólnego z tym szaleństwem?

Peck dołączył do raportu teorię niewidomego mężczyzny, ale jako osobną część, nie dodając do niej swoich uwag. Kusilo go, by ją całkowicie pominąć, i gdyby mógł sam przedstawić jakąkolwiek logicznie uzasadnioną teorię, to wtedy może by tak zrobił. Bał się pomyśleć, jak komisarz to wszystko przyjmie, ale on, Peck, był teraz tylko małym trybikiem w całej tej operacji; sprawę przejęli wielcy bogowie. Mógł jedynie dostarczać im wszelkich informacji, jakie udało mu się zdobyć. Kilka tygodni temu Peck uważał, że Kulek jest trochę stuknięty, teraz zbyt wiele się wydarzyło, by zbyć go tak lekceważąco. Gdyby tylko mogli



dowiedzieć się czegoś więcej o Borisie Pryszaku. Pryszak zajmował mieszkanie w ogromnym bloku, w pobliżu Marylebone, ale, jak mówili sąsiedzi, rzadko tam bywał. Samo mieszkanie nie dostarczyło żadnych nowych informacji; było ono przestronne, lecz niezbyt komfortowo umeblowane. Na ścianach nie wisiał ani jeden obraz, tylko parę ozdób, nie było też półek na książki. Nieliczne meble były kosztowne, ale funkcjonalne i mało zniszczone. Oczywiście było, że Pryszak używał mieszkania tylko jako bazy, jego działalność - a liczo wie, co robił - powodowała, że większość czasu spędzał poza domem. Nawet informacje zebrane wtedy, kiedy popełniono masowe samobójstwo w Beechwood, niewiele ujawniły. Jeżeli Pryszak był głową jakiejś zwariowanej sekty religijnej, to jego organizacja działała tak, by nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Wydaje się, że nie mieli ustalonego miejsca spotkań i nie wiadomo, w jaki sposób pozyskiwali nowych członków. Nie było także żadnych notatek dotyczących pracy - naukowej czy innej - w którą wciągnięty był Pryszak. Kilka osób spośród znalezionych w tamtym domu było bardzo zamożnych, Dominie Kirkhope jest tego najlepszym przykładem, i - zdaniem Pecka - uzasadnione było przypuszczenie, że w jakiś sposób sponsorowali oni projekt Pryszaka. Czy mieli prawdziwe aspiracje, czy byli tylko bandą zбочeńców, którzy lubili przy każdej nadarżającej się okazji organizować orgie? Zebrane do tej pory informacje na temat Kirkhope'a i paru innych osób wskazują, że ich upodobania seksualne były dość dziwaczne. Dominie Kirkhope posiadał kiedyś farmę w Hampshire, którą zainteresowała się policja na skutek skarg mieszkańców sąsiednich posiadłości. Wydawało się, że zwierzęta, które tam trzymano, nie były wykorzystywane w naturalnych celach. Skandal zatuszowano, gdyż oburzeni właściciele ziemscy okolicznych majątków nie chcieli zakłócać swej spokojnej egzystencji tak szkodliwym rozgłosem. Przeciwko Kirkhope'owi i jego gościom nie wniesiono oskarżenia, ale wkrótce po najeździe policji farma zmieniła właściciela. Potem Kirkhope'a obserwowano przez jakiś czas i jeśli w dalszym ciągu pozwalał sobie na tak karygodne czyny seksualne, robił to bardzo dyskretnie.

W dalszym ciągu sprawdzano przeszłość Bravermana, jego żony i Ferriera - mężczyzny, który rzucił się z okna Instytutu Kuleka; do tej pory w ich sprawie nie odkryto niczego niezwykłego. Braverman był zdolnym dyrektorem agencji reklamowej, wybitną postacią w swojej dziedzinie. Ferrier był bibliotekarzem. Wydawało się to oczywiście, iż Bravermanów i Ferriera nie łączyły żadne więzy towarzyskie. Czy mogli być uczniami Pryszaka?

Był tylko jeden ślad prowadzący do morderców Agnes Kirkhope i jej gospodyni. W dniu morderstwa sąsiedzi zauważyli dwie kobiety przechadzające się przed domem panny Kirkhope. Gdyby to nie była tak spokojna, willowa okolica, nikt by pewnie nie zwrócił na nie

uwagi; a tak parę osób widziało, jak dwa lub trzy razy przeszły przed domem panny Kirkhope. Istniało prawdopodobieństwo, że czekały na odpowiedni moment, aby zaatakować. Jedna kobieta była wysoka, druga niska.

Chris Bishop zeznał, że dwie kobiety - jedna wysoka, druga niska - wpuściły go do kliniki w Fairfield. Czy to były te same osoby? Bardzo możliwe. W gruncie rzeczy Peck przestał już niemal zupełnie podejrzewać badacza zjawisk metapsychicznych. Był w to zamieszany, zgadza się, ale tylko jako potencjalna ofiara - co do tego inspektor nie miał wątpliwości. Ktokolwiek czy cokolwiek kryło się za tym wszystkim, na pewno starano się zabić Bishopa. Dlaczego? Któż to wie, do diabła? Nic z tego nie miało sensu.

Bishop miał szczęście, że Peck kazał go obserwować. Dwaj policjanci, którzy śledzili go tego wieczoru, pojechali za nim do domu dla obłąkanych, a później, zgodnie z otrzymanymi przez radio instrukcjami, weszli do środka, aby go stamtąd zabrać do domu Kuleka. Zobaczyli, jak pacjenci starają się utopić Bishopa w wannie. Dobrze, że obaj detektywi byli uzbrojeni - w tym czasie Peck podejrzewał Bishopa o morderstwo i nie chciał ryzykować życia swoich ludzi. Nigdy nie pokonaliby bez broni ogarniętych szaleńców mieszkańców sanatorium. W Fairfield jego ludzie widzieli też dwie kobiety, które podpaliły schody. Budynek został zrównany z ziemią, w ogniu zginęła prawie połowa pacjentów, a Bishop - biedak - stracił w ogniu żonę.

Cały personel pielęgniarski zginął albo w ogniu, albo został zabity wcześniej, nikt się już tego nie dowie - Bishop i dwaj detektywi widzieli kilkunastu członków personelu, którzy już nie żyli, zanim zaczął się pożar. Niektórzy pacjenci wyskoczyli z tego samego okna, przez które uciekli ludzie Pecka i Bishop, i pognali w noc; dopiero później zostali zatrzymani przez samochody patrolujące okolicę. Innym udało się wydostać zapasowym wyjściem, znajdującym się z drugiej strony budynku, i ci także zostali odnalezieni, gdy wędrowali po ulicach późną nocą. Ale kilku zupełnie zniknęło: obliczenia przeprowadzone następnego dnia - policzono osoby żyjące i ciała zmarłych - nie zgadzały się z danymi liczbą stałych mieszkańców i personelu.

Peck podrapał się kciukiem po czubku nosa. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien zalecić wprowadzenie stanu ogólnego pogotowia, by ostrzec społeczeństwo przed czyhającym na ulicach niebezpieczeństwem, później odrzucił tę myśl. Dlaczego ma być posądzony o wpadanie w panikę, skoro podejmowanie tak drastycznych decyzji należy do chłopców z góry? Poza tym, kłopot w dalszym ciągu ograniczał się do terenów położonych na południe od rzeki. Nie było powodu do wzbudzania paniki w całym mieście. Nie, wręcz tylko swój raport zwierzchnikom i niech oni się martwią, co z nim dalej zrobić. Chodzi o to,

pomyślał, przypatrując się pilnie zielonym szpilkom na dużej mapie Londynu, którą przyczepił do tablicy wiszącej na ścianie jego gabinetu, że problem rozszerza się, wpinane szpilki tworzą coraz większe kręgi, przypominające zielony gwiazdozbiór. Każda szpilka oznaczała nowy wypadek, których wspólnym mianownikiem jest to, że zdarzały się w nocy i były jakoś związane z obłądem zła. Co mówił Kulek o kroplach deszczu na szybie? Wydaje się, że teraz nastąpi moment połączenia.

Cele policyjne i oddziały szpitalne były wypełnione ludźmi, których trzeba było aresztować dla ich własnego bezpieczeństwa. Nie wszyscy dopuścili się aktów przemocy, ale każdy z nich miał ten sam bezmyślny wyraz twarzy. Teraz trzeba było trzymać pod kluczem kilka setek osób, większość z nich stanowili piłkarscy kibice. Zajścia podczas meczu piłki nożnej przypisano hysterii tłumu. Histeria tłumu! O Jezu, to największe niedomówienie wszechczasów. Na szczęście, przez ogół zostało to uznane za wielką tragedię, która już się nie powtórzy, a władze ukrywały inne, stosunkowo „mniejsze wydarzenia”, nigdy niczego nie sugerując i zawsze zaprzeczając, że istniał między nimi jakiś związek. Stan zatrzymanych osób zdawał się gwałtownie pogarszać. Pierwsi, którzy znaleźli się w odosobnieniu, przypominali teraz puste skorupy wyrzucane na brzeg morza. Wielu z nich, przede wszystkim ci z Willow Road, w jakiś sposób odebrało sobie życie, gdyż nie można było ich wszystkich pilnować przez cały czas.

Wielu odżywiano dożylnie, widocznie nie było już w nich woli życia. Zombi - żywe trupy, tego określenia użył Bishop, gdy rozmawiał z nim parę dni temu. To było dobre określenie. Trafne. Tacy właśnie byli. Wielu krążyło bezmyślnie przez cały dzień, niektórzy mamrotali, inni milczeli i zagubieni w sobie tkwili nieruchomo. Lekarze byli zbici z tropu. Mówili, że wygląda to tak, jakby część ich mózgu, decydująca o aktywności, zamknęła się. Medycy znaleźli na to jakieś uczone określenie, ale w gruncie rzeczy i tak wiadomo było w czym rzecz: to były żywe trupy. Tylko jedno zdawało się pobudzać ich do działania, coś, na co wszyscy czekali w oknach szpitali, cel i pokojów: nadejście nocy. Wszyscy z radością witali ciemność. I to najbardziej martwiło Pecka, ponieważ nadawało sens teorii Jacoba Kuleka.

Jeszcze jedną sprawą, która równie mocno niepokoiła Pecka, był fakt, że ponad siedemset osób - w większości była to część tłumu, który wpadł w szal podczas meczu piłki nożnej - uznano za zaginione. Krzesło, gdy je odsuwał, głośno szurnęło o podłogę. Podciągnął mocniej krawat i podchodząc raz jeszcze do okna, zaczął odwijać rękawy koszuli. Wyciągnął papierosa z paczki i palił go szybko, zaciągając się głęboko, chcąc go skończyć, zanim

pójdzie do zastępcy komisarza. Siedemset osób! Jeszcze raz spojrzął na powolny ruch uliczny. Gdzie, do diabła, mogło zniknąć siedemset osób?

- Zjeżdżaj stąd!

Duff wycelował kawałkiem cegły w stworzenie, które pojawiło się w świetle lampy, przymocowanej do jego kasku. Szczur uciekł z wąskiej, biegnącej wzdłuż kanału ściekowego krawędzi i wskoczył do cuchnącej fekaliami wody. Zniknął w ciemnościach.

Duff odwrócił się do swoich towarzyszy i powiedział:

- Uważajcie tutaj. To część starej sieci, jest w złym stanie.

Obrzydliwy smród ścieku był tak silny, że stojący tuż za nim mężczyzna zmarszczył nos, przeklinając w duchu mądralę z Rady Miejskiej Londynu, który wymyślił dla niego to nieprzyjemne zadanie. Rosło zaniepokojenie stanem zniszczonej sieci kanalizacyjnej w dużych miastach i pospiesznie przeprowadzano inspekcje, by stwierdzić czy to, co się stało w Manchesterze, może powtórzyć się gdzie indziej. Na uczęszczanych drogach w północnej części miasta pojawiły się ogromne dziury, tak wielkie, że mógł w nie wpaść autobus; przyczyną ich powstawania było zapadanie się ścian podziemnych kanałów. Zagrożenie istniało od lat, ale sprawa nie była powszechnie znana, i dlatego można ją było odłożyć na później. Teraz obawiano się, że pojawiające się w jezdniach szpary i dziury zaczną razić nie tylko oczy mieszkańców, lecz także ich nosy, gdyż obrzydliwy smród unosił się do góry. Berkeley - szczęśliwiec wybrany przez swój departament do zbadania tej części londyńskich kanałów, dygotał teraz z zimna w wilgotnym powietrzu i wyobrażał sobie, że całe miasto zapada się w szlamowatych katakumbach. Guzik go to obchodziło, byleby tylko nie znalazł się na dole w czasie katastrofy.

- Wszystko w porządku, panie Berkeley? Osłonił oczy przed rażącym światłem lampy Duffa.

- Tak, chodźmy dalej. Mówi pan, że ta część przed nami jest szczególnie zniszczona?

- Ostatnim razem obejrzałem ją dokładnie. To było jakieś dwa lata temu.

Wspaniale, pomyślał Berkeley. - Niech pan prowadzi - zaproponował.

Inspekcję przeprowadzał trzyosobowy zespół: Charlie Duff - starszy brygadzysta prac remontowych z Miejskich Zakładów Wodociągów i Kanalizacji, Geoffrey Berkeley z ministerstwa, Terry Colt - pomocnik brygadzysty. Musieli się schylać, gdy przechodzili przez stary tunel. Berkeley, jeżeli to nie było konieczne, starał się nie dotykać pokrytych grzybem ścian. Jego stopa poślizgnęła się na pomoście i wpadł aż po kolano do ciemnej, płynącej obok nich wody.

Terry Colt wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyciągnął rękę, by chwycić mężczyznę za łokieć, mówiąc jowialnie:

- Ślisko, co?

- Za chwilę będzie lepiej - pocieszył go Duff, uśmiechając się także. - Dalej przed nami tunel rozszerza się. Niech pan popatrzy na ten mur.

Podniósł do góry rękę i popukał w sufit ostrzem metalowego pręta, który zawsze nosił podczas inspekcji kanałów. Cement i kawałki muru odpadły z sufitu i wleciały do głównego kanału.

- Rozumiem, co pan ma na myśli - powiedział Berkeley, oświetlając sklepienie latarką. - Nie wygląda to dobrze, prawda?

Duff mruknął coś w odpowiedzi i poszedł dalej, stukając co chwilę w sufit. Nagle oderwał się niewielki kawałek muru, i Berkeley wrzasnął zatrwożony.

Duff spojrzał tylko na to, co się stało, kiwając jednocześnie dalej głową i mrużąc coś do siebie.

- Proponuję, żeby pan nie wkładał tyle siły w opukiwanie tych ścian, Duff - warknął Berkeley, a serce łomotało mu w piersiach. Ta robota była wystarczająco nieprzyjemna bez nadstawiania karku. - Nie chcemy, by cały strop zwałił się nam na głowy, prawda?

Duff wciąż coś mruczał do siebie i gdy kręcił głową, snop światła z jego latarki przemykał się z jednej strony na drugą.

- Wie pan, wszystkie te stare kanały są takie same - powiedział w końcu do Berkeleya. - Będzie kosztowało miliony, żeby doprowadzić je do porządku. Były wystarczająco solidne, kiedy je zbudowano. Cały ten ruch na górze, przepelnione przez tyle lat drogi, te cholerne ciężarówki, te wszystkie domy, które tutaj postawiono... Ludziom, którzy zbudowali te kanały, nawet się nie śniło, że będą musiały na sobie dźwigać takie ciężary. Nigdy też nie przypuszczali, że będą musiały odprowadzać tyle gówna.

Berkeley wytarł o kombinezon pobrudzone szlamem ręce.

- Na szczęście, to nie moje zmartwienie. Ja tylko muszę przedłożyć raport.

- Ach, tak? - odezwał się z tyłu Terry. - A jak pan myśli, kto za to zapłaci? Wszystko ma iść tylko z naszych kieszeni, co?

- Czy nie możemy iść dalej? Ta skulona pozycja jest dość niewygodna.

Berkeley pragnął mieć już za sobą tę inspekcję.

Duff odwrócił się i poszedł dalej w dół tunelu, taksując sufit doświadczonym okiem, szukając dziur i śladów osuwania się muru. Znalazł ich mnóstwo.

Z tyłu rozległ się głos jego pomocnika.

- Wie pan co? Gdyby pan się tu sam zgubił na dole, panie Berkeley, mógłby pan całe lata wędrować tymi korytarzami i nigdy nie znalazłby pan wyjścia.

Głupi skurwysyn, pomyślał Duff, ale mimo wszystko uśmiechnął się do siebie.

- Tu są mile i mile tunelów - mówił dalej Terry. - Można przejść z jednego końca Londynu na drugi.

- Na pewno trzeba by zatrzymać się przy Tamizie - kwaśno skomentował Berkeley - Jasne, jeśli udałoby się panu ją znaleźć - odpowiedział Terry, nie dając się zbić z tropu. - Ale i tak przedtem mógłby się pan utopić. Powinien pan zobaczyć niektóre z tych tuneli po silnym deszczu. Są całkiem zalane. Niech pan sobie tylko wyobrazi, wędruje pan na dole w kółko, bateria pana lampy powoli się wyczerpuje, a potem wszystko ginie w ciemności. Myślę, że w końcu dopadłyby pana szczury. Tu są takie wielkie bestie.

- Dobra, Terry, daj już temu spokój - powiedział Duff, ciągle się uśmiechając. - Tu już się robi trochę szerzej. Niedługo będziemy mogli się wyprostować.

Berkeley nic przejął się opowieścią Terry'ego, wiedział, że ten idiota próbował go tylko nastraszyć, ale nic nie mógł na to poradzić, że bał się tuneli. Czuł, jak przygniata go ogromny ciężar, jak gdyby miasto nad nim powoli się zapadało, naciskając na strop kanału, ściskając go, splaszczając cal po calu. Zostałby siłą wepchnięty w płynący pod nim szlam, sufit przyciskałby go do dołu, trzymał tam, aż w końcu musiałby połknąć brudną wodę, zalewającą mu gardło, wypełniającą go...

- No, jesteśmy. - Terry pokazał otwór przed nimi, który łączył ich tunel z następnym.

Berkeley był wdzięczny, że może do niego wejść i wyprostować się. Ta odnoga ścieku miała przynajmniej dwanaście stóp szerokości i sklepiony łukowato sufit był wysoko. Przejścia po obu stronach kanału były wystarczająco szerokie, by wygodnie po nich iść.

- Ten wygląda całkiem solidnie - oznajmił Berkeley, jego głos odbił się głucho od wilgotnych, łukowatych ścian.

- Na tym odcinku wszystko powinno być w porządku - odparł Duff. - Najwięcej kłopotu sprawiają nam rury i małe przewody, nigdy by pan nie uwierzył, czym mogą być zapchane.

- Nie, miałem na myśli mury. Zdaje się, że są zupełnie zdrowe.

Duff zdjął lampę ze swego kasku i oświetlił dół tunelu, szukając wyrw w ścianach i na suficie.

- Wygląda nieźle. Trochę niżej jest tama przeciwpowodziowa. Rzucimy tylko na nią okiem.

Berkeley stracił już zupełnie poczucie kierunku, nie wiedział, czy idą na północ, na wschód czy na zachód. Pomocnik brygadzysty miał rację - łatwo można się zgubić w tym labiryncie tuneli. Słyszał, jak Duff opukuje ściany swym metalowym prętem i przez chwilę zastanawiał się, co skłoniło tego człowieka do robienia kariery w takim zawodzie. Kariera. Złe słowo. Ludzie jego pokroju nie robią karier, po prostu wykonują swoją pracę. A ten młody człowiek z tyłu - na pewno robota w warsztacie czy fabryce byłaby lepsza niż czołganie się w ciemnościach wśród miejskich brudów. Ale, zastanowił się Berkeley, dzięki Bogu, że jest jeszcze ktoś wystarczająco głupi, by to robić. Przechodząc, spoglądał w mniejsze otwory, prowadzące do głównego kanału. Ciemność, jaka w nich panowała, przyprawiała go o dreszcze; latarka ledwo ją rozświetlała. Wyobraził sobie jednego z tych olbrzymich szczurów, o których opowiadał pomocnik brygadzysty, czającego się tam, czekającego, by skoczyć na nieszczęśnika, który nieświadomie wejdzie do jego kryjówki. Albo olbrzymi pająk, wielki i zniekształcony, snujący dookoła nic czarnego życia, nigdy przedtem nie widziany przez ludzkie oczy, czyhający na swą niczego nie podejrzewającą ofiarę w okrywającej cały tunel pajęczynie. Albo gigantyczny ślimak, ślepy i pokryty śluzem, przysysający się do obrosniętych porostami ścian, żyjący w nieustannych ciemnościach, żądny kolejnej uczty z ludzkiego mięsa...

- O Boże!

Duff odwrócił się na dźwięk wrzasku Berkeleya.

- Co się stało? - spytał głosem o ton wyższym, niż zamierzał.

Człowiek z ministerstwa wskazał w głąb tunelu.

- Coś się tam ruszyło! Jego ręka drżała niepokojąco. Duff podszedł do niego, myśląc: głupi skurwysyn, i spojrzął w otwór.

- Pewnie zobaczył pan szczura - powiedział uspokajająco. - Jest ich mnóstwo.

- Nie, to było dużo większe.

- Na pewno światło rzuciło cień, nic więcej tam nie było. To wyobraźnia tak działa, za każdym razem trzeba trochę czasu, żeby się przyzwyczaić do kanałów.

Terry patrzył w otwór ponad ramieniem Berkeleya, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Mówią, że w kanałach straszą ofiary morderstw, których ciała tu wrzucono, aby pozbyć się dowodów zbrodni - pogodnie poinformował przedstawiciela ministerstwa.

- Zamknij się, Terry - rzucił Duff. - Ciarki mnie przechodzą. Niech pan spojrzy, panie Berkeley, tam nic nie ma. - I połączone światła ich lamp przeniknęły ciemność tunelu, ukazując jedynie zielonożółte ściany. - To na pewno pańska latarka rzuciła cień, gdy pan przechodził. Nie ma się czym przejmować.

- Przepraszam. Jestem pewny...

Duff odwrócił się już i maszerował przed siebie, pogwizdując niemelodyjnie pod nosem. Berkeley ostatni raz spojrział w tunel i ruszył za nim, czując się głupio, niemniej jednak wciąż był niespokojny. Cholera, że też mu dali takie śmierdzące zajęcie!

Gdy Terry oddalił się od tunelu, wydawało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk dochodzący z głębi.

- Cholera, teraz ja się zaczę bać - mruknął pod nosem.

Berkeley spieszył się, żeby dogonić Duffa, czując się pewniej w pobliżu tego trzeźwo myślącego, stojącego mocno na ziemi mężczyzny, kiedy brygadzysta raptownie się zatrzymał, i urzędnik ministerstwa wpadł na niego. Duff skierował lampę w dół, oświetlając kanał u ich stóp.

- Coś jest w wodzie - stwierdził.

Berkeley spojrział w kierunku miejsca, które rozjaśniał szeroki snop światła latarki. Coś płynęło leniwie, unoszone przez powolny nurt, hamowane nieco uderzeniami o podwyższone brzegi kanału. W słabym świetle wyglądało to jak wielki worek.

- Cóż to jest, do diabła? - spytał zdziwiony Berkeley.

- To jest ciało - wyjaśnił Terry, który właśnie do nich dołączył.

Tym razem Duff wiedział, że jego pomocnik nie żartuje. Przyklęknął na brzegu kanału i gdy dryfujące zwłoki podpłynęły bliżej, pochwycił je metalowym prętem. Pociągnął i ciało ociężale przekreśliło się w wodzie. Wszystkim trzem zapało dech w piersi, gdy zobaczyli rozdętą, białą twarz i szeroko rozwarte, wytrzeszczone oczy.

Berkeley, zgięty wpół, oparł się o wilgotną ścianę, żołądek podchodził mu do gardła i opadał jak oszalała winda. Choć był oszołomiony, usłyszał jak Terry mówi:

- Jezu Wszechmogący, jest jeszcze jedno!

Zmusił się, żeby spojrzeć, kiedy usłyszał plusk. Terry wszedł do wody w wysokich butach, chroniących go przed cuchnącym strumieniem, który sięgał mu tuż powyżej kolan. Z trudem przedzierał się na drugą stronę tunelu do płynącej tam kolejnej postaci.

- Myślę, że to jest kobieta! - krzyknął przez ramie.

- W porządku, Terry. Spróbuj dociągnąć ją do brzegu - polecił Duff.

- Wrócimy i ściągniemy tu ekipę, żeby ich zabrali. Panie Berkeley, niech pan nam pomoże wyciągnąć to ciało, dobrze?

Berkeley przywarł do ściany.

- Ja... ja, chyba nie..

- Nie do wiary - odezwał się znów Terry. - Płynie jeszcze jedno.



Duff i Berkeley spojrzeli w tym samym kierunku co Terry i ujrzeli, że woda niesie ku nim jakąś postać. Kiedy się zbliżyła, zobaczyli, że było to ciało następnej kobiety; wokół niej falowało coś białego, co mogło być nocną koszulą. Leżała na wznak, wpatrując się szklistym wzrokiem w ociekający wodą sufit. Na szczęście dla żołądka Berkeleyya jej twarz nie była tak nabrzmiąta jak twarz pierwszej osoby, którą znaleźli.

- Złap ją, Terry: - rozkazał Duff.

Pomocnik wciągnął na groblę ciało, które trzymał, i brnąc przez wodę, poszedł po następne. Obaj patrzyli na niego, gdy złapał je za nogę, Duff - z rękami zaciśniętymi na klapach marynarki martwego mężczyzny, Berkeleyy - dziwiąc się opanowaniu pomocnika. Pewnie chłopak był zbyt gruboskórny, żeby się tym przejmować.

Terry pochylił się nad płynącą kobietą, jego ręce zbliżyły się do jej talii i wyciągnęły, by chwycić ją pod pachy. To, co się stało później, wywołało u obu przyglądających się mężczyzn taką samą reakcję, ale z odmiennym skutkiem.

Gdy głowa Terry'ego zbliżyła się do twarzy kobiety, z wody wynurzyły się dwie białe, nagie ręce i otoczyły jego szyję. Wrzasnął, gdy został pociągnięty w dół, krzyk przeszedł w zdławione bulgotanie, kiedy przykryła go woda.

Biała piana wzburzyła mulisty ściek, gdy walczył, starając się uwolnić ze śmiertelnego chwytu, ale kobieta trzymała go mocno w swoim uścisku, ciągnąc coraz głębiej.

Usta Berkeleyya otworzyły się w bezgłośnym krzyku i ledwo zauważył, że po jego trzęsących się nogach spływają gorące odchody. Zataczając się, znów oparł się o ścianę, wpychając do ust kostki obu rąk.

Początkowy szok, jaki przeżył Duff, gwałtownie przeszedł w paraliżujący ból, który rozpoczął się w piersiach i szybko rozszerzył na kark i ramiona. Oczy zaszyły mu czerwoną, oślepiającą mgłą i runął do wody, serce przestało mu bić, zanim zdążył się utopić.

Berkeleyy widział, jak Terry raz jeszcze wynurzył się z wody, i zobaczył, że oczy pomocnika, jakby z niedowierzaniem, wpatrują się w bladą twarz przed nim. Kobieta trzymała go mocno, jak w miłosnym uścisku, uśmiechając się spękanymi i pogryzionymi wargami. Chłopak pogrążył się znowu i postać znikła razem z nim. Pod błotnistym, zielonym szlamem Berkeleyy dostrzegł jeszcze ledwo widoczne światło jego lampy, które stawało się jednak coraz słabsze i po ostatniej eksplozji bąbelków powietrza wzburzona powierzchnia wody uspokajała się, pojawiły się na niej drobne falki, które też stopniowo zanikały. W końcu po blasku lampy nie pozostał już żaden ślad.

Woda była spokojna.

Dopóki nie zaczęła się z niej wolno wynurzać.

Zielony szlam spływał z jej ciała.

Patrzyła na niego.

Uśmiechała się.

Od zmatowiałych ścian tunelu odbijały się krzyki Berkeleyya; zwielokrotnione echem przerodziły się w setki wrzeszczących głosów. W końcu tunelu był coraz większy ruch. Postacie przechodziły z ciemnych otworów do głównego kanału. Niektóre były w wodzie, posuwały się z wysiłkiem w kierunku, z którego przyszedł razem z dwoma robotnikami. Nie chciał patrzeć, ale nie mógł zamknąć oczu, lampa, huśtając się w szalonym łuku, oświetlała zbliżające się sylwetki. Zimna, mokra ręka zacisnęła się na kostce jego nogi.

W pobliżu niego stanęła kobieta i szybko cofnął nogę z krawędzi kanału. Długie, wilgotne włosy zwisały wokół jej twarzy jak szczurze ogony, biała, rozerwana niemal do łona koszula odsłaniała obwisłe piersi i nienaturalnie wzdęty brzuch, jakby od dawna nic nie jadła. W ciemności trząśł się ze strachu przed nią i zastanawiał się, czy jest martwa.

Kobieta wyciągnęła do niego ręce i zaczęła, wspinać się na brzeg kanału.

- Nie! - Kopnął ją i zaczął uciekać na czworakach. - Zostaw mnie!

Z trudem podniósł się na nogi i przywarł do ściany, wycofywał się, plecami zdrapując z muru porosty. Zaczęła pełznąć w jego stronę. Zbliźali się też inni.

Wpadł w wylot tunelu, który miał za plecami, i gdy w ciemnej czeluści szukał sposobu ucieczki, wyciągnęły się doń białe, trzęsące się ręce. Sapiąc rzucił się z powrotem do głównego tunelu, z jego ust wydobywały się skamlące mamrotania. Ześlizgnął się z krawędzi kanału i głową wpadł do wolno płynącego ścieku, wynurzył się, plując i płacząc, lecz wciąż uciekał. Gęsta od brudu woda przyczepiała się do nóg, jak gdyby szlamowate stwory z dna chwytaly jego stopy. Podnosząc wysoko kolana, rozpryskiwał wodę, próbując uciec od ciemnych postaci, od kobiety, która trzymała wyciągnięte ręce, by chwycić go w objęcia. Miał świadomość, że coraz częściej i częściej uderza o coś nogami i bał się spojrzeć w dół wiedząc, co tam Jest, wiedząc, że jeśli spojrzy, wyciągną się ręce i powloką go w otchłań. Kanał przechodził w wielką komorę, wysoki na trzydzieści lub czterdzieści stóp sufit opierał się na potężnych, żelaznych filarach. Ogromna tama, regulująca ujście wody ze ścieków, znajdowała się naprzeciwko. Ale nie widział jej. Gdyż tam właśnie na niego czekali.

Jedni stali wokół brzegów komory, inni w wodzie. Wielu przepychało się przez liczne otwory w ścianie. Na dnie komory pełno było ciał. Widział, jak niektóre z nich wypływają przez rozmaite wyloty tamy. Lampa na jego kasku oświetlała jedną twarz po drugiej. Miał niesamowite uczucie, że znajduje się w mrocznych podziemiach katedry, gdzie unurzani w czarnej mazi chórzyści oczekują na swojego mistrza. Słabło światło lampy, narastająca

ciemność z wolna tłumiała jej blask. Z ciemności spoglądały na niego setki oczu i w nozdrza uderzył go ze zdwojoną siłą odór ścieku. Smród był tutaj jeszcze bardziej drażniący.

Zaczął wycofywać się z zatłoczonej komory. Ale kiedy wilgotna, biała ręka opadła mu na ramię, wiedział, że stąd nie ma już ucieczki.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kot trzymał się cienia; skradał się po odświeżonej deszczem ulicy cicho i niezauważalnie. Deszcz przestał padać, w przeciwnym razie kot w dalszym ciągu kuliby się gdzieś pod dachem. To bezpańskie zwierzę nie potrzebowało domu, żyło dzięki własnej przebiegłości, własnemu sprytowi i własnej szybkości. Ludzie nigdy nie pieściliby zwierzaka takiego jak ten, ani nie wzięliby go do domu, ponieważ był ulicznikiem i wyglądał jak ulicznik. Czarna sierść na jego grzbiecie była rzadka, a w miejscach, które najbardziej ucierpiały podczas walk o pożywienie, niemal całkowicie wytarta. Jedno ucho było tylko poszarpanym strzępem, kikutem sterczącym na jego głowie; pies, który go tak okaleczył, mógł patrzeć teraz tylko jednym okiem. Pazury miał stępione od ciągłego biegania po betonie, ale wciąż były groźne, kiedy je rozczapierzył. Poduszcзки na jego łapach stwardniały niczym wyprawiona skóra. Kot poczuł zapach nocnego, wilgotnego powietrza. Jego oczy, w których odbijało się słabe światło ulicznej latarni, były szklisto żółte.

Skręcił w boczną uliczkę i pobiegł w stronę pojemników na śmieci, ukrytych tam w ciemnych wnękach. W nozdrza uderzył go zapach innych nocnych stworzeń. Kot znał większość tych zapachów; jedne były przyjazne, inne wzbudzały czujność i tak wyostrzonych zmysłów. Czaiły się tu stworzenia o ostrych nosach i długich ogonach, tchórzliwi przeciwnicy, którzy zamiast walki zawsze wybierali ucieczkę. Ale już poszli. Odeszły także inne stworzenia jego gatunku, które były tu wcześniej.

Kot skradał się, obwąchując leżące na ziemi odpadki. Wskoczył na pojemnik na śmieci i rozczarowany zobaczył, że był szczelnie przykryty. Pokrywa następnego pojemnika była lekko uchylona i przez wąską, półokrągłą szparę dolatywała woń zepsutej żywności. Kot z ciekawością wsadził nos w otwór, wpychając weń łapę, by odsunąć zmięty papier i śmieci z góry. Pokrywa drgnęła nieco, poruszona natarczywym grzebaniem zwierzęcia, i odsunęła się jeszcze bardziej, gdy stworzenie wepchnęło w powiększający się otwór najpierw łeb, a później przednie łapy; w końcu ześlizgnęła się ze zgrzytem z krawędzi pojemnika i z głośnym brzękiem spadła na ziemię. Kot uciekł, przerażony hałasem, który sam spowodował.

Zatrzymał się u wylotu uliczki, nastawił zdrowe ucho, łowiąc nieprzyjemne dźwięki. Węszył, unosząc wysoko nos, by wyczuć wrogie mu zapachy. Zwierzę zeszywniało, kiedy

wywęszyło w powietrzu lekko cierpki zapach, i rzadka sierść na jego grzbiecie zaczęła się jeżyć. Jak parę minut wcześniej inne istoty z jego gatunku, tak teraz i kot poczuł obecność czegoś dziwnego, czegoś, co w jakimś stopniu związane było z człowiekiem, ale człowiekiem nie było. Napierało na sparaliżowanego strachem kota jak pełzający stwór, cień, który łączył się z innymi cieniami. Przerażone stworzenie wyszczerzyło zęby i zasyczało. Coś poruszało się na środku mokrej, błyszczącej drogi.

Kot wygiął grzbiet, każdy włos na jego ciele stał się sztywny i zjeżony, otworzył szeroko pyszczek w syczącym charczeniu. Prychnął wyzywająco, chociaż się bał, jego zwężone oczy pełne były jadu. Uliczne latarnie przygasły, jakby zasnęła je mgła, i mokre chodniki nie rzucały już świetlnych refleksów. Głośny, metaliczny dźwięk dobiegł ze środka drogi, gdy pokrywa wjazdu zadrżała i zaczęła się unosić. Została wypchnięta do góry, położona na jezdni i coś czarnego zaczęło się wynurzać z wjazdu. Kot rozpoznał kształt, który pojawił się na krawędzi otworu. Wiedział, że to ludzka ręka. Instynktownie jednak czuł, że ręka ta nie należy do człowieka.

Kot zasyczał raz jeszcze, potem uciekł, z jakiegoś powodu szukając światła, a nie ciemności.

Trzech młodych ludzi czekało w rozwalającym się baraku na błoniach. Dwóch białych i jeden czarny. Ćmili papierosy i dla rozgrzewki przytupywali.

- Dłużej już nie zostaję - oznajmił kolorowy chłopak. - Za zimno, kurwa.

Nazywał się Wesley i miał wyrok w zawieszeniu za kradzież torebki.

- Zamknij się i poczekaj jeszcze chwilę. Już niedługo - powiedział jeden z jego kumpli. Nazywał się Vincent i miał wyrok w zawieszeniu za próbę zabójstwa ojczyma.

- Nie wiem, robi się późno, Vin - powiedział trzeci młodzieniec. - Chyba nikt nie przyjdzie.

Miał na imię Ed, koledzy myśleli, że to zdrobnienie od Edwarda, ale tak naprawdę pochodziło od Edgara, niedawno wyszedł z poprawczaka.

- Więc co chcecie zrobić? Iść na chatę? - spytał swoich dwóch przyjaciół Vincent. - Macie jakąś forszę na jutrzejszą noc?

- Nie, ale jest kurewsko zimno - raz jeszcze powiedział Wesley.

- Tobie zawsze jest, kurwa, zimno. Tęsknisz za Karaibami, co?

- Nigdy tam nie byłem. Urodziłem się w tym cholernym Brixton.

- Daruj se, masz to we krwi. Wam wszystkim brakuje tego cholernego słońca, z tego kręcą się wam włosy.

- Odczep się od niego, Vin - warknął Ed, patrząc w mrok na zewnątrz baraku. - On się przyłącza do Frontu, nie?

- Gadanie! Nie przyjmą go! Sam jest czarnuchem.

- Fakt, ale nie chcę, żeby się ich tu więcej zwaliło. Szczególnie tych Pakistanów - zaprotestował Wesley. - I tak jest ich tu cała kupa.

Pozostali dwaj zawyli z zachwytu. Wyobrazili sobie, jak Wesley maszeruje razem z Frontem Narodowym, trzymając transparent ANGLIA TYLKO DLA BIAŁYCH. Tego im było za wiele. Wesley był tak zdziwiony ich rehotem, że nawet nie poczuł się dotknięty. Po chwili śmiał się razem z nimi.

- Zamknijcie mordy - powiedział nagle Ed. - Chyba ktoś idzie.

- Dobra, bierz się do roboty, Ed - rzucił Vin, zrywając się na nogi. - Wes i ja będziemy tam w krzakach.

- Dlaczego zawsze ja? - zaprotestował Ed. - Teraz wasza kolej.

Vince poklepał go po policzku, ostatnie uderzenie było trochę mocniejsze niż poprzednie.

- Dlatego, że jesteś taki śliczny. Bardziej im się podobasz niż my. Myślę, że jesteś jednym z nich, no nie?

Ed nie po raz pierwszy w życiu przeklął swoje piękne, jasne loki. Wolałby mieć brzydką jak Vince, krostowatą twarz i krótkie rude włosy, a nie wyglądać zupełnie jak dziewczyna.

- A dlaczego nie Wes?

- Coś ty? Nie wiesz, że oni nie ufają kolorowym? Biorą ich wszystkich za bandziorów - szturchnął dla zabawy czarnego przyjaciela. - Co nie, Wes?

Wes uśmiechnął się w ciemności.

- Człowieku, te skurwysyny mają rację - powiedział, naśladowując akcent swego ojca.

Vince i Wesley wybiegli szybko z baraku, śmiejąc się i poszturchując nawzajem. Ed czekał w milczeniu, kończąc peta i nasłuchując kroków. Błonia były ulubionym miejscem schadzek kochanków, spotykały się tu rozmaite pary, zwłaszcza odkąd w tej robotniczej dzielnicy zaczęli osiedlać się drobni urzędnicy. Codzienne dojazdy z odległych przedmieść do pracy w Londynie stały się zbyt kosztowne dla nouveau-pauvre. Dzielnica, która z upływem lat stała się mieszaniną ras, teraz szybko zaczynała być mieszaniną warstw społecznych. Ed rzucił półcalowy niedopałek na ziemię, następnie z kieszeni drelichowej kurtki wyciągnął kolejnego papierosa. Miał już wyjść z ukrycia, gdy usłyszał kroki dwóch osób. Schował się w ciemnościach.

Obok baraku przechodziła czule objęta para. Ed przestraszył się, że będą chcieli wykorzystać jego kryjówkę dla swoich celów, ale gdy poszli dalej, zdał sobie sprawę, że zatechły smród moczu zniechęciłby nawet najbardziej zdesperowanych kochanków. Zaklął pod nosem i wepchnął ręce głęboko do kieszeni. Nikt już nie przyjdzie, za późno, mruknął do siebie. Ale wiedział z doświadczenia, że niektórych samotnych ludzi nie odstrasza ani późna pora, ani pustkowie, w jakie się zapuszczają. Czasami Ed zastanawiał się, czy nie przychodzili specjalnie po to, żeby ktoś ich zaatakował. Może sprawiało im to przyjemność. Albo może była to podświadoma forma karanja siebie za to, czym byli. Ta ostatnia, głębsza refleksja została natychmiast zastąpiona przez inną, bardziej charakterystyczną dla sposobu myślenia Eda; może później są po prostu bardziej namiętni w łóżku.

Spojrzał w ciemność, w kierunku miejsca, w którym zniknęli Vince i Wes. Słabe światło pobliskiej latarni tylko nieznacznie rozpraszało ciemność. Już miał ich zawołać, wyobrażając sobie, jak obaj chichoczą i zabawiają się w mroku, gdy znów usłyszał jakieś kroki. Nasłuchiwał, chcąc się upewnić, że należą do jednej osoby. Tak, nie miał co do tego wątpliwości. Po kilku sekundach ukazał się mężczyzna.

Był szczupły, mniej więcej wzrostu Eda. Ciężki, związany paskiem płaszcz wisiał na nim, podkreślając raczej niż tuszując jego wąskie ramiona. Na pewno pedał, powiedział do siebie Ed, nie mając pewności, czy właściwie jest zadowolony z takiego fartu. Wiedział, że takich mężczyzn łatwo było obrobić, nie byli niebezpieczni, ale z jakiegoś powodu w środku zawsze się bał. Może dlatego zawsze był wobec nich bardziej brutalny niż jego koledzy. Miał jeszcze świeżo w pamięci, jak kiedyś postanowił obrobić jednego z tych facetów na własną rękę, lecz zamiast zaatakować wybraną ofiarę i uwolnić ją od portfela, sam dał się posunąć, a potem, łkając, uciekł, zanim mu zapłacono. Wstyd wciąż palił mu twarz i nawet zarumienił się w ciemnościach. Gdyby Vince i Wes dowiedzieli się o tym...

Ed porzucił dalsze rozważania na ten temat i wyszedł na ścieżkę prowadzącą przez błonia.

- Masz ogień, John?

Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie i rozejrzał nerwowo dookoła. Chłopak wyglądał porządnie, ale czy naprawdę jest sam? Czy powinien odejść, czy... spróbować?

Wyjął swoje papierosy.

- Może chcesz zapalić mojego? - spytał. - Są z filtrem.

- Jasne. Dzięki.

Ed włożył zmiętego papierosa z powrotem do kieszeni i sięgnął do podsuniętej paczki, mając nadzieję, że mężczyzna nie zauważy, iż trochę drży mu ręka.

- Jeśli chcesz, możesz wziąć całą paczkę - zaproponował nieznajomy z poważnym wyrazem twarzy. Mój Boże, o takiego nam chodziło, pomyślał Ed.

- Och, to wspaniale. Stokrotne dzięki.

Wsunął paczkę do innej kieszeni.

Mężczyzna przyglądał się twarzy chłopca w świetle płomyka zapalniczki. Stała się niewyraźna, gdy cofnął rękę, aby przypalić sobie papierosa. Po chwili zgasił mały ognek.

- Ale zimny wieczór, prawda? - zaczął ostrożnie.

Chłopak był atrakcyjny w dość ordynarny sposób. Czy jest tak naturalny, czy jest męską prostytutką? W obu przypadkach będzie chciał pieniędzy.

- Aha, zimno trochę. Mały spacerek?

- Tak, przyjemniej jest, kiedy nie ma ludzi. Nienawidzę tłumu. Mam uczucie, że dopiero w nocy mogę odetchnąć.

- To będzie pana kosztowało piątkę. Mężczyzna był trochę zdziwiony nagłą bezpośredniością chłopaka. A więc był prostytutką.

- Pójdziemy do mnie? - spytał, podniecenie wywołane pojawieniem się chłopca zaczęło gwałtownie rosnać. Ed potrząsnął głową.

- Nie, nie, musimy to zrobić tutaj.

- Zapłacę ci więcej.

- Nie, nie mam czasu. Muszę zaraz wracać do domu. Chłopak wydawał się trochę zaniepokojony i mężczyzna postanowił nie przeciągać struny.

- Dobrze, poszukajmy miłego zakątka.

- Tam będzie dobrze.

Chłopiec wskazał na kępę drzew i krzaków, i tym razem z kolei mężczyzna poczuł się zaniepokojony. Tam było tak ciemno, chłopiec mógł mieć przyjaciół, którzy tylko na to czekają.

- Chodźmy za barak - zaproponował szybko.

- Nie, nie, myślę, że...

Ale mężczyzna już obejmował Eda niespodziewanie mocnym uściskiem. Chłopiec pozwolił się prowadzić w kierunku drewnianego baraku, mając nadzieję, że przyjaciele ich obserwują. To byłoby podobne do tych dwóch skurwysynów, żeby czekali aż do ostatniej chwili.

Brnęli przez błoto z boku baraku, mężczyzna odgarniał krzaki, które mogły podrapać im twarze. Skręcili za róg, Ed został przyciśnięty do tylnej ściany baraku. Twarz stojącego przed nim mężczyzny zbliżała się do niego, wydawała mu się coraz większa, tylko całe

dzieliły go od niej i Ed poczuł narastające obrzydzenie. Niecierpliwe palce pociągnęły za suwak jego dzinsów.

- Nie! - krzyknął, odwracając w bok głowę.

- Chodź. Nie bądź taki skromny. Bardzo tego chcesz, tak samo jak ja.

- Odpierdol się! - wrzasnął Ed i odepchnął mężczyznę, uderzając go w piersi. Twarz znów paliły mu rumieńce, łzy wściekłości zamglily oczy.

Mężczyznę ogarnął strach. Zatoczył się do tyłu i patrzył na młodzieńca. Zaczął coś mówić, ale chłopak rzucił się na niego, okładając go wściekle pięściami.

- Przestań! Przestań! - krzyczał mężczyzna, przewracając się do tyłu. Ed zaczął go kopać.

- Ty pieprzony pedale!

Mężczyzna próbował się podnieść, jęcząc teraz ze strachu. Musi uciekać, ten chłopak ma zamiar go skrzywdzić. I policja może usłyszeć odgłosy bójki.

- Zostaw mnie w spokoju! Weź moje pieniądze! - Mężczyźnie udało się sięgnąć do kieszeni. Rzucił w napastnika portfelem. - Weź go! Weź go, ty gówniarzu! Tylko zostaw mnie w spokoju!

Ed nie zwrócił uwagi na portfel i wciąż walił pięściami i kopał skuloną u swych nóg postać, dopóki nie osłabły mu ręce i nogi, a gniew nie ustąpił. Cofnął się, trafiając na ścianę baraku i stał tam, opierając się o nią; pierś mu falowała, nogi miał jak z waty. Słyszał, jak krzyczy pobity mężczyzna, ale z jakiegoś powodu nie mógł go już dojrzeć tam na ziemi. Ciemność nocy stała się jakby jeszcze bardziej nieprzenikniona.

- Vin! Wes! - zawołał, kiedy złapał już oddech. - Gdzie, kurwa, jesteście?

- Tutaj, Ed.

Młodzieniec podskoczył słysząc ich głosy tuż nad uchem. Zdawało mu się, że dochodzą z jego mózgu. Ledwo widział ich ciemne sylwetki, gdy wynurzyli się zza rogu baraku.

- Gdzieście byli, do cholery? Sam musiałem go załatwić. Bierzymy jego forszę i spływamy.

- Coś ty, Ed. - To był głos Vince'a. - Najpierw zabawimy się trochę.

Usłyszał, jak Wesley chichocze.

To głupota, pomyślał Ed. Lepiej się wynieść stąd... jednak byłoby przyjemnie zrobić coś temu pedałowi... coś wstępnego... był bezradny... nikogo nie ma w pobliżu... coś, co by mu sprawiło ból... coś...



Teraz słyszał w głowie inne głosy, nie tylko swój własny. Coś skradało się długimi korytarzami jego mózgu, zimne palce dotykały i badały go, palce, które mówiły do niego i śmiały się z nim. A on prowadził je, wskazywał im drogę.

Chłód stał się wszechogarniający, gdy nagle zamknął go w swoim lodowatym uścisku, sprawiając mu tym radość; szok zmienił się w przyjemność podobną do działania zastrzyku znieczulającego. Już nie był sam. Razem z nim były głosy, które mówiły mu, co ma robić.

Vince i Wes już zaczęli, i wilgotna ziemia, którą wpychali w usta walczącego mężczyzny, tłumiała wszystkie krzyki.

Stacja benzynowa - oaza światła w panujących dookoła ciemnościach - znajdowała się na skraju błoni. Żółty ford escort wtoczył się na podjazd i miękko zahamował przed dystrybutorem. Kierowca zgasił silnik, usiadł wygodnie, by poczekać, aż obsługujący stację wyjdzie ze swojego biura. Pasażerowie samochodu nie wiedzieli, że człowiek pracujący na tej zmianie, w istocie kierownik stacji, przed dwudziestoma minutami skoczył na tył budynku zamknąć toalety, gdyż nie chciał, by o tak późnej porze wałęsali się tam jacyś klienci. Z żalem musiał wcześniej zwolnić pracownika, który zwykle obsługuje stację; widać było, że rozbiera go grypa i kierownik nie chciał ryzykować, że sam się zarazi. Osiągał tak niewielkie zyski, że nie mógł sobie pozwolić na chorobę i pozostawienie stacji w rękach personelu. Przy ich machlojkach zbankrutowałyby w ciągu tygodnia. Zazwyczaj nikt w nocy nie zostawał sam na stacji, gdyż stawała się wtedy łatwym obiektem napaści, ale dziś nie miał wyboru. Pilnował, żeby drzwi biura, wychodzące na podjazd, były stale zamknięte i dokładnie przyglądał się każdemu klientowi, który przyjechał po benzynę, zanim je otworzył. Jeśli jego wygląd mu się nie podobał, przekreślał tabliczkę z OTWARTE na ZAMKNIĘTE, nie zwracając uwagi na rzucane pod jego adresem przekleństwa. Było już dobrze po dwunastej, gdy przypomniał sobie, że toalety są ciągle otwarte.

- Na pewno jest czynna, George? - spytała gniewnie kobieta, siedząca obok kierowcy.

- Wydaje mi się, że nikogo tu nie ma.

- Przecież jest napisane OTWARTE - odpowiedział mąż. - A poza tym, spójrz na drzwi do kasy. Tam też jest tabliczka OTWARTE.

- Może powinienes zatrąbić, George - z tylnego siedzenia odezwał się teść kierowcy.

- Dam mu jeszcze chwilę. Może jest gdzieś z tyłu. - George nie należał do ludzi energicznych.

Jego żona, Olwen, podciągnęła brzeg falbaniastej sukni, obszytej cekinami, zbierając ją ciasno w fałdy nad kolanami, w obawie by szyfon i warstwy siatki nie pobrudziły się w samochodzie. Ogromna polietylenowa torba, zawieszona obok jej siedzenia, chroniła

starannie uszytą balową suknię i futrzaną narzutkę przed niewidzialnym brudem. Jej wysoko ułożona fryzura musnęła dach samochodu, gdy przesuwała się, aby wyjrzeć przez okno, a usta zacisnęły się w cienką, prostą linię.

- Powinniśmy wygrać - oznajmiła srogo.

- Posłuchaj, Olwen - powiedział cierpliwie George. - Nigel i Barbara byli świetni.

- Oczywiście, broń ich. A to, że dwa razy wpadli na nas na parkiecie, to się nie liczy?

Nawet nas potem nie przeprosili. Tak się miotali, jakby nikogo innego nie było na sali. Powinniśmy wnieść sprzeciw. Cholerni sędziowie nic nie zauważyli.

- Przecież zajęliśmy drugie miejsce, kochanie.

- Drugie miejsce! Jak to z tobą. Zawsze będziesz drugi.

- Nie ma powodu do takiej kłótni - upomniał ich ojciec Olwen.

- Zamknij się, Huw - oburzyła się ściśnięta obok męża na tylnym siedzeniu matka Olwen. - Olwen ma rację. Ta dziewczyna mogłaby już być mistrzynią tańca.

Nie dodała „z innym partnerem”. Nie było takiej potrzeby.

- Nie zwracaj na nie uwagi, George - wtrącił Huw. - One są zawsze niezadowolone.

- Niezadowolona? A z czego mam być zadowolona? Co ty mi dałeś w życiu?

- Jeszcze chwila i dam ci po buzi.

- Tato, nie odzywaj się tak do mamy.

- Będę się do niej odzywał, jak...

- Och, na pewno nie będziesz. Widzisz, Olwen, jaki on jest? Rozumiesz teraz, co ja musiałam znieść przez te wszystkie lata?

- Ty? To ja znosiłem twoje zrzęczenie.

- Zrzęczenie?

- Mama nie zrzędzi.

- Zrzędzi przez cały czas. Tak samo jak ty. Biedny George.

- Ja zrzędzę, George? Ja nigdy nie zrzędzę, George. Czy ja kiedykolwiek zrzędziłam, George?

- Długo nas nie obsługuje - skwitował George.

- Więc zatrąb na niego. - Olwen wyciągnęła rękę i nacisnęła klakson. - Leniwy facet, pewnie śpi pod kontuarem.

George przejechał serdecznym palcem i kciukiem po swoich cienkich jak ołówek, posmarowanych brylantyną wąsach i zastanawiał się przez chwilę, co by się stało, gdyby uderzył Olwen pięścią w nos. Oddałaby mu, ot, co by się stało. I uderzyłaby mocniej.

- O, idzie - zauważył, wskazując osobę, która wynurzyła się z panującej za stacją ciemności.

- Najwyższy czas, do cholery - warknęła Olwen.

- Nie przeklinaj, kochanie. To niezbyt ładnie.

- Będę przeklinała, jeśli będę miała na to ochotę.

- George ma rację, Olwen - powiedział jej ojciec. - To nie przystoi prawdziwej damie.

- Zostaw ją w spokoju, Huw - odezwała się jej matka. - Miała dzisiaj wystarczająco dużo stresów. George nie pomógł jej, pozwalając, żeby się przewróciła w pas redouble.

- Najlepsza część tego cholernego wieczoru - zauważył ojciec, uśmiechając się na samo wspomnienie.

- Tato!

- Nie zwracaj uwagi, Olwen. To właśnie cały on, cieszy się widząc, że jego córka robi z siebie idiotkę.

- Mamo!

- Och, nie miałam na myśli...

- Pięć „extra”, proszę - opuściwszy szybę, zawołał George do zbliżającej się postaci.

Mężczyzna zatrzymał się, uśmiechnął się do pasażerów w samochodzie i spojrzał na dystrybutory. Ruszył w ich kierunku.

-” Ale się grzebie, prawda? - zauważyła matka Olwen. - I dlaczego ma taki głupi uśmiech na twarzy?

- Spójrz, jak on wygląda - dodała Olwen. - Można by pomyśleć, że przed chwilą wyszedł z kopalni. Ciekawa jestem, czy kierownik wie, w jakim stanie jego personel pokazuje się klientom.

- Może on jest szefem - powiedział ojciec, śmiejąc się na tylnym siedzeniu, nie wiedząc, że kierownik leży martwy na podłodze w toalecie, z mózgiem rozbitym jak jajko uderzeniami cegły.

Patrzyli, jak mężczyzna zdejmuje dozownik z dystrybutora. Podchodzi do samochodu, trzymając wąż wyciągnięty jak pistolet podczas pojedynku. Jego na wpół zamknięte oczy nie przystosowały się jeszcze do różnicy między ostrym oświetleniem stacji a ciemnością, z której przed chwilą się wynurzył. Uśmiechnął się do czterech osób patrzących na niego z samochodu.

- Głupi facet - zauważyła Olwen. George wychylił głowę przez okno.

- Nie, kolego, powiedziałem „extra” a wciąż leci „super”.

Cofnął się szybko, gdy zobaczył, że tamten wpatruje się w czarną dyszę dozownika.

Na tylnym siedzeniu escorta ojciec Olwen miał zdziwiona minę. Zobaczył jakiś ruch na skraju otaczających stację ciemności. Były tam postacie, które się zbliżały. Wchodziły w strefę światła, następnie się zatrzymywały. Czekały. Patrzyły. Za nimi, wciąż w cieniu, stały inne. Co się, do diabła, dzieje? Dlaczego wpatrują się w samochód? Odwrócił się, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował, gdy zobaczył wepchnięty przez okno samochodu metalowy wylot węża pompy benzynowej i przerażona twarz George'a, który musiał odsunąć od niego głowę. Oniemiały ze zdziwienia ojciec Olwen mógł tylko patrzeć, jak palec wskazujący zaciska się na dyszy.

Trysnęła benzyna, oblewając głowę i ramiona George'a przezrystym płynem. Olwen zaczęła krzyczeć, kiedy wylot węża został skierowany na łono męża. Jej ojciec próbował przesunąć się do przodu i chwycić długą lufę węża, ale została zwrócona w jego stronę i upadł do tyłu, krztusząc się benzyną, która zalewała mu usta. Matka Olwen krzyczała teraz przeraźliwie, wiedząc, że ona i jej mąż znaleźli się w pułapce i są bezradni na tylnym siedzeniu dwudrzwiowego samochodu.

Krzyki Olwen stały się jeszcze głośniejsze, gdy jej suknia została nagle oblaną śmierzącym płynem. Próbowwała złapać klamko u drzwi, ale palce ześlizgiwały się jej z oblanego benzyną metalu.

Jej ojciec, wciąż krztusząc się paliwem, które połknął, mógł tylko patrzeć przerażony, jak końcówka węża faluje, a lejąca się z niej obfitym strumieniem benzyna wypełnia samochód szkodliwymi oparami i śmiertelnym płynem. Walił na oślep, piekły go oczy i nic nie widział. Olwen, płacząc, przesłoniła twarz rękami i tupiała nogami w podłogę samochodu. Jej matka próbowała się wcisnąć w przerwę między fotelem kierowcy a tylnym siedzeniem. Nagle strumień benzyny przestał płynąć i dysza została wyciągnięta z samochodu.

Ojciec Olwen musiał dojrzeć przez okno tylko tułów mężczyzny, ale to wystarczyło, by zobaczyć, jak rzuca dysze do kieszeni. Zaczął jęczeć, kiedy ujrzał pudełko zapalek, nagły jasny płomyk, gdy jedna z nich została zapalona, i nikły dym pozostawiony przez rzuconą na samochód zapalną.

Mężczyzna cofnął się, gdy wewnątrz escorta wybuchło oślepiającym płomieniem, jego twarz, lizana płomieniami, natychmiast zaczęła się łuszczyć. Wydawało się, że nie czuje bólu, kiedy schylił się po wąż leżący u jego stóp i skierował na siebie końcówkę dozownika. Jego palce objęły spust i zacisnęły się.

Chodził dookoła stacji, tak daleko, jak mu na to pozwalał wąż, rozlewając wszędzie benzynę. Sam był nią nasycony, ale wydawało się, że nie zwraca na to uwagi. W końcu zawrócił w kierunku małego, żółtego samochodu, który zamienił się teraz w szalejące piekło.

Z wewnątrz nie dochodziły już głosy pasażerów. Skierował na samochód strumień benzyny. Płomienie objęły także jego i stał tam krzycząc, dopóki nie zamienił się w czarną zwęgloną masę. Towarzyszące mu postacie odwróciły się od żaru i światła, znikając w ciemności, która musiała się cofnąć, gdy stacja benzynowa eksplodowała, zamieniając się w olbrzymią kulę ognia, która rosła setki stóp w powietrzu i rozświetlała nocne niebo.

Narastała Ciemność - złowrogi, skradający się mrok pozbawiony kształtu, ale pełen niewidzialnej energii, rozszerzający się duch, egzystujący tylko w innych duchach, coś niematerialnego, co wchłania ludzkie umysły wdzierając się do nich i poszukując ukrytych, stłumionych popędów, które się tam zrodziły. W jej obrębie istniały materialne, ciemne kształty, mające postać mężczyzn i kobiet, których wolą nie tylko rządziła, lecz którzy ucieleśniali materialną jej część, fizycznie odzwierciedlając zło, jakim była, jej ziemską siłę. Miała cierpkawy zapach plugawiący powietrze, gorzką woń, którą ludzie odczuwali, gdy błyskawica uderzyła w ziemię lub iskrzyły się w powietrzu przewody elektryczne. Była tajemniczą skazą na nocy.

Daleko za sobą Ciemność zostawiła ogień z wyjącymi syrenami i odległymi krzykami i rozkoszowała się nieprzeniknionym mrokiem, w który się wkradała, badając mackami cienie przed sobą, czując gdzieś blisko świeżą siłę, jeszcze nie wykorzystane ogromne źródło energii, skupisko mrocznych umysłów - splecionych łańcuchem - które były właśnie tą substancją, której potrzebowała.

Sączyła się przez łękę na szeroką ulicę, unikając pomarańczowych świateł latarni, falując wokół nich jak strumień wymywający kamienie ze swego koryta. Wraz z nią płynęły tajemnicze postacie, kilka z nich padło wyczerpanych brakiem jedzenia lub wody, ich ciała zostały doprowadzone w końcu do ruiny, jak nie naoliwione lub pozbawione paliwa maszyny. Jedni umarli - inni dołączą do nich później - a umierając uwolnią część siebie: tę ich wewnętrzną ciemność, którą tłum powita z radością.

Zamajaczył długi mur i Ciemność przepływała nad nim, pozostawiając na dole idących z nią, bezradnych, nagle przestraszonych ludzi. Spieszyła do śpiących w Wandsworth więźniów. Wkradała się przez otwory, chwytając i pochłaniając umysły, wrażliwe i chętne. Nie wszystkie jednak. Ale i te nie przetrwają długo.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Dzwonek telefonu wyrwał Bishopa z głębokiego snu. To dziwne, ale po śmierci Lynn, od której minęły już dwa tygodnie, uwolnił się od prześladowającego go koszmarne snu o tym, że się topi. Może nastąpiło to za sprawą przeżycia w domu dla obłąkanych owej nocy,

kiedy sen stał się rzeczywistością, posuniętą niemal do granic śmierci. Odrzucił kołdrę i zapalił stojącą obok łóżka nocną lampkę. Mały budzik wskazywał parę minut po drugiej. Ogarnięty niepokojeni dźwignął się z łóżka i po wyłożonych dywanem schodach zszedł do holu. Chwycił słuchawkę.

- Bishop? Tu inspektor Peck.

- Co się stało?

Teraz senność zupełnie opuściła Bishopa. Głos Pecka był nagły.

- Nie mam dużo czasu, słuchaj uważnie i zrób to, co ci powiem.

Bishop poczuł skurcz żołądka.

- Chcę, żebyś zamknął drzwi frontowe i kuchenne - powiedział Peck. - Sprawdź wszystkie okna, upewnij się, czy są zamknięte.

- Co się dzieje, Peck?

- Masz jakiś pokój, w którym możesz się zamknąć?'

- Tak, ale...

- To zrób to. Zabarykaduj się w środku.

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Słuchaj, nie mam czasu, żeby ci teraz tłumaczyć. Mogę tylko powiedzieć, że coś się dzieje w pobliżu tej części Londynu, w której mieszkasz. Jest tak dużo wezwań, że oficer dyżurny nie może odejść od telefonu. Największy kłopot mamy z buntem w więzieniu Wandsworth.

- Chryste! Czy mogą z niego uciec?

- Chyba już to zrobili.

Na drugim końcu linii nastąpiła krótka przerwa.

- Chyba kilku strażników dołączyło do więźniów. Sprawy jeszcze bardziej zagmatwało wysadzenie stacji benzynowej po drugiej stronie błoni.

- Peck, czy to wszystko ma coś wspólnego ze sprawą Prysłaka?

- Tylko jeden Bóg to wie. Ale jeśli tak, to paru z tych szaleńców może przyjść po ciebie. Dlatego chcę, żebyś się zabarykadował. Boję się, że nie wystarczy mi ludzi, aby ci przysłać ochronę. Tak czy owak, mogę się mylić.

- Dzięki za ostrzeżenie. Powiedziałeś o tym Kulekowi i Jessice?

- Mój człowiek ciągle obserwuje ich dom. Przesłałem mu przez radio wiadomość, aby poinformował Kuleka o tym, co się dzieje. Pozwoliłem temu policjantowi tam zostać, chociaż naprawdę przydałby się nam gdzie indziej. Niestety, musiałem odwołać funkcjonariusza, który ciebie pilnował, dlatego dzwonię. Będę spokojniejszy, jeśli zrobisz to, o co cię proszę.

- W porządku. Ale powiedz mi jeszcze jedno. Wierzysz w teorię Jacoba Kuleka?

- A ty?

- Zaczynam coraz bardziej w nią wierzyć.

- Taak, ja chyba też. Nie rozumiem jej, ale nie mogę w inny sposób wytłumaczyć tego, co się dzieje. Problem polega na tym, żeby przekonać moich zwierzchników. No, muszę kończyć. Nie ruszaj się z domu, zrozumiałeś?

Słuchawka została odłożona, zanim Bishop zdążył odpowiedzieć. Szybko sprawdził, czy frontowe drzwi są zamknięte i zaryglowane, i przeszedł na tył domu. Drzwi kuchenne, wychodzące na mały ogródek, też były zamknięte. Teraz trzeba sprawdzić okna, pomyślał, ale zamiast to zrobić, postanowił najpierw zadzwonić do Jessiki; mimo policyjnej ochrony na pewno była straszliwie przerażona. Od śmierci Lynn widział ją tylko dwa razy: raz - kiedy przysłała do niego do domu, po tym jak dowiedziała się o tragedii w zakładzie psychiatrycznym, i parę dni później - na spotkaniu z Peckiem i jego przełożonymi, na którym był także zastępca komisarza. Odtąd nie próbowała się z nim zobaczyć i był jej wdzięczny za to, że zdawała sobie sprawę, jak wiele czasu potrzebuje, aby otrząsnąć się z szoku po stracie Lynn - tym razem na zawsze. Niepokoiło go to, że zamiast żalu po śmierci żony czuł złość. Dla niego zaczęła umierać przed laty. Przewidywał, że trawiona długą, przewlekłą chorobą umysłową nigdy nie wróci do zdrowia; to sposób, w jaki umarła, był powodem jego złości. Podobnie jak inni w tym domu, uległa nieznannej sile, która ją wykorzystała. Chciał pomścić tę potworną, choć litościwie szybką śmierć. Jeżeli Pryszlak był w to w jakiś dziwaczny sposób zamieszany, to on, Bishop, znajdzie sposób, aby mu odpłacić. Musi być na to jakiś sposób.

Wykręcił numer telefonu Jessiki, mając nadzieję, że po wiadomości przekazanej przez policjanta nie będzie jeszcze spała. Długo trwało, zanim słuchawka została podniesiona i odezwał się jej głos.

- Jessica, to ja, Chris.

Miała niespokojny głos, podobnie jak on parę minut temu, gdy zadzwonił do niego Peck.

- Chris, o co chodzi? Dobrze się czujesz?

- Nie przekazano ci wiadomości od Pecka?

- Nie, jakiej wiadomości? Chris, jest środek nocy. Spaliśmy.

- A ten policjant, który was pilnuje? Nic nie mówił?

- Nikt nam nic nie mówił. Na Boga, Chris, co się dzieje? Powiedz mi, co się stało?

Bishop zdziwił się.

- Peck zadzwonił do mnie przed chwilą. Powiedział mi, że polecił przekazać wam wiadomość. Na policję napływają informacje o kolejnych zajściach, Jessico. I chyba wszystkie mają miejsce po tej stronie rzeki.

- Jakie zajścia? - Jej głos był cichy, ale podenerwowany.

- Bunt w więzieniu Wandsworth. Jeszcze jakaś eksplozja na pobliskiej stacji benzynowej. I inne wydarzenia, o których nie miał czasu mi opowiedzieć.

- Czy on myśli, że to ma coś wspólnego...?

- Z Pryszlakiem i jego sektą? Nie ma pewności, ale doszedł do wniosku, że tak czy inaczej powinien nas ostrzec. Jessico, on powiedział, że jeśli coś w tym jest, to znowu mogą próbować nas dopaść.

- Och, Chris.

- Nie martw się, wszystko będzie w porządku. Na razie całe zamieszanie koncentruje się tutaj. Przed twoim domem stoi człowiek, który skontaktuje się ze swoim dowództwem, gdyby coś zaczęło się dziać.

- Ale co ty zrobisz?

- Nie martw się o mnie, zabarykaduję się. Ależ będzie nam głupio, kiedy dowiemy się, że te wydarzenia nie mają nic wspólnego z nami.

- Mam nadzieję... - Jessica przerwała w pół zdania. - Ktoś jest za drzwiami. Na pewno ten policjant z obstawy. Lepiej go wpuszczę, zanim obudzi ojca - jeśli do tej pory jeszcze się nie obudził.

- Przepraszam, Jessico. Chciałem się tylko upewnić...

- Nie mów głupstw, Chris. Cieszę się, że zadzwoniłeś. Poczekaj chwileczkę, tylko otworzę drzwi.

Bishop usłyszał brzęk słuchawki odkładanej na mały stolik, na którym, jak pamiętał, telefon stał w korytarzu. Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, przerywana dziwnymi, głuchymi dźwiękami wywołanymi przez zakłócenia atmosferyczne, następnie wydawało mu się, że usłyszał odgłos otwieranych drzwi frontowych. Z jakiegoś powodu zaczął odczuwać niepokój. Dlaczego policjant tak długo nie przekazywał wiadomości? Pewnie przyszło mu do głowy, że nie powinien niepokoić śpiących domowników. Im dłużej nic nie będą wiedzieli, tym lepiej dla nich. W końcu miał oko na to miejsce. Światło w holu, które Jessica zapaliła, gdy odbierała telefon, mogło skłonić go do zmiany decyzji i natychmiastowego przekazania im wiadomości. Ale mimo wszystko Bishop nie mógł sobie wyobrazić, żeby któryś z ludzi Pecka nie wykonał dokładnie jego polecenia. A przecież Peck powiedział temu policjantowi, by natychmiast powiadomił Kuleka.



Ręka Bishopa mocno zacisnęła się na słuchawce, aż pobiełały mu knykcie.

- Jessico, słyszysz mnie?

Nasłuchiwał i wydawało mu się, że posłyszał po drugiej stronie zbliżające się kroki.

- Jessica?

Trzask, a następnie przerywany sygnał, gdy na drugim końcu odłożono słuchawkę na widelki.

Bishop zwolnił, skręcając z głównej Highgate High Street w wiejską drogę. Przez Londyn przejechał szybko, gdyż o tej porze ruch był niewielki, tylko w pobliżu Westminsteru przejeżdżały kolumny samochodów i karetok policyjnych, wezwane do nagłych wypadków po drugiej stronie rzeki. Bishop próbował jeszcze raz zadzwonić do Jessiki, ale tym razem sygnał był cały czas zajęty. Starał się także ponownie skontaktować z Peckiem, jednak detektyw wyszedł już z biura. Nie mając pewności, czy nie wyolbrzymia sytuacji, Bishop zostawił mu wiadomość i wyruszył do domu Kuleka. Wychodząc, ostrożnie przekraczał próg frontowych drzwi, niemal się spodziewając, że zostanie zaatakowany. Ulica była opustoszała.

Znalazł wąską alejkę, prowadzącą do domu Kuleka i wjechał w nią; reflektory samochodu rzucały przed siebie długi snop światła, odpychając ciemność. Małe, eleganckie domki szybko migały za szybą. Droga prowadziła w dół i w oddali widział jasno oświetlone miasto. Delikatnie nacisnął hamulec i zredukował bieg, wiedząc, że tuż przy zakręcie w prawo znajduje się dom Kuleka. Zahamował, gdy zobaczył pojazd zaparkowany naprzeciw wejścia do domu. Był dobrze ukryty z boku alejki; drzwi od strony pasażera dzieliło nie więcej niż sześć cali od wysokiego, ceglanego muru, który zapewniał intymność sąsiedniej willi. Bishop zatrzymał się za nim i zobaczył, że samochód wygląda, jakby był pusty; zastanawiał się, czy policjant mógł osunąć się na siedzeniu, jeśli usnął lub, co możliwe, nie żył. Wyłączył silnik, lecz zostawił zapalone światła. Rzucając na siedzenie okulary, których używał podczas jazdy, wysiadł z samochodu.

Noc była zimna, ale zastanawiał się, czy chłód, który nagle poczuł, nie był wywołany czymś jeszcze. Ostrożnie podszedł do drugiego wozu i schylił się, by zajrzeć przez okno. Samochód był pusty.

Zobaczywszy, że drzwi nie są od wewnątrz zamknięte, pociągnął za klamkę i otworzył je. Radiotelefon, który ujrzał w środku, przekonał go, że się nie myli - to był samochód policyjny. A gdzie policjant? Musiał wejść do domu. Bishopowi zrobiło się jakoś głupio, że tak łatwo wpadł w panikę. Ale po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło, miał prawo stać się trochę nerwowy. Peck mógł powiedzieć swojemu człowiekowi, by został w domu Kuleka - to wydaje się logiczne, że zaniepokojony rozruchami w mieście chciał w ten sposób

zapewnić Jessice i jej ojcu większe bezpieczeństwo. Ale dlaczego odłożono słuchawkę, zanim skończył rozmawiać? Nagle zaklął w duchu i poczuł się jeszcze bardziej głupio. Linia była zajęta, kiedy próbował raz jeszcze zadzwonić do Jessiki - pewnie pomyślała, że przerwała połączenie i starała się do niego dodzwonić! Zachowuje się jak stara, rozhisteryzowana baba.

Wrócił do swojego samochodu, wyłączył światła, szybko przeszedł uliczkę i ruszył w kierunku podjazdu przed domem Kuleka. Zobaczył przy wejściu prostokąt światła, musiała to być oświetlona od wewnątrz szyba we frontowych drzwiach. Jeśli Jessica i jej ojciec śpią, to policjant będzie na nogach i może go wpuścić do środka. Jednak, mimo całego tego rozumowania, nie opuszczał go niepokój. W głębi duszy czuł, że sprawy przybrały zły obrót. Gdyby Bishop zobaczył zwłoki policjanta z poderżniętym od ucha do ucha gardłem, leżące w ciemności, na ziemi, nie dalej niż dwie stopy od niego, może odszedłby od tego domu.

Jego stopy chrzęściły na wysypanej żwirem ścieżce, gdy zbliżał się do zbudowanego ze szkła budynku, którego gładka zewnętrzna powierzchnia była tak ciemna jak otaczająca go noc. Światło przedostające się przez szybę wskazało mu drogę do drzwi frontowych, lecz kiedy wszedł na szeroki ganek, zawahał się. Bał się nacisnąć dzwonek.

Nie było to konieczne - drzwi już się otwierały. Padające z tyłu światło rzuciło cień na jej sylwetkę, ale głos wydał mu się znajomy.

- Witamy ponownie, panie Bishop. Czekamy na pana - powiedziała wysoka kobieta.

Jacob Kulek i Jessica siedzieli w salonie. Mieli na sobie tylko nocną bieliznę. Niska kobieta trzymała przy gardle niewidomego długi rzeźnicki nóż, którego ostrze pokryte było ciemnymi, czerwonymi plamami. Uśmiechnęła się do Bishopa.

- Nic wam się nie stało, Jessico, Jacobie? - spytał Bishop, stając w drzwiach.

Jessica z trudem oderwała oczy od ostrza przystawionego do gardła ojca.

- Chwilowo nie, Chris - odpowiedział niewidomy mężczyzna. - Niestety, jak nam powiedziano, nasz strażnik został zamordowany.

Wysoka kobieta wepchnęła Bishopa do pokoju, przykładając mu do pleców beretkę.

- Tak, panie Bishop - przyznała. - Minął pan po drodze tego nieszczęsnego policjanta. Muszę przyznać, że bardzo łatwo dał się zabić. Czyż spodziewałby się pan, że panna Turner mogłaby komukolwiek poderżnąć gardło?

Niska kobieta rozpląnęła się w uśmiechu.

- Ten dureń myślał, że jestem starą, bezradną żebraczką, która za dużo wypila.

- Wiedziałyśmy, że tam jest. My także obserwowałyśmy ten dom przez cały tydzień. Zechce pan usiąść, panie Bishop? Nie chcemy na razie ofiar, prawda? Później, oczywiście tak, ale jeszcze nie teraz.

Wysoka kobieta wskazała mu miejsce na kanapie obok Jessiki.

Bishop usiadł i w oczach Jessiki zobaczył przerażenie. Wziął ją za rękę.

- Tak, to bardzo wzruszające, Christopher. Mogę cię nazywać Christopher?

Trudno było sobie wyobrazić, że wysoka kobieta nie jest po prostu członkinią Związku Kobiet, sprzedającą papierowe kwiaty w Poppy Day. Mały pistolet w jej dłoni i słowa, które wymówiła szybko, przypomniały Bishopowi, jak okrutne zło w niej tkwiło.

- Czy nie pamiętasz już swojej żony, Christopher? Tak mało dla ciebie znaczyła?

Zaczął podnosić się z miejsca, gdyż furia zdusiła w nim strach, lecz Jessica chwyciła go za rękę.

- Nie, Chris! - krzyknęła.

Nagle wysoka kobieta przestała być miła.

- Lepiej jej posłuchaj, Christopher. Wie, że jej ojciec natychmiast umrze, jeśli będziesz chciał sprawić nam jakiś kłopot.

Opadł z powrotem na kanapę, trzęsąc się ze złości.

- Teraz w porządku - powiedziała uspokajająco i znów powrócił jej miły sposób bycia. Usiadła na krześle z prostym oparciem, które stało pod ścianą, trzymając pistolet wycelowany w Bishopa. - Jesteś interesującym mężczyzną, Christopher. Wiele się o tobie dowiedziałyśmy w ciągu ostatnich tygodni. Przeczytałam nawet jedną z twoich książek. To dziwne, twoje teorie niewiele różnią się od koncepcji Borisa Prysłaka. I Jacoba Kuleka, który jest tu z nami, chociaż wydaje mi się, że przykładasz większą wagę do tego, co nauka może wyjaśnić, niż do tego, czego nie potrafi wytłumaczyć.

- Mogę spytać, kim był dla pani Prysłak? - zadał pytanie Kulek. - I czy mógłbym także prosić, żeby zabrały panie nóż. Utrudnia mi rozmowę. Na pewno wystarczy ten pistolet, który pani trzyma.

- Tak, Judith, myślę, że powinnaś przez chwilę odpocząć. Może usiądziesz na oparciu fotela i będziesz trzymała nóż przystawiony do serca Kuleka.

- Nie wierzę temu staruchowi - krótko odparła niska kobieta. - Nie wierzę żadnemu z nich.

- Ani ja, kochanie. Nie mogę sobie jednak wyobrazić, aby byli w stanie cokolwiek zrobić w ciągu tego krótkiego czasu, jaki im pozostał. Będę trzymała pistolet wycelowany prosto w głowę pana Bishopa.

Niska kobieta niechętnie zmieniła miejsce i Kulek poczuł, że czubek noża naciska jego pierś mocniej, niż to było konieczne.

- Czy teraz mogłaby nam pani opowiedzieć o swoich związkach z Prysłakiem - poprosił Kulek, pozornie niewzruszony.

- Oczywiście. Nie ma powodu, dla którego nie moglibyście o tym wiedzieć. Judith i mnie - przy okazji: mam na imię Lillian, Lillian Huscroft - wiele lat temu Dominie Kirkhope przedstawił Borisowi. Dominie wiedział, jakie zabawy lubiliśmy z Judith - mogę powiedzieć, że nasza znajomość była również intymnej natury - wiedział także, że jesteśmy dość bogate. W tym czasie Boris potrzebował pieniędzy na swoje eksperymenty. Potrzebował także ludzi, ludzi podobnych do niego. Gdybym miała podać wspólną cechę wszystkich członków specjalnie przez niego wybranej grupy, nazwałabym ją chyba „moralną niegodziwością”. Widzicie, my wszyscy byliśmy źli. Ale uważaliśmy to za cnotę, nie za słabość. Wiele osób myśli podobnie, lecz tłumi swoje instynkty z powodu fałszywych uprzedzeń, narzuconych im przez tak zwane cywilizowane społeczeństwo. My przy Borisie odnaleźliśmy wolność. Każdy grzeszny czyn zbliżał nas do upragnionego celu.

Zaśmiała się krótko i spojrzała szyderczo na trójkę swoich więźniów.

- Jakież porządek zapanowałby w aktach dotyczących nie wyjaśnionych zbrodni, gdybyśmy ujawnili rolę, jaką odegrało w nich wielu naszych członków. Policja nie posiadałaby się ze zdziwienia. Najtrudniej jest rozwikłać zbrodnie dokonane bez wyraźnych motywów, a obawiam się, że naszym dzielnym policjantom trudno będzie zrozumieć pojęcie zła dla samego zła.

- Mnie również trochę trudno to zrozumieć - powiedział spokojnie Kulek.

- I dlatego, jeśli mogę tak określić, Boris jest wybitnym innowatorem, a pan zaledwie przyziemnym teoretykiem. Szkoda, że nie przyjął pan jego propozycji, mógłby pan stać się tak samo wielkim człowiekiem jak on.

- Powiedziała pani Jest”. Czy mamy rozumieć, że Prysłak nie umarł?

- Nikt tak naprawdę nie umiera, Jacob.

- Policjant przed domem nie żyje - skwitował Bishop. - Moja żona nie żyje.

- Ich ciała to porzucone skorupy. Wierzę, że twoja żona jest nadal bardzo aktywna. Jeśli chodzi o policjanta, to zależy od niego, w jaki sposób będzie dalej trwał, jakie siły w nim zwyciężą. Zapewniam was, to, że był przedstawicielem prawa, wcale nie oznacza, iż musiały w nim dominować siły „dobra”. Nic z tych rzeczy.

- O czym, do diabła, pani mówi?

- Ona chce powiedzieć, że o losie ludzkości decydują dwie niewidzialne siły - wyjaśnił Kulek. - Jeśli jesteś wierzący, możesz je nazwać Siłą Światłości i Siłą Ciemności. Biblia nawiązuje do nich wystarczająco często. Nigdy nie uświadamiamy sobie tego lub, jeśli

wolisz, zapomnieliśmy przez wieki o tym, że to były koncepcje naukowe, a nie tylko pojęcia religijne. Wydaje się, że Prysłak znalazł sposób wykorzystania tej siły, znalazł do niej klucz dzięki swej wiedzy z zakresu parapsychologii. Inni też doszli do tego w przeszłości, tylko my nigdy nie chcieliśmy się z tym pogodzić. Oni prawdopodobnie też nie zdawali sobie do końca z tego sprawy. Pomyśl tylko o znanych z historii tyranach, o ludobójcach, o geniuszach zła. W jaki sposób taki zwykły człowiek jak Adolf Hitler uzyskał tak nieprawdopodobną władzę?

- Wspaniale, Jacob - przyznała wysoka kobieta. - Naprawdę byłbyś pomocny Borisowi.

- Ale jaki jest ten klucz?

Kulek odruchowo pochylił się i ostry ból, wywołany ukłuciem noża, kazał mu szybko powrócić do poprzedniej pozycji.

- Nie wiesz, Jacob? No tak, oczywiście, przecież nie jesteś naukowcem. Niewiele wiesz o sile czystej energii. Czy masz pojęcie, jak ogromna energia tkwi w ludzkim mózgu? Czy słyszałeś o impulsach elektrycznych, wywołanych przez reakcję chemiczną, dzięki którym nasze ciała mogą funkcjonować przez całe życie? O energii, która nie znika, nie rozkłada się, tylko dlatego, że umiera nasze ciało. Siła elektryczna, Jacobie, którą można pozyskać. Jej potencjał jest nieograniczony. Możesz sobie wyobrazić jej zbiorową siłę? - Zaśmiała się znowu, ciesząc się tą chwilą triumfu, niska kobieta zawtórowała jej śmiechem. - Oczywiście, że nie możesz. Nikt z was nie może! Ale my to zrobimy. Już wkrótce!

- Energią elektryczną. - Twarz Kuleka stała się śmiertelnie blada. - To niemożliwe, musimy być czymś więcej.

- Jesteśmy, Jacob. Ale też i energia jest czymś więcej, niż sądzimy. Jest siłą fizyczną, ale widzisz, my nie doceniamy tego określenia. Zjawiska paranormalne są absolutnie normalne. Po prostu musimy to zrozumieć. Wydaje mi się, że to jest jedna z twoich doktryn.

- Sprawy, które dziś wydają się nam niezwykle, w przyszłości będą uchodziły za normalne.

- Tak, doprowadzi do tego coraz szybszy postęp nauki. Boris wyprzedził nas wszystkich i miał odwagę zrobić ostatni krok, aby udowodnić swoje odkrycie.

- Zabijając się?

- Uwalniając się.

- Nie, musi być coś więcej.

- Och, jest, i to było bardzo proste. Dla takiego człowieka jak Boris, oczywiście.

- Nie powie nam pani?

- Myślę, że nie. Wkrótce sami się dowiecie.

- Dlaczego pani nas tu trzyma? - spytał Bishop. - Na co pani czeka?

- Zobaczysz. To już długo nie powinno potrwać.

- Czy to ma coś wspólnego z dzisiejszymi zamieszkami po drugiej stronie rzeki?

- Tak, nawet bardzo wiele.

- Co się tam dzieje, Chris? - odezwała się Jessica. - Mówiłeś przez telefon, że w więzieniu wybuchł bunt.

- Wiem tylko jedno, że policja ma pełne ręce roboty i to nie tylko z powodu buntu.

Kulek westchnął ciężko i spytał:

- To ciemność, tak? Staje się coraz silniejsza? Dwie kobiety tylko uśmiechnęły się znacząco.

- Żadnych więcej pytań - powiedziała wysoka.

Bishop był zdziwiony. Kulek mówił o ciemności jak o jakimś szczególnym istnieniu, o sile samej w sobie. Siły Ciemności, tak to przedtem określił. Czy to możliwe, aby noc stała się siedliskiem tak wrogich mocy? Bishop był zdezorientowany, lecz zmusił się, by odrzucić te myśli i skoncentrować się na problemie, który wymagał natychmiastowego rozwiązania. Poczul się bezradny. Jeżeli zaatakuje wysoką kobietę, to nóż wbije się w serce Kuleka. Jeśli spróbuje obezwładnić niską, to sam dostanie kulę w głowę. Ich jedyną szansą był brak meldunków od policjanta do bazy - na pewno musi zgłaszać się tam co jakiś czas. Ale z drugiej strony, w takim zamieszaniu, jakie panuje po drugiej stronie Londynu, może to nie zwrócić niczyjej uwagi. Siedząca obok niego Jessica zadrżała i chciał ją znowu wziąć za rękę.

- Przestań - rozkazała wysoka kobieta. - Jeszcze jeden ruch i zabiję cię.

Bishop opuścił rękę i spróbował uśmiechnąć się uspokajająco do Jessiki.

- Myślę, że oczekiwanie denerwuje je bardziej niż nas.

- Stul pysk - syknęła niska kobieta. - Dlaczego go nie zabijesz, Lillian? On nie jest ważny.

- Poczekamy. Ale ostrzegam cię, Christopher, jeśli znowu się poruszysz lub coś powiesz, zastrzelę dziewczynę.

Z każdą minutą w pokoju rosło napięcie. Bishop zauważył, że niska kobieta co chwilę zerka na okrągły, stojący na kredensie zegar, a później na kamienną twarz koleżanki.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - stwierdziła w końcu.

- Wystarczy. Skoncentruj się, Judith, pomóż mi sprowadzić to tutaj.

Wysoka kobieta miała mokrą od potu twarz i od czasu do czasu przymykała oczy, a jej ręka, trzymająca pistolet, nieznacznie drgała. Wydawało się, że na niską kobietę działa podobna siła. Bishop napiął mięśnie, czekał na odpowiedni moment.

Nagle ta, która nazywała się Lillian, gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc i po chwili znów się uśmiechała.

- Judith, czujesz? Nadchodzi. Już wie.

- Tak, tak.

Judith miała zamknięte oczy jak w transie, ale w dalszym ciągu przyciskała Kulekowi nóż do piersi.

Wysoka kobieta miała niemal wniebowzięty wyraz twarzy i Bishop przesunął się trochę do przodu, gdy zaczęła mrugać oczami. Wyczuła jednak jego intencje, bowiem nagle wbiła w niego wzrok.

- Radzę ci się nie ruszać! - zdawało się, iż niemal wypluła te słowa.

- Nie! - krzyknął Kulek. Jessica i Bishop spojrzeli na niego. Ręce niewidomego mężczyzny rozczapierzyły się na poręczach fotela jak szpony, szyję wyciągnął do góry, >62  
ścięgnęła wystawały z niej jak sztywne pręty, oczy patrzyły niewidzącym wzrokiem w sufit.

- Jest tak blisko.

Niska kobieta zaczęła się śmiać, jej kragłe, pulchne ramiona unosiły się spazmatycznie. Wysoka wstała z krzesła i podeszła do Bishopa, teraz pistolet dzieliły tylko cale od jego głowy.

- Zaraz zobaczysz - powiedziała, jej oddech stał ostry, nierówny. - Teraz ujrzysz moc.

Zadrzał, napięcie w pokoju sięgnęło szczytu, ale coś jeszcze przytłaczało ich. Jessica z trudem chwytła oddech i wiedział, że jest śmiertelnie przerażona. Ogarnął go ten sam lęk.

Postać, która pojawiła się w drzwiach, sprawiła, że narastający w Jessice krzyk w końcu wybuchnął.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Bishop chwycił wysoką kobietę za nadgarstek, odepchnął pistolet, który trzymała przy jego twarzy, i jednocześnie zaciśniętą pięścią zadał jej silny cios w przeponę. Jej krzyk przeszedł w zdławione rżenie, gdy zgięła się wpół. Bishop wyrwał kobiecie beretkę z zaciśniętej dłoni. Odepchnąwszy ją, wyprostował się i odwrócił głowę ku niskiej kobiecie, która nadal wpatrywała się w stojącą w drzwiach postać. Zrozumiała zamiar Bishopa i zamachnęła się, by wbić nóż w serce niewidomego. Jednak Kulek był szybszy: gwałtownie przesunął się, tak że kobieta tracąc równowagę przechyliła się na poręczy fotela. Nie spadła wprawdzie na podłogę, lecz zachwiała się i gwałtownie wyciągnęła ręce, by uchronić się przed upadkiem. Chwyciła się oparcia fotela, a Bishop szybko podbiegł i uderzył ją w czoło

kolbą pistoletu. Zawyla i podcięta przez Bishopa runęła na podłogę. Pochylił się i wyrwał jej nóż, waląc pięścią i pistoletem, gdy próbowała się opierać.

Jessica podbiegła do ojca i objęła go.

- Nic mi nie jest - zapewnił ją, następnie zwrócił twarz w kierunku drzwi, wiedząc, że ktoś tam jest, chociaż nie mógł go zobaczyć.

Edith Metlock była blada i przerażona. Jej oczy wędrowały od jednej postaci do drugiej; oszołomiona nie mogła zorientować się w sytuacji. Oparła się o drzwi, kręcąc niepewnie głową.

- Przyszłam, żeby was ostrzec - zdołała powiedzieć.

- Edith? - spytał Kulek.

- Tak, ojczec, to Edith - odparła Jessica. Bishop podszedł do medium.

- Nie mogłaś przyjechać w lepszym momencie. Wziął ją za rękę i wprowadził do pokoju.

- Przyszłam, żeby was ostrzec - powtórzyła. - Drzwi były otwarte.

- One spodziewały się jeszcze kogoś - lub czegoś.

Wysoka kobieta, rozpaczliwie wciągając powietrze szeroko otwartymi ustami, wpatrywała się w medium. Bishop nie spuszczał jej z oka, gotów użyć broni, gdyby okazało się to konieczne.

- Edith, co cię tu sprowadza? - spytał Kulek. - Skąd wiedziałaś, że te dwie kobiety nas przetrzymują?

- Nie wiedziałam. Chciałam cię ostrzec przed Ciemnością. Idzie po ciebie, Jacob.

Niewidomy mężczyzna wstał i Jessica podprowadziła go do medium i Bishopa. Kiedy się odezwał, w jego głosie wyczuwało się raczej zainteresowanie niż strach.

- Skąd wiesz, Edith?

Bishop podprowadził ją do kanapy, na którą opadła, jak gdyby była kompletnie wyczerpana.

- Głosy, Jacob. Setki głosów. Byłam w domu, spałam. Wtargnęły w mój sen.

- Mówiły coś do ciebie?

- Nie, nie. Po prostu tam są. Słyszę je teraz, Jacob. Stają się głośniejsze, coraz bardziej wyraźne. Musisz stąd uciekać, zanim będzie za późno.

- Co mówią, Edith? Proszę, spróbuj się opanować i powtórz mi dokładnie, co mówią. Pochyliła się i ścisnęła jego rękę.



- Nie mogę ci powiedzieć. Słyszę je, ale jest ich tak wiele. Mieszają się ze sobą. Ale wciąż powtarzają twoje imię. On chce zemsty, Jacob. Chce ci pokazać, co osiągnął. I myślę, że boi się ciebie.

- Nieprawda! - Wysoka kobieta podniosła się na kolana, wystrzegając się własnego pistoletu, który teraz w nią był wycelowany. - On się niczego nie boi. On nie ma się czego bać.

- Pryszlak? Masz na myśli Pryszlaka, Edith? - spytał nieco ostrzej niewidomy mężczyzna.

- Tak. Już prawie jest tutaj.

- Mam zamiar wezwać policję - powiedział Bishop.

- Nie mogą ci pomóc, głupcze! - Złośliwy uśmiech wykrzywił twarz wysokiej kobiety.

- Nie są w stanie unieszkodliwić Pryszlaka.

- Ona ma rację - stwierdziło medium. - Twoja jedyną szansą jest ucieczka. To wszystko, co możesz zrobić.

- Tak czy inaczej, dzwonię po policję. Choćby po to, by zabrała te dwie.

- Już za późno, nie widzisz? - Wysoka kobieta wstała, jej oczy błyszczały. - Jest tutaj. Na zewnątrz.

Ramię, które od tyłu zacisnęło się na gardle Bishopa, było pulchne i silne. Wygiął się w łuk, kiedy niska kobieta wepchnęła mu kolano w krzyż. Wyciągnęła rękę, próbując wyrwać mu nóż.

Jessica usiłowała oderwać od niego kobietę, ciągnąc ją za włosy, lecz w rezultacie obie straciły równowagę i runęły na podłogę. Bishop próbował wywinąć się trzymającej go kobiecie, ale nie mógł oderwać zaciśniętego wokół gardła ramienia. Wziął zamach łokciem i uderzył do tyłu, czując, jak zagłębia się w jej miękkim, grubym ciele. Z całej siły zamierzył się jeszcze raz i poczuł pod sobą jej wierzgające nogi. Ucisk na gardle zaczął słabnąć, więc ponowił wysiłki. Udało mu się obrócić, a ponieważ nie chciała puścić ani jego szyi, ani ręki, nóż wbił się w jej obfite piersi, z których trysnęła krew. Wrzasnęła.

W końcu udało mu się wyzwolić z uścisku i odwrócił głowę, spodziewając się ataku wysokiej kobiety. Ale ta zniknęła.

Ktoś drapał go pazurami po twarzy i znów jego uwagę przyciągnęła wijąca się pod nim kobieta. Jej piersi zamieniły się teraz w czerwoną, lepkać maź, ale walczyła nadal, otwarte usta odsłaniały żółte, zepsute zęby. Dźwięki, które wydawała, przypominały warczenie rozwścieczonego psa, a oczy jej zachodziły powoli mgłą. Zaczęła słabnąć, rana podkopywała jej siły i już tylko wysiłkiem woli broniła się przed ostateczną kapitulacją. Odepchnął jej rękę

i niepewnie stanął na nogach, nie mogąc się zdobyć na współczucie wobec niemrawo poruszającej rękami Judith.

- Chris. - Jessica złapała go kurczowo za ramię. - Uciekajmy stąd. Skądinąd wezwiemy policję!

- Za późno.

Edith Metlock przez ramię patrzyła do tyłu na szklaną ścianę.

- Już tu jest - powiedziała bezbarwnym głosem. Bishop zobaczył ich własne odbicia na tle panującej na zewnątrz ciemności.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - zorientował się, że krzyczy. - Tam nic nie ma!

- Chris - powiedział spokojnie Kulek - proszę cię, sprawdź, czy drzwi wejściowe są zamknięte, a ty, Jessico, zapal wszystkie światła w domu, a także na zewnątrz.

Ale Bishop patrzył tylko na niego w milczeniu.

- Zrób, co mówi, Chris - ponagliła go Jessica.

Wybiegła z pokoju i poszedł za nią. Drzwi frontowe były uchylone i zanim Bishop je zamknął, wyrzał w noc. Z trudem mógł dojrzeć drzewa, którymi wysadzona była wąska, prowadząca do domu droga. Zatrzasnąwszy drzwi, zaryglował je. Odwrócił się i zobaczył, jak Jessica zapala wszystkie światła w holu. Minąwszy go, weszła na schody prowadzące do pokoiów na wyższym piętrze; Bishop poszedł za nią.

- Tam, Chris!

Jessica wskazała drzwi, sama znikając w innych. Ciągłe zdziwiony, Bishop posłusznie wykonał jej polecenie i znalazł się w dużej sypialni w kształcie litery L. Okna z tej strony domu wychodziły na miasto i uświadomił sobie, że zawsze w nocy można stąd było zobaczyć feerię świateł. Jednak tej nocy w migoczącej jasności było coś osobliwego. Wydawało mu się, że patrzy na miasto przez falującą koronkową zasłonę, za którą jarzące się światła przygasały, by po chwili znów jasno rozbłysnąć. Nie była to mgła, gdyż wówczas wszystko byłoby spowite szarym całunem. Była to ruchoma, czarna jak atrament ciemność, przez którą przebijały się tylko najjaśniejsze światła, inne były przytłumione, ledwo widoczne.

- Chris?

Jessica weszła do pokoju.

- Nie zapaliłeś świateł. Wskazał na szklaną ścianę.

- Co to jest, Jessico?

Zamiast odpowiedzieć, Jessica zapaliła górne światło, następnie podeszła szybko do nocnej lampki i także ją włączyła. Wyszła z pokoju i usłyszał, jak otwierają się kolejne drzwi. Bishop poszedł za nią i chwycił ją za rękę, gdy wynurzyła się z jednego z pokoiów.

- Jessico, musisz mi powiedzieć, co się tu dzieje.

- Nie rozumiesz? To Ciemność. To żyjąca istota, Chris. Musimy ją powstrzymać.

- Zapalając światła?

- To wszystko, co możemy zrobić. Pamiętasz, jak Edith, kiedy ją znaleźliśmy tamtej nocy, powstrzymywała Ciemność? Wiedziała instynktownie, że tylko tak może się jej przeciwstawić.

- Ale w jaki sposób ciemność może nam wyrządzić krzywdę?

- W taki sam sposób jak innym. Wydaje się, że żeruje na słabych i niegodziwych umysłach, wydobywa z nich zło, czyniąc zeń dominującą siłę. Nie rozumiesz, co się dzieje? A tamta noc w zakładzie dla umysłowo chorych - nie widzisz, jak ona wykorzystwała ich chore umysły?

Zobaczyła ból w jego oczach.

- Przepraszam, Chris, ale czy nie rozumiesz, jak ciemność podziałała na Lynn? Znow chciała cię zabić, podobnie jak inni. Coś nimi kierowało, nie rozumiesz tego? Wykorzystano ich umysły. To samo stało się podczas meczu. I na Willow Road. Pryszlak odkrył sposób, w jaki można wykorzystać zło tkwiące w ludzkiej podświadomości. Im większe jest to zło lub słabszy umysł, tym łatwiej jest...

- Jessico! - zawołał Kulek, stojący u podnóża schodów.

- Już idę, ojciec. - Spojrzała poważnie na Bishopa. - Pomóż nam, Chris. Musimy spróbować powstrzymać tę ciemność.

Potaknął, miał zamęt w głowie, wszystkie szaleństwa, jakie widział lub o których słyszał, potwierdzały jej słowa.

- Jessico, idź do ojca, sam zapalę tu resztę świateł.

Bishop sprawdził każdy pokój, zapalając światło nawet w łazience, chociaż jej dwie zewnętrzne ściany były częścią nielicznych murowanych fragmentów budynku, ale w suficie znajdował się duży świetlik. Przekręcił także przymocowany do ściany reflektor i skierował go na oszklony otwór. Kiedy w końcu zszedł na dół, Jessica zapaliła zewnętrzne światła, które zalały swym blaskiem teren wokół całego domu.

Bishop, Jessica i Kulek znow znaleźli się w salonie; Edith Metlock białym płóciennym ręcznikiem, który przyniosła jej Jessica, próbowała zatamować krew płynącą z piersi leżącej na podłodze rannej kobiety. Judith leżała nieruchomo z oczami utkwionymi w sufit, tylko od czasu do czasu zerkła na ogromne okno w ścianie.

- Co teraz? - spytał Bishop.

- Teraz możemy tylko czekać - odparł Kulek. - No i modlić się - dodał, mówiąc niemal do siebie. - Ale nie sądzę, żeby to coś pomogło.

- Raz jeszcze spróbuję złapać Pecka - oznajmił Bishop, kierując się do holu. - Potrzebny nam będzie także ambulans - dla niej. - Wskazał na ranną kobietę, leżącą na podłodze.

Jessica przywarła do ojca, oboje czuli niebezpieczeństwo, które zawisło teraz nad domem.

- Ojczy, czy to wszystko jest możliwe? Czy Prysłak naprawdę mógł znaleźć sposób na wykorzystanie tej siły?

- Myślę, że tak, Jessico. Ci, którzy badali to zagadnienie, zawsze zdawali sobie sprawę z jej istnienia. Pozostaje tylko pytanie: czy Prysłak ma władzę nad tą siłą, czy to ona nim rządzi? Myślę, że wkrótce się dowiemy, jeżeli prawdą jest to, co mówiła ta kobieta - Lillian. Czy możesz znaleźć moją laskę? Później powinnaś chyba pomóc Edith zająć się ranną. Jessica znalazła laskę Kuleka na podłodze za fotelem, w którym siedział; podała mu ją, a następnie podeszła do Edith, która klęczała obok krwawiącej kobiety.

- Co z nią?

- Ja... ja nie wiem. Chyba jest w szoku. Jeżeli odczuwa ból, nie okazuje tego.

Lniany ręcznik nie był już biały. Edith trzymała go przy długiej, ciętej ranie. Jej ręce, podobnie jak ubranie, były czerwone od krwi.

- Nie sądzę, żeby rana była głęboka, ale mocno krwawi.

- Przyniosę nowy ręcznik. Musimy rozciąć bluzkę i opatrzyć całą ranę.

Jessica poczuła, że drży, kiedy spojrzała w dół. Nieruchome źrenice kobiety zwęziły się i wyglądały jak główki szpilek, i z jakiegoś powodu na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech. Wydawało się, że nasłuchuje.

Edith spojrzała na szklaną ścianę. Ona także coś usłyszała.

- Edith, co to jest? - potrząsnęła nią Jessica.

- Otaczają nas.

Jessica popatrzyła na okno, ale zobaczyła tylko jarzące się na zewnątrz światła. Wydawało się, że nie świecą tak jasno, jak powinny.

Bishop wrócił do pokoju, na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

- Peck był nieuchwytny, ale człowiek z jego wydziału powiedział mi, że zamieszki przenoszą się chyba do tej części miasta. Stale napływają nowe wezwania, a brakuje już im ludzi. Poradził, aby nie opuszczać domu, a on przyśle kogoś tak szybko, jak to będzie możliwe. Nie zareagował nawet, gdy mu powiedziałem, że został zamordowany jeden z

funkcjonariuszy. Zdaje się, że jest jednym z wielu policjantów, którzy zginęli dzisiejszej nocy.

Wyjął z kieszeni kurtki mały pistolet, który tam wcześniej włożył.

- Jeżeli ktoś będzie chciał się wedrzeć, spróbuję go tym zatrzymać. Masz w domu jeszcze jakieś pistolety, Jacob? Niewidomy potrząsnął głową.

- Nic mi po nich. I myślę, że taka broń niewiele nam pomoże.

- Jacob, światła na zewnątrz przygasają - w głosie Edith Metlock słychać było przerażenie.

- Pewnie gdzieś zmniejszyli napięcie - powiedział Bishop, podchodząc do szklanej ściany.

- Nie, Chris - słabym głosem odparła Jessica. - Światła w domu palą się normalnie. Kulek odwrócił się w kierunku Bishopa.

- Chris, czy jesteś przy oknie? Odsuń się stamtąd, proszę.

- Ale na zewnątrz nic nie ma. Nic się nie rusza, z wyjątkiem...

- Co tam jest? Jessico, powiedz mi, co się dzieje?

- Cienie, ojczu. Cienie zbliżają się do domu. Odezwał się Bishop:

- Teraz światła ledwo się żarzą. Jakaś... ciemność... przypełza. Jest tylko parę stóp od okien. Cały czas się porusza.

Zaczął odsuwać się od szklanej ściany, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy dotknął oparcia kanapy. Nagle mogli dojrzeć już tylko swe odbicia, światła na zewnątrz były prawie niewidoczne. Narastało poczucie zagrożenia, mieli wrażenie, że coś wali się na nich, napiera na dom, przygniata, miażdży.

Edith Metlock z zamkniętymi oczami opadła na kanapę. Jessica wyciągnęła ręce do ojca, ale była zbyt przerażona, by podejść do niego. Kulek wpatrywał się w ciemność, jakby mógł ją ujrzeć, i zobaczył ją oczyma wyobraźni. Bishop skierował pistolet w stronę szklanej ściany, wiedząc, że nie naciśnie spustu.

- Nie może dostać się do środka! - krzyknął Kulek, podnosząc głos, chociaż w pokoju panowała absolutna cisza. - Nie ma materialnego kształtu!

Ale wyrzuszanie się ogromnych szklanych tafli połączonych cienkimi metalowymi listewkami zadało kłam jego słowom.

- Chryste Panie, to niemożliwe.

Bishop nie mógł uwierzyć własnym oczom. Szkło wyginało się jak zniekształcające lustro w gabinecie śmiechu w wesołym miasteczku. Podniósł rękę, by osłonić oczy, pewny, że w każdej chwili mogą się posypać odłamki szkła.

Ranna kobieta podciągnęła się do pozycji siedzącej, poplamiony ręcznik zsunął się z jej piersi i krew obfitym strumieniem spływała na kolana. Patrzyła na okna i śmiała się. Jej chichot zamarł, gdy, bez ostrzeżenia, wybrzuszenia szkła zniknęły i okno odzyskało normalny kształt. Przez chwilę nikt nie odważył się odezwać.

- Czy to już ko..? - zaczęła mówić Jessica, gdy rozsadzający uszy huk sprawił, że wszyscy podskoczyli ze strachu.

Pękła środkowa tafla szklanej ściany. Szyba na całej wysokości pokryła się siecią rys, przypominających promienie rozszczepionego światła. Po chwili rozległ się kolejny brzęk. Sparaliżowani strachem patrzyli, jak pękła sąsiednia tafla. Ujrzeni, jak ostre, biegnące we wszystkich kierunkach rysy tworzą dziwną układankę na odkształconym szkłe. Po chwili upodobniły się do pajęczej sieci. Kolejny huk. Pękła szyba z drugiej strony środkowej tafli. Tym razem dwie biegnące od dołu rysy złączyły się na szczycie, tworząc kształt postrzępionej góry.

Z niezwykłą siłą wszystkie tafle roztrzaskały się, a wpadające do pokoju kawałki szkła zasypywały znajdujące się tam osoby tysiącami śmiertelnych odłamków. Huk był tak wielki, jakby jednocześnie wypaliło sto pistoletów. Bishop upadł na kanapę, ubranie i włosy pokryte miał srebrnymi okruchami. Kulek odruchowo odwrócił się i schylił głowę, cały jego szlafrok najeżony był drobnymi kawałkami szkła jak kolcami jeżozwierza. Wstrząs odrzucił Jessikę do tyłu, długa, oddzielająca ją od okna kanapa stanowiła niemal całkowitą osłonę; krzyknęła i upadła, gdy odłamek szkła wielkości talerza rozplątał jej podniesione ramię. Kanapa posłużyła za osłonę również Edith Metlock i niskiej kobiecie.

Bishop, potrącając ranną kobietę, stoczył się na podłogę. Przez kilka chwil leżał nieruchomo, czekając, aż ustanie dzwonięcie w uszach, po czym podniósł się. Zobaczył, jak Kulek szuka po omacku Jessiki, powtarzając jej imię.

- Nic mi się nie stało, ojczu.

Próbowała unieść się na łokciu; Bishop drgnął, gdy zobaczył długą, czerwoną ranę na jej ramieniu. Podszedł do niej, akurat gdy Kulek pochylił się, by pomóc jej wstać. Okruchy szkła sypały się z nich jak strzępywany śnieg. Jessica miała drobne skaleczenia na czole, szyi i rękach, ale najgroźniejsza była rana na ramieniu. Bishop podtrzymywał ją razem z Kulekiem; wszyscy troje spojrzeli na zniszczoną szklaną ścianę, wpadające powietrze przeszło ich chłodem.

Na zewnątrz była teraz jedynie ciemność.

Stali nieruchomo, nie mając odwagi odetchnąć, czekając, aż coś się stanie. Pojawiła się pierwsza postać, stojąca tuż za strefą światła, tak że jej ciało było niewyraźne, spowite cieniem. Bishop uświadomił sobie, że upuścił pistolet.

Postać przestąpiła próg, z ciemności przechodząc do światła. Stała, przechyliła lekko głowę, zmrużyła oczy, jakby raziło ją światło. Była brudna, ubranie miała zmięte i poplamione. Mimo szoku, w jakim się znajdowali, poczuli zapach rozkładu.

- Kto tam jest? - spytał cicho Kulek, zwracając się, do Jessiki i Bishopa.

Żadne z nich nie mogło odpowiedzieć.

Mężczyzna wolno zwrócił ku nim głowę i, mimo pokrywającej go warstwy brudu, zauważyli, że twarz miał wymizerowaną i zniszczoną. Jego na wpół przymknięte oczy nie miały białek, a jedynie coś mętnego, szarozółtego. Zbliżał się do nich niemrawym krokiem.

Jessica zaczęła się cofać, ciągnąc za sobą ojca. Lecz Bishop nie ruszył się z miejsca. Mężczyzna miał puste spojrzenie, nieobecny wyraz twarzy; Bishop poczuł odrazę, gdy ujrzał zaschnięty śluz i ślinę spływającą po brodzie nieznanego. Ogarnął go jeszcze większy wstręt, gdy mężczyzna wyszczerzył do niego zęby.

Bishop rzucił się do przodu, przestraszony, lecz zdecydowany odeprzeć napastnika, zmiażdżyć to, co stało przed nim, tak jakby było odrażającym pajakiem. Popchnął mężczyznę i ku swemu zdziwieniu nie napotkał żadnego oporu, tak jakby przeciwnik w ogóle nie miał siły, został doprowadzony do stanu kompletnego wyczerpania, ledwie tliło się w nim życie. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, Bishop dźwignął go i wyrzucił z powrotem w ciemność. Stał chwilę, dysząc bardziej ze strachu niż z wyczerpania, i patrzył w noc. Wielu innych stało w cieniu, obserwując dom.

Cofnął się, a wówczas trzy postacie wybiegły z ciemności, wskoczyły do pokoju i zatrzymały się raptownie oślepione nagłym blaskiem. Byli to dwaj mężczyźni i kobieta: mężczyźni mieli na sobie szare drelichy, jeden był bosy; kobieta ubrana była normalnie. Bishop zauważył, że nie są tak wyniszczeni jak poprzedni intruz. Szybko rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu beretty i z radością rzucił się po pistolet częściowo schowany pod kanapą. Przyklękawszy na jedno kolano, wyciągał broń, gdy usłyszał krzyk Jessiki; kiedy się odwrócił, zobaczył, że jeden z mężczyzn chce go zaatakować. Chciał ich tylko odstraszyć, ale teraz, bez zastanowienia, wycelował w nadbiegającego mężczyznę i nacisnął spust. Niedoszły napastnik zatoczył się i runął na podłogę. Kula przeszła mu ramię. Kobieta przewróciła się o leżące ciało, lecz drugi mężczyzna okrążył ich oboje i pobiegł w kierunku Bishopa, który wciąż klęczał. Następna kula przebiła szyję drugiego napastnika.

- Chris, przed domem jest ich więcej! - ostrzegła krzykiem Jessica.

Widział, jak krążą tuż za strefą światła.

- Szybko na górę. Na dole nie mamy najmniejszej szansy!

Przeskoczywszy przez oparcie kanapy, podniósł Edith Metlock na nogi.

- Weź ojca na górę, Jessico. Zaraz przyjdziemy.

Oczy jego nie odrywały się od wyrosłego przed nim szerokiego muru ciemności, lekko drżącą ręką mierzył weń z pistoletu. Przy pierwszych dwóch strzałach Bishop miał szczęście, nie miał przecież wprawy w obchodzeniu się z bronią, nie był też przyzwyczajony do okaleczania ani zabijania ludzi, lecz zdawał sobie sprawę, że z tak bliskiej odległości praktycznie nie może chybić i że bez wahania wystrzeli do każdego, kto wejdzie do pokoju. Pociągnął Edith za sobą, a ona pozwalała się prowadzić, przyciskając ręce do uszu, jakby wciąż słyszała brzęk tłuczonego szkła. Była oszołomiona i słaba. Bishop czuł, jak strużki potu powoli spływają mu do oczu i pospiesznie wytarł czoło wierzchem dłoni. Ze zdumieniem ujrzał, że ręka poplamiona jest krwią; widocznie odłamki szkła musiały mu pokaleczyć twarz.

- Są przy drzwiach wejściowych! - krzyknęła Jessica. - Próbuje je wyważyć!

Słyszał głucho uderzenia dochodzące z holu.

- Na schody, szybko - rozkazał.

Przynajmniej nie będą mogli go tam dopaść. I może uda mu się powstrzymać ich, dopóki nie przybędzie policja. Jeśli w ogóle się zjawi.

Ręka, która chwyciła go za kolano i prze wróciła” należała do niskiej kobiety. Upadł ciężko, pociągając za sobą medium, a Judith rzuciła się na niego, niepomna na nękający ją ból. Odwrócił głowę, by uniknąć ostrych paznokci, i ujrzał, że pełzną ku niemu dwaj mężczyźni oraz kobieta, która trzyma w ręku kawał szkła, długi jak ostrze noża. Uniósł kolano, ze złością wbił je w pulchny bok znajdującej się nad nim kobiety, zwalając ją z nóg. Ciągłe leżąc na podłodze wycelował prosto w jej twarz. Nie zauważyła tego bądź też nie zrobiło to na niej wrażenia. Obezwładniony strachem Bishop nie mógł jednak nacisnąć spustu. Uchylił się przed spadającym nań wyszczerbionym szkłem i usłyszał, jak tłucze się o podłogę. Kobieta spojrzała na zakrwawioną rękę, po czym zaatakowała go jeszcze raz. Z całej siły uderzył w ramię, na którym się opierała; a gdy upadła, przystawił jej pistolet do karku. Kopiąc próbował uwolnić się od niskiej kobiety, z którą wciąż był splątany nogami, i w końcu udało mu się od niej oderwać. Celnym ciosem rzucił skrecone ciało na kanapę i myślał, że kobieta nie będzie już w stanie się podnieść. Nie do wiary, a jednak się mylił.

Rzuciła się na niego z siłą przerażającą u kogoś w takim stanie. Igiełki szkła w jego twarzy pod jej ciosami zagłębiały się dalej w skórę. Krzyknął. W pokoju byli teraz inni; mężczyźni i kobiety, wyszli zza zasłony ciemności, która im sprzyjała, niektórzy osłaniali,



inni mrużyli oczy przed jaskrawym światłem. Bishop poczuł, jak zadrżało pulchne ciało kobiety, gdy kula przeszła jej pachwinę, ale dopiero dwie następne sprawiły, że zaprzestała walki. Gdy się osuwała, nie dojrzał w jej oczach strachu, jedynie wyraz dziwnej rozkoszy.

Strzelił w tłum, który wtargnął do pokoju, i na moment chaotyczny ruch zamarł. Zyskał akurat tyle czasu, by podnieść się na nogi i chwiejnym krokiem podążyć w kierunku drzwi. Szorstko popychając Edith Metlock, wpakował dwie kule w najbliższej stojącego mężczyznę w szarym drelichu - ubraniu więziennym, jak się nagle zorientował. Mężczyzna zwałił się do przodu, gdy tylko Bishop zdążył zamknąć za sobą drzwi, drewniana framuga zadrżała pod ciężarem upadającego po drugiej stronie ciała.

Jessica i jej ojciec byli na schodach, dziewczyna spoglądała w dół przez balustradę. Po jej twarzy płynęły łzy wywołane panicznym strachem. Bishop czuł, że trzymana przez niego gałka się kręci i wiedział, że nie zdoła długo utrzymać zamkniętych drzwi.

- Ruszcie się! - krzyknął. - Weźcie z sobą Edith!

Szorstkie polecenie pobudziło Jessikę do działania. Wyciągnęła rękę przez poręcz i doprowadziła medium do schodów. Bishop odczekał, aż znikną mu z oczu, po czym puścił gałkę. Drzwi otworzyły się, a on zaczął strzelać do pokoju, aż broń wydała już tylko ostre trzask. Była pusta, pusta i bezużyteczna. Odwrócił się i uciekł.

Gdy przechodził obok ciężkich, drewnianych drzwi, ktoś wybił w nich szybę i chwycił go za ramię. Po chwili przebiła się inna ręka i złapała go za włosy. W tym momencie w domu zgasły wszystkie światła.

Walcząc, uświadomił sobie, że ktoś wdarł się do innej części domu i znalazł główny wyłącznik. Wy szarp ująć się z trzymających go dłoni, czuł, jak rozrywają mu marynarkę i wyrrywają włosy z głowy. Upadł na schody, słysząc w ciemnościach tupot nóg, wrzaski opętanych, krzyki triumfu. Przebijając się do góry, czuł sięgające po niego przez słupki balustrady ręce: drapały go po twarzy i dłoniach, rozrywały ubranie, starały się go przytrzymać. Jego kostka znalazła się w żelaznym uścisku i ktoś pociągnął go w dół. Jęczał głośno, czepiając się balustrady, rozpaczliwie broniąc się przed upadkiem w tłum. Dzikie krzyki i śmiechy rozsadały mu głowę, gdy wtem dotarł do niego ledwie dosłyszalny głos. Głos Jessiki. Ale słowa nie miały sensu.

- Zamknij oczy, Chris, zamknij oczy!

Poraził go jaskrawy blask zapalanego światła i przez chwilę pod zamkniętymi powiekami migwały srebrne i czerwone koła. Poczuł, że jest wolny i usłyszał pełne udręki wycie.

- Pospiesz się, Chris - tym razem był to głos Kuleka. - Na górę! Na górę! Póki nic nie widzą!

Bishop, mimo oszołomienia, poruszał się szybko. Znał drogę na górę. Dotarł na podest i zatoczył się na ścianę, przed oczami wciąż wirowały mu świetliste kręgi. Chwyciły go czyjeś ręce, lecz wiedział, że tym razem są to ręce mu przyjazne.

- Tędy, do sypialni - usłyszał głos Kuleka.

Ze schodów dochodziły ciężkie kroki, gdy niewidomy prowadził go do najbliższego pokoju, a przerażony głos Jessiki wykrzyknął:

- Zamknij oczy!

Tuż za nim jasny błysk zamroził wszystko w biały, pełen grozy bezruch. Doszły ich krzyki i odgłosy padających ciał. Bishop czuł raczej, niż widział, jak Jessica wbiega do pokoju i pośpiesznie zamyka drzwi; potarł oczy, by lepiej widzieć.

- Szybko, musimy zabarykadować drzwi!

Kulek potrząsnął ramieniem Bishopa.

Jessica zamknęła drzwi i podbiegła do masywnej toaletki.

- Chris, Edith, pomóżcie mi.

Zaczęła odsuwać ją od ściany.

Bishop parokrotnie zamrugał, stopniowo poczynając rozróżniać kształty. Przez długą szklaną szybę padało akurat tyle światła, by mógł zobaczyć dwie kobiety mocujące się z toaletką. Dołączył do nich i wkrótce mebel znalazł się przy drzwiach.

- Teraz łóżko! - krzyknął Bishop.

Podnieśli je, z ulgą stwierdził, że było bardzo ciężkie. Popchnęli je na toaletkę, wzmacniając barykadę. W korytarzu zadudniły kroki, usłyszeli ruch w pokoju obok. Coraz więcej biegnących nóg. Kroki zatrzymały się przed drzwiami. Poruszyła się gałka i Bishop oparł się mocno o prowizoryczną barykadę, szepcząc do innych, by zrobili to samo. Wzdrygnęli się, słysząc walenie, choć spodziewali się tego.

Drzwi zadrżały, ale szczęśliwie wytrzymały.

- Kim oni są? Skąd przyszli?

Jessica stała obok Bishopa, ale w mroku widział tylko biały zarys jej twarzy.

- Niektórzy z nich to więźniowie. Pewnie uciekli, gdy zaczął się bunt.

- Lecz znajdują się między nimi kobiety i inni mężczyźni. Wszyscy są straszliwie wyniszczeni.

- Ludzie, którzy zaginęli! To na pewno oni! Bóg jeden wie, co ich doprowadziło do takiego stanu.

- Jakiego stanu? - spytał Kulek, który także napierał na przewrócone łóżko.

- Są brudni, w łachmanach. Wyglądają na zagłodzonych. Pierwszy, którego wyrzuciłem, był słaby jak kociak.

Walenie w drzwi stawało się teraz coraz głośniejsze, jakby ci z zewnątrz uzbroili się w ciężkie przedmioty.

Głos Kuleka był ponury:

- To pierwsze ofiary. Cokolwiek ma władzę nad nimi, zupełnie nie dba o ich życie.

Wykorzystuje ich i niszczy.

- Ci silniejsi to pewnie późniejsze ofiary? Jak więźniowie.

- Na to wygląda.

Barykada zadrżała i Bishop zorientował się, że wyłamali zamek. Zaparł się mocniej o okrytą dywanem podłogę, przyciskając łóżko silniej do drzwi, drugą ręką chwycił się toaletki, by utrzymać równowagę. Kątem oka zauważył, że Edith Metlock opadła na podłogę, objęła głowę rękami i kołysała się na kolanach.

Nagły huk spowodował, że gwałtownie odwrócili się od okien. Jessica zakryła twarz, spodziewając się, że szkło zacznie znowu sypać się do środka. Ale jedynie czarny przedmiot pojawił się w polu widzenia i uderzył w szybę.

- Rzucają czymś w okna - powiedział zasapany Bishop. Nagle uświadomił sobie, że ustało walenie do drzwi.

- Nie puszczajcie łóżka - powiedział do Jessiki i jej ojca.

Przechodząc przez pograżony w mroku pokój, kopnął jakiś leżący na podłodze przedmiot. Niemal uśmiechnął się, gdy zobaczył, że był to aparat fotograficzny, do którego przymocowano prostokątny przedmiot. Jessica użyła flesza przeciwko tłumowi, krótkim mocnym błyskiem oślepiła i zatrzymała ścigającą go gromadę.

Zbliżył się do okna akurat wtedy, gdy następny przedmiot uderzył o szybę. Odruchowo odskoczył. Na szczęście szkło było wyjątkowo mocne i nie pękło, pojawiła się tylko biaława rysa. Bishop ostrożnie podszedł do okna i popatrzył w dół. Sypialnia wychodziła na ogród z tyłu domu, w cieniu drzew i krzewów zauważył sylwetki ludzi. Zobaczył, jak jakiś człowiek wyciąga cegłę z niskiego ogrodowego murku, potem przeskakuje na trawnik, podnosi ją do góry i wygina ciało, przygotowując się do rzutu. Ale cegła nie doleciała do okna, wysunęła się z rąk mężczyzny i z głuchym łoskotem upadła na trawę.

Cofnął się, ciągle patrząc w okno, z którego wyglądał Bishop; zniknął w krzakach i Bishop zauważył, że inni też odeszli. Mężczyzna stał się częścią cieni i odszedł wraz z pozostałymi.

Coś poruszyło się u jego boku i odwróciwszy głowę, Bishop zobaczył Edith Metlock wpatrującą się ponad wierzchołkami drzew w odległe miasto.

- O odchodzą - powiedziała po prostu. - Głosy już odeszły.

Jessica i Kulek podeszli do okna. Bishop pokręcił głową.

- Dlaczego nagle poszli? Przecież nie mieliśmy żadnej szansy?

Gdy Jacob Kulek odezwał się, słychać było w jego głosie zmęczenie. A kiedy Bishop odwrócił się do niego, dostrzegł zmęczenie również w jego poranej zmarszczkami twarzy. W chwili gdy niewidomy mówił, Bishop zorientował się, że jest na tyle jasno, iż może go widzieć.

- Świta - powiedział Kulek. - Teraz wszystko wydaje mi się szare, poprzednio było czarne. Uciekli przed światłem poranka.

- Dzięki Bogu - powiedziała cicho Jessica, pochylając się ku Bishopowi i przytulając do jego ramienia. - Dzięki Bogu, że to się skończyło.

Nie widzące oczy Kuleka skierowane były ku nadchodzącemu światłu. Świat był szary, niemal bezbarwny, ale już nie czarny.

- Nie, nie skończyło się. Boję się, że to dopiero początek - powiedział.

Część trzecia

I zaszumi nad nimi dnia onego jako szum morski. Tedy spojrzymy na ziemi a oto ciemność i ucisk; bo i światło zaćmi się przy wytraceniu jego.

Izajasz 5;30

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wielu błędziło bez celu po ulicach miasta: oszołomieni, z na wpół zamkniętymi oczami, z rękami podniesionymi jak tarcze, by osłonić się przed blaskiem słońca. Inni ukrywali się w zaciemnionych pokojach lub chowali w piwnicach różnych budynków, do których mogli znaleźć dostęp. Ruch londyńskich kolei podziemnych został zatrzymany, gdy wstrząśnięci motorniczowie opuścili swoje pociągi; widok niezliczonych, przejechanych przez nich w ciemnych tunelach ciał stanowił koszmar, którego nigdy nie zapomną. Zarządzono przeszukanie miejskich kanałów - poprzedniego dnia zgłoszono zaginięcie trzech mężczyzn przeprowadzających inspekcję - poszukujący ich też nie wrócili. Na ulicach

znajdowano trupy, ciała zmarłych były w większości wynędzniałe, odziane w łachmany. Niektórzy odebrali sobie życie, inni zmarli wskutek zaniedbania. Nie wszyscy znajdowali się w beznadziejnym stanie, ale będąc w szoku, nie potrafili wyjaśnić gwałtów, których dopuścili się nocą. Tych, którym udało się dotrzeć do domu, ukrywały rodziny. Gdy tylko znaleźli się bezpiecznie w środku, nalegali, by okna były stale zasłonięte przed światłem; z lękiem słuchali relacji z masowych aktów przemocy, jakich dopuszczono się ostatniej nocy, mając świadomość, że brali w nich udział, ale bojąc się zgłosić na policję. Ich najbliżsi, przerażeni tym, co się stało, mogli tylko nad nimi czuwać, nie chcieli szukać pomocy z zewnątrz, wiedząc, że na każdego, kto brał udział w rozruchach, robiono obławę i aresztowano. Dopiero w południe umilkły zawodzące syreny straży pożarnej, ale sygnały mknących ulicami karettek pogotowia słyhać było aż do wieczora. Nigdy dokładnie nie obliczono, ile osób straciło życie ani ile postradało zmysły tej pierwszej nocy grozy, gdyż późniejsze wydarzenia pochłonęły tak wiele ofiar w tak szybkim tempie, że niemożliwe było zgromadzenie szczegółowych danych, dotyczących strat materialnych i strat w ludziach. Podstawową sprawą było przetrwać, a nie rejestrować szczegóły.

Następnej nocy wszystko zaczęło się od nowa.

I powtórzyło się następnej nocy.

I następnej.

Tego popołudnia członkowie kongregacji zebrali się w Świątyni Nowo Wyświęconych wcześniej niż zazwyczaj; wiedzieli bowiem, że godzina policyjna, obowiązująca od siedemnastej, nie pozwoli opuścić domów i przybyć do nowoczesnego, pomalowanego na biało budynku. Kazano im czekać w milczeniu - brat Martin nie chciał, aby dowiedziano się o ich obecności w kościele - ale ich umysły wrzały z podniecenia. Bali się, ale jednocześnie byli pełni entuzjazmu. Ich przywódca powiedział im, co ma nastąpić, a oni uwierzyli jego słowom. Brat Martin posiadał wiedzę, gdyż rozmawiał z Ciemnością.

W pomieszczeniu w odległym końcu kościoła, który właściwie nie był kościołem, a raczej salą zgromadzeń z rzędami ławek w pobliżu ołtarza, który właściwie nie był ołtarzem, lecz wyszukany pulpit, siedział schludnie odziany mężczyzna; jego twarz oświetlał tylko pojedynczy płomyk świecy stojącej przed nim na stole. Oczy mężczyzny były zamknięte, a jego oddech rytmiczny. Wyczuł napięcie emanujące z sali za drzwiami i uśmiechnął się. To pomoże; wibracje strumienia myśli będą im przewodzić. Był gotów, podobnie jak oni. Prawie sto pięćdziesiąt osób. Ciemność serdecznie ich powita.

Nagle otworzył oczy; delikatne pukanie do drzwi wyrwało go z głębokiego zamyślenia. Do pokoju wszedł jeden z jego uczniów - wysoki, ciemnoskóry mężczyzna. Miał

trzydzieści parę lat, mocno kręcone włosy, w stylu afro, ale za to nosił tradycyjny garnitur. Brat Martin uśmiechnął się do niego.

- Czy wszystko gotowe? - spytał. Kolorowy mężczyzna był zbyt zdenerwowany, aby odwzajemnić uśmiech.

- Gotowe - zapewnił.

- Boisz się, bracie John?

- Bracie Martinie, cholernie się boję. Brat Martin roześmiał się głośno i jego uczniowi udało się do niego dołączyć.

- Nie ma się już czego bać, John. Długo czekaliśmy na tę chwilę, nie wolno nam się teraz wahać. Brat John nie wydawał się przekonany.

- Wiem, wiem. Ale co się stanie, jeśli się mylisz?

Brat Martin gwałtownym ruchem ręki uderzył kolorowego mężczyznę w policzek. Brat John nie sprzeciwił się temu, chociaż był przynajmniej o stopę wyższy od swego napastnika.

- Bracie John, nigdy nie wolno ci wątpić we mnie! Rozmawiałem z Ciemnością i powiedziano mi, co musimy robić. - Jego głos stał się łagodniejszy i wyciągnął rękę, by dotknąć policzka, na którym widniały teraz ślady jego palców.

- Korzystaliśmy z tego, co dali nam ci ludzie, bracie, ale teraz czas na coś więcej, na coś lepszego. Ich wiara zapewniła nam bogactwo, teraz pomogą nam zdobyć to, co przewyższa dobra materialne.

Podszedł do drzwi i odwrócił się do towarzysza.

- Czy napój gotowy? - spytał.

- Tak, bracie Martinie.

- Bracie John, miej we mnie wiarę. Otworzył drzwi i wszedł do sali - Do diabła z wiarą - mruknął Murzyn.

Kiedyś im to wystarczyło, przekonywali ludzi, że znajdą zbawienie, przyłączając się do brata Martina, przyjmowali od nich dary, jeździli po kraju, szukając nowych wiernych. Ludzie wierzyli w swego przywódcę, w człowieka, który głosił, że miłość polega na oddaniu siebie, oddaniu swych dóbr doczesnych. I brat Martin przyjmował wszystko, co ofiarowywali. Zwłaszcza kobiety. Brat Martin nigdy żadnej nie odprawił z kwitkiem, nawet najbrzydszej. Wszystko się w środku przewraca na myśl o niektórych sukach, z jakimi brat Martin szedł do łóżka. On, brat John, był bardziej wybredny.

Ich zwolennicy byli wdzięczni, kiedy im mówiono, że żądza jest taką samą częścią miłości jak uczucie: pożądanie oznacza prokreację, a ta prowadzi do zwiększenia liczby

potomstwa, które pójdzie śladami Pana. Z lubością słuchali, że grzech jest dobry, gdyż oznacza skruchę, i jedynie przez skruchę mogą nauczyć się pokory, a tylko uczucie prawdziwej pokory pozwoli im dotrzeć do Wszechmocnego. Grzesz dzisiaj, żałuj jutro - cóż może być lepszego? Jedyne problem polegał na tym, że brat Martin zaczął wierzyć w to, co sam głosił.

Osiem lat temu obaj byli zdziwieni, gdy podstępna sztuczka, polegająca na nadużyciu zaufania, by szybko wyłudzić trochę forsy, przerodziła się w stałe, dochodowe zajęcie. Pierwsze lata były jedną wielką zgrywą, po każdym spotkaniu obaj szaleli z radości, płacząc ze śmiechu, nie byli nawet w stanie zrobić wieczornej kasy. Wkrótce obaj zrozumieli, że pieniądze nie są jedyną korzyścią, którą mogą odnieść ze swej działalności. Słabość ciała szybko została przez nich uznana za grzech godny wyrzutów sumienia. Im większą skruchę czuli dzięki bratu Martinowi, tym mocniej brat Martin chwalił Pana za to, że zesłał go jako narzędzie ich grzechu. Gdy byli sami, mrugał na Johna i mówił: - Kto może oprzeć się twierdzeniu, że nielegalne pieprzenie się dobrze służy duszy? - Lecz brat Martin, alias Marty Randall, trzykrotnie złapawszy syfa w ciągu dwóch lat, zmienił stosunek do ich działalności.

Czy zwykła rzeźączka może doprowadzić do obłądu? Dziś kiła, jutro mogiła. Może po prostu uwielbienie, jakim otaczali brata Martina jego uczniowie, spowodowało, że sam zaczął w to wszystko wierzyć. Do momentu założenia Świątyni Nowo Wyświęconych Randall - brat Martin - był małą płótką, teraz składano mu cześć. Mogłoby to zawrócić w głowie każdemu frajerowi. On - brat John, alias Johnny Parker - obserwował z grozą, jak Randall zmieniał się przez te lata: jego kazania coraz mocniej poruszały uczuciami wiernych, każde z nich zawsze osiągało crescendo, które wszystkich członków kongregacji rzucało na kolana; klaskali i krzyczeli: Amen, bracie Martinie! Od czasu do czasu chichotali jeszcze we dwóch, gratulując sobie szczęścia i naiwności tłumu, ale zdarzało się to coraz rzadziej. A dzisiaj wieczorem brat Martin chyba naprawdę dostał bzika. Czy doprowadzi to do końca, czy robi to tylko po to, by sprawdzić ich wszystkich, udowodnić w megalomański sposób swoją władzę nad nimi, przeprowadzić eksperyment, który przerwie w ostatniej chwili? Brat John, alias Parker, miał nadzieję, że chodzi o to drugie.

Brat Martin szedł w kierunku pulpitu, po opuszczeniu mrocznego pokoiku oczy szybko przyzwyczajały się do panującej w sali jasności. Jego wejście powitał pomruk podniecenia, ludzie nerwowo zerkali na siebie, bojąc się tego, co ma się wydarzyć, jednocześnie oczekując niecierpliwie na to nowe, ale nie ostateczne doświadczenie. Niektórzy z tłumu w dalszym ciągu wątpili, ale ci i tak nie interesowali się zbytnio życiem. Wszystko,

co działo się w mieście, przydawało wiarygodności słowom brata Martina. Nadszedł czas i pragnęli być jednymi z pierwszych..

Brat Martin zwrócił ich uwagę na trzy olbrzymie czary, stojące na stole z przodu głównej nawy.

- Oto, drodzy bracia i siostry, nasz eliksir - zagrział jego głos. - Już jeden łyk sprawi, że będziecie nieśmiertelni. Sami widzieliście ten chaos na zewnątrz, ludzi, którzy są martwi, a mimo to nie chcą porzucić swoich ciał. Czy zgodzicie się na męki zwyrodnienia skorupy, którą zamieszkujecie, czy pójdziecie za mną w czystości i spokoju? Niepokalani!

Jego oczy obiegały zgromadzonych, tak że każdy z wiernych czuł, iż słowa te skierowane są wyłącznie do niego.

- Są pośród was tacy, którzy się lękają. Pomożemy wam pokonać tę bojaźń. Są pośród was tacy, którzy wciąż wątpią. Pomożemy wam przezwyciężyć to zwątpienie. Wielu spośród was nienawidzi świata i udreki, którą wam przyniósł: powiadam wam, że to dobrze! Dobrze jest nienawidzić, gdyż świat jest miejscem niegodziwym i plugawym! Wzgardźcie nim, bracia, lżycie go, siostry! Zapamiętajcie słowa: „Czyż nie jest to dzień Pana ciemności, a nie światła, mroku bez jasności?” Oto nastał dzień Pana! Jasność odeszła!

Brat Martin machnął ręką i na ten sygnał stojący przy głównym wyłączniku brat John zgasił wszystkie światła. Jęk przeszedł przez tłum, gdy sala pogrążyła się w ciemności, rozjaśnianej jedynie słabym światłem mrugających świec, ustawionych dookoła ścian.

- Otwórz drzwi, bracie Samuelu - rozkazał ich przywódca i mężczyzna, stojący przy podwójnych drzwiach świątyni, otworzył je na oścież.

Ciemność panująca na zewnątrz zlała się z ciemnością sali.

- Skupmy się, bracia i siostry, sprowadźmy do siebie Ciemność. Musimy się spieszyć.

Za terenem świątyni widział uliczne latarnie i jasno oświetlone domy. Wyszło zarządzenie, aby w stolicy paliły się nocą wszystkie światła; władze znały już siłę Ciemności. Powracała każdej nocy - naturalna ciemność była jej sprzymierzeńcem - i za każdym razem powiększał się towarzyszący jej chaos. Nie można było przewidzieć, kto ulegnie jej wpływowi - ojciec, matka, brat, siostra. Dziecko. Przyjaciół. Sąsiad. Jakie zło tkwi spętane w każdym z nich, czekając, by się uwolnić, tęskniąc do niezależności. Światło stanowiło jedyną przeszkodę. Ciemność obawiała się światła. „A ta światłość w ciemnościach świeci, ale ciemności jej nie ogarnęły.” Ewangelia według św. Jana. Ale człowiek potrafi pokonać światło. Brat Martin zachichotał do siebie; w blasku świec jego oczodoły były tylko czarnymi cieniami.

- Zbliżcie się, wypijmy napój, który nas uzdrowi.



Brat Martin wyciągnął ręce do wiernych.

Mimo wpadającego przez otwarte drzwi chłodu na czole brata Johna pojawiły się kropelki potu. O Boże! O Boże! naprawdę chce doznać do końca. Naprawdę chce ich wszystkich zabić. Randall rzeczywiście wierzy w te wszystkie bajki, które ci na górze wciskali o Ciemności. Chryste, czy on nie wie, że to jest po prostu takie gadanie. Po mieście krążyły pogłoski, że to gaz, który nie może się uaktywnić ani pod wpływem słońca, ani żadnego innego cholernego światła. Nikt nie wie, kto go wypuścił - obce mocarstwo, terroryści? Sami cholerni brytyjscy naukowcy? Ludzie nie wiedzą. Ale te sukiny u władzy dobrze wiedzą. Tylko nie chcą puścić pary. Wszystko co mówią to: - siedźcie nocą w domu, zapalcie wszystkie światła. Policja i wojsko patrolują miasto po godzinie policyjnej, by tego dopilnować, posługują się silnymi reflektorami dla własnego bezpieczeństwa. A ten głupi, pieprzony Randall sprzeciwił się zarządzeniu, gasząc światła i każąc otworzyć drzwi. Co, do diabła, się stanie, gdy odkryje, że napój w tych wielkich czarach nie zawiera cyjanku? Co zrobi, gdy te głupie, pieprzone owieczki, które za sobą prowadzi, nie padną martwe po wypiciu Trucizny 99? Będzie wiedział, kogo za to winić: kochany brat John miał przygotować truciznę. Ten skurwysyn Randall spodziewał się, że niby gdzie znajdzie wystarczającą ilość cyjanku, by zabić ponad sto pięćdziesiąt frajerów? Brat John zaczął powoli przesuwac się boczną nawą ku otwartym drzwiom, jak najdalej od trzech pojemników z nieszkodliwym winem marki Sainsbury. Czas się pożegnać. Powinien był to zrobić już dawno temu.

Członkowie kongregacji posuwali się gęsiego, każdy z nich trzymał plastikowy puchar, który wręczono mu przy wejściu do świątyni. Brat Martin uśmiechał się dobrotliwie, gdy go mijali. Czterdziestoparoletnia kobieta z twarzą zalaną łzami i ciekącym nosem rzuciła się na niego. Pomocnicy oderwali ją od brata Martina i delikatnie odprowadzili, uspokajając słowami, których prawie nie słyszała. Ze spuszczonej oczami podszedł do niego sześćdziesięcioletni mężczyzna.

- Boję się, bracie Martinie - powiedział. Brat Martin wyciągnął ręce i dotknął ramion swego ucznia.

- Wszyscy się boimy, bracie... - Jak on, do cholery, ma na imię? - ...drogi przyjacielu, ale nasz strach wkrótce się zamieni w wielką radość. Zaufaj mi. Rozmawiałem z Ciemnością.  
- Teraz rusz się, ty głupi skurwysynu, zanim wystraszysz innych.

Nie mógł dopuścić, by choć na chwilę został zakłócony nastrój euforii, nawet tak pełnej napięcia euforii; jeżeli jeden wpadnie w panikę, inni pójda w jego ślady. Potrzebował

ich wszystkich, chciał mieć ich siłę, gdyż on naprawdę rozmawiał z Ciemnością. Czy też przynajmniej roilo mu się, że z nią rozmawiał. A to oznaczało to samo.

Ciemność pragnęła go, ale pragnęła także jego ludzi. Im więcej istnień pochłonie, tym stanie się silniejsza. Brat Martin, alias Marty Randall, był szczęśliwy, że werbuje nowe siły dla Ciemności.

Strumień ludzi podchodzących w zorganizowanym szeregu do czary i wracających na swoje miejsca, osłaniał skradającego się do wyjścia brata Johna; również mrok wypełniający wnętrze pozwalał mu się skryć. Jednak w każdej chwili spodziewał się usłyszeć brata Martina przywołującego go z powrotem, i im dalej odsuwał się od przywódcy, tym bardziej się denerwował. Oblizwał wargi, czując kompletną suchość w gardle. Niektórzy z tłumu przyglądali mu się i musiał kiwać głową i uśmiechać się do nich uspokajająco. Dziękował Bogu, że światło było tak słabe, gdyż dzięki temu nie mogli zobaczyć potu, który spływał mu po twarzy. Brat Samuel wciąż stał w pobliżu otwartych drzwi i brat John zbliżył się do niego ostrożnie. Ten człowiek był gorliwym wyznawcą, frajerem gotowym oddać życie za swego przywódcę, białym, którego mózg funkcjonował wyłącznie pod czymś kierunkiem. Właśnie takim gnojkiem, jakiego Randall potrzebował do pilnowania innych. Wielki mężczyzna zadarł do góry głowę jak zaciekawiony labrador, kiedy zbliżył się brat John. Nie lubił czarnych, a szczególnie nie lubił brata Johna. Murzyn zawsze się głupio uśmiechał, jakby przez cały czas doskonale się bawił.

Brat John pochylił się do przodu i szepnął do wielkiego ucha mężczyzny.

- Brat Martin chce, żebyś przeszedł do przodu, bracie Samuelu, i wypił napój razem z innymi. Uważa, że potrzebują twojej zachęty.

Brat Samuel rzucił zaniepokojone spojrzenie na zebranych, którzy byli ledwo widoczni w nikłym świetle. Z kilku gardeł wydobył się głęboki jęk, a kilkanaście kobiet otwarcie zawodziło. Włożył rękę do kieszeni marynarki i zacisnął palce na znajdującym się w niej pistolecie. Brat Martin uprzedził go, że może zaistnieć konieczność przekonania niektórych wiernych, by zrobili to, czego się od nich wymaga. Ale powiedział mu także, że ma czekać do ostatka, po prostu na wypadek, gdyby któregoś z nich nie zabiła trucizna, lub gdyby tylko udawał, że ją wypił. Odpowiedzią na to miała być kula w łeb. Dlaczego brat Martin zmienił zdanie?

- Kazał mi stać przy drzwiach.

- Wiem, bracie Samuelu - powiedział cierpliwie Murzyn, zdając sobie sprawę, że zaczynają uginać się pod nim nogi.

Z przodu dochodził do niego głos Randalla, ponagającego ludzi do koncentracji, do przyjęcia Ciemności w siebie.

- Zmienił zdanie. Potrzebuje cię tam, bracie.

- Kto będzie pilnował drzwi? Kto będzie uważał, aby nikt nie wyszedł?

- Nikt nie wyjdzie. Wszyscy chcą pójść w ślady brata Martina.

Chytry wyraz pojawił się na twarzy wielkiego mężczyzny.

Murzyn nie uśmiechał się jak zwykle i z tak bliskiej odległości widać było, że się poci. Brat John boi się.

- Dlaczego zatem brat Martin potrzebuje mnie tam, jeżeli wszyscy chcą się do niego przyłączyć.

O cholera. - Kilku potrzebuje twojej pomocy, bracie Samuelu. Nie wszyscy są tak silni jak ty.

- Czy jesteś tak silny jak ja, bracie Johnie? Czy potrzebujesz pomocy?

Ciemnoskóry mężczyzna próbował opanować drżenie rąk.

- Nie, bracie Samuelu. Chodzi o innych. A teraz, bracie, zrób to, o co cię prosi mistrz, idź do niego. Wścieknie się, jeśli nie przyjdiesz.

Wielki mężczyzna wydawał się niezdecydowany. Spojrzał w kierunku brata Martina, nie wyciągając broni z kieszeni marynarki.

Brat John przeklinał się w duchu za to, że nie odszedł wcześniej. Powinien zniknąć, gdy tylko Randall rozpoczął tę zwariowaną samobójczą gadaninę. Fascynował go ten pomysł od czasu masowej samozagłady sekty Ludzi Świątyni w Gujanie, kilka lat temu, i zapalił się do niego jeszcze bardziej po innym grupowym samobójstwie, które miało miejsce na przedmieściach Londynu, mniej więcej rok temu. W ciągu ostatnich tygodni ta myśl przerodziła się w obsesję, tak jakby odkrył ostateczną prawdę. O Chryste! Powinien był zwać, gdy Randall kazał mu zdobyć cyjanek. Nie wierzył, że on naprawdę chce iść na całość. Nie powinien tu być wtedy, kiedy wszyscy usiądą dookoła, patrząc głupio na siebie, czekając, aż padną jak muchy. Nie będzie to zabawne ani dla nich, ani dla brata Martina.

- Pospiesz się, bracie Samuelu, nie każ mu czekać.

Na nieszczęście dla ciemnoskórego mężczyzny, brat Martin oczyma szukał go w tłumie. Miał wrażenie, że w ciągu ostatnich dni wiara brata Johna nieco się zachwiała. Potrzebował pomocy, może przymusu. Ostatnio stał się powodem troski, jego entuzjazm dla brata Martina wydawał się słabnąć. Może powinien pierwszy spróbować nektaru przyszłego życia.

- Bracie Johnie, nie widzę cię. Gdzie jesteś? Murzyn jęknął w duchu.

- Tutaj, bracie Martinie - powiedział głośno.

- Wysuń się na czoło, bracie, abyśmy mogli cię widzieć. Ty dostąpisz zaszczytu poprowadzenia nas wszystkich.

- Ja, ja nie zasługuję na taki zaszczyt, bracie Martinie. Tylko ty możesz nas poprowadzić.

Brat John oblizwał wargi i nerwowo spojrział na drzwi. Brat Martin zaśmiał się.

- Wszyscy na to zasługujemy! Chodź, wypij pierwszy.

Podszedł do ogromnej czary i zanurzył swój biały puchar w ciemnoczerwonym płynie, następnie podał go Murzynowi. Głowy zaczęły się zwracać w kierunku brata Johna. Jakby zgadując jego zamiar, brat Samuel zastawił wejście swoim wielkim ciałem, odcinając mu drogę ucieczki.

- Ooo cholera! - wykrzyknął brat John i wyrznął kolanem w pachwinę potężnego mężczyznę.

Brat Samuel upadł na kolana, chwytając się za genitalia. Przez otwarte drzwi brat John wyskoczył w jeszcze większą ciemność. I zatrzymał się.

Otoczyła go jak zimne, lepkie ręce, jak lodowaty syrop rozmazujący się na jego skórze. Zadrzał i przerażony rozejrzał się dookoła, ale widział tylko niewyraźne punkciki światła w oddali. Odsunął się od tego, ale szło za nim jak przylepione. Czuł, jak coś niesamowitego maca mu mózg i krzyknął, kiedy zimne palce dotknęły mu czegoś w głowie. Nie, nie chcę tego! Coś w nim krzyknęło, ale inny głos odpowiedział: tak, tak, chcesz!

Jakieś ręce chwyciły go za gardło i te były prawdziwe - wielkie, silne dłonie brata Samuela. Uścisk stawał się coraz mocniejszy, gdy atramentowa ciemność zamknęła się wokół obu mężczyzn. Myśli brata Johna potykały się o siebie, uciekając przed nierealnymi, ciemnymi palcami, które dotykały i niszczyły jego umysł. Opadł na ostre kamienie, którymi wybrukowane było wejście do świątyni, wielki mężczyzna stał za nim, nie puszczając go ani na moment. Powoli uświadamiał sobie, że brat Martin miał rację: szukali wieczności. I choć jego ciało drżało z bólu, coś w nim tańczyło ze szczęścia. O matko, miałaś rację, bracie Martinie, bracie Marty Randall, miałaś świętą rację. Nawet gdy jego zaciśnięte gardło wysilało się, by wciągnąć do płuc powietrze, wargi miał rozchylone w zachwyconym uśmiechu. Czerwień przed oczami zaczęła przechodzić w coraz głębszą czerń i wkrótce była już tylko ona - absolutna, przyjazna ciemność. Chwała jej.

Brat Samuel wciągnął bezwładne ciało z powrotem do świątyni, a za nim postępowała Ciemność, napływając zachłannie, rozlewając się i sącząc, przyciemniając i tak już nikłe

światło świec. Brat Martin zamknął oczy, szeroko rozpostarł ręce i, nie zwracając uwagi na otaczające go krzyki przerażenia, powitał Ciemność w swej świątyni.

- Wypijemy truciznę i złączymy się z tobą - powiedział głośno i ze zdziwieniem usłyszał drwiący śmiech. Brzmiał jak śmiech brata Johna. Jedna po drugiej wypalały się świece i w końcu wszystkie zgasły.

- Powiedz im, żeby się uciszeli, Alex. Jeśli policja odkryje, że macie na zapleczu spotkanie, odbierze ci licencję.

Sheila Bryan podniosła półlitrowy kufel, aby się upewnić, że wytarła wszystkie plamy na spodzie. Nieczęsto szkło w pubie było poddawane tak dokładnemu badaniu, ale z drugiej strony nieczęsto wprowadzano godzinę policyjną. Przez moment zastanawiała się, czy w czasie wojny obowiązywały takie same restrykcje. Pomyślała, że nie, ale nie miała pewności, nie było jej wtedy na świecie.

- Są w porządku, nikomu nie przeszkadzają.

Jej mąż, Alex, patrzył na Sheilę ze źle ukrywaną niecierpliwością. Był silnym mężczyzną z dużym brzuchem i donośnym głosem, i tylko kobieta o podobnych cechach mogła dać sobie z nim radę. Zbliżał się właśnie do czterdziestki, ona dopiero pożegnała się z dwudziestką; oboje byli potężni i może dlatego zdawało się, że są w jednym wieku.

- Mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego zadajesz się z nimi - powiedziała Sheila, stawiając na barze kolejny wytarty kufel. Gdy pochyliła się, sięgając po następny, popiół z trzymanego w ustach papierosa spadł do mętnej wody, w której myła naczynia.

- Mają właściwe poglądy, dlatego - odpowiedział Alex, stawiając z łomotem tacę ze szklankami na blat obok zlewu. - Chcą jeszcze jedną kolejkę.

- Dobrze, niech piją w tych samych. Nie mam zamiaru dawać czystych szklanek.

- Oczywiście, wypiją, psiakość, w tych samych. Kto cię prosi o czyste. Nie wiem, co czasami w ciebie wstępuje. Grosza byśmy nie zarobili, gdyby dziś wieczór tu się nie zwalili. To cholerne draństwo trzyma wszystkich w domach.

- Przecież policja mówi, że niebezpiecznie jest wychodzić nocą.

- To wszystko bzdury. Na pewno coś kombinują i nie chcą, żeby ktoś to zobaczył.

- Czyś ty całkiem zgłupiał? Przecież widziałeś w telewizji, co się dzieje. Rozróby, pożary i te wszystkie morderstwa.

- Tak, bo ktoś użył przeciwko nam gazu paralizującego, i tyle. Pieprzeni lewacy, to oni to zrobili dla swoich przyjaciół z zagranicy.

Sheila odsunęła się od zlewu i mokrymi palcami wyjęła z ust papierosa.

- O czym ty mówisz? - spytała, patrząc na męża z pogardą.

- Wszyscy wiedzą, że stoją za tym komuchy. Nie podadzą tego w dzienniku, ale każdy ci to powie. Potem będzie Nowy Jork albo Waszyngton. Poczekaj tylko, sama zobaczysz. Później Paryż, Rzym. Wszędzie. Tylko nie w Rosji, do tego nie dojdzie.

- Głupstwa opowiadasz, Alex. To ta hałastrza za drzwiami znowu nabiła ci głowę takimi pomysłami?

Alex zignorował pytanie i zaczął napełniać szklanki trunkami.

- To ma sens, jeśli się nad tym zastanowisz - odpowiedział zniechęcony, kończąc nalewać.

Jego żona podniosła oczy do góry i powróciła do polerowania kufli. To było jednak przygnębiające, że w całym mieście wprowadzono coś w rodzaju stanu wyjątkowego. Coś takiego mogło się zdarzyć gdzieś na świecie, ale nie w Anglii. Nie w Londynie. Dlaczego muszą palić wszystkie światła, jakby się bali ciemności? Ciemność - tak to wszyscy nazywają, ponieważ dzieje się tylko nocą. Mówią, że ludzie dostają od tego pomieszania zmysłów, włączają się po ulicach, wznecają pożary, zabijają. To nie ma żadnego sensu. Sama widziała, jak wojskowe ciężarówki przeszukiwały ulice wczesnym rankiem, zgarniając błakających się bez celu i gdzieś ich wywożąc. Pewnego ranka, kiedy nie mogła spać, przypatrywała im się z okna. Jakiś biedny szaleniec leżał na ulicy, zakrywając głowę rękami. Palce miał zakrwawione, gdyż próbował podnieść pokrywę wjazdu znajdującego się na środku ulicy, ale chyba była dla niego zbyt ciężka lub też nie mógł jej uchwycić. Nie powiedział ani słowa, kiedy przenosili go do ciężarówki, twarz miał śmiertelnie bladą, bladą jak duch, a oczy czarne i przymknięte. Zadrzała. Czowała się tak, jakby oglądała jeden z tych starych horrorów.

- Gdzie jest to cholerne jasne piwo? Jej uwaga nagle skierowała się na męża.

- Nie przeklinaj w barze, Alex, już cię kiedyś prosiłam. Popatrzył na nią, a następnie rozejrzał się po pustej sali.

- Przecież wiesz, że tu nikogo nie ma.

- Nie o to chodzi. Powinieneś się od tego odzwycząić. Nie musisz kłać.

Głupia krowa, powiedział do siebie. A następnie głośno:

- Niemożliwe, żebyśmy zużyli cały zapas. Przez ostatnie tygodnie mamy gości tylko podczas lunchu.

- Alex, jest mnóstwo piwa w piwnicy, jeśli chcesz, pofatyguj się i przynieś.

Westchnienie Alexa przeszło w cichy pomruk, kiedy pochylił się do przodu i pociągnął za uchwyt umocowany w klapie za barem. Podniósł ją i wpatrywał się w panującą w dole ciemność.

- Wydawało mi się, że mieliśmy zapalić wszystkie światła - stwierdził.

- Przecież zapaliłam - odrzekła żona, spoglądając przez ramię w ciemny prostokąt.

- A to się, cholera, nie pali, prawda?

Sheila podeszła do tablicy rozdzielczej, umieszczonej blisko drzwi do małego pokoju na zapleczu, który służył im za biuro. Ich mieszkanie znajdowało się na piętrze.

- Wszystkie wyłączniki są przekreścone - krzyknęła do męża. - Pewnie żarówka się przepaliła.

- Szlag by to trafił - jęknął mąż.

- Wymień ją, Alex. Zaraz ci przyniosę nową.

- Wspaniale - odpowiedział ze znużeniem Alex.

Chciał wrócić na zebranie; lubił słuchać tych chłopaków, a ponieważ dzisiaj nie było innych klientów, miał niepowtarzalną okazję wzięcia udziału w ich dyskusji. Na szczęście jego pub nie był uzależniony od żadnego browaru i nie musiał się obawiać, że jakiś wścibski facet poinformuje browar, jakie organizacje spotykają się u niego. Jeden z jego kolegów, karczmarz z Shoreditch, musiał zrezygnować z posady, gdy browar, do którego należał pub, odkrył, że oddaje sale na zebrania Frontu Narodowego. Taka była niedogodność dzierżawienia lokalu - musiałeś tańczyć, jak ci zagrają.

- No, Sheila - zawołał - daj mi ją wreszcie. Wróciła z lodowatym wyrazem twarzy i podała mu latarkę i nową żarówkę.

- Czterdzieści watów - powiedział z niesmakiem. - Przecież to nic nie da.

- Tylko taka nam została - odpowiedziała cierpliwie. - I przynieś to lekkie piwo, skoro i tak tam idziesz.

- Kto, do diabła, będzie to pił dziś wieczorem?

- To na jutro. Wiesz, że teraz mamy potworny tłok w ciągu dnia, szczególnie podczas lunchu.

- No tak, odrabiają wieczorne spotkania.

- I dzięki Bogu! W przeciwnym razie wkrótce poszlibyśmy z torbami. Pospiesz się, bo twoi kumple zaczną szumieć.

- Nie są moimi kumplami.

- Masz mnie za idiotkę? Przecież spędzasz z nimi tyle czasu.

- Po prostu w większości zgadzam się z tym, co mówią. Sama widzisz, ilu już jest w okolicy czarnuchów. Więcej niż nas.

- Dobrze, dobrze, zejdź już lepiej na dół. Czasami mówisz jak duży dzieciak.

Alex ciężko postawił nogę na drabinie.

- Wspomnisz moje słowa, niedługo zaczną wpadać tu na drinka.

Jego wielka głowa zniknęła w otworze.

- Heil Hitler! - skomentowała oschle Sheila i zaciągnęła się dymem z papierosa. Z pełnym rezygnacji westchnieniem wróciła do polerowania kufli.

Na dole Alex poświecił latarką po brudnej, cuchnącej piwem piwnicy. Snop światła szybko odnalazł nagą żarówkę zwisającą z niskiego sufitu. Chyba zrobię jutro remanent, powiedział do siebie, krocząc po zakurzonej kamiennej podłodze. Żeby brakowało... o cholera! Wyszedł z kałuży i strząsnął z buta kropelki zwietrzałego piwa. Skierował snop światła na ziemię i zdziwił się, widząc jego odbicie w cienkiej warstwie płynu. Podłoga piwnicy opadała ku środkowi, tak aby zbierające się resztki piwa mogły spływać do głównego kanału, a następnie do ścieku. Oświetlił latarką kanał i zobaczył, że szmaty czy też kawałki worka zatykają odpływ.

To ten głupi sukinsyn Paddy, powiedział pod nosem, mając na myśli dziennego barmana. Do obowiązków tego małego Irlandczyka należało uzupełnianie zapasów w barze, trunki woził windą na górę. Musiał upuścić te szmaty, czy co to było. Cholerny irlandzki idiota, mruknął, kopiąc na bok wilgotne zawiniątko. A do tego podkradał jeszcze z kasy. Chryste, jak trudno o uczciwy personel. Alex patrzył, jak mocno pachnąca mieszanina różnych gatunków piwa wpada z bulgotem do kwadratowego, zakrytego kratą ścieku. Przynajmniej ten nie był zatkany. Jeśli było jakieś zajęcie, którego Alex nie znosił, to właśnie odtykanie ścieków. Całe to gówno i szlam. Ścieki musiały być drożne, w przeciwnym razie w ciągu tygodnia piwnica zostałaby zalana po kostki, a śmierdziałoby w niej jak w browarze od tych wszystkich tłukących się tu butelek. Dostawcy niczym się nie przejmują. Rzucają kontenery gdzie popadnie. Wydawało mu się, że zobaczył, jak coś uciekło z kręgu światła latarki. - Niemożliwe, żeby tu były szczury - jęknął głośno.

Poświecił dookoła latarką, ale nie zauważył nic, oprócz cofającej się ciemności.

Stąpając ciężko, Alex zbliżał się do dyndającej żarówki, niepewny, czy czarny, zmykający kształt był jedynie wytworem jego wyobraźni. Nie słyszał, żeby coś się poruszyło. Sama lampa wisiała nad otworem ściekowym i barman sięgnął do góry, trzymając ostrożnie latarkę jedną dłonią i kierując snop światła na sufit. Stał w rozkroku, nad kanałem.

- Au! - krzyknął Alex, gdy dotknął palcami gorącego szkła, żarówka musiała się przepalić na chwilę przed otwarciem piwnicy. Gwałtownie odsunął ręce i upuścił latarkę. - Szlag by to trafił! - wrzasnął, gdy trzasnęła o podłogę i zgasła. Przez podniesioną klapę, z drugiego końca piwnicy przedostawało się na dół trochę światła, lecz nie dochodziło do miejsca, w którym stał. Alex sięgnął do kieszeni i wyciągnął chusteczkę, drugą kieszeń



wypychała mu nowa żarówka. Wykręcił starą, tym razem używając chusteczki dla ochrony przed rozżarzoną szklą.

Mrok nie przeszkadzał mu, nigdy bowiem, nawet jako dziecko, nie bał się ciemności. Ale mrowienie na karku ostrzegło go, że w piwnicy coś jest nie w porządku.

Sheila oparła łokcie na blacie baru i zamyślona wpatrywała się w zamknięte drzwi. W ustach trzymała zapalonego przed chwilą papierosa, obfite piersi, jak wypełnione mąką woreczki, spoczywały wygodnie na drewnianym blacie. Nie wiedziała, ile jeszcze takich nocy zdoła wytrzymać. Robiła się na bóstwo, wprawiała w nastrój, który pozwalał jej udawać wieczorną wesołość lub współczucie, w zależności od nastroju poszczególnych klientów, była miła dla wszystkich i stanowcza wobec pozwalających sobie na zbyt wiele. Przypominało to trochę show biznes, tylko w ciągu ostatnich nocy to nie był żaden biznes. Na pewno szybko pozbędą się tego gazu, czy cokolwiek to jest. W przeciwnym razie całe miasto zejdzie na psy. Ale i tak powinna chyba być wdzięczna, że udało im się trochę zarobić na tym spotkaniu na zapleczu pubu, mimo że tak bardzo nie podobało jej się to towarzystwo. Alex tylko dlatego zdołał ją przekonać, by wyraziła zgodę na to spotkanie, że wynajęli salę miesiąc wcześniej. Był jednym z nich, chociaż nie chciał się do tego przyznać. Oczywiście będą musieli zapłacić za wynajęcie sali na całą noc; żaden z nich nie mógł wyjść przed świtem. Zgarnęliby ich, gdyby złapali ich nocą na ulicy. Gdzie jest Alex? Nie spieszy się. Któż to występował w telewizji którejś nocy? Kardynał czy biskup? Powiedział im, żeby się modlili. Cha, cha! Można się uśmieć! Już widzi, jak stary Alex pada na kolana, by się pomodlić. Może by to zrobił, gdyby ktoś mu przystawił pistolet do głowy. O co mają się modlić? Czyż modlitwy powstrzymają gaz paralizujący system nerwowy, jeżeli oczywiście jest prawdą to, co mówił Alex. To naukowcy powinni się modlić. To oni spowodowali cały ten bałagan. Niech teraz oni coś z tym zrobią. A nie ci, którzy się modlą.

- Sheila.

Rozejrzała się dookoła. Co to było?

- Sheila.

Westchnęła i ociężale podeszła do otwartego wejścia do piwnicy.

- Co tam kombinujesz, Alex? Tyle czasu potrzebujesz, by przynieść na górę skrzynkę piwa?

Wpatrywała się w panującą na dole ciemność.

- Nie zmieniłeś jeszcze żarówki? - spytała zirytowana.

- Sheila, zejdź na dół.

- Gdzie jesteś, Alex? Nie widzę cię.

- Zejdź na dół.
- Co takiego? Ja mam zejść na dół? Daj mi spokój, Alex.
- Sheila, proszę cię.
- Żarty sobie stroisz? Nie jestem w nastroju.
- No chodź, Sheila, zejdź na dół. Chcę ci coś pokazać. Żona barmana zarechotała.
- Później mi pokażesz, w łóżku.
- Nie, Sheila, teraz. Zejdź na dół. Głos Alexa brzmiał dziwnie natarczywie.
- To niebezpieczne, Alex. Mogę spaść.
- Nie spadniesz, Sheila. Pomogę ci. Zejdź.
- O mój Boże - powiedziała do siebie Sheila. Czego się nie robi z miłości.
- Dobrze, Alex - zawołała w głąb piwnicy chichocząc. - Mam nadzieję, że nie będę tego żałowała.

Ostrożnie stanęła na metalowym szczeblu drabiny, mocno trzymając się jej drewnianych boków. Czasami zastanawiała się, czy Alex ma wszystko po kolei w głowie. Robił takie numery. Ale musiała przyznać, że dało się z nim pożartować.

- Alex? Alex! Gdzie jesteś? - Była w połowie drabiny i rozglądała się dookoła, próbując zobaczyć coś w ciemności. - Wracam na górę, jeśli natychmiast nie przestaniesz się chować.

- Jestem tutaj, Sheila. Czekam na ciebie.

- No więc, czego chcesz?

Sheila doszła do wniosku, że wcale jej się nie podoba ta zabawa. Piwnica cuchnęła resztkami piwa i czymś jeszcze. Czym? Dziwny zapach. Do tego było tu zimno i ciemno.

- Wracam na górę, Alex. Zachowujesz się jak krety. I tak wyglądasz.

Czekała na odpowiedź, lecz panowała cisza.

Sheila zeszła jeszcze dwa stopnie w dół, po czym zatrzymała się.

- Dobrze, wystarczy. Niżej nie zejdę, jeśli nie podejdziesz do światła.

Alex nie odezwał się. Ale słyszała jego oddech. Nagle poczuła niepokój.

- Pa, Alex.

Zaczęła wchodzić po drabinie.

Z ciemności wyszedł Alex - ogromny kształt, trzymający coś wysoko nad głową. Sheila zdążyła się jeszcze odwrócić, akurat by zobaczyć młotek, używany do otwierania beczek z piwem. Nie zdążyła już krzyknąć, nie zdążyła zastanowić się, co wstąpiło w Alexa.

Upadła na podłogę i leżała nieruchomo, ciężki, drewniany młotek walił ją dalej po głowie i wkrótce do ciemnego, ohydneho ścieku popłynęła środkiem piwnicy krew.

Parę minut później Alex z uśmiechem zadowolenia na twarzy wspiał się do wyjścia z piwnicy. Trzymając nadal w ręce pokrwawiony młotek, dźwignął przez otwór swe ciężkie ciało. Chwytając się wolną ręką blatu, podciągnął się i stanął na nogi. Podszedł do tablicy rozdzielczej i przesunął ręką po wszystkich wyłącznikach, obie sale i pokoje na zapleczu pograżyły się w ciemności. Przeszedł z powrotem przez bar, uważając, aby nie wpaść w ciemniejszy otwór, który prowadził do piwnicy. Zmieszane głosy, dochodzące z jednej z sal, wskazywały mu drogę, choć wcale nie potrzebował przewodnika, gdyż znał pub jak własną kieszeń. Spieszył się, aby ponownie dołączyć do zebranych. Ucieszą się, gdy go zobaczą. Ucieszą się, gdy zobaczą, co ze sobą przyniósł.

Spojrzał w prawo, przez kilka długich sekund badając wzrokiem szeroką jezdnię, po czym skierował spojrzenie w lewo. Wszystko w porządku. Ani policji, ani patrolujących pojazdów wojskowych. A więc teraz albo nigdy. Pobiegł w stronę drogi prowadzącej do dużego parku. Tam, gdzie było pusto. I ciemno.

Poruszał się niezgrabnie, bardziej szedł niż biegł, jego krótkie nogi stapały po twardej, gładkiej powierzchni ulicy, jakby była wybrukowana kocimi łbami. Pomyślał o joggingu, który kilku jego kolegów z Izby zaczęło uprawiać, gdy stał się modny parę lat temu, i zwątpił w ich zdrowy rozsądek. Poruszanie się w tempie większym niż dziarski marsz musi być szkodliwe dla zdrowia. Nic dziwnego, że kilku z nich dostało zawału serca. Przypomniawszy sobie, jak wszyscy posłowie otrzymali ulotki, w których zachęcano ich do korzystania z sali treningowej parlamentu i zapewniano, że utrzymanie dobrej kondycji fizycznej zwiększy ich siły życiowe, dzięki czemu będą mogli lepiej służyć swoim wyborcom. Cóż, źródłem jego sił życiowych był umysł, nie ciało. Uważał, że każda ulotka powinna być opatrzona nadrukiem: MINISTERSTWO ZDROWIA OSTRZEGA. Nie można z drewnianej skrzynki sześć stóp pod ziemią zbyt dobrze służyć swoim wyborcom. I jeśli ma wsiąść mu serce, to lepiej za sprawą wymagań dobrej dziwki, niż biegania po parku w tenisówkach. Zatrzymał się przy wejściu, jego pulchne ciało unosiło się i opadało, gdy chrapliwie wciągał powietrze do płuc. Z lękiem wpatrywał się teraz w rozciągającą się przed nim szeroką, ciemną przestrzeń. W końcu zmusił się, by ruszyć przed siebie i noc wchłonęła go, jakby nigdy nie istniał.

Gdy już był bezpieczny w środku czarnego sanktuarium, opadł na trawę, nie zważając na zimną rosę, i starał się odzyskać normalny oddech. Błyszczące w oddali światła miasta przenikały jedynie na skraj parku. Znajdował się w Kensington Gardens i sądził, że zachował się bardzo rozsądnie, trzymając się z dala od tej części Hyde Parku, która znajdowała się po drugiej stronie stawu, gdyż tam działał komisariat. Trudno byłoby mu wytłumaczyć swoją tu obecność. Nawet fakt, że od szesnastu lat jest członkiem parlamentu z ramienia Partii Pracy,

nie uchroniłby go przed natychmiastowym aresztowaniem. Po zapadnięciu zmroku każdy członek parlamentu lub rządu może poruszać się po mieście wyłącznie pod eskortą wojska, w przeciwnym razie musi pozostać w domu jak inni obywatele. Codziennie w Izbie podnosi się burza protestów przeciwko tym ograniczeniom, ale premier i minister spraw wewnętrznych są nieugięci. Każdy, kto chciał opuścić stolicę w czasie stanu wyjątkowego, miał pełne prawo to uczynić, ale jeżeli pozostał, musi podporządkować się dekretowi rządu. Dopóki nie uda się rozwiązać problemu narastającego szaleństwa, warunki życia w Londynie będą bardzo ciężkie. Mniejsza o rozwiązanie, krzyczeli posłowie z obu stron tylnych ław, ale o co tu chodzi? Co się właściwie dzieje każdej nocy? Dlaczego nie ma jeszcze na ten temat oficjalnego oświadczenia? Społeczeństwo ma prawo wiedzieć. Członkowie parlamentu mają prawo wiedzieć! Byli zdziwieni, później nie wierzyli, gdy powiedziano im o eterycznej masie ciemnej substancji, która w dziwny sposób oddziałuje na ludzki mózg. Nie ma ani określonego kształtu, ani - o ile wiadomo - materialnej formy. Nie jest to ani gaz, ani substancja chemiczna. Sekcje mózgów tych osób, które zostały nią dotknięte i popełniły samobójstwo, nie wykazały niczego niezwykłego. Nikt nie wie, dlaczego ci, którzy za dnia włączają się po ulicach, są potulni, jakby pogrążeni w transie. Jak było do przewidzenia, w dalszym ciągu odrzuca się możliwość powiązania tego ze zjawiskami paranormalnymi.

Wstał, strząsając rosę z kolan. Jego oczy przywykły do mroku i uświadomił sobie, że ścieżka, na której się znajduje, jest o wiele jaśniejsza niż rozciągająca się przed nim głęboka czerń. Powlókł się przed siebie, pragnąc gorąco, by objęła go ciemność. Ci cholerni głupcy nie rozumieli znaczenia tego wszystkiego! To był nowy byt - nie, nie nowy, stary jak świat. To siła, która istniała, zanim zaczęło się życie, ciemna moc, z którą człowiek sprzymierzył się na początku. Teraz zamieszkała w człowieku. Zawsze tam była, ciemność, w której czai się zło; ciemność, w której kryją się bestialskie moce; ciemność, która czeka, aż człowiek całkowicie się jej odda. I teraz nadszedł czas.

Zdrętwiał. Coś poruszało się przed nim w mroku. Żadnego dźwięku. Żadnego więcej ruchu. Pewnie wzrok go myli.

Ciemność zawołała go, powiedziała mu, co musi zrobić. Władza, jaką dawało uprawianie polityki, była niczym w porównaniu z tą, którą mu teraz proponowano. Musiał zrobić gigantyczny krok, ale czekała go za to stokrotna nagroda. Nie może się teraz wahać, zastanawiać nawet przez moment. Został wybrany.

Trudno mu było cokolwiek przed sobą zobaczyć, gdyż księżyc zasłoniły ciężkie chmury. Przez konary drzew widział światła padające z hoteli, które znajdowały się na przeciwległym skraju Park Lane, ale były daleko i nie zagrażały roztaczającej się wokół

ciemnej pustce. Czy to właśnie ta Ciemność? Czy to ta siła, której tu szukał? A zatem niech się stanie. Zabierz mnie, wchłoń mnie... Potknął się o siedzącą na ziemi postać.

Polityk upadł ciężko i przetoczył się na plecy.

- Kto tu? - spytał płaczliwie, gdy otrząsnął się ze zdziwienia.

Usłyszał mamrotanie, ale nie mógł go zrozumieć. Zmrużył oczy, chcąc lepiej widzieć.

- Kto tu? - powtórzył, po czym stał się nieco odważniejszy. - Odezwij się!

Wciąż szeptał, ale słowa zostały wypowiedziane ostrym tonem.

Ostrożnie podpełzł do przodu, przerażony, lecz zaciekawiony.

- No dalej, odezwij się. Powiedz, co tu robisz?

- Czekam - mruknął męski głos. Polityk był zaskoczony, w gruncie rzeczy nie spodziewał się odpowiedzi.

- Jak to „czekasz”? Na co czekasz?

- Czekam, tak jak inni.

- Inni?

Polityk rozejrzał się dookoła i nagle zdał sobie sprawę, że ciemne cienie zarośli były w rzeczywistości sylwetkami ludzi, z których jedni siedzieli na ziemi, inni stali. Wszyscy milczeli. Chwyił mężczyznę za ramię.

- Czy oni, czy ty, wiecie o Ciemności? Mężczyzna strząsnął jego rękę.

- Odczep się - powiedział cicho. - Daj mi spokój!

Polityk przyglądał się przez chwilę ciemnej sylwetce, w dalszym ciągu nie mogąc rozróżnić jej rysów. W końcu poczołgał się dalej i znalazł dla siebie kawałek ziemi. Siedział tam długo, najpierw zmieszany, w końcu zrezygnowany.

Zrozumiał, że nie jest jedyny; inni też zostali wybrani. W chwili kiedy fragment księżyca uwolnił się na parę sekund od otaczających go czarnych chmur, rozejrzał się dookoła i zobaczył, jak wiele osób czeka wraz z nim. Przynajmniej z setka, pomyślał. A może i sto pięćdziesiąt. Dlaczego się nie porozumiewają? Dlaczego nic nie mówią? Zrozumiał, że umysły ich, podobnie jak jego, są zbyt zaabsorbowane tym, co ma nastąpić, otwierają się dla badającej je Ciemności. Pragną i domagają się jej. Księżyc schował się za chmurami i znowu został sam, czekając na przyjście Ciemności.

Kiedy nad wysokimi budynkami szarzał na horyzoncie świt, znużony i skostniały podniósł się z ziemi. Jego płaszcz pokryty był warstwą porannej rosy, bolało go całe ciało. Zobaczył, że inni też wstają, poruszając się wolno i niezgrabnie, jakby zardzewiały im stawy podczas długiego nocnego czekania. W porannym świetle ich twarze były blade i pozbawione

wyrazu, ale wiedział, że tak samo jak on, byli gorzko rozczarowani. Oddalali się, jeden po drugim znikali, opadająca poranna mgła kłębiła się wokół ich stóp.

Miał ochotę płakać z zawodu i grozić pięścią znikającym ceniom. Poszedł jednak do domu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Bishop pociągnął łyk szkockiej i zapalił papierosa, trzeciego, odkąd usiadł w hotelowym barze. Zerknął na zegarek. Konferencja trwała już ponad trzy godziny i, kiedy przed półgodziną opuszczał salę, daleko było jeszcze do konkretnych wniosków. Zastanawiał się, czy tak liczne grono osób zajmujące się tą sprawą w ogóle może dojść do porozumienia. Jednoczesne zaproszenie naukowców i parapsychologów oraz ministrów, starających się znaleźć wspólną płaszczyznę dla obu frakcji, nie stwarzało sprzyjającej atmosfery. Amerykańskie Towarzystwo Naukowe wyjaśniło teorię zbiorowej podświadomości Junga - „Tak jak ludzkie ciało wykazuje wspólne cechy anatomiczne niezależnie od różnic rasowych, tak i psychika posiada wspólne podłoże wznoszące się ponad wszelkie różnice w kulturze i świadomości” - i broniło tezy, że ta zbiorowa podświadomość składa się z ukrytych skłonności do identycznych reakcji, wzorców myślenia i zachowania, które są wspólnym dziedzictwem rozwoju psychologicznego. Różne rasy i odległe sobie pokolenia kierowały się takimi samymi instynktami - stąd zapewne podobieństwo rozmaitych mitów i symboli. I prawdopodobnie jednym z instynktów wspólnych wszystkim ludziom jest skłonność do popełniania zła. Podniosły się głosy, że od zarania dziejów z pewnością dobro było instynktem dominującym, mimo potwornych okrucieństw, jakich się dopuszczano. Mówca zgodził się z tym, dodając jednak, że tłumiony przez wieki instynkt zła wyzwolił się w końcu z uwięzi ludzkiego umysłu i przybrał materialną postać.

Bishop, siedzący z tyłu nowoczesnej sali, niemal się zaśmiał, gdy zobaczył, jak komisarz policji i szef sztabu armii wymieniają zdziwione spojrzenia. Gdyby nie mieli oficjalnych raportów i gdyby na własne oczy nie widzieli masowych, niewyjaśnionych zniszczeń, do których co noc dochodziło w stolicy, natychmiast odrzuciliby te niezrozumiałe teorie. Jednak gdy członek delegacji Instytutu Badania Ludzkich Możliwości upierał się, że to nowe szaleństwo jest ostatnim krokiem do osiągnięcia normalnego stanu psychicznego, ich spojrzenia wyrażały gniew. Sam minister spraw wewnętrznych surowo upomniął mówcę, który starał się przekonać zebranych, że to, co społeczeństwo uważa za normę, wcale nie musi nią być, i że stany alienacji, snu, utraty świadomości lub utraty zmysłów są naturalnymi stanami człowieka. Mężczyźni i kobiety, których dotknęła ta przypadłość, znajdują się w

stanie przypominającym trans, w stanie zmienionej świadomości - zostali oświeceni. Mają do spełnienia misję, której tak zwani normalni ludzie - włącznie z zebranymi na tej konferencji - nie rozumieją jeszcze ani nie doceniają. Minister spraw wewnętrznych ostrzegł zarówno mówcę, jak i cały jego zespół, że zostaną usunięci z sali, jeśli nie powstrzymają się od przedstawiania bezproduktywnych i dość absurdalnych argumentów. Kraj znajdował się w niebezpieczeństwie, i choć w tym krytycznym momencie należy wziąć pod uwagę każdy pogląd, to jednak powierzchowne spekulacje nie będą tolerowane.

Na twarzach ministra spraw wewnętrznych i kilku wyższych funkcjonariuszy policji widać było wyraźną ulgę, gdy dyskusja nabrała bardziej naukowego charakteru, skupiając się wokół zagadnień czysto medycznych. Doznali jednak rozczarowania, gdy usłyszeli opinię, którą wygłosił siedzący w pierwszym rzędzie audytorium znany neurochirurg. Wy tłumaczył on, w jaki sposób wraz ze specjalnie utworzonym zespołem chirurgów przeprowadził kraniotomię u kilku londyńskich ofiar - zarówno u tych, które przeżyły, jak i u osób zmarłych - próbując dowiedzieć się, czy w mózgach tych ludzi nie zaszły zmiany. Wyniki były negatywne: nie wystąpiło zapalenie membran ani nerwów, nie zostały zniszczone tkanki, nie nastąpiła blokada płynu mózgowo-rdzeniowego, nie stwierdzono zakażenia bakteryjnego, nie wykryto skrzepów krwi czy ograniczenia przepływu krwi do mózgu. Później chirurg omówił kolejno inne defekty - na przykład niedobór pierwiastków chemicznych w organizmie - które mogą zakłócić normalne funkcjonowanie mózgu i zapewnił zebranych, że nie wykryto żadnego z nich. Kierując się raczej rozpaczą niż nadzieją, przeprowadzono inne testy, które także niczego nie wykazały. W organizmach ofiar nie stwierdzono braku enzymów, bez których mogłoby dojść do gromadzenia się we krwi aminokwasów - jak w przypadku fenyloketonurii. Nie doszło także do gwałtownego zakłócenia równowagi chromosomów w komórkach ciała. Przeprowadzono gruntowne badanie centralnego obszaru mózgu, a zwłaszcza rejonów wokół wypełnionych płynem jam, zwanych komorami mózgowymi. Szczegółowa obserwacja jednego z tych rejonów - podwzgórza - w którym znajdują się ośrodki głodu, pragnienia, termoregulacji, popędu seksualnego i agresji, oraz badanie otaczającego go zespołu struktur, który tworzy układ limbiczny: przegrody, ciała migdałkowatego, hipokampu, zakrętu obręczy, który to układ - jak się uważa - jest szczególnie odpowiedzialny za reakcje emocjonalne, takie jak strach i agresja, nie wykazały niczego niezwykłego. To znaczy niczego, zgodnie z posiadaną przez nich wiedzą; mimo ogromnych postępów nauki, ludzki mózg wciąż pozostaje tajemnicą.

Zgromadzeni - z których wielu zagubiło się w medycznej terminologii używanej przez wybitnego lekarza - poruszyli się niespokojnie. Minister spraw wewnętrznych, pragnąc, by w

czasie konferencji przedstawiano możliwie jak najwięcej opinii, poprosił o wypowiedź siedzącego obok neurochirurga - psychiatrę, który szybko i jasno wytłumaczył donośnym, choć uspokajającym głosem, na czym polegają dwie główne psychozy ludzi z zaburzeniami emocjonalnymi. W psychozie maniakalno-depresyjnej nastrój pacjenta przechodzi z głębokiej depresji w obłąd, co mogłoby tłumaczyć podobną do transu łagodność ofiar w ciągu dnia i nieposkromioną potrzebę zabijania nocą. Jednak leczenie tych ludzi poprzez podawanie leków, takich jak lit, nie przynosi żadnych rezultatów. Drugą psychozą jest schizofrenia, atakująca przede wszystkim osoby z dziedzicznym zaburzeniem metabolizmu. Główne jej symptomy to irracjonalny sposób myślenia, zaburzenia emocjonalne i niepowodzenia w kontaktach z innymi ludźmi - wszystkie te objawy występują u ofiar ostatnich wydarzeń. Fenotiazyny, stosowane także jako środki uspokajające, i inne leki podawane ofiarom nie odniosły żadnego skutku. Jak dotąd nie zastosowano terapii wstrząsowej, lecz psychiatra wyraził swoje wątpliwości co do skuteczności tej metody. Alternatywą, gwarantującą sukces, byłoby przeprowadzenie leukotomii w każdym przypadku, co naturalnie nie jest możliwe przy takiej liczbie ofiar. Z powagą spojrzął na ministra spraw wewnętrznych i członków jego pospiesznie utworzonego „komitetu kryzysowego”, którzy siedzieli za długim stołem na małej estradzie, i milczał, aż minister uświadomił sobie, że psychiatra nie ma już nic więcej do powiedzenia. Wtedy właśnie członek organizacji pod nazwą Grupa Ratująca Duchowe Granice Wspólnoty powstał i poinformował obecnych, że zjawisko obserwowane w Londynie jest tylko dużym zgromadzeniem bezcielesnych istnień, które nie wiedzą, że są martwe i wciągają w ten chaos innych. Niszczycielskie akty przemocy, które popełniali opętani, spowodowane były strachem odczuwanym przez zagubione dusze. Poprosił, aby pozwolono mediom poprowadzić dalej udręczone dusze i pomóc im porzucić ich ziemskie więzy. W tym momencie Bishop uznał, że musi się czegoś napić.

Wycofywał się z sali konferencyjnej najdyskretniej, jak mógł, przepychając się przez tłum dziennikarzy wypełniający tył sali. Bar hotelowy był pusty i samotny barman z ulgą powitał gościa. Bishop nie był jednak w nastroju do rozmowy. Szybko wypił pierwszą szkocką, następną sącył powoli.

Zebranie odbywało się w hotelu należącym do Centrum Konferencyjnego w Birmingham - ogromnego kompleksu sal wystawowych i pomieszczeń konferencyjnych. Centrum położone było właściwie parę mil od miasta, ale łatwo można było się do niego dostać z autostrady M1. Władze uznały za zbyt ryzykowne zwołanie takiej konferencji w Londynie, który był zapewne dogodniejszym po temu miejscem; co prawda niebezpieczeństwo groziło tylko nocą, ale nie można było przewidzieć rozwoju sytuacji w



stolicy. Obawiano się, że rozmaite organizacje zrezygnowałyby z uczestnictwa w generalnej debacie, gdyby miała się ona odbyć w strefie zagrożenia. W każdym razie, jak powiedział szef sztabu, generał nie zwołuje narady wojennej na polu bitwy! Gdy Bishop rankiem przybył z Jacobem Kulekiem, Jessiką i Edith Metlock, hol hotelowy wypełniały hałaśliwe grupy naukowców, ekspertów medycznych i parapsychologów. Na zewnątrz był jeszcze większy tłum dziennikarzy, wielu z nich przybyło z różnych stron świata. Bishop nie miał pewności, czy konferencję zorganizowano dla zamydlenia oczu opinii publicznej i pokazania, że rząd podejmuje jakieś działania, czy też z czystej desperacji, ponieważ nie mieli żadnego pomysłu rozwiązania tego problemu. Pewnie, pomyślał, z obu powodów.

Jacob Kulek został doradcą specjalnego komitetu antykryzysowego, a jego instytut stał się niespodziewanie nieomal filią administracji państwowej. Jak kiedyś Winston Churchill wprowadził biuro okultystyczne do tajnych służb podczas drugiej wojny światowej, tak teraz minister spraw wewnętrznych przyjął do swego resortu podobną, jak mu się zdawało, organizację. Rząd nie był przekonany, że wydarzenia mają związek ze zjawiskami paranormalnymi, ale nie mogąc znaleźć żadnego innego rozwiązania, nie wykluczał takiej możliwości. Stąd ta konferencja z różnymi grupami ekspertów. W Londynie obecnie radzono sobie z „problemem”, ale miasto było zbyt rozległe, aby na dłuższą metę udało się utrzymać w nim porządek. Co noc wybuchały nowe niepokoje, każdego ranka znajdowano nowe, kulące się ze strachu ofiary. Obserwowano wyjścia z kanałów.

Nikt nie wie, jak długo jeszcze policja i wojsko będzie w stanie panować nad sytuacją; nocne obowiązki zaczynały być tak samo uciążliwe jak te w ciągu dnia. Ile jeszcze ofiar dotkniętych lub zarażonych - nikt nie był pewny, jakie jest prawidłowe określenie - przez Ciemność można utrzymać pod kluczem: to kolejny problem wymagający natychmiastowego rozwiązania. Exodus stałych mieszkańców Londynu był jak dotąd stosunkowo niewielki, ale niepokój budził nagły napływ nowych przybyszów. Dlaczego mężczyźni i kobiety tłumnie przybywają do miasta, gdzie na ulicach czai się nocą takie niebezpieczeństwo? I dlaczego tak wiele osób lekceważy nakaz zapalania świateł? Wyglądało to tak, jakby niektórzy z nich chętnie witali zjawisko, które nazwano Ciemnością. Bishop siedział w barze, próbując zrozumieć niezrozumiałe. Czy mają do czynienia z kryzysem, który można przezwyciężyć metodami naukowymi, czy też jego źródło tkwi w zjawiskach paranormalnych, a zatem można by zeń wybrnąć szukając rozwiązań w sferze psychiki? On sam miał wrażenie, że niebawem odkryją zdecydowany związek między tymi dwiema dziedzinami.

Opróżnił szklanekę i skinął na barmana, prosząc o następną.

- Też bym się napiła - doszedł go głos z tyłu.

Bishop odwrócił się i ujrzał wchodzącą do baru Jessikę. Usadowiła się obok niego na stołku; zamówił dla niej whisky.

- Zauważyłam, jak wychodziłeś z sali - powiedziała. - Zastanawiałam się, czy nic ci nie jest. Skinął głową.

- Po prostu jestem zmęczony. Ta dyskusja do niczego nie prowadzi. Za dużo osób zajmuje się tą sprawą.

- Chcą uzyskać jak najwięcej opinii.

- Nie wydaje ci się, że niektóre z nich są dość ekscentryczne? Podsunął Jessice szklanekę.

- Z wodą? - spytał.

Odmówiła ruchem głowy i pociągnęła łyk szkockiej.

- Zgadza się, że niektórzy są fanatyczni w swoich poglądach, ale inni cieszą się sporym autorytetem wśród badaczy zjawisk metapsychicznych.

- Myślisz, że coś z tego może nam pomóc? Jak, do diabła, można walczyć z czymś, co nie ma materialnej postaci?

- Do niedawna nie wiedziano, że bakterie są żywymi organizmami. Dymienica morowa była z początku uważana za dzieło diabła.

- Myślałem, że ty też w to wierzysz.

- W pewnym sensie, tak. Wydaje mi się jednak, że używamy błędnej terminologii. Wiele osób wyobraża sobie diabła jako stworzenie z rogami i długim widlastym ogonem albo przynajmniej jako żywą istotę, która co jakiś czas wyskakuje z bram piekła i sieje zniszczenie. Dziwne, że Kościół nie uczynił nic, aby przeciwstawić się takim wierzeniom!

- I za tym wszystkim stoi diabeł?

- Już ci powiedziałam, że używamy błędnych określeń. Diabeł jest w nas, Chris, tak samo jak Bóg. Bishop westchnął znużony.

- Jesteśmy Bogiem, jesteśmy diabłem? - w jego głosie dźwięczała pogarda.

- Są w nas siły dobra i zła. Bóg i diabeł to tylko symboliczne nazwy abstrakcji.

- To jest abstrakcja, jeżeli, jak dajesz do zrozumienia, stanowi podstawową przyczynę całego dobra i całego zła, które dzieje się na świecie.

- To abstrakcja, która szybko staje się rzeczywistością.

- Ponieważ Pryszlak znalazł sposób na jej wykorzystanie?

- Nie on pierwszy. Bishop spojrzął na nią.

- To się nigdy przedtem nie zdarzyło.

- Skąd wiesz? Przeczytaj Biblię, Chris, ona daje nam mnóstwo wskazówek.

- Dlaczego zatem siła zła? Dlaczego nikt nie wykorzystał tej siły na rzecz dobra?

- Wielu to zrobiło. Jednym z nich był Jezus Chrystus. Bishop uśmiechnął się.

- Chcesz powiedzieć, że wszystkie cuda zdarzyły się dlatego, że On potrafił tę siłę wykorzystać?

- Cuda zdarzają się częściej, niż ci się wydaje. Chrystus jako człowiek mógł poznać proces posługiwania się tą siłą.

- Czy to uczyniło z Pryszłaka antychrysta? Chodzi mi o to, że poszedł w odwrotnym kierunku. Jessica zignorowała kpinę, z jaką Bishop zadał to pytanie.

- Było wielu antychrystów.

Whisky wypita na pusty żołądek wprowadziła Bishopa w niefrasobliwy nastrój, ale widząc powagę w oczach Jessiki, stłumił swój cynizm.

- No dobrze, Jessico, ale jeśli, jak twierdzisz, cuda dość często się zdarzają, to dlaczego ktoś inny nie wykorzystuje tej drugiej siły, tak jak najwyraźniej robi to Pryszlak?

- Ponieważ ciągle się uczymy. Nie potrafimy jeszcze tego pojąć. Jeśli ją wykorzystujemy, robimy to nieświadomie. Kiedy uczymy się chodzić, czy najpierw zastanawiamy się nad tym, czy też świadomość tego faktu przychodzi później? Gdy zrozumiemy, że potrafimy chodzić, że jest to fizycznie możliwe, zaczynamy uczyć się innych rzeczy. Biegać, później jeździć, używać narzędzi, konstruować pojazdy, którymi jeździmy. To jest stopniowy proces, Chris, i tylko nasza świadomość może go przyspieszyć.

Bishop zastanawiał się, dlaczego przeciwstawiał się tym argumentom. Przecież tłumaczyły wiele jego własnych wątpliwości dotyczących zjawisk paranormalnych. Może dlatego, że odpowiedź wydawała się zbyt prosta, zbyt oczywista, ale kto powiedział, że odpowiedź musi być skomplikowana? Wszystko wychodziło od człowieka, nie była w to zamieszana żadna zewnętrzna siła, a gdy odkryto moc jednostki i połączono ją z innymi, ta zbiorowa siła stała się potęgą. Wydaje się, że Ciemność poraża ludzi o zachwianej psychice: przestępców, obłąkanych czy też - mocniej ścisnął szklanekę - tych, którzy noszą w sobie zło. Wiele przypadków, o których słyszał w ciągu ostatnich tygodni, dotyczyło osób, które miały żal do kogoś - czy po prostu zwykłą niechęć - i wydaje się, że panujące wokół nich szaleństwo wyzwoliło ich gwałtowną naturę. Jeżeli Ciemność może odkryć to zło, wtargnąć do ludzkich umysłów, wyrwać z nich tę siłę, złączyć się z nią, wzmacniając swoją potęgę jak gigantyczny, zachłanny organizm, to czym to się skończy? Jeżeli się umocni, czy będzie w stanie zniszczyć każdą przeciwną jej siłę dobra w umyśle człowieka, odnajdując zło czające się w ludzkiej duszy i wykorzystując je? Czy powodem, dla którego ta siła nie rozwinęła się pełniej w przeszłości, jest tocząca się w każdym człowieku walka przeciwieństw, i tylko ci

nieliczni, prawdziwie dobrzy lub prawdziwie źli potrafili wykorzystać ją zgodnie z własną wolą? I kiedy umierasz, czy ta istota umiera wraz z tobą, czy zostaje uwolniona do... do czego? Bishop zrozumiał, że odpowiedź Jessiki wcale nie była prosta, była tak skomplikowana jak ewolucja człowieka.

- Chris, dobrze się czujesz? Jesteś śmiertelnie blady.

Jessica przykryła dłonią jego rękę. Spostrzegł, jak mocno ścisną szklanę i postawił ją na barze, ale Jessica nie cofnęła swej ręki.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Może to wszystko za bardzo mnie pochłania. Rozumiejąc go opacznie, powiedziała:

- Tyle już przeszedłeś. Jak i my, ale ty najwięcej. Potrząsnął głową.

- Nie to miałem na myśli, Jessico. Nigdy nie otrząsnę się ze śmierci Lynn, ale wiem, że w końcu się z nią pogodzę, tak jak pogodziłem się ze śmiercią Lucy. Ból pozostanie, lecz będę mógł nad nim panować. Nie, to twoje wyjaśnienie zjawiska Ciemności wstrząsnęło mną. Sądzę, że Jacob podziela twoje poglądy?

- To są jego poglądy. Ja się z nimi zgadzam.

- Nie ma zatem sposobu, żeby to przezwyciężyć? Zamyśliła się, po chwili odpowiedziała:

- Musi być jakiś sposób.

Bishop odwrócił rękę i ich dłonie złączyły się. Delikatnie ścisnął jej palce, ale nic nie powiedział.

Wciąż nie spał. Siedząc w niewygodnym fotelu w hotelowym pokoju, patrzył w ogromne okno i zastanawiał się, jakie nowe okropności mogły się znów wydarzyć w Londynie. Wtem jego myśli zakłóciło delikatne pukanie do drzwi. Spojrzał na zegarek, było wpół do jedenastej. Pukanie powtórzyło się. Zgniółszy na wpół wypalonego papierosa w popielniczce stojącej na oparciu fotela, podniósł się i podszedł do drzwi. Zawahał się, zanim przekreślił gałkę, ostrożność weszła mu już w krew. Głos Jessiki rozproszył jego obawy.

Otworzył drzwi i spojrział w niewidzące oczy Jacoba Kuleka. Tuż za nim stała Jessica.

- Możemy wejść, Chris? - spytał Kulek. Bishop odsunął się i Jessica wprowadziła ojca do pokoju. Zamknął drzwi i stanął na wprost nich.

- Przykro mi, że nie udało mi się porozmawiać z tobą w ciągu dnia, Chris - przeprosił Kulek. - Obawiam się, że teraz inni rozporządzają moim czasem.

- Nie ma o czym mówić, rozumiem. Ci ludzie wiele od ciebie oczekują, Jacobie.

Niewidomy mężczyzna zaśmiał się, lecz w jego głosie Bishop usłyszał też nutkę znużenia.

- Z jednej strony sceptyczni naukowcy i ludzie medycyny, z drugiej - w większości ostrożni specjaliści od metapsychiki, wszyscy traktują tę sprawę jako okazję do udowodnienia tego, co głosili przez ostatnie lata. Tych, których cechował irracjonalizm, najczęściej, dzięki Bogu, ignorowano. Przedstawiciele rządu znaleźli się gdzieś pośrodku obu tych grup, skłaniając się oczywiście ku logicznemu, czy jak wolicie, naukowemu punktowi widzenia. Podejrzewam, że poprosili nas o wyrażenie opinii wyłącznie dlatego, że naukowcy nie wpadli jeszcze na żaden trop, nie mówiąc już o znalezieniu jakichś rozwiązań. Mogę usiąść, Chris? Dzień był bardzo męczący.

- Proszę.

Bishop odwrócił przodem do pokoju fotel i Jessica podprowadziła do niego ojca. Siadając na krześle obok toaletki, uśmiechnęła się ciepło do Bishopa, który przysiadł na brzegu łóżka i odwzajemnił jej uśmiech.

- Czy zamówić dla was kawę? - spytał.

- Nie, dziękuję. Myślę, że duża brandy przyniosłaby ulgę moim starym kościom.

Kulek pochylił głowę w stronę córki.

- A ja chętnie napiłabym się kawy, Chris. Bishop zamówił przez telefon dwie kawy oraz dużą brandy. Gdy odłożył słuchawkę, spytał:

- Jak się miewa Edith?

- Zmęczona, przerażona jak my wszyscy. Brała udział w spotkaniu zorganizowanym w mniejszym gronie, które skończyło się dopiero dwadzieścia minut temu. Wybrany komitet miał przedyskutować wszystkie sprawy podniesione na dzisiejszej konferencji, te liczące się, oczywiście.

- Kto zdecydował, które były ważne, a które nie?

- Chyba można powiedzieć, że umiar. Nasz minister spraw wewnętrznych, jak wiesz, daleki jest od popadania w skrajność.

- Z tego, co słyszałem, daleki jest także od podejmowania działań.

- Zatem jego decyzja może cię zaskoczyć.

- Czyżby?

- Nie wiem, czy jest przekonany, ale zgodził się na, jak by to nazwać, eksperyment.

Bishop skrzyżował ręce na kolanach i z zainteresowaniem pochylił się do przodu.

Kulek ścisnął nos i na kilka sekund mocno przymrużył powieki, by złagodzić ból głowy. Gdy otworzył oczy, sprawiał wrażenie wyczerpanego.

- Wracamy do Beechwood. To znaczy do tego, co zostało z Beechwood. Bishop był oszołomiony.

- Dlaczego? Cóż to może dać? Jak powiedziałeś, tam są tylko ruiny.

Kulek cierpliwie potaknął i oparł na lasce długie, cienkie palce.

- Od początku wszystko się kręci wokół tego miejsca. Każdej nocy gromadzi się tam coraz więcej nieszczęśliwych ofiar czegoś, co nazywamy Ciemnością. Niektórzy umierają, innych znajdują rano stojących albo leżących bezradnie w gruzach. Musi być powód, dla którego tam przychodzą, coś ich tam ciągnie.

- Możesz tam pojechać, ale co to da? Próbowaliśmy przedtem, pamiętasz?

- I coś się stało, Chris - wtrąciła Jessica.

- Nieomal zabito Jacoba.

- A ty miałeś wizję - powiedział cicho niewidomy.

- Zobaczyłeś, co się stało w tym domu - dodała Jessica. - Widziałeś, jak umierał Pryszlak i jego zwolennicy.

- Nie rozumiesz, Chris, że wokół tego miejsca występują silne wibracje? Mimo że jest to tylko ruina, prądy będą takie same.

Kulek utkwiał niewidzące oczy w Bishopie.

- Ale niebezpieczeństwo. Ty...

- Tym razem będziemy mieli ochronę. Teren będzie strzeżony przez wojsko, będziemy mieli potężne oświetlenie.

- Chyba nie chcesz pojechać tam wieczorem.

- Owszem, to jedyna właściwa pora.

- Oszalałeś. Jessico, nie możesz mu na to pozwolić. Armia nie będzie w stanie go ochronić. Jessica spokojnie patrzyła na Bishopa.

- Chris - powiedziała - chcemy, żebyś z nami poszedł.

Potrząsnął głową.

- Nie tędy droga, Jessico. To się mija z celem. Co możemy zrobić?

Kulek odpowiedział:

- Jedyną rzeczą, jaka nam pozostała. Chcemy wejść w kontakt z Ciemnością. Spróbujemy porozmawiać z Borisem Pryszlakiem.

Dyskretne pukanie do drzwi oznajmiło przybycie kelnera z kawą i brandy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Światła płonęły oślepiająco. Było jasno jak w dzień. Z domów przy Willow Road usunięto tych nielicznych mieszkańców, którzy tam jeszcze pozostali. Ulica przyciągała uwagę zbyt wielu ofiar Ciemności, by ktokolwiek mógł czuć się tu bezpiecznie. Wzdłuż

krawężnika stały zaparkowane pojazdy wojskowe, wszystkie zwrócone w tym samym kierunku. Po obu stronach drogi rozstawiono silnie strzeżone zapory. Dwa potężne reflektory, rzucające szeroki snop światła, zasilane z własnych generatorów, zainstalowano na ciężarówkach i skierowano na otwartą przestrzeń, na której kiedyś było Beechwood. Uprzątnięto większość gruzów, aby umożliwić instalację kamer wideo, aparatury nagrywającej, liczników Geigera i innych specjalistycznych urządzeń, których Bishop nigdy przedtem nie widział, nie mówiąc już o tym, że nie potrafił ich nazwać. Lampy łukowe, podłączone do głównej sieci, ustawiono w strategicznych punktach dookoła terenu. Cały teren sprawiał nierealne wrażenie i Bishopowi zdawało się, że wędruje po planie zdjęciowym; iluzję tę potęgowały obsługiwane przez wojsko kamery. W pobliżu Kulek sprzeczał się z osobistym sekretarzem ministra spraw wewnętrznych na temat ilości zgromadzonego sprzętu i ludzi, twierdząc, że to wszystko może zaszkodzić przepływowi energii w powietrzu i utrudnić mu nawiązanie kontaktu psychicznego z Ciemnością. Sekretarz, szczupły, niski, drażliwy mężczyzna, o nazwisku Sicklemore, gniewnie odpowiedział, że przeprowadzają badanie naukowe, a nie seans w salonie, że polecono mu zebrać i zarejestrować wszystkie dane z eksperymentu, a cywilom zapewnić wszelką możliwą ochronę. Dodał, że przez lata parapsychologowie domagali się, aby naukowcy współpracowali z nimi. Kulek nie powinien zatem teraz narzekać, skoro w końcu do tego doszło. Niewidomy mężczyzna musiał ustąpić, zdając sobie sprawę, że sytuacja jest zbyt poważna, aby wdawać się w drobne utarczki. Stojąca obok ojca Jessica odetchnęła z ulgą, gdy spór został zażegnany.

Bishop przedarł się przez tłum techników, policjantów i personelu wojskowego, z których wszyscy mieli do wykonania określone zadanie, i wśród tego całego zamieszania ujrzał Edith Metlock, siedzącą samotnie na płóciennym krześle. Podeszedł do niej i usiadł obok.

- Jak się czujesz? - spytał. Uśmiechnęła się słabo.

- Trochę się denerwuję - odpowiedziała. - Nie jestem pewna, czy to właściwy sposób.

- Jacob sądzi, że jedyny.

- Pewnie ma rację - powiedziała zrezygnowana.

- Wojsko nas ochroni - zapewnił ją.

- Nie rozumiesz, Chris. Muszę pozwolić, by ta... ta ciemność przeniknęła do mojego umysłu. To tak, jak bym pozwoliła, by zły duch nawiedził moje ciało, tylko że, w tym przypadku będzie to paręset demonów.

Wskazał stojących w pobliżu dwóch mężczyzn, którzy cicho rozmawiali.

- Oni będą z tobą.

- Obaj cieszą się ogromną sławą jako media, to zaszczyt dla mnie, że będę z nimi pracowała. Ale nasza połączona siła jest niczym w porównaniu ze skumulowanym oddziaływaniem zła. Już czuję jego obecność i to mnie przeraża.

- Może nic się nie stanie.

- Z jednej strony chciałabym, żebyś miał rację, z drugiej - wiem, że to wszystko trzeba powstrzymać, zanim będzie za późno.

Bishop milczał przez chwilę ze schyloną głową, jakby przyglądał się ziemi wokół swych stóp.

- Edith - powiedział w końcu - pamiętasz, jak te dwie wariatki przetrzymywały nas w domu Kuleka. Zanim przyszłaś, jedna z nich powiedziała, że Lynn, moja żona, w dalszym ciągu jest „aktywna”. Możesz mi wyjaśnić, co miała na myśli?

Medium ze współczuciem poklepało go po ręce.

- Prawdopodobnie chciała powiedzieć, że duch twojej żony jest związany z innymi, opanowanymi przez Ciemność.

- Nadal jest jej częścią?

- Nie wiem. Możliwe. Dlatego jesteś tu dzisiaj? Bishop wyprostował się.

- Z mnóstwem rzeczy musiałem się ostatnio pogodzić. Przyznaję, że wielu nie rozumiem, ale gdy pomyślę, w jaki sposób zamordowali Lynn... - z trudem powstrzymał gniew - zrobię wszystko, by zniszczyć tę siłę... Jacob nie jest pewny, kto wywołał wizje, gdy byliśmy poprzednio w Beechwood, ty czy ja sam, czy połączenie nas obojga. Przypuszczam, że jestem tylko składnikiem, który chce wrzucić do wspólnego kotła.

Padł na nich cień i gdy unieśli głowy, zobaczyli Jessikę.

- Wszystko jest już prawie gotowe, Edith. Jacob chciałby, żebyś razem z innymi zajęła swoje miejsce.

Bishop pomógł medium wstać, zauważając przy tym, jak bardzo jest wyczerpane. Podeszli do Jacoba Kuleka rozmawiającego z grupą ludzi, w której znajdowali się komisarz policji, młodo wyglądający major i kilkoro mężczyzn i kobiet - znanych naukowców i metafizyków. Przypomina to jakiś cholerny cyrk, pomyślał ponuro Bishop.

Kulek przerwał rozmowę, gdy Jessica pociągnęła go za rękaw i coś mu powiedziała. Kiwnął głową, po czym zwrócił się do otaczających go osób.

- Proszę wszystkich, którzy nie biorą bezpośrednio udziału w operacji, o opuszczenie terenu. Czy mógłby pan dopilnować tego, panie komisarzu? Jak najmniej straży, jak najmniej techników. Warunki do tego, co zamierzamy zrobić, są wystarczająco złe, nie musimy ich pogarszać. Panie majorze, trzeba wyłączyć reflektory.



- Dobry Boże, nie mówi pan poważnie - usłyszał natychmiastową odpowiedź.

- Jak najpoważniej. Także lampy muszą być znacznie przyciemnione. Edith?

- Jestem tutaj, Jacob.

- Przykro mi z powodu tych warunków, moja droga, mam nadzieję, że nie rozproszą twojej uwagi. Enwright i Schenkel, czy są panowie gotowi?

Obaj mężczyźni, których Jessica sprowadziła tu w charakterze mediów, odpowiedzieli twierdząco.

- Czy jest tu Chris? Chris, chcę, abyś usiadł obok Edith. Proszę, niech wszyscy zajmą wyznaczone miejsca.

Bishop był zdziwiony, myślał, że to wszystko odbędzie się gdzieś z boku. Nagle przestraszył się jeszcze bardziej.

Na wyrównanej części placu ustawiono w półkole sześć krzeseł. Bishop poczuł się jeszcze gorzej, gdy uświadomił sobie, że stoją blisko miejsca, w którym kiedyś znajdował się salon. Pod nogami wyczuł surowe deski, które zakrywały wszelkie otwory prowadzące do piwnicy. Zerknął na zegarek, było dopiero po dziesiątej. Medium poprosiło, aby Schenkel usiadł na końcu, a Enwright obok niego. Następnie zajęli miejsca: Edith Metlock, Bishop i Jacob Kulek z Jessiką, która usiadła tuż za plecami ojca.

- Prosimy o zachowanie absolutnej ciszy. - Kulek tylko nieznacznie podniósł głos, ale usłyszeli go wszyscy zgromadzeni. - Światła, majorze. Proszę je wyłączyć.

Zgasły reflektory, przekreślono specjalne przełączniki przyciemniające łukowe lampy. Jasno oświetlony teren stał się nagle mroczny i złowieszczy.

Kulek odezwał się do Bishopa:

- Wróc myślami do tamtego pierwszego dnia, Chris.

Do dnia, w którym po raz pierwszy przybyłeś do Beechwood. Przypomnij sobie, co wtedy widziałeś. Ale Bishop już sobie przypominał.

Wiedział, co ma robić. Powiedzieli mu.

Wnętrze elektrowni przypominało olbrzymią jaskinię, norę giganta, która rozbrzmiewała rykiem i pulsowaniem potężnych pieców i turbin. Przeszedł między nimi, po jednej stronie monstrualne, pancerne turbiny, po drugiej - piece i kotły, które wznosiły się z umieszczonej trzydzieści stóp niżej piwnicy aż do sięgającego niemal stu stóp sufitu. Turbiny, pomalowane na jasnożółty kolor, wyposażone były w pulpity sterownicze, kontrolujące ich działanie. Piece i kotły miały zwodniczą zimnoszarą barwę, jednak spalając tonę oleju na minutę, stawały się niebezpiecznie gorące. Z pieców wychodziły grubo izolowane rury;

łącząc się w piwnicy z rurami z kotłów, doprowadzały parę, która pod ciśnieniem tysiąca pięciuset funtów na cal kwadratowy poruszała łopatki turbiny.

Minał technika sprawdzającego rzędy przyrządów pomiarowych kontrolujących pracę jednego z pieców i zignorował machającą do niego rękę. Technik zmarszczył brwi, zdziwiony niechlujnym wyglądem kolegi, ale szybko powrócił do monitorów; w ciągu ostatnich nocy elektrownia była przeciążona, wydane bowiem przez władze zarządzenie nakazywało mieszkańcom Londynu palenie wszystkich możliwych świateł.

Mężczyzna skierował się na schody prowadzące do części administracyjnej, do pomieszczenia, w którym znajdowała się dyspozytornia.

Przez dwa dni i dwie noce ukrywał się w swoim mieszkaniu w suterenie, zasunięte kotary utrzymywały w jego dwóch pokojach ponury mrok w ciągu dnia i kompletną ciemność w nocy.

Był krępy, dwudziestoosmioletnim mężczyzną, o twarzy pokrytej trądzikiem, który już dawno powinien był zniknąć, a jego czaszkę zaczęły już opuszczać nielojalne pasma włosów. Żył samotnie, nie z wyboru, ale dlatego, że nikt inny - ani kobieta, ani mężczyzna - nie zdradzał skłonności, by z nim zamieszkać. Ledwo skrywał swą pogardę dla całego rodu ludzkiego, a uczucie owo żywił od chwili, gdy zorientował się, że to świat nim pogardza. Myślał, że opuszczenie szkoły będzie oznaczało koniec traktowania go przez niedojrzałe umysły jak odrażającego przedmiotu, lecz przekonał się, że umysły w college'u, w którym kontynuował naukę, choć starsze, były równie niedojrzałe. Gdy został inżynierem chemikiem, szkody stały się już nieodwracalne. Jego rodzice żyli jeszcze, ale rzadko ich odwiedzał. Nigdy nie starali się go podnieść na duchu. Gdy parę razy przyłapali go na podglądaniu szybko dojrzewającej siostry, poczuli się nim rozczarowani. Wmówili mu, że szkła kontaktowe, które musiał nosić, nadające jego oczom wygląd czarnych guziczków pływających w srebrnych sadzawkach, były karą od Boga. Czy zatem zesłał na niego pryszcze, ponieważ nie mógł przestać się onanizować? I czy On sprawił, że jego ciało cuchnęło bardziej niż inne, tylko dlatego, że nienawidził swojej siostry, choć ją podglądał? I czy On również sprawia, że wypadają mu włosy, gdyż nie pozbył się sprośnych myśli? Czy to wszystko Jego dzieło? Do diabła z Nim, są jeszcze inni bogowie.

Wszedł po schodach do pomieszczeń administracyjnych, nie spotkawszy nikogo po drodze; do utrzymania elektrowni w ruchu wystarczał zaledwie trzydziestoparosoobowy zespół administracyjno-techniczny, tak mała grupka ludzi czuwała nad siłą wykorzystywaną przez miliony. To właśnie odpowiedzialność najbardziej pociągała go w tej pracy. Mieszkańców okręgu obsługiwanego przez jego stację można było pozbawić światła i energii

na trzy sposoby: po pierwsze - wysadzić całą elektrownię, po drugie - systematycznie wyłączać generatory i turbiny oraz odciąć dopływ paliwa, po trzecie - wyłączyć wszystko, z wyjątkiem pieców, za pomocą zdalnego sterowania w dyspozytorni. Wysadzenie elektrowni nie wchodziło w grę, gdyż nie miał dostępu do materiałów wybuchowych. Ręczne wyłączenie wszystkich urządzeń i odcięcie dopływu paliwa zabrałoby tyle czasu, że technicy powstrzymaliby go, zanim zdążyłby unieruchomić pierwszą turbinę. Pozostawała tylko stacja rozdzielcza. Wystarczy przekręcić przełączniki i wszystko stanie się czarne. Czarne jak noc. W jego oczach pojawił się wyraz zadowolenia.

Dyspozytornia była dużym pomieszczeniem, oddzielnym od hali generatorów szklaną ścianą. Wypełniały ją pulpity sterownicze i ekrany telewizyjne kontrolujące całą bez wyjątku elektrownię. Już od kilku tygodni nadzorujący stację byli bardziej czujni niż zazwyczaj, wytłumaczono im bowiem dokładnie, jakim niebezpieczeństwem grozi wyłączenie prądu w jakimkolwiek rejonie. Nie przewidziano jednak niebezpieczeństwa ze strony własnych pracowników.

Dyżurny nadzorca spojrział ze zdziwieniem na wchodzącego do pokoju mężczyznę i już miał go zapytać, gdzie się podziewał przez ostatnie dni, gdy kula z beretty przedziurawiła mu czoło. Inni nadzorcy byli zbyt oszołomieni, by natychmiast zareagować, powystrzelał ich więc po kolei, a każda kula trafiała w cel z precyzyjną nonszalancją. Był zdziwiony swoimi strzeleckimi umiejętnościami, gdyż nigdy przedtem nie miał w ręku pistoletu, nie dziwił go jednak własny spokój. Spokoju tego nie przyniosła mu ta obca wysoka kobieta, która przyszła dziś do jego mieszkania w suterenie i pokazała, jak ma się posługiwać bronią. Zrobiła to Ciemność.

Zachichotał na widok leżących na podłodze ciał kolegów i przez chwilę przyglądał się, jak umierają w konwulsjach. Oblizując co chwila wargi, przeszedł między ciałami do pulpitu kontrolnego. Trzęsącą się ręką sięgnął do pierwszego wyłącznika.

Bishop szybko zamrugał oczami. Czy to tylko jego wyobraź: a, czy zrobiło się jeszcze ciemniej? Usiłując przełknąć ślinę, poczuł, że ma ściśnięte gardło. Miał wrażenie, że otaczają go cztery ściany, przezroczyste ściany, przez które widzi niewyraźne postacie innych znajdujących się tam osób. Ściany stawały się coraz masywniejsze. Po lewej stronie pojawiło się zasłonięte okno. Następne okno po prawej, trochę niżej. Cienie poruszały się jak wstęgi dymu.

Nie poddawał się.

Edith miała zamknięte oczy, wydawała stłumione dźwięki. Opuszczała powoli głowę, aż brodą dotknęła piersi. Pozostałe dwa media miały oczy otwarte i Bishop dostrzegł ich

przeżalenie. Schenkel, siedzący na końcu, zaczął się trząść. Mrugał powiekami, coraz bardziej rozszerzały mu się źrenice, w końcu zamknął oczy. Enwright nie zauważył, co się dzieje z kolegą, gdyż nadal obserwował Edith Metlock. Silne palce zacisnęły się na ramieniu Bishopa i odwróciwszy szybko głowę, zobaczył wpatrujące się weń niewidzące oczy Kuleka.

- Chris, widzisz ich znowu? - wyszeptał Kulek. - Czuje, że jest tu coś złowrogiego. Czy to oni, czy widzisz te same twarze?

Bishop nie był w stanie odpowiedzieć. To stało się zbyt nagle, ledwie przyćmiono światła, a już odczuł tę obecność. Tak, jak gdyby tylko czekało.

Pokój nabrał stałych konturów, postacie unosiły się przed Bishopem, zarysowując się wyraźnie, a potem znów zmieniając się w mgliste zamazane obrazy. Pokój wydawał się mniejszy. Dźwięczało mu w uszach, głosy wybuchały głośnym krzykiem, po czym gwałtownie milkły zastępowane przez inne, jakby ktoś bez wyraźnego powodu zmieniał częstotliwość fal. Spojrzał znów na Edith i zobaczył spływającą z jej ust ciemną substancję, krople powoli ściekały po brodzie na piersi. Mogła to być krew, lecz wiedział, że to nie to. Wyciągnął rękę, aby tego dotknąć, ale nic tam nie było, ani na jego palcach, ani na jej brodzie nie pozostał ślad czarnej mazi. Cofnął rękę i substancja ponownie zaczęła kapać z jej warg. Bishop spojrzał w górę i pokój wydał mu się jeszcze mniejszy.

Schenkel spadł z krzesła i leżał nieruchomo na szorstkich deskach, zakrywających znajdującą się w dole piwnicę.

Nikt nie podszedł, aby mu pomóc, ostrzeżono ich bowiem, by interweniowali jedynie w drastycznych przypadkach. Enwright rzucił okiem na kolegę, ale zignorował go. Edith Metlock jęczała głośno, coś czarnego przypominającego kłęb dymu wydostało się z jej ust. Bishopowi rozsadały głowę śmiejące się głosy, zobaczył, że pokój się kurczy, a ściany i sufit napierają na niego. Wiedział, że go zgniotą, i próbował wstać z krzesła. Jego ciało zmarzło na kość, czuł szron zlepiający mu powieki, kłuły go włosy zamieniające się w kruche sople lodu. Ściany oddalone były tylko o stopę.

Zimna dłoń lekko poruszyła jego ręką i nieco ją rozgrzała. To Edith Metlock dotknęła go. Ktoś inny trzymał go za drugą rękę, i choć głowę miał skutą lodem, rozpoznał uścisk Jacoba Kuleka. Zrobiło mu się cieplej i poczuł, że coś odlatuje od niego, coś, co groziło mu uduszeniem. Okna i sufit zniknęły, lecz przed oczami miał wirującą ciemność.

Z ust Enwrighta wydobył się dźwięk, ale głos nie należał ani do niego, ani do żadnej żywej istoty. Był to dźwięk cienki i wrzaskliwy, udręczone zawodzenie torturowanego. Wstał, dłońmi ścisnął skronie, kręcąc głową z boku na bok, jakby chciał coś z niej strząsnąć. Patrzył dziko po obecnych, aż jego wzrok spoczął na Bishopie.

Powidok tych wytrzeszczonych oczu miał Bishop pod powiekami, jeszcze gdy zgasły przyćmione światła i wszystko uległo miażdżącej ciemności.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Ręce zacisnęły się na gardle Bishopa i zaczęły go dusić. Widział przed sobą jedynie czarny kształt, lecz wiedział, że to Enwright próbuje wycisnąć zeń życie. Chwycił go za nadgarstki, usiłując odciągnąć jego ręce, odruchowo pochylił głowę i naprężył plecy, aby złagodzić narastający ucisk. Szamocząc się, Bishop zdawał sobie sprawę z panującego wokół zamieszania - krzyków, tupotu nóg, płomyków nagle zapalanych zapalek i zapalniczek, a potem snopów światła, którymi latarki wykrawały długie, jaśniejące pasma w mroku nocy.

Zawroty głowy potęgowały jeszcze wrażenie panującego chaosu i Bishop czuł, że wkrótce straci przytomność, jeśli nie wyrwie się z dławiącego uścisku, ale choć mocno szarpał nadgarstki mężczyzny, nacisk stale się wzmacniał. Miał tylko jedno wyjście. Puszczając ręce napastnika, chwycił go za ubranie i przyciągnął do siebie, wbijając mocno obcas w znajdujące się pod nim deski. Jego krzesło niebezpiecznie się przechyliło i obaj mężczyźni przewrócili się na ziemię, przy czym Bishop zwiększył jeszcze siłę upadku, odpychając się mocno obcasami. Runęli ciężko, głowa Enwrighta z głośnym trzaskiem uderzyła o deski, a jego ciało natychmiast stało się bezwładne. Bishop wygiął plecy i skulił ramiona, żeby zmniejszyć siłę uderzenia. Odsunawszy leżące ciało, usiadł i rozejrzał się szybko dookoła, po czym zamknął na chwilę oczy, by łatwiej przywykły do ciemności.

- Zapalcie te cholerne reflektory! - usłyszał czyjś krzyk i natychmiast mocne światło rozjaśniło połowę placu.

- Następny reflektor - zawołał ten sam głos. Bishop zobaczył teraz, że to major wykrzykuje rozkazy. - Zapalcie go, do cholery!

Ale przy samochodzie, na którym zainstalowany był drugi reflektor, coś się działo. Bishop ledwo widział walczące postacie i uchylił się, gdy usłyszał strzał. Do samochodu podbiegli żołnierze z odbezpieczonymi karabinami maszynowymi kaliber 7.62.

W rosnącym zamięcie Bishop zobaczył Edith Metlock, która kręciła bezładnie głową i wymachiwała rękami, jakby odparowywała czyjeś ciosy. Schenkel klęczał pochylony, zakrywając twarz dłońmi.

- Chris, pomóż mi!

Jessica starała się odciągnąć od ojca mężczyznę w granatowym mundurze policjanta. Nagle Bishop uświadomił sobie ze zgrozą, że Ciemność ogarnęła umysły tych, którzy mieli ich chronić. Chwiejnie powstał na nogi i podbiegł ku Jessice, lecz inna postać zdążyła już do

nich dotrzeć. Za Kulekiem stał policjant i ciągnął go do tyłu, zaciskając mu rękę na gardle, a stojąca przed nimi Jessica usiłowała odciągnąć jego ramię. Inny mężczyzna zaszedł policjanta od tyłu i wbił mu kciuki w miękkie ciało tuż u nasady szczęki, wwiercając się nimi coraz głębiej. Policjant krzyknął, zmuszony puścić Kuleka, i gdy się obrócił, drugi mężczyzna z całej siły walnął go pięścią tuż pod nosem, odrzucając mu głowę do tyłu. Następny silny cios w odsłoniętą krtań powalił policjanta na ziemię, gdzie leżał, wijąc się z bólu, z trudem łapiąc powietrze.

Bishop zdążył już do nich podbiec i w mężczyźnie, który uratował Kuleka, rozpoznał inspektora Ropera - podwładnego Pecka.

- Cholerne szajbusy - stwierdził Roper, nie patrząc już nawet na rannego policjanta.

Właśnie wtedy z ogólnego zamętu wyłonił się sam Peck.

- Czy wszystko w porządku, sir? - spytał, wyciągając rękę, by podtrzymać Jacoba Kuleka.

Niewidomy mężczyzna z trudem łapał powietrze, trzymając się Jessiki.

- Ja... ja powoli się uczę odpierać takie ataki - zdołał wykrztusić; na twarzy Pecka pojawił błysk rozbawienia.

- Zabierajmy się stąd - powiedział Peck. - Zdaje się, że połowa Londynu pozbawiona jest prądu. Wszystko się teraz może zdarzyć.

Zwrócił się do Bishopa.

- Nic się panu nie stało? Widziałem, jak ten drań zaatakował pana, zanim zgasły światła. Przykro mi, że nie zdążyłem panu pomóc.

- Nic mi nie jest. Dlaczego wysiadły światła? Peck wzruszył ramionami.

- Może sieć była przeciążona.

- Albo sabotaż.

- W tej chwili to nie ma znaczenia. Najważniejsze, żebyście się znaleźli w jakimś bezpiecznym miejscu.

- A Edith? Gdzie jest Edith?

Kulek kurczowo trzymał się Jessiki, boleśnie odczuwając swoją ślepotę.

- W dalszym ciągu tam siedzi, ojciec. Jest w transie. Chyba próbuje z niego wyjść.

- Szybko, zaprowadźcie mnie do niej, zanim będzie za późno.

- Powinniśmy stąd uciekać - wtrącił Peck.

- Najpierw Edith - powiedział stanowczo Kulek. - Musimy ją zabrać ze sobą.

Jessica podprowadziła ojca do wstrząsanego konwulsjami medium. Roper niespokojnie spojrział na przełożonego.

- Nie podoba mi się to, szefie - powiedział - nie będziemy mieli żadnej szansy, jeśli ten reflektor wysiądzie.

- Chodźmy do samochodów, Frank. Trzeba natychmiast włączyć wszystkie światła. Gdzie jest ten cholerny komisarz? I ten major, powinien być już wszystko zorganizować.

Lecz nasilająca się strzelanina uświadomiła im, że w tych warunkach sprawna organizacja może być dość trudna, a gdy trzask szkła poprzedził wygaśnięcie pozostałych świateł i teren oświetlały jedynie latarki, doszli do wniosku, że jest ona praktycznie niemożliwa.

- Do samochodów, Frank, szybko. Włączmy światła.

Ktoś wpadł na Pecka, a ten odepchnął go szorstko i sięgnawszy pod kurtkę, wyciągnął pistolet, dyskretnie ukryty w futerale na biodrze.

- Bishop! Gdzie jesteś?

- Tutaj.

Idący za Jessiką i Kulekiem Bishop zatrzymał się, zanim zgasło ostatnie światło, i stał teraz między nimi a Peckiem.

Inspektor przeklinał panujące ciemności. Nawet księżyc nie świecił. Co za cholerną noc wybrali!

- Możesz podejść do Kuleka? - wrzasnął, przekrzykując ogólną wrzawę.

- Tak, są niedaleko... Jezu!

Peck zrobił kilka kroków w kierunku oddalonego o parę stóp ciemnego kształtu, teraz i on poczuł przenikliwie zimno.

Przez chwilę czuł zupełną pustkę w głowie, odrętwiająca lodowatość wypełniała każdą ukrytą szczelinę w jego mózgu. Potknął się o coś.

- Bishop? Co to jest? Ty też to czujesz?

- Nie poddawaj się, Peck. Walcz!

- Co to jest? - krzyknął Peck, przysłaniając wolną ręką oczy i czoło i odsuwając od siebie broń.

- To Ciemność. Bada twój mózg. Możesz się jej przeciwstawić, Peck, ale musisz chcieć.

Po pierwszym paralizującym ataku Bishop odzyskiwał zdolność logicznego myślenia i nagle uświadomił sobie, że Ciemność zabiera tylko tych, którzy chcą być zabrani. Musisz zaakceptować Ciemność, zanim wyciągnie po ciebie macki niczym mityczny wampir, który bez zaproszenia nie przekroczy progu.

Chwył Pecka i potrząsnął nim.

- Walcz z nią! - zawył. - Nie pokona cię, jeśli będziesz walczył.

Wypuścił z ramion Pecka, który osunął się na ziemię.

- Zabierz ich... zabierz ich stąd! - powiedział jeszcze inspektor.

Bishop nie tracił już czasu, teraz tylko Peck mógł sam siebie ocalić. Znowu rozległy się strzały, i jedynie krótkie błyski z karabinów rozświetlały zastygłe obrazy. Ciemność wokół nich była ciężka, gęsta, ale oczy Bishopa z wolna przyzwyczały się do niej i wyraźniej już rozróżniał sylwetki. Zbliżył się do Jessiki i jej ojca, pochylonych nad Edith Metlock, która wciąż wiała się na krześle.

- Jessico - powiedział, przyklękając obok niej - musimy stąd uciekać. Tu jest zbyt niebezpiecznie.

- Znęcają się nad nią. Nie może wyjść z transu.

Kulek kurczowo ścisnął ramiona medium i cicho powtarzał jego imię. Ciało Edith uniosło się, zaczęło jej się zbierać na wymioty. Wydawała urywane, pełne udreki dźwięki, aż zsunęła się z krzesła i wymiociny wytrysnęły z jej ust łukowatym strumieniem. Bishop poczuł, jak ciepłe, lepkie cząsteczki obryzgują mu twarz, w nozdrza uderzył go obrzydliwy zapach. Rękawem otarł twarz, po czym wyciągnął rękę do Edith i pomógł jej usiąść. Nagle z ulicy dotarły do nich światła: dwie pary reflektorów omiotły cały teren; to kierowcy przestawiali samochody. Oczy Edith były szeroko otwarte i wpatrzone w przestrzeń, a choć nadal drżała, ustały szalone konwulsje.

Bishop podniósł się i podciągnął ją do góry. Nie stawiała oporu, poczuł ulgę, że może stać, chociaż tylko przy jego pomocy.

- Jacob, trzymaj się Jessiki. Zabieramy się stąd.

- Popelniliśmy błąd. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego szaleństwa, ze zła, które nas otacza.

- Już to wiem. Ale teraz chodźmy.

W głosie Bishopa brzmiał gniew, którego nie rozumiał, lecz cieszył się, że go odczuwa; w pewnym sensie dodawał mu sił.

Na wpół niosąc, na wpół ciągnąc Edith przez plac, kierował się w stronę świateł samochodów, napominając Jessikę i jej ojca, by trzymali się blisko niego. Żołnierz, który stanął im na drodze, niespiesznie podniósł karabin i wycelował w głowę Bishopa.

W świetle reflektorów najbliższego samochodu Bishop dostrzegł tylko ciemną sylwetkę, lecz odgadł zamiar żołnierza. Drgnął, gdy rozległ się strzał, i patrzył, jak żołnierz powoli osuwa się na ziemię.



- Macie zamiar tak stać przez całą noc? - spytał Peck, wychodząc z ciemności przed jarzące się reflektory samochodowe.

Bishop niemal krzyknął z ulgi; nigdy nie przypuszczał, że tak się ucieszy na widok Pecka. Mocniej przytrzymał kobietę, która wciąż wpatrywała się pustym wzrokiem przed siebie, i ruszył naprzód; dołączył do niego Peck, pomagając mu nieść medium.

- Myślałem, że już mnie wzięło - powiedział głośno Peck. - Nie mogłem się ruszyć, jak po narkozie, tylko nie było tak przyjemnie. Wystraszyłem się na śmierć. Niech się pani nas trzyma, panno Kulek. Zaraz się stąd wydostaniemy!

Dalej teren oświetlał pierwszy reflektor, który udało się znowu uruchomić. Bishop odwrócił głowę, by nań spojrzeć. Plac przypominał pole walki - żołnierze bili się z żołnierzami, policjanci z policjantami i wszyscy ze wszystkimi. Pojawili się tu ludzie, których przedtem nie było. Kobiety i mężczyźni kulili się, osłaniając rękami oczy przed rażącym światłem. Bishop nie miał pojęcia, skąd przyszli, ale było oczywiste, że są to ofiary Ciemności. U ich stóp leżały ciała policjantów i żołnierzy, których zaatakowali. Nie miał pewności, ale jedna z leżących postaci przypominała samego komisarza policji.

Przeszli przez ruiny na mały betonowy plac. Kiedyś był tu parking dla przyjeżdżających do Beechwood samochodów. Bishopowi zdawało się, że dopiero wczoraj był tu po raz pierwszy. Tyle się jednak wydarzyło od czasu tej wizyty, że równie dobrze mogły od niej minąć długie lata.

Willow Road i ruiny Beechwood stanowiły oazę światła w tej rozległej części miasta. Łuna, rozjaśniająca nocne niebo, była widoczna w promieniu wielu mil. Zdziwieni ludzie patrzyli przez okna na odbłask światła, nie wiedząc, dlaczego ich ulice pogrążone są w absolutnej ciemności. Niektórzy wychodzili z domów, wyłaniali się z kanałów i różnych mrocznych miejsc, kierując się ku światłu, wiedząc już, co tam znajdują.

Bishop zmrużył oczy, osłepiony reflektorami; poganiały go krzyki, wrzaski, odgłos wystrzałów. W pośpiechu dotarli do pierwszego samochodu i niemal wpadli na maskę.

- Tędy, szefie - doszedł ich znajomy głos.

Otaczali ich policjanci, jedni w mundurach, drudzy po cywilnemu. Peck poprowadził małą grupkę ku Roperowi stojącemu przy samochodzie.

- Cholera, ale się tam mordują - powiedział detektyw. - Nie sądziłem, że wam się uda.

- Ja też nie - odpowiedział Peck. - Zawiadomiłeś dowództwo?

- Taak, podeślą nam, kogo będą mogli. Mają jednak problemy: znowu coś się zaczęło na mieście. Peck przywołał umundurowanego sierżanta.

- Niech podjedzie tu jeszcze jeden samochód, by oświetlić teren. Inne niech staną dookoła, tak byśmy byli otoczeni jasnym kręgiem światła. Starajmy się jak najdalej trzymać tych oszalałych włóczęgów lub przynajmniej miejmy na nich oko.

Odruchowo schylili głowy, gdy w pobliżu nich na drodze roztrzaskała się butelka. Usiłowali dojrzeć, kto ją rzucił, ale oślepiły ich światła innego samochodu. Następna butelka przecięła powietrze i trafiła w ramię ubranego po cywilnemu policjanta. Mężczyzna upadł na kolano, ale po chwili się podniósł, najwidoczniej nie został poważnie zraniony. Niewyraźne postacie przemknęły przez snop światła i znowu zniknęły w otaczającej ciemności. Peck wiedział, że musi szybko zorganizować swoich ludzi - ich strach wzrastał, ponieważ nie bardzo wiedzieli, co mają robić.

- Bishop, chcę, żebyście się wynieśli z tej części miasta. Mój kierowca Simpson zabierze was na drugą stronę rzeki.

Bishop pomyślał, że może Kulek będzie się opierał poleceniom Pecka, ale gdy się odwrócił, na twarzy niewidomego mężczyzny zobaczył wyraz całkowitej rezygnacji.

- Jacob?

- To się staje zbyt silne. Nie zdawałem sobie sprawy - te słowa nie były skierowane do nikogo w szczególności, Kulek jakby zamknął się w sobie.

- Musimy odjechać, ojczu. Na nic się tu nie przydamy - ponagliła go Jessica.

Peck otwierał już drzwi granady.

- Wsiadajcie - nakazał krótko. - Kulek i panie z tyłu, ty z przodu, Bishop. Frank, łap samochód patrolowy i jedź za nimi. Weź dwóch ludzi z obstawy.

Roper pospieszył do stojącego w pobliżu białego rovera; kierowca natychmiast zapalił silnik i z ulgą ruszył. Samochód minął granadę, gdy Bishop zamykał właśnie drzwi za Kulekiem i paniami. Inne wozy policyjne z piskiem opon zawracały i ustawiały się tak, by znów oświetlić teren. Szybko poruszające się samochody kilkakrotnie uderzały z głuchym stukotem w ciała czających się w mroku ludzi. Peck był zdziwiony widokiem tak wielu napierających na nich osób, ich postacie zastygłe w migającym świetle przypominały lisy na wiejskiej drodze, sparaliżowane nocą blaskiem reflektorów. Nie wiadomo, czy wszyscy byli ofiarami Ciemności. Może niektórzy przyszli zaciekawieni światłem i zgiełkiem? I tak się tego nie dowie; nie mieli wyboru, musieli wszystkich traktować jak potencjalnych wrogów.

Oparł się o szybę granady i powiedział do kierowcy:

- Jedź prosto do dowództwa. Nie zatrzymuj się pod żadnym pozorem. Jedź po prostu za samochodem patrolowym.

Inspektor szybkim krokiem szedł w kierunku rovera. Bishop krzyknął za nim:

- A co pan zrobi?

Peck odwrócił się i odpowiedział:

- Wyciągniemy stąd komisarza i cywilów, potem pojedziemy na drugą stronę rzeki. Wojsko samo sobie poradzi!

Peck odwrócił się i zaczął wykrzykiwać polecenia kierowcy wozu patrolowego, zanim Bishop zdążył mu powiedzieć, że komisarz policji leży chyba gdzieś na ziemi, martwy lub nieprzytomny. Peck trzepnął ręką w dach rovera i samochód wyrwał do przodu. Granada ostro ruszyła za nim. Bishopa wcisnęło głęboko w siedzenie. Przejechali zaledwie sto jardów, kiedy błysnęły czerwone światła stopu wozu patrolowego i oba samochody gwałtownie się zatrzymały. Bishop wysunął głowę przez okno i ogarnęła go bezdenne rozpacz.

Wylot ulicy całkowicie blokował tłum ludzi. Posuwali się naprzód, jedni biegli, drudzy szli wolno jak automaty. Niektórzy byli w stanie krańcowego wyczerpania, inni, ożywieni, poruszali się szybko, nie zwracając uwagi na światła. Nie wiadomo było, ilu ich jeszcze idzie, ale zdawało się, że setki, nieprzerwany strumień sunących ciał. Zbliżali się, wielu było uzbrojonych w przypadkową broń - metalowe pręty, noże, butelki od mleka. Jeden z biegnących trzymał przedmiot przypominający kształtem strzelbę.

Jessica siedząca tuż za Bishopem pochyliła się do przodu, usiłując dojrzeć, co się dzieje.

- Co tam, Chris?

Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż kierowca stojącego przed nimi samochodu zdecydował, co robić dalej: rover wyrwał nagle w tłum, granada jechała tuż za nim. Jeżeli policjant w pierwszym wozie liczył na to, że tłum się rozstąpi i da mu wolną drogę, to się mylił: ludzie nie ruszyli się z miejsca i rover wjechał w tłum.

Jessica krzyknęła, widząc wyrzucane w powietrze ciała; reflektory granady oświetlały tę wstrząsającą scenę. Ich samochód zarzucił, gdy kierowca skręcił kierownicą, usiłując uniknąć uderzenia w tył unieruchomionego teraz rovera. Granada wyrznęła bokiem w stojący przed nią samochód, wyrzucając pasażerów w przód.

Roper wysunął głowę z tylnego okna białego wozu i machnięciem ręki pokazał, aby jechali dalej. Jego kierowca, zszokowany widokiem tak wielu rozjechanych ciał, szybko doszedł do siebie i ponownie chciał uruchomić nadwerężony silnik, gdy koło maski rovera pojawił się mężczyzna. Trzymał strzelbę wycelowaną w przednią szybę.

Bishop usłyszał huk wystrzału i ujrzał, jak pękające szkło utworzyło nieregularną, nieprzejrzystą obwódkę błyszczącego srebra wokół czarnej dziury. Obaj policjanci siedzący z przodu wozu patrolowego zostali odrzuceni do tyłu, po chwili ich ciała osunęły się na

siedzenia. Roper otwierał już drzwi, kiedy chwyciły go niecierpliwe ręce. Podniósł pistolet, lecz wytrącono mu go z ręki, gdy rzucił się nań tłum.

- Musimy mu pomóc! - krzyknął Bishop, łapiąc za klamkę.

Kierowca chwycił go, ściągając z powrotem.

- Nie ma mowy. Dostałem rozkaz, żeby was wszystkich stąd wywieźć i to właśnie mam zamiar zrobić.

- Nie możemy go tak zostawić.

- I tak nie mamy żadnej szansy, ich jest za dużo.

Zanim skończył mówić, samochód został otoczony. Napastnicy walili pięściami i prowizoryczną bronią w dach wozu. Wyciągnięte do Bishopa ręce szarpały go za twarz i ramiona. Kierowca roztropnie cały czas miał zamknięte okno. Bishop wyrwał się chwytającym go rękami i walił w nie z całej siły. Nie czuł litości ani dla tych ludzi, ani dla ich losu, budzili w nim tylko pełen obrzydzenia strach. Metal zazgrzytał o metal, gdy granada gwałtownie ruszyła. Tarcie między dwoma samochodami wysłało w powietrze deszcz iskier.

Jessica patrzyła z przerażeniem, jak nabierający prędkości pojazd powłókł za sobą mężczyznę, który nie chciał puścić drzwi od strony Bishopa. Powoli i systematycznie Bishop podważał palce mężczyzny, aż oderwał jego ręce od drzwi. Jessica poczuła lekki, lecz przyprawiający ją o mdłości wstrząs, gdy samochód przejechał po nogach mężczyzny.

Simpson skierował się w stronę chodnika, który sprawiał wrażenie mniej zatłoczonego niż jezdnia. Na maskę samochodu wskoczyła kobieta i przywarła doń, wpatrując się oszalałymi oczami w przednią szybę. Dopiero gdy samochód wjechał na krawężnik, gwałtowny wstrząs zrzucił ją na ziemię. Bishop odwrócił się, lecz nie dojrzał Ropera, a jedynie masę czarnych postaci, które oblepiły rovera. Rozległ się kolejny strzał, a potem ogłuszający huk, gdy eksplodował zbiornik paliwa samochodu patrolowego. Ktoś - prawdopodobnie ten sam mężczyzna, który zabił dwóch policjantów - celowo wypalił w karoserię rovera. W powietrze uniosła się wielka płomienna kula, zabijając stojących zbyt blisko, parząc innych. Wybuch oświetlił ulicę, lecz cienie szybko powróciły, odpychane jedynie czerwonym blaskiem ognia.

Granada wjechała znowu na jezdnię, omijając największe skupiska ludzkie i pomknęła naprzód, kierując się ku skrzyżowaniu przy końcu Willow Road. Światła reflektorów uchwyciły mężczyznę, który wybiegł naprzód i rzucił prosto w szybę butelką od mleka. Bishop i kierowca jednocześnie zakryli twarze rękami, kiedy zobaczyli przed sobą pajęczynę popękanego szkła. Simpson, prawie nie zwalniając, wybił dziurę, żeby móc coś widzieć, i krzyknął do Bishopa:

- Weź mój pistolet, rozbij nim szybę!

Szybko rozchylił marynarkę; Bishop zobaczył kolbę pistoletu wystającą z kabury przyczepionej do pasa. Policjant rozluźnił zapięcie, nadal wpatrując się w postrzępioną dziurę, którą sam wybił. Bishop wyciągnął pistolet i rozbił szkło, tworząc większy otwór. Wiatr wdarł się do środka, ale prawie tego nie zauważyli. Na końcu Willow Road samochód gwałtownie zakreślił, rozplaszczone opony desperacko czepiały się jezdni, usiłując się na niej utrzymać, Bishop rzucony na drzwi trzymał się ich mocno, dopóki samochód nie odzyskał równowagi. Przez szybę naprzeciwko rzucił ostatnie spojrzenie na Willow Road, nim znaleźli się za rogiem i domy przesłoniły mu widok. Dojrzał tylko światła, płomienie i walczących ludzi. Teraz ogarnęła ich ciemność, w którą zagłębiały się ich reflektory.

Bishop poczuł w rękę zimny metal. Wyciągnął dłoń do kierowcy.

- Pański pistolet.

Wiatr bijący w twarz kierowcy sprawił, że zmrużył silnie oczy i nie odrywał ich od drogi.

- Niech pan go trzyma. Muszę pilnować kierownicy. W razie potrzeby, niech go pan użyje bez wahania.

Bishop chciał zaprotestować, ale rozmyślił się. Kierowca miał rację: nie może jednocześnie prowadzić i ochraniać ich. Dobrze, że wszyscy starsi rangą policjanci zostali uzbrojeni - cała policja otrzymałaby broń, gdyby jej wystarczyło - liczba ofiar Ciemności zwiększała się z dnia na dzień. Czy też, mówiąc dokładniej, z nocy na noc.

Zakreślił boczną szybę i odwrócił się do trojga siedzących z tyłu pasażerów.

- Wszystko w porządku? - spytał, przekrzykując ryk silnika i świst wiatru.

Z trudem rozróżniał w ciemności ich sylwetki. Twarz Jessiki przybliżyła się do niego.

- Myślę, że oboje są w szoku, Chris.

- Nie, nie. Dobrze się czuję - odezwał się Kulek. - To po prostu było takie... przygnębiające. Siła stała się tak wielka.

Bishop wyczuł, że niewidomy mężczyzna jest całkowicie wyczerpany i podzielał jego poczucie klęski. Jak można pokonać coś nieuchwytnego, coś, co nie ma materialnego kształtu, fizycznego jądra? Jak zniszczyć energię płynącą z mózgu? Nad żyjącymi, którzy oddali się Ciemności, można zapanować, można ich zabić, lecz sam akt zabijania wzmaga tylko tę energię.

Samochód nagle zarzucił, wciskając Bishopa w siedzenie, gdy kierowca usiłował ominąć grupę osób na środku drogi. Wóz skręcił w wąską boczną uliczkę, pozostawiając za sobą złorzeczających ludzi: nie musiały to być kolejne ofiary Ciemności, lecz kierowca nie miał

zamiaru zatrzymywać się i sprawdzać. Z okien wielu domów dochodziły przytłumione blaski, jakby ich mieszkańcy zapalali ogień lub świece, by stworzyć naturalne światło. Inni wychodzili z domów, prowadząc lub niosąc ze sobą dzieci, wsiadali do samochodów i włączali światła.

- Wygląda na to, że nie tylko my chcemy się wydostać z tych ciemności - zauważył kierowca, wyprzedzając jakiś samochód.

W oddali widać było coraz więcej świateł. Ludzie, idąc za przykładem sąsiadów, pospiesznie wsiadali do samochodów, nie rozumiejąc, co się dzieje, lecz wiedząc, że otaczająca ich ciemność jest niebezpieczna.

- Niedługo się zrobi cholerne zamieszanie! - krzyknął Simpson. - Wszyscy będą chcieli przedostać się na drugą stronę rzeki!

- Nie można mieć o to do nich pretensji - odpowiedział Bishop.

Musieli się zatrzymać. Dwa samochody nadjeżdżające z przeciwnych stron wpadły w poślizg i zderzyły się ze sobą. Jechały wolno i nie doszło do poważnego wypadku, ale słychać było okrzyki bólu i paniki. Za granadą zahamował z piskiem opon następny samochód.

- Ci kretyni zablokowali drogę.

Policjant obejrzał się w nadziei, że uda mu się wycofać. Ale kolejny pojazd zatrzymał się za blokującym ich samochodem i rozległ się pełen irytacji ryk klaksonów.

Policjant spoglądał to na prawo, to na lewo, kombinując jak by się wydostać.

- Trzymajcie się! - krzyknął, wrzucił wsteczny bieg, mocno przycisnął gaz i niemal natychmiast potem hamulec.

Granada odskoczyła parę stóp do tyłu, uderzyła w stojący za nią samochód i zepchnęła go na tyle, że policjant uzyskał cenne pole manewru. Obrócił kierownicą i jeszcze raz wjechał na krawężnik. Bishop opadł na siedzenie, nieświadomie wciskał obcas w podłogę, jakby chciał zahamować, pewien że w żaden sposób granadą nie zmieści się między latarnią a niskim murkiem po lewej stronie. Przejechali tylko dlatego, że samochód znacznie poszerzył przesmyk, zgarniając ze sobą znaczną część murka. Na odgłos rozrywanego metalu i walących się cegieł Bishop przechylił się w stronę kierowcy, spodziewając się, że w każdej chwili samochód z jego strony może się rozlecieć. Policjant szczęśliwie ominął dwa rozbite wozy i wjechał z powrotem na jezdnię.

- Zawsze chciałem zrobić coś takiego - powiedział, uśmiechając się mimo napięcia.

- Niedzielni kierowcy - skomentował Bishop, szczęśliwy, że samochód uchwalił się w całości.

- Dojeżdżamy do głównej drogi. Może dalej będziemy mogli szybciej jechać.

Optyzmizm kierowcy okazał się przedwczesny, gdy bowiem przedostali się na szeroką jezdnię, ujrzeli, iż skrzyżowanie, regulowane zazwyczaj światłami, teraz było nieprawdopodobnie zatłoczone.

- Skreć w bok, o tam!

Bishop wskazał wąski zakręt z lewej strony i kierowca bez wahania skierował tam samochód. W oddali zobaczyli płonący budynek i ludzi przyglądających się temu z ulicy.

- W prawo! - krzyknął Bishop.

Lecz kierowca wcześniej dostrzegł zakręt i już zwalniał. Z głuchym odgłosem samochód uderzył w coś. Żaden z siedzących z przodu mężczyzn nie widział, co to było: mężczyzna, kobieta czy zabłąkane zwierzę. Kierowca bez słowa znowu przyspieszył.

Boczną alejką dojechali do innej dużej ulicy; gdy przejeżdżali ją w poprzek, granada gwałtownie zahamowała. Z prawej strony ujrzeli zatłoczone skrzyżowanie, które właśnie ominęli, ze stojących tam samochodów wyciągano ludzi. Wyglądało to na atak. I znowu nie wiadomo, czy napastnicy byli ofiarami Ciemności, czy tylko zdesperowanymi kierowcami, którzy za wszelką cenę chcieli uciec z tej pozbawionej światła części miasta. Jakiś mężczyzna, w blasku reflektorów, wskoczył na dach swego samochodu, a czyjeś ręce wyciągały się ku niemu, czepiały się go, usiłując ściągnąć na ziemię. Jego opór ustał nagle, gdy podcięto mu nogi kijem czy też żelaznym łomem: upadł na dach i zsunął się z niego wprost między walące weń pięści. Krzyki skierowały ich uwagę w inne miejsce tej gęstwiny maszyn: na masce samochodu rozciągnięto kobietę, zdarto z niej ubranie, a niecierpliwe ręce unieruchomiły jej dłonie i nogi. Falujący tłum przesłonił im widok, ale ponieważ krzyki stawały się coraz przeraźliwsze, nie było wątpliwości, co się z nią dzieje. Jessica powiedziała:

- Musimy jej pomóc, Chris, powstrzymaj ich. Ręka Bishopa zacisnęła się na pistolecie. Spojrzał w kierunku policjanta, który potrząsnął głową.

- Przykro mi - powiedział. - Nie mamy szans. Ich jest za dużo.

Bishop wiedział, że mężczyzna ma rację. Nie mógł jednak siedzieć i patrzeć spokojnie na takie okrucieństwo. Kierowca wyczuł jego nastrój i szybko przycisnął pedał gazu. Wykręcił w miejscu, oddalając się od skrzyżowania. Bishop zatrzęsł się z gniewu i przez chwilę zastanawiał się, czy nie przyłożyć broni do głowy policjanta.

Wtedy Edith Metlock zaczęła się śmiać.

Odwrócił się i spojrzał na nią, kierując lufę pistoletu w dach samochodu. Kulek i Jessica odsunęli się od medium i z napięciem wpatrywali się w siedzącą obok nich ciemną postać.

Śmiech nie należał do Edith. Był to gardłowy, złośliwy, tubalny śmiech mężczyzny.

Kierowca przycisnął pedał gazu, wiedząc czym grozi postój w tych ciemnościach, lecz przeraził się tak samo jak inni: przeszył go chłód, poczuł szarpiący ból pod łopatką, rozluźnienie mięśni zwieracza. Śmiech był nienaturalny.

- Edith! - powiedział ostro Kulek, zmęczenie zniknęło z jego głosu - Edith, słyszysz mnie?

Błyskały światła nadjeżdżających samochodów i co chwilę rozjaśniało się wnętrze granady, kierowcy nie wiedzieli bowiem, że droga przed nimi jest zablokowana na skrzyżowaniu. W światłach przejeżdżających wozów pojawiała się na ułamki sekund twarz Edith, w jej oczach zobaczyli obcą naturze tej kobiety złośliwość. Usta miała otwarte, ale jej wargi nie wykrzywiały się w uśmiechu; śmiech dochodził z głębi jej gardła.

Kulek po omacku wyciągnął ku niej rękę i dotknął jej nieruchomej twarzy.

Wiatr z wyciem wpadał do środka samochodu, a ona ciągle się śmiała.

- Wyrzuć go z siebie, Edith! - wrzasnął Kulek, przekrzykując szum wiatru i silnika. - Nie zabierze cię, jeśli mu na to nie pozwolisz.

Ale śmiech brzmiał teraz różnymi głosami. I ustał wiatr.

Mieli wrażenie, że znaleźli się w próżni; nie słyszeli nawet ryku silnika. Głowy rozsadał im głuchy śmiech umarłych, którzy drwili z nich, napawając się ich przerażeniem.

Kierowca zerkał nerwowo przez ramię, nie wiedząc, co się dzieje, słysząc te dźwięki, zgarbił się nad kierownicą, jakby w obronie przed czymś rzeczywistym.

- Na litość boską, niech przestanie! Uderzcie ją, zróbcie coś!

Kulek znów zaczął do niej mówić głosem cichym, uspokajającym; inni nie słyszeli tego, co mówił, ale za każdym razem, gdy wnętrze wozu rozjaśniały światła, Bishop widział, jak poruszają się wargi niewidomego mężczyzny i domyślał się, że Kulek namawia Edith, by uwolniła się od demonów, wykorzystujących jej ciało.

- Och, nie! - odezwał się znowu kierowca.

Bishop odwrócił się i ujrzał, że policjant wpatruje się w drogę przed sobą, unosząc się ku roztrzaskanej szybie i jednocześnie naciskając hamulec. Samochód gwałtownie zahamował, huśtając się na resorach. Troje pasażerów z tyłu rzuciło na oparcia przednich foteli.

Ponieważ w przedniej szybie trzymały się jeszcze resztki roztrzaskanego szkła, Bishop nie mógł dojrzeć, dlaczego kierowca zatrzymał samochód. Szybko przechylił się w stronę kierownicy i wyjrzał przez wybitą dziurę. Gwałtownie wciągnął powietrze.

W poprzek drogi stał rząd samochodów, z których pierwszy i ostatni wciśnięte były w drzwi sklepów, tak aby żaden pojazd nie mógł tędy przejechać. Blokadę ustawiono celowo,



by główną drogą nie można było uciec na drugą stronę rzeki. Zobaczyli przed sobą wraki innych samochodów, które wcześniej dojechały do tego miejsca, ich maski były wygięte, gdyż kierowcy nie zahamowali na czas. Zza góry samochodów spoglądały na granadę twarze, po chwili postacie zaczęły przeskakiwać przez barierę i wylaniać się z drzwi po obu stronach drogi, strumieniem napływając w ich kierunku. Zanim ich krzyki pobudziły policjanta do działania, pierwszy mężczyzna wskoczył już na maskę i zacisnął palce na poszarpanym szkłe przedniej szyby. Do niego dołączyła wychudzona kobieta z twarzą czarną od brudu.

W momencie gdy samochód wyrwał do tyłu oddalając się od barykady, ktoś szarpnął drzwi od strony Bishopa, a pęd powietrza otworzył je szeroko. Bishop wypadłby z wozu, gdyby Jessica nie złapała go za ramię. Mężczyzna w dalszym ciągu trzymał się drzwi, choć samochód włókł go po jezdni. Leżąca na masce kobieta spadła i wylądowała na ziemi, jej przeraźliwy krzyk urwał się z chwilą, gdy czaszka roztrzaskała się na twardej nawierzchni. Pierwszy mężczyzna wciąż cudem trzymał się rozbitej szyby i, pokonując siłę ciężenia, podciągał się coraz wyżej, wolną ręką chwytając za kierownicę.

- Zastrzel go, Bishop! - krzyknął policjant i niemal odruchowo Bishop podniósł broń, celując w otwór zięjący w szybie. Zamiast nacisnąć spust, mocno uderzył pistoletem po knykciach mężczyzny. Ręka rozwarła się, posypały się odłamki szkła i mężczyzna odleciał w ciemność.

Granada nabrała szybkości, kierowca modlił się w dmuchu, aby za nimi nie pojawił się nagle jakiś pojazd. Bez ostrzeżenia przycisnął hamulec i skręcił do oporu kierownicą. Samochód przekreślił się o sto osiemdziesiąt stopni i zwrócił się w tę samą stronę, z której dopiero przyjechał. Drzwi od strony pasażera zatrzasnęły się i odrzuciły daleko przyczepionego do nich mężczyznę, którego ciało odbijając się wielokrotnie przetoczyło się przez drogę.

Kierowca znów przycisnął gaz i samochód ruszył do przodu. Bishopowi zabrakło tchu. Nie skomentował nawet rajdowych talentów Simpsona; odwrócił się, by sprawdzić, czy pozostali pasażerowie nie doznali jakichś obrażeń, lecz nie zdążył, gdyż samochód z piskiem opon skręcił w prawo: kierowca zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu wracać tą samą drogą. Wjechali w ulicę, wzdłuż której po jednej stronie ciągnęły się wysokie bloki, po drugiej - sklepy.

Intuicja podpowiedziała Bishopowi, że coś złowieszczonego kryje się w światłach samochodu, który pojawił się przed nimi.

Simpson zasłonił oczy przed błyskiem reflektorów.

- Głupi gówniarz - powiedział - jedzie na długich światłach.

Sam włączył je na chwilę, aby przypomnieć o tym kierowcy, lecz tamten nie zmienił świateł. Zbliżające się reflektory jasno oświetliły twarze pasażerów granady i Bishop zorientował się, że to musi być ciężarówka albo jakiś wóz terenowy - samochody osobowe mają niżej ustawione światła. Policjant skręcił w prawo, gdyż jakiś inny pojazd jechał niewłaściwą stroną jezdni. Nadjeżdżająca z przeciwka ciężarówka zmieniła kierunek, skręcając w lewo.

- Chryste, on próbuje nas rozwalić! - wyszeptał Simpson, ale wiatr zagłuszył jego słowa.

Światła stały się jakby bardziej oślepiające, raziły boleśnie oczy. Wypełniły całe ich pole widzenia, zbliżając się niczym ognista kometa mknąca przez czarną pustkę. Bishop usłyszał wrzask Jessiki i krzyk policjanta. I śmiech zmarłych.

Zamknął oczy i wcisnął się w siedzenie, zbierając siły przed niechybnym zderzeniem.

Przez następnych parę chwil Bishop nie wiedział, co się dzieje, docierał do niego tylko krzyk, a światła wirowały mu przed oczami. Policjant skręcił kierownicą w lewo, by popsuć szyki nadjeżdżającemu samochodowi, lecz ciężarówka zmieniła kierunek akurat na tyle, by uderzyć w tylny błotnik granady, która z piskiem opon zaczęła się obracać, podrzucając pasażerów na siedzeniach. Policjant nie panował już nad swym samochodem, który obrócił się o 360° i siłą bezwładności leciał na podjazd jednego z bloków po lewej stronie. Przednia szyba wypadła prawie w całości i gdy Bishop otworzył oczy, ujrzał pędzące na nich wejście wysokiego budynku. Wbił mocno stopy w wykładzinę na podłodze, a rękami zaparł się o deskę rozdzielczą, by siła uderzenia o beton nie wyrzuciła go przez okno.

Choć kierowca z całych sił naciskał pedał hamulca i obracał kierownicą, by uniknąć czołowego zderzenia z budynkiem, samochód rąbnął z nieprawdopodobną siłą. Wgnieciona maska otworzyła się z impetem, gdy trafiła w kant przybudówki wejścia, chłodnica pękła na pół, a każdą jej część odrzucił z powrotem do silnika strumień buchającej pary. Bishopa rzuciło do przodu, ale nie wypadł przez okno tylko dzięki pozycji, którą przyjął parę sekund wcześniej: uderzył piersią w deskę rozdzielczą i z powrotem odrzuciło go na siedzenie. Simpson przywarł ciałem do kierownicy, która złamała się pod jego ciężarem, a on wypadł przez przednie okno, lądując twarzą w wygiętym metalu maski. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że obok niego przeleciało czyjeś ciało. Edith Metlock nie wyrzuciło przez przednie siedzenie tylko dlatego, że uderzenie ciężarówki w błotnik po jej stronie zwaliło ją na podłogę; Jessica cały czas trzymała się kurczowo siedzenia Bishopa, po pierwszym uderzeniu wzmocniła chwyt tak, że gdy wpadli na budynek, nie wyrzuciło jej do przodu. Jacob Kulek miał mniej szczęścia.

Absolutna cisza, która teraz zapadła, bardziej pobudziła Bishopa do działania niż głosy i wyciągające się po niego ręce; wrzaski, śmiech, pisk opon, to wszystko skumulowało się w ostrym krzyku rozrywanego, miazdzonego metalu. I teraz ten kontrastujący z nimi spokój, który niemal fizycznie popychał do czynu.

Wyprostował się powoli i ostrożnie, czekając, czy nagły ból nie zasygnalizuje mu, że jest ranny. Poza ogólnym odrętwieniem odczuwał jednak tylko lekkie dolegliwości wywołane licznymi stłuczeniami. Z tyłu dobiegł go jęk.

- Jessica? - spytał, odwróciwszy się.

Jakimś cudem prawy reflektor nie został uszkodzony, choć lewy był całkowicie rozbity. Jego światło odbijało się teraz od budynku, rozjaśniało wnętrze samochodu na tyle, by mógł rozróżnić sylwetki.

- Jessico, jesteś ranna?

Przyklął na siedzeniu i wyciągnął do niej rękę. Jessica podniosła głowę z oparcia jego fotela i powoli zaczęła otwierać oczy. Jęknęła znowu, lekko potrząsając głową, jakby chciała odzyskać trzeźwość myśli. Otworzyła szeroko oczy i wpatrywała się w niego niewidzącym wzrokiem.

Ruch po stronie kierowcy zwrócił uwagę Bishopa; policjant ostrożnie wsuwał się do środka przez wybitą przednią szybę. Jęknął głośno i opadł na siedzenie. Bishop zauważył drobne odpryski szkła wbite w jego zakrwawione czoło. Policjant szybkim ruchem rozmasował sobie pierś, odetchnął głęboko i zaczął badać zębra.

Jęknął.

- Jedno chyba złamane - powiedział do Bishopa - a może tylko stłuczone. A pan, jak? W porządku?

Zanim Bishop zdążył odpowiedzieć, nad siedzeniem pokazała się głowa i ramiona Edith Metlock.

- Gdzie jesteśmy? Co się stało? - spytała. Bishop i policjant szybko wymienili spojrzenia.

- Wszystko w porządku, Edith. Mieliśmy wypadek - powiedział łagodnie Bishop, zdając sobie sprawę z oczywistości swego stwierdzenia.

- Chodźmy stąd - powiedział nagle Simpson. - Tu jest niebezpiecznie. Wystrzelają nas jak kaczki. Czy zgubił pan pistolet?

Bishop macał po podłodze, aż dotknął zimnego metalu.

- Mam go.

- W skrytce jest latarka, niech pan ją też zabierze.

Otworzył drzwi, stękając z wysiłku.

Bishop wziął latarkę i wysiadł z samochodu wiedząc, iż mieli szczęście, że nikt nie został poważnie ranny: przód granady był zupełnie zniszczony.

- Ojcie! - krzyknęła Jessica, Bishop zaś rzucił się, aby otworzyć jej drzwi. Wskoczyła, odepchnęła go i pobiegła do rozwalonej części samochodu. Bishop zerknął na tylne siedzenie, a zobaczywszy tam tylko Edith Metlock, zrozumiał od razu, co się stało: Jacob Kulek wyleciał przez przednią szybę.

Zobaczył Jessikę klęczącą nad nieruchomym ciałem ojca. Wsunąwszy pistolet do kieszeni marynarki, ukląkł i poświecił latarką w twarz Kuleka. Niewidomy mężczyzna sprawiał wrażenie martwego, spod przymkniętych powiek widać było tylko białka, rozchylone usta zastygły w bezwiednym uśmiechu. Bishop zmarszczył brwi, nie widział bowiem żadnych zewnętrznych śladów obrażeń. Dwoma palcami przycisnął tętnicę szyjną Kuleka i ze zdziwieniem wyczuł słabe tętno.

- Żyje - powiedział Jessice i jej łkanie ustało. Wsunęła rękę pod głowę ojca, unosząc go lekko z chodnika. Krew obficie popłynęła mu z czaszki.

Bishop zauważył, że Edith i kierowca podeszli do nich.

- Nie żyje? - spytał brutalnie policjant. Bishop pokręcił głową.

- Nieprzytomny. Może mieć pękniętą czaszkę.

Wyjął chusteczkę i pomógł Jessice opatrzeć ranę; materiał natychmiast zmienił się w mokrą, czerwoną szmatę. Ale Kulek poruszył się i coś wymamrotał.

Jessica wymawiała jego imię, głaskała go po policzku i na chwilę zadrgały mu powieki, jakby chciał otworzyć oczy.

Policjant przykucnął i powiedział nagłoco:

- Musimy ruszać, tu jest zbyt niebezpiecznie.

Bishop wstał, oddając latarkę Edith, która zastąpiła go przy boku Kuleka. Choć w oszołomieniu wciąż rozglądała się dookoła, odzyskała przytomność umysłu na tyle, by rozluźnić krawat i kołnierzyk koszuli Jacoba.

- Nie powinniśmy go ruszać - powiedział Bishop do policjanta tak cicho, aby Jessica nie mogła go usłyszeć. - Nie wiemy, jakich doznał obrażeń. Na szczęście szyba wyleciała wcześniej, ale wyrzucony został z dużą siłą. Albo maska samochodu, albo betonowy chodnik musiał...

Policjant przerwał mu.

- Nie mamy wyboru, musimy go nieść. Koniecznie trzeba znaleźć jakiś samochód. Inaczej się stąd nie wydostaniemy.

- Mnóstwo ich tu stoi, ale jak uruchomić silnik?

- Z tym nie ma problemu, trzeba tylko wiedzieć, jak połączyć przewody. Mam zamiar...

Policjantowi przerwał warkot silnika samochodu. Odwrócili się w kierunku, z którego dobiegał hałas. Reflektory sondowały ciemność, wydłużając cienie licznych osób, zmierzających w stronę wraku.

- Idą po nas - powiedział Bishop spokojnie.

Szum silnika ciężarówki przechodził w ryk, w miarę jak nabierała prędkości. Kilka idących osób zniknęło pod jej kołami, jakby nie zdawały sobie sprawy z obecności pojazdu, nawet gdy ich miażdżył. Bishop i policjant odgadli zamiar kierowcy.

- Wejdźcie do budynku! - rozkazał policjant klęczącym kobietom.

Jessica chciała zaprotestować, ale szybko zobaczyła, co się dzieje. Bishop i Simpson chwycili rannego Kuleka, pchając obie kobiety w kierunku wahadłowych drzwi znajdujących się w holu tuż za windami. Pospiesznie ciągnęły Jacoba do wejścia, trzymając go pod ramiona, zaś reszta ciała wlokła się po ziemi.

Wejście rozjaśniły światła zbliżającej się ciężarówki, która skręciła w kierunku budynku i stojącego przed nim wraku. Jessica i Edith pchnęły żółte drzwi wahadłowe. Chodziły ciężko i uchylły się bardzo nieznacznie. Kobiety napierając ciałem otworzyły je szerzej i przytrzymały, żeby dwaj mężczyźni mogli wciągnąć Kuleka.

- Strzelaj! - krzyknął policjant. - Załatw tego sukinsyna, zanim nas dopadnie!

Bishop puścił rannego i pobiegł do wejścia, wyciągając pistolet z kieszeni. Ponownie oślepiły go światła, aż musiał zmrużyć oczy, żeby lepiej widzieć. Zaciśnął obie ręce na kolbie rewolweru i starannie wycelował, zdziwiony własnym spokojem. Wiedział, że w jakiś sposób musi zmienić kierunek jazdy ciężarówki - jeśli uderzy prosto w wejście, to impet uderzenia z pewnością spowoduje, że strzepy karoserii wylądują aż na klatce schodowej na tyłach domu. Mierzył tuż powyżej reflektora, nieco na prawo, tam gdzie, miał nadzieję, siedzi kierowca. Samochód był już oddalony od niego najwyżej o siedemdziesiąt jardów i wchodził w ostry zakręt, z którego wyjedzie prosto na podjazd przed budynkiem. Pięćdziesiąt jardów. Bishop nacisnął spust.

Nic się nie stało. Czterdzieści jardów.

Powstrzymał chęć ucieczki i pogmerał przy bezpieczniku. Trzydzieści jardów.

Nacisnął. Odrzut. Trzy razy.

Zgasł jeden reflektor. Posypało się szkło. Ciężarówka zbliżała się. Bishop uciekł.

Rzucił się do drzwi, które przytrzymały Jessica i Edith.

Usłyszał za sobą huk metalu walącego w beton. Poślizgnął się na wyłożonej płytkami podłodze i wyrzucił się na schodach prowadzących do tylnego wyjścia. Kobiety odrzuciło od drzwi, które się z wolna zamykały; zasłoniły twarze rękami, chroniąc się raczej przed piekielnym hałasem niż przed lecącymi szczątkami samochodu.' Bishop obrócił się na plecy, mając wrażenie, że cały budynek się trzęsie, i ujrzał, jak ogromne cielsko wynurza się z kabiny ciężarówki i szurając nogami, przesuwa się wzdłuż ściany, zostawiając za sobą wielką smugę czerwieni. Mężczyzna zwałił się na wahadłowe drzwi, które zamykając się przytrzasnęły mu jedno ramię. Zanim zafalowały płomienie, wypełniając wejście olbrzymią, podskakującą kulą ognia, Bishop zdążył jeszcze zobaczyć odchyloną pod nieprawdopodobnym kątem głowę kierowcy i jego zakrwawioną twarz, gdy przyglądał się im przez zbrojoną szybę.

Podciągnął kolana i zakrył głowę, gdyż przez uchylone drzwi wpadał podmuch gorącego powietrza; przez chwilę myślał, że się pali, lecz uczucie gorąca szybko minęło, gdy rozgrzane powietrze uszło w górę przewodem wentylacyjnym. Bishop jeszcze raz ostrożnie uniósł głowę i spojrzał w kierunku trzech stopni, z których spadł. Zobaczył, że ogień się cofnął, ale płonąca kabina ciężarówki całkowicie zablokowała wejście. Hol wypełniały czarne i tłące się jeszcze kawałki wygiętego metalu, pojazd uderzył bowiem w wejście pod takim kątem, że kompletnie zniszczył rozbitą granadę. Edith Metlock leżała obok drzwi wahadłowych, osłaniała ją gruba ściana na wprost schodów prowadzących na górę. Policjant siedział przy drzwiach wyjściowych, a obok niego leżało rozciągnięte ciało Kuleka.

Bishop schował pistolet do kieszeni i kucnął obok Jessiki, której wyciągnięte nogi spoczywały na dwóch pierwszych stopniach schodów. Pomógł jej usiąść, a gdy w wejściu zobaczyła płonąca ciężarówkę, przywarła do niego. Zanurzył palce w miękkich włosach na jej karku i przytulił ją do siebie, drobne, drżące ciało poddało mu się.

Odwróciła głowę i rozejrzała się szybko dookoła. Zobaczyła ojca i podbiegła do niego. Kulek miał otwarte oczy i w ciepłym płomieniu migającego ognia widać było malujące się na jego twarzy zaniepokojenie. Otwierał i zamykał usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wyrzekł ani słowa.

Bishop wstał i pchnął drzwi wyjściowe. Były zamknięte.

Policjant popatrzył na niego.

- Nie przejmuj się tym, będzie lepiej, jeżeli pozostaniemy w budynku.

- A pożar?

- Nie rozprzestrzeni się. Takie bloki są z materiałów niepalnych. Chodźmy na górę, musimy znaleźć telefon, powinien działać normalnie mimo braku prądu. Poprosimy, żeby przysłali nam pomoc.

Wstał, trzymając mocno niewidomego.

- Dobra, podnieśmy go teraz. Udało im się postawić Kuleka na nogi.

- Jacob, słyszysz mnie? - spytał Bishop.

Kulek wolno przytaknął i spróbował dotknąć tyłu głowy.

- Już w porządku. Nieźle się uderzyłeś. Musimy dostać się na górę i wezwać pomoc.

Starzec pokiwał głową, po chwili zdołał wymówić imię córki.

- Jestem tutaj, ojcze.

Znalazła jakąś chusteczkę czy kawałek materiału i przyłożyła do rany na głowie Kuleka. Na szczęście, krew nie płynęła już tak obficie.

Bishop wsunął rękę pod ramię Kuleka, opierając przegub dłoni na jego szyi, drugą ręką objął go w pasie.

- Możesz iść?

Kulek ostrożnie zrobił krok do przodu, Bishop trzymał go mocno. Policjant podtrzymywał go z drugiej strony i wspólnie zdołali go poprowadzić przez trzy pierwsze schodki. Edith wyszła z kąta, w którym siedziała skulona.

- Prowadź - polecił jej Bishop. - Na pierwsze piętro. Na wpół niosąc, na wpół ciągnąc po schodach osłabionego Kuleka, posuwali się szybko, wdzięczni, że ciężarówka częściowo zablokowała wejście do domu, a płomienie powstrzymają każdego, kto chciałby precyzyjnie się do środka. Ani Bishop, ani policjant nie zapomnieli o zbliżających się postaciach.

Ogień z dołu dochodził do balkonu pierwszego piętra, musieli więc wejść jeszcze wyżej. Edith prowadziła ich krótkim korytarzem do wysokiej na cztery stopy galeryjki, biegnącej wzdłuż budynku. Ten blok był stosunkowo niewielki w porównaniu z typowym wieżowcem. Na każdym piętrze znajdowały się zaledwie trzy mieszkania, a choć nie wiedzieli jeszcze, ile jest tu pięter, Bishop obliczył, że musi ich być dziewięć albo dziesięć. Po lewej stronie krótkiego korytarza znajdowały się dwa mieszkania, po prawej - jedno. Policjant pomógł Bishopowi oprzeć Kuleka o galeryjkę i szybko podszedł do mieszkania po prawej stronie. Gdy walił w drzwi, Bishop wyjrzał na dół, na podwórko i ulicę.

Dym unoszący się z płonącego wraku szczytał go w oczy, toteż szybko się cofnął, lecz zdążył jeszcze zobaczyć ludzi, stojących tuż za kręgiem światła rzucanego przez płomienie. Twarze mieli zwrócone do góry, jakby go obserwowali.

- Policja. Proszę otworzyć - wołał kierowca przez skrzynkę na listy.

Bishop pozostawił Kuleka pod opieką Jessiki i Edith, sam zaś pospieszył do zirytowanego policjanta.

- Ktoś tam jest - powiedział Simpson, odwracając się do Bishopa - ale za bardzo się boją, żeby otworzyć drzwi.

- Powiedzieli coś?

- Nie, ale słyszę, jak się ruszają.

Znów przyłożył twarz do skrzynki na listy.

- Proszę zrozumieć, jesteśmy z policji. Nie chcemy zrobić wam krzywdy.

Puścił z trzaskiem klapkę, kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Bishop raz jeszcze wyjrzał przez balkon i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Płomienie stopniowo słabły i wkrótce przygasną na tyle, że czekający na dole ludzie będą mogli się przedostać na schody. Mimo że tworzyli zamazaną plamę, było ich znacznie więcej, niż początkowo sądził.

- Spróbujmy w innym mieszkaniu - powiedział szybko do policjanta.

- Taak, chyba masz rację, tutaj, cholera, tracimy tylko czas.

Zatrzymał się, żeby jeszcze raz spróbować.

- Słuchajcie, jeśli nie chcecie nas wpuścić, wezwijcie przynajmniej policję i karetkę pogotowia; mamy tu rannego. Nazywam się Simpson, jestem kierowcą nadinspektora Pecka. Zrozumieliście? Nadinspektor Peck. Powiedzcie mu, że jest ze mną Jacob Kulek i żeby natychmiast przysłali pomoc. Proszę to zrobić!

Podniósł się i potrząsnął głową.

- Miejmy nadzieję, że usłyszeli.

- Miejmy nadzieję, że mają telefon - odpowiedział Bishop, zostawiając przyglądającego mu się bezmyślnie policjanta. Powrócił do dwóch kobiet i Kuleka.

Cholera, powiedział do siebie Simpson i poszedł za Bishopem.

- Chodźmy piętro wyżej - zaproponował - ci ludzie też nam nie otworzą, skoro nie zrobili tego ich sąsiedzi.

Tym razem Jessica pomagała Bishopowi prowadzić ojca, a policjant i Edith szli pierwsi, medium oświetlało latarką ciemną klatkę. Na następnym piętrze Simpson podeszedł do pierwszych drzwi po lewej stronie i trzasnął klapką w skrzynce na listy.

- Halo! Jest tam ktoś? Tu policja. Proszę otworzyć! Oparli rannego mężczyznę o ścianę w korytarzu, gdyż Bishop nie chciał, by zobaczyli ich ludzie na dole.

- Edith, przynieś mi latarkę! - krzyknął cicho. Zostawiła policjanta i podeszła do niego.



- Poświęć na Jacoba, zobaczymy, co się z nim dzieje.

Wyglądał na sto lat, twarz miał bladą i ściągniętą, a zmarszczki na skórze rysowały się głębiej niż zwykle. Niewidomy zmrużył oczy przed blaskiem światła, lecz niewiele można było z nich wyczytać. Patrząc na wysokie, lecz wątłe ciało, Bishop wiedział, że bez ich pomocy Kulek nie utrzyma się na nogach. W dalszym ciągu nie wiedzieli, jakich doznał obrażeń; Bishop znał ludzi, u których pęknięcie czaszki nie powodowało utraty świadomości. Ale to wydawało się niemożliwe, by Kulek przez cały czas był przytomny, skoro z taką siłą wyrzuciło go przez przednią szybę.

- Ojczy, słyszysz mnie?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Jessica z niepokojem zagryzła wargę i błagalnie spojrzała na Bishopa.

- Jessico, jest silnym mężczyzną. Dojdzie do siebie, jak tylko znajdzie się w szpitalu. Potrzyj go, Edith. Zobaczę, jak sobie radzi Simpson.

Właściwie Bishop chciał sprawdzić, co dzieje się na dole, nie denerwując obu kobiet. Medium delikatnie zajęło jego miejsce, Bishop skręcił i ostrożnie wyjrzał przez balkon. Krąg światła na dole stawał się coraz mniejszy, z jednego wielkiego piekła ogień obejmujący ciężarówkę i granadę rozpadł się na kilka mniejszych. Zacieśnił się krąg czekających ludzi. Bishop zadrzał na myśl, że oni wiedzą, kto był w granadzie, wiedzą, że Jacob Kulek jest w bloku. Czy to możliwe? Czy mieli telepatyczny kontakt z Ciemnością? Ta dziwna siła zawładnęła i kierowała nimi; czy naprawdę odznaczała się inteligencją?

Ktoś wszedł w krąg światła na dole i patrzył prosto na Bishopa; to była kobieta, którą skądś znał. Wyciągnął z kieszeni okulary, których używał do prowadzenia samochodu, i włożył je. Po raz pierwszy tego wieczoru gniew okazał się silniejszy niż strach. To była ona, wysoka kobieta, która przyczyniła się do śmierci jego żony. Zacisnął palce na balustradzie i przez jeden szaleńczy moment chciał zbiec ze schodów i wycisnąć z niej życie. Skąd wiedziała, gdzie ich szukać? Czy stało się to, do czego przez cały czas dążył Pryszlak - czy chciał uwięzić ich w otoczonym ciemnością miejscu, z którego już nie ma ucieczki? I dlaczego? Czy była to tylko zemsta na człowieku, który odmówił mu pomocy wiele lat temu? Czy Jacob Kulek stanowił dla nich zagrożenie? Pytania cisnęły mu się do głowy i pozostawały tylko pytaniami, na żadne bowiem nie znał odpowiedzi.

- Ktoś idzie!

Głos policjanta zwrócił uwagę Bishopa na to, co dzieje się wokół niego.

- Zechcą państwo otworzyć? - spytał Simpson, tym razem unikając urzędowego tonu.

- Nie ma się czego bać. Chciałbym tylko skorzystać z telefonu. Jeśli oczywiście państwo go

mają. Zrobmy tak, włożę moją legitymację do skrzynki na listy, aby państwo mogli obejrzeć ją dokładnie przy świetle.

Uniósł klapkę i wrzucił legitymację do skrzynki.

- W porządku. Proszę ją dokładnie obejrzeć, a później mnie wpuścić. Mamy ze sobą rannego i nie możemy tracić czasu.

W oknie sąsiadującego z korytarzem mieszkania Bishop dostrzegł niewyraźny kształt w pomieszczeniu, które najprawdopodobniej było kuchnią. Zniknął mu z oczu i znowu Bishopowi wydawało się, że za przyciemnionym szkłem drzwi holu coś się rusza.

Simpson spojrzął na Bishopa i powiedział:

- Tym razem mieliśmy szczęście.

Usłyszeli hałasy w środku, ktoś odciągał rygiel, zdejmował łańcuch. W końcu przekręcił się klucz w zamku i drzwi uchyliły się nieznacznie. Bishopowi zdawało się, że widzi wpatrzoną w nich twarz, która zniknęła, kiedy policjant podszedł bliżej.

- Halo? - powiedział Simpson. - Proszę się nie niepokoić, nikt nie ma zamiaru zrobić państwu krzywdy:

Popchnął lekko drzwi. Otworzyły się szerzej i wsadził głowę w szparę.

- Czy jest tu telefon? - spytał.

Policjant otworzył drzwi na całą szerokość i wszedł do ciemnego przedpokoju. Przez chwilę Bishop nie widział go, później pojawił się znowu, cofając się do wyjścia. Wolno odwrócił się, błagalnie patrząc na Bishopa, który dopiero teraz zobaczył wystającą mu z klatki piersiowej rękojeść noża rzeźnickiego. Simpson osunął się po futrynie na podłogę, jedna noga niezgrabnie ugięła się pod nim, druga pozostała wyprostowana. Głowa łagodnie opadła mu na piersi i Bishop wiedział, że Simpson nie żyje.

Szok przytępił reakcje Bishopa i gdy z ciemności wyłoniła się jakaś postać, nie sięgnął nawet do kieszeni po pistolet. Odruchowo wyciągnął dłonie, by odepchnąć chude, kurczowo zaciskające się ręce. Strącono mu okulary, które przed chwilą założył, lecz na szczęście atakujące palce trafiły na szkła, które ochroniły mu oczy przed ostrymi pazurami. Kreatura, która z nim walczyła, syczała i pluła. Zdołał się zorientować, że jest to stara kobieta. Jej ręce wydawały mu się kruche i mimo że była słaba, jak ludzie w jej wieku, walczyła z przerażającą zaciekłością. Popchnęła go tak, że przechylił się niebezpiecznie przez balkon. Jej palce zaciskały się i rozwierały jak szpony. Kres walce położyła Jessica, która zaszła staruchę od tyłu, zacisnęła ramiona na jej chudej szyi i odciągnęła od Bishopa. Bez skrpułów zacisnął pięść i z całej siły walnął oszalałą kobietę w szczękę; nie wydawała mu się już ludzką istotą, a jedynie powłoką, pożywką energii, będącej czystym złem. Krzyknęła przeraźliwie, wydarła

się z uchwytu Jessiki i potknąwszy się o wyciągniętą nogę Simpsona, zwała się do tyłu, do własnego przedpokoju. Roztrzaskała sobie czaszkę o ścianę i padła jak kłoda. Jej ciało skręciło się niczym kupa starych szmat.

Bishop musiał odciągnąć Jessikę od sztywnego ciała policjanta. Opierając się o niego jęczała cicho.

- Ile, Chris? Ile jeszcze ofiar pochłonie?

Bał się odpowiedzieć, wszystko bowiem zależało od tego, ile jest zła i w jak wielu umysłach. Kto wie, jakie ciemne myśli ukrywa przyjaciel, sąsiad czy brat? I kogo nie nurtują takie myśli? Zaprowadził ją z powrotem do Edith i ojca.

- Daj mi latarkę, Edith. Pójdę poszukać telefonu w mieszkaniu tej kobiety. Poczekajcie tu na mnie.

- Czy nie możemy się tam zamknąć? - spytała Jessica. - Bylibyśmy bezpieczniejsi.

- Może, jeśli uda mi się zawiadomić policję. Jeszcze się wahał, ale w końcu zdecydował, że powie im prawdę.

- Na podwórzu zebrał się tłum, myślę, że chcą nas dostać, a przynajmniej Jacoba. W parę minut wyłamią drzwi lub wybiją szyby. Będziemy w pułapce.

- Ale po co im mój ojciec?

- Ponieważ się go boją - odpowiedziała Edith Metlock.

Bishop i Jessica popatrzyli na nią zdziwieni, ale odgłos kroków powstrzymał dalsze pytania. Ktoś nadchodził z drugiej strony korytarza, oświetlając sobie drogę słabym światłem. Bishop wyciągnął pistolet i wycelował w zbliżające się światło, mając nadzieję, że w komorze pozostały jeszcze naboje. Mężczyzna, trzymając przed sobą świecę, rozglądał się ostrożnie dokoła. Oślepił go błysk latarki.

- Co się tu dzieje? - zmrużył oczy przed światłem. Bishop uspokoił się trochę; mężczyzna wyglądał zupełnie normalnie.

- Proszę podejść tak, żebym mógł pana widzieć.

- Co to, pistolet?

Mężczyzna podniósł długi żelazny łom.

- Proszę się nie bać, nikt nie ma zamiaru zrobić panu krzywdy - zapewnił go Bishop. - Potrzebujemy pomocy.

- Ach tak? Ale najpierw zabierz, bracie, ten pistolet. Bishop opuścił pistolet, trzymając go przy boku tak, aby w każdej chwili móc się nim posłużyć.

- Co się stało starszej pani? Widziałem, jak uciekała przed panem.

- Zabiła policjanta, który był z nami.

- O, do diabła! Chociaż właściwie to by pasowało, zawsze była trochę stuknięta. Co pan z nią zrobi?

- Jest nieprzytomna. - Postanowił nie mówić mężczyźnie, że prawdopodobnie nie żyje.

- Czy może nam pan pomóc?

- Nie, bracie. Zajmuję się sobą i rodziną. To wystarczy. Każdy skurwiol, który wejdzie mi do domu, dostanie tym. - Zamachał w powietrzu żelaznym łomem. - Nie wiem, co się ostatnio dzieje, ale nikomu nie wierzę.

- Mój ojciec jest ranny, nie widzi pan? Musi pan nam pomóc - błagała Jessica.

Mężczyzna zastanawiał się, po chwili podjął decyzję.

- Przykro mi z tego powodu, panienko, ale nie wiem, kim jesteście i co robicie. Za dużo wariatów tu się kręci, żebym ryzykował. Po pierwsze, kto rozwalił tę przekłętą ciężarówkę na dole? Myślałem, że cały dom się zawali.

- Ścigają nas.

- Coś takiego! A kto?

Bishop był coraz bardziej zirytowany podejrzliwością mężczyzny.

- Proszę posłuchać. Chcieliśmy tylko skorzystać z telefonu tej kobiety. I dalej mam zamiar to zrobić.

- Powodzenia. Ona nie ma telefonu.

- A pan? Ma pan telefon?

Mężczyzna był w dalszym ciągu ostrożny.

- Jasne, ale was nie wpuszczę. Bishop znów podniósł pistolet.

- Ja cię, bracie, pierwszy załatwię - ostrzegł mężczyzna, trzymając przed sobą łom.

- W porządku - powiedział z rezygnacją Bishop, wiedząc, że nie ma sensu dłużej się kłócić; każdy, kto sądzi, że pokona kulę łomem, musi być albo przygłupi, albo bardzo pewny siebie.

- Zawiadomi pan policję? Niech pan im powie, gdzie jesteśmy i że Jacob Kulek jest z nami. Pilnie potrzebujemy pomocy.

- Chyba są dzisiaj trochę zajęci, nie?

- Na pewno zrobią, co będą mogli. Niech pan im tylko powie, że jest tu Jacob Kulek.

- Kulek. Dobra.

- Niech się pospieszą. Na dole czeka na nas tłum. Mężczyzna szybko wyjrzał przez balkon.

- O mój Boże! - powiedział.

- Zadzwoni pan? - nalegał Bishop.

- W porządku, bracie, zadzwonię. Ale wy nie wchodźcie.

- Niech pan zamknie drzwi i zabarykaduje się. Nic się wam nie stanie, oni chcą tylko nas.

Mężczyzna cofał się, trzymając przed sobą łom i nie spuszczał z nich oczu. Usłyszeli, jak zamknął drzwi i zasunął rygiel.

- Dobrze, że duch walki w narodzie nie zginął - zauważył Bishop znużonym głosem.

- Nie powinieneś go za to winić - powiedziała Edith. - Pewnie są miliony takich jak on, kompletnie zagubionych w tym, co się dzieje. Właściwie dlaczego miałby nam wierzyć?

- Miejmy nadzieję, że przynajmniej zawiadomi policję. Bishop zerknął w dół i zobaczył, że ogień znacznie się zmniejszył.

- Lepiej chodźmy stąd - powiedział do dwóch kobiet.

- Dokąd możemy pójść? - spytała Jessica. - Nie możemy stąd wyjść.

Bishop wskazał do góry.

- Pozostało nam tylko jedno miejsce. Dach.

W mieszkaniu mężczyzna próbował uspokoić przerażoną rodzinę.

- Już dobrze, nie mamy się czym martwić, paru ludzi miało kłopot.

- Co masz zamiar zrobić, Fred? - spytała żona z oczami rozszerzonymi strachem, przyciskając mocno do siebie dziesięcioletnią córkę. - Rozbili się tym samochodem na dole?

- Nie wiem. Chcieli, żebym wezwał policję.

- Zrobisz to?

- Nic nie zaszkodzi, jak zadzwonię. Odsunął żonę, wszedł do bawialni i zbliżył się do stojącego na kredensie telefonu.

- Keith! - zawołał do dorastającego syna - zastaw czymś drzwi, czymś ciężkim.

Odłożył łom i schylił się nad telefonem, oświetlając świeczką tarczę.

Wsluchiwał się w sygnał przez pełne dwie minuty, zanim odłożył słuchawkę.

- Uwierzyłybyś? - powiedział zdziwiony do żony, która weszła za nim do pokoju. - Cały czas, cholera, zajęte. Ale muszą do nich dzwonić. Chyba że mają popsute telefony.

Pokiwał z żalem głową.

- Wygląda na to, że te biedaczyska są zdane tylko na siebie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Dotarli dopiero do szóstego lub siódmego piętra - Bishop stracił już rachubę - kiedy usłyszeli kroki na schodach w dole.

Oparł się o poręcz, łapiąc oddech i nasłuchując. Dźwigał teraz Kuleka na plecach jak wprawny ratownik i z każdym krokiem niewidomy mężczyzna wydawał mu się cięższy.

- Są w budynku.

Popatrzył w ciemność pod nimi, ale niczego nie dostrzegł. Gryzący dym z płonącego wraku wypełniał klatkę, choć wydawało się, że pożar już się kończy.

Edith Metlock skierowała latarkę w dół i zobaczyli białe, niewyraźne kształty, przesuwane się po poręczy; po chwili zorientowali się, że to ręce wchodzących ludzi, resztę ich sylwetek zasłaniały schody. Widok był makabryczny, ręce, jakby oderwane od ciał, przypominały koszmarną armię maszerujących szponów.

- Nigdy się nam nie uda! - krzyknęła Jessica. - Dopadną nas, nim dojdziemy na górę!

- Nie, posuwają się bardzo wolno, jeszcze mamy szansę. Bishop ponownie się wyprostował, poprawiając opartego na jego ramieniu na wpół przytomnego mężczyznę.

- Wyjmij mi z kieszeni pistolet, Jessico. Jeśli za bardzo się zbliżą, strzelaj!

Poszli dalej za Edith, która latarką oświetlała drogę. Bishop czuł, jak szybko słabną mu nogi, jak opada z sił pod przygniatającym ciężarem Kuleka. Z wysiłku zagryzł dolną wargę, mięśnie na plecach protestowały przeciw tej udźce. Gdy weszli na następne piętro, Bishop z osłabienia opadł na kolana. Kulek ześlizgnął mu się z ramion, lecz Jessica zdążyła złapać ojca, zanim upadł na beton. Pierś Bishopa unosiła się ciężkim oddechem. Oparł o balustradę spoconą twarz.

- Jak daleko są od nas? - spytał sapiąc. Edith raz jeszcze poświeciła w dół latarką.

- Trzy piętra niżej - powiedziała cicho. Chwycił się poręczy i znów stanął na nogach.

- Pomóście mi - poprosił, schylając się po Kuleka.

- Nie. - Kulek miał otwarte oczy i próbował usiąść. - Mogę iść sam. Tylko podnieście mnie.

Bishop był bardziej zaniepokojony tym, że Kulek raz traci, raz odzyskuje przytomność, niż gdyby pozostawał nieprzytomny cały czas. Gdy stawiali go na nogi, Kulek jęknął głośno i chwycił się za żołądek. Z trudem się wyprostował.

- Nic mi nie będzie - zapewnił podtrzymującą go Jessikę. Po chwili drżącą ręką dotknął Bishopa. - Gdybyś tylko pomógł mi iść - powiedział.

Bishop zarzucił sobie rękę mężczyzny na szyję i zaczęli wchodzić na następną kondygnację. Widział, jak przy każdym stopniu Kulek krzywi się z bólu.

- Już niedaleko, Jacob - zapewnił go. - Jesteśmy prawie na samej górze.

Kulek nie miał siły odpowiedzieć.

- ZOSTAW GO BISHOP, TERAZ NIC CI PO NIM! - Zamarli, gdy dobiegły do nich te słowa. Bishop wiedział, że głos ten należy do wysokiej kobiety imieniem Lillian.

- Nie widzisz, że on umiera? - Nie krzyczała już, na klatce odbił się echem syczący szept. - Po co zawracacie sobie głowę trupem? Zostawcie go, inaczej nigdy nam nie uciekniecie. Nie chcemy ciebie, Bishop, tylko jego.

Bishop patrzył w dół, w nieprzenikniony mrok, i wiedział, że zewsząd otacza ich Ciemność, unosząca się w nocnym powietrzu jak niewidoczny pasożyt. Czuł, jak swoim chłodem pieści jego ciało, zamieniając krople potu w kuleczki lodu. Zobaczył białe, niewyraźne twarze w czarnym szybie klatki schodowej pod nimi.

- Zostaw go. Zostaw go. - Dudniły mu w głowie inne głosy. - Na co ci on. Tylko ci zawadza. Martwy ciężar. Umrzesz, jeśli będziesz go trzymał przy sobie.

Mocniej ścisnął poręcz. Bez Kuleka może się uratować. Może wydostać się na dach. Tam go nie dostaną. Będzie mógł ich powstrzymać.

Czyjaś szorstka ręka chwyciła go za włosy.

- Nie słuchaj, Chris - ostro powiedziała Edith Metlock, świecąc mu w oczy latarką. - Słyszę głosy. One też chcą, abym im pomogła. Nie rozumiesz? To Ciemność, głosy próbują zamącić nam w głowach. Musimy iść, Chris.

- Słyszę je - powiedziała Jessica. - Chcą, abym cię zastrzeliła, Chris. Ciągłe powtarzają, że ściągasz na ojca jeszcze większe niebezpieczeństwo.

- BISHOP, JESZCZE NIE JEST ZA PÓŹNO, MOŻESZ PRZYŁĄCZYĆ SIĘ DO NAS - wrzeszczała wysoka kobieta. - MOŻESZ STAĆ SIĘ JEDNYM Z NAS!

- Przestań świecić mi w oczy, Edith - powiedział, odwracając się od poręczy.

Obie kobiety odetchnęły z ulgą i raz jeszcze podjęli żmudną wspinaczkę. Tupot nóg stawał się szybszy, coraz głośniejszy. Bishop już tylko siłą woli przyspieszył kroku, nieomal przenosił rannego mężczyznę nad schodami, ciągnąc go do góry. Doszli do wyższego piętra, skręcili i zaczęli wchodzić na następną kondygnację, ale kroki zbliżały się, biegnąc, szybko wdrapując się po schodach, towarzyszyły im hałasy, dźwięki, jakie mogą wydawać tylko dzikie zwierzęta. Byli teraz piętro niżej, wybiegając z ciemności niczym stwory wyłaniające się z piekła.

Jessica osłabła z przerażenia. Oparła się plecami o ścianę i próbowała wspinać się dalej, ale ledwo mogła poruszać nogami. Wyciągnęła sztywno rękę, celując w stronę dochodzących ją odgłosów szurających nóg, które zbliżały się coraz bardziej.

Nagle między nią a ciągnącym tłumem rozbłysło światło, coraz silniejsze, wypełniające ciemność na zakręcie schodów. Z podestu powiało zimnym powietrzem, gdy ktoś otworzył wahadłowe drzwi i nagle usłyszeli głosy i zobaczyli jeszcze więcej światła.

- Kto jest na dole? - zapytał gruby głos.

- Spójrz, Harry, ktoś stoi na górze na schodach - powiedział inny głos.

Nagle Jessikę oblało jaskrawe światło.

- O Jezu! Ona ma pistolet! - krzyknął ten sam głos.

Edith schowana za zakrętem schodów szybko zeszła parę stopni w dół i oświetliła latarką miejsce, skąd dochodziły głosy.

Grupa mężczyzn i kobiet stała przy wejściu na półpiętro, przyglądając się jej i Jessice. Bez wątplenia byli to sąsiedzi, którzy dla większego bezpieczeństwa skrzyknęli się razem, gdy odcięto prąd.

- Idźcie stąd - zawołała do nich Edith. - Dla własnego bezpieczeństwa wracajcie do swoich mieszkań i pozamykajcie dobrze drzwi.

Ktoś przepchnął się obok stojącego w przejściu mężczyzny.

- Ale najpierw nam pani powie, co się tutaj dzieje. Jego latarka rzuciła szeroki i silny snop światła.

- Po co tej dziewczynie pistolet?

- Muszą mieć coś wspólnego z tym wypadkiem na dole - zamruczał inny głos.

Bishop stał blisko Edith, ale ludzie na dole w dalszym ciągu go nie widzieli.

- Poświeć latarką na schody, Edith - wyszeptał. - Pokaż im ten tłum.

Edith przechyliła się przez poręcz i oświetliła przyczajone w dole postacie.

- Tam jest ich więcej!

Wszystkie światła skierowały się na niższe piętro i ludzie na schodach zakryli oczy, jęcząc z bólu.

- Jezus Maria! Jaki tłum! Ciągnie się aż do wyjścia. Jeden z mężczyzn pochylił mocno głowę i kuląc się przed światłem, zaczął piąć się w górę. Inny, poruszając się w ten sam sposób, ruszył za nim.

- Idą tutaj! - wrzasnęła kobieta.

Mężczyzna z latarką przesunął się do przodu, zszedł parę stopni i kopnął ciężkim butem skradającą się postać, która stoczyła się w dół.

- Mam już tego dosyć - skomentował.

W tym momencie zaczęło się piekło. Inni mężczyźni i kobiety, którzy na chwilę zatrzymali się na schodach, nagle rzucili się do przodu, osłaniając oczy przed światłem i



wrzeszcząc jak opętani. Stratowali człowieka, który ośmielił się im przeciwstawić. Przyjaciele pospieszyli mu na pomoc. Na wyższych i niższych piętrach pojawiało się coraz więcej świateł. Wiele osób jak na sygnał odważyło się opuścić swoje mieszkania, gdyż ciekawość okazała się silniejsza niż ostrożność. Na widok ludzi tłoczących się na schodach wielu lokatorów czym prędzej wróciło do mieszkań, ale inni doszli do wniosku, że miarka się przebrała: jeżeli policja nie mogła sobie poradzić z intruzami, to zrobią to oni, mieszkańcy. Pewnie mieliby większą szansę w tej szalonej i brutalnej walce, do której później doszło, gdyby część ich sąsiadów siedząc przy zgaszonych światłach nie uległa już Ciemności. Mieszkańcy tego domu nie mogli już rozpoznać, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem.

Drzwi wahadłowe na wyższym piętrze otworzyły się i pokazały się w nich światła. Bishop chwycił Edith za rękę i powiedział:

- Weź Jessikę, idziemy dalej.

Edith nie protestowała, wydawało jej się to logiczne: dach - jeśli uda się im tam dostać - był w dalszym ciągu najbezpieczniejszym miejscem. Złapała Jessikę i pociągnęła ją na górę, doganiając Bishopa i Kuleka na zakręcie schodów. Dotarli na następne piętro, a stojący tam ludzie przyglądali się im z zaciekawieniem.

- Lepiej zamknijcie się w mieszkaniach, dopóki nie przyjedzie policja - powiedział im Bishop. - Nie próbujcie walczyć z tymi z dołu, jest ich za dużo.

Popatrzyli na niego jak na wariata, następnie spojrzeli w dół, skąd dochodził zgiełk i błysk świateł. Bishop nie zwracał sobie głowy tym, czy wzięli sobie jego radę do serca, lecz kroczył naprzód. Ożywiało go zimne powietrze, wpadające przez otwarte drzwi. Kulek usiłował sam wchodzić, ale zatrzymywał się na każdym stopniu, jego wychudzone ciało drżało z wysiłku.

- Już prawie jesteśmy, Jacob. Jeszcze trochę.

Bishop czuł, że z Kuleka uchodzą resztki sił. Lewą ręką mocniej przyciskał żołądek.

Jessica z ulgą krzyknęła, widząc, że schody kończą się na następnym piętrze: doszli już prawie do szczytu budynku. Objęła ojca w pasie, ciągnęła i podnosiła go razem z Bishopem, chcąc jak najszybciej pokonać ostatni odcinek schodów. Edith szła ciężko, oddychając z trudem. Była to długa wspinaczka, a jej ciało nie przywykło do takiego wysiłku. Pulchną ręką chwyciła się poręczy, podciągając się do przodu; poruszała się powoli, trud wspinania się wyczerpywał ją. Już niedaleko, powtarzała sobie, teraz już niedaleko, jeszcze tylko parę stopni, tylko parę.

Mężczyzna, który czekał na nich na górze, był dozorcą. Mieszkał właściwie na parterze, ale przyszedł na dziesiąte piętro, aby ostrzec mieszkającą tu parę starszych ludzi.

Ostrzegali ich już wcześniej - a przynajmniej starszka. Rada absolutnie zabraniała siusiania w windach. Starzec nigdy nie chciał się przyznać, zawsze zrzucał winę na dzieciaki, które włóczyły się po bloku, niszczyły wszystko i utrudniały życie mieszkańcom. Te cholerne szczeniaki wybijały szyby, zamazywały ściany od góry do dołu i w ogóle urządzały na klatce istne piekło. Ci gówniarze szczególnie upodobili sobie windy; nic dziwnego, że tak często się psuły, jeśli bez końca manipulowali przyciskami, blokowali zamykające się drzwi, otwierali windę między piętrami albo podskakiwali, gdy dźwig był w ruchu. Na pewno brudzili w windach, ale w tym przypadku nie byli głównymi winowajcami. O nie, ten starzec miałby dużo do powiedzenia na ten temat. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego wsadzają starych ludzi do mieszkań na najwyższym piętrze. Gdy windy są popsute albo przez wandalów, co jest normalne, albo z powodu częstych usterek technicznych, albo - tak jak dzisiaj - nie działają z powodu braku prądu, ci starzy ludzie są odcięci od świata. Inny problem, naprawdę istotny, polega na tym, że obie windy zostały tak zaprojektowane, aby poruszały się wolno, gdyż mieszkańcy panicznie się boją zbyt szybkiej jazdy. A jeżeli ktoś jest stary i dużo pije, a jego pęcherz nie jest tak mocny jak kiedyś, to podróż na górę może dla niego trwać wieki. Na nieszczęście ten starzec jest już mocno zniedołężniały i ma słaby pęcherz. Mieszkańcy nieraz skarżyli się, że otwierając drzwi windy widzieli starucha stojącego w kałuży. Nawet sposób, w jaki zdejmował kapelusz, kłaniając się uprzejmie na dzień dobry lub dobry wieczór, nie był w stanie odwrócić ich uwagi od cuchnącego odoru moczu. Dozorca już trzy razy go upominał, nie wierząc jego przysięgom, a teraz powie także żonie starucha. Albo utrzyma go w karchach, albo się wyniosą. WYNIOSA. Dość tego. Dość siusiania w windzie. I tak musi znosić złośliwe skargi lokatorów na ogrzewanie, instalacje gazowe, wandalizm, czynsze, windy, śmietniki, hałas i sąsiadów; ale sprzątanie po jakimś starym imbecylnym, który nie potrafi zapanować nad swoim pęcherzem, to już naprawdę za wiele. Czasami dozorca puszczał wodze fantazji, wyobrażając sobie, że podkłada w bloku bombę zegarową, nastawia opóźniacz zapalnika na trzydzieści minut i wycofuje się do pubu przy tej samej ulicy, siada sobie z kuflem piwa i patrząc, jak wskazówka zegara sunie do trzydziestej minuty, chrupie pasztecik z szynką i cielęcina, obserwując wieżowiec przez okno, zamawia następne piwo, żartuje z właścicielem, dopóki zegar nie odmierzy śmiertelnej sekundy; później rozkoszny huk i budynek rozlatuje się jak domek z kart, albo jak na filmie, na którym wysadzają olbrzymie kominy - w powietrze wylatuje tylko podstawa, reszta opada na dół, składając się jak ogromny teleskop. I wszyscy lokatorzy z głowy, raz na zawsze, żadnych więcej skarg, żadnego nadskakowania im. Wszyscy zmiażdżeni, wszyscy martwi. Cudowne.

Dozorca był w połowie drogi na górę, kiedy wysiadły światła, a winda zatrzęsła się i zatrzymała. W kompletnej ciemności, klnąc głośno, szukał po omacku alarmu, aż w końcu jego wskazujący palec odnalazł przycisk. Miał nadzieję, że ta głupia krowa, jego żona, usłyszy dzwonek w ich mieszkaniu, lecz po dziesięciu minutach bezustannego przyciskania guzika i walenia w metalowe ściany windy zdecydował, że przerwa spowodowana jest czymś innym niż uszkodzenie silnika. Cholera, wyłączyli prąd, powiedział do siebie.

Takie siedzenie w ciemnościach było przerażające, sam nic nie widział i jego nikt nie mógł zobaczyć. Ale było również dziwnie kojące, jakby znowu znalazł się w łonie matki, jeszcze nie narodzony, jeszcze nie tknięty. Albo jakby był martwy, mając tylko nicość za towarzystwo. Wkrótce jednak zrozumiał, że nie jest zupełnie sam w ciemności.

Po jakimś czasie dozorca otworzył siłą drzwi windy i po omacku zorientował się, że jest prawie na następnym piętrze, do wyjścia na klatkę brakowało najwyżej trzech stóp. Otwarcie z szybu drzwi, którymi mógłby wyjść na korytarz, było trochę trudniejsze, ale nie zrażał się. Zebrał wszystkie siły, o których powiedziały mu wewnętrzne głosy. To dziwne, jeśli człowiek wie, że może coś zrobić, to praca staje się łatwiejsza.

Szedł schodami na górę, nie zwracając już uwagi na otaczającą go ciemność. Wiatr zawył, kiedy pchnął drzwi na dziesiąte piętro, a on uśmiechając się przeszedł przez krótki korytarz, później skręcił w prawo do mieszkania staruszków. Z początku nie chcieli otworzyć, ale nalegał, tłumacząc, że to sprawa służbowa. Najpierw załatwił kobietę, używając przeciw niej miotły, którą trzymała w przedpokoju; powalił ją na ziemię, a następnie wepchnął jej kij tak głęboko w gardło, że nie mogła oddychać. Trochę czasu zajął mu starzec, który nie próbował pomóc żonie, lecz schował się pod łóżko w sypialni. Dozorca prawie się roześmiał, gdy wdepnął w cuchnącą kałużę, wypływająca spod łóżka. Wyciągnął stamtąd starego i z przyjemnością słuchał chrapliwych wrzasków, wlokąc go przez przedpokój do kuchni, w której było wiele niewinnych narzędzi śmierci. Niestety serce ofiary poddało się, zanim zdążył dokończyć dzieła: ale przynajmniej aż do ostatniej chwili dozorca miał uciechę. Nie będzie już ten staruch sikał w windach. Koniec z tym sikaniem.

Dozorca usiadł na podłodze obok ciepłego jeszcze ciała i było mu dobrze: był wolny, mógł robić to, na co miał ochotę, folgować sobie we wszystkim, co dotąd było zakazane. Napawał się smakiem wolności. Niedługo potem usłyszał huk rozwalającej się ciężarówki i niebo rozjaśniły pomarańczowe płomienie. Dozorca wybrał jedno z zakrwawionych narzędzi kuchennych i wyszedł na podest. Stał na szczycie schodów i czekał.

Edith Metlock wyczuła jego obecność, jeszcze nim go zobaczyła. Była już prawie na szczycie schodów, kiedy się zatrzymała. Jej umysł nagle przestał wsłuchiwać się w

dochodzące z dołu krzyki, wrzaski i odgłosy walki i całą uwagę skupił na tym, co było przed nią. Jedną ręką wciąż trzymając się żelaznej poręczy i przykleknąwszy na jednym kolanie, wolno podniosła latarkę do góry - wolno, ponieważ bała się tego, co odkryje snop światła, a w głębi duszy lękała się najgorszego - i spostrzegła nogi mężczyzny, jego kolana, jego talie. Miał na sobie niebieski, roboczy kombinezon i gdy poświeciła wyżej, zobaczyła, że przy piersi trzyma poplamiony krótki tasak, taki, jakich używa się w kuchni do rąbania mięsa; podnosząc latarkę jeszcze wyżej, ujrzała, że mężczyzna się uśmiecha, a jego zęby są czerwone i ta czerwień spływała mu z brody obryzgując kombinezon. Wiedziała, że był obłąkany, jaki normalny człowiek jadłby surowe mięso. Zszedł stopień niżej i Edith krzyknęła.

Pierwszym uderzeniem tasaka nie trafił jej, gdyż oślepiło go światło, ale drugim rozciął jej ramię, którym się osłaniała. Całą rękę miała zdrętwiała, jakby ktoś uderzył ją młotkiem, a nie ostrym narzędziem. Edith runęła do tyłu, snop światła z trzymanej przez nią latarki wędrował po ścianie coraz wyżej, aż w końcu zatrzymał się. Bishop ciałem powstrzymał ją przed zwaleniem się ze schodów, mocno ściskając poręcz i jednocześnie cały czas podtrzymując Kuleka. Niemal się przewrócił pod naporem jej ciała, ale zdołał utrzymać równowagę. Edith upadła na bok, leżała wsparta plecami o słupki poręczy, z rozwalonymi w poprzek schodów grubymi nogami; na szczęście nie wypuściła latarki. Bishop, upewniwszy się, że Edith nie stoczy się dalej i sam nie straci równowagi, szybko wyrwał jej latarkę i poświecił w górę. Mężczyzna wolno schodził po schodach, zakrzepła krew na zębach i wargach przydawała jego uśmiechowi jeszcze większej plugawości. Wysoko nad głową trzymał broń, gotową do zadania ciosu.

Bishop próbował się wycofać, ale ruchy jego były niezgrabne, gdyż ograniczało je bezwładne ciało Kuleka. Edith drapała mężczyznę po nogach, szarpała i ciągnęła za kombinezon, starając się go przewrócić. Niestety, był zbyt silny.

Opuszczał już tasak, kiedy kula przebiła mu pierś, betonowe ściany spotęgowały huk wystrzału z trzydziestki ósemki. Dozorca krzyknął i runął na plecy, tasak wypadł mu z ręki i ześlizgnął się na leżące ciało Edith, nie czyniąc jej krzywdy. Mężczyzna obrócił się, próbując odczołgać się od nich, ale zanim dotarł do ostatniego stopnia, kopnął spazmatycznie nogami i stoczył się w dół, wpadając po drodze na Jessikę. W jej rękach znajdował się pistolet wciąż wycelowany w to miejsce, gdzie stał mężczyzna, do którego przed chwilą strzeliła; z lufy unosił się jeszcze dym, wypełniając powietrze zapachem prochu. Hałasy, na dole ucichły, jakby pojedynczy huk wystrzału zatrzymał wszelki ruch. Bishop wiedział, że cisza nie potrwa długo.

Pomagając Edith wstać, zauważył jej rozciętą rękę. Rana była długa, ciągnęła się prawie do łokcia, ale chyba niezbyt głęboka, gdyż Edith mogła swobodnie poruszać palcami. Bishop popchnął Edith w kierunku górnego podestu i niemal niosąc Kuleka, poszedł za nią. Delikatnie usadowił niewidomego plecami do wahadłowych drzwi. Schody kończyły się na małym podeście, oddzielonym żółtymi wahadłowymi drzwiami od krótkiego korytarza, prowadzącego do drugiej części budynku. Metalowa barierka biegła w lewo, zamieniając podest, na którym stał Bishop, w balkon wychodzący na spadzistą klatkę schodową. Na końcu zobaczył drzwi, które, jak się domyślił, były wyjściem przeciwpożarowym, umożliwiającym mieszkańcom najwyższego piętra wydostanie się z tej części korytarza na schody. Poświecił latarką na sufit i zobaczył to, czego szukał: dużą klapę, do której prowadziła metalowa drabina przytwierdzona do ściany naprzeciw barierki balkonu. Do drabiny przymocowana była drewniana deska, u góry i u dołu zabezpieczona zamykanymi na kłódkę łańcuchami. To proste zabezpieczenie zniechęcało dzieci i nieproszonych gości do wchodzenia na dach.

Znowu rozległy się odgłosy walki i Bishop zbiegł parę stopni w dół do Jessiki. Musiał wyciągnąć pistolet z jej zaciśniętych palców i siłą przeprowadzić obok miejsca, w którym przedtem stał mężczyzna w kombinezonie.

- Zaopiekuj się ojcem, Jessico - powiedział szorstko, popychając ją w kierunku Kuleka.

Wiedział, że zabicie mężczyzny wywołało u niej szok, z którego nie wyjdzie, dopóki nie zacznie myśleć o czymś innym; po tym wszystkim, co przeszła, niewiele trzeba, by całkowicie się załamała. Jessica uklękła przy ojcu i tuliła go w ramionach.

Bishop oświetlił latarką łańcuch umocowany na dole drabiny i pociągnął za niego, aby sprawdzić, czy mocno trzyma. Był zdziwiony, kiedy odpadł, ktoś - prawdopodobnie dzieciaki - nieźle się nad nim napracował, przepiłowując go, ale pozostawiając w tym samym miejscu do czasu, aż upora się z łańcuchem na górze. Drugi łańcuch był w zasięgu ręki, zbyt wysoko dla dziecka, wystarczająco nisko dla dozorca lub konserwatorów. Chwycił go i pociągnął. Nie puścił.

Bishop zaklął. Czy powinni skorzystać z wyjścia przeciwpożarowego i zejść do jednego z mieszkań? Nie, znaleźliby się w pułapce; zawzięty tłum bez trudu mógłby się tam dostać. Bez wątplenia najbezpieczniejszy był dach - stamtąd można się bronić przed całą armią. Musi jakoś rozerwać łańcuch albo rozwalić kłódkę; najlepiej za pomocą pistoletu.

- Edith, przejdź do Jessiki!

Medium szybko zrobiło to, o co prosił, rozumiejąc jego zamiary. Bishop stanął między celem, do którego miał strzelić, a trzema skulonymi postaciami. Odwrócił głowę, zmrużył

oczy i modlił się, żeby pocisk nie odbił się rykoszetem. Huk wystrzału stłumił odgłos rozrywanego metalu, kula zboczyła z toru i utkwiała w ścianie nad drzwiami przeciwpożarowymi. Łańcuch zsunął się na podłogę, drewniana deska odbiła się od drabiny, po czym oparła się na barierce po drugiej stronie. Bishop nie tracił czasu, wszedł na drabinę i popchnął klapę. Nie drgnęła.

Włożył pistolet do kieszeni i w świetle latarki obejrzał właz; w metalowym kwadracie, w pobliżu drabiny, znajdowała się mała dziurka. Dozorca na pewno miał specjalny klucz dla siebie i wszelkich uprawnionych osób.

- Edith, szybko, potrzyмай latarkę! Wyciągnęła rękę i wzięła ją od niego.

- Poświęć na zamek - powiedział jej.

W uszach dzwonił mu jeszcze huk wystrzału, ale był pewien, że słyszy tupot kroków na schodach. Nie miał wyboru, przycisnął trzydziestkę ósemkę do zamka, licząc, że mu się uda. Odrzut z tak bliskiej odległości sprawił, że ręka odskoczyła mu w dół, a odpryski drewna i metalu uderzyły go w twarz. Schyliwszy głowę, przylgnął do drabiny, omal nie puścił szczebla, który trzymał. Ściskając pistolet w dłoni naparł na właz. Przez jeden straszliwy moment obawiał się, że go nie uniesie. Pchnął jeszcze silniej, i odetchnął z ulgą, gdy klapa się uniosła. Wszedł na wyższy szczebel i nacisnął na nią jeszcze mocniej. Właz otworzył się, uderzając o coś z tyłu. Bishop zeskoczył na podest.

- Wchodź na górę, Edith - powiedział i kolejny raz wziął od niej latarkę.

Patrzył, jak wdrapywała się po drabinie, mówiąc jej, aby poszukała w środku włazu jakiegoś uchwytu. Z pewnością coś znalazła, gdyż już po chwili przeciągnęła pulchne ciało przez otwór, poruszając się zwinnie mimo zranionej ręki. Bishop wszedł na parę szczebli w górę i oddał jej latarkę.

- Świeć na nas - powiedział i zeskoczył, po czym podszedł do Jessiki i jej ojca. - Musimy go wciągnąć na dach, Jessico.

Na dźwięk głosu Bishopa Kulek otworzył oczy.

- Dam radę, Chris - szepnął. Mówił niewyraźnie, lecz z sensem. - Tylko pomóżcie mi wstać.

Bishop uśmiechnął się ponuro. Jak silną wolę ma ten niewidomy człowiek! Razem z Jessiką podnieśli jego chude ciało, a Kulek, zagryzając dolną wargę, usiłował powstrzymać okrzyk bólu; musiał mieć jakieś wewnętrzne obrażenia, coś pękło mu w żołądku lub doznał skrętu jelit. Ale musi iść, nie pozwoli, aby zabrały go te stwory Ciemności. Mimo osłabienia i bólu dręczyła go jakaś myśl, myśl, która chciała przebić się na powierzchnię, przeniknąć

umysł i... i co? Nawet gdy starał się skoncentrować, kręciło mu się w głowie i te zawroty przyprowadzały go o mdłości. Myśl była bliska, ale nie mógł pokonać odgradzającej ją bariery.

Pomogli mu dojść do drabiny i Bishop kazał Jessice, by weszła pierwsza.

- Ja podtrzymam go od dołu, ty spróbuj go wciągnąć.

Szybko wspięła się na górę i zniknęła w czarnym otworze. Bishop przypuszczał, że na płaskim dachu wieżowca zbudowano kabinę - taką, w jakiej zazwyczaj znajdują się silniki dźwigu, koła napędowe i zbiorniki na wodę. Jessica przechyliła się przez otwór i wyciągnęła rękę.

Bishop położył dłonie Kuleka na drabinie i natychmiast zdał sobie sprawę, że niewidomy mężczyzna nigdy po niej nie wejdzie. Kulek ścisnął kurczowo metalową ramę, ale nie miał już w sobie tyle siły, żeby poruszyć nogami. Zbliżające się z tyłu kroki ostrzegały Bishopa, że pozostało im niewiele czasu.

Pierwszy mężczyzna był już prawie na szczycie schodów, dwóch innych w połowie drogi. W szerokim kręgu światła, jakie rzucała z góry latarka, zobaczył, że wszyscy trzej byli w wymiętych ubraniach, a ich stan wskazywał na to, że już od dawna, może od tygodni, są ofiarami Ciemności. Mieli czarne twarze, ręce i ubrania brudne i zniszczone; nikt nie wiedział, gdzie ukrywają się w ciągu dnia, ale z pewnością w jakimś ciemnym miejscu, gdzieś pod ziemią, gdzie nie było miejsca na czystość. Pierwszy mężczyzna podszedł chwiejnym krokiem i utknął w Bishopie spojrzenie głęboko zapadniętych, ale martwych, pozbawionych wyrazu oczu. Gdy się zbliżył, na jego ciele wyraźnie było widać ropiejące wrzody i strupy.

Bishop wyciągnął pistolet i wycelował w zbliżającego się mężczyznę, który nie zwracał uwagi na broń; nie bał się, gdyż w środku był już martwy. Bishop nacisnął spust i iglica trzasnęła o pustą komorę. W panice spróbował jeszcze raz, wiedząc jednak, że pistolet jest pusty - wszystkie naboje zostały wystrzelone.

Mężczyzna, mrużąc oczy przed światłem, wyciągnął ramiona, aby zamknąć Bishopa w uścisku, ale Bishop, posługując się pistoletem jak pałką, wyrzucił go w nasadę nosa. Mężczyzna ciągle posuwał się do przodu, jakby nie czuł bólu; spływająca z rany krew potęgowała groteskowość jego wyglądu. Bishop uchylił się przed wyciągniętymi rękami i odepchnął napastnika, odrzucając go na schody. Pistolet nie był mu już potrzebny, wyrzucił go więc, kiedy zobaczył na podeście inny przedmiot, który mógł mu posłużyć za broń. Podniósł ciężką deskę opartą o barierkę galeryjki, pospieszył w kierunku tego człekokształtnego indywiduum balansującego na szczycie schodów i wałnął je deską, popychając z całych sił. Mężczyzna przewrócił się, upadł na swoich towarzyszy, którzy byli

już prawie na podeście. Wszyscy trzej zaczęli spadać, ich wyniszczone ciała ześlizgiwały się z betonowych stopni, za nimi leciała ciężka deska. Zatrzymali się dopiero na szerszym zakręcie, koło wysokiej kobiety, która stała tam patrząc w górę.

Bishop zobaczył ją w mroku i ogarnęła go fala nienawiści.

Znów opanowało go pragnienie, aby zbiec na dół i zabić ją, karząc nie za to, czym się stała, ale za to, czym jest i czym zawsze była; zamiast tego jednak przerzucił sobie Kuleka przez ramię i rozpoczął żmudną wspinaczkę po drabinie. Kiedy opadł z sił i myślał, że już nigdy mu się to nie uda, wyciągnęły się doń ręce i pomogły dźwignąć Kuleka. Edith i Jessica razem podciągały niewidomego mężczyznę, łapiąc go za ubranie, pod pachy, gdzie się tylko dało. Bishop ostatnim wysiłkiem dźwignął się do góry, niemal siłą woli wpychając rannego mężczyznę w otwór, a dwie kobiety mocniej chwyciły Kuleka, wciągając jego tułów, układając na boku, tak by nie mógł wypaść. Bishop odetchnął z ulgą, ale nie na długo. Inne bowiem wrogie ręce oplątywały się wokół jego nóg, ciągnąc go w dół. Ześlizgnął się z drabiny i spadł, a stojący u dołu ludzie złagodlili upadek. Młócił jak cepem w usiłujące go stłamsić ciała, walił rękami i nogami, aby zdobyć dla siebie trochę miejsca, a dochodzący z góry krzyk Jessiki sprawił, że walczył jeszcze zacieklej.

Poczuł, jak go podnoszą i już wiedział, co chcą z nim zrobić; balustrada balkonu zbliżała się do niego w zawrotnym tempie i nagle patrzył prosto w dół, w przerażającą, czarną otchłań.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jego ciało wyslizgnęło im się z rąk, przeleciało przez poręcz i zaczęło spadać, cofające się piętra w dole były niczym kwadratowy wir, którego ciemne jądro pragnęło go wessać. Zaczął krzyczeć, instynkt życia wziął jednak górę nad sparaliżowanym umysłem. Kiedy go puścili, złapał się poręczy oddalonej zaledwie parę cali od jego twarzy. Zawisł na jednej ręce po drugiej stronie barierki, dyndając w powietrzu nogami. Poczuł przeszywający ból wykręcanego w stawie ramienia i pod wpływem szoku niemal rozwarł palce. Jednym ruchem odwrócił się i chwycił metalowy pręt, teraz ciężar był rozłożony na obie ręce. Zdołał oprzeć stopę na krawędzi podestu i przyłgnął doń, nieruchomiejąc na chwilę, by odzyskać siły i orientację.

Ktoś grzmotnął go w rękę i, spojrzawszy w górę, ujrzał stojącą nad sobą wysoką kobietę. Bishop poznał ją, chociaż w mroku nie widział jej twarzy, i mimo całej bezradności zapłonął gniewem. Jakiś mężczyzna złapał go za włosy, starając się zepchnąć go w dół, oderwać od barierki. Bishop odwrócił głowę, próbując wyrwać się z uścisku, ale ręka



poruszała się wraz z nim, wciąż pchając i usiłując go oderwać. Ktoś wsunął nogę między pręty, kopiąc go boleśnie w pierś, próbując ruszyć go z miejsca; Bishop, jak przez mgłę, zauważył, że tą trzecią, walczącą jak furia osobą jest młoda, zaledwie kilkunastoletnia dziewczyna. Inna niewyraźna postać, nie mogąca docisnąć się do Bishopa, stała przy poręczy i głośno zachęcała pozostałych do ataku.

Bishop czuł, jak drętwieją mu palce, i wiedział, że nie wytrzyma długo tego uporczywego walenia. Ale wysoka kobieta zmieniła taktykę i zaczęła teraz rozwierać mu palce, jeden po drugim. Jego ciało znajdowało się daleko od poręczy i odpychała je stopa dziewczyny, a mężczyzna boleśnie szarpał go za włosy, coraz silniej odciągając mu do tyłu głowę. W końcu wysoka kobieta krzyknęła z triumfem, gdy ostatecznie zmusiła go do puszczenia poręczy; teraz trzymał się tylko metalowego pręta. Wiedział, że to jego ostatnie sekundy.

I wtedy pojawiła się między nimi Jessica, doprowadzona do rozpaczki bezlitośnie kopała i gryzła napastników, chcąc za wszelką cenę pomóc Bishopowi. Odciągnęła nastolatkę i z całej siły pchnęła ją na ścianę, tak że dziewczyna straciła przytomność. Później dopadła mężczyzny, który ciągnął Bishopa za włosy, szarpiąc go i orząc mu twarz paznokciami. Mężczyzna puścił Bishopa i próbował ją chwycić, ale był bezsilny wobec jej szalonego ataku; przewrócił się na plecy i zakrył twarz rękami. Jessica stała tyłem do mężczyzny, który do tej pory tylko przyglądał się szamotaninie, ale teraz wyciągnął ręce i zaczął się do niej zbliżać.

- Nie! - zaskrzeczała wysoka kobieta, wiedząc, że Bishop jest bardziej niebezpieczny.  
- Pomóż mi!

Zatrzymał się, przechylił przez barierkę i zaczął walić w przyciśniętą do prętów głowę. Ciosy oszołomiły Bishopa, mógł zrobić tylko jedno: skoczyć.

Trzymając się barierki i mocno wpierając stopę w podest, rzucił się w bok i wysunął rękę, usiłując pochwycić obniżającą się z prawej strony poręcz. Spoglądającej z luku w górze Edith Metlock wydawało się, że wisi tak już całą wieczność. Zamknęła oczy, nie będąc w stanie patrzeć na ten przerażający skok. Zacisnął palce wokół pochyłej barierki, a ciałem uderzył w podpórki i bok betonowych schodów. Podparł się teraz drugą ręką, błyskawicznie podciągnął do góry i gnany paniką przeskoczył przez poręcz na schody. Nie zatrzymując się, popędził na górę i złapał za kołnierz stojącego tam mężczyznę, którego odpychała Jessica. Pchnął z całej siły, skręcając się z wysiłku, aż mężczyzna poleciał w dół, uderzając dopiero w trzeci od dołu betonowy schodek. Wrzasnął upadając, potem w milczeniu turlał się na dół. Wylądował w jęczącym stosie skreconych ciał tych, którzy spadli wcześniej.

Lecz Bishop nie zaprzestał walki; był już na podeście, biegiem minął Jessikę i uderzył ramieniem stojącego obok wysokiej kobiety mężczyznę. Obaj runęli, lecz Bishop nie stracił przytomności umysłu i mógł poruszać się szybko. Uderzył go w zwróconą ku górze twarz, tak że jego głowa stuknęła o beton. Bishop wczepił obie ręce we włosy mężczyzny, uniósł jego głowę prawie o stopę i walnął mocno o posadzkę. Rozległo się przyprawiające o mdłości plaśnięcie, które znaczyło, że mężczyzna będzie niegroźny przez jakiś czas.

Czyjeś ręce zacisnęły się na jego oczach, wpijając się w nie palcami, i Bishop zorientował się, że to wysoka kobieta usiłuje wyrzeć mu je z oczodołów. Odrzucił głowę do tyłu; nagle uścisk zelżał i gdy na kolanach zachwiał się do przodu, zobaczył, że to Jessica trzyma wysoką kobietę od tyłu, jedną ręką otaczając jej talię, drugą - ramię. Przeciwniczka była jednak zbyt silna, zbyt przebiegła; gwałtownie zamachnęła się i wyrznęła Jessikę łokciem w zębra. Jessica zgięła się w pół, kobieta odwróciła się i błyskawicznie zadała jej dwa silne ciosy w piersi. Jessica krzyknęła i upadła na podłogę. Oczy kobiety były ukryte w mroku, ale Bishop czuł wypełniającą je nienawiść. Skoczyła na niego jak opętana, obnażyła zęby, z gardła jej wydobywał się głuchy, zwierzęcy warkot, który przeszedł w piskliwy skrzek, kiedy się z nim zwarła.

Bishop podniósł się, by stawić jej czoło, nie mógł jednak wyzwolić się z dławiącego uścisku, jej siła nie była już ludzka, jej brutalność przerastała okrucieństwo człowieka. Ale pamiętał jej bestialskie wyczyny, makabryczną śmierć Agnes Kirkhope i jej służącej, próbę zabójstwa Jacoba Kuleka, morderstwo policjanta. Spalenie Lynn. Była uległym narzędziem nieczystej siły, tkwiącej w każdym mężczyźnie, w każdej kobiecie i w każdym dziecku; była jej sługą i moralną sprawczynią, kreaturą, która oddawała cześć mrocznym zakamarkom umysłu. Pchnął ją na poręcz i zobaczył jej oczy: małe, czarne sadzawki w brązowych mulistych tęczówkach, otworki kurczące się w coś mroczniejszego i niepojętego. Dusiła go, ślina z jej otwartych ust obryzgiwała mu twarz, wyciągała szyję, próbując rozerwać mu ciało obnażonymi zębami. Bishop trząsał się z wściekłości, czuł, jak szybko krąży w nim krew, gorący jej strumień rozsadał mu żyły i arterie. Wtedy ją podniósł, podrywając jej nogi potężnym ruchem, szybkim, lecz rozciągniętym w czasie, tak że cała scena rozgrywała się powoli, jak we śnie. Dźwignął ją wyżej, opierając plecami o poręcz; rozluźniła swój uchwyt i zaczęła wrzeszczeć z przerażenia. Podciągnął ją jeszcze wyżej i, tak jak on poprzednio, znalazła się na krawędzi czarnej przepaści. I jeszcze wyżej, dopóki jej ciało nie zaczęło przeważać na drugą stronę poręczy. Wtedy wyslizgnęła mu się z rąk; spadała pionowo, wrzeszcząc i machając w powietrzu rękami. Odbijała się od schodów - z roztrzaskaną ręką, z

wydartą z biodra nogą, ze złamanym kręgosłupem, zanim zniknęła z oczu i zaskowyczała, uderzając o beton.

Bishop kompletnie wyczerpany osunął się na poręcz. Nie mógł już dłużej myśleć, dłużej się zastanawiać: czuł przemożną chęć, by położyć się na podłodze i tam zostać. Ale krzyki stawały się coraz głośniejsze i kroki bębniły na kamiennych stopniach. Zobaczył twarze, które wpatrywały się w niego, a potem znikły, ręce wijące się po poręczy; zwarty tłum wchodził teraz na górę, walka z mieszkańcami bloku skończyła się. Czyjaś ręka odciągnęła go od barierki i popchnęła w stronę drabiny wiodącej na dach. Z twarzą zalaną łzami niepokoju i wyczerpania, Jessica błagała go, by wspiął się w bezpieczne miejsce.

- Ty pierwsza - powiedział.

- Szybko! - doszedł do nich głos Edith z otwartego luku.

Tłum był już na ostatniej kondygnacji schodów. Najsilniejsi szli szybko. Latarka powoli gasła, jakby wraz z nimi zbliżała się ciemność nocy.

Bez chwili wahania Jessica weszła po drabinie i zniknęła w otworze. Bishop podskoczył do góry, zmuszając zmęczone nogi do wspinaczki, poznając desperację ściganych. Uczuł, jak czyjaś ręka zaciska mu się wokół kostki, i z całej siły kopnął drugą nogą, obcasem miażdżąc twarz napastnika, aż ten upadł na podłogę. Wtedy Bishop przetoczył się po krawędzi otworu i kłapa zamknęła się za nim z trzaskiem. Edith i Jessica upadły na pokrywę, w którą już waliły pięści. Szczęściem kłapa była solidnie wykonana, a na drabinę mogła wejść tylko jedna osoba. Leżeli w mroku - skierowana w bok latarka oświetlała mechanizm windy - Edith i Jessica bez sił na kłapie, Bishop całkowicie wyczerpany wyciągnął się na plecach, z trudem chwytając powietrze, Kulek z rozrzuconymi ramionami pod ścianą. Z dołu dochodziły ich stłumione ryki gniewu, bębnienie pięści w kłapę, a wokół siebie czuli przytłaczającą ciemność, która była wraz z nimi w pudełkowatym pomieszczeniu na szczycie dziesięciopiętrowego wieżowca. Wiatr hulał na zewnątrz jak niewidzialna siła, która chce się wdrzeć do środka; Edith Metlock odrzuciła macki sondujące zakamarki jej umysłu, zdecydowana nie słuchać pełnych udręki głosów, szepczących swoje groźby. Myślała tylko o trójce swoich towarzyszy w maszynowni, wznosząc wyimaginowaną ścianę światła między sobą a Ciemnością.

Po jakimś czasie hałasy na dole ucichły i ustał nacisk na kłapę. Oddech Bishopa był już bardziej regularny, gdy uniósł się na łokciu.

- Poszli? - spytał, nie mając nawet odrobiny nadziei.

- Nie sędzę - odpowiedziała Edith. - Nie dadzą nam spokoju, dopóki nie dostaną Jacoba.

- Ale dlaczego chcą mojego ojca? - spytała Jessica. - Mówiłaś przedtem, że się go boją. Dlaczego? Co może im zrobić?

- Ponieważ jestem bliski poznania prawdy, Jessico.

Odwrócili głowy na dźwięk słabego, drżącego głosu. Edith podniosła latarkę i oświetliła nią Kuleka, który siedział przy ścianie, podpierając się rękami. Wydawało się, że gwałtownie zmałał, jakby jego ciało powoli się kruszyło; miał zapadnięte policzki, oczy przymknięte, jakby walczył ze snem. Jessica szybko podpełzła ku niemu, nie mając siły wstać, i Bishop podążył za nią.

Jessica wzięła ojca za rękę i delikatnie dotknęła jego policzka. Nieznacznie podniósł powieki i próbował się do niej uśmiechnąć. Przytuliła do ojca twarz, bojąc się o niego, choć nie знаła przyczyny tego lęku. Nie chodziło jej o fizyczne niebezpieczeństwo, w jakim się znaleźli, także jego obrażenia nie budziły w niej aż takiego niepokoju. Otworzył usta, by znowu coś powiedzieć, ale Jessica delikatnie zakryła mu je palcami.

- Nie mów, ojczu. Oszczędzaj siły. Niedługo nadejdzie pomoc, jestem pewna.

Drżąca dłoń odsunęła jej rękę. - Nie, Jessico... nic nam... już nie pomoże... tej nocy.

- Udało nam się zawiadomić policję, Jacob - powiedział Bishop. - Na pewno spróbują się tu dostać. Kulek z trudem odwrócił się do niego.

- Zupełnie... nie panują... nad tym, co się dzieje, Chris. Tylko sami ludzie... mogą z tym walczyć. Ale to można pokonać.

Zdawało się, że wracają mu siły.

- Jak, Jacob?

- Pryszlak... Pryszlak wiedział, jak rozpuścić tkwiące w nim zło. W momencie śmierci umiał pokierować tym złem. Nie widzisz, że jego śmierć była jak otwarcie pudełka i wypuszczenie zawartości. Miał wystarczająco silną wolę, by nawet w momencie śmierci panować nad swoją psychiką.

- To niemożliwe.

- Przez lata, Chris, przez lata przygotowywał swój umysł do tego ostatecznego momentu.

Kulek odetchnął głęboko i zgięty wpół zaczął kaszleć, ramiona drgały mu spazmatycznie. Gdy atak minął, posadzili go i oparli o surowy, ceglany mur; z przerażeniem ujrzeli kropelki krwi na jego ustach i brodzie. Przez chwilę oddychał wolno, potem otworzył oczy.

- Nie rozumiesz? Latami budował wokół siebie potęgę zła, poprzez praktyki własne i swoich zwolenników; ich umysły porozumiewały się, łączyły w jedność, ukierunkowując indywidualne siły, aż scaliły się w jedną potęgę; pozostała tylko bariera życia.

- I pokonał ją? Wiedział, że będzie mógł działać nawet po śmierci?

Kulek znowu zamknął oczy.

- Wiedział. To był niezwykle człowiek, jego zdolności umysłowe były znacznie większe niż przeciętnego człowieka. Wykorzystywał te obszary mózgu, o których nie mamy pojęcia. Mózg jest dla nas tajemnicą, a on odkrył niektóre jego sekrety.

Edith Metlock odezwała się z ciemności:

- Jacob ma rację. Boją się go, ponieważ zna prawdę.

- Ale nie mam odpowiedzi! - powiedział głośno Kulek, z jego głosu przebijały gniew i bezradność.

Edith chciała jeszcze coś powiedzieć, kiedy nagle spojrzała na klapę i zaczęła nasłuchiwać.

- Nadal tu są - wyszeptwała. - Coś przesuwają, słyszę szuranie.

Jessica i Bishop zbliżyli się do zamkniętej kłapy i nasłuchiwali, starając się oddychać jak najciszej. Nie widzieli wąskiej strużki krwi ściekającej z ust Kuleka po brodzie, zbierającej się wzdłuż linii szczęki i kroplami spadającej mu na pierś. Krwotok nasilił się, krew spływała strumieniem z brody.

Szuranie na dole ustało i przez moment panowała cisza. Wszyscy troje podskoczyli, kiedy coś uderzyło w klapę. Uniosła się na parę cali i znów opadła.

- O Chryste, znaleźli coś, czym mogą rozwalić klapę! - powiedział Bishop, jego nerwy znów zaczęły swój gorączkowy taniec.

Uderzenie powtórzyło się, Jessica i Bishop dołączyli do Edith w nadziei, że ich wspólny ciężar utrzyma pokrywę. Ale powoli zaczęła się pod nimi unosić.

- Musieli przyciągnąć stół czy coś takiego z jakiegoś mieszkania i stoją na nim. Teraz pcha więcej niż jedna osoba.

Bishop wyrwał medium latarkę i oświetlił wnętrze maszynowni w poszukiwaniu jakiejś broni, czegokolwiek, czym mogłby się posłużyć w walce z napastnikiem. W ścianach były małe okna i drzwi prowadzące na dach; koło napędowe i motor windy znajdowały się obok, otwór szybu był czarny i groźny. Nie leżały tu żadne narzędzia, absolutnie nic, co mogłoby posłużyć za broń. Kłapa pod nimi uniosła się o parę milimetrów, podparła ją gruba metalowa sztaba. Bishop pociągnął sztabę, lecz zaklinowała się w otworze. Na jego krawędziach zacisnęły się palce, a nacisk stał się jeszcze intensywniejszy. Szpara poszerzyła

się i usłyszeli, jak na dole ciągną jakiś następny przedmiot, by użyć go jako dźwigni. Próbowali odciągnąć palce od krawędzi, ale ręce powracały w innym układzie. Z całej siły pchali pokrywę, aż zeszywniały im mięśnie, czuli jednak, że z każdą sekundą kłapa podnosi się coraz wyżej. Jakaś ręka wepchnęła się przez otwór, a Jessica krzyknęła, gdy dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku.

W tym momencie włączono prąd.

Światło napłynęło przez otwór, oślepiając ich nagłym blaskiem. Szczęknięty mechanizmy windy i zaczęło się obracać koło napędowe, kabina zaś podjęła przerwana podróż. Na dole rozległy się krzyki, i pokrywa opadła; dłonie już wcześniej zniknęły z krawędzi otworu. Z dołu dobiegało szuranie, tupot zbiegających po schodach nóg, krzyki ludzi przewracających się w panicznej ucieczce przed oślepiającym światłem.

Obie kobiety odsunęły się od kłapy, płacząc z ulgi, dziękowały Bogu, że nareszcie mają to za sobą - przynajmniej na tę noc. Bishop ostrożnie uniósł pokrywę, wypadły metalowe pręty i, odbijając się od stojącego niżej stołu, zabrzęczały na betonowym podeście. Schody były puste, leżały tylko rozciągnięte ciała rannych. Bishop słyszał, jak prześladowcy pędzą w dół, wielu z nich poruszało się szybko, odpychając tych, którzy wcześniej padli ofiarą Ciemności i których światło zupełnie oślepiło.

- Odeszli - zwrócił się cicho do kobiet.

Nagle przeniknął go zimny powiew wiatru i odwróciwszy się, ze zdziwieniem zobaczył szeroko otwarte drzwi. Jacob Kulek nie siedział już pod ścianą.

Kobiety spojrzały w górę, gdy upuścił pokrywę i rzucił się do drzwi. One również zrozumiały, że niewidomy zniknął.

Gdy Bishop wybiegł na dach, wiatr smagnął go jak biczem, targając ubranie, chłoscząc twarz, zmuszając do zmrużenia oczu.

Światła miasta rozciągały się przed nim jak ogromna, srebrno-pomarańczowa konstelacja i przez chwilę patrzył na piękno stworzone ręką człowieka, po raz pierwszy naprawdę rozumiejąc potęgę światła. Przeraził się, kiedy nigdzie nie dostrzegł Kuleka; dach był zupełnie płaski, z wyjątkiem maszynowni i bliźniaczej kabiny, w której zapewne znajdował się potężny zbiornik na wodę. Jessica i Edith dołączyły do niego i we trójkę z lękiem przeszukiwali dach.

- Jacob! - krzyknęła Edith.

Jessica i Bishop spojrzeli w tym kierunku co Edith i zobaczyli, że niewidomy mężczyzna stoi zaledwie dziesięć jardów od krawędzi dachu; w blasku światła widzieli tylko jego sylwetkę. Odwrócił się, kiedy zaczęli się do niego zbliżać.

- Nie - ostrzegł ich - tu jest niebezpiecznie. Musicie zostać na miejscu.

- Ojczy, co robisz? - Jessica przekrzykiwała ryk wiatru, wyciągając błagalnie ręce.

Kulek złapał się za brzuch, ale zdołał opanować ból. Jego twarz była białawą, niewyraźną plamą na tle ciemnego nieba, ale zobaczyli, że z ust spływa mu na brodę jakaś czarna substancja. Ledwo mówił, zdawało się, że krew wypełnia mu gardło.

- Chcieli mojej śmierci! Chcieli mnie zabić, zanim znajdę odpowiedź... zanim dowiem się, jak mogę wykorzystać moją...

Zbliżył się do krawędzi dachu i słowa rozwiały się na wietrze.

- Nie! - krzyknęła Jessica i wyrывая się Bishopowi i Edith, pobiegła w stronę niewidomego. - Nie!

Kulek odwrócił się i spojrzał na Jessikę, ale jego słowa porwał szalejący wiatr. Potem skoczył w noc.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Jessica zatrzymała samochód, Bishop po raz kolejny wychylił się przez okno i pokazał żołnierzowi specjalną przepustkę. Sierżant przyjrzał się jej dokładnie, następnie schylił głowę i badawczo popatrzył na siedzącą z tyłu Edith Metlock. Dopełniwszy formalności, dał znak innemu żołnierzowi, który odsunął białą-czerwoną barierkę. Odkąd wjechali w okolice Willow Road, już po raz trzeci musieli się zatrzymać. Jechali dalej, bacznie obserwowani przez żołnierzy stojących beczynn timer wokół wojskowych ciężarówek; ich ciekawość była widoczna, a jeszcze bardziej widoczna była ich broń. Przy tej operacji wojsko nie chciało podejmować najmniejszego ryzyka, szczególnie po masakrze, która miała miejsce trzy tygodnie temu. Tamtej nocy zginęło wiele osób, zarówno cywilów, jak policjantów i żołnierzy, ich umysły zostały zarażone lub zaatakowane przez jakąś substancję chemiczną, którą, jak twierdzą naukowcy, zawiera Ciemność; sprawiła ona, że rzucili się na siebie, niszcząc światła, stanowiące ich jedyną ochronę. Odparcie napływających hord było utrudnione zamieszaniem, które powstało w ich własnych szeregach. Doszło do straszliwej bitwy i tylko szybkie przybycie posiłków zapobiegło całkowitej klęsce. Rozegrała się koszmarna tragedia, ale doprowadziło do niej zlekceważenie siły niewidzialnego wroga. Dzisiejszej nocy będą lepiej przygotowani.

Jessica wjechała na środek jezdni, wymijając zaparkowaną przy krawężniku ciężarówkę z olbrzymimi reflektorami. Minęli wiele takich wozów, niektóre stały tu już od dwóch tygodni, inne sprowadzono specjalnie na dzisiejszą operację. Większość z nich przerobiono tak, by dawały szeroki i silny snop światła. Mniejsze reflektory umieszczono na

dachach domów lub zawieszono na ich okapach; najbardziej zagrożone części Londynu dosłownie zalano światłami. W dalszym ciągu w całym mieście obowiązywała godzina policyjna, a utrzymywanie zapalonych świateł nabrało teraz szczególnego znaczenia. Weterani wojenni, pamiętający naloty, jako ironię losu potraktowali prawny nakaz palenia w nocy świateł, gdy podczas wojny było to karalne wykroczenie.

Im bliżej byli Willow Road, tym większy niepokój ogarniał Bishopa. Patrząc na Jessikę, widział, że ma ściągniętą twarz i mocno ściska kierownicę. Po śmierci Kuleka stali się sobie bliżsi, ich wzajemna sympatia przerodziła się w przyjaźń - a nawet w coś więcej. Nie byli jeszcze kochankami, lecz oboje wiedzieli, że gdy zbliznią się rany każdego z nich i opadnie napięcie, więź uczuciową pogłębi bliskość fizyczna. Oboje czuli pożądanie, ale nie mogło być ono - i nie będzie - pospiesznie spełnione.

Jessica zahamowała, gdy samochód wojskowy beztriosko wyjechał z Willow Road i skręcił na ich pas - kierowca najwyraźniej korzystał z pustki na ulicach. Uniósł tylko rękę w przeproszającym geście i pojechał dalej. Jessica zdjęła nogę z hamulca i wprowadziła samochód na Willow Road.

Bishop otworzył szeroko oczy ze zdumienia na widok ulicy, choć jako krótkowidz nie widział szczegółów. Willow Road wypełniały wszelkiego rodzaju pojazdy, w większości wojskowe, inne należały do stołecznej policji, wiele było też wozów cywilnych. Na odkrytych ciężarówkach zainstalowano reflektory, a uzbrojone wozy pancerne pilnowały wylotów ulicy. Wszędzie kręcili się ludzie w mundurach, niebieski mieszał się z khaki, żołnierze obstawili chodniki niczym gwardia honorowa. Przetrząsnięto wszystkie domy w poszukiwaniu ukrywających się tam ofiar, których być może wcześniej nie zauważono. Przy końcu ulicy Bishop dostrzegł jasną czerwień wozów strażackich i złowieszcze białe kształty ambulansów. Zrozumiał, że władze przygotowane są na najgorsze. I kiedy Jessica minęła zaparkowane pojazdy i pędzących ludzi, Bishop naprawdę się zdziwił, zobaczywszy wokół siebie zupełnie pusty teren. Domy z obu stron rumowiska, gdzie było kiedyś Beechwood, zostały całkowicie rozebrane. Nie widział dobrze całego placu - dookoła stały rozmaite maszyny i pojazdy - ale wiedział, co znajduje się w środku, gdyż dokładnie przedstawiono mu plan nocnej operacji. Władze musiały włączyć Bishopa i Edith do tej akcji, aczkolwiek niechętnie, gdyż eksperyment powtarzany przez trzy ostatnie noce zakończył się klęską - Ciemność już tu nie wróciła. Sicklemore, pierwszy osobisty sekretarz ministra spraw wewnętrznych, któremu trzy tygodnie temu udało się przeżyć tę piekielną noc, zasugerował, by jeszcze raz zwrócono się do Bishopa i Edith Metlock z prośbą o pomoc. Odezwały się głosy protestu. Naukowcy i inżynierowie zaangażowani w tę operację twierdzili bowiem, że Ciemność nie ma nic



wspólnego ze zjawiskami paranormalnymi, a jest tylko nośnikiem jakiejś nieznannej i jeszcze niemożliwej do ustalenia substancji chemicznej, która w jakiś sposób wyzwała reakcję w układzie limbicznym mózgu, tworząc ładunki elektryczne, które wywołują ataki wzmożonej agresji. Ciemność jest fizyczną rzeczywistością, chemicznym katalizatorem, a nie mistyczną i bezcielesną pijawką, i dlatego może być pokonana metodami naukowymi, a nie spirytystycznymi praktykami. Uprzednio naukowcy i parapsycholodzy, nie tając wzajemnej niechęci, współpracowali ze sobą, lecz po śmierci Jacoba Kuleka obustronna pogarda tak się nasiliła, że porozumienie stało się niemożliwe. Ale Sicklemore nalegał. Trzy noce niepowodzeń i trzy dni złorzeczeń ministra, żołądkującego się z powodu braku jakichkolwiek rezultatów, doprowadziły go do ostateczności: Bishop i Metlock dawali przynajmniej nikłą szansę wyjścia z kłopotów, przecież „coś” się wydarzyło, kiedy tu byli ostatnim razem.

Edith Metlock patrzyła na wojskowy i naukowy sprzęt z mroku tylnego siedzenia samochodu. Jej serce tonęło w rozpacz. Czy to wszystko poszło na marne? Czy Jacob umarł na próżno? Ciemność stała się teraz jeszcze silniejsza, w dalszym ciągu nic nie mogło zniszczyć jej siły. Starła się z nim skontaktować, ale straciła chyba swoją moc jako medium, nic już więcej do niej nie przyszło, nie słyszała już żadnych głosów, nie miała żadnych wizji. Czowała, że cienka zasłona dzieląca ją od świata ducha zmieniła się w barierę nie do przebycia. Pewnie dlatego, że utraciła wiarę.

Peck zobaczył, że nadjeżdża ich samochód i wyszedł na środek ulicy, machając do nich ręką. Schylił się do okna, kiedy Jessica zahamowała.

- Znajdzie pani miejsce do parkowania kawałek dalej, panno Kulek - powiedział, następnie zwrócił się do Bishopa: - Czy moglibyście z panią Metlock pójść ze mną?

Wysiedli z samochodu, Jessica pojechała dalej, w poszukiwaniu wolnego miejsca.

- Jak ona się czuje? - spytał Peck, wskazując głową odjeżdżający pojazd.

- Zaczyna uważać, że śmierć jej ojca na nic się nie zdała. Tym ciężiej to przeżywa - odpowiedział Bishop.

Peck westchnął w duchu. Przypomniał sobie, jak parę tygodni temu znalazł ich na dachu wieżowca, przemarzniętych, kompletnie wyczerpanych. Świtało już, kiedy na czele kilku wozów policyjnych dotarł do wysokiego budynku. Tylko dzięki uporowi jednego z mieszkańców dowiedzieli się, gdzie jest Kulek. Lokator ten próbował przez całą noc połączyć się z policją, dzwoniąc co godzinę, ale ponieważ linię zalewała fala zgłoszeń, wiadomość przyjęto dopiero przed świtem. Peck i jego ludzie dotarli do piątego piętra, sprawdzając po drodze każde ciało, nie tracąc czasu na zajmowanie się rannymi, kiedy spotkali schodzącego Bishopa. Był oszołomiony i kompletnie wyczerpany, zarówno fizycznie, jak psychicznie.

Powiedział im, że obie kobiety są wciąż na dachu, a Jacob Kulek nie żyje. Dopiero, kiedy wszyscy znaleźli się bezpiecznie na dole, Peck dowiedział się, że Kulek rozmyślnie skoczył; Edith powiedziała, że śmierć Kuleka rozwiąże zagadkę Ciemności. Pani Metlock nie histeryzowała, mówiła cicho i spokojnie. Chyba udało jej się przekonać córkę Kuleka, chociaż widać było, że dziewczyna bardzo cierpi. Gdy Peck, obszedłszy budynek, znalazł zgruchotane ciało Kuleka, ogarnęła go wściekłość. Niewidomy mężczyzna został ciężko ranny, gdy rozbił się samochód policyjny, doznał obrażeń zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Na pewno majaczył, zanim skoczył, powinni byli to zauważyć. A teraz medium kreuje go na nowego mesjasza, który poniósł śmierć dla dobra ludzkości. Peck odwrócił się od zdeformowanego ciała, i nie próbując ukryć gniewu, podszedł do czekających na niego osób. Niewidomy siłą uderzenia został wyrzucony z samochodu, dowlókł się po schodach na dziesiąte piętro, ścigany przez tłum żywych trupów i szaleńców, a później spadł z dachu; cóż chwalebego może być w takiej śmierci? Nawet Bishop uwierzył w zwariowane zapewnienia medium. Ale upłynęły już trzy tygodnie i nie zdarzyło się nic, co zmniejszyłoby siłę Ciemności. Okrutnie się pomylili i Peck może im tylko współczuć.

- Zabiorę was na miejsce - powiedział do Bishopa i Edith - osobisty sekretarz ministra chciał się z wami bezzwłocznie zobaczyć.

Poszli za inspektorem, uważnie przechodząc przez grube kable elektryczne i omijając techników w białych kombinezonach, którzy dokonywali ostatnich poprawek w aparaturze. Zbliżał się zmrok i zapalono już wiele mniejszych świateł. Bishop spojrział z niedowierzaniem na Pecka, gdy zobaczył przygotowany do akcji teren. W miejscu, gdzie kiedyś było Beechwood, wykopano olbrzymi dół, w którym umieszczono cztery gigantyczne prostokątne urządzenia świetlne; ich pleksiglasowe powierzchnie skierowane były w niebo. Podobne, ale znacznie mniejsze urządzenia rozstawiono wokół dołu. Dalej, nieco z tyłu, na wyrównanym terenie, na którym był kiedyś dom sąsiadujący z Beechwood, stał zbudowany ze stalowych elementów barak; przez całą jego długość ciągnęło się zaciemnione okno, wychodzące na miejsce akcji. Po przeciwnej stronie znajdował się generator, zasilający całą aparaturę.

- Tym razem wolą nie ryzykować - wyjaśnił Peck w drodze do baraku. - Mają generatory, światła i tyle straży, że mogą pokonać całą armię. Nawiasem mówiąc, elektrownie są też pilnie strzeżone. Nie ma możliwości, żeby ktoś powtórzył wyczyn tego szaleńca sprzed trzech tygodni. Trzymał się kilka godzin, zanim go dopadli.

Doszli właśnie do przysadzistego budynku o metalowych ścianach, z którego wyłonił się Sicklemore, a za nim mężczyzna w okularach na nosie i w podkoszulku; Bishop od razu rozpoznał w nim głównego doradcę rządu do spraw naukowych - to przecież on na

konferencji w Birmingham odrzucił możliwość powiązania ostatnich tragicznych wydarzeń ze zjawiskami paranormalnymi.

- Pan Bishop, pani, aa... Metlock - szybko przypomniał sobie Sicklemore. - Mam nadzieję, że obecność państwa przyniesie nam dzisiaj więcej szczęścia.

- Nie bardzo rozumiem dlaczego - odpowiedział szorstko Bishop.

Sekretarz przyjrzał mu się uważnie.

- Ani ja, panie Bishop, ale tak pan poprzednio uważał. Pamięta pan profesora Marinkera? Uczony z niechęcią skinął im głową.

- Może przedstawi pan szczegóły dzisiejszej operacji, Marinker? - zaproponował Sicklemore, od siebie dając do zrozumienia, że nie ma już zamiaru dłużej znosić drażliwości tych, jak to określił naukowiec „cholernych czubków”.

- Wasze zadanie jest proste - zaczął gburowatym tonem Marinker - róbcie to samo co trzy tygodnie temu. Osobiście nie rozumiem, dlaczego Ciemność miałyby powrócić tylko dlatego, że wy tu jesteście. To nie ma najmniejszego sensu, ale taką podjęto decyzję. - Spojrzał znacząco na Sicklemore'a. - Mimo że Ciemność wydaje się być czymś urojonym, udało nam się wykryć obszary zwiększonej gęstości w jej punkcie centralnym, coś w rodzaju jądra. Uważamy, że substancje chemiczne, które oddziałują na inne wybrane substancje, obecne w układzie limbicznym mózgu, są najsilniejsze w obrębie tego ośrodka. Nasze intensywnie przeprowadzane testy na żywych ofiarach wykazały niezbitcie, że zakłócenia występują w tym właśnie obszarze mózgu. Dalsze testy ujawniły, że nawet niewielkie promieniowanie rozprasza te substancje. Niestety promieniowanie, nawet w małych dawkach, uszkadza komórki mózgu do tego stopnia, że ofiara nie może tego przeżyć.

Bishop potrząsnął głową, uśmiechając się ponuro.

- Chce pan powiedzieć, że te eksperymenty zabijają ludzi.

- Nie mamy wyboru, musimy być brutalni w naszych testach. Ci ludzie i tak nie żyliby długo - wtrącił pospiesznie Sicklemore.

Marinker, bez słowa komentarza, mówił dalej:

- To tłumaczy, dlaczego Ciemność działa tylko w nocy, dlaczego promienie słoneczne powodują jej znikanie. Spychają ją do ziemi, jeśli pan woli.

- Powiedział pan, że jest to substancja chemiczna. Jak mogłaby reagować w ten sposób, jeśli nie jest żywym organizmem? Lub czymś takim?

- Posługuję się tą terminologią dość dowolnie, panie Bishop, tak aby była zrozumiała dla laika. Pewne substancje chemiczne reagują negatywnie na przeciwne właściwości. Mamy już pewność, że to promienie ultrafioletowe są niebezpieczne dla tej substancji chemicznej -

potwierdzają to testy na ofiarach. Poddani działaniu słabego nawet światła ultrafioletowego, natychmiast próbowali się ukryć, zasłonić oczy. Widzieliście nasze urządzenia świetlne, ustawione w wykopie i wokół niego. Na nieszczęście fale ultrafioletowe szybko zanikają, ale te maszyny zostały specjalnie przez nas skonstruowane i posiadają ogromną moc. Dzięki nim cały teren będzie całkowicie nasycony ultrafioletem. Poza tym na helikopterach zamontowano podobne, oczywiście mniejsze światła, które zostaną skierowane na ziemię. Grawitacja wydłuży długość fal, więc helikoptery mogą latać na znacznej wysokości i będą bezpieczne. Oczywiście, promienie gamma lub promienie rentgenowskie byłyby bardziej skuteczne, ale stanowiłyby ogromne zagrożenie dla osób przebywających w najbliższym otoczeniu.

- Lasery?

- Nie na taki teren. Przenikną, ale nie nasycą.

- Ale zbyt duże napromieniowanie ultrafioletem jest dla nas niebezpieczne.

- Wy będziecie zabezpieczeni, a my wejdziemy do baraku. Ci na zewnątrz założą rękawice, kaptury, i staną za specjalnymi tarczami. Ich codzienne ubrania będą stanowiły dodatkową ochronę.

- A jak my będziemy zabezpieczeni?

- Włożycie specjalne kombinezony i przyciemnione osłony.

- A jeśli nic się nie wydarzy? Jeśli nie przyciągniemy Ciemności?

- Będę szczery, Bishop. Wcale się tego po was nie spodziewam. Uważam, że to, co zdarzyło się trzy tygodnie temu, było dziełem przypadku. Fakt, że to miejsce każdej nocy przyciąga ofiary, wskazuje niezbicie, iż znajduje się tu ogromne źródło energii; nie mamy pojęcia, czym jest to źródło, nie udało się nam go także zlokalizować. Ale wiemy, że tu jest, mamy pewność, że to, co wszyscy nazywają Ciemnością, powróci do tego źródła. To tylko kwestia czasu.

- Którego nie mamy - warknął Sicklemore. - Sprawa wygląda następująco, panie Bishop: wasza obecność nie przeszkodzi w przeprowadzeniu operacji, może natomiast pomóc. Nie chcę pana urazić, ale argumenty przemawiające za występowaniem tu zjawisk metafizycznych są dla mnie nieprzekonywające. W tym jednak przypadku jestem gotów spróbować wszystkiego, co daje szansę powodzenia. Mam nawet zamiar - Sicklemore popatrzył na doradcę naukowego - odmówić parę modlitw, kiedy znajdę się już w tym baraku.

Marinker otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale rozmyślił się.

- No dobrze - mówił dalej Sicklemore - zmrok szybko już teraz zapada. Najwyższa pora, żebyśmy skończyli przygotowania.

Marinker zawołał i w drzwiach baraku pojawił się młody podekscytowany mężczyzna z plikiem papierów w rękach, w zębach ścisnął mocno pogrzyziony ołówek.

- Brinkley, postaraj się o dwa kombinezony - rozkazał Marinker. - Pełne wyposażenie. Będą narażeni na promieniowanie.

Brinkley zamachał papierami w powietrzu i wyjąwszy z ust ołówek, wskazał nim wewnątrz baraku.

- Ale ja... - chciał zaprotestować.

- Masz to zrobić!

Marinker odepchnął go i zniknął w drzwiach. Brinkley popatrzył za nim, następnie przyjrzał się swoim podopiecznym.

- Dobrze, zajmijcie się tym - powiedział Sicklemore. - Zostanie pan z nimi, Peck, żeby zobaczyć, czy dostali wszystko, czego potrzebują!

- Dobrze, sir.

- Zobaczymy się później.

Sicklemore oddalił się pospiesznie i wkrótce jego mała, chuda postać zniknęła w tłumie techników i żołnierzy.

- Poszedł zameldować się przełożonym - stwierdził Peck, zadowolony, że człowiek, przed którym on musi się płaszczyć, będzie się teraz musiał płaszczyć przed innymi. - W jednym z pobliskich domów zorganizowano mu specjalne biuro, z bezpośrednim połączeniem z ministrem spraw wewnętrznych. Nieszczęsny facet przez cały dzień gania tam co pół godziny.

- Eee... a zatem chodźmy poszukać odpowiednich kombinezonów - zaproponował Brinkley, chcąc jak najszybciej powrócić do swojej pracy. Prowadził ich przez plac w kierunku ulicy. - Domyślam się, że to pan Bishop i Edith Metlock - powiedział, zwolniwszy nieco kroku, aby pozostali mogli za nim nadążyć. - Słyszałem o tym, co wydarzyło się trzy tygodnie temu. Mam wrażenie, że zbyt pospiesznie to było zorganizowane.

Peck spojrzął na Bishopa i wznosił oczy ku górze.

- Ale - kontynuował żywo naukowiec - to już się dzisiaj nie powtórzy. Mogę przysiąc, że znaleźliśmy rozwiązanie. To wszystko jest naprawdę bardzo proste, ale zawsze na to wychodzi, gdy znajdzie się właściwe podejście.

Bishop, słuchając paplaniny Brinkleya, rozglądał się w poszukiwaniu Jessiki, aż spostrzegł ją, idącą ku nim chodnikiem. Pomachał do niej i Jessica przyspieszyła kroku.

- No, jesteśmy na miejscu.

Brinkley zatrzymał się obok dużej, szarej ciężarówki z odkrytym tyłem. W środku zobaczyli półki wypełnione białymi kombinezonami. Brinkley wszedł, sprawdził na półkach numerację. Wkrótce wrócił z odpowiednimi rozmiarami.

- Są dość luźne i bardzo lekkie, możecie je włożyć na normalne ubranie. Oddzielnie hełmy, na szczęście nie są ciężkie. No i w ten sposób światło będzie się od was po prostu odbijało.

Uśmiechnął się czarująco, następnie spojrzał na medium i niezadowolony zmarszczył brwi.

- A to kłopot, pani ma spódnicę. No, nic nie szkodzi, może się pani przebrać w jednym z okolicznych domów, wszystkie są puste.

Dołączyła do nich Jessica, i Peck zauważył, że stanęła bardzo blisko Bishopa, niemal opierając się o niego. Ucieszyło go to, wiedział, jak ciężkie przejścia mają za sobą oboje; może będą potrafili pocieszyć się nawzajem. Martwił się jednak o Edith; wydawała się zagubiona, niespokojna.

- Dobrze się pani czuje, pani Metlock? - spytał. - Trochę pani zbladła.

- Ja... ja nie wiem. Nie jestem pewna, czy będę mogła wam dzisiaj pomóc.

Wbiła wzrok w chodnik, unikając ich spojrzenia. Jessica podeszła do niej.

- Musisz spróbować, Edith - poprosiła łagodnie. - Ze względu na mojego ojca musisz spróbować.

Edith Metlock ze łzami w oczach popatrzyła na Jessikę.

- Ale go tam nie ma, Jessico. Nie rozumiesz? On odszedł, nie mogę do niego dotrzeć. Czuję pustkę. Brinkley był zakłopotany.

- Obawiam się, że nie mamy wiele czasu. Czy mogliby państwo włożyć te kombinezony? Mam mnóstwo roboty w sztabie operacyjnym, więc jeśli państwo wybaczą...?

- Niech pan idzie - rzucił Peck. - Przyprawdzą ich, kiedy będą gotowi.

Ponownie zwrócił się do medium. Jego głos brzmiał stanowczo.

- Wiem, że pani się boi, pani Metlock, ale oni proszą, żeby pani zrobiła to, co zawodowo robi pani od lat.

- To nie strach...

- Dobrze, może to kwestia wyczerpania. Wszyscy - jesteśmy cholernie zmęczeni. W ciągu ostatnich tygodni straciłem wielu wspaniałych ludzi, dwóch z nich zginęło w pani obronie, i nie chcę stracić ich więcej. Może to wszystko nie ma sensu, nie wiem, nie do mnie należy ocena, ale oni... - pokazał ręką plac - widzą w pani jedyną nadzieję. Ostatnio byłem świadkiem zdarzeń, które kiedyś wydawały mi się nieprawdopodobne, więc może i w tym coś

jest. Chodzi o to, że musimy spróbować wszystkiego, a wy oboje, pani i Bishop, jesteście właśnie tym wszystkim. Proszę nam zatem pomóc i włożyć ten śmieszny strój kosmonauty.

Jessica wzięła medium za rękę.

- Pomogę ci, Edith - powiedziała.

Edith Metlock spojrzała na Bishopa z błagalnym i pełnym bezradności wyrazem twarzy, ale on odwrócił głowę. - Idź z Jessiką, Edith - powiedział.

Obie kobiety odeszły, Jessica prowadziła medium pod rękę niczym starą zmęczoną życiem kobietę. Bishop z trudem wciągnął kombinezon, zdumiony, że mimo lichego wyglądu był taki mocny. Na plecach zwiślał mu hełm ze sztywną ciemną osłoną, który można było zakładać jak kaptur; osłonę zapinało się na dwie klamerki po bokach. Rękawy zakończone były obcisłymi rękawicami, ściągniętymi w nadgarstkach gumą, w ten sam sposób zabezpieczono stopy. Bishop zasunął suwak prawie do piersi i spojrzał na zasepionego Pecka.

- Bishop - zaczął inspektor, po czym umilkł niezdecydowany.

Bishop pytająco uniósł brwi. Peck spojrzał niespokojnie.

- Uważaj na siebie.

Usiedli obok siebie, przed nimi były olbrzymie, kwadratowe światła, martwe, lecz groźne. Dwie samotne, białe ubrane postacie najbardziej rzucały się w oczy wśród kolumn sprzętu technicznego, broni i ludzi. Bali się, ci wokół nich też się bali, napięcie stale rosło, porażając stopniowo ich wszystkich. Słońce schowało się już godzinę temu, ostatnie promienie przysłoniły ciemne chmury, które pojawiły się na horyzoncie. Teren oświetlały teraz tylko przyćmione światła. Ludzi, stojących wokół placu, osłaniały metalowe ekrany, mieli na sobie specjalne okulary ochronne, nadające im złowieszczy i obojętny wygląd; niektórzy byli wyposażeni w hełmy ochronne i rękawice. Stali i czekali, tak jak przez trzy poprzednie noce, ale czuli, że tym razem jest inaczej. Teraz każdy z nich spoglądał od czasu do czasu w niebo, zdejmując ciemne okulary, by długo przyglądać się ołowianym, skłębionym chmurom, zanim ponownie skierował swą uwagę na dwie postacie, siedzące przed głębokim wykopem. Każdego z nich przenikał dziwny wewnętrzny dreszcz, który przechodził z człowieka na człowieka, z umysłu na umysł, niczym infekcja przenoszona przez ich własne myśli. Nawet naukowcy i inżynierowie, siedzący wewnątrz metalowego baraku, otoczeni skonstruowaną przez siebie aparaturą, czuli się dziwnie niespokojni. Marinkerowi zaschło w gardle i miał wilgotne dłonie. Sicklemore przez cały czas chrząkał i postukiwał nogą. Brinkley bez przerwy mrugał oczami.

Na zewnątrz, za ekranem, Peck nerwowo pobrzękiwał monetami w kieszeni spodni, a stojąca obok niego Jessica zagryzała dolną wargę, na której jej zęby zostawiały głębokie

ślady. Mijały minuty, ucichły już wszystkie rozmowy; jeśli ktoś się odezwał, to tylko szeptem, nieco głośniejszym od szumu generatorów. Robiło się coraz chłodniej. Okulary potęgowały ciemność nocy.

Bishop z trudem mógł zebrać myśli. Próbował sobie przypomnieć - jak to już niegdyś czynił - dzień, kiedy przybył do Beechwood po raz pierwszy, okropny widok, który ujrzał. Wszystko było zamazane, mgliste i odległe jak sen, w którym niczego nie można wyraźnie uchwycić. Spojrzał na siedzącą obok Edith, lecz jej rysy za przyciemnioną osłoną były ledwo widoczne. Zobaczył tylko, że mocno ścisnęła złożone na kolanach ręce.

- Nie mogę myśleć, Edith. Nie wiem dlaczego, ale wszystko jest takie niewyraźne.

Przez chwilę się nie odzywała. Później odwróciła do niego głowę.

- Nawet nie próbuj, Chris. Niech nic nie mąci twojego umysłu. Jeżeli Ciemność jest tym, czym sądzimy, to sama znajdzie drogę. Nie musisz jej prowadzić.

- Czy ty... czy ty coś odczuwasz?

- Widzę twarz Jacoba, ale nie czuję jego obecności, nic nie czuję, Chris, tylko pustkę.

- Czy on naprawdę wierzył...? Medium odwróciło się.

- Nic więcej nie wiem. Ze wszystkich ludzi, których kiedykolwiek znałam, Jacob miał największą zdolność postrzegania; nawet większą niż Boris Pryszlak.

- Znałaś Pryszlaka?

Ciemna przysłona dodawała Edith tajemniczości.

- Kiedyś byłam jego kochanką.

Bishopowi odjęło mowę ze zdumienia. Dopiero po chwili wydusił z siebie:

- Jego kochanką? Nie rozumiem...

- To było dawno, tak dawno. Dwadzieścia lat temu, a może więcej. Tak dawno, że nie mogę uwierzyć, iż to się naprawdę stało. Czasami wydaje mi się, że znałam kobietę, która z nim spała, ale nie pamiętam jej twarzy ani imienia. Wiesz, Boris Pryszlak był zadziwiającym mężczyzną, nikkczemnym i przez to atrakcyjnym. Czy możesz zrozumieć, Chris, w jaki sposób nikkczemność może być atrakcyjna?

Bishop nie odpowiedział.

- Boris fascynował mnie. Na początku nie widziałam jego zepsucia, zdeprawowania, które nie było po prostu jego częścią - było jego istotą, nim samym. To on odkrył moją siłę jako medium, to on zachęcał mnie, abym rozwijała swoje umiejętności, myśląc, że będzie mógł mnie wykorzystać. W końcu Jacob wyrwał mnie spod wpływu Pryszlaka - uśmiechnęła się niemal tęsknie pod maską. - Jacob i ja nigdy nie byliśmy kochankami, do końca pozostał



wierny pamięci swojej żony. Ty zdajesz sobie sprawę, że w naszym świecie nikt nie umiera, tylko przechodzi w coś bardziej trwałego.

- Ale dlaczego Jacob nie powiedział mi o tym?

- Ponieważ go o to prosiłam. Chyba widzisz, że to było nieważne, nie miało nic wspólnego z tym, co się działo. Niemoralność Borisa Prysłaka była jak choroba zakaźna, naznaczała każdego, kto się z nim wiązał. Przez jakiś czas tarzałam się w występku, w którym on z upodobaniem się nurzał, i dopiero Jacob spróbował mi pomóc. Pewnie zobaczył, że byłam wykorzystywana, że stałam się ofiarą zła, a nie jego sprawczynią. Jacob kiedyś mi powiedział, że próbował odciągnąć także innych zwolenników Prysłaka, ale byli tak samo chorzy i opętani jak człowiek, którego idealizowali. Mówił, że ja byłam inna, sama chciałam odejść - uratować się, to prawda. Mimo to, Prysłak nienawidził Jacoba za to, że odebrał mu nawet jednego ucznia.

- Ale przecież zwrócił się do Jacoba o pomoc.

- Wtedy go potrzebował. Chciał połączyć swoją wyjątkową siłę umysłu z siłą Jacoba; takie połączenie byłoby groźne. Ale Jacob nie dał się wciągnąć w realizację planów takiego człowieka. Poza tym wiedział, że gdyby się z nim związał, to w końcu musiałby się mu podporządkować. Jacob gorzko żałował, że przed laty nie próbował zniweczyć planów Prysłaka, kiedy nie były jeszcze w pełni dojrzałe, ale był z gruntu uczciwym człowiekiem i nie zdawał sobie sprawy z ogromu zła, jakie niósł ze sobą Prysłak. Nawet ja tego nie widziałam, choć dzieliłam z nim łóżko prawie przez rok.

Bishop głęboko wciągnął powietrze. Zwierzenia Edith wprawiły go w zakłopotanie, ale nie zaszokowały. Zbyt wiele przeżył ostatnio, aby odkrycie tej tajemnicy mogło nim wstrząsnąć.

- Czy dlatego Jacob wciągnął cię w to wszystko? Dlatego, że miałaś jakieś związki z Prysłakiem?

- Tak. Sądził, że będzie mi łatwiej dotrzeć do Prysłaka. Znałam trochę jego mentalność, jego zamiary. Nigdy przedtem nie byłam w Beechwood, ale gdy tylko tam weszłam, poczułam obecność Borisa. Tak jak bym zagłębiała się w jego mózgu, każdy pokój to inna ciemna komórka. Eksperymentował z moimi zdolnościami telepatycznymi, kiedy... byliśmy razem... używał mnie jako odbiorcę. Zawsze udawało mu się przekazać mi swoje plugawe myśli. To był dla niego nowy rodzaj erotyzmu, fantazja wyimaginowanych perwersyjnych aktów seksualnych; dzięki sile jego oddziaływania mieliśmy wrażenie, że robimy to naprawdę.

Bishop ujrzał, że jej białą odzianą postać przebiegł dreszcz.

- Te myśli są wciąż we mnie, tkwią gdzieś głęboko w moim mózgu. Tylko Jacob mógł pomóc mi je zwalczyć, a teraz on odszedł. Dlatego się boję, Chris.

- Nie rozumiem.

- Jacob dawał mi siłę. Kiedy po raz pierwszy zebraliśmy się w Beechwood i ty miałeś wizje, to Pryszlak kontaktował się przeze mnie, ale Jacob pomagał mi przeciwstawić się mu. Nie dopuścił, aby Boris zupełnie zdominował mój umysł. Nawet kiedy znaleźliście mnie w transie w moim domu, Jacob, mimo że leżał ranny w szpitalu, siłą woli powstrzymał Pryszłaka przed zawładnięciem mną. Jacob był moim opiekunem, barierą pomiędzy mną i potęgą pasożytniczej duszy Pryszłaka.

- Ale Ciemność można powstrzymać, Edith. Reagują na nią tylko ci, którzy mają niezrównoważone umysły.

- Wszyscy je mamy, Chris. Wszyscy odczuwamy nienawiść, agresję, zazdrość. Gdy Ciemność stanie się silniejsza, gdy Pryszlak zbierze swą duchową armię, wtedy odkryje zło w nas wszystkich i wykorzysta je, aby nas zniszczyć! Ci, których nie pokona - a będzie ich niewielu - zostaną zabici przez jeszcze żyjące legiony jej podległych. Dla nikogo z nas nie będzie ucieczki!

- Pod warunkiem że Ciemność jest tym, o czym mówisz. Naukowcy są innego zdania: uważają, że przezwyciężą ją swoją aparaturą.

- Po tym wszystkim, co widziałeś, po tym wszystkim, co przeszedłeś, możesz uwierzyć, że Ciemność jest tylko reakcją chemiczną?

Bishop odpowiedział stanowczo:

- Ja już nic nie wiem. Już prawie uwierzyłem w to, co ty i Jacob mówiliście, ale teraz... - popatrzył przed siebie na ogromne lampy. - Teraz mam nadzieję, że oboje się myliliście.

Edith skuliła się.

- Może i tak, Chris - powiedziała wolno. - Mam nadzieję, że tak.

- Bishop?

Okrzyk dobiegał z maleńkiego odbiorniczka radiowego przymocowanego do ucha Bishopa. Głos brzmiał metalicznie, ale Bishop przypuszczał, że to mówi Marinker z punktu kontrolnego w baraku.

- Nasze helikoptery są w powietrzu. Nic się wam nie stało?

Pytanie było cyniczne, ale Bishop wyczuł ukryty w nim niepokój.

- Do tej pory nic - rzucił do małego mikrofonu, przypiętego do kombinezonu.

W odbiorniku wystąpiły niewielkie zakłócenia i następne słowa naukowca były prawie niezrozumiałe.

- Przepraszam, nie usłyszałem? - powiedział Bishop.

- Mówiłem, że właśnie dostaliśmy meldunek... - większe zakłócenia - ...kłopoty w pobliżu. Nie ma się czym martwić... - zakłócenia - ...już się tym zajęła. Więcej ofiar się włóczy, to wszystko.

Odezwał się inny głos i Bishop poznał, że to Sicklemore.

- Da pan nam znać, kiedy pan poczuje, że coś, hmm... dziwnego się dzieje? I znowu Marinker:

- Lampy z ultrafioletem będą włączane stopniowo, Bishop, nie musi się pan obawiać gwałtownego blasku. Proszę nas tylko ostrzec... - zakłócenia - Dobrze nas pani słyszy, pani Metlock? Mamy jakieś zakłócenia.

Edith nie odpowiedziała i Bishop z niepokojem odwrócił się do niej. Siedziała wyprostowana na krześle, z głową zwróconą przed siebie.

- Pani Metlock? - rozległ się znów metaliczny głos.

- Cicho bądź, Marinker - ostro powiedział Bishop i po chwili łagodnie: - Edith? Czujesz coś?

Odezwała się słabym głosem, ciągle patrząc przed siebie.

- Jest tutaj, Chris... to jest... o mój Boże! - Jej głos zadrżał. - Nie czujesz? To narasta. Otacza nas.

Bishop oderwał od niej oczy i szybko rozejrzał się po terenie. Nic nie czuł, a ciemne okulary, przez które patrzył, zamazywały widok. Szybko odpiął i podniósł przesłonę.

Żołnierze i technicy, rozmieszczeni wokół placu, popatrzyli na siebie niepewnie, wyczuwając instynktownie, że niedługo coś się wydarzy. Jessica czuła ogarniającą ją słabość, słabość, której źródłem był strach. Przeczucie podobne do intuicji, lecz silniejsze, bardziej zdecydowane, powiedziało jej, że zagrożenie jest nawet większe niż poprzednio, że wszyscy są bardziej podatni na Ciemność, a ich opór kruchy. Chwyciła się Pecka w obawie, że za chwilę osunie się na ziemię. Odwrócił się zdziwiony, mimo nocnego chłodu czoło pokrywały mu krople potu. Podtrzymał ją, a następnie znów spojrzął na dwie postacie, siedzące w pobliżu wykopu. Bishop z odsuniętą przesłoną rozglądał się dookoła, jakby czegoś szukał.

W baraku, w centrum dowodzenia akcją, Marinker mówił podnieconym głosem do radiotelegrafisty:

- Nie możesz usunąć tych cholernych trzasków? Nie słyszę, co oni tam mówią.

- Próbuje, sir, ale niewiele mogę zrobić. Boję się, że to są zakłócenia atmosferyczne, mamy kłopoty z nawiązaniem łączności z helikopterami.

Marinker unikał wzroku Sicklemore'a, aby nie zdradzić trawiącego go od środka niepokoju. Przeklął w duchu własną głupotę, mając nadzieję, że nikt nie zauważył drżenia ręki, którą ponownie nacisnął przycisk.

- Bishop, coś nie w porządku? Słyszysz mnie?

Odpowiedział mu jedynie nieprzerwany trzask.

Bishop wyciągnął z ucha słuchawkę, nie mógł już dłużej wytrzymać ciągłych trzasków. Zmrużył oczy i dokładnie badał teren. Czy ciemność spowodowała wyłącznie zapadający zmrok, który rozjaśniały tylko nieliczne światła? Czy też powietrze było nasycone czymś jeszcze? Zamrugął oczami, ale w dalszym ciągu nie mógł sprecyzować, na czym polega różnica w oświetleniu. Zaczął się zastanawiać, czy wywołane napięciem halucynacje powstały w umysłach wszystkich obecnych tu osób, czy nie jest to rodzaj masowej hysterii, zrodzonej z lęku?

- Edith, nic nie widzę.

- Jest tutaj, Chris, jest tutaj.

Kątem oka Bishop dostrzegł jakiś wir i szybko odwrócił głowę, by zobaczyć, co to jest. Nie było niczego. Następny ruch, tym razem z prawej strony. I znów nic...

Edith wciskała się coraz mocniej w oparcie krzesła, kurczowo trzymając się siedzenia. Oddychała ciężko, z trudem.

Bishop czuł zimno na odsłoniętej twarzy, szczypanie zamykających się porów i ściągającej się skóry. Chłód przeniknął całe jego ciało. Znów coś się poruszyło, tym razem dojrzał jakiś cień. Mignął mu przed oczami jak przezroczysty welon, znikając, gdy usiłował skupić na nim wzrok. Towarzyszył mu dźwięk, przypominający nagły poryw wiatru wokół domu. Nagle umilkł. Cisza. Światła przygasły.

Bishop odezwał się w nadziei, że mikrofon przekaże jego słowa.

- Zaczęło się - powiedział tylko.

Ale w centrum dowodzenia słychać było wyłącznie irytujące trzaski. Wszyscy patrzyli przez ogromne okno na dwie białe postacie, dopóki Marinker nie powiedział:

- Sprawdźcie te światła, wydaje mi się, że siadają.

Technik przekreślił przełączniki, po chwili światła rozbłyły. Ale powoli, prawie niedostrzeżenie, znów zaczęły przygaszać.

Edith jęknęła cicho i Bishop już miał wyciągnąć do niej rękę, kiedy zastygł w bezruchu. Coś go dotknęło. Coś przesunęło ręką po jego ciele.

Spojrzał na nogi i zobaczył, że pomarszczone fałdy białego kombinezonu wygładzają się, wyrównują. Ale materiał sam się poruszał, nic go nie dotykało. Biel kombinezonu w słabym, przyćmionym świetle przybrała ciemnoszary odcień. Zimno, które przeniknęło ciało Bishopa, zaczęło wkradać się do jego mózgu, powodujący drętwienie mróz szukał dróg, którymi mógłby przekradać się dalej, a znajomy przyptyw strachu sprzyjał jego postępowi. Bishop próbował coś powiedzieć, ostrzec innych przed tym, co się dzieje, ale nie mógł wydobyć głosu z zaciśniętego gardła. Zstępowała ciemność, niewyraźna czerń, której moc gasiła wszystkie światła.

Bishop chciał wstać, ale przytłaczał go ogromny ciężar, ta sama zimna ręka, która dotknęła jego ciała, rozrosła się do nieprawdopodobnych rozmiarów i teraz więziła go w uścisku. Zdawał sobie sprawę, że to tylko omamy oszołomionego umysłu, każące mu wierzyć w to, co niemożliwe, ale mimo to czuł ucisk, tak jakby był prawdziwy. Raz jeszcze spróbował wyciągnąć ręce do Edith, lecz były przyciśnięte do boków, zbyt ciężkie, aby je unieść. Zobaczył, jak medium zaczyna osuwać się z krzesła, a jej jęk przeszedł w żałosne zawodzenie. Wtedy zaczęła pojawiać się postać.

Wewnątrz baraku Sicklemore pospiesznie wydawał dyspozycje Marinkerowi, i tylko lata służby w administracji państwowej powstrzymywały go przed podniesieniem głosu.

- Na miłość boską, człowieku, włącz te urządzenia. Nie widzisz, co „się dzieje na zewnątrz?

Marinker stracił całą pewność siebie, spoglądał to na palące się lampki kontrolne, to na ledwo widoczne postacie na placu.

- Bishop nie ma przesłony. Nie mogę ryzykować włączenia aparatury.

- Nie bądź głupi, człowieku! Załóż maskę, gdy tylko uruchomimy lampy z ultrafioletem. Zrób to natychmiast, to rozkaz!

Postacie były tylko ciemnymi, zwiewnymi zjawami, bez określonego kształtu. Podpływały bliżej, skupiając się wokół dwojga ludzi na środku placu. Czarne zjawy wypływały z otaczającej ich czerni jakby były jej częścią. Zbliżyły się, majacząc nad Bishopem i Edith, mężczyzna przyciśnięty był do krzesła przez niewidzialną siłę, kobieta kulila się na ziemi. Bishop z trudem chwycił powietrze, czując się tak, jakby tonął w gęstym, szlamowatym błocie. Jego usta i nos wypełniała cuchnąca maź. Powoli podniósł ręce, napinając ścięgna, jego zaciśnięte pięści aż drżały. Chciał chwycić niewidzialny przedmiot, który uciskał mu piersi, ale nic nie znalazł, żadnego kształtu, żadnej materii. Ale wciąż czuł ucisk.

Żołnierze wokół placu, na drodze i na ulicach, trzymali gotowe do strzału karabiny i pistolety maszynowe, wiedząc, że skończyła się beczynność i ostatecznie pojawiło się niebezpieczeństwo. Policjanci byli całkowicie uzbrojeni i to zwiększało ich poczucie bezpieczeństwa. Z oddali dochodziły krzyki, sporadyczne strzały; gdzieś znowu coś się zaczęło. Jessica próbowała ominąć metalową tarczę i dostać się do Bishopa i Edith, ale Peck złapał ją za rękę i zmusił do cofnięcia się.

- Zostaw ich! - powiedział szorstko. - Nie możesz im pomóc! Spójrz tylko!

Jessica obrzuciła wzrokiem plac i zobaczyła nagłą jasność, wydobywającą się z wykopu. Zapalono ultrafioletowe lampy i ich blask powoli się rozszerzał. Zaczęły mrugać inne światła, z każdą sekundą świecąc coraz mocniej. W górze słychać było wirujące helikoptery i wkrótce niebo rozjarzyło się białym światłem.

- Chris nie ma przesłony! - krzyknęła Jessica i znów spróbowała się uwolnić.

- Zaraz ją założy, nie martw się. Uspokój się i patrz! Jessica przestała się szamotać i Peck ją puścił.

- Grzeczna dziewczynka. Nie wychodź tylko poza ekran.

Bishopa oślepiła nagła jasność. Zamknął oczy i próbował opuścić przesłonę. Z trudem zbliżał do niej dłonie, oddychał ciężko, czarny szlam zalewał mu gardło. Nagle zniknął przygniatający go ciężar; mógł swobodnie poruszać rękami. Opuścił przesłonę i otworzył oczy. Blask był w dalszym ciągu silny, ale chlorek srebrowy w szkłe fotochromowym przesłony skutecznie tłumił jasność, umożliwiając mu rozejrzenie się dookoła. Edith, skulona na ziemi, patrzyła w stronę wykopu, jedną ręką przytrzymując się krzesła, drugą - mimo opuszczonej przesłony, przysłaniała oczy. Bishopowi zdawało się, że widzi ciemne postacie, pierzchające pod wpływem światła, obrazy, które zniknęły, jakby zdławione przez jasność.

Światło było coraz silniejsze, coraz bardziej niebieskie, zabarwiało się na czerwono wraz ze wzrostem napięcia. Wkrótce zalało cały plac oślepiającym blaskiem; włączono inne światła i wszystkie cienie zniknęły. Blask stapał się ze światłami padającymi z góry, helikoptery utrzymywały pozycje, uważając, by nie naruszyć swoich korytarzy powietrznych.

Cały teren skąpany był w niebiesko-fioletowym świetle, w którym ginął każdy cień, nawet metalowe ekrany podświetlone były z tyłu słabszym światłem, by nie mogła się tam ukryć ciemność.

Bishop poczuł, jak jego umysł oczyszcza się i opuszcza go strach.

- Udało im się - krzyknął do Edith. - Odeszła, zniszczyli ją!

Naukowcy przez cały czas mieli rację: Ciemność była materią, posiadała fizyczne właściwości. Można ją było zniszczyć jak każdą inną substancję chemiczną, gaz czy ciało

stałe. Jacob, biedny Jacob, nie zdawał sobie sprawy z tego, co to jest; za daleko zaszedł w badaniach zjawisk paranormalnych, żeby zrozumieć, że Ciemność była tylko nie wyjaśnionym zjawiskiem fizycznym, a nie duchowym istnieniem. Ich umysły przeceniały rangę tego zjawiska, każąc im widzieć i wyobrażać sobie rzeczy nie istniejące. Jemu, Bishopowi, kiedy miał wizje w Beechwood, przekazała telepatycznie swe myśli Edith, która znała Prysłaka, była związana z jego sektą, z jej członkami, znała ich żądę, ich zdegenerowanie; Bishop stał się odbiorcą jej myśli, ponieważ to on odkrył martwe i okaleczone ciała. Wszystko inne było szaleństwem, narzuconym przez coś, co nazwano Ciemnością, i ziemskim złem tych, którzy byli uczniami Prysłaka, gdy jeszcze żył. Ta wiedza przytłaczała go, nie tylko dlatego, że wyjaśniała straszne, katastroficzne wydarzenia” które ostatnio miały miejsce, ale i dlatego, że stanowiła potwierdzenie tego, w co wierzył od lat.

Bishop podszedł do Edith i wyciągnął ręce, aby jej pomóc. Pochylał się właśnie, próbując ją podnieść, kiedy na jej niebieskawym kombinezonie pojawił się cień, niczym ciemna plama na świeżym śniegu.

Odsunął się od niej, opadł na kolana i tak pozostał, maska skrywała jego przerażoną twarz. Edith wstawała, patrząc na cień rozprzestrzeniający się po jej ciele, podniosła się, stanęła w rozkroku i wyciągnęła ręce. Uniosła głowę i krzyknęła w niebo.

Niebieskofioletowy blask stopniowo zniknął pod wpływem szybko zapadającej ciemności.

Postacie powróciły wraz z cieniami, jak wstęgi czarnego dymu zwijały się, skręcały ponad znajdującymi się w dole urządzeniami oświetleniowymi, jakby urągając ich sile. Jasność cofała się do źródła, jak popychana przez niewidzialną, opadającą ścianę. Generatory z jednej strony placu zaczęły wydawać jękliwy dźwięk, który to wzrastał, to cichł. Technicy odskoczyli od nich, kiedy zaczęły iskrzyć. Stopniowo wszystkie światła - i to zarówno reflektory, jak i szperacze czy ręczne latarki - zaczęły przygasać, trzaskały żarówki, rozpryskiwało się szkło. Urządzenia pomiarowe w centrum dowodzenia zaczęły szaleć, igły wskazówek tańczyły niczym metronomy, przełączniki same się wyłączały, jakby obsługiwały je niewidoczne ręce, z nadajników i odbiorników dochodziło buczenie. W końcu zgasły wszystkie światła i barak pogrążył się w ciemności.

W górze jeden z helikopterów gwałtownie oddalał się od zamieszania na dole; jego szeroki ultrafioletowy snop światła zgasł z sykiem, podobnie jak światła innych helikopterów. Pilot poczuł, że śmigłowiec pikuje gwałtownie i starał się za wszelką cenę utrzymać wysokość, lecz nie panował już nad maszyną. Uderzył w helikopter, który wznosząc się do

góry, przeciął przez nieuwagę jego korytarz powietrzny. Rozległ się ogłuszający huk eksplozji, w górę uniosła się oślepiająca, ognista kula. Splątane maszyny spadały na ziemię, ciągnąc za sobą czerwone płomienie przypominające ogon komety. Siła wybuchu obróciła oba helikoptery, rzucając je na zatłoczoną drogę. Krzyk ginących żołnierzy zagłuszyła druga eksplozja, kiedy maszyny uderzyły o ziemię. Rozpalone kawałki metalu i płonąca benzyna trysnęły na niczym nie osłoniętych ludzi.

Trzeci pilot miał więcej szczęścia, gdyż udało mu się wyprowadzić maszynę nad puste ulice i dopiero tam stracił nad nią panowanie. Helikopter roztrzaskał się o ziemię, ale ani pilot, ani jego towarzysz nie odnieśli ciężkich obrażeń. Wyskakując ze zniszczonej maszyny, nie zauważyli nawet zbliżających się do nich w ciemnościach ludzi.

Bishop zdjął maskę z twarzy; plac oświetlały teraz słabe światła z wykopu i czerwona poświata pożaru z odległej drogi. Po policzkach spływały mu łzy wściekłości, bezradności; na nowo opanował go strach. Wokół wybuchały mniejsze pożary, wywoływane przez płonące części rozbitych w górze helikopterów. Ponieważ maszyny spadały z dużej wysokości, doszło do znacznego rozprzestrzenienia się ognia.

Edith Metlock była ledwie widoczna w słabym świetle dochodzącym z wykopu. Wciąż stała z wyciągniętymi rękami, a z jej ust ciągle wydobywały się krzyki. Bishop próbował się podnieść, ale znów poczuł przygniatający ciężar, przykuwający go do ziemi, miażdżący mu ręce i nogi. Czarne zjawy krążyły wokół niego, wylaniając się z ciemności; zbliżając się nabierały wyraźnych kształtów. Coś go uderzyło i upadł na ziemię, powalony bardziej przerażeniem niż ciosem. Uniósł się na łokciu, ale nic wokół siebie nie zauważył. Poczul na czole kolejne uderzenie; skóra piekła go tak, jakby ktoś tarł ją lodem. Pojawił się przed nim mężczyzna. To był Pryszlak. Złość na jego twarzy widać było nawet w panujących ciemnościach. Wysunął głowę, zionąc cuchnącym oddechem, pokazując czarne zęby w uśmiechu, na widok którego Bishop krzyknął i próbował zasłonić oczy. Z Pryszlakiem byli inni - znajome twarze, zniekształcone własnym zepsuciem. Mężczyzna, który próbował go zastrzelić. Brodaty mężczyzna z wizji w Beechwood. Wysoka kobieta z płonącymi triumfalną nienawiścią oczami. I jej niska towarzyszka szyderczo chichocząca. Innych nie rozpoznawał. Jedną z tych twarzy przypominała Lynn, lecz była tak zniekształcona, że nie miał pewności. Podchodzili do niego, dotykając go, poszturchując. Ale jego wzrok przenikał przez nich; widział Edith, słyszał jej krzyki, widział przyćmione światło z wykopu.

Nagle wybuchły znajdujące się w dole urządzenia świetlne, w górę poleciało szkło, wystrzeliły iskry i płomienie; maszyny zniszczyło coś, co nie znało ograniczeń, coś, co rosło w siłę. W powietrzu zawirowało szkło - skorupy błyskały czerwonym światłem, obracając się,



odbijając odległy pożar - ogromne płyty specjalnie wzmocnione dla ochrony znajdujących się pod nimi delikatnych, lecz potężnych włókien żarzenia. Bishop widział, jak jeden z takich kawałów leci w kierunku Edith, jego błyszcząca powierzchnia wielkości drzwi przecina jej ciało na pół i zamknął oczy, zanim jej nogi, które nie podpierały już ciała, z wolna się przewróciły.

Ręce zacisnęły mu się na gardle i zdawało się, że każda z postaci ma udział w tym uścisku, ich twarze płynęły przed nim, masa, która była umysłem ich wszystkich, wciągała jego umysł, nie sondując już, nie szukając, lecz wyciągając to, czego potrzebowała, by dalej istnieć i szerzyć zło. Jeszcze nim zapanowała całkowita ciemność, zobaczył tłumy wdzierające się na plac: skrzeczących szaleńców, którzy atakowali każdego, kto nie był jednym z nich. Ku niemu biegła Jessica, ledwo widoczna w mroku. Opadła zasłona i nic już nie było widać. Zamknął oczy przed Ciemnością.

A potem je otworzył, zastanawiając się, skąd pochodzi oślepiające białe światło, które było znikąd i omiatało teren, na którym kiedyś było Beechwood; oślepiającymi promieniami oczyszczało każde wyżłobienie, wspaniała, intensywna jasność wyzwalała z cienia każdą cegłę, każdy kamień, wypędzając Ciemność.

Światło przeszło jego oczy, mimo że zamknął je raz jeszcze.

...Senne koszmary opuściły mnie, czas zatarł grozę tamtych straszliwych dni. Nawet Jessica nie boi się już nocy. Jesteśmy teraz razem, jeszcze nie jako mąż i żona, ale i na to przyjdzie czas. Musimy najpierw się przyzwycząić do naszego nowego życia, formalna ceremonia nastąpi później.

Po dwóch latach wciąż pamiętamy tę noc w Beechwood, tak jakby to było wczoraj. O tych wydarzeniach wiele dyskutowano, analizowano je i opisywano, ale nikomu nie udało się wyjaśnić zjawiska, którego byliśmy świadkami. Kościół oczywiście próbuje; naukowcy gotowi są nas wysłuchać i rozważyć to, co mamy im do powiedzenia, gdyż okazało się, że to oni się mylili, i to oni uświadomili sobie, że zło jest potęgą ducha, a nie biologicznym uszkodzeniem mózgu. Jacob Kulek byłby zadowolony - jest zadowolony - że została nawiązana prawdziwa, pozbawiona dawnej niechęci, współpraca między naukowcami i parapsychologami, przymierze otwierające nowe możliwości naszego samopoznania. Właśnie do tego dążył Jacob przez całe życie, ale dopiero jego śmierć umożliwiła realizację tych zamierzeń. Jessica często kontaktuje się z nim i ja powoli uczę się tego. Edith pomaga mi, jest moim przewodnikiem.

Rozmawiała z moją córką Lucy i obiecała, że wkrótce mi ją sprowadzi. Mówi, że Lucy jest bardzo szczęśliwa. Edith wraz ze swą śmiercią znalazła spokój.

Ciemność nigdy już nie powróciła, ale Jacob ostrzegł nas, że nie została do końca pokonana. Mówi, że dopóty będzie istniała, dopóki zło nie opuści ludzkich umysłów. Przypuszczam, że pewnego dnia Ciemność znowu się pojawi.

Teraz wielu z nas zdaje sobie z tego sprawę. Ci wszyscy, którzy byli w Beechwood i widzieli, jak tworzyła się i narastała Światłość, aż jej blask zniszczył wszystkie cienie, zdobyli rzadką zdolność pozazmysłowego postrzegania. Cierpią tylko ci, którzy nie potrafią poradzić sobie z tą nową siłą, która na nich spłynęła. Ich umysły odwróciły się bowiem od niej, zamknęły w sobie, tak że nie mogą już funkcjonować jak inni ludzie. Naukowiec Marinker jest jednym z nich. Ale zaopiekowano się nimi, nie dzielą losu ofiar Ciemności, ludzi, którzy są wypaleni od środka i samotni, a ich ciała stały się anemicznymi powłokami, których medycyna nie może już uratować od ruiny i śmierci. Niektórzy z obecnych na placu tej nocy mówią, że Światłość przypominała kulę ognia, nowe słońce, wschodzące z ziemi, inni twierdzą, że nie miała żadnego kształtu, żadnej widocznej postaci, była natomiast rozrzedzonym gazem, uchodzącym w nagłych błyskach, wypełniających powietrze własnymi wyładowaniami. Paru utrzymuje, że Światłość, nasilając się, przybierała kształt krzyża, który zniknął, gdy blask stał się zbyt intensywny. Ja pamiętam, że widziałem tylko jasność, bez kształtu, bez struktury, tylko wspaniałe światło zalewające mój umysł.

Słyszeliśmy doniesienia, że Światłość widziano później w różnych częściach świata, tam gdzie panuje przemoc. Jessica twierdzi, że Jacob nie chce z nią rozmawiać na ten temat. Pytała go również o to, jaki jest udział Boga w tym wszystkim, ale także na to pytanie Jacob nie chciał odpowiedzieć. Wyjaśnił jej, że nasze postrzeganie jest jeszcze zbyt słabe, abyśmy mogli to zrozumieć, nawet umierając uczymy się jeszcze. Prawda nie jest nam w pełni dana.

Tej nocy, na dachu, Jacob wiedział, że umiera z wewnętrznych obrażeń, ale wiedział także, iż musi zachować sprawność umysłu, dopóki śmierć nie zdławi w nim życia. Ciemność, ze swoją narastającą siłą, chciała wypełnić go, gdy umierał, opanować jego myśli, zniszczyć wolę ducha; szybka śmierć uchroniła go przed tym. Te czarne, niematerialne istoty wiedziały, że kiedy umiera ciało, istniejąca w każdym wola, zasadnicza treść każdej jednostki, zanika także, ale tylko po to, aby się odrodzić, ponownie obudzić, kiedy pękną cienkie nici, którymi jest związana z ziemską powłoką. Ta metamorfoza w naszym pojęciu trwa trzy dni. Ale Jacob nie pozwolił, aby powolna śmierć zniszczyła jego wolę; panował nad swoją duchową siłą w ostatnich sekundach życia. Świadom swego odrodzenia, odgrywał w nim czynną rolę. Tak jak Boris Pryszlak. Każdy z nich jednak wybrał inną drogę.

Jacob znalazł się we wzbudzającym grozę królestwie energii, w nowym wymiarze, który częściowo był jeszcze tym światem, ale ostatecznie prowadził do czegoś większego,

czegoś, co można zobaczyć, nie można jednak w pełni zrozumieć. Był zdezorientowany, zagubiony, ale nie samotny. Oczekiwali go inni.

Stał się ich częścią, włączył się w falę, która nigdy nie przestaje narastać, płynąć, lecz która w naszych kategoriach jest nierealna. W końcu część tej fali wraca do swego źródła i walczy z przeciwną energią, która zagroziła jej płodowi. My jesteśmy tym płodem. Ciemność jest tą wrogą energią. Światłość jest potęgą, którą się staniemy.

Nikt z nas, kto widział Światłość, nie oburza się na ułomność, jaką nas dotknęła, gdyż ślepotą nie jest ciężarem, lecz uwolnieniem od niemożności widzenia. Jessica nosi nasze dziecko i oboje wiemy, że syn - to będzie chłopiec - tak jak my, będzie niewidomy. Cieszymy się z tego, gdyż wiemy, że będzie mógł widzieć w taki sam sposób jak my.